

1902 rok – seryjny morderca grasuje po Wiedniu!

Wiedeńska krew



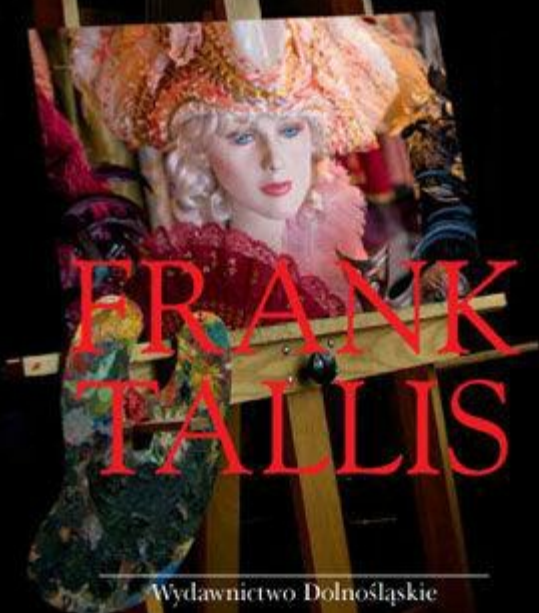
FRANK
FALLIS

Wydawnictwo Dolnośląskie



1902 rok – seryjny morderca grasuje po Wiedniu!

Wiedeńska krew



FRANK TALLIS

Wydawnictwo Dolnośląskie

FRANK TALLIS

Wiedeńska krew

Tom drugi „Zapisków Liebermanna”

przełożyła Beata Hrycak

FRANK TALLIS

Frank Tallis mieszka i pracuje w Londynie, jest pisarzem i praktykującym psychologiem klinicznym, a także wykładowcą w Instytucie Psychiatrii w King's College. Autor poradników, książek naukowych oraz kilku powieści. W 1999 roku otrzymał Writer's Award z Arts Council of Great Britain, a w 2000 - New London Writers Award, przyznawaną przez London Arts Board. Pierwszym tomem trylogii

„Zapiski Liebermanna” jest *Śmiertelna intryga* (WD 2006). Obecnie autor pracuje nad ostatnią częścią cyklu.

„KB”

Część pierwsza

IDEALNY PODEJRZANY

Wioch wykonał pchnięcie z wypadem. Był to niewysoki, szczupły mężczyzna, ale za to bardzo muskularny. Wszelkie bolączki wynikające z niedostatku wzrostu były hojnie rekompensowane przez bystry wzrok i zdumiewającą szybkość walczącego.

Liebermann skutecznie uchylił się przed pchnięciem floretu, lecz stracił równowagę, nie mógł przeprowadzić kontrataku i jego przeciwnik natarł jeszcze raz. Sztych floretu Włocha znalazł się niebezpiecznie blisko pikowanej osłony na sercu Liebermanna.

Odzyskawszy równowagę, Liebermann zdecydował się na pass - odskoczył za plecami Włocha i zrobił kilka kroków w tył. Strużka potu spłynęła mu po rozpalonym policzku.

Włoch wzruszył ramionami i oddalił się, gnąc klingę w geście obojętności. Po kilku krokach wykonał gwałtowny obrót i przyjął postawę przygotowawczą z arogancko uniesioną brodą.

Liebermann wysunął się naprzód.

Włoch wydawał się odprężony, jego floret opadł odrobinę, gdy mężczyzna zwolnił

niedość uchwyty rękocyfki. Liebermann dostrzegł tę subtelną zmianę i ruszył do natarcia. Po przejmującym metalicznym szczęką rozległ się przenikliwy zgrzyt metalu trącego o metal: floret Włocha ustąpił, nie stawiając żadnego oporu. Liebermann pogratulował sobie, mniemając, że wziął przeciwnika przez zaskoczenie - lecz ustępstwo to było jedynie zagranem taktycznym. Klinga Włocha zręcznie starła się z ostrzem floretu Liebermanna, napierając nań z potężną mocą, i ponownie szpic floretu przeciwnika bez trudu przedarł się przez zasłonę Liebermanna. Ten wycofał się, wykonując serię manewrów unikowych, które ledwo powstrzymywały ponowiony zaciekły atak Włocha.

Krążyli wokół siebie, od czasu do czasu zwierając klingi w pchnięciach po przekątnej.

- Powinien był pan przewidzieć moje natarcie, Herr Doctor - rzekł szorstko Włoch.

Postukał się w skroń i dodał: - Trzeba myśleć, Herr Doctor! Jak nie będzie pan myśleć, wszystko stracone.

Liebermann utkwiał wzrok w obojętnej masce Barbasettiego, pragnąc dojrzeć jakąś oznakę człowieczeństwa - może pojednawczy wyraz twarzy bądź też cień uśmiechu. Jednak metalowa siatka była nieprzenikniona.

Florety zwarły się znowu - brzeszczoty połyskiwały w snopie światła wczesnego poranka. Miniaturowy cyklon wprawionego w ruch powietrza wsysał rój leniwych drobinek kurzu.

Barbasetti wykonał fintę, przechodząc od jednej linii ataku do drugiej i zmuszając Liebermanna do cofnięcia się. Jednak młody lekarz zachował spokój i zdecydował się na pozorowany manewr, prowokując w ten sposób przewidywalne i potężne pchnięcie Barbasettiego. Liebermann zrobił unik

i uderzył w dolną część klingi floretu Włocha, gdy ten przetaczał się obok - nieomal wytrącając mu broń z ręki.

- Brawo, Herr Doctor - zaśmiał się Barbasetti. - Znakomity zwód!

- Dziękuję, signore.

Barbasetti stanął i uniósł klingę, przypatrując się jej uważnie.

- Proszę mi wybaczyć, Herr Doctor.

Barbasetti przeszedł na drugą stronę sali ćwiczeń i docisnął rękojeść floretu do blatu wysłużonego drewnianego stołu. Następnie zawiesił na puncie niewielki żelazny obciążnik i patrzył, jak wygina się metalowy brzeszczot. Delikatna krzywizna wywołała niejednoznaczny pomruk czujnego Włocha.

- Wszystko w porządku, signore? - zapytał Liebermann.

- Tak, sądzę, że tak - odparł Barbasetti. Podniósł się, odmaszerował na miejsce i uprzedził swojego ucznia: - En garde.

Natychmiast podjęli walkę, floret Liebermanna ześlizgiwał się po klindze przeciwnika, aż zderzyły się ze sobą kosze ich broni. Fechtmistrz natarł i Liebermann został

odrzucony w tył: wylądował niezgrabnie, niemniej jednak zdołał wykonać imponujący unik.

Barbasetti zaprzestał walki.

- Znacznie lepiej.

Liebermann zauważył, że gałka na końcu jego floretu drży. Była to wyraźna oznaka zmęczenia. Po lekcji wybierze się na kawę z rogalikiem do małej kawiarenki w pobliżu Instytutu Anatomii. Będzie musiał wrzucić coś na ząb, żeby nie opaść z sił...

- En garde! - warknął ponownie Barbasetti, bo dostrzegł, że koncentracja jego ucznia zaczyna słabnąć. Liebermanna zdumiała przenikliwość nauczyciela.

Ostrza zetknęły się ponownie i donośny brzęk ścierającej się stali wypełnił salę.

Liebermann pomyślał, że signore Barbasetti również jest już znużony. Odrobinę stracił na szybkości, a jego ruchom zaczynało brakować baletowej gracji. Włoch zrobił unik, gdy Liebermann zadał pchnięcie z wypadem, lecz nie zdołał wykonać zasłony. Widząc odsłonięty plastron na piersi, Liebermann uświadomił sobie, że nadarzyła się rzadka okazja.

Podkscytowany szansą na zwycięstwo uniósł floret, gotów do natarcia.

Lecz cios nie został zadany.

Jego ciało zamarło sparaliżowane niewytłumaczalnym uciskiem na serce. Opuściwszy wzrok, ujrzał końcówkę floretu przeciwnika, która znalazła się dokładnie ponad przestrzenią międzyżebrową oddzielającą piąte i szóste żebro.

Barbasetti pchnął i zimna stal wygięła się łukiem w górę.

- Nie rozumiem - rzekł Liebermann.

- Brak koncentracji, Herr Doctor - odparł Włoch. - Przez taki błąd z pewnością przegrałby pan pojedynek... a oczywiście w pewnych okolicznościach nawet stracił życie.

Barbasetti opuścił floret, po czym podniósł go w salucie.

Liebermann uprzejmie odwzajemnił gest. Pomimo groźnie brzmiącego oświadczenia fechmistrza młody lekarz ze wstydem przyłapał się na tym, że wciąż rozmyślał o małej kafejce niedaleko Instytutu Anatomii: o chrupiących płatkach francuskiego ciasta, słoiczku śliwkowych powideł oraz filiżance bardzo mocnej czarnej kawy.

Inspektor Oskar Rheinhardt wędrował ścieżką pnącą się w górę porosłego drzewami parku. Zerknął przez lewe ramię i ujrzał za drzewami fragment pałacu Schönbrunn. Był

pogodny, mroźny poranek, gnijące liście zrobiły się kruche od ścinającego je lodu i przyjemnie chrzęściły pod butami.

Rheinhardt nie był w zoo od lat. Posuwając się naprzód, przypominał sobie czasy, gdy jego córeczki były jeszcze bardzo małe - czasy, kiedy bywał tam częstym gościem. Pamiętał, jak Mitzi wybałuszała oczy na widok nadchodzącego lwa oraz Therese śmiejącą się z wrzaskliwych małp. Wspomnienia powracały falą, wspomnienia szczęśliwych dni, tak żywe i barwne jak książeczka z obrazkami. Rheinhardt uśmiechnął się w duchu, lecz poczucie winy i żalu kładło się cieniem na pamięć o dawnych czasach. Profesja detektywa coraz bardziej wdzierала się w jego prywatne życie, feśli nie prowadził akurat śledztwa, zawsze pozostawała robota papierkowa - niekończące się wypełnianie formularzy i sporządzanie raportów. Jakim cudem miał znaleźć czas na zabranie córek do zoo?

Zamajaczyła przed nim żeliwna brama. Gdy podszedł bliżej, rozpoznał patykowate, szeroko rozmieszczone złote litery nad lukiem bramy: *Tiergarten*. Pod napisem stał tęgi mężczyzna w długim, zimowym palcie. Palił, chodził tam i z powrotem, a od czasu do czasu przytupywał. Gdy dostrzegł Rheinhardta, zatrzymał się i machnął ręką - sygnał ów był

zbędny, gdyż nie istniało niebezpieczeństwo, że Rheinhardt go nie zauważy.

- Dzięki Bogu, że pan przyszedł - zawołał mężczyzna, ruszając z miejsca i schodząc kilka kroków w dół wzniesienia.

Rheinhardt uśmiechnął się i poczuł w obowiązku przyspieszyć kroku.

- Herr Pfundtner? - Mężczyzna twierdząco skinął głową. - Inspektor Rheinhardt.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Dziękuję za tak rychłe przybycie - powiedział dyrektor zoo. - Proszę tędy... - Ruszył

zwawym krokiem i natychmiast zaczął mówić.

- W życiu nie widziałem czegoś podobnego. Trudno sobie wyobrazić, kto mógłby coś takiego zrobić. Potworność! Tak całkowicie pozbawiona sensu, aż trudno uwierzyć, że do niej doszło. - Pfundtner uniósł ręce w geście niezrozumienia i pokręcił głową. - Cóż mam począć?

Nigdy nie zdołamy zastąpić Hildegardy. Już nigdy nie znajdziemy tak doskonałego przedstawiciela *Eunectes murinus*! Wie pan, była ulubienicą cesarza. Będzie zdruzgotany.

Dwaj mężczyźni przemaszerowali obok wybiegu dla tygrysów. Jedno ze zwierząt postąpiło w ich stronę, przyciskając nos do krat.

- O której to się stało? - spytał Rheinhardt.

- O siódmej - odrzekł Pfundtner.

- Dokładnie?

- Tak, w porze karmienia.

- Opiekun był obecny?

- Tak, Herr Arnoldt. Cornelius Arnoldt. Został uderzony i stracił przytomność.

- Podczas karmienia zwierzęcia?

- Nie, w trakcie przygotowywania pokarmu w sąsiednim pomieszczeniu.

W gardle tygrysa zagulgotało. Był to głęboki odgłos kojarzący się z wodą spływającą do kanału.

- Zna pan Herr Arnoldta?

- Tak, oczywiście, znam wszystkich opiekunów i dozorców. Znakomity pracownik.

- A więc intruz zadał cios Herr Arnoldtowi i zabrał klucze? - Tak.

- Następnie wszedł do terrarium?

- Właśnie tak - przytaknął dyrektor.

Ogród był ukształtowany jak koło roweru, z alejkami rozchodzącymi się promieniście niczym szprychy od środkowej piasty. Wszystkie zabudowania pomalowano na kolor musztardowy, taki sam jak sąsiadującego z ogrodem pałacu, a ta kolorystyczna spójność upamiętniała wcześniejsze istnienie zoo jako królewskiej menażerii. Zmierzali w stronę centralnego ośmioboku, eleganckiej budowli zdobionej urnami z bogatą ornamentyką oraz płaskorzeźbami w formie szamerunków.- O której otwieracie? - zapytał Rheinhardt.

- Nie jestem przekonany, czy powinniśmy. Nie dzisiaj. Mój personel jest zbyt...

zrozpaczony.

- Szkoda byłoby rozczarować zwiedzających.

- Właśnie tak, inspektorze, właśnie tak. Podobnie jak pan, i my mamy do wypełnienia obowiązek.

- I to szalenie ważny. Spędziłem tutaj z rodziną niezliczone radosne popołudnia w towarzystwie zwierząt. - Po chwili dodał: - Mam dwie córeczki. - Dopowiedziane słowa zawisły w powietrzu.

Dyrektor obrócił się, by spojrzeć na swego towarzysza i uśmiechnąwszy się blado, rzeki:

- Staramy się, jak możemy, inspektorze.

- Właśnie tak - odparł Rheinhardt, figlarnie zawłaszczając sobie werbalny tik dyrektora. Gdzieś w odległym kącie zoo jakieś niezidentyfikowane stworzenie, najprawdopodobniej egzotyczny ptak, głośno zakrakawało. Za centralną ośmioboczną budowlą mężczyźni gwałtownie skreśliли w prawo, zbliżając się wreszcie do celu.

Weszli do terrarium przez drzwi na tyłach budynku. Powietrze było ciepłe i wilgotne, ostro kontrastowało z przenikliwym ziąbem na zewnątrz. Wysoki dozorca zoo stał w wąskim korytarzyku obok otwartych drzwi.

- Proszę tędy - wskazał drogę Pfundtner. Dozorca przywarł plecami do ściany, przepuszczając dyrektora i Rheinhardta. Drzwi otwierały się na niewielkie pomieszczenie, którego lokatorzy tworzyli osobliwy widok. Drugi dozorca z głową owiniętą bandażem siedział na drewnianym krześle, obok niego stał poważnie wyglądający mężczyzna w ciemnym ubraniu (najwyraźniej lekarz odpowiedzialny za założenie opatrunku na głowie), a na lewo od nich biały stół, na którym rozłożono kilka zwierzęcych zwłok. Rheinhardt niejasno zdawał sobie sprawę z poukładanych skór - jedna z nich leżała w okrągłej kałuży krwi.

- Jak się miewa? - zapytał dyrektor, ruchem głowy wskazując rannego dozorcę.

- Znacznie lepiej - odparł lekarz, kładąc dłoń na ramieniu pacjenta. - Lekkie wstrząśnienie mózgu - ale tego należało się spodziewać. Kilka dni odpoczynku w łóżku i wróci do znakomitej formy.

Rheinhardt wkroczył do pomieszczenia.

- Mogę zadać Herr Arnoldtowi kilka pytań?

- Oczywiście - odparł lekarz. - Nie jestem jednak pewien, czy będzie potrafił wiele powiedzieć. Cierpi na amnezję wsteczną.

- To znaczy?

- Na utratę pamięci - wyjaśnił lekarz. - Większość ludzi traci częściowo pamięć po urazie głowy - zwykle pamięć o wydarzeniach poprzedzających moment, w którym stracili przytomność.

- Ale w jakim stopniu?

- Różnie, lecz Herr Arnoldt nie pamięta wiele więcej niż to, że wstał z tóżka i zjadł śniadanie.

- Czy rzeczywiście? - powiedział Rheinhardt, kierując pytanie do dozorca.

Herr Arnoldt usiłował podnieść się z miejsca.

- Nie, Herr Arnoldt - rzekł lekarz, wywierając delikatny nacisk na ramię dozorca. -

Proszę nie wstawać.

Herr Arnoldt opadł z powrotem na krzesło i podniósł wzrok na Rheinhardta.

- Pamiętam, jak wstałem rano... zjadłem jajka i ogórka konserwowego.

- Czy coś jeszcze? - dociekał Rheinhardt.

- Nie... następna rzecz, jaką pamiętam, to ocknięcie się tutaj... na podłodze. I Walter...

pomagający mi Walter.

- Walter?

- To ja - odezwał się dozorca na zewnątrz. - Walter Gundlach. Szedłem do wybiegu hien, gdy zauważyłem, że tylne drzwi pozostały otwarte. Zwykle są zamknięte na klucz, więc wetknąłem do głowę i zajrzałem do środka. Herr Arnoldt leżał na podłodze.

- Gdzie?

- Połowa ciała znajdowała się w miejscu, gdzie pan teraz stoi, druga wystawała na korytarz.

- Na podłodze nie ma krwi - skonstatował Rheinhardt. - Ktoś ją zmył?

- Nie było krwi - rzekł lekarz. - Nie było żadnych ran szarpanych. Wydaje się, że Herr Arnoldt został uderzony w tył głowy ze znaczną siłą - ale bez użycia broni.

- Wobec tego czym? - Zaciśniętą pięścią... może przedramieniem. - Lekarz wskazał na kark pacjenta. - Obszar szyjny jest obolały i mocno posiniaczony.

- Nie zauważył pan nic więcej? - Rheinhardt zapytał Gundlacha. - Niczego niezwykłego?

Dozorca pokręcił głową.

- Nie... Upewniłem się, że Herr Arnoldt jest w nie najgorszym stanie i potem wezwałem dyrektora.

Rheinhardt ponownie odwrócił się twarzą do lekarza.

- Czy zanik pamięci Herr Arnoldta jest trwały?

- Trudno powiedzieć. Niektórzy ludzie odzyskują pamięć, inni nie. Trzeba poczekać.

- Ale jakie jest prawdopodobieństwo? - uporczywie dociekał Rheinhardt.

Lekarz przeniósł wzrok na Herr Arnoldta, zmrużył oczy i zacisnął usta.

- Są spore szanse - odrzekł doktor.

Jak większość lekarzy, wydawał się niechętny udzieleniu precyzyjnej odpowiedzi.

Rheinhardt zlustrował wianuszek otaczających go twarzy; lekarza, dyrektora, nieszczęsnego Herr Arnoldta i jego tyczkowego kolegę, który zaglądał z korytarza.

Wszyscy wydawali się czekać na jakieś istotne słowa. Czując lekkie zakłopotanie, Rheinhardt rzekł:

- Gdzie jest... - Nie potrafił wypowiedzieć słowa „ciało” i zawahał się, szukając stosowniejszej alternatywy. - Herr Pfundtner, gdzie znajdują się szczątki? - To określenie wydawało się rozsądnym kompromisem, ani nie nazbyt antropomorficznym, ani nie lekceważącym.

Dyrektor wskazał na drugie drzwi obok sterty futerkowych zwłok.

Rheinhardt przekręcił gałkę i pchnął drzwi. Powietrze, które się stamtąd wydobyło, przesycił dziwny, ostry odór. Inspektor przestąpił próg i przyjrzał się otoczeniu. Niepewnie wkroczył w pierwotny świat. Jama węża przypominała dużą misę z ziemnymi ścianami, w której rozsypano kamienie i posadzono tropikalną roślinność. Samotne skarłowaciałe drzewo pochylało skrzywiony pień nad zagłębieniem wypełnionym ciemną, stojącą wodą. Na powierzchni unosiły się kolonie glonów, tworząc szmaragdowy archipelag. Po drugiej stronie jamy znajdowała się niezwracająca uwagi ściana, ponad którą zwiedzający mogli zaglądać do środka.

Rheinhardt słyszał ciężki oddech dyrektora za swoimi plecami.

- Kto wchodził tu dziś rano? - zapytał inspektor.

- Ja - rzekł Pfundtner - i Herr Gundlach.

- A pan, doktorze? - zawołał przez ramię Rheinhardt. - Rozglądał się pan tutaj?

- Nie, inspektorze - odpowiedział lekarz. - Absorbowało mnie raczej zdrowie pacjenta.

- W jego głosie dało się wyczuć irytację.

Rheinhardt obejrzał się na dyrektora.

- Dokąd idziemy?

- Tam - odparł Pfundtner, wskazując palcem.

- Proszę iść tuż za mną, Herr Pfundtner. Stąpać raczej po kamieniach niż po ziemi.

- Dlaczego?

- Odciski stóp.

Rheinhardt pokonał łagodne wzniesienie, stawiając stopy na kamieniach, jakby przeprawiał się przez strumień. Czuł, jak uginają się lekko pod jego ciężarem, czyniąc krok chwiejnym. W jamie panowała

straszliwa wilgotność, krople potu zaczęły ściekać mu strużką po policzkach. Okrążywszy duży piaskowy głaz, spostrzegł zwierzę. Choć wiedział, czego się spodziewać, poczuł się zaskoczony zdumiewającym widowiskiem.

Wąż był ogromny - mityczna bestia, wąż morski, bazyliszek. Lecz jego rozmiary wyolbrzymiał dodatkowo dziwaczny sposób, w jaki stworzenie zostało okaleczone.

- Hildegarda - oznajmił dyrektor.

Rheinhardtowi wydawało się, że w głosie dyrektora wyczuł lekkie drzenie. Nietrudno było mu współczuć.

Wąż został przecięty na trzy odcinki: głowa, tułów i ogon. Części ciała były ułożone we właściwej kolejności, idealnie rozmieszczone i oddzielone mniej więcej metrowymi odstępami - tworzyły łuk biegnący zgodnie z linią brzegową zbiornika. Efekt był uderzający i osobliwie estetyczny. Trzy odcinki ciała razem wzięte były dłuższe od tramwaju. Część środkowa miała średnicę wystarczająco szeroką, by pomieścić małe dziecko.

Gdy obydwaj mężczyźni dotarli na sam dół, Rheinhardt wgramolił się na dużą skałę obok głowy węża. Oczy i nozdrza Hildegardy były usytuowane wysoko na płaskiej, spiczastej czaszce, a delikatny, rozwidlony język wystawał spomiędzy potężnych szczęk, które zostały podparte małym kamieniem, by pozostały rozwarte. Zabieg ten wydawał się nie służyć żadnemu innemu celowi poza efektem artystycznym. Skóra węża była zielona - w takim samym odcieniu co woda - i upstrzona czarnymi jajowatymi plamkami. Rheinhardta fascynowała ta powierzchnia o wyraźnej fakturze, każda łuska jak maleńki bąbelek gagatu lub obsydianu. Wyrazisty przekrój poprzeczny odsłaniał wnętrze stworzenia w miejscu równego przecięcia środkowego segmentu ciała.

- Zdumiewające - skostatował Rheinhardt. - Zupełnie niesłychane.

- To musiał być jakiś szaleniec! - wykrzyknął dyrektor. - Jakiś obłąkaniec zbiegły z Am Steinhof.

Ziemia wokół brzegu sadzawki miała barwę jasnego brązu, splamionego ciemnymi bryzgami węzowego ichoru.

- To pyton? - zainteresował się Rheinhardt.

- Dobry Boże, nie - odpowiedział dyrektor. - Hildegarda jest - była - anakondą, wodnym boa.

- Niejadowitym?

- Właśnie tak. *Eunectes murinus* jest dusicielem. Na wolności *muń-nus* leży zanurzony w wodzie i chwyta ofiarę, gdy ta przychodzi do wodopoju.

- A potem zabija przez uduszenie?

- Tak, lub przez utopienie. Ma niezwykle silne szczęki. Mogą dość łatwo przytrzymać pod wodą nawet duże zwierzę.

- Jak duże?

- Dorosły jeleń nie wyrwałby się z tych szczęk. Odnotowywano wypadki zabijania nawet dużych kotów, na przykład jaguarów, przez wielkie anakondy, takie jak Hildegarda.

- A co z ludźmi?

- Potwierdzono kilka ataków, lecz to wyjątkowo rzadkie wypadki. Rheinhardt podziwiał potężne rozmiary węża. Ledwo powstrzymał się przed komentarzem „Cóż za monstrum!” w obawie, że mógłby zranić uczucia dyrektora.

- Jak długa jest Hildegarda?

- Prawie dziewięć metrów. Pytony osiągają większe długości, nie są jednak tak ciężkie.

- Nawet gdyby ktoś wiedział, że anakondy rzadko atakują ludzi, wtargnięcie na jej terytorium wciąż byłoby onieśmielającą perspektywą.

- Właśnie tak - powtórzył po raz kolejny dyrektor. - Tymczasem złoczyńca ani przez chwilę nie znalazłby się w żadnym realnym niebezpieczeństwie. Ta jama była domem Hildegardy przez ponad dwadzieścia lat. Ona jest... - dyrektor poprawił się - była przyzwyczajona do towarzystwa ludzi, które niemal zawsze sygnalizowało nadejście pożywienia. Wbrew zewnętrznym pozorom to bardzo potulne stworzenie.

Rheinhardt podrapał się w głowę.

- Herr Pfundtner, czy któryś z dozorców zgłosił cokolwiek odbiegającego od normy -

podejrzane zachowanie zwiedzającego albo okazywanie nadmiernego zainteresowania Hildegarda?

- Nie. Poza tym Hildegarda miała tak wielu oddanych wielbicieli, że trudno byłoby coś jednoznacznie stwierdzić.

- A osoby, które mogłyby chować jakąś urazę do samego zoo? Słyszał pan o kimś takim?

- Inspektorze, jesteśmy najpowszechniej kochaną instytucją w Wiedniu.

- W samej rzeczy, pomyślałem jednak, że być może zwolnił pan jakiegoś opiekuna, który...

- Nie! - przerwał dyrektor. - Nikogo nie zwalniałem. A stosunki pomiędzy zarządem a dozorcami zawsze były znakomite. Wspomni pan moje słowa, inspektorze - rzekł Pfundtner, wskazując palcem okaleczoną anakondę. - Ten odrażający czyn to dzieło szaleńca!

- Może mieć pan rację, Herr Direktor - rzekł Rheinhardt, wyjmując notes z kieszeni.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi do terrarium i stanął w nich Walter Gundlach.

- Inspektorze, przybył pański asystent. Rheinhardt zawołał:

- Dobrze, już idę. - Następnie, odwróciwszy się do Pfundtnera, dodał cichym głosem: -

Proszę pamiętać, Herr Direktor, stąpamy wyłącznie po kamieniach. - Po czym wrzucił pusty notes do kieszeni palta.

Dwaj mężczyźni zaczęli piąć się po pochyłości, od czasu do czasu rozkładając ramiona dla zachowania równowagi. Gdy dotarli do drzwi, dyrektor uprzejmie przepuścił

Rheinhardta. Lekarz wciąż stał obok siedzącego pacjenta. Walter Gundlach gestem ręki wskazał Rheinhardtowi korytarz, gdzie czekał miody Hausmann, asystent inspektora. Miał poczerwieniałą twarz i ciężko dyszał, jak gdyby biegł. Rheinhardt bez słowa dołączył do swego pomocnika i ruszyli korytarzem, odchodząc na tyle daleko, by nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny, sir. Był...

Rheinhardt nie chciał słuchać usprawiedliwień. Hausmann spóźnił się nieznacznie.

Inspektor nie miał ochoty besztuć asystenta, dlatego uciął jego przeprosiny pytaniem:

- Wiesz, co się tu wydarzyło?

- Nie, sir. Wyszedłem z biura bezpieczeństwa, gdy tylko dowiedziałem się, gdzie pan przebywa.

Hausmann wyjął notes i czekał, aż inspektor zacznie mówić. Jego ołówek unosił się nad czystą kartką papieru. W podkrążonych oczach Rheinhardta nagle rozbłysły wesołe iskierki.

- Ofiarą jest dziewięciometrowa przedstawicielka płci żeńskiej - w przybliżeniu 250

kilogramów wagi. Jest znana pod imieniem Hildegardy i podobno należy do osobistych faworytów cesarza.

Miody człowiek przestał notować i podniósł wzrok na przełożonego.

- Pan żartuje, sir?

- To wąż, Hausmann - wąż! - Wąż?

- A mówiąc ściśle, anakonda. Śmierć prawdopodobnie nastąpiła natychmiastowo po odcięciu głowy. Później intruz okaleczył ofiarę, odcinając ogon. Dostał się do jamy węża, ogłuszywszy jednego z dozorców, Herr Arnoldta. To tamten nieszczęśnik z bandażem na głowie. Wezwij tu natychmiast policyjnego fotografa i sporządź plan sytuacyjny. Zdejmij odciski butów dyrektora oraz obydwu dozorców - Herr Arnoldta i Herr Gundlacha - a potem sprawdź, czy można zrobić odcisk jakichkolwiek śladów w jamie węża. Herr Arnoldt stracił

pamięć, ale lekarz twierdzi, że ma spore szanse na jej odzyskanie. Spróbuję przesłuchać go za parę

godzin: do tego czasu może będzie miał więcej do powiedzenia.

Asystent podniósł wzrok znad notesu.

- Wszystko to jest dość niezwykle, sir.

- Haussmann, masz dar powściągliwości. Rheinhardt odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

- Sir?

- Tak, Haussmann?

- Dokąd pan idzie?

- Sprawdzić, czy nie jest uszkodzone ogrodzenie. - Rheinhardt przerwał i po chwili oddał: - Aha, i rozejrzyj się za narzędziem zbrodni. Jeśli jest tutaj, łatwo będzie je znaleźć.

Podejrzewam, że to coś dużego - siekiera albo jakiś rodzaj szabli.

Po dusznym upale w terrarium rzeńskie powietrze poranka wydawało się rozkoszą.

Jadalnia była przestronna i urządzona z przepychem. Bogato zdobiony żyrandol zwieszał się z wysokiego sufitu, przy jednej ze ścian panoszył się misternie rzeźbiony kredens w stylu biedermeier. Był to masywny mebel, który sięgał niemal gzymsu. Liebermann -

mężczyzna o zdecydowanie współczesnych preferencjach estetycznych - uznał jego misterność za nazbyt wymyślną, a stateczną nijakość za nieefektywną. Na przeciwnej ścianie wisiało płótno dużych rozmiarów, pędzla popularnego pejzażysty, które przedstawiało drzewa i ośnieżone szczyty na odległym horyzoncie. Nosilo beznamiętny tytuł *Wiedeński las*.

Liebermann od chwili zaręczyn z Clary jadł z rodziną Weissów przynajmniej raz w tygodniu. Za każdym razem, gdy postanawiał odwiedzić Clary, Jacob lub Esther (rodzice narzeczonej) niezmiennie nalegali, by został na kolację. Jadanie z Weissami nie wymagało takiego wysiłku jak spożywanie posiłków z własną rodziną - co zawsze rodziło napięcia -

niemniej jednak stanowiło obowiązek, który zaczynał mu się przykrzyć. Oprócz Clary i jej rodziców było obecnych kilku innych członków rodziny Weissów: dorastająca siostra Clary Rachel, starszy brat Konrad i jego żona Bettina. Dwaj mali synkowie Konrada i Bettiny - Leo i Emil - spali w sypialni na górze.

Towarzystwo skończyło właśnie danie główne, na które składała się gotowana wołowina z zielonymi warzywami, i służący zbierali talerze.

Clara rozgadała się na dobre.

- Nigdy nie zgadniesz, kogo wczoraj spotkałam - Fraulein Stahl. Przed sklepem Lobmeyra. Nie widziałam jej całe wieki - wyjechała w tym roku do Franzenbad, choć nie zostawiła na tym miejscu

suchej nitki.

- Gdzie się zatrzymała?

- W hotelu Holzer. Mówiła, że byli tam bardzo nadęci ludzie.

- Tak, teraz pojechałbym tylko do Meran - oznajmił Jacob. Odwróciwszy się do Liebermanna, dorzucił ciszej: - Byliśmy tam latem, oczywiście. - Po czym, zwracając się do wszystkich zgromadzonych przy stole, dodał: - Dużo przyjemniejsza atmosfera. Nie wiem, dlaczego nie jeździliśmy tam wcześniej. Winogrona były wyjątkowo smaczne.

- Fraulein Stahl powiedziała, że woda w Franzenbadzie smakuje obrzydliwie - rzekła Clara. - Mimo to kazano jej pić ją wiadrami, ponieważ jej lekarz - jak mu tam - Rozenblitz -

uważa, że ona ma delikatną wątrobę i że wody Franzenbadu wyjątkowo dobrze pomagają przy tego rodzaju dolegliwościach. Znasz go, Max? Tego Rozenblitza?

- Nie - odparł Liebermann. - Obawiam się, że nie.

- Max - powiedziała Clara, a do jej głosu wkradła się nuta irytacji. - Ty w ogóle nie znasz żadnych lekarzy ze śmietanki!

- Pozna - powiedział z uśmiechem Jacob. - Z czasem, prawda, mój chłopcze?

Liebermann uśmiechnął się cierpliwie do gospodarza.

- Być może, Herr Weiss.

- Rozenblitz zalecił Fraulein Stahl skonsultowanie się z lekarzami w Franzenbadzie -

ciągnęła Clara - którzy przepisali jej specjalną dietę opartą na kapuście i kluskach, a do tego codziennie brała kąpiel mineralną. Mówiła, że wieczory były jednak okropnie nudne. Przy głównej ulicy stały rzędem hotele, a po ósmej wieczorem życie wszędzie zamierało.

Rozmowę przerwano, wszedł bowiem kucharz z monumentalnym naleśnikiem cesarskim. Miękkie zwały aromatycznego ciasta piętrzyły się wysoko, tworząc ogromną żółtą piramidę, której boki były hojnie obsypane cukrem pudrem. Za nim weszła pomoc kuchenna, niosąc dwie miski: jedną wypełnioną gęstymi powidłami śliwkowymi o barwie zbrązowiałej purpury i drugą z bitą śmietaną uformowaną w kształt spiralnie skręconej muszli. Jacob wyraził swoje uznanie dla kucharza, a z jego odczuciami zgodzili się wszyscy zgromadzeni wokół stołu.

Gdy podjęto na nowo konwersację, Bettina zapytała, czy do Fraulein Stahl wciąż zaleca się Herr Bernhardt, ten słynny przedsiębiorca i rozmowa toczyła się powoli, od rodzących się romansów począwszy, poprzez zaręczyny w towarzystwie, na zbliżającym się ślubie obecnej tam pary skończywszy.

- Zdecydowaliście, gdzie odbędzie się uroczystość? - spytała Bettina.

- W Stadttempel - odparta Clara.
- Cudownie! - wykrzyknęła Bettina - uwielbiam Stadttempel... to sklepienie... ze złotymi gwiazdami.
- Bardzo romantyczne miejsce. A suknię szyje Bertha Fiirst - dodała Esther.
- Claro - powiedziała Bettina - będziesz wyglądała olśniewająco.
- I ja... - wtrąciła Rachel. - Ja też będę miała od niej sukienkę.
- Cóż - rzekł Jacob - zobaczemy...
- Przecież obiecałeś, ojcze! - powiedziała Rachel, czerwieniejąc na twarzy.
- Obiecałem ci nową sukienkę. Nie obiecywałem sukni od Berthy Fiirst.
- Och, ojcze - odezwała się Clara, apelując do niego z szeroko otwartymi oczyma. -

Tego dnia Rachel również musi wyglądać przepięknie.

Jacob jęknął.

- Och, no dobrze, niech będzie Bertha Fiirst. - Pochylił się ku Liebermannowi i powiedział pod nosem: - Widzisz, co ja muszę znosić.

Rachel klasnęła w dłonie, a jej twarz promieniała radością.

- Dziękuję ci, ojcze! - wykrzyknęła. Po czym wstała, obiegła stół dookoła i zarzuciła Jacobowi ramiona na szyję, cmokając go w policzek.
- Już dosyć - rzekł, oswobadzając się teatralnym gestem i udając, że jest mocno rozeźlony.

Rachel w podskokach wróciła na swoje miejsce.

- Nie pożałujesz, ojcze - powiedziała Clara nieco poważniejszym tonem. - Będzie wyglądała jak księżniczka, prawda, Rachel?

Rachel kiwnęła głową i wsunęła do ust widelczyk z bitą śmietaną. Temat ślubu kontynuowano po podaniu kawy. Herr Weiss skwapliwie zaproponował: - Panowie, może przejdziemy do palarni?

Gdy Liebermann wstał, Clara podniosła na niego wzrok, chwyciła jego dłoń i przycisnęła ją do swego ramienia. Był to drobny gest, acz pełen uczucia. Jej oczy roziskrzyły się w blasku świec, usta delikatnie rozchyliły, ukazując rząd równych białych zębów. Clara wyjątkowo rozpuściła włosy. Były ciemne i spływały wokół twarzy lśnącymi falami. Gdy Liebermann wstawał od stołu, jego palce zatrzymały się na dłużej w delikatnym uścisku jej dłoni.

W palarni Jacob Weiss rozdał cygara i nalał brandy. Stał przy okazałym kominku z szarego marmuru,

wsparty ramieniem o gzyms, od czasu do czasu strzepując w płomienie popiół z cygara. Dwaj młodszy mężczyźni zajęli głębokie skórzane fotele, usiadłszy naprzeciw siebie, oddzieleni perskim dywanem.

Przez pewien czas rozprawiano o polityce: o okropnych frazesach, na jakie można natknąć się na szpaltach „Deutsches Volksblatt”, o próżności burmistrza oraz o tym, że kulturalne podziały w cesarstwie wydają się raczej pogłębiać zamiast spłycać.

- Słyszałem niedawno dobry dowcip - oznajmił Jacob. - Wiecie, że na dachu budynku parlamentu znajdują się rydwany i każdy z nich jest zwrócony w innym kierunku. Jakiś dowcipniś, z którym rozmawiałem, powiedział, że coraz powszechniej uważa się je za znamienity symbol. Każdy parlamentarzysta ciągnie w inną stronę. I wiecie, to prawda, wszystko się rozpada, nie wiem, do czego to doprowadzi.

- Ojczy, ludzie powtarzają to samo od lat - rzekł Konrad. - I jakoś nic się nie zmienia.

- Och, ależ zmienia. I to nie zawsze na lepsze.

- Za bardzo się martwisz. - Konrad zgasił cygaro i zerknął na zegarek kieszonkowy. -

Wybaczenie. Jeśli pozwolicie, powinienem chyba zajrzeć do dzieci.

- I to podobno ja za bardzo się martwię? Konrad uśmiechnął się do ojca i wyszedł z pokoju.

- Jeszcze jedno cygaro, Max? - zaproponował Jacob.

- Nie, dziękuję.

- W takim razie na pewno kolejny kieliszek brandy.

Jacob odszedł od kominka, napełnił kieliszek Liebermanna i usiadł w zwolnionym przez Konrada fotelu.

- Widziałem się niedawno z twoim ojcem - oznajmił Jacob. - Spotkaliśmy się na kawie w Imperialu.

- Tak?

- Odbyliśmy długą rozmowę. - Jacob wypuścił smużkę błękitnego dymu. - Chce, żebyś przejął kiedyś interes, wiesz o tym, prawda?

- Tak.

- Ale nie jesteś do tego skory.

- Nie. Niestety, zupełnie nie interesują mnie tekstylia ani handel. Zamierzam pozostać wierny medycynie.

Jacob pogładził brodę.

- Uważa, zdaje się, że będzie ci trudno, mam na myśli kwestie finansowe. Kiedy się ożenisz.

Liebermann westchnął.

- Herr Weiss, to prawda, obecnie moja pozycja w szpitalu jest jeszcze niska. Mam jednak nadzieję, że pewnego dnia zdobędę akademickie stanowisko na uniwersytecie i jestem pewien, że będę mógł rozwinąć praktykę.

Jacob się roześmiał.

- Bóg jeden wie, że jest w Wiedniu wystarczająco dużo szaleńców, by człowiek twojej profesji miał ręce pełne roboty.

- Mój ojciec zawsze... - Liebermann miał powiedzieć coś niedelikatnego, lecz zmienił zdanie. - Obawiam się, że pod pewnymi względami mogłem go rozczarować.

- Kogo? Mendla? Skądże, jest z ciebie bardzo dumny, bardzo. Chodzi tylko o to, że...

chce, abyście ty i twoja rodzina, jak Bóg da, byli zabezpieczeni. - Jacob zastukał knykciami w poręcz fotela dla podkreślenia walorów bezpieczeństwa. - Nasze pokolenie nie jest... - szukał

odpowiednich słów - tak beztroskie jak wasze, nie ma takiego przekonania, że świat obejdzie się z nami życzliwie czy sprawiedliwie. - Liebermann poruszył się niespokojnie na użytą przez Jacoba formę „my”. - I tyle. Nie, mój chłopcze, jest z ciebie bardzo dumny - my również.

Podczas gdy ojciec Liebermanna, Mendel, miał długą brodę, nadającą mu wygląd hierofanta, Jacob nosił jedynie mały podkręcony wąsik. Włosy odrobinę mu się przerzedziły, odsłaniając wysokie czoło, na grzbiecie nosa miał małe okulary o owalnych soczewkach.

Wciąż można byto określić go mianem przystojnego mężczyzny. - Wiesz, Max - ciągnął Jacob

- nigdy dotąd nie mieliśmy w rodzinie przedstawiciela wolnego zawodu. - Ponownie zaciągnął się cygarem i wypuścił obłok dymu. - Miałem nadzieję, że Konrad zostanie lekarzem lub prawnikiem, lecz szczerze mówiąc, nie sądzę, by miał dość tęgą głowę. Dlatego skończył tak jak ja, w tej samej branży. No i proszę, nikt z nas nie jest usatysfakcjonowany tym, co od życia dostaje - czyż nie dzieje się tak zawsze? - Uśmiechnął się dobrotliwie i wypił

łyżeczek brandy. - Rzecz w tym, Max, że chcę, byś wiedział, że rozumiem, jak ważna jest dla ciebie medycyna. A gdy pobierzecie się z Clarą... w razie jakichkolwiek problemów - natury finansowej - możesz zawsze się do mnie zwrócić, jeśli będziesz potrzebował pomocy.

Znacznie bardziej wolałbym, żeby moja córka była żoną wybitnego profesora uniwersytetu niż jeszcze jednego przedsiębiorcy parającego się handlem, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Herr Weiss, bardzo miło z pańskiej strony, ale...

- Proszę, nie wspominaj o naszej krótkiej pogawędce Mendlowi czy też Clarze. To sprawa wyłącznie między nami.

Biurko zaścielały papiery i urzędowe formularze. Po jednej stronie siedział

Rheinhardt, po drugiej Haussmann. Mimo że było dopiero wczesne popołudnie, już zaczynało się ściemniać.

- Nie mogłeś zrobić odcisków?

- Nie, sir.

- Dziwne... ziemia była dość miękka.

- Najwyraźniej stąpał po kamieniach, sir.

- Ale kiedy układał kolejne części ciała węża, musiał stać na ziemi przy brzegu sadzawki.

Rheinhardt badał wzrokiem powiększone zdjęcie martwej anakondy.

- Jedyne odciski stóp, jakie udało mi się znaleźć, należały do dyrektora i dwóch dozorców; jednak te ślady tutaj... - Haussmann wskazał na zaokrągloną fałdę w pobliżu głowy węża. - Sugerują, że sprawca mógł majstrować przy ziemi.

- Zatarł ślady?

- Tak jest, sir.

Rheinhardt skrzywił w palcach spiczasty koniuszek wąsów.

- Co, jeśli jest prawdą, oznacza, że nasz złoczyńca orientuje się w nowych metodach śledczych.

Haussmann pokiwał głową. Milczenie, jakie zapadło po tym stwierdzeniu, przedłużało się, dwaj mężczyźni bowiem łamali sobie głowę nad dowodami.

- Sir?

Rheinhardt podniósł wzrok.

- Czy Herr Arnoldt odzyskał pamięć?

- Nie. Rozmawiałem z nim w zoo i złożyłem mu wizytę wczoraj wieczorem, ale nie dodał nic nowego. Lekarz wciąż uważa, że istnieje prawdopodobieństwo, że z czasem coś może się wyłonić z otchłani pamięci. Ale ja nie jestem w tej kwestii optymistą.

Na okiennych szybach zaczęły osiadać płatki śniegu.

- Pada śnieg - powiedział cicho Haussmann.

Rheinhardt odwrócił się i zerknął na brunatnoszare niebo, po czym potwierdził

spozstrzeżenie Hausсмanna krótkim mruknięciem. Świadom faktu, że mógł sprawić wrażenie nie dość czujnego, asystent detektywa zadał przełożonemu pytanie:

- Sir, sądzi pan, że był jakiś motyw? Czy że to po prostu dzieło szaleńca?

- Przypuszczam, że to drugie.

- Może w takim razie powinniśmy skonsultować się z pańskim przyjacielem, doktorem Liebermannem?

- W istocie. Sprawa z pewnością jest wystarczająco dziwna, by wzbudzić jego ciekawość. Rheinhardt odsunął na biurku papiery, otworzył szufladę i wyjął z niej formularz, który położył przed sobą. Wyglądając dłonią kartkę, westchnął i rzekł:

- Cóż, Hausсмann, czeka mnie teraz zadanie nie do pozazdroszczenia, czyli sporządzenie wstępnego raportu. Zechciej mi wybaczyć.

Hausсмann wstał. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Rheinhardt odebrał, przedstawił się, lecz nie powiedział niemal nic więcej, gdy w słuchawce zatrzeszczał słaby głos rozmówcy. Wyraz twarzy inspektora zmieniał się, przechodząc od zdegustowania do zaniepokojenia, a następnie szoku.- Dobry Boże! - wyszeptał.

Hausсмann na powrót usiadł. Rheinhardt sięgnął po pióro i nabazgrał adres na formularzu raportu.

- Przyjeżdżam natychmiast - rzucił i odłożył słuchawkę. Jednak nie podniósł się z miejsca. Zamiast tego wpatrywał się w adres, ściągając brwi.

- Sir?

Rheinhardt poruszył się i spojrzał przez biurko na swego asystenta.

- Hausсмann, w Spittelbergu stało się coś strasznego. - Miał głos ściśnięty od tłumionych emocji.

- Morderstwo?

- Nie - odparł Rheinhardt. - Masakra.

Powóz przeciął tory tramwajowe i ostro skręcił w stronę Spittelbergu. Rheinhardt i Haussmann siedzieli zatopieni we własnych myślach - żaden z nich nie był zbyt rozmowny..

Przez okno Rheinhardt ujrzał w przelocie monumentalny gmach Justizpalast. W duchu błagał bogów jurysprudencji o pomoc. Maniaka zdolnego do tak wstrząsających aktów przemocy trzeba powstrzymać natychmiast.

Powóz zjechał gwałtownie w wąską, brukowaną uliczkę. - Spittelberg - rzekł

Haussmann.

Kontrast z okazałym budynkiem sądu odległym jedynie o krótki odcinek drogi nie mógł być jaskrawszy. Chociaż domy tchnęły pewnym staroświeckim urokiem, w większości znajdowały się w opłakanym stanie po wielopokoleniowym zaniedbaniu. Zabudowa miała niejednakową wysokość i wielkość, farba na tynkach wyblakła. Ale zachowane smugi różu, ochry i błękitu zdradzały barwniejszą i zamożniejszą przeszłość.

Powóz pokonał ciasny skręt i potoczył się ponurą uliczką otoczoną po obu stronach rozpadającymi się, wałącymi zabudowaniami mieszkalnymi. Sznury do bielizny wisiały ponad głowami niczym pajęczce nici gigantycznych rozmiarów. Rheinhardt wyobraził sobie potężnego pajęczaka z nogami oplatającymi pękaty odwłok, czającego się do ataku. Powóz opuścił nędzną ulicę i wjechał na mały plac. Po jednej stronie stała gospoda, a obok niej narożnik utworzony przez gładkie ściany, wzdłuż których biegi samotny, pozbawiony ozdób metalowy balkon. Przed gospodą stała melancholijna fontanna - karłowata czarna iglica, z której rachityczne strumienie wody tryskały do oddzielnych basenów. Powóz skręcił

ponownie, ale już po kilku chwilach konie zaczęły zwalniać.

Stangret bez najmniejszego trudu rozpoznał cel podróży detektywa. Był nim niski dwukondygnacyjny budynek wciśnięty pomiędzy większe kamienice i strzeżony przez dwóch policjantów. Mężczyźni chuchali w dłonie i przytupywali, chroniąc się w ten sposób przed zimnem. Po drugiej stronie ulicy przystanął starszy mężczyzna w wyświechtanym płaszczu, szalu i kapeluszu w stylu bohemy. Przyglądał się scenie wsparty na sękatej lasce, z mocno przygarbionymi plecami. Oprócz tego samotnego obdartusa nie było żadnych innych gapiów.

Koła powozu zazgrzytały i stanęły.

Rheinhardt otworzył drzwi pojazdu, wysiadł i rozejrzał się. Pozostałości lepszych czasów były teraz wyraźnie widoczne: głowy cherubinów na reliefach beznamiętnie spoglądały w dal spod kilku parapetów okiennych. Jedna z kamienic miała nad frontowymi drzwiami kopulastą wnękę, którą zajmowała figura świętego Józefa z aureolą w postaci rozchodzących się promieniście pasków metalu. Pulchne, lecz nadgryzione zębem czasu dzieciątko Jezus spoczywało niepewnie na jego lewym ręku.

Śnieg sypał coraz mocniej: w powietrzu robiło się gęsto od pierzastych płatków. W

Spittelbergu zapanowała osobliwa cisza, magiczny bezruch, który potęgowało niejasne wrażenie nieustającego, hipnotyzującego podupadania. Koń parsknął i zatrzęsł wędzidłem.

Jeden z funkcjonariuszy ruszył naprzód, wlokąc szablę po bruku.

- Biuro bezpieczeństwa?

- Tak. Inspektor Rheinhardt, a to mój asystent Hausmann. - Policjant skłonił głowę i stuknął obcasami. - Przypuszczam, że pan i pański kolega jesteście z Neubaugasse?

- Tak jest, sir.

- Byliście już w środku?- W życiu nie widziałem nic okropniejszego, sir - odparł

policjant. - Bóg jeden wie, co tam zaszło. - Energicznym ruchem głowy wskazał na wpół otwarte drzwi.

- Rozumiem, że ciała odkrył pełnomocnik właściciela kamienicy. Gdzie on jest?

- Na posterunku, sir. Wręczył nam klucz i odmówił przyścia tu z powrotem. Proszę uważać po wejściu do środka, w korytarzu dopadły go torsi.

Płatek śniegu wylądował na rzęsach policjanta.

Inspektor ruszył w stronę drzwi, lecz po chwili gwałtownie przystanął. Odwrócił się i pomaszerował ku starszemu mężczyźnie, który wciąż patrzył.

- Dzień dobry panu - rzekł Rheinhardt.

Mężczyzna miał oczy nabiegłe krwią. Kiwał głową w przód i w tył, usiłując złapać ostrość na rozmówcę. Wreszcie przemówił z silnym obcym akcentem:

- Co się stało? - Podniósł wystający z mitenek kościsty palec. - Tam w środku.

- Zna pan lokatorów tego domu? - spytał z kolei Rheinhardt.

- Nie w moim wieku - odparł stary. Jego usta rozciągnęły się w bezzębny uśmiech, którego łukowatą linię przerywał pojedynczy szerniały ząb. - To burdel! - Nie mógł kontynuować śmiechu, który urwał się, przechodząc w suchy kaszel. Flegma zachlupotała w płucach.

Rheinhardt położył dłoń na ramieniu starego.

- Jest zimno, przyjacielu. I nie ma tu nic do oglądania. - Stary wzruszył ramionami. -

Idź do domu i rozpal w piecu - ponaglił go Rheinhardt.

Staruch podniósł laskę i stuknął nią o bruk z niespodziewaną zapalczywością.

Odszedł, powłócząc stopami i pozostawiając za sobą w śniegu dwa równoległe tory przy pokonywaniu śliskiej pochyłości.

Rheinhardt powrócił do miejsca, gdzie Hausmann stał z dwoma funkcjonariuszami.

- No dobrze, wchodzimy.

Korytarz był ciemny, klaustrofobiczny, cuchnący wymiocinami. Na podłogę wypluto na wpół strawioną gęstą zupę. Hausmann wykrzywił twarz, demonstrując swoje obrzydzenie.

- Sądzę, że możemy spodziewać się czegoś gorszego - rzekł chłodnym tonem Rheinhardt.

Na lewo znajdował się skąpo umeblowany pokój z sofą, fotelem oraz małym stolikiem przy oknie. Na stole stała lampa naftowa, której klosz był zrobiony z czerwonego szkła.

Środek pokoju zajmował pękaty piecyk. Rheinhardt dotknął palcami żelaza i stwierdził, że jest zimne. Podłogę zaśmiecały popielniczki, w większości przepełnione wysypującymi się niedopałkami cygar. W rogu stały trzy puste butelki po szampanie.

Nienaturalną ciszę zakłóciły zniecka odgłosy artyleryjskich wystrzałów. Na zewnątrz koń zaczął niespokojnie stukać kopytami o bruk.

- Koszary - wyjaśnił Hausmann.

- Tak. Cóż za dogodna lokalizacja.

Przecięli korytarz, by zajrzeć do drugiego pokoju naprzeciwko. Obydwaj cofnęli się w progu. Hausmann gwałtownie odwrócił głowę. Odkręcał ją z powrotem stopniowo i powoli, jak gdyby potworność, która ukazała się jego oczom, można było przyswajać jedynie w bardzo małych dawkach.

Ofiarą była kobieta w średnim wieku o szaroniebieskich włosach, które zwisały w prostych strąkach wokół opuchniętej, posiniaczonej twarzy. Ciało leżało rozciągnięte na podłodze, z rękami po obu stronach głowy odwróconymi wnętrzem dłoni do góry w geście uległości. Miała na sobie niebieski szlafrok, który podwinął się do góry, obnażając żylaki na łydkach, chude kostki i drobne stopy w haftowanych jedwabnych pantoflach. Gardło poderżnięto, zadając głęboki, silny cios, z tętnic wypłynęła ogromna ilość krwi. Podłoga wokół głowy zamieniła się w czarne jezioro zakrzepłej posoki. Z rany wystawała jakaś wyraźnie widoczna chrząstkowata materia. Nieszczęsnej kobiecie niemal odcięto głowę.

Rheinhardt postąpił kilka kroków naprzód i przykucnął obok ciała, uważając, by jego płaszcz nie miał styczności z krwią. Ujął w palce tkaninę szlafroka i usiłował odciągnąć ją od ciała, lecz ubranie ściśle przywierało do skóry. Wreszcie odkleiło się z nieprzyjemnym odgłosem rozrywania.

- Została również ugodzona w serce - rzekł cicho. Hausmann nie odpowiedział.

- Dobrze się czujesz, Haussmann?- Tak jest. Tak sądzę, sir.

- Poczciwy chłop. Rheinhardt wsparł się dłońmi o uda, wstał i rozejrzał po pokoju.

Mieścił niewiele mebli: sekretarzyk, wysoką komodę i proste łóżko z pozbawionym jakichkolwiek dekoracji wezłowiem. Koc był odrzucony, prześcieradło pod spodem zmiętoszone. Za łóżkiem znajdowało się na wpół otwarte okno. Rheinhardt obszedł kałużę krwi i rozsunął zasłony. Mroczne, ciasne przejście dzieliło burdel od sąsiednich zabudowań.

- Tędy uciekł - oznajmił Rheinhardt. - Na framudze i parapecie są plamy krwi.

Chciałbym, żebyś przeczesał okolicę, gdy przyjdzie na to czas.

- Tak jest.

Powróciwszy do sekretarzyka, Rheinhardt przekręcił klucz i opuścił blat. W środku były jakieś papiery, kilka srebrnych monet i zamknięta kasetka na pieniądze. Papiery okazały się weksłami wystawionymi dla Madam Borek - niemal wszystkie były podpisane przez wojskowych.

- Porucznik Lipoścak, kapitan Alderhorst, porucznik Hefner, szeregowy Friedel...

Rheinhardt wyjął notes i zapisał nazwiska.

Haussmann podniósł kasetę na pieniądze i nią potrząsnął.

- Pełna, sir.

- Rzeczywiście. Kradzież rzadko bywa motywem tak makabrycznej jatki.

Haussmann odłożył kasetkę na miejsce, a Rheinhardt zamknął sekretarzyk.

- Chodź, Haussmann. Obawiam się, że czeka nas jeszcze większy horror.

Dwaj mężczyźni opuścili pokój Madam Borek i zaczęli wchodzić na górę schodami na końcu korytarza. Rheinhardt zauważył ciemny ślad na nagich deskach podłogi. W miarę jak pięli się po kolejnych stopniach, zapach wymiocin oddalał się, lecz zastąpił go bardziej złowieszczy odór. Gdy zbliżyli się do szczytu schodów, ich oczom ukazała się ściana półpiętra. Rheinhardt przystanął, jego uwagę przykuł osobliwy symbol prymitywnie wymalowany na gotym tynku.

- Spójrz, Haussmann.

- Jakiś krzyż?

Powoli dotarli na górę. Z dziwnego przekrzywionego krzyża spłynęły ciemne strużki, pozostawiając na ścianie cienkie paseczki. Rheinhardt dotknął tynku i potarł palcem wskazującym zaschniętą ciecz. Nawet w nikłym świetle zobaczył, że drobinki, które zebrał na opuszcze, były skryształizowane i miały rdzawą barwę.

- Haussmann, to krew. Krzyż został namalowany krwią! Ulitowawszy się nad swym towarzyszem o woskowej twarzy, Rheinhardt powiedział cicho:

- Nadszedł chyba czas spenetrować przejście za pokojem Madam Borek.

Asystent detektywa podniósł dłoń do ust i zakasła!.

- Tak jest, myślę, że dobrze by było...

Rheinhardt pokiwał głową. Haussmann odetchnął z ulgą i zbiegi na dół.

Inspektor wyciągnął notes i naszkicował prosty równoboczny krzyż. Następnie do obu końców pionowej linii dodał poziome kreski, a do poziomej pionowe. Ponownie spojrzął na oryginał. Ten dziwaczny bohomaz oraz osobliwa metoda, jaką został namalowany, zdawały -

się wskazywać na istnienie zła w stopniu, z jakim Rheinhardt nie zetknął się nigdy dotąd.

Zadowolony z wiernego odwzorowania rysunku schował notes do kieszeni płaszcza i zebrał siły.

Na pierwszym piętrze złowieszcze światło sączyło się przez brudne okno. Z miejsca, w którym się znajdował, widać było troje drzwi - dwoje na lewo i jedno na prawo. Rheinhardt ruszył naprzód, jego kroki wybijały na nagich deskach podłogi pogrzebowy rytm. Przycisnął

opuszki palców do najbliższych drzwi - po swojej prawej stronie - i pchnął. Otworzyły się, ukazując w głębi - cal po calu - makabryczny widok. Świadczył o tak niewyobrażalnym zwyrodnieniu, że Rheinhardt był aż zmuszony pochylić głowę.

- Dobry Boże... - wymamrotał, utkwivszy wzrok w czubkach butów. Obudziły się w nim pozostałości dziecięcej wiary.

Zakurzone wnętrze prowincjonalnego kościoła.

Sutanny i kadzidło.

Opiekuńcza moc święconej wody...

Coś zbliżonego do instynktu kazało mu dotknąć czoła i się przeżegnać. Młoda kobieta o gęstych brązowych włosach leżata na dużym tożu, które zajmowało niemal całą wolną przestrzeń w pokoju. Przód jej splamionej krwią nocnej koszuli zebrał się pod piersiami w bezkształtną, na wskroś przesiąkniętą wilgocią fałdę. Miała poderżnięte gardło, tak jak Madam Borek; jednak ciało ułożono w taki sposób, by szeroko rozsunięte nogi obnażały okolice narządów płciowych. Została brutalnie okaleczona. W miejscu zetknięcia ud widniał

poszarpany krater zamiast przewidywanej równej pionowej linii. Niepowstrzymany strumień krwi zalał materac i zabryzgał podłogę. Piat skóry pokrytej zmierzwionym owłosieniem łonowym zwiślał

niepewnie z miejsca, w którym wydawał się przyczepiony do narzuty.

Rheinhardt poczuł mimowolny skurcz żołądka. Zachwiał się od zalewającej go fali nudności. Jego racjonalne na co dzień jestestwo usiłowało ogarnąć rozumem takie wynaturzenie - tak niewysłowione okrucieństwo.

Scena w drugiej sypialni na górze była jeszcze bardziej odrażająca. Kolejna kobieta, równie młoda jak poprzednia, została ułożona w podobny sposób. I ona miała podcięte gardło, a dodatkowo rozplątany brzuch, z którego wyjęto jelita. Pękata, segmentowana okrężnica była okręcona wokół głowy ofiary jak girlanda. Panował tak odpychający odór, że Rheinhardtowi zakręciło się w głowie. Rzucił się do okna i energicznie je otworzył.

Wychyliwszy się, ujrzał dwie zadarte w górę twarze.

Starszy funkcjonariusz zawołał:

- Nie do wiary, prawda?

Rheinhardt skinął głową. Nie miał nic do dodania.

Ulicę przykrywał teraz gruby kobierzec śniegu. We wnęce naprzeciwko święty Józef i dzieciątko Jezus zostali spowici w uroczy biały całun. Zimowa aura oczyszczała Spittelberg, ukrywając jego nędzę pod okrywą westalskiej czystości. Rheinhardt nie mógł pogodzić tego piękna z tym, co widział przed chwilą. Wydawało się niemożliwe, by jeden świat mieścił w sobie takie antynomie. W oddali dostrzegł brnącą w śniegu postać: był to młody Haussmann.

Rheinhardt niechętnie postanowił kontynuować swą drogę przez mękę.

W ostatniej sypialni znalazł czwarte ciało: kobietę leżącą twarzą do podłogi.

Wyglądała tak, jakby potknęła się i chwyciła pościeli przy upadku. Prawa ręka ozdobiona tandetną biżuterią wciąż ścisnęła koc.

Kobieta miała na sobie nocną koszulę, ale w przeciwieństwie do swych współlokatorek stosunkowo czystą. Nie było na niej żadnych plam krwi ani zaschniętych skrzepów.

Rheinhardtowi nagle przyszła do głowy myśl, że dziewczyna może jeszcze żyć. Rzucił

się ku leżącemu na brzuchu ciału i opadł na kolana, niecierpliwie przykładając dłoń do jej pleców. Były zimne - bardzo zimne - i absolutnie nieruchome. Nie chcąc zaakceptować faktu, że dopiero rozniecona nadzieja tak błyskawicznie zgasła, Rheinhardt chwycił małe ręczne lustro ze stojącego przy łóżku krzesła i przysunął je do ust i nosa kobiety. Nie osiadła na nim para. Kobieta jednak nie żyła.

Rheinhardt westchnął i przysiadł na piętach. W tej samej chwili dostrzegł jakiś zakrzepły osad na ciemieniu kobiety. Zaczął więc starannie rozgarniać włosy, by dogrzebać się do skóry. Perfumowane pasma były coraz mocniej skołtunione od zaschniętej krwi.

Najwyraźniej zadano jej śmiertelny cios w tył głowy.

Gdy Rheinhardt wstał, zauważył jakiś przedmiot wystający spod poduszki. Odwrócił

ją, odkrywając małą książeczkę oprawioną w zniszczoną czerwoną skórę. Podniósł ją, otworzył i znalazł napis na pierwszej stronie. Był skreślony niewprawną ręką, z zawijasami, w dodatku w obcym języku, ale Rheinhardt odszyfrował imię „Ludka”. Na następnej stronie widniała gwiazda Dawida i jakieś hebrajskie znaki. Rheinhardt przerzucił cienkie, niemal przezroczyste kartki i wywnioskował, że to modlitewnik. Włożył go do kieszeni i przycupnął

na skraju łóżka.

Wsparłszy łokcie o kolana, ukrył głowę w otwartych dłoniach. Trwał w tej pozycji przez pewien czas z zamkniętymi oczami, niezdolny do myślenia, dziwnie otepiały, a obrazy krwawej jatki płonęły w ciemnościach za zaciśniętymi powiekami.

Liebermann zajął miejsce przy oknie małej kawiarenki w pobliżu Instytutu Anatomii.

Otarł usta wykrochmaloną serwetką i przyjrzał się resztkom śniadania: kilku okruszkom francuskiego ciasta i fioletoworóżowej rozmazanej plamie powideł śliwkowych. Podniósł

filiżankę, okrężnym ruchem zamieszał ciemny płyn i delektował się jego aromatem. Był

mocny i wyrazisty. Gdy wreszcie skosztował kawy, uznał, że działa jakby leczniczo - jest gorzka, ale krzepiąca.

Wśród przechodniów za oknem dominowali mężczyźni, ubrani ponuro w kapelusze i długie zimowe płaszcze, z czarnymi skórzanymi torbami w dłoniach, obnoszący surowy, stanowczy wyraz twarzy. Wyjątkiem był ożywiony miody człowiek o zdumiewająco przejrzystych niebieskich oczach, który zaglądał przez okno i stukał w szybę. Wskazał

najpierw na siebie, a potem na Liebermanna, pytając bezgłośnie: „Mogę się przyłączyć?”.

Liebermann w odpowiedzi wskazał wolne krzesło.

Stefan Kanner wszedł do kawiarni i usiadł, nie zdejmując płaszcza. Skinął na kelnera i zamówił *brauner*.

- Jestem świeżo po lekcji szermierki z signorem Barbasettim - poinformował

Liebermann. - Drugiej w tym tygodniu. Dlatego pilnie potrzebuję się posilić.

- Jak poszło?

- Znowu zostałem sromotnie pobity.

- Powinienem ci współczuć?

- Nie, skądże. Sporo się nauczyłem. - Liebermann wypił kolejny łyk kawy i baczniej przyjrzał się przyjacielowi. - Co tutaj robisz o tak wczesnej porze?

- Nie mogę się spóźnić na obchód oddziału z profesorem Pallenbergiem.

Liebermann zerknął na zegarek na przegubie.

- Cóż, nie ma takiego niebezpieczeństwa.

- Prawie nic nie jechało...

- Dlaczego tak bardzo zależy ci na punktualności?

- Pallenberg chce, żebym sporządził notatki. Bada nowego pacjenta - rzadki przypadek syndromu Cotarda.

- *Le delire de negation.*

- Znasz ten syndrom?

- Czytałem na studiach *Maladies Cerebrales et Mentales* Cotarda.

- Czasami potrafisz być szalenie irytujący, Maksimie. - Kelner zjawił się z kawą Kanner'a oraz małą szklaneczką wody na srebrnej tacy. - Pacjentem jest pięćdziesięciosześcioletni sklepikarz - ciągnął! Kanner, przyjmując lakoniczny styl opisywania przypadku. - Kilka lat temu zaczął się skarżyć, że czuje się tak, jakby był martwy. Żona załatwiła mu pobyt w sanatorium, w Bellevue, o ile się nie mylę, co wpłynęło na poprawę samopoczucia, lecz po powrocie do Wiednia popadł w poważną depresję. Od tamtej pory znajduje się pod opieką lekarza ogólnego. Ostatnio wywołał w żonie i dzieciach niemały popłoch, gdy oznajmił, że nie tylko czuje się jak nieżywy, ale faktycznie nie żyje. Kilka dni temu poprosił o pochówek.

- Zdaje się, że kiedy złudzenie w syndromie Cotarda osiągnie apoteozę, pacjent nie tylko zaprzecza własnemu istnieniu, ale i istnieniu całego świata.

- Ciekawe będzie zobaczyć, jak profesor Pallenberg radzi sobie z tak trudnym przypadkiem. Zastanawiam się, za jakim leczeniem staruszek się opowie.

- Morfina i chlorohydrat. Jak zwykle. Obawiam się, że profesor Pallenberg musi dopiero się nauczyć, że pacjent pogrążony we śnie to niekoniecznie pacjent wyleczony.

Kanner roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu i ukazując różowe podniebienie.

Liebermann spojrział znad brzegu filiżanki na tętniącą życiem ulicę za oknem. Pośród wielu przechodniów dostrzegł młodą kobietę. Miała na sobie prosty szary toczek, który spoczywał na poduszce ogniście rudych włosów. Była ubrana w oliwkowozielony płaszcz z lamówkami z czarnego aksamitu. Szła dość zwawym krokiem i niemal natychmiast zniknęła mu z pola widzenia.

- Wybacz, Stefanie - rzekł Liebermann, prędko wstając z krzesła.

- Co się stało?

- Za chwilę wrócę.

Pośpieszył ku drzwiom kawiarni i znalazłszy się na zewnątrz, podbiegł kilka kroków.

- Panno Lydgate! - zawołał.

Młoda kobieta odwróciła się. Miała blade oblicze, na którym malowało się skupienie.

Nie uśmiechnęła się, lecz subtelna zmiana wyrazu twarzy świadczyła o zadowoleniu.

- Doktor Liebermann.

- Siedziałem w kawiarni i widziałem, jak przechodzi pani obok.

- Idę do Instytutu Anatomii.- Na zajęcia?

- Tak. - Jej niemiecki był perfekcyjny, choć zabarwiony słabym angielskim akcentem.

- Czy u pani wszystko dobrze?

Panna Lydgate zawahała się, po czym odparła:

- Chyba tak. - Jednak owa wątpliwość wystarczyła, by wzbudzić w umyśle Liebermanna cień zaniepokojenia.

- Jest pani całkowicie pewna? - spytał z troską.

Na czole panny Lydgate pokazała się charakterystyczna bruzda.

- Prawdę mówiąc, doktorze Liebermann, wynikała pewna kwestia, która nie pociąga za sobą żadnych poważniejszych następstw i nie chciałabym zaprzętać nią panu głowy, ale...

pańska opinia byłaby dla mnie niezmiernie cenna.

- Czy ta sprawa ma związek z pani studiami?

Panna Lydgate ponownie umilkła, a za chwilę rzekła z wahaniem:

- W pewnym sensie.

- W takim razie jestem do usług.

- Czy moglibyśmy spotkać się przy herbacie... pod koniec tygodnia?

- Tak, naturalnie.

- Dziękuję. Prześlę panu wiadomość. - To powiedziawszy, panna Lydgate odwróciła się i odeszła. Przez kilka sekund Liebermann stał pośrodku chodnika, obserwując oddalające się oliwkowozielone plecy panny Lydgate, póki nie zniknęły za grupką studentów i medyków.

- Gdzieś ty się podziewat? - spytał Kanner, gdy Liebermann wrócił do stolika.

- Zobaczyłem pannę Lydgate - wyjaśnił Liebermann. - Pamiętasz ją?

- Oczywiście, jak się miewa? - zapytał Kanner.

- Znakomicie - odparł Liebermann, nim dodał nieco ostrożniej - o ile mi wiadomo. -

Wypił łyk kawy, która była teraz zbyt zimna, byj dobrze smakować. - Studiuję medycynę.

- Naprawdę?

- Tak, została przyjęta za rekomendacją Landsteinerja, który, nawiasem mówiąc, zgodził się również być promotorem jej pracy na temat chorób krwi.

- Niesamowite - stwierdził Kanner. - Zważywszy...

- Tak - rzekł Liebermann, odrobinę skonsternowany implikacjami niedokończonego zdania Kanner. Liebermann bardzo polubił pannę Lydgate i nie lubił myśleć o niej jak o byłej pacjentce. - To nadzwyczajna kobieta - ciągnął. - Jej dziadek był nadwornym lekarzem rodziny królewskiej, rozumiesz, oraz erudyta... uważam, że musiała odziedziczyć część jego talentów...

Drzwi małej kafejki otworzyły się ze skrzypnięciem i postawny mężczyzna ciężkim krokiem ruszył ku ciemnej wnęce w głębi sali. Dwaj lekarze przyglądali mu się z tym samym rodzajem niemej i obiektywnej przyjemności, jaka mogłaby towarzyszyć obserwacji wspaniałego statku pełnomorskiego dobijającego do nabrzeża. W dostojnym chodzie mężczyzny było coś absolutnie ujmującego. Gdy usadowił się na krześle, spojrzenia Liebermanna i Kanner się spotkały - obaj byli lekko skrępowani, ale i rozbawieni, że przybysz w takim samym stopniu odwrócił uwagę ich obydwu.

- No to - rzekł Kanner, otrząsając się z roztargnienia - musisz być bardzo podekscytowany.

- Dlaczego tak uważasz? - słowa Liebermanna wydawały się nieco wymuszone, pobrzmiwała w nich niemal irytacja.

- Twój ślub! - powiedział Kanner. - Kiedy ma się odbyć? Już postanowiliście?

Palce Liebermanna błądziły po krawędzi stołu.

- Clara chciałaby, żebyśmy pobrali się w styczniu. - Jego głos brzmiał dziwnie beznamiętnie. - Ja jednak sądzę, że byłoby lepiej poczekać z tym do wiosny. Moja sytuacja być może się poprawi, a i pogoda będzie przyjemniejsza, gdybyśmy zdecydowali się na podróż.

- No, Max - rzeki Kanner - powściągliwość musi zajmować bardzo wysoką pozycję pośród twoich rozlicznych godnych podziwu cech.

Liebermann utkwił spojrzenie w fusach na dnie filiżanki. Kiedy podniósł wzrok, nie odpowiedział, a jego niespokojne, ruchliwe palce świadczyły o pewnym zakłopotaniu.

Uśmiech na ustach Kanner zgasł i lekarz pochylił się ku przyjacielowi.

- Co się stało, Max? - I dodał przytłumionym głosem: - Wydajesz się czymś zaabsorbowany.

Liebermann machnął ręką.

- Nic, Stefanie, czuję się po prostu zmęczony. Nie jestem przekonany, czy te poranne lekcje szermierki są rzeczywiście trafionym pomysłem.

Ściany pokrywały barwne gobeliny w jaskrawych kolorach, przedstawiające baśniowy świat gotyckich zamków i walczących na kopie rycerzy. W migotliwym świetle pochodni niektóre postaci nabierały życia: grupka plotkujących dam w wysokich kołnierzach, dwaj myśliwi z psami gończymi, usychający z miłości giermek zaczytany w tomiku poezji. Inne zaś ginęły w mroku. Jeden z arrasów falował pod wpływem ciepła unoszącego się z nad stojącego nieopodal piecyka. Mimo to powietrze było zimne i miało lekki zapach wilgotnej ziemi. Brak okien i niskie ceglane sklepienie sprawiały, że piwnica wydawała się niezwykle przytłaczająca.

Kościelne ławki ustawione w podkowę stały frontem do drewnianego tronu umieszczonego na małym podium. Był wyrzeźbiony z dębu i miał ciężkie kręcone poręcze.

Oparcie zwężało się ku górze jak biskupia mitra, a przy jego szczycie wyrzeźbiono nieudolnie wpisany w uniesione kolo runiczny znak o nazwie Ur (przypominający grecką wielką literę pi). Purpurowe kotary za tronem sprawiały wrażenie świętości i majestatu.

Gustav von Triebenbach przekroczył już wiek średni, lecz wciąż był zwawy i przerastał swoich towarzyszy o głowę. Krzaczaste brwi wywijały się w górę, nadając jego twarzy sowi wyraz powagi i zdziwienia. Gdy nie mówił, gęste, mocno skręcone wąsy całkowicie przesłaniały usta.

- Otrzymałem dzisiejszego popołudnia list od radnego Hannischa - oznajmił von Triebenbach. - Brzmiał bardzo optymistycznie.

- Zaproszenie zostało przyjęte? - zapytał Andreas Olbricht, nie potrafiąc ukryć podniecenia.

- Nasz dobry przyjaciel radny rozmawiał wczoraj z żoną naszego wybitnego znajomego... i w moim rozumieniu zaszczylenie nas swoją obecnością dzisiejszego wieczoru było jego osobistą intencją.

- Znakomicie - rzekł Olbricht. Miał wgłębiony grzbiet nosa, przez co jego oczy sprawiały wrażenie osadzonych wyjątkowo daleko jedno od drugiego. Gdy się uśmiechnął, odsłonił dwa rzędy dziwnie skarłowaciałych zębów, których brzegi były lekko poszarpane i nierówne. Głębokie zmarszczki rozchodziły się promieniście od kącików ust, nadając mu wygląd mężczyzny zdecydowanie starszego niż liczącego sobie czterdzieści dwa lata.

- Cóż za hart ducha, co za charakter! - powiedział drugi towarzysz von Triebenbacha.

- W rzeczy samej, profesorze - odparł von Triebenbach.

- Dlaczego panowie tak mówią? - spytał Olbricht, przenosząc wzrok z profesora na von Triebenbacha i z powrotem. - Pogoda mogłaby być lepsza, zgadzam się, ale żadna z dróg nie została przecież zasypana.

- Nie, nie, mój drogi kolego - rzekł profesor. - Źle mnie pan zrozumiał. Nie miałem na myśli pogody. Widzi pan, nasz znamienity gość przeszedł bardzo niedawno poważną operację. Usunięcia katarakty. - Profesor zerknął na von Triebenbacha. - Znam chirurga, który go operował. - Następnie, zwracając

się ponownie do Olbrichta, dodał: - Wciąż powraca do zdrowia...

Profesor Erich Foch był lekarzem. Jednak z wyglądu przypominał bardziej przedsiębiorcę pogrzebowego. Był wymizerowany i zdawało się, że w swojej garderobie nie ma ani jednej nieżałobnej sztuki odzieży.

- To naprawdę dowód szacunku, jakim nas darzy - rzekł von Triebenbach - skoro uważa za stosowne wstać z łoża boleści w taki wieczór i podzielić się z nami swoją mądrością i wiedzą.

- Święta prawda - przyznał profesor. - Pośród przychylnie nastawionych bractw w Wiedniu nasze musi zajmować szczególne miejsce w jego sercu.

- Czytał pan jego najnowszą rozprawę? - spytał Olbricht, podnosząc wzrok na lekarza.

- Z żalem przyznaję, że nie - odrzekł profesor z lekko zawstydzoną miną.

Wytłumaczył się jednak, dodając: - Uciążliwe uniwersyteckie obowiązki... nie dość, że uciążliwe, to nigdy nie ma im końca.

- To wstępna praca na temat źródeł naszego wspaniałego języka - wyjaśnił von Triebenbach, przejmując inicjatywę od młodszego towarzysza. - Znakomite dzieło. - W takim razie żywię wielką nadzieję, że usłyszymy coś więcej na ten temat dzisiejszego wieczoru -

odparł profesor. To powiedziawszy, odwrócił się i ruszył ku najbliższej ławce. Nosił

staromodny surdut, dłonie splótł za plecami. Chód miał wyraźnie ptasi, co w połączeniu z wybranym strojem nadawało mu wygląd ogromnej, kroczącej sztywno wrony. Dotarłszy do ławki, usiadł i wyjął z kieszeni kopertę. Otworzył, wysunął pojedynczą kartkę papieru i zaczął

czytać list.

- Rozumiem, że gratulacje są jak najbardziej na miejscu? - zagadnął von Triebenbach, pochylając się ku Olbrichtowi. Był to być może gest pojednawczy, jako że starszy z mężczyzn przed chwilą pozbawił młodszego okazji popisania się rozległością swego odczytania.

- Słucham? - spytał Olbricht, wpatrując się w von Triebenbacha szeroko otwartymi żabimi oczami.

- Zamówienie.

Olbricht uśmiechnął się, pokazując znów drobne kwadratowe zęby.

- Jak się pan o tym dowiedział?

- Jestem współnikiem Herr Bolle'a - odparł von Triebenbach.

- Aaa - rzeki Olbricht - rozumiem. Rzeczywiście, Herr Bolle potrzebuje dużego płótna do swego wiejskiego domu. Otrzymałem zamówienie dzięki uprzejmych staraniom mojej mecenaski -

baronowej von Rautenberg. Grywa w karty z żoną Herr Bolle'a.

- A temat pańskiego nowego dzieła? Co to będzie?

- Jeszcze nie zdecydowałem, choć Herr Bolle zastrzegł sobie, że; musi to być scena z *Pierścienia Nibelunga*. - Von Triebenbach z zadowoleniem pokiwał głową. - Bogowie trawieni przez ogień, najazd Walkirii, a może stos pogrzebowy Zygryda.

- Oburzające! - wykrzyknął profesor.

Von Triebenbach i Olbricht z początku byli skonsternowani, wydawało się bowiem, że profesor kwestionuje - z całkowicie niewiadomych powodów - estetyczne upodobania Herr Bolle'a. Jednak nieporozumienie zostało szybko wyjaśnione, gdy Foch podniósł w górę list, który właśnie czytał, i krótkimi nerwowymi ruchami przedarł go od góry do; dołu.

- Od dziekana wydziału medycyny - prychnął z rozdrażnieniem. - Nie do wiary!

Otrzymałem naganę za sposób traktowania studentek.

Von Triebenbach i Olbricht wciąż nie wiedzieli, jak zareagować.

- Wydział nie powinien był nigdy do tego dopuścić! - ciągnął profesor. - Kobiety lekarzami! Kto słyszał o takiej bzdurze? Powiedziałem, że kobiety nie potrafią sprostać wymogom kształcenia medycznego, ale mnie zlekceważono. Kobiety są słabe, delikatne... jak można oczekiwać, że otworzą klatkę piersiową człowieka i nie zemdleją! No i czy może być stosowne dla młodej kobiety - z dobrego domu - narażanie jej na widok tych części męskiej anatomii, które właściwie nie powinny obchodzić jej wcale aż do jej własnej nocy poślubnej?

Profesor podarł list na cztery części, wstał z miejsca i pomaszerował do piecyka, a następnie każdą z ćwiartek wsunął przez kratę w płomienie.

- Zgadzam się z panem w całej rozciągłości, profesorze - powiedział von Triebenbach.

- Nigdy nie poddałbym się upokarzającemu doświadczeniu badania przeprowadzanego przez kobietę, choćby nie wiem jak wykwalifikowaną. Ale za co dokładnie udzielono panu nagany?

- Tak się nieszczęśliwie dla mnie składa - kontynuował profesor - że mam na swoich zajęciach praktycznych kilka nowych studentek. Są przeklętym utrapieniem! Na widok krwi od razu bledną, histeryzują i rozpraszają uwagę młodych mężczyzn. W konsekwencji byłem zmuszony nalegać - nie mniej niż pięciokrotnie - by opuściły zajęcia. Zwykle te kobiety, te dziewczęta, utrzymują, że nie są ani trochę wstrząśnięte i błędnie oceniam ich stan. Ja - lekarz z trzydziestoletnią praktyką - rzekomo się mylę. A tamci durnie, dziekan i jego kompani, są do tego stopnia głupcami, do tego stopnia idiotami, że przyzwalają na te podłe oszczerstwa.

- Przerazające - rzekł Olbricht - by osobie tak wybitnej jak pan, profesorze, okazywano tak mato szacunku.

- Przekłęci hipokryci! - wykrzyknął profesor. - W rzeczywistości dziekan i jego kamraci są tak samo przeciwni przyjmowaniu kobiet na wydział lekarski jak ja. Lecz jako podszyci tchórzem pochlebcy są mniej skłonni opierać się presji politycznej.

- Powiadam wam - rzeki von Triebenbach, kręcąc głową. - To miasto samo prosi się o katastrofę i zagładę. Modłę się i mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno. W przeciwnym razie obawiam się, że rozpęta się piekło.

Słowa von Triebenbacha ustąpiły miejsca niskiemu dudniącemu dźwiękowi, głuchemu odgłosowi o rosnącym nateżeniu. Ktoś schodził po stopniach. Gdy pospiesznie stawiane kroki stawały się coraz wyraźniejsze, trzech mężczyźni poczuli lekkie napięcie i zastygli w nieruchomych, pełnych wyczekiwania pozach. Zasułka podniosła się i drzwi w głębi sali otworzyły się raptownie, ukazując młodego mężczyznę. Miał na sobie brązowe ubranie i apaszkę w żółto-zieloną kratkę owiniętą luźno wokół szyi. Nosił długie, odrzucone do tyłu włosy, tak jasne, że nieomal białe. Pod lewą pachą niósł teczkę. Po wejściu do sali podniósł

prawe ramię i zawołał:

- *Heil und Sieg!* Zwycięstwo i Zbawienie.

Zgromadzeni jednogłośnie odwzajemnili pradowne pozdrowienie i okrzyk bitewny.

Młody mężczyzna przemaszerował dookoła ławek i wkroczył w centralną otwartą przestrzeń podkowy. Skinąwszy głową Olbrichtowi i profesorowi, obrócił się do von Triebenbacha i zapytał:

- Czy to prawda? Przybędzie? Dziś wieczorem? Von Triebenbach ojcowskim gestem położył dłoń na ramieniu młodzieńca.

- Żywimy taką nadzieję.

Hermann Aschenbrandt odgarnął z czoła kilka platynowych pasm.

- To wspaniałe wieści. Wspaniałe. - Spojrzał na Olbrichta i profesora. - Mamy ogromne szczęście. Naprawdę. - Następnie, zwracając się ponownie do von Triebenbacha, dodał: - Herr Baron, z całego serca proszę, czy po zamknięciu spotkania będę mógł zagrać dla niego uverturę do mojej opery? Jest oparta na jego wielkiej powieści *Carnun-tum*. Byłby to dla mnie nie lada zaszczyt. Nie lada.

Oczy młodego mężczyzny miały barwę czystego jasnego błękitu i wręcz płonęły z przejęcia. Podniecenie zapierało mu dech w piersiach.

Von Triebenbach, jak zwykle rozbawiony zapałem i energią swego młodego ulubieńca, odrzucił w tył głowę i roześmiał się serdecznie.

- Możemy go jedynie zapytać, drogi przyjacielu. I być może raczy wysłuchać twego dzieła. To człowiek wielkoduszny.

Aschenbrandt wziął głęboki wdech, wypinając pierś.

- Nie lada zaszczyt - powtórzył jeszcze raz, a jego cienkie wargi wygięły się w odrobinę krzywym uśmiechu.

Rheinhardt testował górny rejestr swego głosu ambitnym arpeggio. Wytrzymał najwyższą nutę przez kilka chwil i zrobił grymas.

- Nic - powiedział Rheinhardt. - Coś zdecydowanie jest nie w porządku. Wypadam z tonacji, gdy przekraczam środkowe C.

- Może przez ten chłód? - zasugerował Liebermann.

- Chłód?

- Tak, chłód. Pogoda chyba nie umknęła twojej uwagi, Oskarze?

- Nie, nie umknęła - rzekł Rheinhardt, znów zmagając się z opornym wysokim E. -

Mimo wszystko do tego czasu powinienem był się już rozgrzać.

- Nie ma instrumentu wrażliwszego od ludzkiego głosu - oznajmił Liebermann.

- Pewnie masz rację - mruknął Rheinhardt.

- Może powinniśmy zakończyć czymś... - palce Liebermanna odnalazły na klawiaturze prosty trójdźwięk durowy... - niewymagającym. Czymś, co obeszłoby się łagodniej z twoimi strunami głosowymi?

- *An die Musiki* - zasugerował Rheinhardt.

Wyraz twarzy Liebermanna zmienił się: pojawiło się lekkie, ledwo uchwytnie napięcie mięśni zuchwy zdradzające niechęć. Nie dlatego, że Liebermann nie lubił Schubertowskiej oprawy muzycznej pieśni Schobera na cześć „błogosławionej sztuki” muzykowania - wręcz przeciwnie. Słowa wyrażały uczucia, które były mu tak dogłębnie, tak wyjątkowo bliskie, że owa pieśń jawiła mu się niemal jako modlitwa. Granie *An die Musik* było jakby osobistym wyznaniem wiary. Ponieważ chłód nadwerżył głos Rheinhardta, Liebermann nie chciał

zaprzepaścić interpretacji, uczynienie tego graniczyłoby ze świętokradztwem.

- No dobrze - ciągnął Rheinhardt w odpowiedzi na wahanie przyjaciela. - A co powiesz na... *Litanie na Dzień Zaduszny*?

Była to kolejna pieśń Schuberta podobna w klimacie do *An die Musik*, lecz ze słowami poety Johanna Georga Jacobiego.

Liebermann przełożył śpiewniki na pulpicie i umieścił na wierzchu zbiór pieśni Schuberta. Przekartkował księgę w poszukiwaniu właściwej strony. - Dzień Zaduszny... -

powiedział z roztargnieniem. - Przypada mniej więcej o tej porze roku, prawda? - Nie potrafił spamiętać dat świąt żydowskich, a co dopiero tych obchodzonych przez Kościół katolicki.

Miał jednak mgliste pojęcie, że Zaduszki przypadają mniej więcej na początku zimy.

- Tak - przyznał Rheinhardt. - Prawdę mówiąc, za parę tygodni.

Drugiego listopada.

- Znalazłem - powiedział Liebermann, wygładzając stronę. Partia fortepianu została opatrzona dopiskami ołówkiem w miejscach, w których Liebermann wprowadził zmiany w palcówkach i frazowaniu.

Młody lekarz podniósł wzrok na przyjaciela, by sprawdzić, czy jest gotów, i rozpoczęli. Muzyka od razu rozbrzmiała powagą i przywodził na myśl łagodne posuwanie się naprzód. Rheinhardt otworzył ust i skrzyżowawszy ręce na sercu, zaśpiewał miękko: *Ruhn in Frieden alle Seelen*. Spoczywajcie w pokoju wszystkie dusze.

Akompaniament płynął poprzez zręczne zmiany harmonii, czynią melodyę bardziej przejmującą. Mimo że muzyka była spokojna, zmian akordów zdawały się ujawniać obecność przenikającego ją dojmującego smutku. Głos Rheinhardta nabrał pewności, mniej wymykał

się spod kontroli, inspektor wydobywał teraz wyższe dźwięki z niewielkim jedy nie trudem.

Liebermanna zaskoczyła ta nagła poprawa. Był pod jeszcze większym wrażeniem, gdy baryton Rheinhardta wzniosł się ponad akompaniament i osiągnął moment nieomal nieznośnej słodyczy i melodyjności - na pozór wyzwolony od wszelkiego ziemskiego cierpienia. Ale jak to często w kompozycjach Schuberta bywało, owa chwila trans cendencji trwała nader krótko i wymogi zapisu nutowego zmusił Rheinhardta do rezygnacji z jednej nuty, potem następnej i następne aż wreszcie obniżająca się sekwencja dotarła do przedłużającej się prostej cezury. Umieszczanie w obrębie pierwszej strofy akcentu metrycznego w postaci mrozącej krew w żyłach ciszy - śmiertelnego bezruchu zimnej wieczności - było oznaką geniuszu Schuberta.

Gdy Liebermann podniósł wzrok, chcąc sprawdzić, czy przyjaciel jest gotów rozpocząć następną strofę, zauważył, że Rheinhardt ma oczy przepełnione łzami. Inspektor był

dziwnie nieobecny, lecz zarazem wystarczająco świadom tego, co dzieje się wokół niego, by zarejestrować czujność Liebermanna. Przycisnąwszy dłoń do serca, Rheinhardt jeszcze raz wypełnił pokój smętną melodią.

Ruhn in Frieden alle Seelen. Spoczywajcie w pokoju wszystkie dusze.

Interpretacja następnej zwrotki była jeszcze bardziej przejmująca. Po zagranie ostatniego akordu Liebermann oderwał dłonie od klawiatury i z szacunkiem skłonił głowę.

Rheinhardt pociągnął raz nosem, a Liebermann pozostawił przyjacielowi dość czasu na otarcie z oczu

tez. W wypadku Rheinhardta - podobnie zresztą jak i Liebermanna -

wzruszenie się muzyką do tego nie było niczym niezwykłym, jednak tym razem wybuch był

tak nagły i tak nieoczekiwany, że młody doktor nie mógł powstrzymać się od spekulacji, jaka mogła być jego przyczyna.

- Cóż, Oskarze - rzekł Liebermann, zamykając śpiewnik i wciąż nie patrząc wprost na przyjaciela - na końcu bez wątpienia odzyskałeś głos. Wypadło znakomicie...

- Dziękuję, Max - rzekł Rheinhardt. - Zdaje się, że po prostu... sam się odnalazł.

Inspektor sprawiał wrażenie odrobinę speszzonego.

Jak to mieli w zwyczaju na zakończenie każdego wieczoru muzycznego, obaj panowie przeszli przez dwuskrzydłowe drzwi do wyłożonej boazerią palarni. Ernst, służący Liebermanna, dyskretnie wypełniał swoje obowiązki. W kominku huczał ogień, a na nowym nabytku Liebermanna, bardzo nowocześnie prezentującym się stoliku projektu Mosera, służący ustawił karafkę brandy, kryształowe kieliszki oraz dwa świeżo przycięte cygara. Po obu stronach stolika, pustego czarnego sześcianu z hebanowym blatem, stały bardziej tradycyjne fotele. Rheinhardt usiadł w fotelu po prawej, Liebermann po lewej stronie. Ich preferencje co do zajmowanych miejsc, nigdy nieuzgadniane ani niekomentowane, były -

podobnie jak miejsca zajmowane w łóżku przez parę małżeńską z długim stażem -

niezmienne.

Liebermann nalał brandy i poczęstował przyjaciela cygarem. Obydwaj panowie wymienili kilka uprzejmości, a następnie poprawili się w fotelach i utkwili wzrok w ogniu.

Minęło kilka minut i pokój wypełnił się gryzącym dymem z cygar. Wreszcie Liebermann przemówił:

- Nie mam wątpliwości, Oskarze, że dzisiejszego wieczoru zamierzasz zasięgnąć mojej rady w odniesieniu do śledztwa w sprawie morderstwa. Pomimo wielu lat, jakie przepracowałeś w biurze bezpieczeństwa, muszę przyznać, że widok zwłok wciąż przysparza ci niemałego cierpienia; jednakowoż w tym konkretnym wypadku jestem przeświadczony, iż byłeś świadkiem wyjątkowo zatrważającej sceny. Być może musiałeś zbadać nie jedno, a dwa miejsca zbrodni. Jeśli nie, to z pewnością byłeś wystawiony na widok więcej niż jednego ciała. Trudno ustalić konkretną liczbę, myślę jednak, że... dwa. Jestem całkowicie przekonany, że ofiary, po pierwsze, były kobietami, po drugie - młodymi, i po trzecie, że te młode kobiety spotkała śmierć zadana z wyjątkowym okrucieństwem.

Rheinhardt wypił łyk brandy i powiedział:

- Nieźle, Max. Zupełnie nieźle.

- Pomyliłem się w jakimś szczególe?

- W liczbie ofiar.

- Rozumiem. W takim razie byłyby więcej niż dwie?

- I owszem. Cztery.

- Cztery?! - wykrzyknął z niedowierzaniem Liebermann.

- Tak, i choć poprawnie wydedukowałeś, że większość z nich była młoda, pierwsza była w zasadzie kobietą w średnim wieku.

Liebermann wypuścił obłok cygarowego dymu. Wyglądał na umiarkowanie rozczarowanego.

- Dajże spokój - powiedział Rheinhardt. - Miałeś rację co do wszystkiego z wyjątkiem kilku szczegółów. Odwiedziłem miejsce brutalnego wielokrotnego morderstwa, a ofiarami były, jak to określiłeś, wyłącznie kobiety. Jak na to wpadłeś?

- Cóż... - odparł Liebermann. - Moje zainteresowanie wzbudziła nagła poprawa twojego śpiewu. Twierdziłeś, że doświadczasz niejakich trudności z tonami w górnym rejestrze, lecz - z największym szacunkiem - wszystkie aspekty twojego dzisiejszego wykonania miały niedociągnięcia lub były naznaczone wysiłkiem.

- Zgadzam się całkowicie - rzekł Rheinhardt, kręcąc głową ze skruchą.

- Śpiewałeś jakby ze ściśniętym gardłem - mówił dalej Liebermann. - Przypisałem tę utratę głosu zimnej aurze, lecz twoja interpretacja *Litanii* Schuberta była tak cudowna, tak porywająca, tak doskonała, że zmuszony byłem podać w wątpliwość moją wcześniejszą hipotezę. Gdyby twojemu głosowi rzeczywiście zaszkodził chłód, nie odzyskałbyś go tak raptownie. Potem zacząłem zastanawiać się, czy to napięcie może być spowodowane jakimś czynnikiem psychologicznym. Z pewnością zauważyłeś, że kiedy ludzie są niespokojni albo znajdują się pod przymusem, ich głosy stają się cienkie? Cóż, wywnioskowałem, że z tobą dzieje się coś podobnego. Skupiając uwagę na muzyce, potrafiłeś wyprzeć ze świadomości wspomnienie - przygnębiające wspomnienie. Niemniej jednak ono wciąż wywierało na ciebie wpływ, wciąż było źródłem napięcia w stopniu wystarczającym do oddziaływania na jakość twojego głosu. Na zakończenie naszego krótkiego koncertu wybrałeś *Litanie* Schuberta, której tematem są oczywiście dusze - w liczbie mnogiej - opuszczające świat, by zaznać wiecznego spoczynku. Wysnułem z tego wniosek, że miałeś ostatnio do czynienia ze zwłokami więcej niż jednego człowieka i że owi nieszczęśnicy padli ofiarą jakiegoś wielkiego okrucieństwa. Z jakiego bowiem innego powodu tak bardzo zależałoby ci, żeby zaznali

„spokoju wiecznego”? Połączenie muzyki Schuberta i słów Jacobiego pozwoliło ci dać wyraz tłumionym dotąd uczuciom, w wyniku czego ta właśnie pieśń podziałała na ciebie jak katharsis i twój głos natychmiast odzyskał dawną świetność. Rheinhardt wydawał się zakłopotany.

- Ale zdaje się, że oparłeś swoje wnioski na błędnym założeniu: że pamiętam wszystkie słowa Jacobiego, a prawda jest taka, że nie pamiętam. *Spoczywajcie w pokoju, wszystkie dusze, które gdy straszne męczarnie zakończone...* widzisz? Nie umiem. Zgadzam się, że sama pieśń jest niezwykle

stosowna, zważywszy na moje ostatnie doświadczenia... ale kiedy dokonywałem wyboru, nie myślałem o niczym innym prócz oczywistych technicznych ograniczeń głosu.

- Ile razy muszę ci przypominać, Oskarze? - rzekł Liebermann. - Podświadomość nigdy nie zapomina. Fakt, że nie potrafisz przypomnieć sobie słów w danej chwili, nie oznacza jeszcze, że nie czają się - Postukał cygarem w głowę Rheinhardta - gdzieś tam!

Rheinhardt ścisnął w palcach koniuszek wąsa. - Co skłoniło cię do myślenia, że były dwa ciała?

Liebermann pociągnął łyżeczek brandy i pochylił się ku przyjacielowi. Miał zatroskany wyraz twarzy.

- Nie mogłem nie zauważyć, jak głęboko poruszyła cię ta pieśń...

- To prawda - rzekł Rheinhardt. - W mojej piersi wezbrały emocje.

- Co sprawiło, że zadałem sobie pytanie: cóż mogło wzbudzić w moim drogim przyjacielu tak silne uczucia? I doszedłem do konkluzji, że miejsce zbrodni musiało wywołać życzliwe skojarzenia z czymś, co ma dla ciebie wielkie znaczenie osobiste. No i założyłem, że nic nie mogłoby bardziej wstrząsnąć ojcem dwóch córek niż zgon dwóch młodych kobiet.

Jednak wygląda na to, że w tym względzie najwyraźniej zbłądziłem. - Wyraz zniechęcenia powrócił, lecz rozproszył się niemal natychmiast, gdy Liebermann wydał okrzyk. - Może jednak zdołam zrehabilitować się choć trochę! Pieśń, którą wybrałeś, jest błaganiem o zbawienie wszystkich dusz. Wszystkich dusz, zauważ, wszystkich. Słowo „wszystkie” może sugerować pragnienie uwzględnienia w modlitwach całej ludzkości - ludzkości w jej całkowitym wymiarze, ludzkości w komplecie. Co skłania mnie do myślenia, że ciała, które widziałeś, należały do osób powszechnie wykluczanych ze społeczeństwa. Swego rodzaju pariasów? Przez litość chciałeś, by przyjęto je na powrót do owczarni... - Rheinhardt pokiwał

głową, ale nie zabrał głosu. - A w takim razie - ciągnął Liebermann - istnieje duże prawdopodobieństwo, że do morderstw doszło w burdelu!

- Nadzwyczajne! - wykrzyknął Rheinhardt. - Właśnie tam! Zwłoki znaleziono w burdelu w Spittelbergu.

Liebermann, którego pewność siebie została do pewnego stopnia przywrócona, nagroził siebie odrobiną brandy.

- Ciała zidentyfikowano?

- Tak - odpowiedział Rheinhardt. - Właściciel nieruchomości, w której znaleziono ciała, ma pełnomocnika. Zdołaliśmy nakłonić go do odwiedzenia kostnicy. Uczynił to niechętnie i nie mam mu tego za złe że obrażenia zadane tym kobietom są trudne do opisanie.

Burdelmamą była niejaka Marta Borek. Trzy pozostałe dziewczyny to Wanda Draczynski, Rozalia Glomb, ostatnią nazywano Ludka. Pełnomocnik nie znał nazwiska tej ostatniej.

Obecnie nie wiemy o nich nic więcej.

Rheinhardt wstał z fotela i podszedł do biblioteczki, na której wcześniej położył swoją torbę - dużą, przepastną, ze skóry. Odpiął klamerkę, otworzył torbę i wyjął z niej małą książeczkę oraz garść fotografii i papierów. Wrócił na miejsce i podał książeczkę Liebermannowi.

- Znalazłem to w pokoju dziewczyny o imieniu Ludka. Liebermann przyjrzał się badawczo napisowi.

- Jest napisana w jidysz.

- Tak: *Najdroższej Ludce od kochającego dziadka*. To modlitewnik. Liebermann przekartkował książeczkę.

- Są jakieś inne napisy?

- Nie - odparł Rheinhardt. - Bez wątplenia należała do powiększającego się grona galicyjskich kobiet powszechnie sprzedawanych do domów publicznych. Handel żywym towarem stał się interesem międzynarodowym. Dziewczyny z Galicji można spotkać w burdelach Aleksandrii, Nowego Jorku, Buenos Aires i Londynu. Były nawet doniesienia o nielegalnym transporcie galicyjskich kobiet do Afryki, Chin oraz Indii.

- Była Żydówką - rzekł Liebermann, delikatnie marszcząc czoło.

- W istocie... większość... - Rheinhardt zawahał się. - Cóż, powiedzmy, że wiele spośród tych nieszczęsnych dziewcząt to Żydówki.

- Nie zdawałem sobie sprawy... - Liebermann nie dokończył zdania. Zamiast tego machnął ręką i powiedział: - Nieważne. - Następnie odłożył książkę obok popielniczki.

- No - odezwał się Rheinhardt. - Muszę cię ostrzec. To wyjątkowo nieprzyjemny widok.

- Jestem lekarzem - przypomniał Liebermann.

- Mimo wszystko, nigdy dotąd nie widziałeś czegoś podobnego, zapewniam cię.

Rheinhardt podał przyjacielowi fotografie. Liebermann spojrział na pierwsze zdjęcie: burdelmama Marta Borek leżąca w kałuży własnej krwi. Następnie przyjrzał się drugiemu: zbliżeniu głębokiej rany ciętej na szyi. Liebermann machinalnie przeglądał plik fotografii, nie przypatrując się zbyt długo żadnej z nich. Jednak raz się zatrzymał, by obrócić jedno ze zdjęć

- oraz ustalić, czy aby na pewno nie ogląda go do góry nogami. Pokazał je Rheinhardtowi.

- Co to jest?

- Jakiś rodzaj krzyża. Był namalowany na ścianie półpiętra - krwią.

- Czyją?

- Cóż, nie wiemy tego na pewno, ale najprawdopodobniej jest to krew Marty Borek.

Jej ciało znaleźliśmy jako pierwsze, w pokoju na dole. Na podłodze widniał ślad krwi ciągnący się aż do półpiętra. Ten potwór musiał wziąć ze sobą pędzel specjalnie w tym celu!

Liebermann pokiwał głową, wysączył resztki brandy i kontynuował przeglądanie fotografii. Miał nieruchomą twarz, zaciśnięte szczęki. *Rany szarpane, okaleczenie narządów płciowych, gruba pętla jelita...* Po obejrzeniu wszystkich fotografii odłożył je na stolik obok książeczki do nabożeństwa i odezwał się cicho:

- Nie wiem, co powiedzieć.

Rheinhardt podał Liebermannowi duży arkusz papieru, na którym naszkicowano plan burdelu w Spittelbergu. Ściany zacieniowano a każdy pokój opatrzone symbolami: ćwiartka koła oznaczała łuk otwierających się drzwi, duży prostokąt podwójne łóżko, i tak dalej. Każdy przedmiot był oznaczony symbolami literowymi, a wszystkie litery umieszczono w legendzie: D = Drzwi, Ł = Łóżko, K = Komina Wąska zakreskowany prostokąt wskazywał klatkę schodową, a przecinała go strzałka z opisanym kierunkiem „góra”.

- Ciało Marty Borek znaleziono w tym pokoju - wyjaśnił Rheinhardt, wskazując odpowiednie miejsce na mapce. - Pomieszczenie na przeciwległym końcu holu to dość nędzna, zapuszczona poczekalnia. Trzy dziewczyny znaleziono na górze. Wandę Draczynski w pierwszy pokoju - to ta z... - nagle się zająknął.

- Okaleczonymi narządami płciowymi - odpowiedział Liebermann.

- Tak - podjął Rheinhardt. - Z okaleczonymi genitaliami. Rozali Glomb znaleziono w drugim pokoju - to ta, której wnętrzności rozwleczono po łóżku. A Ludkę znaleziono tutaj -

Rheinhardt postukał palcem w szkic sytuacyjny.

Liebermann grzebał w pliku przerażających obrazków, póki nie znalazł zdjęcia Ludki: szczupłej dziewczyny w koszuli nocnej, z wyciągniętym prawym ramieniem i palcami obejmującymi koc, który niemal całkowicie ściągnęła z łóżka.

- Nie wygląda na okaleczoną.

- Nie, dostała cios w tył głowy. Był wystarczająco silny, by ją zabić

- Kiedy to się stało?

- We wtorek.

- O jakiej porze?

- Późnym rankiem lub wczesnym popołudniem.

- Dlaczego wszystkie te kobiety były w łóżkach?

- O tej porze prostytutki śpią, Max.

- Tak... oczywiście. - Liebermann był przez chwilę speszony, lecz mówił dalej: -

Zastanawiam się, jak udało mu się, to znaczy sprawcy, dokonać tych potworności. Przecież musiał narobić trochę hałasu! Dlaczego któraś z tych kobiet nie obudziła się i nie podniosła alarmu?

- Myślę, że zrobiła to Ludka - rzekł Rheinhardt. - Dlatego została uderzona w tył głowy. Spotkała go w drzwiach, odwróciła się i wtedy otrzymała śmiertelny cios.

- Nie rozumiem jednak, jak on...

- Pozwól, że wyjaśnię - powiedział Rheinhardt.

Liebermann usadowił się wygodnie w fotelu i przyjął charakterystyczną pozę: prawa dłoń przyciśnięta do policzka, trzy palce złączone razem, kciuk wygięty, palec wskazujący wsparty o skroń.

- Sądzę - mówił dalej Rheinhardt - że sprawca zjawił się u drzwi frontowych przeświadczony, że wewnątrz znajdują się tylko kobiety. Podejrzewam, że obserwował dom i zaczął działać dopiero wtedy, gdy policzył, że wszyscy klienci, którzy wcześniej weszli do tego przybytku, już go opuścili. Potem zapukał do drzwi, które otworzyła Marta Borek.

Ugodził ją w serce i zawlókł jej bezwładne ciało do pokoju, w którym ją znaleźliśmy.

Wspiąwszy się po schodach, wszedł do pokoju panny Draczynski i poderżnął jej gardło, kiedy spała, po czym uczynił to samo z panną Glomb. Wówczas Ludka najprawdopodobniej już się obudziła i wstała z łóżka... Po wysłaniu Ludki na tamten świat sprawca zszedł na dół i podciął

gardło Borek. Gdy ponownie wchodził po schodach na górę, miał ze sobą pędzel umoczony w jej krwi. Następnie przystąpił do okaleczania Draczynski i Glomb, lecz nim dotarł do Ludki, coś mu przeszkodziło.

- Co?

- Nie wiem. Może kolejny klient... Wtedy sprawca po raz ostatni zszedł po schodach i opuścił budynek przez okno pokoju Borek. Na tyłach jest przejście.

- Które wychodzi na co?- Rozwidła się, a potem łączy z drogami po obu stronach burdelu. Liebermann nalał sobie i inspektorowi natępny kieliszek brandy.

- Musiał być cały we krwi - rzekł Liebermann. - Całkowicie nią przesiąknięty. Nie mógłby wyjść z mieszkania w takim stanie, mimo że Spittelberg jest dość mało ruchliwą dzielnicą. Musiał zmienić ubranie przed wyjściem.

- W okolicy nie natknęliśmy się na żadne porzucone elementy garderoby.

- W takim razie przybył na miejsce z jakimś pojemnikiem i z tymże pojemnikiem je opuścił.

Liebermann jeszcze raz wziął do ręki fotografie i odszukał zbliżenie szyi Borek.

- Rana jest bardzo głęboka: tej kobiecie niemal odcięto głowę. Sprawca musiał

posłużyć się dużym nożem albo nawet szablą. Podczas sekcji zwłok profesor Mathias zasugerował właśnie szablę, co może okazać się wielce istotną obserwacją. Spittelberg leży w sąsiedztwie koszar, a sekretarzyk Marty Borek był wypełniony wekslami od wojskowych.

- Jeśli okaże się, że ta rzeź jest dziełem jednego z żołnierzy Jego Cesarskiej Mości...

- Cesarz dozna szoku!

Liebermann jeszcze raz przerzucił zdjęcia i pokręcił głową.

- Zapewne tylko człowiek, któremu zabijanie nie było obce już wcześniej, mógłby z tak bezwzględną skutecznością wyprawić na tamten świat tak wiele osób. - Liebermann stuknął

palcem w prawą skroń. - To z pewnością robota kogoś przywykłego do widoku krwi.

- Przypominają mi się - wtrącił Rheinhardt - słynne morderstwa z Whitechapel.

- Co takiego?

- Jesteś zbyt młody, by pamiętać, w każdym razie wywołały sensację na całym świecie. Doszło do nich w jednej z najbiedniejszych dzielnic Londynu i były przypisywane człowiekowi, którego Anglicy ochrzcili mianem Kuby Rozpruwacza.

- A tak - rzekł Liebermann, jako że to imię nie było mu obce. I Zdaje się, że ten przypadek został uwzględniony w najnowszym wydaniu *Psychopathia sexualis* Krafft-Ebinga.

- Ofiarami Kuby Rozpruwacza - ciągnął Rheinhardt - również padały prostytutki, a morderca miał zwyczaj okaleczać je i wyjmować wnętrzności. Tożsamość zabójcy nigdy nie została odkryta, pamiętam jednak, iż niektórzy komentatorzy występowali z teorią, że ofiary zginęły z rąk chirurga.

- Mówisz, że nigdy go nie złapano?

- Nie.

- A kiedy zdarzyły się te morderstwa?

- Niech się zastanowię. - Rheinhardt obliczał coś w myślach. - Około trzynastu, czternastu lat temu.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie, unieśli brew i jednocześnie pokręcili głowami.

- Nie - rzekł Liebermann, uśmiechając się z zakłopotaniem. - Niemniej jednak trudno nie zadawać sobie pytania, co mogło się stać z taką bestią...

Młody lekarz poczęstował przyjaciela następnym cygarem, które Rheinhardt ochoczo przyjął. Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w płomienie, obaj zatopieni w myślach. Od czasu do czasu Liebermann wybierał z pliku pojedynczą fotografię, której bacznie się przyglądał. Po upływie kilku minut zwrócił się do Rheinhardta ze słowami:

- Wyraźnie nie jest to zwykłe morderstwo. Ohydne czyny naszego sprawcy daleko odbiegają od pospolitych motywów przestępstw w postaci zachłanności, zazdrości i zemsty.

Jego motywy są niejasne i wynaturzone, a jednak nie wymyka się on całkowicie zasięgowi współczesnej psychologii.

Liebermann zgasił cygaro w popielniczce.

- Twój sprawca nienawidzi kobiet albo, mówiąc ściślej, seksualnej potęgi kobiet.

Tłumaczy to wybór prostytutek na ofiary. Poza tym okaleczył te obszary ich ciał, które są związane z rozmnażaniem: genitalia i brzuch. Nie zadowalało go zwykłe morderstwo tych młodych kobiet. Musiał unicestwić ich płęć - całkowicie. Podejrzewam, że jest niedoświadczony seksualnie - może być impotentem - niezaradny towarzysko i w którymś momencie życia dotkliwie cierpiał z powodu pociągu do kobiety lub odrzucenia. Niemniej jednak mój opis wydaje się żałośnie niekompletny. Kryje się tu znacznie, znacznie więcej...

- Mów dalej - zachęcił Rheinhardt. - Taka brutalność - ciągnął Liebermann - wydaje się zdradzać dłużej i głębszą motywację - wpływ pierwotnych wspomnień. Coś wydarzyło się w jego dzieciństwie, coś traumatycznego, co dotyka instynktu erotycznego, lecz co zarazem ukształtowało jego charakter. Cokolwiek to było - on wini za to kobiety.

Rheinhardt wyjął notes i zanotował kilka spostrzeżeń Liebermanna. Nim skończył

pisać, powiedział:

- Co sądzisz o tym przekrzywionym krzyżu? Dlaczego, u licha, zadał sobie trud namalowania czegoś podobnego na ścianie!

- Z początku przyszło mi do głowy, że sprawca odbywa być może jakąś religijną krucjatę, wyobraża sobie, że jest instrumentem Boga upoważnionym do oczyszczenia Wiednia z moralnej nieczystości. Jednak gdyby tak miały się sprawy, spodziewałbym się, że pozostawiłby na ścianie bardziej konwencjonalny krzyż - długą pionową linię przeciętą krótszą poziomą. Z tego względu myślę, że ten symbol ma znaczenie bardziej osobiste niż religijne. Jest jak gdyby jego wizytówką. Dlatego również sądzę, że człowiek ten nie radzi sobie towarzysko lub jest nieudolny. Z braku prawdziwego statusu bądź osiągnięć osoba mało znacząca często ma skłonność do pozostawiania po sobie śladu - inicjałów lub innego rodzaju znaku identyfikacyjnego - odcisniętego w miejscu publicznym. To jedyny sposób zaznaczenia swej obecności w świecie, jedyna szansa przejścia do potomności.

Znajdziesz wiele przykładów tego rodzaju napisów w wieży katedry...; W jego chorym umyśle taka potworność - Liebermann postukał w fotografie - nabrała cech wielkiego dokonania, dumnego dzieła, za które łaknie i pragnie uznania. Nie mógł opuścić tego miejsca, nie podpisawszy uprzednio swej „sztuki”. Ten dziwny krzyż jest jego sygnaturą.

Rheinhardt umieścił niedopałek cygara w popielniczce i wziął fotografie.

- Oskarże - odezwał się Liebermann - przy takiej ilości krwi na podłodze nie pozostały żadne odciski stóp? Żadne ślady?

Rheinhardt pokręcił przecząco głową.

- A więc jest to ktoś, komu być może znane są procedury policyjne?

- Mogłoby się tak wydawać.

Rheinhardt poczuł, że przemyka mu przez głowę jakaś niedająca spokoju myśl -

mgliste wspomnienie, którego nie potrafił uchwycić. Zmarszczył czoło i po raz kolejny podkręcił wąsa.

- Co się stało? - spytał Liebermann, dostrzegając wysiłek myślowy przyjaciela.

- Nic - odparł Rheinhardt. Po czym, utkwiwszy w Liebermannie melancholijne spojrzenie podkrążonych oczu, rzekł: - Zrobi coś takiego znowu, prawda?

- Tak - przyznał Liebermann bez ogródek. - I spodziewam się, że już wkrótce.

Sala była wypełniona, rozbrzmiewała szumem rozmów prowadzonych przytłumionymi głosami. Zgromadzeni byli dobrze ubrani (ze skłonnością do prostoty) i zasiedli w ławkach ustawionych w kształt podkowy. Atmosfera przypominała tę, jaką wyczuwa się w teatrze tuż przed podniesieniem kurtyny, lecz była zarazem kościelna: stanowiła dziwne połączenie ekscytacji i powagi. W pierwszej ławce w pobliżu drewnianego tronu stali profesor Foch, Andreas Olbricht i Hermann Aschenbrandt. Profesor wyjął z kieszonki zegarek, otworzył kopertę i skontrolował czas.

- Spóźnia się - rzekł Olbricht.

- Tak - odparł oschłym tonem profesor.

Drzwi w głębi sali otworzyły się ze skrzypnięciem i do środka wkroczył niski pulchny mężczyzna. Płonęły mu policzki i był najwyraźniej w dobrym nastroju. Uśmiechał się szeroko i promiennie. Zatrzymał się, by uścisnąć dłoń paru członkom zgromadzenia, i widziano, jak energicznie kiwa głową w odpowiedzi na pytania.

- Hainisch wygląda na niezmiernie zadowolonego - stwierdził Olbricht.

- W takim razie, on musiał przybyć - skonstatował Aschenbrandt. Wkrótce monotony szmer, który przenikał salę, zastąpił szelest szepczących głosów. Zaczęły wyodrębniać się niektóre słowa:

- Już jest...

- Geniusz.

- Znakomitość.- Sława...

Pulchny mężczyzna zajął miejsce zarezerwowane dla niego na drugim końcu podkowy i gestem powitał profesora, który odpowiedział krótkim, gwałtownym skinieniem głowy przypominającym dziobnięcie ptaka.

Nagle drzwi otworzyły się ponownie i jakiś głos zawołał:

- Proszę powstać na cześć pierwszego intendenta Zakonu Pierwotnego Ognia!

Zgromadzeni wstali. Do sali wkroczył Gustav von Triebenbach odziany w ceremonialną czerwoną pelerynę z gronostajowym wykończeniem. Niósł bogato zdobioną laskę, którą odpychał się niczym gondolier wioślem wprawiający w ruch swoją łódź. Za von Triebenbachem stapał służący w liberii, prowadząc z prawej strony pod ramię niezwyklego towarzysza - mężczyznę po pięćdziesiątce, z długą, niesforą, siwą brodą i wielkimi, niewspółmiernie ciemnymi krzaczastymi wąsami. Miał on najsobie dość bezkształtną welwetową czapkę z daszkiem, która wydawałaby się całkowicie na miejscu wciśnięta na głowę renesansowego dworzanina;; Jednak najbardziej uderzającym elementem jego powierzchowności były bawełniane bandażowe owinięte dookoła górnej połowy głowy. Twarz powyżej koniuszka nosa była całkowicie niewidoczna.

Gdy trzech mężczyźni przeszli na przód sali, zgromadzeni zaczęli klaskać i wkrótce zamknięta pod sklepieniem przestrzeń rozbrzmiewała gwarem entuzjastycznej owacji.

Służący w liberii pomógł człowiekowi w bandażach wspiąć się drewniany tron, ale mężczyzna poruszał się chwiejnie: nagły ruch rąk które rozpaczliwie wpadły w pustkę -

świadczył o chwili niepewności. W końcu jednak udało mu się usadowić między ślimakowato skręconymi poręczami fotela, a wtedy służący skłonił się i wycofał.

Von Triebenbach stanął na przedzie sali i podniósł prawe ramię.

- *Heil und Sieg!*

Towarzystwo odpowiedziało tym samym gestem i powtórzyło okrzyk bitewny.

Gdy umilkły oklaski, mężczyźni usiedli i wkrótce zaległa cisza. Vorii Triebenbach spuścił głowę i przemówił:

- O pierwotne światło, ofiaruj nam pocieszenie, uświęć nasze ognisko i oczyść naszą krew. Wybaw nas od przeszkód oraz sideł naszych; wrogów i odziej nas w pancerz zbawienia.

Zgromadzenie odpowiedziało cichym:

- *Heil und Sieg.*

Von Triebenbach podniósł głowę.

- Bracia... dzisiejszego wieczoru spotkało nas wielkie szczęście. - Płonące pochodnie zwielokrotniały motyw gryfów na połyskującej, czerwonej pelerynie Triebenbacha. - Pośród stowarzyszeń, które poprzysięgły ocalić i chronić nasze chwalebne dziedzictwo - nasz język, naszą sztukę, nasze wartości - nazwisko Guida Karla Antona Lista stało się znane i wielce szanowane. Będzie on zaliczany do najznakomitszych myślicieli naszego wieku. Jednak ze względu na dobro naszych najnowszych członków spoczywa na mnie obowiązek powiedzenia kilku słów gwoi wprowadzenia... Większość z was z pewnością przeczyta arcydzieło naszego wybitnego gościa, *Carnuntum* - powieść o ogromnej sile wyrazu i wytworności. Upłynęło około czterestu lat od publikacji tego wspaniałego dzieła, które odegrało niemałą rolę w zainspirowaniu licznych czytelników do odkrycia na nowo spuścizny naszych przodków i poczucia z niej dumy. To właśnie *Carnuntum* zwróciło na jego autora uwagę wielu polityków, którzy od tamtej pory okazali światłe zainteresowanie propagowaniem tradycyjnych wartości... Za sprawą naszego znakomitego gościa zostały utworzone dwa towarzystwa, Wolne Niemieckie Towarzystwo Literackie oraz Towarzystwo Dunajskie, zapewniające bezpieczną przystań wielu pisarzom, którzy w przeciwnym razie nie znaleźliby żadnego forum dla swojej twórczości w mieście opętanym zdegenerowanymi, modnymi błahostkami...

Niektórzy spośród was będą, tak jak i ja, wspominać z ogromnym rozrzewnieniem wspaniałą inscenizację - ufundowaną przez Ligę Germańską - poetyckiego dramatu naszego znakomitego gościa, *Przebudzenie Wali*, na którą przybyło ponad trzy tysiące widzów. -

Rozległ się cichy pomruk aprobaty. - Mimo że nasz wybitny gość dochodzi do zdrowia po operacji chirurgicznej - której rezultat, niestety, wciąż jest bardzo niepewny -

wspaniałomyślnie zgodził się wygłosić dzisiejszego wieczoru dla nas mowę, za co jesteśmy mu serdecznie wdzięczni. - Zwracając się do mężczyzny na tronie, von Triebenbach oznajmił:

- Ja, Gustav von Triebenbach, pierwszy intendent Zakonu Pierwotnego Ognia, witam cię, nasz wielce szacowny gościu, mędrze i skaldzie.

Mężczyzna skinął głową i von Triebenbach zajął miejsce (obok profesora Focha) na samym końcu znajdującej się najbliżej tronu ławki. - Pierwszy intendent Zakonu Pierwotnego Ognia, przyjaciele i bracia, dziękuję - rzeki obandażowany mężczyzna nieco suchym i schrypniętym głosem. Podniósł dłoń.

- *Heil und Sieg*

- *Heil und Sieg* - rozbrzmiała odpowiedź.

- Moi drodzy przyjaciele - rzekł List, rozpościerając ramiona jak w błagalnym geście.

- Patrzycie na człowieka osłabionego. Jestem niewidomy - i być może już nigdy nie odzyskam wzroku. Ale nie dajcie się zwieść. Być pozbawionym zdolności widzenia - nie oznacza być pozbawionym wizji. I choć moje ciało jest słabe, w istocie nigdy dotąd nie czułem się tak silny, tak potężny i tak absolutnie w pełni władz umysłowych. Nigdy nie byłem bardziej pewny fundamentalnych prawd, które muszą kierować naszym myśleniem...

Głowa Lista przesuwiała się z lewa na prawo, jak gdyby lustrował wzrokiem zebranych i chłonał - jedną po drugiej - skupione twarze widzów.

- Jest pewien motyw wspólny, który powtarza się w wielu naszych wspaniałych opowieściach. - Jego głos nabrał większej mocy. - Obietnica odkupienia przez cierpienie.

Zostałem wtrącony w ciemności, ale również zostałem odkupiony. Doznałem objawienia...

Olbricht i Aschenbrandt pochyłili się do przodu; ławka skrzypnęła.

- Kiedy byłem jeszcze chłopcem - ciągnął List - w czternastym roku życia doświadczyłem przecucia tego, co miało stać się moim przeznaczeniem. Ojciec pozwolił mi zwiedzić wraz z nim i grupą jego przyjaciół katakumby pod katedrą świętego Stefana.

Schodziliśmy w dół, a wszystko, co widziałem, ekscytowało mnie, elektryzowało, napawał dziwną energią... Gdy dotarliśmy do poziomu czwartego, odkryliśmy zrujnowany ołtarz.

Owładnęło mną uczucie, na którego opisanie wciąż brakuje mi słów. Obwieściłem: „Kiedy będę już mężczyzną, zbuduję świątynię Odyna”. Oczywiście zostałem wyśmiany... i prawdę mówiąc, nie

wiedziałem o Odynie nic więcej poza tym, co przeczytałem w *Wörterbucher der Mythologie* Vollmera. Ale atmosfera katakumb obudziła we mnie uczucia religijne, a instynkt podpowiedział, by zwrócić się nie ku Chrystusowi, lecz ku bogom naszych ojców.

Pradawnym bogom...

Mówca przerwał. Po raz kolejny za sprawą ruchów jego głowy odnosiło się upiorne wrażenie, że potrafi widzieć przez bandażę i bada wzrokiem swą publiczność. Zarówno Olbricht, jak i Aschenbrandt odchylił się do tyłu, jak gdyby odepchnięci przez jakąś dziwną siłę, kiedy znaleźli się w zasięgu jego niewidocznych i niewidzących oczu.

- Jestem wdzięczny pierwszemu intendentowi - podjął na nowo List - za miłe i przychylne słowa dotyczące mojej powieści *Carnuntum*. Często otrzymuję pytanie: „Skąd wziął się taki utwór?”. Pod pewnymi względami czuję się jak oszust, przypisując sobie jego autorstwo, ponieważ nie bytem nikim innym jak tylko pośrednikiem, za sprawą którego *Carnuntum* przyszło na świat. Dzieło wyrosło jednakowoż z ziarna i mogę zaświadczyć, kiedy owo ziarno zostało zasiane... - Na jego ustach błąkał się blady uśmiech. - Gdy bytem młodym mężczyzną, w wieku mniej więcej dwudziestu siedmiu lat, wybrałem się jakichś czterdzieści kilometrów na wschód od Wiednia świętować z matką grupką towarzyszących osób przesilenie letnie w zrujnowanym rzymskim mieście Carnuntum. Miejsce to ma ogromne znaczenie dla ludu germańskiego. Ponieważ właśnie w Carnuntum germańskie plemię Quadi, dzielne i moralnie czyste, pokonało dekadentki rzymski garnizon i w końcu, nie ustając w wysiłkach, ustanowiło nowe imperium teutońskie. Ouadi nie byli barbarzyńcami, lecz szlachetną rasą odzyskującą utracone terytoria.

Nasi tak zwani uczeni nie zwracali większej uwagi na pismo naszych germańskich przodków - runy. Oparli wszystkie swoje prace na fałszywym i bezpodstawnym założeniu, że ludy germańskie nie miały własnego pisma i że ich znaki pisarskie były skopiowane w niedoskonały sposób z łaciny. Ale rozpaczliwie się mylą!

W trakcie tej pedagogicznej dygresji głos Lista stał się płaczący i zawodzący.

Uświadamiając sobie, być może, że odszedł od zamierzonego tematu, westchnął i podjął opowieść.

- Była to uciążliwa podróż, ale wytrwaliśmy. Bez przerwy pięliśmy się pod górę, póki nie ujrzałem w oddali Bramy Pogan rysującej się czarno na horyzoncie - wielkiego górującego nad nami łuku. Gdy dotarliśmy do celu, rozpałem ognisko. Stanęliśmy wokół

niego, zjednoczeni, wznosiliśmy toasty, pijąc za dawno zapomnianych bohaterów Ouadi... a w jasnym żarze owego świętego ognia ułożyłem butelki na kształt osiemnastego runu.

Gwiazdy migotały na bezchmurnym niebie niczym niebiańskie latarnie. Wypowiedziawszy te słowa, List uniósł ręce, jak gdyby zanosił błagania do bóstwa. Pozostał w tej pozycji przez chwilę, nim pozwolił ręką wolno opaść. Gdy odezwał się ponownie, jego głos nie brzmiał

już tak podniosłe.

- W tygodniach, które nastąpiły po usunięciu katarakty, byłem przy kuty do łóżka, jedynym pocieszeniem był uścisk dłoni mojej drogiej żony, i doświadczyłem wtedy... -

umilkł, nie dokończywszy zdania. - Doświadczyłem czegoś w rodzaju... snu na jawie.

Ponownie zbliżałem się do Bramy Pogan... gdzie w noc przesilenia letniego rozpałem ogień lecz był to ogień prześlągalny. Wpatrywałem się w tańczące płomienie przywodzące na myśl rozmaite kształty - ulotne formy, które rodziły się do istnienia, po czym znikwały. Pośród skręconych jęzorów ognia dostrzegałem pewną regularność kształtu - krzywizny i przecięcia linii, wyłanianie się świetlistej kobiecej postaci, która stopniowo zyskiwała permanentność.

To, co nastąpiło potem, to doznanie, którego nie sposób wręcz przekazać... Słowa, zwykle tak nośne, wydają się całkowicie nietrafne; jednak po wielu godzinach intensywnej refleksji mogłem jedynie dojść do wniosku, że moje doznanie było niczym innym jak mistycznym objawieniem.

Wśród zebranych nastąpiło poruszenie, wymieniono kilka zaintrygowanych spojrzeń.

- Długie godziny ciągnących się nieskończenie, samotnych ciemności wyzwoliły mą duszę. Poszybowała przez otchłań i połączyła się; z *weltseele*, duszą świata... Stałem się kanałem, przez który przepływa święta wiedza... Przemawiam do was dzisiejszego wieczoru nie jako niewidomy uczony, lecz jako prorok. Tysiącletni zmierzch germańskiego ludu dobiega kresu. W naszej epoce będziemy świadkami zarania nowego złotego wieku heroizmu.

Niech nasi wrogowie śmieją się i drwią - pozwólmy im szydzić jak dawniej... ich dni bowiem są już policzone.

Nieoczekiwanie dwaj mężczyźni w środku zgromadzenia powstali, i podnieśli ręce.

- *Heil und Sieg!* - wykrzyknęli. Wkrótce okrzyk bitewny został podchwycyony przez wszystkich obecnych.

Gdy zebranie szczęśliwie dobiegło końca i złożono podziękowania, von Triebenbach wystosował dyskretne zaproszenia do swych najbardziej zaufanych zastępców. Z prawdziwą przyjemnością poinformował, że ich znakomity gość zgodził się uczestniczyć w nieoficjalnym przyjęciu na górze, w mieszkaniu von Triebenbacha. Wspięli się po kamiennych stopniach, które wiodły z podziemnej kondygnacji - podzielonej na liczne sale -

na parter, gdzie pokonali kolejną kondygnację schodów prowadzących na piętro. Przy drzwiach powitali ich służący von Triebenbacha w kapeluszach ozdobionych rozetami i poprowadzili ich przez dwa przedpokoje do imponującego salonu.

Sterta żarzących się węgli płonęła jasno pod lukiem dużego kominka z czarnego marmuru. Na gzymsie stal pokaźnych rozmiarów zegar, którego skomplikowany mechanizm był widoczny przez szklaną osłonę. Umeblowanie - serwantki, sekretera, trzy sofy i kilka krzeseł - pochodziło z początku osiemnastego wieku. Pasiasta tapeta w bordowym kolorze zdobiła ściany, a klasyczne posągi - niemal naturalnej wielkości - wygrywały niesłyszalną muzykę na fujarkach i lirach. Środek pokoju zajmował fortepian kryty palisandrowym fornirem, którego kółka ginęły w grubym perskim dywanie.

Aschenbrandt nie mógł doczekać się zaprezentowania Listowi swego dzieła i gdy tylko wybitny gość usadowił się na jednej z kanap, młodzieniec gorąco poprosił barona, by go przedstawił. List uściśnął podaną rękę, a von Triebenbach - zawsze życzliwie nastawiony do Aschenbrandta - wyjaśnił, że ów młody człowiek z całego serca pragnie wykonać uwerturę do utworu, nad którym właśnie pracuje: opery opartej na powieści *Carnuntum*.

List wspaniałomyślnie się zgodził i Aschenbrandt podekscytowany ponad wszelką miarę zasiadł przy fortepianie Webera i otworzył nuty.

W pokoju zapadła cisza.

Aschenbrandt założył za uszy cienkie kosmyki platynowych włosów, blada twarz nabrała powagi. Uniósł dłonie i pozwolił im opaść na klawiaturę, uderzyć w klawisze i zagrać trzy dramatyczne początkowe akordy - zastukały celuloidowe mankiety. Basso ostinato przywoływało obrazy maszerujących żołnierzy, na które nakładała się wibrująca figura otwartych kwart i kwint sugerujących metaliczne wezwanie trąbki. Muzyka była pozbawiona polotu, lecz zarazem wyraźnie trafiała w gusty publiczności, która z zachwytem kiwała głową na oczywiste odniesienia programowe. Całość kończyła się triumfalnym tematem w pokrewnej tonacji durowej, zagranym fortissimo. Jeszcze zanim pretensjonalna koda doszła do przewidywalnego końca, von Triebenbach zerwał się z miejsca. Owacja trwała kilka minut, a List uczestniczył w niej równie entuzjastycznie jak pozostali obecni. O takim poklasku Aschenbrandt nie śmiał nawet marzyć, a gdy List osobiście pogratulował

kompozytorowi, młodzian poczuł się tak, jakby ukoronowano go wieńcem laurowym.

Po koncercie służący podali gościom szampana i lukrowane kostki kandyzowanych owoców. Na

krótką chwilę towarzystwo wdało się w ogólną rozmowę, a von Triebenbach krążył między przyjaciółmi. W końcu zebrani podzielili się na małe grupki - niektóre siedzące, inne stojące - lecz we wszystkich prowadzono ożywioną konwersację.

Von Triebenbach i profesor Foch zasiedli po obu stronach Lista, który przedstawiał

swoje poglądy na pisma Houstena Stewarta Chamberlaina, Anglika, który uczynił Wiedeń swoim domem. Wyznawana przez Chamberlaina idea wielkiego północnego sojuszu, w którym wszystkie narody germańskie - Niemcy, Austriacy, Anglicy, Holendrzy i Skandynawowie - mogłyby połączyć siły, była rzeczywiście szalenie pociągająca. Takie przymierze byłoby, jak sugerował Chamberlain, niezwyciężone; jednakże List kwestionował

włączenie przez Chamberlaina Francuzów jako Teutonów - uważał takie stanowisko za niemożliwe do obronienia. Mimo to praca Anglika z pewnością zasługiwała na najwyższy szacunek.

Hannisch, Aschenbrandt i Olbricht utworzyli obok fortepianu ciasną grupkę.

- Cóż - rzekł Hannisch do Aschenbrandta - musi rozpierać pana duma. Co panu powiedział? - Radny rzucił szybkie spojrzenie w stronę Lista.

Aschenbrandt pochylił się do przodu, chcąc zapewnić sobie dyskrecję.

- Powiedział, że jest głęboko poruszony... że moja muzyka doskonale oddała heroicznego ducha Ouadi.

- To doprawdy najwyższa pochwała - skonstatował radny, wtykając kandyzowaną śliwkę pomiędzy jaskrawoczerwone wargi wygięte w łuk Kupidyna. - Wielki z pana szczęściarz.

- Rzeczywiście, sir, i uważam, że wszyscy jesteśmy pańskimi dłużnikami, gdyż...

Hannisch gestem ręki uciął komplement i zaczął wydawać bagatelizujące sprawę posapywania.

- Nie ma o czym mówić, drogi kolego, nie ma o czym mówić. Cała przyjemność po mojej stronie. - Wyssał cukier z czubków palców. - Pańska uwertura przypominała mi odrobinę *Złoto Renu* - dodał. - Wejście gigantów.

- Nazbyt pan uprzejmy - rzekł Aschenbrandt.

- A kiedy, pańskim zdaniem, opera zostanie ukończona?

- Za mniej więcej rok, być może. Teraz, gdy zyskałem aprobatę autora, czuję wielkie natchnienie. Będę pracował nad partyturą dzień i noc.

- Niech mi pan powie, Herr Hannisch - odezwał się Olbricht, ściągając na siebie uwagę radnego. - Czy burmistrz zamierza kontynuować prace nad pomnikiem Mozarta?

- Tak sędzę - odrzekł Hannisch. - Jeśli poprawnie zrozumiałem protokół.

- Złożyłem w magistracie kilka rysunków...

- Doprawdy?

- Niestety, zostały odrzucone. Choć, szczerze mówiąc, ten projekt budził moje wątpliwości.

- Prosił pan swoją protektorkę, by użyła swych wpływów?

- Tak, oczywiście, ale niestety jej wysiłki poszły na marne.

- O czym panowie rozmawiacie? - spytał Aschenbrandt, wyłaniając się z tumanu samozadowolenia.

- Przewodniczący okręgu zamęcza burmistrza o wzniesienie pomnika Mozarta tuż przed tym budynkiem.

- Czy wolno spytać - odezwał się Olbricht - o nazwisko artysty, którego w końcu uhonorowano tym zleceniem?

Hannisch spojrział w szeroko rozstawione oczy Olbrichta. W jego Próbie udawania obojętności było coś żalnego.

- Doprawdy nie wiem, któż to taki, mój drogi kolego - odparł Hannisch. Służący podszedł napełnić kieliszki, drugi częstował kolejną porcją kandyzowanych owoców.

Hannisch wziął dwie kosteczki i natychmiast ścisnął jedną między wargami.

- Jak będzie wyglądał? Mam na myśli pomnik. - zainteresował się Aschenbrandt.

- Mmm... - Słodycz przekąski wydawała się rozpraszać uwagę Hannischa; wyraźnie absorbowowało go poważne zadanie określenia jej konkretnego smaku. - Słucham?

- Jaką formę przybierze pomnik? - spytał Aschenbrandt tonem, do którego wkradł się cień rozdrażnienia. -. Co to będzie?

Hannisch przełknął kęs.

- Cóż, o ile mi wiadomo, ma to być fontanna zdobiona rzeźbami z brązu, które będą przedstawiały scenę z *Czarodziejskiego fletu*.

- Mozart! Mozart! - warknął Aschenbrandt. - Dlaczego nie Beethoven? Albo Ryszard Wagner, na litość boską! Mamy już pomnik Mozarta!

- W pełni się zgadzam - wtrącił Olbricht. - I dlaczego postanowili upamiętnić najbardziej absurdalną z jego oper?

- To niewiele więcej jak tylko rozrywka dla dzieci... - zawtórował mu Aschenbrandt.

- Tak, tak, Mozart jest kompozytorem powierzchownym pod wieloma względami -

przyznał Hannisch. - Jednak coraz bardziej zyskuje na popularności.

- Cóż - wtrącił Aschenbrandt - winię za to Mahlera. Zawsze umieszcza w programie Mozarta. Na ten sezon też jest zaplanowana nowa inscenizacja *Czarodziejskiego fletu*.

Trzej mężczyźni ponuro zapatrywali się na taką perspektywę.

- Im szybciej się go pozbędziemy, tym lepiej - mruknął Olbricht. Hannisch zatopił zęby w drugiej kostce kandyzowanego owocu.

- Mówi się, że to opera masońska - ten *Czarodziejski flet* - pełna ich tajemnic.

- Właśnie tak - rzekł Aschenbrandt. - Mozart wzbudził podobno gniew swej masońskiej braci przez wcielenie do libretta i scenografii wielu spośród niezwykle cenionych symboli. Uznano to za zdradę zaufania i mógł przypłacić to życiem.

- Mmm - odpowiedź Hannischa opóźniło przeciągające się w czasie przeżuwanie. -

Mozart być może zadarł ze swymi towarzyszami z loży masońskiej, lecz intencją kompozytora było oczywiście sławienie jch doktryny w *Czarodziejskim flecie*.

Nim Aschenbrandt zdążył odpowiedzieć, Olbricht mruknął:

- Jest prawdopodobnie jednym z nich.

Hannisch i Aschenbrandt obrócili się i spojrzeli na swego towarzysza.

- Przewodniczący okręgu - wyjaśnił Olbricht. - Prawdopodobnie jest jednym z nich.

Masonem. I dyrektor Mahler też.

- No cóż - rzekł Aschenbrandt. - Nie zdziwiłoby mnie to ani odrobinę.

Nim Rheinhardt opuścił biuro poprzedniego wieczoru, złożył mu wizytę adiutant komisarza Briigla. Zadufany w sobie podwładny wręczył mu kopertę i obwieścił: „Komisarz zobaczy się z panem jutro rano”. Wzmocnienie wezwania Briigla rozkazującym tonem nie było konieczne (Rheinhardt orientował się doskonale, że nie lekceważy się informacji przekazywanych od komisarza), lecz adiutant był typowym przedstawicielem tej klasy ludzi, którzy, jeśli dać im choć krztynę władzy, nigdy nie omieszkają jej nadużyć. Chociaż list skreślono ozdobnym gotykiem, miał on nowoczesną zaletę zwięzłości, został bowiem ułożony w pozbawionym oglądy stylu telegraficznym: *Spittelberg. Raport o postępach śledztwa. Moje biuro, futro siódma rano. Brugel.*

Rheinhardt siedział cierpliwie, podczas gdy komisarz oglądał fotografie z masakry w Spittelbergu. Brugel nie wydawał się wstrząśnięty ani zszokowany - jedynie poirytowany. Od czasu do czasu burczał coś pod nosem gderliwym tonem. Upłynęła dłuższa chwila, nim wreszcie podniósł swoją kłocowatą głowę i spytał:

- Co powiedzieli żołnierze?

- Co takiego? - zareagował pytaniem Rheinhardt.

- Żołnierze! - warknął Brugel. - Lipoścak, Alderhorst, Hefner...

- Ma pan na myśli weksle?

- Oczywiście.- Jeszcze nie odnalazłem miejsca ich pobytu.

- Dlaczego? Jakiś problem? Czy miejsce ich kwaterowania jest tajne?

- Nie, sir... - Rheinhardta zaczął nagle uwierać kołnierzyk. - Nie miałem jak dotąd okazji odwiedzenia koszar. Zamierzam...

- Rheinhardt - przerwał Brugel - dziś jest piątek. Ta okropność wydarzyła się we wtorek. Co, u licha, robił pan przez ten czas?

- Z całym szacunkiem, sir, jeśli mógłbym wyjaśnić... - Rheinhard wziął głęboki oddech. - Profesor Mathias był we wtorek niedysponowany Cierpi na chorobę układu oddechowego i zimowe chłody niekorzystni wpływają na jego płuca. Zaczny profesor - mimo że jest wręcz natchnionym patologiem - pracuje powoli i sekcja zwłok czwartej ofiary został

ukończona dopiero w środę późnym wieczorem. W czwartek pracowałem nad raportem wstępnym, a później konsultowałem się z doktorem Liebermannem. Uzgodniłem, że odwiedzę koszary dziś rano.

Na Bruglu nie zrobiło to wrażenia.

- Nie musiał pan czekać na wyniki autopsji. Mógł pan od raz skontaktować się z żandarmerią wojskową.

- To prawda, ale... Brugel trzasnął dłonią w blat biurka.

- Oszczędź mi swoich usprawiedliwień, Rheinhardt! - Komisarz wyrzekł coś pod nosem, po czym znów zaczął głośno pomstować. Dwa dni, Rheinhardt. Zmarnował pan dwa dni. Burdel znajduje się w odległości krótkiego spaceru od koszar, trzy kobiety ewidentnie zginęły od ciosu szablą, a w sekretarzyku Madam Borek znalazł pan nazwiska ośmiu wojskowych, którzy byli jej winni pieniądze. Czy to ni oczywiste, co należało zrobić?

Rheinhardt, nie mając ochoty ścierać się z komisarzem, przyznał mu rację.

- Tak jest, sir. Oczywiste. Oczekiwanie na wyniki sekcji zwłok by błędem.

W rzeczywistości Rheinhardt wcale tak nie uważał. Zawsze wola wszczynać śledztwo po konsultacjach z profesorem Mathiasem. Ponadto doskonale wiedział, że gdyby nie sporządził wstępnego raportu do czwartku po południu, komisarz byłby równie niezadowolony. Tak czy owak, znał wystarczająco dobrze wybuchowy temperament Brugla, że odmówił sobie drobnej, acz ryzykownej przyjemności przytoczenia komisarzowi tego rodzaju argumentów.

Brugel otworzył szarą teczkę i wyjął plan sytuacyjny burdelu pani Borek. Rozłożył

sztywną kartkę papieru i wygładził ją na blacie biurka, cmokając z niezadowoleniem przy mało istotnych detalach. Następnie, przejrzawszy dokładnie wstępny raport Rheinhardta, przeszedł do drobiazgowego wypytywania inspektora. Przesłuchanie Brugla nie stanowiło intelektualnego wyzwania, niemniej jednak despotyczny, nieustępliwy styl zadawania pytań przyprawił Rheinhardta o pulsujący ból głowy.

Chwila wytchnienia nadeszła wraz z przyniesieniem przez adiutanta herbaty dla komisarza. Rheinhardt zaobserwował z zalem, że napojowi towarzyszyła porcja *Manner Schnitten* - wafelków przekładanych kremem orzechowym - nowego rodzaju ciasteczek, do których inspektor nabrał szczególnego upodobania. Komisarz pochłoniął je wszystkie, nie zdradzając żadnych oznak przyjemności, co zdaniem Rheinhardta mówiło jeszcze więcej na temat ułomności Briigla jako człowieka niż jego zwyczajowa gburowatość.

Komisarz popijał herbatę i ocierał serwetką sięgające ust bokobrody.

- W raporcie nie ma wzmianki o Liebermannie - zrzędził. Rheinhardt wyjaśnił, że stało się tak dlatego, iż skonsultował się z młodym psychiatrą już po przedłożeniu raportu wstępnego. Przystąpił do streszczania - najlepiej jak potrafił - sporządzonego przez przyjaciela psychologicznego portretu sprawcy. Zanim jednak skończył, Brugel zaczął

niecierpliwie wymachiwać ręką w powietrzu.

- Tak, tak, rozumiem, do czego on zmierza. Ale to tylko spekulacje, prawda?

Ponieważ Rheinhardt był zmęczony, nieco się zapędził i po chwili przyłapał samego siebie w połowie zdania, którego celem było przypomnienie Bruglowi, że psychologiczna analiza Liebermanna już nieraz okazała się wielce przydatna dla śledztwa. Jednak poznawszy swój błąd po

groźnym uniesieniu przez Brugla lewej brwi, pozwolił wyjaśnieniom rozplątać się w nieskładnym bełkocie.

- Niech pan pamięta, Rheinhardt - rzekł z mądrą miną Brugel - niczym nie da się zastąpić dobrej, solidnej policyjnej roboty. Szukać tropów. Przesłuchiwać podejrzanych. I nigdy nie zaniedbywać raportów.

Inspektor podziękował komisarzowi za praktyczne rady.- No to - odezwał się Brugel bardziej przyjaznym tonem - bierzmy się do śledztwa! - Klasnął w dłonie i zatarł je, jakby zachwycony perspektywą wyczerpującej pracy fizycznej.

- Tak jest, sir - rzekł Rheinhardt, wstając z krzesła. Skłonił się sztywno i odmaszerował ku drzwiom.

- Rheinhardt?

- Sir?

- Dzwonił wczoraj jeden ze współpracowników Jego Cesarskiej Mości. Dopytywał się, czy są jakieś wieści w sprawie tamtego dziwnego incydentu w zoo. Tego z wężem?

- Z Hildegarda.

- Tak. Dano mi do zrozumienia, że to zwierzę było osobistym ulubieńcem cesarza.

Rheinhardt przełknął ślinę.

- Przepraszam, sir. Ale ten wypadek w Spittelbergu... Nie miałem czasu... - Pokręcił głową i wykonał pojednawczy gest.

Komisarz westchnął. Wydawał się nie mieć ochoty na złajanie Rheinhardta po raz drugi. Rheinhardt uznał, że należało to przypisać raczej zmęczeniu niż sympatii.

- Cóż począć - powiedział komisarz. - Poinformuję pałac, że śledztwo jest w toku, lecz nie pojawiły się dotąd żadne nowe fakty.

- W samej rzeczy, sir. Dziękuję, sir.

Rheinhardt zacisnął dłoń na klamce i złożył w duchu podziękowania za swoje wybawienie.

Służąca zwróciła się do Bettiny przyciszonym głosem.

- To Herr Frankel. Nie odejdzie, póki się z panią nie zobaczy. Powiedział, że ma jakieś bardzo ważne dokumenty dla Herr Weissa.

Bettina przewróciła oczami, spojrzała w sufit i odezwała się do Liebermanna i Clary:

- Moritz Frankel, jeden ze współników Konrada. Nie wiem, co z nim się dzieje.

Upiera się przy osobistym doręczaniu kontraktów i niej chce przekazywać niczego służbie.

Wiecznie martwi się, że coś zaginie albo zostanie skradzione. Jestem przekonana, że to jakaś choroba. Może powinieneś go zbadać, Max? Liebermann pokręcił głową.

- Nie sędzę.

Wstając z miejsca, Bettina dotknęła noska swego synka.

- Leo, mamusia wychodzi. Bądź grzeczny przy wujku Maksie i cioci Clarze. -

Następnie pomknęła ku drzwiom, skręcając w bok, by ominąć głowę małego Emila. - To nie powinno długo potrwać - dodała, rzucając gościom spojrzenie.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Clara spojrzała na Leo, potem na Emila i ponownie przeniosła wzrok na Leo. Jej twarz promieniała radością i szelmowskim podnieceniem. Wydawała się w rozterce, niepewna, z którym siostrzeńcem pobawić się najpierw. Z radością porzucając dystygowane maniery, zerwała się z miejsca, przeniosła na podłogę i zaczęła skradać się na czworaka w stronę Emila.

- Zaraz cię dopadnę - oznajmiła, przeciągając sylaby i obniżając głos o oktawę, by osiągnąć efekt grozy. - Już idę.

Leo, który siedział w wysokim drewnianym krzeselku, był tak zachwycony niekonwencjonalnym zachowaniem ciotki, że nie mógł powstrzymać się od wydania przenikliwego pisku. Brzdąc był ubrany raczej odświętnie - w płaszczyk w czerwone paski ze złotymi guzikami, aksamitną czapeczkę i maleńką muszkę. Clara podniosła wzrok.

- Właśnie, Leo, ostrzeż braciszka... zbliżam się, zbliżam.

Liebermann pokorniał na widok niefrasobliwości Clary, jej naturalnej zdolności do czerpania głębokiej radości z tak niewinnych przyjemnostek. Nie była kobietą wolną od wad -

potrafiła być powierzchowna, pochłonięta towarzyskimi błahostkami i skłonna do nic niewartych plotek - ale nie znajdowała się wśród nich emocjonalna nieuczciwość. Kochała prosto i

bezpretensjonalnie, bez zbędnych intelektualnych komplikacji.

- Zaraz cię zjem - dyszała Clara.

Gdy Liebermann przypatrywał się Clarze, czułość zaczęła ustępować miejsca pożądaniu. Kołyszące ruchy bioder, spiczaste obcasy skórzanych botków oraz przelotny rzut oka na jedwabną bieliznę wkrótce zniweczyły kruchą niewinność jego zadumy.

- Max?- Tak? - Poruszył się lekko zażenowany.

- Szybko. Podaj mi Perzy'ego.

- Co takiego? Clara odwróciła się.

- Śniegową kulę! Leży na gzymsie nad kominkiem. Obok twojego łokcia.

Liebermann zdjął coś, co okazało się kryształową kulą osadzoną na czarnej gipsowej podstawie. Wewnątrz kuli widniała miniaturowa kopia Riesenradu - gigantycznego diabelskiego młyna w Praterze.

- To?

- Tak.

- Co to takiego?

- Potrząśnij, to zobaczysz.

Tak uczynił. Nagle uwięziony wewnątrz świat ożył za sprawą śnieżnej nawałnicy - tysiące białych płatków wirowało dokoła w niewidzialnym cyklonie.

- Ha! - wykrzyknął Liebermann. - Pomysłowe.

- Nie widziałeś tego wcześniej?

- Nie.

- Musisz zacząć interesować się prawdziwym światem, Max! Stał się ostatnio bardzo modne. Herr Perzy produkuje je od kilku lat. Ma sklep w Hernals.

Liebermann podał Clarze kulę. Potrząsnęła nią i postawiła przed buzią Emila. Dziecko leżało na brzuszku, unosząc górną część tułowia na pulchnych, tłusciutkich ramionach, których końce ginęły w poduszce. - Miało na sobie długą koszulkę z białej koronki i maleńkie wełniane buciki. Jego wielka okrągła głowa unosiła się i opadała, niepewnie podparta na cienkiej szyi.

- Spójrz, Emilu. Śnieg!

Niemowlę bez zrozumienia przyglądało się otoczeniu w stanic zachwyty i rozkojarzenia. Nagle spostrzegło mieniającą się kulę i otworzyło buzię, a wtedy cienka, acz nieprzerwana strużka śliny spłynęła powoli na podłogę, zasilając powiększającą się przezroczystą kałużę.

- Dobry Boże!

Clara oddała śniegową kulę Liebermannowi, ze zręcznością teatralnego magika wyjęła, nie wiadomo skąd, chusteczkę, wytarta usta Emil i podłogę i wzięła dziecko w ramiona. Naturalna łatwość, z jaką Clara poradziła sobie w tej kłopotliwej sytuacji, wydała się Liebermannowi dziwnie wzruszająca.

Liebermann ugiął kolana i przykucnął obok niej.

Clara miała zamknięte oczy, usta przycisnęła do pulchnego zaróżowionego policzka Emila. Dziecko gaworzyło i dobywało z siebie niedojrzałą gardłową muzykę niemowlęcego śmiechu. Liebermann nigdy nie widział tak zadowolonej, spokojnej i pięknej Clary. Gdy otworzyła oczy, coś między nimi przemknęło. Coś niewypowiedzianego, lecz silnego: obietnica intymności i własnego potomstwa.

Liebermann przełknął ślinę i poczuł, jak ściska mu się gardło.

Clara wyciągnęła ramię i pogładziła twarz Liebermanna. Dotyk był tak delikatny jak muśnięcie spadającego liścia.

- Co się stało, Max?

Otworzyły się drzwi i oboje odwrócili się w stronę dźwięku. Do pokoju weszła Bettina.

- A co wy dwoje robicie na podłodze? Jesteście gorsi niż dzieci - nie można zostawić was samych na dwie minuty!

Rheinhardt szedł za pułkownikiem Palem Kabokiem słabo oświetlonym korytarzem koszarowego budynku. Kabok był przysadzistym mężczyzną o krótkich nogach, stawiającym ciężkie kroki. Otwierając jedne z wielu identycznych drzwi, pułkownik gestem ręki zaprosił

Rheinhardta do środka.

- Tutaj nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Rheinhardt był zaskoczony, że znalazł się w prywatnym pokoju pułkownika. Na jego wyposażenie składały się żelazne łóżko polowe, dwie kolorowe ryciny - jedna przedstawiająca cesarza i druga zmarłą cesarzową Elżbietę - oraz kilka źle oprawionych fotografii z inspekcji pułku obiadów. Na ścianie nad łóżkiem wisiały dwie skrzyżowane szable misternie zdobiony turecki pistolet. W pokoju nie było żadnych innych sprzętów: ani szafy, ani stołu, nawet krzesła. Wnętrze było bezkompromisowe w swej surowości.

Pułkownik odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Rheinhardtem. Trzymał się prosto, podparłszy się pod boki.

- Słucham, inspektorze.

Rheinhardt nie spodziewał się, że przyjdzie mu prowadzić przesłuchanie na stojąco pośrodku zimnej, niemal pozbawionej sprzętów koszarowej izby.

Na zewnątrz odezwała się trąbka, a tuż po niej zastukały końskie kopyta. Rheinhardt domyślał się, iż pułkownik jest rad, że może obyć się bez wstępnych uprzejmości.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstw w Spittelbergu. Niskie jak u wolu czoło pułkownika zmarszczyło się.

- Morderstwa? W Spittelbergu?

- Tak. Może czytał pan o nich w „Zeitung”?

- W „Zeitung”? Inspektorze, nie czytałem gazety od dwudziestu lat. - Aha...

- Wzorem Jego Cesarskiej Mości, głównodowodzącego wojsk cesarskich, preferuję prasę wojskową. O tym, czego w niej nie ma, wiedzieć nie potrzebuję.

Niezrażony Rheinhardt kontynuował:

- We wtorek w domu publicznym w Spittelbergu zostały zamordowane cztery kobiety.

Burdelmama wraz z trzema dziewczynami, które, jak się sądzi, niedawno przybyły do Wiednia z Galicji.

Pułkownik obracał okrągłą głowę na grubym, byczym karku. Zasadniczy wyraz twarzy nieznacznie złagodniał.

- A tak, rozmawiano o tym w kantynie.

- Coś pan słyszał? - Tak.

Pułkownik nie miał ochoty rozwijać tematu. Zachował absolutny spokój, stał nieruchomo z nastroszonymi brwiami.

- Kobiety - ciągnął Rheinhardt - zostały okrutnie zmalretowane - miały okaleczone narządy płciowe, poderżnięte gardła. Cięcia były głębokie. Niewykluczone, że niektóre z ran zadano - spuścił wzrok na broń pułkownika - szablą.

Grube, wiejskie rysy Kaboka pozostały nieruchome. Jego twarz przypominała Rheinhardtowi ziemniak, którym niegdyś się posłużył, by rozbawić córki. Po długim milczeniu pułkownik rzekł bez ogródek:

- Chciał pan mojej pomocy.

Rheinhardt podał mu kartkę. Były na niej zanotowane nazwiska kilku wojskowych.

- Wszyscy ci mężczyźni byli klientami przybytku w Spittelbergu.

- Skąd pan wziął te nazwiska? - warknął pułkownik.

- Widniały na prywatnych wekslach znalezionych w sekretarzyku burdelmamy. Zna pan którąś z tych osób?

- Tak. Porucznika Lipoścaka, porucznika Hefnera... - wzrok Kaboka przesunął się z lewej strony na prawą. - Renza i Witolda.

- Muszę z nimi porozmawiać.

Po raz pierwszy Kabok drgnął. Stąpając ciężko, podszedł do podwójnego portretu cesarza i zmarłej cesarzowej, jego ostrogi pobrzękiwały głucho w zamkniętej przestrzeni. Ze wzrokiem wbitym w wizerunek głównodowodzącego cesarskiej armii powiedział:

- Na tym świecie, inspektorze, nie ma dla mnie nic ważniejszego od ułanów i nic bardziej świętego od honoru pułku. Znam tych mężczyzn... - Machnął trzymaną w ręku kartką papieru. - Nikt nie zna ich lepiej. Nie znajdzie pan u nich plamki rdzy na szablach, niedokładnie wypolerowanego guzika bądź choćby jednego zadrapania na butach. Są chlubą Jego Cesarskiej Mości, chlubą całego cesarstwa. Żaden z nich nigdy nie zhańbiłby pułku.

Jeśli - jak pan sugeruje - odrażających czynów, które pan opisał, dopuścił się któryś z moich ludzi, oznaczałoby to, że zawiodłem Jego Cesarską Mość. Wówczas zdjąłbym ze ściany ten pistolet i palnął

sobie w łeb.

Rheinhardt przestąpił z nogi na nogę.

Pułkownik podniósł wzrok. Lekko poczerwieniały mu policzki, a żyła na skroni zaczęła pulsować.

- Zorganizuję panu spotkanie z tymi ludźmi. Ale niech mi pan wierzy, inspektorze, traci pan czas.

Rheinhardta zaprowadzono do pomieszczenia w zabudowaniach gospodarczych stojących w pewnej odległości od koszar. Na ścianie wisiał obowiązkowy portret cesarza Franciszka Józefa; jednak stara rycina nie oddawała wiernie podobieństwa, a brzegi papieru pokrywała pleśń. Izbę ogrzewał mały piecyk, lecz dawane przez niego ciepło było żałośnie nie wystarczające. Rheinhardt niemal stracił czucie w koniuszkach palców. Zakończył

rozmowę z porucznikiem Harrym Lipoścakiem (uprzejmym, aczkolwiek dość małomównym Węgrem) i był właśnie w trakcie przesłuchiwania porucznika Ruprechta Hefnera.

Szczupły, bladolicy, o jasnych kręconych puklach wyzierających spod czapki z daszkiem, z miękkimi jak puch, starannie przyczesanymi włosami, Hefner był typem młodego oficera, na którego Rheinhardt spodziewałby się natknąć na kartach romantycznej powieści.

Zgodnie z obietnicą pułkownika Kaboka jego mundur wyglądał jakby wyszedł właśnie spod igły. Błękit mundurowej bluzy i bryczesów był tak intensywny jak barwa letniego nieba.

Guziki lśniły, roztaczając wokół siebie blask, eleganckie skórzane buty z cholewami przyjemnie skrzypiały przy każdym ruchu. Złotożółty chwost zwisał z główicy szabli. Drugi porucznik, Lipoścak, mógł również poszczycić się nieskazitelnym mundurem, lecz było coś takiego w postawie Hefnera - wyprostowane plecy, wysunięta szczęka, rozluźnione ramiona -

co dawało mu zdecydowaną przewagę.

- Gdzie pan był we wtorek rano? - zadał pytanie Rheinhardt.

- W łóżku. Nie czułem się dobrze. - Hefner mówił wyraźnie, głosem spokojnym, w którym wyczuwało się jednak pewne zblazowanie. Wydawało się, jakby ogarnęło go jakieś znużenie życiem, które byłoby bardziej stosowne w wypadku mężczyzny dwukrotnie starszego.

- Co panu dolegało?

- Nie wiem, po prostu miałem nudności.

- Czy ktoś widział pana we wtorek rano?

- Yerik, mój ordynans.

- Ktoś jeszcze?

- Nie.

- Dlaczego nie zgłosił się pan do lekarza pułkowego?

- Zgłosiłem się, tylko później.

- I co stwierdził lekarz?

- Powiedział, że mam zapalenie jelita.

- Czym spowodowane?

- Nie mam pojęcia, inspektorze. Nie jestem lekarzem.

Rheinhardt wyjął kartkę papieru, którą podsunął porucznikowi na stole.

- Poznaje pan?

- Tak - odparł spokojnie Hefner. - To prywatny weksel z moim podpisem. Jestem winien Madam Borek dziesięć koron.

- Jak często odwiedzał pan przybytek Madam Borek?

- Dość często.

- Dlaczego?

- Czy to nie oczywiste, inspektorze? - Blade usta Hefnera delikatnie się wygięły.

Wydawał się lekko rozbawiony.

- W Spittelbergu jest wiele domów publicznych, poruczniku. Dlaczego akurat Madam Borek?

- Dość podobała mi się tam jedna dziewczyna. Była nowa...

- Jak się nazywała? Ta nowa dziewczyna?

- Lucca? Coś w tym rodzaju.

- Ludka?

- Tak, właśnie, Ludka. Bardzo ładna... - Hefner znów się uśmiechnął. - I bardzo uległa, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Zadarł brodę troszkę wyżej, by nie uwierała go wysoka, sztywna stójka. Materiał zdobiły dwie haftowane złote gwiazdy.

- Instytucja pani Borek nie miała rządowego zezwolenia - poinformował Rheinhardt.

- Dlaczego miałyby mnie to obchodzić?

- Była nielegalna.

Hefner wzruszył ramionami.

- Ja nie złamałem prawa.

- prostytutki zarejestrowane przez państwo odbywają badania lekarskie dwa razy w tygodniu. Jak pan sądzi, jakie środki ostrożności stosowała pani Borek?

Hefner ponownie wydał wargi.

- Zawsze istnieje jakieś ryzyko, inspektorze, gdy człowiek goni za przyjemnościami.

Jestem pewien, że mężczyzna z pańskim - Hefner zmierzył Rheinhardta wzrokiem od stóp do głów - doświadczeniem zdaje sobie sprawę z tego faktu.

Była to impertynencja, na którą Rheinhardt nie miał ochoty reagować. Zamiast tego zapisał kilka linijek w notatniku. Gdy znów podniósł wzrok, na ustach Hefnera wciąż błąkał

się wyniosły uśmieszek. - Czy Madam Borek miała jakichś wrogów?

- Skąd miałbym wiedzieć?

- Czy kiedykolwiek słyszał pan, by ktoś stosował przemoc wobec kobiet zatrudnionych u pani Borek?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek widział pan tam kogoś, kto dziwnie się zachowywał? Kogo podejrzewałby pan o brak równowagi psychicznej?

Hefner się zaśmiał.

- Inspektorze, gdy odwiedzałem instytucję pani Borek, ostatnią rzeczą, jaka mnie interesowała, było zachowanie innych klientów. Poza tym rzadko kogokolwiek widywałem.

- Czy widział pan porucznika Lipoścaka u pani Borek? - Nie.

- A Renza i Witolda?

- Renza widziałem tam raz... kilka tygodni temu.

- Zna pan kapitana Alderhorsta?

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Szeregowego Friedla?

- Kogo?

- Friedla.

- O nim również nie słyszałem.

Rheinhardt spojrział w okno. Dzień był ponury, przez chmury sączyło się wstrętne szarozielonkawe światło.

- Poruczniku Hefner - rzekł Rheinhardt - Ludkę, tę galicyjską dziewczynę, która, jak pan twierdził, przypadła panu do gustu, Madam Borek oraz dwie inne kobiety, panny Draczynski i Glomb, poddano odrażającym aktom przemocy.

- Wiem.

- A mimo to nie wydaje się pan... - Rheinhardt szukał dyplomatycznego zwrotu -

poruszony ich losem.

- Inspektorze - rzekł Hefner - jestem oficerem osiemnastego pułku. Co według pana mam robić? Szlochać jak moja babka? Walić pięścią w stół i pomstować do nieba? - Hefner powoli skrzyżował nogi, zabrzączały ostrogi. - Reprezentuję armię Jego Cesarskiej Mości.

Jestem kawalerzystą. Noszę ten mundur z dumą. Musimy zważać na naszą reputację. Nie zhańbię pułku jakimś niestosownym przejawem emocjonalnej niepowściągliwości. Jeśli tego pan oczekuje, niech pójdzie pan przesłuchać włoskiego kaprała!

Liebermann spojrział w górę na kopułę. Szesnaścioro cherubinków tańczyło ponad ośmioma okrągłymi oknami, a całą budowlę wspierały poślaczane łuki.

Uwielbiał Muzeum Historii Naturalnej. Było to miejsce, w którym człowiek mógł

zachwycić się różnorodnością życia i zadumać nad niesamowitą potęgą nauki, odkrywającej tajemnice wszechświata. Karol Darwin obył się bez Stwórcy, zastąpił go prostą zasadą: naturalną selekcją. W wybitnym dziele *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego czyli o utrzymywaniu się doskonalszych ras w walce o byt* wielki biolog zdołał opisać proces ewolucji jednym prostym zdaniem: „Rozmnażać się, różnić, dać przeżyć najsilniejszemu i umrzeć najsłabszemu”. Było to zarazem przerażające i piękne, i wyjaśniało wszystko: istnienie wzroku, słuchu, ptaków i pożądania - nic nie wymykało się imponującej i budzącej grozę teorii Darwina.

- Dokąd teraz idziemy? - spytała Clara.

- Zobaczyć naszych krewnych.

- Zaprosiłeś ich?

- Nie, oni już tu są.

- Co?! - Clara była wyraźnie urażona.

Para weszła do ogromnej sali zastawionej szklanymi gablotami, z których wszystkie wypełnione były wypchanymi zwierzętami. Liebermann wskazał jedną z nich, w której grupka goryli - samiec, samica i dwoje młodych - marniała za rachitycznym drzewkiem.

Clara dźgnęła Liebermanna w żebra i wykrzyknęła:

- Max!

- No cóż - rzekł Liebermann - mówiąc ściśle, jesteśmy spokrewnieni.

- Mów za siebie...

- Naprawdę, z wielką przyjemnością przyznaję, że linia Liebermannów posiada pewne cechy charakterystyczne, które wyraźnie świadczą o związkach z człekokształtnymi. Spójrz na tego samca, przypomina trochę mojego ojca, nie sądzisz?

Clara podeszła bliżej do gabloty i jej twarz natychmiast rozjaśnił uśmiech zdziwienia.

Była to prawda. Goryl rzeczywiście był odrobinę podobny do ojca Maksa. W masywnym czole i mocnej zuchwie zwierzęcia było coś, co kojarzyło się jej - aczkolwiek dość mgliście -

z pełnym dezaprobaty obliczem Mendla Liebermanna.

- Max... - rzekła Clara, unosząc dłoń do ust, jednocześnie rozbawiona i zgorzona. -

Powinieneś okazywać więcej szacunku... ale... zaczęła chichotać - podobieństwo rzeczywiście jest niesamowite.

- No widzisz. Niepodważalny dowód na prawdziwość hipotezy pana Darwina.

Wyraz twarzy Clary zmienił się. Zaciśnęła usta i się nadęsała.

- Co się stało? - spytał Liebermann, robiąc krok naprzód i pozwałając jej oprzeć się o swoją pierś. W sali nie było innych zwiedzających ale Liebermann i tak roztropnie zerkał na drzwi. Publiczne okazywanie bliskości nie byłoby tolerowane w cesarskim muzeum.

- Naprawdę w to wierzysz, Max? Że przeszliśmy... jak to się mówi... ewolucję, tak?

Że pochodzimy od małpy?

- Cóż - odparł Liebermann - z pewnością nie wierzę, że Ada i Ewa dali początek ludzkiej rasie po tym, jak zostali wygnani z rajskiego ogrodu.

Clara podniosła wzrok. Jej czerwone wargi były zbyt kuszące, by się im oprzeć i Liebermann skradł szybki, suchy pocałunek.

- No, ale małpy... - powiedziała cicho. Liebermann pocałował ją ponownie, tym razem w policzek. Clara nie zareagowała, a jej twarz coraz bardziej nieruchomiała w wyrazie po wagi. Wydawała się niezmiernie tą myślą skonsternowana.

- Max... - zaczęła niepewnie. - Tak?

- Skoro pochodzimy od małpy... czy pewnego dnia... nie stanę się na powrót małpami?

- Pewna liczba naukowców i lekarzy obawia się takiej sytuacji. Sugerują, że cywilizowane społeczeństwa muszą być czujne i baczyć na oznaki tego, co nazywają

„degeneracją”. Zaliczają się do nich prymitywne cechy fizyczne i pewne cechy umysłowe.

Jednak takie pograżanie się w chaosie trwałoby bardzo wiele pokoleń. Zajęłoby tysiące, a może nawet miliony lat...

W mgnieniu oka Clarze poprawił się nastrój. Jak gdyby chwila przygnębienia nigdy nie nastąpiła. Rozchyliła usta i posłała olśniewający, promienny uśmiech.

- Chodźmy do miasta, Max. Mama mówiła, że na wystawie u jubilera przy Karntnerstrasse są kolczyki z granatami, prosto z Pragi. - Odsunęła się. - Myślę, że świetnie pasowałyby do mojej nowej sukni z krepdeszynu: wiesz której, włożyłam ją na przyjęcie u Weiglów? Kosztowała sto

florenów, musisz ją pamiętać.

Rheinhardt zakończył przesłuchania. Pułkownik Kabok pożegnał go obojętnie i dał

mu wyraźnie do zrozumienia, by przyspieszył swoje wyjście. Inspektor skierował kroki ku zbiorowisku rozmaitych zabudowań gospodarczych, a już po chwili mozolnie sunął skrajem zamrożonego placu apelowego. Szedł wzdłuż niskiego murku utworzonego ze szlamu i lodu, który został wcześniej odgarnięty na bok.

Pułk ułanów zdawał się ćwiczyć skomplikowaną musztrę, która wymagała sporych umiejętności i koncentracji. Głowy wszystkich koni były pochylone pod identycznym kątem, a wszyscy jeźdźcy trzymali skierowane ku górze szable. Oficer dosiadający pięknego kasztanowatego wałacha był wyraźnie niezadowolony z jednego z podwładnych i ruszył

cwałem do nieszczęsnego winowajcy. Otworzył usta i ryknął, wyrzucając z siebie potok rysztokowych obelg. W odpowiedzi jeździec wydawał się dokonywać jakichś drobnych korekt, ale Rheinhardt nie potrafił dostrzec, pod jakim względem poprawiła się jego postawa.

Dla jego niewprawnego oka koń jeździec wyglądali dokładnie tak samo jak przedtem. Jednak oficer wyglądał na udobruchanego i wycofał się z kolumny szwadronu.

Rheinhardt przeszedł pod łukiem, ponad którym sterczały dwie rzeźbione końskie głowy; po bliższym przyjrzeniu się zobaczył, że mniejsza z nich przedstawia żywe zwierzę, większa zaś ochronne nakrycie głowy albo końską zbroję.

Nie był to szczególnie owocny poranek. Wszyscy kawalerzyści okazali się niezbyt chętni do współpracy i Rheinhardt odniósł wrażenie, że, przez sam fakt przeprowadzania rutynowych przesłuchań podważał - w ich oczach - prawość armii Jego Cesarskiej Mości, a tym samym prowadził niepatriotyczne śledztwo. Być może poczucie, że działał tak niewiele, skłoniło Rheinhardta do minięcia szybkim krokiem wabiących, zaparowanych okien kiiku kawiarni z niebiesko migoczącymi otwartymi płomieniami gazowymi w środku i podążenia w stronę Spittelbergu. Nie bardzo wiedział, co ma nadzieję osiągnąć, zbaczając z drogi, uważał

jednak, że działanie - w zasadzie jakiegokolwiek działanie - ulży poczuciu frustracji, które w nim narastało od chwili pierwszego spotkania z pułkownikiem Kabokiem.

Rheinhardt postawił kołnierz płaszcza i wędrował przez szereg ciasnych uliczek, które prowadziły go do celu. Wkroczywszy w rejon Spittelbergu, stwierdził, że musi zachować większą ostrożność na śliskich kocich łbach. Choć było stosunkowo wczesne popołudnie, zaczynało się już ściemniać. Kobieta opatulona obszerną chustą pięła się powoli wąską uliczką. Ścisnęła w rękę wiklinowy kosz, którego zawartość była przykryta brudną serwetką.

Za nią dreptał maty chłopiec, ciągnąc po ziemi zabawkowy miecz zrobiony z dwóch kawałków drewna połączonych zardzewiałym gwoździem. Rheinhardt puścił oko, ale filigranowy żołnierz był zbyt zziębnięty, by zareagować.

Gdy Rheinhardt zbliżał się do domu Madam Borek, dostrzegł postać, która wyglądała znajomo: stary mężczyzna, zgięty nad laską, w szerokim kapeluszu noszonym zwykle przez bohemę. Był to ten sam starzec, który czekał przed domem Madam Borek, kiedy inspektor po raz pierwszy przybył tam z Hausmannem. Rheinhardt pomachał ręką, a stary uchylił w odpowiedzi kapelusza.

- A więc - odezwał się Rheinhardt - wciąż pan tu wystaje. - Stary poruszył zuchwą i cmoknął. Spojrzał na swego rozmówcę z lekko zdziwioną miną. - Już się kiedyś spotkaliśmy -

dodał Rheinhardt.

- Tak - odparł starzec. - To pan jest tym policjantem, który kazał mi odejść.

Powiedział pan, żebym poszedł do domu i rozpalił w piecu.

- Zgadza się. A dziś mamy kolejny przenikliwie zimny dzień. Dlaczego, przyjacielu, znowu pan tutaj stoi? Nabawi się pan zapalenia płuc!

- Czekam na córkę - odparł stary mężczyzna. - Czasami, kiedy się spóźnia, zaczynam się martwić. Przychodzę tu, stoję pod świętym Józefem - - Wskazał na małą figurkę z aureolą z pasków metalu. - Stąd widzę, jak wychodzi zza rogu. - Stary skinął w kierunku ulicy.

- Czym się zajmuje? Pańska córka? - spytał Rheinhardt.

- Sprzedaje na szklanki sok z korniszonów na targu chlebowym. To prosta dziewczyna. - Podmuch wiatru wzbił w powietrze tuman sypkiego śniegu, zmuszając starego do zamknięcia oczu. - Gdy otworzył je ponownie, były wilgotne i szkliste. - Już go złapaliście? - spytał chrapliwym głosem.

- Kogo?

- Krulla, tego, który je zabił... Frau Borek i tamte trzy dziewczyny. - Stary wskazał

laską opustoszały burdel.

- Co pan powiedział?

- Krulla. Już go złapaliście?

- Kto to jest Krull?

- Człowiek, który zaciukał je wszystkie.

- Dlaczego pan tak mówi? Dlaczego sądzi pan, że Herr Krull ponosi winę za te morderstwa?

- Zawsze się tu pętał.

- Przed domem Madam Borek? - Tak.

- I co robił?

- Czekał.

- Czekał na kogo?

- Na jedną z dziewczyn. Gadał, jaka to ona piękna i że chce coś jej dać... nie wiem.

- Widział ją pan kiedyś? Tę dziewczynę?

- Tak. Drobna. Jak dziecko.

- I co zrobił Krull? Wszedł z nią do środka?

- Nie. Nigdy tam nie wszedł. Po prostu sterczał na zewnątrz. Czekał na dogodny moment.

Rheinhardt wyjął notes i zaczął pisać.

- Jak on wygląda?

- No, jest niski. Niewiele wyższy ode mnie.

- Jakiego koloru ma włosy?- Nie wiem, zawsze nosi czapkę.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia, trzydzieści... - Stary poskubał brodę. - Może, czterdzieści.

Rheinhardt westchnął.

- Młody czy stary?

- Młody, no ale mnie wszyscy wydają się młodzi. Aha, i do tego utyka.

- Dlaczego nie opowiedział mi pan o tym wcześniej?

- Nie wiedziałem, że nie żyją. Pan nie puścił pary z ust. Córka mi powiedziała.

- Tak, oczywiście - rzekł przeproszającym tonem Rheinhardt. Tak czy owak, jak tylko pana podejrzenie padło na Herr Krulla, powinien był pan kazać córce skontaktować się z policją.

Starzec wzruszył ramionami.

- To prosta dziewczyna.

- Wie pan, gdzie mogę znaleźć Herr Krulla? Stary popatrzył nieobecny wzrokiem.

- Przyjacielu - rzekł Rheinhardt, usiłując zachować spokój. - Odnalezienie tego mężczyzny jest

niezmiernie istotne. Wie pan, gdzie on mieszka?

- Niech pan idzie do oberży i zapyta właściciela, Herr Jutzeta. On, wie, gdzie kto mieszka.

Schody były zrobione z ociosanego białego jak kamienia i wciśnięte między dwie wysokie, pozbawione okien ściany. Im wyżej, tym bardziej się zwężały i stawały nierówne.

Na samej górze znajdowała się wnęka; zawierająca gipsowy odlew Chrystusa na krzyżu.

Figurka była skąpana w nikłym, żółtym pełzającym świetle rzucanym przez wadliwie działającą lampę gazową. By dostać się na pierwszy stopień, trzeba było przestąpić kałużę zamarznętej wody, która zebrała się w zagłębieniu po kilku brakujących kamieniach brukowych.

Rheinhardt sprawdził lód butem i przyglądał się, jak dendrytowy wzór rozchodzi się od miejsca ucisku. Nacisnął mocniej. Ciecz, która zebrała się między pęknięciami, bardziej przypominała olej niż wodę.

- Wchodzimy na górę, sir? - spytał Hausmann.

- Przypuszczam, że to właściwy adres.

Herr futzet, brzuchaty oberżysta o czerwonych policzkach, był aż nadto uczynny:

- Tak, znam Herr Krulla. Samotnik, z przetrażoną nogą. Jest mi winien cztery korony.

Oto jego adres, zapiszę panu. Jak go zobaczycie, powiedzcie mu, żeby oddał pieniądze.

Cztery korony. A jeśli nie pospieszy się z zapłatą, przyjdę odebrać ją osobiście.

Dwaj detektywi zaczęli wchodzić na górę. Po obu stronach wbito w ściany duże gwoździe, na których zawieszono galerię ponurych rupieci: pęknięte stare lustro, kawałki sznurka i zbieraninę brudnych szmat.

Rheinhardt potknął się niemal natychmiast. Trudno było znaleźć porządne oparcie dla stóp na pochyłych stopniach. Wyciągnął rękę i dotknął ściany, by odzyskać równowagę.

- Nic panu nie jest, sir? - zatroskał się Hausmann.

- Nie, dziękuję - odparł Rheinhardt, choć ani trochę nie był pewien, czy zdołają dotrzeć do celu, nie odnosząc przy tym poważnych obrażeń. Posuwali się naprzód powoli, przystając na każdym schodku, nim zmierzli się z kolejnym. Wreszcie znaleźli się na górze, gdzie obaj przystanęli, chcąc przyjrzeć się krucyfikowski, który mieścił się we wnęcie i był

zabezpieczony żelazną kratą. Sama figura była wyszczerbiona i wyblakła; wydawało się jednak, że korona cierniowa Chrystusa oraz przebity włócznią bok zostały niedawno hojnie podmalowane czerwoną farbą. U stóp krzyża leżało kilka wypalonych świec, a Chrystus miał

okopcone nogi. Czerwony i biały wosk spłynęły poza krawędź niszy i zastygły w cienkich strużkach,

które przywarły do tynku.

- Raczej szkaradne, prawda? - spytał Rheinhardt.

- Tak - rzekł Haussmann. - Całe to miejsce jest dość potworne. Ramiona młodego mężczyzny przeszył mimowolny dreszcz.

- Co to? - Rheinhardt spuścił głowę i zajął do wnętrza. Światło było wyjątkowo marne, ale zdołał dostrzec w środku coś małego i bladego. Poszukał w kieszeni pudełka zapalek i rozjaśnił mrok. W błysku zapalniczki przedmiot stał się lepiej widoczny. - Widzisz to? -

Rheinhardt zniżył głos do szeptu.

- Tak jest.

- Zapalę jeszcze jedną zapalniczkę. Zobacz, czy da się wyjąć.

W fosforyzującym świetle Haussmann przepchnął przez kratę swoje długie palce i schwycił przedmiot ruchem nożycowym. Wyciągnął go powoli i unióś wyżej. Mrugające światło lampy gazowej wystarczająco rozświetlało mrok.

- Mój Boże - powiedział Rheinhardt.

- Wygląda jak... - Haussmann nie dokończył zdania.

- To kość.

Młodszy mężczyzna znów zadrżał.

- Ludzka?

- Niewykluczone.

- Sir? - Tak?

Haussmann i tym razem ściszył głos, tak bardzo, że Rheinhardt musiał pochylić się niżej, by go dosłyszeć.

- Sądzi pan, że to rozsądne, byśmy przychodzili tu tak jak teraz, tylko we dwóch? Nie poinformowaliśmy biura bezpieczeństwa o miejscu naszego pobytu. Jeśli Krull jest odpowiedzialny za okropieństwa, które widzieliśmy na własne oczy...

Rheinhardt wziął kość od swojego współpracownika i obrócił ją w palcach. Następnie wsunął ją do kieszeni płaszcza. Gdy cofnął rękę, trzymał w niej rewolwer.

- Nie narażałbym twojego życia na niebezpieczeństwo, Haussmann - powiedział

stanowczym głosem. Po czym, schowawszy rewolwer do kieszeni, położył dłoń na ramieniu towarzysza. - Chodź, Haussmann. Mamy coś do zrobienia.

Dwaj mężczyźni pograżyli się w ciemnościach i odnaleźli drzwi. Rheinhardt usiłował

wymacać kołatkę, ale nigdzie na nią nie natrafił. Zacisnął zatem pięść i zaczął walić w jedną z desek. Czekali.

- Kto tam? - zza drzwi dobiegi zduszony głos.

- Policja. Otwierać - nakazał Rheinhardt.

Nastąpiła seria różnych odgłosów. Odsuwania rygli, pobrzękiwania łańcuchami i przekręcania klucza. Wreszcie drzwi zostały otwarte. Rheinhardt nie widział rysów twarzy człowieka, który się w nich ukazał.

Jedynym silniejszym źródłem światła była lampa naftowa za plecami inspektora.

- Herr Krull?

- Tak.

- Detektyw inspektor Rheinhardt, a to mój asystent Haussmann. Możemy wejść?

Mężczyzna szybko poruszył głową, patrząc najpierw na Rheinhardta, potem na Haussmanna i znów przenosząc wzrok na Rheinhardta.

- Nie macie na sobie mundurów. Skąd mam wiedzieć, czy jesteście z policji, czy nie?

Każdy może sobie tak przyjść. - Krull mówił z twardym, surowym akcentem. Słowa wypowiadał gardłowo. Jego niemczyzna pozbawiona była wszelkiej melodyjności, przypominała bardziej chrząkanie niż mowę.

Rheinhardt westchnął i wyjął dokumenty. Krull przyglądał się im dokładnie przez kilka sekund i skinął głową.

- No dobrze, wejdźcie. W tym miejscu ostrożności nigdy nie za wiele, możecie mi wierzyć.

Krull wprowadził ich do środka. Izba niewiele różniła się od nory. Stół, krzesło i mały piecyk. Na stole leżał opasły, oprawiony w skórę tom - wyglądał jak Biblia. Przez sąsiednie drzwi można było dojrzeć pograżoną w mroku sypialnię: na podłodze leżał siennik, była tam jeszcze przepastna szafa. Powietrze cuchnęło. Rheinhardt dojrzał figurkę Matki Boskiej we wnęce maleńkiego kwadratowego okienka. Krull pokuśtykał do krzesła i usiadł.

- Co dolega panu w nogę? - spytał Rheinhardt.

- Wrodzone zniekształcenie stopy - wyjaśnił Krull.

- Bolesne? - zaniepokoił się Rheinhardt.

- Bywa, że tak - rzekł Krull.

Rheinhardt zrobił krok naprzód i upewnił się, że w zasięgu ręki Krulla nie ma niczego, co mogłoby posłużyć mu za broń.

- No, to o co chodzi, he? - zażądał wyjaśnień Krull.

Obserwując wzburzonego niskiego mężczyznę, Rheinhardt nie potrafił ustalić, co jest stosowniejsze: odraza czy litość. Pośród różnorodności ludzkich typów Krull był najbardziej godnym pożałowania osobnikiem. Kryminolog sympatyzujący z poglądami Galtona i Lombrosa natychmiast rozpoznałby w Krullu mordercę. Miał całkowicie atawistyczne rysy: niskie czoło, uszy jak uchwyty dzbanki oraz kostny grzbiet nad orbitami zapadniętych oczu.

Splaszczony nos i zuchwa z wyraźnym przodozgrzyzem dopełniały zestawu małpich cech.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, Herr Krull.

- Nic nie wiem o żadnych morderstwach. - Pokręcił przecząco głową.

- Być może, wierzę jednak, że zdoła nam pan pomóc w dochodzeniu.

- Wiercie sobie, w co chcecie, ja nic nie wiem.

Hausmann wymknął się dyskretnie za krzesło Krulla; nie był jednak wystarczająco dyskretny, by uszło to uwagi gospodarza. Niski mężczyzna zerknął do tyłu przez ramię, po czym niespokojnie spojrział na Rheinhardta.

- Co tu robicie? Czego ode mnie chcecie?

- Herr Krull, z pewnością wie pan o niedawnej potworności, jaka wydarzyła się w Spittelbergu.

- Trzymam się z boku.

- Nie do końca. Domyślam się, że Herr Jutzet jest panu dobrze znany.

Hausmann odkrył kolejny symbol religijny i przytrzymał go przez chwilę za plecami Krulla. Była to mała, rzeźbiona w drewnie figurka świętego Franciszka z Asyżu udzielającego błogosławieństwa.

Wydawało się, że zuchwa Krulla wysunęła się jeszcze bardziej.

- Nasłał was Herr Jutzet?

- To on wskazał nam pański adres. Nawiasem mówiąc, poczciwy oberzysta nie może się doczekać, kiedy złoży mu pan wizytę w celu uregulowania kłopotliwej sytuacji pieniężnej.

- Czego?

- Pańskiego długu, Herr Krull. Napomknięto nam o kwocie w wysokości czterech koron.

- Trzech koron. Dodał jedną jako procent. Ten typ jest gorszy od Żyda. Pewnie jest Żydem.

Rheinhardt zerknął ponad ramieniem Krulla. Hausmann zrobił krok w tył i wszedł do sypialni.

- Herr Krull - kontynuował Rheinhardt. - Rozmawiałem dzisiaj z pewnym znanym panu dżentelmenem, niejakim Herr Chałupnikiem.

- Z kim?

- Z Herr Chałupnikiem. Starszy jegomość. Często wystaje pod posągami świętego Józefa, czekając na córkę. Krull prychnął.

- Nie znam jego nazwiska. Przypuszczam, że chodzi o tego starego Czecha.

- Tak. Szeroki kapelusz, długa broda, chodzi o łasce. Zna go pan.

- Nie zwracałbym większej uwagi na to, co on gada.

- Dlaczego?

- Ma przytępiony umysł.

- Może i jest wiekowy, i może zawodzi go pamięć, ale pan, Herr Krull, najwyraźniej wywarł na nim spore wrażenie.

Hausmann otworzył szafę. Starał się zrobić to cicho, lecz drzwi głośno zaskrzypiały.

Krull gwałtownie się odwrócił.

- Co pan robi? Niech pan wyjdzie. Niech pan wyjdzie stamtąd natychmiast.

Groteskowy człowieczek podniósł się z krzesła i ruszył ku sypialni.

- Herr Krull - zawołał Rheinhardt. - Proszę pozostać na miejscu.

Krull zignorował inspektora i rzucił się w stronę młodego detektywa. Jednak zanim go dopadł, z szafy zdążył wypaść tobolek z ubraniami, który leżał teraz na podłodze. Nawet w półmroku plamy na odzieży były wyraźnie widoczne.

- Sir... - zawołał Hausmann.

- Nic nie rozumiecie - rzekł Krull. - Popelniacie błąd. Popelniacie wielki błąd.

Rheinhardt wszedł do sypialni i przykucnął obok cuchnącej sterty ubrań. Podniósł

koszulę. Materiał był sztywny i szorstki od grudek wyschniętej, zakrzepłej krwi.

Krull został przyprowadzony z celi przez dwóch policjantów, którzy trzymali teraz straż przed specjalnie przygotowanym pomieszczeniem.

Tuż po swoim przybyciu Liebermann poinstruował Krulla, by położył się na kozetce.

Drobny mężczyzna z miejsca zaprotestował.

- Herr Krull - rzekł Rheinhardt - sędziowie nie są przychylnie usposobieni do oskarżonych, którzy nie chcą współpracować z policją. Może zechciałby pan to rozważyć, nim zajmie pan stanowisko w tej kwestii.

Krull zaklął pod nosem i niezgrabnie ułożył się na kozetce. Jego małpim rysom nie towarzyszyła zwierzęca zwinność.

Liebermann przysunął krzesło i ustawił je u wezłowania kozetki, po za zasięgiem wzroku Krulla. Krull szarpnął głową w tył

- Proszę, Herr Krull - powiedział Liebermann. - Niech pan nie próbuje na mnie patrzeć. Proszę patrzeć prosto przed siebie albo zamknąć oczy, jak panu wygodniej.

- Wygodniej? - powtórzył Krull. - Żartowniś z pana, Herr Doktor. Liebermann skrzyżował nogi, położył łokieć na poręczy krzesła i podparł głowę prawą ręką. Zaczął od wywiadu - dokładnie tak, jak uczyniłby przy przyjmowaniu pacjenta do szpitala.

Krull urodził się i wychowywał na wsi, lecz przybył do Wiednia w pogoni za lepszym losem. Jak wielu przed nim, szybko przekonał się, że wielkie miasto kapryśnie rozdziela swe dary. Nie wszyscy znaleźli zatrudnienie i zgromadzili bogactwo. Krull spędził pierwszą zimę w schronisku prowadzonym przez instytucję dobroczynną, a kolejne trzy lata w hoteliku dla mężczyzn w Brigittenau. Jego współtowarzyszami byli głównie robotnicy i złote ręczki.

Podobnie jak on, większość z nich pochodziła z Dolnej Austrii, lecz Krull był także zmuszony dzielić salę sypialną z kilkoma „kłamliwymi Chorwatami”, „chciwymi Węgrami” i przypadkowymi „sprośnymi Rosjanami”. Przeprowadził się najpierw na Landstrasse, potem na Ottakring, nim w końcu zapewnił sobie względny luksus posępnego mieszkania na obrzeżach Spittelbergu. Podczas wielu lat życia w skrajnej nędzy znalazł się pod wpływem katolickiego księdza nazywanego ojcem Anzelmem, który stał się jego duchowym mentorem.

- Powinniście go odnaleźć! - krzyknął Krull. - On by się za mną wstawił.

Powiedziałby, jak bardzo się mylicie!

Liebermann poruszył palcem wskazującym. Uderzył nim trzykrotnie w skroń i zapytał:

- Dlaczego odwiedzał pan dom publiczny Madam Borek, Herr Krull?

Maty człowieczek burknął coś niezrozumiale i wreszcie odparł:

- Nigdy nie odwiedziłem burdelu Madam Borek.

- Widziano pana przed tym przybytkiem kilkakrotnie. Co pan tam robił?

Krull wykręcił do tyłu głowę.

- Dlaczego muszę tak tutaj leżeć? Coś mi pan zrobi?

- Nie - odpowiedział cierpliwie Liebermann. - Czy mógłby pan odpowiedzieć teraz na pytanie? Co pan tam robił?

- Chciałem zobaczyć się z pewną dziewczyną - warknął Krull.

- Z którą?

- Z taką młodziutką, z Ludka.

- Dlaczego chciał się pan z nią zobaczyć?

Krull ścisnął w palcach mięsistą dolną wargę. W miejscach, gdzie brud zebrał się pod paznokciami, pokazały się ciemne półksiężycy.

- Chciałem z nią porozmawiać. - Liebermann pozwolił przedłużyć się pauzie, która po tych słowach nastąpiła. - Chciałem ją wybawić.

Młody lekarz uniósł brwi i spojrzał na Rheinhardta.

- Wybawić? - powtórzył Liebermann.

- Tak, od grzesznego życia.

- Rozumiem - rzekł Liebermann. Zdjął nogę z nogi i pochylił się do przodu.

- Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z Ludka?

- Tylko raz.

- Kiedy to było?

- Za pierwszym razem: kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jakiś miesiąc temu, to było przy fontannie.

- I co jej pan powiedział?

- Byłem przeziębiony, kichałem. Dała mi swoją chusteczkę. Spytałem, gdzie mieszka, wskazała w głąb ulicy. Znałem ten dom... to znaczy wiedziałem, co to za miejsce. Obiecałem zwrócić chusteczkę.

Rzecz w tym, że jej niemiecki był dość słaby, nie jestem pewien, czy mnie zrozumiała.

- I dotrzymał pan obietnicy? Oddał pan chusteczkę?

- Nie, nie miałem okazji.

- Gdzie jest teraz ta chusteczka? Wydawało się, że Krull uderzył się w serce - był to gest, który Liebermann odczytał jako wskazanie, że chusteczka znajduje się w jednej z kieszeni.

- Mogę ją zobaczyć?

Niewysoki mężczyzna wsunął prawą rękę pod lewą klapę kurtki i wyciągnął mały kwadrat białego płótna. Brzegi ozdobił delikatny haftowany motyw złączonych ze sobą różyczek.

- Dziękuję - powiedział Liebermann.

Krull uniósł chusteczkę do nosa, wciągnął w nozdrza jej zapach i wcisnął ją z powrotem do kieszeni.

- Poszedłem do tego domu - mówi dalej Krull. - Nie zaprzeczam. Stałem pod nim godzinami, czekając na nią, aż wyjdzie, i tak wdałem się w rozmowę z tym starym plotkarzem Chałupnikiem.

- Dlaczego nie zapukał pan do drzwi?

- Nie wiem... z powodu wstydu... skrępowania. Najczęściej lądowałem w oberży, rozgrzewając się śliwownicą, zawsze o jedną za dużo.

- Twierdzi pan, że po tym pierwszym spotkaniu nie widział jej pan nigdy więcej?

- Nie. Widziałem, ale tylko jeden raz. Był też Chałupnik. Wyszła z kawalerzystą.

Wysoki blondyn, chyba można by go nazwać przystojnym. Śmiali się... myślę, że był pijany.

Czułem... sam nie wiem... byłem w środku wzburzony. Odwróciłem się do nich plecami i zacząłem rozmawiać ze starym. Ona mnie nie widziała.

- Herr Krull, czy był pan w Ludce zakochany?

- Niech pan nie będzie śmieszny! Było mi jej żal. Chciałem pomóc jej wydostać się z tego miejsca. Ci żołnierze... słyszałem, do czego się posuwają. Gdyby tak cesarz znał prawdę, co?

Liebermann wyjął mały, biały przedmiot, który następnie przytrzymał nad głową Krulla.

- Poznaje pan to, Herr Krull? - Nie.

- Trzeci paliczek, jak sądzę, należący prawdopodobnie do kobiety w wieku dziewiętnastu lub dwudziestu lat.

- Trzecie co? O czym pan mówi?

- To kobiecy palec, Herr Krull. A wie pan, gdzie go znalezione? We wnęce tuż przy wejściu do pańskiego mieszkania, wśród świec wotywnych.

- Ludzie wiecznie coś tam wrzucają. Prawdopodobnie należy do studenta medycyny z dołu...

Liebermann usunął kość z linii wzroku Krulla.

- Herr Krull, dlaczego ubrania w pańskiej szafie były poplamione krwią?

- Wie pan dlaczego, mówiłem inspektorowi.

- Tak, ale chcę, by powiedział pan mnie.

- Ubrania były poplamione krwią, ponieważ pracuję w rzeźni. To świńska krew.

- Czy zwykle zostawia pan zakrwawione ubrania w szafie?

- Tak. Nie mam gdzie ich trzymać. Jeśli nie dostanę się do łaźni, ubrania pozostają niewyprane.

Mała kawiarenka w pobliżu Instytutu Anatomii znajdowała się w odległości krótkiego spaceru od komisariatu policji przy Schottenring. Liebermann jeszcze raz znalazł się przy oknie, obserwując ruch uliczny. Po drugiej stronie stolika Rheinhardt podziwiał konstrukcję o zawiniętych do środka brzegach, która wypełniała jego talerz. Była to obfita porcja *tiroler strauben*, chrupiących, świeżo usmażonych zawijanych naleśników, przyprawionych sznapssem i posypanych cukrem. Rheinhardt odkroił widelcem roladkę jasnobrązowego deseru i podniósł kęs do ust.

- O, tak - rzekł, energicznie przeżuając. - Naprawdę wyśmienite, dokładnie takie, jakie jadłem zeszłego lata w Tyrolu.

Liebermann popijał swoją *schwarzer* i ćwiczył palcówkę, bębniąc o krawędź stołu.

- No i co? - odezwał się w końcu Rheinhardt.

- Myślę - odparł Liebermann.

- Mój drogi kolego - rzeki Rheinhardt - zdążyłem już wydedukować, że nie liczysz tramwajów. Może byłbyś uprzejmy podzielić się ze mną swymi przemyśleniami?

Liebermann westchnął i spojrzał w stronę przyjaciela. - Głęboko niepokoi mnie wygląd Herr Krulla.

- W istocie. Gdy ujrzałem go po raz pierwszy, pomyślałem sobie: oto twarz, która dowodzi teorii Lombrosa. Wiem, że nie zgadzasz się z Lombrossem, Max, ale ten człowiek wygląda jak - wybac mi niegrzeczność - małpa. Widziałem kiedyś ilustrację przedstawiającą artystyczną wizję istoty, od której wziął się gatunek *Homo sapiens*. Mogłaby być bratem Krulla.

- I na tym polega problem - powiedział Liebermann. - Patrzymy na tę twarz i jesteśmy z miejsca uprzedzeni. Poza tym ten nieokrzesaniec robi niewiele, byśmy zmienili o nim zdanie. Jego maniery i higiena są przerażające. Widziałeś jego paznokcie? - Liebermann udał, że się wzdryga. - I właśnie dlatego - ciągnął - należy zachować ostrożności!

Rheinhardt przerwał pałaszowanie swoich *strauben* i odłożył widelec na talerz.

- Z całym szacunkiem, Max - powiedział powoli - nie jestem do końca pewien, co masz na myśli.

Liebermann złączył czubki palców.

- Aż nazbyt łatwo wyobrazić sobie, jak taka żalosna postać jak Krull dopuszcza się potworności: samotny, ubogi i rozczarowany mężczyzna, odrzucony przez równych sobie - i przez kobiety - z powodu swej niewydarzonej aparycji. Zgorzkniały, gniewnie odcina się od społeczeństwa i zwraca ku Bogu, stając się nieszczęsnym uczniem jakiegoś fanatycznego księdza. Poluje na prostytutki, jego impulsywne uczucia sankcjonuje religia, która popycha go do wyplenienia zepsucia z tego świata. Jest dobrze przygotowany do tego rodzaju misji, jego wrażliwość została bowiem stępiona codziennym zarzucaniem zwierząt. Każde morderstwo jest ofiarowane odkupicielowi podczas

prywatnego obrzędu - z ciała zostaje wyjęte trofeum i złożone między świecami wotywnymi.

Rheinhardt pochylił się do przodu i zmrużył oczy, słuchając z zainteresowaniem.

Liebermann rozłożył ręce.

- Wyobraź sobie, powiedzmy, coś takiego: w tej ponurej, beznadziejnej, surowej egzystencji pojawia się wizja współczucia. Spotyka kobietę, Ludkę, która jest piękna i obdarowuje go swą dobrocią. To rzadka i wyjątkowa przyjemność. Jej uśmiech jest jak wiosenny promyk słońca. Nasz mężczyzna jest wewnętrznie rozdarty. Wie, że Ludka trzusi się prostytutką - to rzecz wyklęta - lecz po raz pierwszy od wielu lat na jego rany psychiczne nałożono balsam współczucia. Jest głęboko poruszony: waha się, ociąga, rozmyśla i usiłuje uśmierzyć ból alkoholem. W końcu znajduje sposób na rozwiązanie tego strasznego konfliktu i do głosu dochodzi psychologiczny mechanizm obronny w postaci racjonalizacji.

Wyzwoli to biedne dziecko z ziemskiego cierpienia i zawiedzie do bram niebios. W praktyce wybawi ją od życia w grzechu. Kiedy rozprawia się z Madam Borek i dwiema innymi kobietami, jego gniew przybiera czystą postać. Morduje je bez litości i okalecza ich ciała.

Jednak Ludki zbezczęścić nie może... jej akt życzliwości na zawsze pozostanie w jego duszy.

A ofiarowana chusteczka nigdy nie opuści miejsca obok serca.

- A jakie było tym razem trofeum? Ciała zostały okaleczone, ale żadnego fragmentu nie brakowało.

- Krew - wyjaśnił Liebermann. - Wziął ich krew. Krew, która wsiąkła we wrzucone do szafy ubrania.

Liebermann dopił kawę.

- Dobry Boże! Wszystko pasuje jak ulal - zawołał Rheinhardt, pakując nagle do ust miodowe resztki *tiroler strauben*.

- W istocie - ciągnął Liebermann - taki człowiek mógłby nawet uwznioślić tak potworny czyn uświęceniem burdelu symbolem krzyża.

Rheinhardt klasnął w ręce.

- Tak, oczywiście, to też, to też! Wszystko się zgadza! - Jednak jego podniecenie musiało opaść na widok skwaszonej miny młodego lekarza. - O co chodzi, Max?

- To nazbyt oczywiste. Krull jest... idealnym podejrzanym: doskonałym przykładem *Uomo delinquente* Lombrosa, którego osobista przeszłość i konflikty psychologiczne pasują do tej zbrodni bez zarzutu.

Rheinhardt oparł się w krześle i odsunął na bok talerz.

- I cóż w tym, na miły Bóg, złego? Liebermann wzruszył ramionami.
 - Oczywiście, całe to teoretyzowanie nie byłoby warte funta kłaków, gdybyśmy przekonali się, że Krull powiedział prawdę o plamach, gdyby krew nie okazała się krwią ludzką.
 - W samej rzeczy - przyznał Rheinhardt. - Lecz jak, u licha, moglibyśmy to ustalić?
- Krew to krew, prawda?- Niezupełnie.
- Istnieje jakiś test?
 - Mnie nie jest on znany, lecz obydwaj znamy kogoś, kto może to; wiedzieć.
 - Czyżby?
 - Tak. Panna Lydgate. Rheinhardt uniósł brwi.
 - Ta Angielka... nie zdawałem sobie sprawy, że nadal pozostajesz z nią w kontakcie.
 - Prowadzi teraz z Landsteinerem badania nad chorobami krwi w Instytucie Patologii -
- mówił dalej Liebermann. - Jeśli istnieje jakaś metoda, która pozwoli odróżnić krew ludzką od krwi zwierzęcej, zapewniam cię, że panna Lydgate będzie o niej wiedziała.

Amelia Lydgate nalala herbatę i poczęstowała Liebermanna angielskimi herbatnikami.

- Matka przysłała je z Londynu. Kupiła je u Fortnuma.

- U Fortnuma?

- Tak, w ekskluzywnym sklepie Fortnum and Mason przy Piccadilly. Zaopatrują rodzinę królewską.

- Dziękuję - powiedział Liebermann, gryząc zwykły chrupiący krążek i podstawiając dłoń, by zebrać okruszki. Herbatnik był bez smaku i wyjątkowo suchy, ani trochę nie przypominał maślanych, aromatycznych, posypanych cukrem wyrobów, które można znaleźć w każdej wiedeńskiej piekarni. Mimo to uśmiechnął się uprzejmie i wypił łyk earl greya, by zwilżyć usta.

- Miło z pańskiej strony, że tak szybko odpowiedział pan na mój list - powiedziała Amelia, siadając po drugiej stronie rozkładanego stołu. I

- To drobiazg - odparł Liebermann. - Napisała pani, że chciałaby zasięgnąć mojej opinii?

- Tak - rzekła Amelia. - Zna pan profesora Focha?

- Tego chirurga?

- Tak. Byłam obecna na kilku jego wykładach i ćwiczeniach, które, ogólnie rzecz biorąc, są szalenie pouczające. Jednak kilka tygodni temu profesor nalegał, abym opuściła salę, ponieważ, jak oświadczył, wyraźnie widać, że za chwilę zemdleję. Nie była to prawda, lecz profesor Foch był bardzo stanowczy i wreszcie poczułam się w obowiązku spełnić jego żądania. Spotkaliśmy się następnego dnia: sugerował, że jego wykłady raczej nie są odpowiednie dla młodych dam i zaproponował, bym rozejrzała się za inną możliwością. Po gruntowniejszym zbadaniu sprawy dowiedziałam się, że profesor Foch wyrzuca studentki ze swoich zajęć, od kiedy dwa lata temu wydział medycyny zaczął przyjmować na studia również kobiety. Złożyłam następnie oficjalną skargę u dziekana. - Amelia przerwała i zmarszczyła czoło. - Doktorze Liebermann, czy uważa pan, że moja reakcja była stosowna?

Czy zachowałam się nieroztropnie?

- Och, bez wątpienia uczyniła pani rzecz właściwą, ale... - Tak?

- Człowiek taki jak profesor Foch ma znaczące wpływy w wiedeńskim świecie lekarskim i jeśli zdecydowałaby się pani po ukończeniu studiów robić specjalizację z jego dziedziny, przypuszczam, że mógłby mocno uprzykrzyć pani życie. Jednak wzięwszy pod uwagę fakt, że pani zainteresowania leżą gdzie indziej i że zdobyta już sobie pani cieszącego się silną pozycją sprzymierzeńca w osobie Landsteinerja, podejrzewam, że zgłoszenie skargi pociągnie za sobą niewiele, jeśli w ogóle, niepożądanych konsekwencji. Dziekan będzie teraz zobowiązany do udzielenia nagany profesorowi Fochowi, która, można mieć nadzieję, wywrze pożądany skutek. Ale szczerze wątpię, by można było

liczyć na dziekana w kwestii nałożenia sankcji. Niestety, on również jest mizoginem. Powiedział kiedyś koledze po fachu, że kobiety nigdy nie będą lekarzami, ponieważ przeszkadza im w tym mniejszy mózg.

Panna Lydgate w przerażeniu zakryła dłonią usta.

- Skoro ma takie poglądy, dlaczego miałby w ogóle odpowiadać na moją skargę?

- Och, nie ma wyboru. Cesarz jest zagorzałym zwolennikiem idei dopuszczania kobiet do profesji medycznej. Tylko kompletny idiota narażałby się na niechęć cesarza. Panno Lydgate, w Wiedniu znakomicie zapowiadające się kariery zostały doszczętnie zniszczone za sprawą przelotnego wyrazu niezadowolenia na cesarskim obliczu, wyrazu, który mógł - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa - być niczym więcej jak tylko przejawem niestrawności!

- W takim razie może powinnam wnieść petycję do samego cesarza? Amelia wypowiedziała te słowa ze spokojem i powagą.

- Cóż, mogłaby pani to uczynić - rzekł Liebermann, ukrywając swoje zdumienie. -

Radziłbym jednak wstrzymać się z tak śmiałym sposobem działania. Najpierw zobaczymy, jak potoczą się sprawy. Nawet ludzie pokroju profesora Focha nie mogą bez końca opierać się postępowi.

- Dziękuję, doktorze Liebermann - powiedziała Amelia. - Bardzo mi pan pomógł.

Może poczęstuje się pan jeszcze jednym herbatnikiem?

Liebermann uniósł dłoń nieco zbyt pośpiesznie.

- Nie, dziękuję. Bardzo pani miła, ale nie, dziękuję.

- No to może herbaty? Amelia napełniła filiżankę młodego doktora i podała dzbanuszek z mlekiem.

Przez pewien czas rozmawiali o uniwersyteckim życiu Amelii oraz projektach, które miała zamiar zainicjować z Landsteinerem w Instytucie Patologii. Choć jej zachowanie było -

jak zawsze - pełne rezerwy i opanowania, Liebermann wyczuwał, że ekscytuje ją nowe życie.

Z entuzjazmem, w sposób stonowany, acz wyrazisty, opowiadała o wybranych przez siebie kursach, pełnym programie nauczania z zakresu przedmiotów ścisłych, obejmującym anatomię, botanikę, chemię, mikroskopię, fizykę oraz fizjologię. Uczestniczyła nawet w kilku wykładach spoza zakresu nauk ścisłych, mianowicie z filozofii (zapoznawszy się niedawno z

- i zafascynowawszy się - pismami Nietzschego).

Gdy wyczerpali te tematy, Liebermann zapytał:

- Panno Lydgate... zastanawiałem się, czy nie byłaby pani skłonna jeszcze raz wspomóc nas w

sprawie policyjnej?

- Oczywiście, z przyjemnością. Czy inspektor Rheinhardt dobrze się miewa?

- Tak, znakomicie, dziękuję. Przekazuje serdeczne pozdrowienia. - Wyświadczy mi pan, mam nadzieję, drobną przysługę i odwzajemni mu się tym samym.

Liebermann umilkł na chwilę i złączył dłonie.

- Panno Lydgate - zaczął. - Czy wiadomo pani, co wydarzyło się w tym tygodniu w Spittelbergu?

- Tak - przyznała Amelia. - Zamordowano cztery kobiety. Czytałam o tym w

„Zeitung”.

- Właśnie. Makabra, z której podobną inspektor Rheinhardt oraz jego współpracownicy z biura bezpieczeństwa nigdy dotąd się nie zetknęli. Aresztowano już mężczyznę podejrzanego o dokonanie tej zbrodni. W jego szafie znaleziono przesiąknięte krwią ubrania, ale on pracuje w ubojni i twierdzi, że to krew świńska. Czy istnieje jakiś sposób na stwierdzenie prawdy bądź fałszu jego zapewnień?

- Tak - powiedziała jasno Amelia. - Ale jak...

- Jest pewien test - wyjaśniła. - Został opracowany kilka lat temu przez profesora z uniwersytetu w Greifswaldzie. Zdaje się, że jest wiedeńczykiem z pochodzenia: nazywa się Paul Uhlenhuth.

- To nazwisko nie jest mi znane.

- Błyskotliwy człowiek. Metoda wymaga wytworzenia antyserum, którego można potem użyć do określenia obecności charakterystycznych wytrąconych osadów. Nosi nazwę testu precypitacyjnego.

Liebermann w gruncie rzeczy nie pojął zwięzłego tłumaczenia Amelii; był jednak zbyt podekscytowany, by zwlekać z zadaniem kolejnego pytania podyktowanego naukową ciekawością.

- Panno Lydgate, wyobrażam sobie, że profesor Uhlenhuth prowadził prace badawcze w laboratorium, używając do nich próbek świeżej krwi. Czy można by zastosować ten sam test do określenia pochodzenia krwi sprzed niemal tygodnia?

- Tak. Po prostu rozpuszcza się grudki zakrzepłej krwi w słonej wodzie. Test będzie tak samo precyzyjny.

- Czy mogłaby pani... czy może pani...

- Przeprowadzić test? Musiałabym ponownie przeczytać kilka publikacji Uhlenhutha, ale tak, podstawowe metody są dość proste.

- Co byłoby pani potrzebne?

- Trochę strzykawek, probówek, ludzka krew, poplamiona odzież oraz... - Amelia dotknęła ust i spoglądając w dal, dodała - królik.

- Co takiego?

Amelia obróciła się twarzą do Liebermanna. Na jej obliczu nie było nawet cienia żartobliwości.

- Królik.

- Jak to... wszystko jedno jaki?

- Tak. Nadaje się dowolny królik, byle żywy.

- Czy mogłaby pani przeprowadzić test jutro?

- Mogę przystąpić jutro do testu, ale wytworzenie antyserum zajmie około dwóch tygodni.

- I wyniki będą rozstrzygające?

- Absolutnie. Ale, ale, doktorze Liebermann, zjadł pan tylko jednego herbatnika.

Nalegam, by jeszcze się pan poczęstował.

Owładnięty poczuciem winy i wstydem Liebermann wziął słabo wypieczony krążek z podsuniętego półmiska i uśmiechając się blado, z anielską wyrozumiałością zatopił zęby w suchym, cienkim ciastku.

Siedzenia w Bósendorfer-Saal nie były oddzielone poręczami, a ponieważ muzyka stała się bardziej burzliwa, Clara przysunęła się bliżej narzeczonego. Liebermann pochylił

głowę, spostrzegając rąbek jej spódnicy i małe czarne trzewiki. Clara beztrąsko wysunęła palce stóp, odsłaniając - jakby przez przypadek - krągłość kostki. Liebermann wyobraził

sobie wygląd jej filigranowej stopy - której, prawdę mówiąc, nie widział - delikatne, rozchodzące się promieniście kości śródstopia pod przejrzystą, jasną skórą. Wziąwszy dziewczynę za rękę, czuł, jak jej palce zaciskają się mocniej przy każdej muzycznej kulminacji - i jak wyczerpane zwalniają uścisk, gdy napięcie słabnie. Nim pianistka doprowadziła recital do dramatycznego zakończenia i publiczność odpowiedziała oklaskami, młoda para oddychała z trudem z podniecenia.

Liebermann wziął Clary pod ramię i śladem innych widzów wyszli z Bósendorfer-Saal na ruchliwą główną ulicę Herrengasse. Kilka łagodnie opadających płatków śniegu błyszczało w snopach światła rzucanych przez lampy powozów. Liebermann podniósł ramię, by wezwać nadjeżdżającą dorożkę.

- Nie - powstrzymała go Clara - przejdźmy się chwilę.

- Jest bardzo zimno jak na spacer.

- Tak, ale mam ochotę się przejść. Clara uśmiechnęła się niepewnie.

- Dobrze. Dokąd idziemy?

- W stronę Volksgarten, a potem możemy przejść na ukos do Burgring. Przed Teatrem Dworskim będą stały dorożki.

Ruszyli niespiesznym krokiem, mijając ulicznego sprzedawcę z kosiakiem, którego ruszt przykrywały przypalone kiełbaski *kdsekrainer*.

- No i jak, podobało ci się? - spytał Liebermann.

- Było cudownie - odparła Clara. - Zdumiała mnie. Nie jest jakąś szczególnie dużą kobietą, a mimo to potrafi wydobyć tak potężny... dźwięk!

- Ma bezbłędną technikę. Przypuszczam jednak, że nie należy spodziewać się niczego innego po uczennicy tak znakomitej wirtuozki.

Pianistka - Ilona Eibenschitz - pobierała niegdyś lekcje gry u Clary Wiek. Program Eibenschitz obejmował przejmującą *Romanze* mentorki, *Sonatę nr 2 g-moll* napisaną przez jej męża, Roberta Schumanna oraz *Wariacje na temat Paganiniego* ich wspólnego przyjaciela Johannes Brahmsa. Wszystkie te utwory zostały zagrane z niesamowitą pasją, lecz interpretacja *Wariacji na temat Paganiniego* była wprost nadzwyczajna: wirtuozerska gra największego kalibru - dłonie pianistki stały się ledwo dostrzegalnym, niewyraźnym cieniem, gdy skakały po klawiaturze z diaboliczną

prędkością.

- On postradał rozum, prawda?

Głos Clary dobiegał jakby z oddali. Myśli Liebermanna zajmował wciąż główny temat *Wariacji Paganiniego*, służący za akompaniament dla mrocznego baletu dziwnych cielesnych obrazów. Przypominało to oglądanie jednego z dzieł Gustava Klimta przez kieliszek wina.

- Max?

- Słucham?

Liebermann uświadomił sobie, że Clara coś do niego mówiła, podczas gdy on był zaabsorbowany własnymi myślami.

- Robert Schumann. Herr Donner mówił, że Schumann postradał zmysły. Uczył mnie, to znaczy Herr Donner, *Einsame Blumen*, a przynajmniej się starał.- Uroczy utwór -

skonstatował Liebermann. - I owszem, Herr Donner ma całkowitą rację. Nieszczęsny Schumann zmarł w zakładzie dla obłąkanych.

- Na co cierpiał?

- To bardzo interesujące pytanie. Jego objawy stały się przedmiotem wielu dyskusji w kręgach medycznych. Zrobił się porywczy, miewał niekontrolowane napady szalu i głosił szumne idee. W którymś momencie twierdził, zdaje się, że prowadzi rozmowę z aniołami.

Skręcili w boczną uliczkę i zostawili za sobą odgłosy Herrengasse. - Ale dlaczego oszalał? Jak tak wielki umysł mógł do tego stopnia... stracić równowagę?

- Niektórzy sugerowali, że on wcale nie oszalał, ale został nikczemnie uwięziony przez własną żonę.

- Ale dlaczego miałyby robić coś takiego?

- Żeby ułatwić sobie potajemny romans z Brahmssem. Clara z zainteresowania szeroko otworzyła oczy.

- Czy to prawda?

- Kto wie? Wątpię. Istnieje wiele niezależnych relacji o schyłku życia Schumanna. Z

pewnością był bardzo chory. A co do dokładnej przyczyny śmierci... cóż, usłyszałem kiedyś pewną plotkę.

- Tak?

- Kilka lat temu poznałem psychiatrę z Bonn. Jego ojciec również był psychiatrą i pracował niegdyś w tym samym zakładzie dla obłąkanych, w którym umarł Schumann. Ów starszy jegomość wyraził opinię, że Schumann zapłacił najwyższą cenę... - Liebermann urwał

i zmarszczył czoło, nim dokończył - za grzechy młodości.

Clara westchnęła.

- Max. Mamy się pobrać. Będę żoną lekarza. Przypuszczam, że chodzi ci o syfilis?

Liebermann się uśmiechnął.

- Tak, syfilis. - Wypowiedział to słowo dobitnie, choć wciąż odczuwał lekkie skrępowanie, nazywając w obecności Clary tę chorobę po imieniu.

- I syfilis powoduje utratę zmysłów?

- Tak. Może ją spowodować.

- Ale czy jego żona...

Liebermann odgadł oczywiste pytanie.

- Syfilis ma długie stadium utajenia. Schumann i Wiek byli małżeństwem wiele lat po tym, kiedy minęło ryzyko zarażenia.

Przez pewien czas rozmowa ciągnęła się w podobnym duchu. Była niespotykanie stonowana i wyważona. Do tego stopnia, że Liebermann miał ochotę zastanowić się nad znaczeniem tego drobnego napomnienia Clary. Czy perspektywa ich rychłego ślubu sprawiała, że stawała się bardziej wnikliwa? Dojrzała? On zaś znów był winien traktowania jej jak dziecka?

Weszli do Volksgarten. Park przeobraził się w zaczarowaną enklawę, skrzącą się kryształkami lodu i blaskiem księżyca. Niskie, ciężkie chmury przesuwały się nad głowami niczym potężne morskie stwory, a na tle żółtej poświaty miejskiego nieba majaczył czarny jak smoła gmach Świątyni Tezeusza - dokładnej repliki oryginalnej świątyni w Atenach. Gdy podeszli bliżej, budowla zaczęła wydawać się jeszcze bardziej surowa i niepokojąca. Skręcili w jej stronę, jak gdyby wabieni jakimś tajemniczym, trudnym do odparcia czarem. W

milczeniu wspięli się po stopniach.

Stanęli, przyglądając się przez chwilę otoczeniu. Potem wolno odwrócili się ku sobie.

Clara oparła się o jedną z pięknych doryckich kolumn. Jej oczy wydawały się sycić ciemnością, powiększać. Odchyliła głowę w tył.

- Max... - wypowiedziała cicho jego imię i wyciągnęła ramię. Napotkała palce jego dłoni i pociągnęła go ku sobie.

Pocałowali się. Był to długi, leniwy pocałunek, który stopniowo zyskiwał na napiętości. Clara, zwykle bierna odbiorczyni zalotów narzeczonego, odpowiedziała z niespotykaną dotąd zachłannością, łakomym, soczystym całusem. Dłonie Liebermanna wędrowały po jej ciele, znajdując w końcu szczelinę, przez którą mógł poczuć ciepło i miękkość pod płaszczem. Clara jęknęła z rozkoszy.

Oderwali się od siebie, oboje wstrząśnięci tym wzajemnym zapamiętaniem.

By zatuszować swoje zawstydzenie, Clara ukryła twarz na piersi Liebermanna.

- Przepraszam - powiedział. - Wybacz mi...

Podniósł wzrok ku niebu, ale ujrzał jedynie spodnią stronę wielkiego architrawu, z którego zwisały ogromne sople lodu. Przypomnił mu się nieszczęsny Damokles, któremu los zrządził uczestniczenie w uczcie pod mieczem zawieszonym nad jego głową na pojedynczym końskim włosie.

- Będziemy mężem i żoną... - odezwała się cicho Clara. - Jeśli chciałeś... ja...

- Nie - powiedział Liebermann. - Nie, to byłoby niewybaczalne. Nie mam zamiaru cię wykorzystywać. Nigdy cię nie wykorzystam.

Clara mocniej wtuliła się w narzeczonego. Liebermann zadarł brodę, by zrobić miejsce dla jej głowy. Czuł na swej nagiej szyi gorący rytm płytkich oddechów dziewczyny.

Było to nieznośnie podniecające, ale nawet nie drgnął. Stał nieporuszony, wpatrując się ponad kapeluszem Clary w zamarznięty świat, znieruchomiały świat - jego świadomość boleśnie słabła pomiędzy biegunami ognia i lodu.

Andreas Olbricht znajdował się pośrodku swego atelier. Skroplona para wodna zamarzała na okiennych szybach, czyniąc je nieprzejrzyistymi i ograniczając dopływ światła.

Wsparte o ścianę stały drewniane blejtramy do naciągania płótna, kilka ukończonych obrazów oraz duże lustro sięgające podłogi. Olbricht przyglądał się uważnie swemu odbiciu: niski mężczyzna w miękkiej czapce i brązowym, pochłapanym farbą fartuchu ze zgrzebnej tkaniny.

Przybrał dostojną pozę.

Artysta przystępuje do dzieła tworzenia.

Jego spojrzenie zatrzymało się dłużej na plamie cynobru.

Odwrociwszy się, powędrował po nagich deskach podłogi do stołu, gdzie zlustrował

wzrokiem szereg pigmentów: ochra, malachit, karmazyn alizarynowy, sjena naturalna. Jego uwagę przykuł malachit. Wsypał nieco szmaragdowego proszku do moździerza i rozkruszył

drewnianym tłuczkiem. Podczas pracy przypomniał sobie rozmowę z von Triebenbachem o zleceniu Herr Bolle'a. Jaką scenę z *Pierścienia Nibelunga* wybierze? Bogów pochłanianych przez ogień, najazd Walkirii, stos pogrzebowy Zygryda? Był wtedy niemal pewien, że tematem zamówionego dzieła będzie coś heroicznego. Tak, gdy pracował nad wstępnymi szkicami, inna, zupełnie różna od tamtych scena zaczęła uparcie wdzierać się w jego myśli -

obraz, którym rozpoczyna się cykl *Pierścienia Nibelunga*: trzy córki Renu - Woglund, Wellgunda i Flosshilda - oraz karzeł Alberyk. Ta scena powracała do niego nieustannie, manifestując swoje istnienie niemal z uporem. Wreszcie ustąpił, gotów przyjąć, że wielkie dzieło sztuki walczy o przyjście na świat.

Olbricht zmieszał olej lniany ze sproszkowanym malachitem i wylał miksturę na paletę. Następnie odwrócił się i spojrzał na wielkie płótno na sztalugach. Dzieło znajdowało się we wstępnej fazie powstawania. Jedynie lewy górny róg barwiły pociągnięcia pędzla; pozostała część miała nadal formę szkicu. Postaci były nakreślone czerwonym ołówkiem, Olbricht pogratulował sobie, że efekt nie odbiega wiele od dobrze znanego kartonu Leonarda da Vinci.

Na stole obok moździerza i tłuczka leżał notes, do którego Olbricht przepisał kilka oryginalnych didaskaliów Wagnera.

W głębinach Renu.

Zielonkawy półmrok, jaśniejszy u góry, ciemniejszy na dole. Górną część wypełniają wodne wiry... Strome, skaliste rafy sterczą niemal pionowo z otchłani... Pośrodku sceny znajduje się rafa, której szczypty wierzchołek wskazuje na gęściejszą wodę, gdzie światło płonie jaśniej...

Olbricht rozrzedził malachit jeszcze kilkoma kroplami oleju lnianego i zmieszał

składniki sztywnym pędzlem ze świńskiego włosia.

Był zadowolony ze swoich cór Renu. Wyglądały jak dobroduszne niemieckie dziewczyny o wielkim sercu. Zdrowe, dorodne i beztroskie - obdarzone niewinnym wdziękiem.

Gdyby za tę samą scenę zabrał się któryś z secesjonistów, wyglądałaby zupełnie inaczej. Ktoś taki jak Klimt (lub jeden z jego zdegenerowanych towarzyszy) przekształciłby córki Renu w wychudzone, orgiastyczne nimfy wodne, nagie, o drobnych piersiach i obnażonej płci.

Moderniści byli niezdolni do nadania godności kobiecej postaci - potrafili ją jedynie upokorzyć, a ich twórczość była obsceniczna.

Herr Bolle był mężczyzną rozsądnym - człowiekiem, który hołubił tradycyjne wartości. Wolałby, aby jego córki Renu były cnotliwe, stateczne i czyste.

W zagłębieniu skały Olbricht naszkicował coś, co ostatecznie przybierze kształt gigantycznego samorodka złota. Zastanowił się nad pigmentami, których użyje: żółcień kadmowa, biel ołowiowa i tlenek żelaza. Wyobraził sobie, jak ztocistożółty blask będzie przenikał ciemne zielonkawe otchłanie. Opuścił wzrok i zatrzymał go na postaci Alberyka -

karła Nibelungów - wyłaniającego się z ciemnej rozpadliny w korycie rzeki.

Córki Renu były strażniczkami złota Renu, świętego skarbu, z którego można było wykuć pierścienie, dający noszącej go osobie najwyższą władzę. Ale, jak głosiła legenda, władzę tę można zdobyć jedynie przez wyrzeczenie się najpierw miłości. Córki Renu niesumiennie wywiązywały się ze swych obowiązków, wierzyły bowiem, że nie znajdzie się złodziej gotów zapłacić tak wysoką cenę. Któż porzuciłby miłosne uciechy w zamian za ziemską władzę?

Olbricht przysunął się o krok bliżej do płótna i kucnął, by baczniej przyjrzeć się karłowi, który z wielkim samozaparciem walczył o wydostanie się ze szczeliny, niczym jadowity gad - utkwivszy spojrzenie wybałuszonych oczu w gigantycznym samorodku złota.

Czyż byłoby to aż tak niezwykle, gdyby istota wzgardzona, wyszydzana i uznawana za zdeformowanego potworka nie miała jakichkolwiek trudności z dokonaniem tego rodzaju zamiany? Miłość za władzę?

Nie aż tak niezwykle.

Hermann Aschenbrandt siedział na wiklinowym krześle obok fortepianu, uważnie słuchając muzyki. Potencjalny uczeń napisał do Aschenbrandta po wysłuchaniu *Kwintetu smyczkowego d-moll (Niewyciężony)* wykonanego w Tonkiinstlerverein. List zawierał

mnóstwo entuzjastycznych pochwał, a młody człowiek wyraził w nim gorące pragnienie jak najrychlejszego rozpoczęcia lekcji kompozycji. Aschenbrandt zgodził się na pierwsze spotkanie, teraz jednak, gdy wielbiciel jego talentu siedział obok przy fortepianie, Aschenbrandt wcale nie był przekonany, że muzyczne upodobania jego i Herr Behna są mimo wszystko zbieżne. List był bardzo mylący.

Młody mężczyzna był w połowie własnej *Fantazji B-dur*. Utwór rozpoczął się częścią improwizacyjną, nasuwającą mgliste skojarzenia z muzyką Chopina. Potem jednak rozwinął się - poprzez kilka wymęczonych zmian tonacji - w niemrawe, pozbawione kierunku adagio.

Melodia błędziła ponad nieczystymi basami, a kapryśne zwroty i ozdobniki przywodziły na myśl Wschód: nie wschód arabski czy też chiński, lecz bliższy wschód Węgier, Galicji i Transylwanii. Drażniło to nieco Aschenbrandta, jak uporczywie bzyczący w uchu komar.

- Tak, tak - rzekł niecierpliwie, odgarniając w tył delikatny kosmyk niemal białych włosów. - Rozumiem. Może posłuchamy teraz ostatniej części?

Palce Behna zwolniły tempo, zdjął dłonie z klawiatury.

- Och, jest jeszcze interesujący pasaż, już za kilka taktów. - Zaczął nerwowo przerzucać kartki rękopisu.

- Herr Behn - powiedział cierpko Aschenbrandt. - Ostatnia część, jeśli pan łaskaw.

- Tak - odparł młody mężczyzna. - Przepraszam. Oczywiście.

Behn znalazł właściwą stronę i zaczął grać. I znów muzyka brzmiała podobnie jak u Chopina. Jednak Aschenbrandt nie omieszkiał zauważyć, że melodia uparcie próbowała wymknąć się z podstawy harmoniczej. Wznosiła się i opadała na łeb na szyję, ledwo mieszcząc się w granicach tonalności - niczym szalone, niezdyscyplinowane rzępolenie cygańskiego skrzypka! Aschenbrandt przyjrzał się uważniej fizjonomii Behna.

Behn był niewysokim, szczupłym mężczyzną o opadających ramionach. Miał

zdecydowanie śniadą cerę, a te brwi... niemal stykały się ze sobą pośrodku czoła. Tak, wszystko zaczynało nabierać sensu.

Aschenbrandt słuchał jeszcze przez kilka minut i stwierdził, że nie zdoła dłużej tolerować dysonansów. Klasnął w dłonie.

- Dziękuję, dziękuję, Herr Behn!

Młody pianista przerwał grę, zakładając, że Aschenbrandt chciałby usłyszeć więcej przykładów jego utworów, wziął ze sterty kolejne nuty i położył na fortepianie.

- Trzy pieśni romantyczne? - zapytał, z nadzieją podnosząc głos. Aschenbrandt uśmiechnął się chłodno i zaciśniętą prawą pięścią delikatnie uderzył w zagłębienie lewej dłoni. Behn zrozumiał, że jego sugestia nie została przyjęta życzliwie i w milczeniu odłożył

na miejsce ręczny zapis nutowy.

- Niech mi pan powie, Herr Behn - wycedził Aschenbrandt. - Jakich kompozytorów pan podziwia?

- Cóż... poza panem, maestro Aschenbrandt, bardzo podoba mi się muzyka Karla Prohaski. Słyszałem w ubiegłym roku jego *Czwarty kwartet smyczkowy* w wykonaniu Fitnerów. Uważam, że to znakomity utwór, dzieło skończone. I Wossa, uwielbiam jego poemat symfoniczny *Sa-kuntala*.

- Ale, Herr Behn, to nie są, choćby nie wiem jak wysilić wyobraźnię, znaczący kompozytorzy.

Behn wahał się przez chwilę, poprawił okulary i rzeki:

- Goldmark, Alexander Zemlinsky i oczywiście dyrektor Mahler. Jego druga symfonia jest bez wątpienia arcydziełem.

Tak, sytuacja stawała się coraz jaśniejsza.

- Obawiam się, Herr Behn, że jestem zmuszony nie zgodzić się z panem w obu wypadkach. Żaden z tych dżentelmenów nie jest liczącym się kompozytorem i mogę pana zapewnić, że druga symfonia dyrektora nie jest żadnym arcydziełem. Jeśli uważa pan inaczej, głęboko się pan myli.

- Ależ... - urwał Behn.

- To nie jest symfonia, lecz chaotyczny, fatalnie skonstruowany groch z kapustą, mieszanina idei, które łączy infantylny program. Jak mądrze zauważył Wagner, Beethoven doprowadził symfonię do absolutnej perfekcji. Jedyne najgłupszy - albo najbardziej zarozumiały - człowiek mógłby dążyć do udoskonalenia dzieła Beethovena!

- Rozumiem - rzekł Behn, nerwowo skubiąc mankiety.

- Herr Behn - ciągnął Aschenbrandt - muszę być z panem szczery. Pańskie kompozycje nie wywarły na mnie zbyt dużego wrażenia. Jest pan sprawnym warsztatowo muzykiem i niektóre z pańskich progresji harmoniczych wykazują pomysłowość, ale nie posiada pan tej nieuchwytej właściwości, tej niezbędnej iskry, tego daru, który odróżnia prawdziwego kompozytora, prawdziwego artystę od muzycznego rzemieślnika, od dyletanta.

- Ale... - policzki Behna poczerwieniały. - Maestro Aschenbrandt, pod pańskim kierunkiem na pewno mógłbym...

- Nie - przerwał chłodno Aschenbrandt. - Nie mogę przyjąć pana na ucznia. - Behn uniósł krzaczaste brwi. - Proszę zrozumieć, Herr Behn, wyrządzałbym panu wielką krzywdę, gdybym zachęcał pana do budowania kariery w muzyce, skoro jest z góry skazana na porażkę. Obecnie studiuje pan prawo i jeśli sumiennie przyłoży się pan do nauki, jestem pewien, że może pan liczyć na lukratywną karierę w Justizpalast. Niech muzyka będzie pańską rozrywką, przyjemnością...

- Ale muzyka to moje życie. - Behn bezradnie rozłożył ręce. - Chcę komponować.

- Przykro mi, Herr Behn. Nie mogę przyjąć pana na ucznia. Behn pokręcił głową i zebrawszy nuty, wsunął je do skórzanej teczki. Aschenbrandt wstał, wziął do ręki mały ręczny dzwonek i mocno nim potrząsnął.

- Elga odprowadzi pana do drzwi. Chwilę później zjawiała się służąca.

- Do widzenia, Herr Aschenbrandt. Jestem - jak się pan domyśla - bardzo rozczarowany. Lecz wyznaję również opinię, że ludzie obdarzeni talentem muszą być wierni swemu powołaniu. Szanuję pańską szczerłość.

- W istocie - odparł Aschenbrandt. Odrzucony uczeń ruszył ku drzwiom.

- Herr Behn - zawołał Aschenbrandt. Niedoszły uczeń przystanął i obejrzał się za siebie.

- Zawsze może pan spróbować u Zemlinsky'ego... Behn kiwnął głową i opuścił pokój.

Aschenbrandt wytarł chusteczką taboret przy fortepianie, usiadł i zaczął grać początkowe akordy nowej arii barytonowej - *Zwycięstwo będzie nasze*. Miała to być główna partia popisowa w pierwszym akcie *Carnuntum*. Kiedy Aschenbrandt opuścił dłonie, spod rękawa marynarki wyłoniła się bransoleta z wisiorkami. Pomiędzy drobnymi przedmiotami przyczepionymi do srebrnego łańcucha znajdowała się postać mężczyzny w kaftanie zwisająca z szubienicy: przedstawiała powieszzonego Żyda.

Cafe Imperial to uwijający się jak w ukropie kelnerzy, gestykulujący goście oraz pobrząkiwanie i zgrzytanie sztuców.

Pianista właśnie skończył grać polkę Straussa i po chwili przerwy rozpoczął na nowo skoczną, popularną melodię.

- Co to jest? - spytał Mendel.

- *Walc łyżwiarzy* - wyjaśnił Liebermann. - *Waldteufel*.

- Widzisz? - powiedział Mendel do Jacoba Weissa. - Zna wszystko.

Liebermann siedział naprzeciwko ojca i przyszłego teścia. W rozmowie przelotnie poruszyli temat przygotowań do ślubu - nie rozprawiali o tym długo. Trzej panowie z zadowoleniem powierzali tego rodzaju sprawy swoim małżonkom (oraz przyszłej pannie młodej).

Kelner przybył z tacą pełną kawy i ciastek: wiedeński orzechowo-jabłkowy *torte* przybrany zawijasami bitej śmietany i posypany cynamonem oraz srebrnymi perełkami, makowy *strudel* oraz gruby biszkoptowy kawałek *gugelhupf*.

- Dziękuję, Bruno - rzekł Mendel.

Kelner postawił zamówienie na stole, stuknął obcasami i przeprosił towarzystwo.

Mendel już po chwili rozmawiał o interesach.

- Od pewnego czasu zastanawiam się nad kolejną fabryką. Teraz, gdy nasze rodziny łączy ten sam interes - skinął głową w kierunku syna - może powinniśmy, Jacobie, rozważyć wspólne przedsięwzięcie.

- Nadal prowadzisz rozmowy z Blombergiem? - spytał Jacob, wbijając widelec w wilgotną poduszkę strudla.

- Tak - odparł Mendel. - Jego dom towarowy wciąż znakomicie prosperuje. Od jakiegoś czasu próbuje zainteresować mnie przystąpieniem do spółki, ale się waham. Redlich twierdzi, że nie można mu ufać.

- Redlich?

- Ma rafinerię cukru w Góding.

- A tak, ten Redlich!

- Mimo wszystko dom towarowy przy Karntnerstrasse nie może splajtować, cokolwiek by myśleć o

Blombergu.

Herr Weiss pokiwał głową i zadał kilka pytań dotyczących opłat za dzierżawę gruntu, dopłat i stóp procentowych.

Liebermann zgarnął śmietankę ze swego *torte*, przechylił widelec i pozwolił srebrnym perełkom zabłysnąć w świetle. Były to idealne kulki różnej wielkości i migotały jak gwiazdy.

Gdy do jego uszu ponownie dotarł głos ojca, uświadomił sobie, że musiał bujać w obłokach dłuższą chwilę.

- Moja kuzynka Selma wyszła za Polaka o nazwisku Kinsky. - Mendel nadział na widelec kawał *gugelhupf* i podniósł go do ust. - Wyemigrowali osiem lat temu do miasta w Anglii, które nazywa się Manchester. Wciąż regularnie ze sobą korespondujemy. Mają dwóch chłopców, Petera i Roberta, a ich przedsiębiorstwo importowo-eksportowe kwitnie. Rzecz w tym, że chcą się powiększyć i potrzebują dużego kapitału inwestycyjnego. Jestem pewien, że mógłbym wynegocjować korzystne warunki. - Mendel włożył ciasto do ust i przeżuwał je energicznie. - Nie wiem, jak ty - mówił dalej z pełnymi ustami. Kilka okruszków potoczyło się na długą brodę. - Ale ja mam wielką ochotę wejść na rynek w jakimś bardziej stabilnym miejscu. Za każdym razem, gdy politycy coś sknącą, ludzie szukają kozia ofiarnego...

- Mówisz jak Herzl! - wtrącił Liebermann.

- A jeśli nawet, to co z tego?

- Gdy Herzl pojawia się obecnie w teatrze - rzekł Liebermann - witany jest okrzykami „Witaj, Wasza Wysokość!”.

Jacob Weiss wyglądał na zaintrygowanego. Liebermann pochylił się bliżej i wyjaśnił:

- To z powodu Kraussa, tego dziennikarza. Opisał Herzla w „Die Fackel” jako Króla Syjonu.

Mendel pokręcił głową i zaczął głośno cmokać.

- Herzl znacznie lepiej rozumie tutejszą sytuację, niż ci się wydaje.

- Ojciec... - rzekł Liebermann. - Wiedeń to nasz dom. Naszym językiem jest niemiecki, nie hebrajski i nie zamierzam mieszkać w Palestynie!

Mendel zerknął na starego przyjaciela.

- Pamiętamy oprychów Schónerera maszerujących po Taborstrasse... To coś, czego się nie zapomina, mój chłopcze. Uwierz mi!

Liebermann wyciągnął przed siebie ramię i ścisnął dłoń starszego mężczyzny. - Wiem, że istnieją problemy, ojciec. Ale żyjemy w lepszych czasach. - Spojrzał na Herr Weissa, uśmiechnął się, po czym

znów przeniósł wzrok na ojca. - Za dużo się martwisz. -

Identycznego zwrotu użył Konrad kilka tygodni wcześniej.

- Młodsze pokolenie - skwitował Weiss, wzruszając ramionami. Choć te słowa nie były niczym innym jak bezstronnym spostrzeżeniem, wydawały się dziwnie wiele wyjaśniać.

- Jedz ciastko - powiedział Mendel, wskazując na orzechowo-jabłkowy *torte*. - Prawie nie tknąłeś.

Cafe Haynau znajdowała się w odległości zaledwie kilku minut drogi od koszar i z tego względu była często odwiedzana przez wojskowych. Właściciel, który od śmierci swojej żony zaczął pić, rzadko bywał na miejscu; jednak jego dwie posłuszne córki były zawsze gotowe poprowadzić interes w razie nieobecności ojca. Żadnej z nich nie można było opisać jako urodziwej, lecz obie miały bujne figury i wykazywały gotowość do flirtu, choćby i swawolnego, z żołnierzami. Starsza z córek, Mathilde, uważała się za szansonistkę i często wyśpiewywała ckliwe ballady przy akompaniamencie starego akordeonisty.

Porucznik Robert Renz i podporucznik Christian Trapp siedzieli przy zwykle zajmowanym przez siebie stoliku, grając w przeciągającego się taroka. Przez łukowato sklepione przejście widzieli stół bilardowy, wokół którego zebrał się spory tłumek kawalerzystów. Jakiś chorąży wywołał niejakie poruszenie, ponieważ ograł pułkowego lekarza, człowieka, którego nikt nie zdołał pokonać od miesiąca. Zerwał się radosny okrzyk, gdy podchorąży wysłał kolejną bilę do luzy. Lekarz popatrzył za bilą, pociągając spiczasty koniuszek starannie przystrzyżonej brody.

Ruprecht Hefner wpadł przez drzwi i pomaszerował prosto w stronę stolika zajmowanego przez Renza i Trappa. Usiadł na jednym z wolnych krzeseł, golnął wielki tyk sznapsa prosto z butelki swoich kompanów i oznajmił:

- Cieszę się, że was zastałem. Chcę, żebyście coś dla mnie zrobili.

Renz i Trapp spojrzeli po sobie i odłożyli karty.

- Co? - wycedził Renz.

- Przysługę - odparł Hefner. - Znacie Freddiego Lemberga? - Nie.

- Syn Alfreda Lemberga. Lemberga, tego przemysłowca! - Renz nie zdradzał żadnych oznak, jakoby wiedział, o kim mowa. - Och, mniejsza o to. Wpadłem na Lemberga juniora w operze. To był *Zygfryd*, znakomity spektakl dyrygowany przez tę małpę, Mahlera. Mówi się, że Żydzi nie potrafią zrozumieć Wagnera, ale patrząc na Mahlera, nabiera się poważnych wątpliwości. Anna von Mildenburg była wspaniała. Chyba zaczynam się w niej kochać!

Podobno miała z nim romans, słyszeliście?

- Z kim? Z Lembergiem? - zapytał Renz.

- Nie, z Mahlerem, durniu!

- No a co ma tu do rzeczy Lemberg?

- A tak, słusznie. Natknąłem się na niego po drugim akcie, zachowywał się wyjątkowo nieprzyjemnie. Poruszony dramatem nie miałem nastroju do wysłuchiwanie plecionych przez niego bzdur i nasza wymiana zdań stała się dość burzliwa. W rezultacie Lemberg zażądał, satysfakcji. Powiedziałem

oczywiście, że z przyjemnością przyjmuję wyzwanie. Był z nim Tarnoploski i błagał nas obu, żebyśmy dobrze się zastanowili. Ale Lemberg wyraźnie powziął

postanowienie. Cóż mogłem zrobić?

- Mogłeś zacytować manifest Waidhofena - rzekł Trapp. - Żyd rodzi się bez honoru i dlatego nie ma prawa żądać satysfakcji.

Hefner skwitował radę Trappa pogardliwym machnięciem ręki. Z sali bilardowej dobiegi stłumiony okrzyk, który rozproszył na chwilę Renza.

- Skup się - rzeki Hefner, stukając w blat stołu. - Chcę, żebyś poszedł do Cafe Mozart.

- Co, teraz? - zdziwił się Renz.

- Tak, teraz - odparł Hefner. - Tam znajdziesz sekundantów Lemberga. - Hefner wyjął

świstek papieru i odczytał nazwiska. - Fritz Glóckner i Gerhard Diehl. Chcę, żebyś przyjął ich warunki, cokolwiek zaproponują: szable, pistolety, jest mi wszystko jedno. Nie będzie umiał

posługiwać się ani jednym, ani drugim, choć jest podobno świetnym skrzypkiem, takie doszły mnie słuchy. - Ale o co poszło? O co się pokłóciliście? - zainteresował się Trapp, nalewając sobie kolejnego sznapsa.

- Och, o coś... o coś, co miałem zrobić zeszłego lata.

Hefner zdjął czapkę i przeczesał palcami gęstą, jasną czuprynę. Mathilde zauważyła go z drugiego końca sali i do niego pomachała. Hefner skłonił głowę i uśmiechnął się łaskawie.

- No mów - ponaglił Renz.

- Uważa, że wykorzystałem jego żonę - mówił Hefner. - Przebywałem w Schloss von Triebenbach nad Kammersee jako gość barona. Lembergowie wynajmowali willę tuż pod wioską. Jego żona przechodziła rekonwalescencję po jakiejś chorobie nerwowej... - Hefner bawił się przez chwilę złocistożółtą frędzlą zwisającą z głowicy szabli. - Często zostawiano ją samą. Freddi pływał z przyjaciółmi parowcem na drugą stronę jeziora do Weyregg. Kilka razy złożyłem jej uszanowanie, to wszystko...

Przez jego przystojną twarz przemknął dwuznaczny uśmieszek.

Nagle w sali bilardowej zerwał się aplauz. Kawalerzyści gratulowali pułkowemu lekarzowi, który ku rozczarowaniu podchorążego zapewnił sobie kolejne zwycięstwo.

- Z nim także zamienię lepiej słowo - powiedział Hefner, pokazując na lekarza. -

Zahaczę go teraz, kiedy jest w dobrym nastroju. Potem kładę się do łóżka, w którym bez wątpienia będę śnił o Mildenburg zabierającej mnie do Walhalli! - Zerwawszy się raptownie z miejsca,

zawołał: - Doktorze, doktorze! Dobra robota! Grozi panu przejście do legendy.

Przepraszam, czy mógłbym panu na chwilę przeszkodzić, na osobności?

Policyjne laboratorium przy Schottenring było przestronnym prostokątnym pomieszczeniem z wysokimi oknami w ołowianych ramach. Na zewnątrz pękła gęsta pokrywa chmur i powietrze przenikał jaskrawy blask zimowego słońca. Amelia Lydgate stała przy długim stole, podnosząc do światła próbkę. Miała włosy ściągnięte do tyłu i ułożone w spory, osłonięty siateczką kok. Jednak nawet ten radykalny zabieg nie zdołał osłabić świetlnych refleksów na gęsto splecionych miedzianych pasmach. Gdy pochylała głowę, ukazywał się czerwonawy blask.

Była ubrana w prostą, białą bluzkę z wysokim kołnierzykiem oraz długą, szarą spódnicę, która niemal sięgała podłogi. Liebermann pozwolił spojrzeniu ześliznąć się w dół

jej kręgosłupa i zatrzymać na dłużej w okolicy bioder. Uczucie podniecenia rozlało się po jego żołądku, lecz zaraz potem wstyd uderzył weń jak obuchem. Odwrócił wzrok i natknął się na drgający nos pulchnego, brązowego królika.

- I co, panno Lydgate? - spytał Rheinhardt.

Amelia odwróciła się do obu mężczyzn. Jak zwykle jej oblicze nie zdradzało żadnych oznak emocji.

- Osad się nie wytrącił.

- I co to oznacza? - chciał wiedzieć Rheinhardt.

- Krew na ubraniach Krulla nie jest krwią ludzką. Rheinhardt wydał policzki i powoli wypuścił powietrze.

- Rozumiem.

Zapadła dość długa cisza, podczas której Liebermann pocieszająco położył rękę na rękawie przyjaciela.

- Proszę wybaczyć, panno Lydgate - kontynuował dociekania Rheinhardt - ale czy jest pani absolutnie pewna?

- Jestem zupełnie pewna, inspektorze.

- Nie ma możliwości uzyskania błędnego wyniku? - Nie.

Jej wnikliwe spojrzenie zarejestrowało rozczarowanie detektywa.

- Inspektorze, pozwoli pan, że ponownie wyjaśnię tę metodę. - Choć maniery Amelii Lydgate były nienaganne, do jej głosu wkradła się nuta zniecierpliwienia. - Jeśli żywemu królikowi wstrzykuje się przez okres dwóch tygodni ludzką krew, krew królika nabiera szczególnej właściwości: będzie wchodzić w reakcję z krwią człowieka, by wytrącił się osad.

Dzieje się tak dlatego, że częste iniekcje z ludzkiej krwi wywołują reakcję obronną w krwi królika. Wstrzykiwałam temu królikowi - gestem wskazała klatkę - próbki mojej własnej krwi przez parę tygodni i w chwili obecnej krew tego zwierzęcia stanowi antysurowicę.

Rozpoznaje jedyne w swoim rodzaju proteiny ludzkiej krwi i wchodzi z nimi w reakcję, by wytrącić osad. Amelia zbliżyła się do Rheinhardta i uniosła probówkę na wysokość jego oczu.

Zawartość zdawała się połyskiwać w jasnym świetle laboratorium.

- To jasne, inspektorze. Gdyby krew na ubraniach Krulla była krwią ludzką, surowica by zmętniała. Test profesora Uhlenhutha jest rzeczywiście prosty, lecz całkowicie wiarygodny.

Rheinhardt pokiwał głową.

- Dziękuję, panno Lydgate, dziękuję. Po raz kolejny biuro bezpieczeństwa ma wobec pani dług wdzięczności.

- Cała przyjemność po mojej stronie, inspektorze Rheinhardt. Detektyw wziął głęboki oddech i podszedł do klatki z królikiem.

- Oczywiście - rzekł cichym głosem Liebermann - to jeszcze nie oznacza, że Krull jest niewinny.

- Nie - przyznał Rheinhardt - ale dowody z pewnością zaczynają przemawiać na jego korzyść. Student medycyny, mieszkający pod Krullem, przyznał się do członkostwa w bractwie, w którym praktyki inicjacyjne wiążą się z wykradaniem z kostnicy jakichś części ciała!

- Co wyjaśnia obecność kości paliczka.

- Tak by się wydawało. - Inspektor pochylił się, wetknął palec przez kraty klatki i podrapał puszystą głowę królika. - Dla ciebie to także zły dzień - powiedział do stworzenia z pewnym roztargnieniem.

- O! - wykrzyknęła Amelia. - A to dlaczego, inspektorze?

- Komisarz Brugel prosił, by powiadomić go, gdy test zostanie zakończony. Wymyślił sobie, że jego kucharz mógłby przyrządzić z tego nieszczęśnika niezły gulasz.

Amelia Lydgate zmarszczyła czoło.

- Z całym szacunkiem, inspektorze, prosiłabym komisarza o ponowne rozważenie swego stanowiska. Ten królik jest jedynym zwierzęciem w Wiedniu, którego surowica krwi wchodzi w reakcję z ludzkimi proteinami. Przy regularnych zastrzykach pozostanie reaktywna. Należy go zatrzymać jako nieocenionego członka personelu naukowego.

Rheinhardt już miał się uśmiechnąć, lecz zorientował się w samą porę, że panna Lydgate mówi ze śmiertelną powagą.

- Oczywiście - powiedział. - Sprawdzę, czy istnieje jakaś odpowiednia pozycja. Być może da się zarejestrować go jako starszego szeregowca.

Z czoła Amelii Lydgate zniknęło kilka zmarszczek - na wyraźniejszy przejaw satysfakcji trudno było liczyć, wzięwszy pod uwagę osobliwe cechy jej usposobienia.

Rheinhardt rzucił Liebermannowi ukradkowe spojrzenie i przewrócił oczami. Młody lekarz usiłował powstrzymać śmiech, lecz ku swemu wielkiemu zażenowaniu poczuł, jak trzęsą mu się ramiona.

Wczesnym wieczorem Rheinhardt ukończył raport, do którego dołączył oficjalny formularz „rejestracyjny”. Przedstawiał królika panny Lydgate jako nowego członka personelu biura bezpieczeństwa zajmującego stanowisko „laboranta”. Ten niewinny żarcik okazał się proroczy. W Austro-Węgrzech nic nie uchodziło za na tyle błahe i mało znaczące, by nie wymagało odnotowania, wydania zezwolenia lub uzyskania oficjalnej pieczęci.

Pewnego dnia to cesarstwo zniknie pod lawiną papierów!

Rheinhardt przeciągnął się, ziewnął, wstał od biurka i zgasił światło.

Czuł się zmęczony i postanowił rozproszyć mgłę spowijającą jego umysł, wracając do domu pieszo, nie zaś dorożką. Niebo pozostało bezchmurne do końca dnia i pod wieczór temperatura zaczęła gwałtownie się obniżać. Przenikliwy wiatr smagał policzki, lecz Rheinhardt był zdecydowany wytrwać. Minął przystanek tramwajowy, na którym kilku dżentelmenów oczekiwało w kolejce, i skręcił na plac przed Ratuszem. Była to rozległa otwarta przestrzeń przedzielona alejami latarni gazowych. Płomienie emitowały żółty siarkowy blask, który wystarczał do oświetlenia samego Ratusza - ulubionej budowli Rheinhardta w Wiedniu.

- Magiczne. - Wypowiedział to słowo na głos, zwalniając kroku, by podziwiać widok.

Gmach był jakby wyjęty z baśni: gotycki pałac składający się z masywnej konstrukcji centralnej wielkości katedry oraz pięciu iglic. Środkowa iglica wznosiła się znacznie wyżej niż jej towarzyszki, a na jej szczycie stała statua średniowiecznego rycerza w kompletnej zbroi. Był ledwo widoczny na swym wyniosłym piedestale, lecz Rheinhardt potrafił dojrzeć jego niewyraźnie majaczącą obecność na tle migoczących, wszędobylskich gwiazd. Ogólnie budynek sprawiał wrażenie budowli zawilej i misternej. Dostrzegało się latarnie, kwiatony, zwieńczone lukiem, wielodzielne okna, przypory i kilka dwuspadowych dachów. Widok był wspaniały - a przybranie w postaci śnieżnej girlandy dodawało mu splendoru. Rheinhardt cieszył się, że ma go do swojej wyłącznej dyspozycji.

Powiedział rycerzowi dobranoc, obszedł Ratusz i ruszył w uliczki Josefstadt.

Był to dzień pełen rozczarowań.

Gdyby tylko wynik testu okazał się pozytywny...

Gdyby tylko, gdyby tylko...

Dotarłszy do swojej kamienicy, Rheinhardt wspiał się po kamiennych stopniach wiodących na

pierwsze piętro. Nim zdążył wejść na samą górę, otworzyły się znieczeka drzwi jego mieszkania, w których stała Elsa, jego żona.

- Jesteś wreszcie! - wykrzyknęła. - Gdzie się podziewałeś?

- W pracy - wyjaśnił Rheinhardt.

- Dzwonili z biura bezpieczeństwa...

- Ależ dopiero opuściłem Schottenring!

- Powiedzieli, że nie ma cię już od jakiegoś czasu.

- No tak, to prawda, zdaje się. Postanowiłem wrócić do domu pieszo.

Na twarzy Elsy malowały się na przemian gniew i ulga.

- Martwiłam się - wydusiła wreszcie.

- Ejże, nie było powodu - rzekł Rheinhardt, pokonując kilka ostatnich stopni i całując żonę w czoło. - Czego chcieli?

- Musisz jechać do Ruprechtskirche.

- Teraz?

- Tak. Kolejne morderstwo.

Czcigodny zasiadał na krześle mistrza, pięknym tronie z rzeźbionego dębu. Uważano, że został wykonany w Szkocji około roku 1690 i podarowany jednej z pierwszych wiedeńskich łóż - być może nawet *Aux Trois Canons*, absolutnie pierwszej. Przesunął dłońmi po rzeźbionej poręczy i powiódł palcami wzdłuż linii tworzących pentagram, pitagorejski symbol doskonałości. Pięcioramienna gwiazda była wpasowana pomiędzy ramiona cyrkla.

Ze swej pozycji czcigodny miał widok na cały korpus świątyni aż do wejścia. Po obu stronach dwóch wielkich skrzydeł drzwi z brązu stały korynckie kolumny oznaczone literami J i B: Jakin i Boaz - przywodzące na myśl dwie kolumny zbudowane przez Hirama u bram Świątyni Salomona. Ponad nimi znajdowała się płaskorzeźba trójkąta równobocznego, z którego wnętrza pojedyncze wszystkowidzące oko chłodno kontemplowało puste ławki.

Malowidło na ścianie wschodniej czekało na ukończenie. W swym skończonym kształcie miało przedstawiać Arkę Przymierza oraz drabinę Jakuba pnącą się ku hebrajskiemu symbolowi Jod. Nie ma pośpiechu, pomyślał sobie w głębi ducha. Wciąż pozostaje sporo czasu na przygotowania...

Czcigodny wstał z miejsca i ruszył główną nawą. Zatrzymując się, by pogasić naftowe lampy, powoli zmierzał do wyjścia. Pchnął jedno skrzydło brązowych odrzwi i wziął jedną z dwóch lampek oliwnych, które zwieszały się z wbitych w ścianę haków. Westybul był

stosunkowo mały, przylegały do niego dwie pary schodów: jedne prowadzące w górę, drugie w dół. Czcigodny wybrał schody w dół - wąską spiralę klinowatych kamiennych stopni, które pograżały się głęboko w ziemi. Gdy dotarł na sam dół, znalazł się w kolejnym przedsionku oświetlonym światłem sączącym się z na wpół otwartych drzwi.

- Aa, jeszcze tutaj, bracie? - zawołał czcigodny.

- Tak - padła odpowiedź. - Jeszcze tutaj.

Czcigodny pchnął drzwi, które wydały głośnie skrzypnięcie. Otwierały się stopniowo, odsłaniając prostokątne pomieszczenie, znacząco mniejsze od świątyni. Ściany niemal całkowicie przesłaniały regały z książkami, choć wiele pólek było wciąż niezapełnionych.

Pośrodku izby stało kilka skrzyń. Dwie z nich były puste, a trzecia zawierała zbiór oprawnych w skórę woluminów. Mężczyzna - usadowiony w pobliżu za biurkiem - pochylał się i wyjmował książki z opróżnionej do połowy skrzyni, przyglądał się im i starannie wprowadzał

ich dane do dużego katalogu.

- Wszystkie przybyły bezpiecznie? - spytał czcigodny. - Tak, myślę, że tak.

- To dobrze. - Czcigodny zerknął na kieszonkowy zegarek. - Robi się późno, bracie.

Powinieneś iść do domu.

Bibliotekarz podniósł głowę, odłożył pióro na stół i rozprostował ramiona.

- To ostatnia skrzynia. Równie dobrze mogę skończyć. Czcigodny uśmiechnął się i zbliżył do biurka. Wziął do ręki księgę, którą bibliotekarz właśnie katalogował, i dokładnie przyjrzał się jej grzbietowi. Widniał na nim napis: *Journal fur Freymaurer, 1784-1786, Tom FV*.

- Mamy wszystkich dwanaście tomów? - spytał.

- Oczywiście - zaspokoił jego ciekawość bibliotekarz.

- Doskonale - rzekł czcigodny, gładząc okładkę. - Wszystkie rozprawy *Prawda i Jedność*. Będzie to bezcennym uzupełnieniem naszego zbioru.

Bibliotekarz ponownie chwycił za pióro i zaczął skrobać kolejny wpis w katalogu.

Czcigodny miał już wychodzić, lecz zatrzymał go na chwilę widok otwartej książki leżącej wierzchem do góry na biurku. Podniósł ją i zerknął na ilustrującą tekst mezzotintę. Widniał

pod nią podpis: *Projekt Schaeffera odtwarzający inscenizację Schikanedera*.

Ilustracja przedstawiała węża przeciętego na trzy odcinki.

Część druga

KRÓLESTWO NOCY

Rheinhardt czuł się nieswojo w kostnicy. Nawet wtedy, gdy jej głucha pustka ożywała dźwiękami ludzkich głosów, pozostawała miejscem złowrogim, niesprzyjającym człowiekowi. Już nie wiadomo który raz, inspektor sięgnął zgiętym palcem do kieszonki kamizelki i pociągnął za łańcuszek. Wskazówki na tarczy zegarka niemal stały w miejscu.

Gdzie on jest?

Z sufitu zwisała elektryczna lampa. Niski, stożkowy klosz kierował snop światła na prześcieradła, których topografia sugerowała leżący ludzki kształt. Poza tym wąskim słupem jasności rozciągał się nieprzenikniony przestwór mroku.

Zięb był nieznośny, ale Rheinhardt zaniechał chuchania w podkurczone palce.

Pogodził się z faktem, że dokuczliwy ból stawów przekształcił się w swoim czasie w ból nie do zniesienia. Potem może jedynie liczyć na mało satysfakcjonującą pociechę w postaci znieczulającego odrętwienia.

Gęsta cisza - tak skondensowana, że aż wydawała się brzęczeć - dzwoniła Rheinhardtowi w uszach. Zaczął gwizdać wesołą, dodającą animuszu melodię własnego autorstwa. Kiedy dotarł do końca drugiej frazy, cesurę wypełnił długi, przeciągły jęk. Co zaskakujące, dobiegał gdzieś z bliska. Nikłe, lecz zatrważające uniesienie się i opadnięcie prześcieradeł potwierdzało, że ten żaloszny dźwięk wydały zwłoki.

Rheinhardta ścisnął paraliżujący strach. W głowie mu pulsowało, a serce tłukło się o żebra.

Czyżby ten człowiek jeszcze żył? Niemożliwe!

Rheinhardt zerwał wierzchnie prześcieradło, odsłaniając twarz mężczyzny po pięćdziesiątce. Ukazało się szerokie, słowiańskie oblicze o wydatnych kościach policzkowych i zaczesanych do tyłu tłustych włosach. Sine wargi były rozchylone. Rheinhardt nerwowo przyłożył dłoń do ust trupa, ale nie poczuł nic.

- Co pan, u licha, wyprawia, Rheinhardt? Inspektor podskoczył.

- Och, profesor Mathias.

Patolog wszedł do środka, powłócząc nogami, po czym zdjął kapelusz i płaszcz.

- Ci się stało? Wygląda pan, jakby zobaczył ducha!

- On stęknął - rzekł Rheinhardt, wskazując ciało. - Przysięgam. Stęknął - o tak. -

Rheinhardt wydał zawodzący jęk.

- To gazy, inspektorze, związki, które uwolniły się, gdy bakterie przystąpiły do pracy nad jego ostatnim posiłkiem. Wędrują w górę i stymulują krtań.

Mathias powiesił ubranie i zdjął fartuch z wieszaka. Przełożywszy głowę przez górną pętlę, starszy mężczyzna zawiązał za plecami dyndające boczne sznurki i poszurał w stronę stołu.

- Dobry wieczór, sir - zwrócił się do zwłok. - A do kogóż to, jeśli wolno spytać, mam przyjemność przemawiać?

- Nazywa się Evzen Vanek - odparł Rheinhardt.

- Czech?

- Tak. Miał przy sobie dokumenty. Sprzedawał kurczaki na targu mięsny.

- Gdzie go znaleziono?

- W pobliżu Ruprechtskirche.

- Nowy w Wiedniu?

- Przybył dwa miesiące temu.

- Ach, Evzenie. - Profesor przecesał włosy mężczyzny palcami. - Trzeba było zostać w domu... *Czyż nasz bastion od dawien dawna nie podkopany przez Królestwo Nocy?* -

Profesor spojrział na Rheinhardta kaprawymi oczami wytrzeszczonymi za grubymi soczewkami okularów. - No, inspektorze?

- Nie wiem.

- Schiller, Rheinhardt. *Melancholia*. To powinno być dziecinną igraszką!

Mathias cmoknął i pokuśtykał do wózka, przy którym rozpoczął rytuał znany Rheinhardtowi aż nazbyt dobrze. Profesor podwinął rękawy koszuli, przystąpił do układania i przekładania swoich instrumentów. Łyżka została przeniesiona z dolnej półki na górną, a w przelocie zahaczyła o drugą i trzecią. Zacisk został zdegradowany. Największa wiertarka wzięta do ręki, obejrzana, a następnie odłożona dokładnie na to samo miejsce.

- Ugodzone go w klatkę piersiową.

- Ciii! - Mathias pchnął w stronę Rheinhardta otwartą dłoń z wyprostowanymi pionowo palcami, jak gdyby odpierając kierowane do niego słowa. Podumał nad układem instrumentów i ostrożnie umieścił dłuto obok rządka skalpeli. - Gotowe - orzekł, jak gdyby nagle znalazł wymykające się dotąd rozwiązanie odwiecznego problemu. Zwróciwszy się do Rheinhardta, dodał: - Co to pan mówił?

- Ze zadano mu cios w klatkę piersiową.

Profesor odwinął prześcieradła, odsłaniając górną połowę ciała. Vanek miał na sobie ciemną koszulę, lecz plamy krwi były wyraźnie widoczne. Rozcięcie wskazywało miejsce wejścia ostrza w ciało. Ostra woń amoniaku uniosła się znad dolnych partii zwłok.

Mathias próbował rozpiąć górny guzik, lecz zadanie to okazało się niewykonalne.

Guzik tkwił pod skorupą zakrzepłej krwi. Sędziwy profesor skontrolował ziarniste plamy na koniuszkach swoich palców i wziął ze stolika na kółkach wielkie nożyce. Wprawnie rozciął

koszulę od kołnierza po rąbek na dole i pociągnął za sztywny materiał. Przy okazji wyrwał

dwa pasy owłosienia na piersi. Rheinhardt odwrócił wzrok. Widok i odgłosy depilacji przyprawiły o mdłości.

- Był żonaty? - spytał Mathias. - Nie.

- Wobec tego podziękujmy Bogu chociaż za to - stwierdził patolog. W bezlitosnym świetle rana Vanka prezentowała się wyraziście: wściekle czerwona elipsa oblepiona czarną, ziarnistą substancją.

Nie oglądając się na stolik, Mathias wyciągnął rękę i schwycił szkło powiększające z drugiej półki. Pochylił się nad zwłokami i spojrzał przez szeroką, stalową obręcz.-

Interesujące... - wymamrotał. - Bardzo interesujące. Czy mógłby pan nieco się odsunąć, inspektorze, zabiera mi pan cenne światło. - Rheinhardt zastosował się do prośby patologa. -

Rana kłuta, oczywiście - ciągnął Mathias - lecz odrobinę nietypowa. Nóż ma grzbiet i jedno ostrze tnące. Broń użyta do uśmiercenia tego dżentelmena miała dwa ostrza tnące.

- Szabla?

- Cierpliwości, Rheinhardt: *festina lente*.

Stary mężczyzna ostrożnie wcisnął palce w ranę - manewr został przeprowadzony z delikatnością wtajemniczonego młodego kochanka. Zamknął oczy i wydawał się zapadać w nekromantyczny trans. Mathias kołysał się łagodnie i mamrotał coś do siebie. W ostrym, elektrycznym świetle wydychane przez niego powietrze zamieniało się w białe, skłębione obłoki, które gromadziły się nad ciałem. Przypominał medium wyrzucające z siebie ektoplazmę. Pomiedzy oddechami pomruki profesora były zakłócone odgłosami z jego astmatycznych płuc, z których wydobywał się upiorny akompaniament niby fisharmonii, gdy lodowate powietrze zadawało tortury jego obkurczonym oskrzelom.

- Rana zadana szablą - powiedział cicho. - Zwykłą szablą, nie turecką - która ma dużo wyraźniejszą krzywiznę. Ostrze weszło przez mostek, osierdzie i przebiło serce na wylot. -

Profesor otworzył oczy i wyciągnął palce. Ciągnęła się za nimi krwawa, śluzowata substancja.

- Tak samo jak w Spittelbergu. - Głos Rheinhardta brzmiał beznamiętnie.

- Co takiego?

- Morderstwa w Spittelbergu. Tamte kobiety... mówił pan, że ich rany najprawdopodobniej pochodzą od szabli.

- Tak mówiłem? - Tak.

Mathias wydawał się nieobecny - niechętny nawiązaniu kontaktu wzrokowego.

- Myśli pan, że to ta sama broń?

- Biedny Evzen - powiedział Mathias, podnosząc wzrok na poważną, niemal szlachetną maskę wiecznego spoczynku Czecha. Ruchy patologa były teraz mniej płynne, a kończyny wydawały się zeszywnieć. Zastygł w niezgrabnej pozycji, jakby - jakimś dziwnym trafem natury - zaraził się od zwłok stężeniem pośmiertnym.

- Profesorze Mathias? - ośmielił się odezwać Rheinhardt.

- Ile jeszcze razy? - warknął stary profesor. - Wiecznie próbuje się mnie poganiać!

Wyraz twarzy Mathiasa stopniowo ulegał zmianie. Zmarszczki na jego obliczu układały się w mozaiki, które tworzyły najpierw obraz współczucia, potem zaskoczenia, a wreszcie zaintrygowania.

Patolog przysunął się do stołu i zaczął wnikliwiej oglądać twarz zmarłego. Jego głowa zakołysała się nad ciałem i natychmiast zakreśliła dużą ósemkę. W tym nagłym ożywieniu było coś dzikiego - jakby leśne zwierzę zwęszyło ukryte zapasy na zimę.

- Profesorze! - nie dawał za wygraną Rheinhardt. - Byłbym ogromnie wdzięczny...

- Niech pan tutaj spojrzysz - przerwał Mathias, całkowicie obojętny na rosnące zniecierpliwienie inspektora. - Nieznaczne zasinienie wokół szyi. - A następnie, ciszej, do siebie: - Przecież nie został uduszony. - Głośniejszym głosem dodał: - Coś jest również nie w porządku w okolicy wypukłości krani. Jest nienaturalnie rozszerzona.

Rheinhardt nie posiadał rozległej wiedzy medycznej, lecz wiedział wystarczająco dużo, by pokusić się o sugestię: - Może wole?

Mathias zareagował pełnym pogardy spojrzeniem i ponownie skierował uwagę na zwłoki. - Proszę mi wybaczyć, sir - wytłumaczył się i przystąpił do obmacywania nieogolonego podbródka zmarłego mężczyzny. Ucisnął gardło z obu stron i nagle cofnął ręce jak oparzony.

- Mój Boże!

Nie chcąc narażać się na jeszcze jedno napomnienie, Rheinhardt stłumił w sobie chęć zapytania profesora, coż takiego odkrył.

Mathias zdjął ze stolika gumowy rozwierak i wręczył go Rheinhardtowi. Następnie szeroko otworzył usta Vanka, czemu towarzyszyło głośne, mokre „klak”. Przytrzymując obiema rękami górną szczękę i żuchwę, Mathias poprosił:

- Inspektorze, byłby pan uprzejmy zaklinować szczękę, żeby się nie zamykała?

Cofnięcie warg wyłoniło spróchniałe zęby zmarłego. Rheinhardt widział różowe podniebienie i obwisły języczek. Nie chciał, by jego palce zetknęły się z martwym ciałem.

- No, inspektorze! - prychnął Mathias. Ponieważ częstym zwyczajem profesora było tajanie Rheinhardta za pośpiech, inspektor poczuł w sobie nagłą, neodpartą chęć wygłoszenia zgryźliwego komentarza. Na szczęście zdrowy rozsądek przeważył i Rheinhardt posłusznie wepchnął gumowy rozwierak między zęby Czecha.

- Dziękuję - rzekł Mathias.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Rheinhardt, przywołując na usta całkowicie nieszczerzy uśmiech.

Stary profesor poczłapał do stolika i znalazł jakieś dziwnie ukształtowane kleszcze.

Czym prędzej powrócił do szczytu stołu i zajrzał do gardła Vanka.

- A więc... - rzekł, wypuszczając obłok pary. - Rozwikłajmy tę zagadkę.

Mathias wsunął kleszcze do ust Vanka i cmoknął kilkakrotnie, z pozoru sfrustrowany stopniem skomplikowania czynności, którą zamierzał wykonać. Po kilku nieudanych próbach na jego twarzy pojawił się wyraz odprężenia i profesor zaczął wyciągać instrument.

- Niesłychane - rzekł Mathias, podnosząc kleszcze do światła.

Rheinhardt zamrugał powiekami. Nie mógłby być bardziej zaskoczony. Nawet gdyby stał w namiocie cyrkowym na Praterze i był świadkiem wyjątkowo imponującej sztuczki iluzjonisty. Pomiedzy ściśniętymi końcówkami kleszczy profesora Mathiasa tkwiła zwykła kłódka.

- No i co pan na to, Rheinhardt? Inspektor zaniemówił.

- Przypuszczam - mówił dalej Mathias - że obecność tego przedmiotu pomoże wyjaśnić zjawisko, które opisał pan wcześniej. Być może pozwolił on gazom swobodniej ujść na zewnątrz obok strun głosowych.

- Cóż to, u licha, oznacza? - wykrztusił Rheinhardt, a nuta paniki drżała w każdej sylabie tego okrzyku.

Mathias pokręcił głową.

- Oczywiście, skoro morderca był do tego stopnia obłąkany, by ukryć jeden przedmiot...

Patolog uniósł brwi, zasnuował usta, po czym dobył z siebie przeciągle, pytające

„mimi?”.

- Słucham? - rzekł Rheinhardt, odzyskawszy tyle stanowczości i determinacji, by móc pozorować opanowanie. - Co pan sugeruje?

- Jedyne to - odparł Mathias - że nie zawadziłoby przebadać naszego nieszczęsnego przyjaciela dokładniej. Powinniśmy zajrzeć mu do żołądka oraz sprawdzić oczywiście zawartość jego odbytnicy.

Rheinhardt zakasłał.

- Jeśli nie ma pan nic przeciw, profesorze, wolałbym zapalić cygaro na zewnątrz, podczas gdy pan...

- Dokończy autopsji?

- W istocie.

- Jak pan sobie życzy, mnie jest wszystko jedno. Zawołam pana, jeśli znajdę coś interesującego.

Rheinhardt przeszedł przez kamienne płyty, ale nim wyszedł, ukradkiem zerknął na kostnicę. Oto Mathias stojący w kręgu lodowatego światła, przygotowujący się do wyruszenia na dziwną wyprawę w głąb ludzkiego ciała w poszukiwaniu skarbów. Z jego ust unosiły się niczym oddech smoka zamglone opary. Patolog ożywił się dość mocno, jego ruchy nabrały werwy za sprawą zapachu dziecięcego entuzjazmu i podniecenia - który sprawił, że Rheinhardt poczuł się zdecydowanie nieswojo.

W korytarzu przed kostnicą Rheinhardt oparł się plecami o wilgotną ścianę i wyjął

krótkie cygaro trabuco. Zapalił zapałkę i przyłożył ją do końcówki cygara.

Rany od szabli... przekrzywiony krzyż... kłódka.

To dzieło tego samego człowieka.

Karsten Krułł jest zupełnie niewinny, a maniak wciąż grasuje na wolności.

Po raz pierwszy Rheinhardt zaczął martwić się o bezpieczeństwo swojej rodziny.

Salon urządony był wystawnie, wskazywały na to żyrandole, ciężkie draperie, pozłacane meble i zbiór biedermeierowskich płócien olejnych. Gustav von Triebenbach stał

przy cokole, który podpierał białe, marmurowe popiersie Ryszarda Wagnera. Goście przybyli licznie - nie wszyscy z nich byli pełnoprawnymi członkami Towarzystwa Wagnerowskiego, za to wszyscy bez wyjątku byli oddani sprawie. W odległym rogu sali stał połyskujący fortepian Steinwaya. Za klawiaturą siedział Herman Aschenbrandt oraz inny młody muzyk.

Grali *Morgenblätter* Straussa w aranżacji na cztery ręce.

Von Triebenbach sączył szampana i przyglądał się otoczeniu. Rozpoznał kilku ważnych dygnitarzy, w tym bliskich współpracowników burmistrza oraz ministra należącego do Partii Chrześcijańsko-Socjalistycznej. Przy kominku stała wysoka, dystygowana wyglądająca dama w długiej, czarnej sukni i rubinowym naszyjniku. Była to baronowa Sophie von Rautenberg - mecenaska Olbrichta. Von Triebenbach zanotował sobie w pamięci, by pod koniec wieczoru powiedzieć jej komplement. Choć miała już z górą pięćdziesiąt lat, nadal była atrakcyjną kobietą. Wedle jego wiedzy od czasu śmierci Rautenberga nigdy nie miała kochanka. Zastanawiał się, czy mógłby pewnego dnia przekonać ją, by rozważyła jego ewentualną kandydaturę. W pobliżu baronowej siedział Anglik, Houston Stewart Chamberlain. Był honorowym członkiem towarzystwa i przemawiał do grupki wielbicieli.

Von Triebenbach czytał książki i eseje na temat „wielkiego kompozytora” i ogromnie mu się one podobały.

Po przeciwnej stronie sali von Triebenbach wyłowił wzrokiem Ruprechta Hefnera.

Porucznik wyróżniał się z tłumu ze względu na swój intensywnie niebieski mundur (austriackiemu oficerowi nie wolno było nosić po służbie ubrania cywilnego). Hefner rozmawiał z ładną, młodą damą w sukni z żółtego jedwabiu. Von Triebenbach jej nie znał, ale miał mocne podejrzenie, że jest to córka ministra.

Kawalerzysta przysunął się blisko i szeptał jej coś do ucha. Zarumieniła się, rozejrzała nerwowo po pokoju i odeszła energicznym krokiem - unosząc delikatnie spódnicę, by ułatwić sobie zwinną ucieczkę.

Pewnego dnia ten chłopak napyta sobie biedy...

Von Triebenbach ściągnął na siebie uwagę Hefnera i uniósł kieliszek z szampanem.

Oficer uśmiechnął się i ruszył w jego stronę, pozwalając złotej frędzli kołysać się wyzywająco z głowicy szabli. Kilka osób przerwało rozmowę, by podziwiać władczy krok ułana.

- Baronie! - rzekł, kłaniając się, Hefner. - Jakże miło znów pana widzieć.

- Pana również, Hefner. Ile to już czasu?

- Zbyt dużo.

- W istocie, nie pamiętam, kiedy widziałem pana ostatni raz na jednym z naszych skromnych zebrań.

- No tak, baronie, proszę mi wybaczyć. Ostatnimi czasy miałem inne zobowiązania.

Po koszarach krążyła plotka, że Jego Cesarska Mość zamierza dokonać inspekcji osiemnastego pułku. Cóż, może pan sobie wyobrazić, jak ta wiadomość podziałała na takiego służbistę jak Kabok! Ćwiczyliśmy musztrę dzień i noc!

- Oczywiście, ale musi pan wkrótce znowu się u nas pojawić. Mieliśmy kilku szalenie interesujących gości, Na naszym ostatnim spotkaniu zaszczyił nas swoją obecnością nie kto inny jak sam List.

- Doprawdy? Odnosiłem wrażenie, że staruszek już nie żyje.

- Nie Liszt, drogi kolego, ale Guido List! Ten słynny pisarz.

- Och, no tak...

W reakcji żołnierza zabrakło bystrości, która dowodziłaby autentycznej znajomości tematu, lecz von Triebenbach nie miał ochoty drążyć sprawy.

- Mniejsza o to. Niech pan przyjdzie, kiedy będzie mógł. Muzyka umilkła i sala rozbrzmiała entuzjastycznymi oklaskami.

Muzycy na wpół podnieśli się z miejsc, kłaniając się i uśmiechając szeroko na wszystkie strony. Gdy tylko usiedli, ostrożna introdukcja staccato poprzedziła akord zagrany fortissimo, po którym nastąpił z kolei leciutki, skoczny akompaniament. Kiedy z klawiatury spłynęła melodia *Liebeslieder Waltz* - płynna i delikatna - część publiczności ponownie zaczęła bić brawo.

Von Triebenbach pochylił się bliżej przystojnego oficera kawalerii i zniżył głos.

- A skoro mowa o pogłoskach, słyszałem, że poprzytykał się pan z Freddim Lembergiem, w operze?

- Słyszał pan?

- Tak, i rozumiem, że zażądał satysfakcji.

- Kto panu o tym powiedział?

- Hefner, nie może pan oczekiwać, że taka wymiana zdań mogłaby przejść niezauważona. - Oficer wzruszył ramionami. - Mój drogi chłopcze - ciągnął von Triebenbach

- musi być pan bardziej dyskretny.- Następnie pokiwał głową w stronę dziewczyny w żółtej sukni, która właśnie powróciła do sali. - W odniesieniu do wszystkich kwestii. Hefner wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jak zwykle, baronie, jestem panu zobowiązany za tę mądrą radę. Muszę jednak błagać pana o wybaczenie. Kwestia, do której właśnie się pan odniósł, pozostaje wciąż nierozstrzygnięta.

Hefner skłonił się i wmieszał w tłum, wyraźnie w pogoni za swą zdobyczą.

Von Triebenbach pokręcił głową.

Och, żeby tak znowu być młodym! Czuć się niezwyciężonym!

Z tęsknotą wspomniawszy podboje własnej młodości, von Triebenbach skierował

kroki ku ponętnej wdowie Rautenberg. Gdy się zbliżał, jego uwagę rozproszyła grupka otaczająca Chamberlaina. Von Triebenbach nie słyszał wszystkiego, wkrótce jednak zorientował się, że Anglik rozprawia o swoim rodaku, sir Francisie Galtonie. Cienki, acz wyraźny głos wybijał się ponad ogólny gwar. Niemczyzna Anglika była nienaganna: „Wnosił

petycje do brytyjskiego rządu od lat sześćdziesiątych... trzeba wspierać wartości dziedziczne... wyżej urodzonym można by proponować zawieranie związków małżeńskich w Opactwie Westminsterkim i zachęcać dotacjami przyznawanymi po narodzinach dziecka do wydawania silnego i zdrowego potomstwa”. Tłum rozstąpił się i von Triebenbach po raz pierwszy ujrzał Anglika w całej okazałości.

Chamberlain miał jasną cerę, na włosach i wąsach przenikały się rozmaite odcienie płowych barw. Pod wyjątkowo wysokim czołem twarz zdawała się dziwnie wydłużona.

Rzeczywiście, cała jego powierzchowność sugerowała jakieś wyszczuplenie - jakby ciało zostało rozciągnięte. Wargi były aż nazbyt pełne, niemal kobiece, duże oczy przypominały von Triebenbachowi oczy nocnych ssaków. A jednak zachowanie Anglika zdradzało jakiś rys zdecydowanie arystokratyczny, może sprawiało to jego opanowanie bądź precyzja wypowiedzi.

Von Triebenbach słyszał teraz każde słowo Chamberlaina:

- Nie sposób oszacować geniuszu i rozwoju naszej północnoeuropejskiej kultury, jeśli będziemy uparcie przymykać oczy na fakt, że to „ściśle określony gatunek” ludzkości stanowi jej fizyczną i moralną podstawę. Dzisiaj dostrzegamy to jasno: im bowiem mniej teutońska ziemia, tym mniej ucywilizowana. Ten, kto w dzisiejszych czasach podróżuje z Londynu do Rzymu, przenosi się z mgły w blask słońca, lecz jednocześnie z najbardziej wyrafinowanej cywilizacji i wysokiej kultury do półbarbarzyństwa - brudu, zgrzebności, fałszu, ubóstwa.

Kelner podsunął baronowi tartinkę z łososiem, ale von Triebenbach odmówił, nie chcąc uronić ani jednego słowa Anglika.

-...Z jednej strony głębia, siła i bezpośredniość wyrazu jako nasz swoisty dar, z drugiej zaś wielka tajemnica naszej wyższości w tak wielu sferach, a mianowicie nasza wrodzona tendencja do szczerego i wiernego podążania za naturą.

- Święta prawda - skomentował któryś z jego zwolenników, co wywołało pomruk ogólnej aprobaty.

Gdy nadejdzie czas, pomyślał von Triebenbach, z pewnością będziemy mogli liczyć na Anglików.

Profesora Freuda niemal całkowicie spowijał gęsty obłok cygarowego dymu.

Szczegółowo przedstawiał psychologiczne różnice między procesami zachodzącymi w świadomości i podświadomości. Gdy wykład trwał w najlepsze, uwagę Liebermanna rozproszyła osobliwa fantazja. Rozgrywała się, niczym grecka tragedia, na najodleglejszych peryferiach jego umysłu. W owej fantazji on sam - lub ktoś bardzo do niego podobny - był

neofitą w starożytnej sekcie, zasięgającym rady duchowej wyroczni, która objawiała się w półprzezroczystych skręconych welonach unoszących się nad złotą kadzielnicą...

- Wszystko, co świadome, podlega procesowi zacierania się, podczas gdy to, co nieświadome, pozostaje relatywnie niezmiennie. Proszę spojrzeć na te starożytne przedmioty...

- Freud przesunął dłońmi po figurkach, które pełniły straż na jego biurku, a pośród których Liebermann wypatrzył skrzydlatego sfinksa, krótkogłowego karła i bóstwo z głową sokoła.

Jego fantazja rozmyła się.

- Są to - kontynuował profesor Freud - przedmioty odnalezione w ukryciu egipskich grobowców. Najstarszy ma prawie trzy tysiące lat. Niemniej jednak właśnie ich zakopanie byto przyczyną ich przetrwania. Tak samo dzieje się z pamięcią nieświadomą - jest chroniona pod powierzchniowymi osadami psychiki. Niech pan pomyśli o Pompejach. Czy rzeczywiście zniszczył je wybuch Wezuwiusza w 79 roku? Wcale nie. Zniszczenie Pompejów zaczyna się dopiero teraz, gdy zostały odkryte i odkopane!

Freud przyciął kolejne cygaro i zaproponował je swemu towarzyszowi, ale Liebermann podziękował. Gdyby próbował dotrzymać kroku starymu profesorowi, obydwaj staliby się niewidoczni za gęstniejącą, szaroburą mgłą.

Zaimprovizowana

prelekcja

Freuda była szczegółowa i wyczerpująca.

Liebermannowi przypomniały się sobotnie wykłady: zwyczajem profesora było wygłaszanie ich bez notatek, a mimo to zawsze cechowały je misterna argumentacja i doskonała struktura.

Uzmysławiając sobie fakt, że wielki psychoanalityk może za chwilę podjąć dyskurs i kontynuować go przez co najmniej kolejne pół godziny, Liebermann uznał, że mądrze byłoby wykorzystać przerwę. Starszy mężczyzna zapalił zapałkę i zaciągnął się długim cygarem.

- Profesorze? - Przenikliwe oczy Freuda wyjrzały zza żółtawoszarego obłoku. - Pisał

pan obszernie o pojawianiu się symboli we śnie, ciekaw jestem, czy zechciałby pan przyjrzeć się pewnemu symbolowi, na który natknąłem się w trakcie mojej... mojej pracy.

- Oczywiście - odparł Freud. - Choć w materii interpretacji snów symbolom nie przypisuje się niezmiennego znaczenia, tak jak znakom stenograficznym.

- Ten symbol nie pojawił się we śnie - wyjaśnił Liebermann z niezmaconym spokojem. Spojrzenie Freuda pozostało niewzruszone - jego oczy były jak dwa nieruchome punkty skupienia. - Podejrzewam - ciągnął Liebermann - że jest to pewnego rodzaju święty znak, ideogram. Zważywszy na pańską rozległą znajomość świata starożytnego oraz jego kultur, miałem nadzieję, że być może będzie pan potrafił go zidentyfikować.

Profesor przybrał jawnie nieszczerzy wyraz skromności i bąknął:

- Cóż, być może...

Liebermann wstał i podszedł do biurka.

- Mogę? - Gestem ręki wskazał wieczne pióro.

Freud skinął głową i wyjął z szuflady arkusz papieru listowego z nagłówkiem.

Liebermann narysował prosty krzyż i dodał na każdym z końców ramiona pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Ukończywszy rysunek, podsunął go profesorowi, który zastanawiał się nad nim przez dłuższą chwilę, a następnie wykrzyknął:

- Tak, już coś takiego widziałem! Pojawia się czasem na przedmiotach pochodzących z Egiptu, ale wydaje mi się, że jest powszechniej kojarzony z subkontynentem indyjskim.

- A co to dokładnie jest?

- Tego nie wiem. Lecz mam w swych zbiorach bardzo bogatą w informacje książkę na temat pisma indoeuropejskiego, która prawdopodobnie nam to wyjaśni. - Freud podniósł się z miejsca i podszedł do biblioteczki. Przebiegł poplamionym od tytoniu palcem wskazującym po rzędzie okazałych woluminów z dziedziny archeologii. - Gdzież ona się podziała? Jestem pewien, że musi być gdzieś tutaj. - Odwrócił kierunek poszukiwań. - A! Jest, schowana między Evansem a Schliemannem. - Wyjęta książka była mała, gruba i cokolwiek wysłużona.

Miała podarty grzbiet, a okładki otwierały się z łopotem jak dwuskrzydłowe drzwi.

Nagle cała powierzchowność Freuda jakby przeszła metamorfozę. Westchnął ciężko, a na jego barkach osiadło niewidzialne brzemień. Zdawał się skurczyć w sobie.

- Profesorze? - zagaił z troską Liebermann.

Starszy mężczyzna pogładził sfatygowaną okładkę książki i pokręcił głową.

- Ta książka... należała do drogiego mi przyjaciela. - Freud wskazał fotograficzny portret na ścianie: przystojny młody mężczyzna o ciemnych włosach i łagodnym, głębokim spojrzeniu. - Fleischl-Marxowa.

Liebermann wielokrotnie zastanawiał się, kim jest ten młody mężczyzna i uznał, błędnie, że to z pewnością jakiś daleki krewny.

- Pracowaliśmy razem w laboratorium Briickego w Instytucie Fizjologii. Miał

pierwszorzędny umysł, naprawdę błyskotliwy. Prowadziliśmy wspaniałe rozmowy: o filozofii, sztuce, nauce i literaturze! Dyskutowaliśmy o wszystkim. I był taki wielkoduszny...

kiedy brakowało mi pieniędzy (co w owych czasach zdarzało się nader często), Fleischl zawsze spieszył mi na ratunek. W trakcie pracy laboratoryjnej złapał jakąś infekcję, która spowodowała konieczność amputacji prawego kciuka. Operacja nie powiodła się. Później cierpiał na nerwiaka i musiał zostać poddany kolejnym zabiegom chirurgicznym. Ale nie nastąpiła żadna poprawa, ból przybierał na sile. W końcu okazał się zupełnie nie do zniesienia i Fleischl uzależnił się od morfiny.

W owym czasie ja podejmowałem badania nad leczniczymi właściwościami kokainy, alkaloidu, który Niemann wyizolował z liści koki. Przypadkowo natknąłem się na pewien raport w „The Detroit Medical Gazette” sugerujący, że uzależnienie od morfiny można leczyć zastąpieniem jej kokainą, która miała być rzekomo mniej szkodliwa. Nie posiadałem się z radości. Może pan sobie wyobrazić? Cóż za odkrycie! Zachęciłem Fleischla do wypróbowania nowej terapii. I usłuchał. Doprawdy, mój przyjaciel chwycił się tego leku jak tonący brzytwy...

Freud pokręcił głową.

- Po prostu zastąpił jedno uzależnienie innym. W ciągu trzech miesięcy wydał 1800

marek - aplikował sobie jeden gram dziennie! Dawka stukrotnie większa od zalecanej! Zaczął

majaczyć, cierpiał na halucynacje i miewał skłonności samobójcze. Nie mógł spać i znalazł

sobie zajęcie na długie, bolesne godziny czuwania każdej nocy: zaczął zgłębiać sanskryt. Nie wiem dlaczego, ale zmusił mnie do obietnicy, że nigdy nie zdradzę tej jego sekretnej pasji.

Przypuszczam, że była to po prostu paranoja, kolejny skutek uboczny mojej cudownej terapii!

Nim umarł, zasugerował, bym wziął tę książkę, żeby inni nie dowiedzieli się o jego nocnym zajęciu. Cóż, jakie ma to teraz znaczenie? Jestem pewien, że wybaczyłby mi to drobne nadużycie jego zaufania.

Profesor siedział z opuszczoną głową. Ponownie pogładził książkę i usiłował złożyć rozdarty grzbiet.

- Próbował pan jedynie pomóc przyjacielowi - rzekł Liebermann. Freud podniósł

głowę.

- Ale mu zaszkoziłem.

- Działal pan w dobrej wierze. Czyż w gruncie rzeczy nie jest to wszystko, czego można wymagać od lekarza?

Freud uśmiechnął się blado.

- Tak, pewnie ma pan rację. - Pokręcił głową. - Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem...

Liebermann uniósł rękę, powstrzymując dalsze przeprosiny. Freud skinął głową. Był to prosty, niemal niezauważalny ruch, wyrażał jednak bardzo wiele. Szacunek dla młodego kolegi, przyjęcie dobrej rady oraz odczuwaną przez wszystkich ludzi, nawet ojca psychoanalizy, potrzebę wystrzegania się subtelnych sideł własnego poczucia winy.

Profesor otworzył książkę i wertował cienkie, pozółkłe kartki. Na wielu z nich były umieszczone komentarze i znaki skreślone ręką dawnego kompana. Od czasu do czasu Freud zatrzymywał się, by przeczytać napis, a następnie kontynuował poszukiwania. Odczytywanie tych uwag wydawało się podnosić go na duchu. Raz czy dwa profesor nawet się zaśmiał - być może schwytyany w sieć jakichś radosnych wspomnień o przyjacielu.

- Jest! - zawołał Freud. Natychmiast podsunął książkę Liebermannowi. - A gdzie pański rysunek? - Freud położył książkę obok szkicu Liebermanna. - Bardzo podobne, ale nie identyczne. Proszę zwrócić uwagę, pańska figura przechyla się w stronę prawą, podczas gdy ta przechyla się w lewo. Jest to symbol zwany... - Freud przyjrzał się uważniej drobniutkiemu drukowi. - Swastyką.

- Swastyką? - Liebermann powtórzył słowo, sycąc ucho nowymi, obco brzmiącymi sylabami.

- Tak - mówił dalej Freud. - Od sanskryckiego *su* oznaczającego „dobrze” oraz *asti* oznaczającego „być”. W dosłownym przekładzie „powodzenie”, „dobrobyt” albo... „jest dobrze”. - Przebiegł wzrokiem tekst. - Ów symbol po raz pierwszy pojawił się w Wedach -

świętych księgach hinduistów. Przypuszczam, że to azjatycki odpowiednik naszego lekarskiego symbolu: węża i laski Eskulapa. Natknął się pan nań w jakimś dawnym dziele medycznym?

- W samej rzeczy. Zbieram materiały do rozprawy na temat historii symboli związanych ze zdrowiem i leczeniem.

Freud wydawał się lekko zaskoczony.

- Doprawdy? Nie uświadamiałem sobie, że interesują pana tego rodzaju rzeczy.

Liebermann nie słyszał uwagi profesora. Przypominał sobie fragment rozmowy. Coś, co Rheinhardt powiedział na temat głośnych morderstw w Whitechapel.

Tożsamość Rozpruwacza nigdy nie została odkryta, pamiętam jednak, że niektórzy komentatorzy występowali z teorią, że ofiary zginęły z rąk chirurga. - Muszę przyznać - nie dawał za wygraną Freud - że mnie pan zaskakuje. Zazwyczaj potrafię wnikliwie ocenić człowieka, a mimo to nie

miałem pojęcia, że jest pan obiecującym historykiem!

Rheinhardt otworzył szufladę biurka i wsunął do środka niedokończony raport.

Wylądował na stercie oficjalnych formularzy, w większości wypełnionych tylko do połowy.

Zajmę się tym po powrocie.

Myśli tej brakowało przekonania. Do tego stopnia, że Rheinhardt był zmuszony surowo napomnieć samego siebie: *Naprawdę musisz to zrobić!*

Pchnął szufladę, wyjął zegarek z ciasnej kieszonki kamizelki i dech mu zaparło.

- Haussmann! - zawołał do asystenta. - Zbierajmy się. W przeciwnym razie będziemy spóźnieni.

Nieskorzy do zeznań świadkowie długo nie czekają. Młodszy z mężczyzn, który sumiennie kopiował zawartość swego notesu do pękających akt, posłusznie wstał z miejsca. W

tym samym momencie zapukano do drzwi i inny miody oficer - zdecydowanie misiowaty z wyglądu - wtoczył się do pokoju.

- Sir - zwrócił się do Rheinhardta. - Człowiek z zoo, na zewnątrz. Twierdzi, że musi zobaczyć się z panem natychmiast.

- Człowiek z zoo? - powtórzył Rheinhardt.

- Dozorca. Herr Arnoldt.

Rheinhardt, wciąż pochłonięty myślami o zaległościach w niedokończonej papierkowej robocie oraz o spotkaniu, na które, jeśli się nie pośpieszy, będzie spóźniony, nie zrozumiał należycie komunikatu młodego oficera. Wyraz twarzy inspektora zmieniał się, przechodząc od konsternacji, przez pustkę, do zdziwienia.

- Herr Arnoldt - pośpieszył z pomocą Haussmann. - Ten, który opiekował się węzem, Hildegardą.

- A tak - rzekł Rheinhardt. - Ten Herr Arnoldt. Czegóż on może chcieć?

Młody oficer przy drzwiach doszedł do wniosku, że drobny szczegół może skłonić inspektora do zajęcia bardziej zdecydowanego stanowiska.

- Bardzo zależy mi na spotkaniu, sir, bardzo. Rheinhardt zrobił grymas.

- Nie mogę go teraz przyjąć. Niech przyjdzie później. Albo, nawet lepiej, powiedz mu, żeby przyszedł jutro.

Młody oficer został nagle odepchnięty, a drzwi gwałtownie otworzyły się na oścież.

Herr Arnoldt potknął się i wpadł do środka. Wszystko wskazywało na to, że znajduje się w stanie wielkiego wzburzenia. Miał rozczochrane włosy i uniesione w górę ramiona, które wymachiwały w powietrzu, jak gdyby poruszane przez oszalałego lalkarza.

- Inspektorze, inspektorze - powiedział rozgorączkowany opiekun z zoo. - Dzięki Bogu, że pana zastałem! Stało się coś niezwykłego. Odzyskałem pamięć. Chciałbym złożyć jeszcze raz zeznania.

Misiowaty oficer podniósł wielkie łapsko i wykonał gest komunikujący, że jest gotów usunąć dozorcę, jeśli tylko życzy sobie tego jego zwierzchnik. Lecz Rheinhardt pokręcił

głową i powiedział spokojnie:

- Dziękuję, to wszystko.

Młody mężczyzna wydawał się rozczarowany, gdy zamykał za sobą drzwi.

- Herr Arnoldt - odezwał się Rheinhardt. - Może zechciałby pan przyjść jutro. Mam przesłuchać pewnego dżentelmena w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa. Jesteśmy umówieni za dwadzieścia minut. Naprawdę nie mogę dłużej zwlekać.

- Śledztwo w sprawie morderstwa! - wykrzyknął Herr Arnoldt. - A co z Hildegardą?

Czy ona także nie została zamordowana?

Rheinhardt wykrzywił twarz w grymasie.

- Tak, oczywiście, ona też, obawiam się jednakże...

- Ulubienica cesarza, oto kim była!

Rheinhardtowi przemknął przez myśl pewien obraz: komisarz Brugel pochylający się nad biurkiem z nachmurzoną miną.

To mój solenny obowiązek poinformować pana o skardze, którą doręczył dziś rano do biura bezpieczeństwa jeden z osobistych współpracowników Jego Cesarskiej Mości, a dotyczącej...

- Dobrze, Herr Arnoldt - powiedział Rheinhardt. - Proszę usiąść. Poznał pan już mojego asystenta. - Ruchem głowy wskazał Hausсмanna. - To bardzo kompetentny pracownik, który zanotuje każde pana słowo. Po powrocie będę miał wystarczającą ilość czasu, by poświęcić i pańskiemu zeznaniu należną mu uwagę. Jeśli wypłyną jakieś kwestie wymagające dalszych wyjaśnień, skontaktuję się z panem za pośrednictwem Herr Pfundtnera w zoo. Do zobaczenia.

Rheinhardt uklonił się i nim dozorca zdążył zaprotestować, otworzył drzwi i wyszedł.

Nieco zdeprymowany Hausсмann powtórzył Herr Arnoldtowi zaproszenie inspektora do zajęcia miejsca.

Dozorca przysunął krzesło do samego biurka i pochylił się do przodu.

- To niesamowite. Wróciła mi pamięć.

- Jedną chwileczkę - rzucił Haussmann, poprawiając się na krześle i wyjmując z szuflady czysty formularz. - Przepraszam, proszę kontynuować. - Pokazał, że jest gotów notować, chwytając za pióro.

- Moja pamięć - powiedział zdyszczanym głosem Herr Arnoldt. - Pamięta pan, że ją straciłem, gdy tamten drań rąbnął mnie w głowę. Nie pamiętałem zupełnie nic... tylko tyle, że zjadłem rano śniadanie. No i powolutku wszystko zaczęło powracać, we właściwym porządku. Najpierw śniadanie, ale potem przypomniałem sobie, jak łapałem omnibus.

Później, po pewnym czasie, przypomniałem sobie, jak wysiadłem z autobusu i minąłem pałac. Przez jakiś czas nie wracało nic więcej, aż mniej więcej godzinę temu... To było jak...

jak... wschód słońca. W jednej chwili odzyskałem całą utraconą pamięć. - Herr Arnoldt uśmiechnął się szeroko. - Pamiętam, jak wszedłem do zoo, otworzyłem drzwi terrarium, pamiętam, jak przygotowywałem dla Hildegardy jell dzenie, padlinę, na kamiennym stole przede mną...

Zgrzytające pióro Haussmanna zatrzymało się. Asystent podniósł głowę.

- Proszę nieco wolniej, Herr Arnoldt.

- Oczywiście - zgodził się dozorca. Wziął głęboki oddech, opanował się i kontynuował opowieść. - Padlina leżała przede mną na stole! Wiem, że był to akurat ten poranek, a nie żaden inny, ponieważ jedna i z martwych myszy miała charakterystyczną sierść, białą z pomarańczową plamką. I wtedy... wtedy usłyszałem kroki. Uznałem, że to któryś z dozorców. Widzi pan, nie były to kroki skradające się, nie takie, jakich można by się było spodziewać po kimś, kto ma zamiar zacząć się za człowiekiem i wyrządzić mu krzywdę.

Nie, wcale takie nie były. Ten człowiek szedł żwawym krokiem. Jakby marszowym. Raz-dwa, raz-dwa. A do tego jeszcze pogwizdywał... gwizdał taką melodię. Nagle Herr Arnoldt zaczął śpiewać.

- Pa, pa, pum, pum, ta-ta-ta-ta, pum, pum, pum...

Zaśpiewał dwie frazy i zaczął wpatrywać się w asystenta detektywa szeroko otwartymi, nieco zbyt błyszczącymi oczami. Haussmann nabrał wątpliwości, czy uraz, jakiego doznał Herr Arnoldt, rzeczywiście dotknął tylko jego pamięć.

Haussmann nie był szczególnie muzykalnym człowiekiem, ale uznał tę melodię za mgliście znajomą. Była dość popularna, lecz nie tak słynna jak utwory Straussa czy Lannera.

Zapisał na formularzu „pa, pa, pa”, a następnie przekreślił te słowa, postanowiwszy zastąpić skomplikowaną transkrypcję prostym, wyrażonym słowami opisem: *Herr Arnoldt nuci melodię*. Zdanie to wydawało się zbyt lakoniczne i po kolejnej chwili refleksji Haussmann poprawił notkę, dodając: (*Wesołą*).

- No i - odezwał się Herr Arnoldt - co pan o tym sądzi?

Te nowe informacje nie wywarły na Hausmannie większego wrażenia. Jednak wyraz twarzy dozorca był pełen oczekiwania, a Hausmann, obserwując swojego mentora, poznał

wartość dyplomatycznej odpowiedzi.

- To bardzo interesujące - powiedział. - Naprawdę, bardzo interesujące.

Dozorca uśmiechnął się i oparł w krzesło. Odczuł wyraźną ulgę.

Siedzieli w piwiarni Budweisera - ulubionym miejscu spotkań stęsknionych za krajem Czechów. Jiri Zahradnik był zdenerwowany. Siedział przygarbiony nad metalowym kuflem, rzucając na prawo i lewo ukradkowe spojrzenia.

- O co chodzi? - spytał Rheinhardt.

- O nic.- Sądzi pan, że osoba, która zabiła pańskiego przyjaciela, dopadnie i pana, jeśli ktoś zobaczy, jak rozmawiamy?

- Nie wiem. Może.

Rheinhardt wzruszył ramionami i wyjął notes.

- Proszę, inspektorze - powiedział Zahradnik. - Nie tutaj.

- Dobrze. - Rheinhardt wsunął notes do kieszeni płaszcza i upił łyk piwa. - Jestem wielkim miłośnikiem czeskiego piwa, zwłaszcza budweisera.

Zahradnik zignorował towarzyskie wysiłki inspektora.

- Niech pan wybaczy, inspektorze, ale chciałbym się streszczać. Zanim Evzen został zamordowany, mówił mi, że ktoś dokuczał mu na targu. Ten człowiek wiecznie kwestionował ceny Evzena. Nazywał go oszustem i złodziejem. Oczywiście Evzen nie liczył sobie za kurczaki więcej niż inni. Ale ten...

- Jedną chwileczkę - przerwa! Rheinhardt. - Jak on wygląda!? Evzen coś mówi!?

- Nosił porządne ubrania.

- To średnio przydatna informacja.

- I by! Niemcem.

- To znaczy? Prawdziwym Niemcem?

- Tak jak pan.

- Chce pan powiedzieć, że mówił po niemiecku?

- Jak powiedziałem - był Niemcem. Rheinhardt nie upierał się przy uściśleniu określeń.

- Proszę dalej...

Czecha rozproszyło przybycie trzech muzyków: klarncisty, akordeonisty i mężczyzny taszczącego kontrabas. Wkrótce dołączyła do nich atrakcyjna młoda kobieta w ludowym stroju, która niosła tamburyn. Rozległy się pojedyncze brawa, pijackie okrzyki, paru mężczyzn zawołało coś po czesku.

- *Hej, Slovani... Gdzie jest mój dom?... Hej, Slovani.*

Rheinhardt przypuszczał, że zamawiają sobie piosenki. Klarncista ściągnął na siebie spojrzenie Zahradnika i się uśmiechnął.

- Wie pan, kto to? - spytał Rheinhardt.

- Znajomy. To wszystko. Czasem gramy razem w mariasza. - W co?

- W karty!

- Czy on również znał Evzena?

- Może - nie wiem.

Kobieta z tamburynem podała rytm i zespół zaczął grać na trzy-cztery. Kontrabas dudnił, grając prostą, dwutonową figurę, wokół której pozostali muzycy wygrywali zawiłe ornamenty. Kobieta podniosła tamburyn wysoko ponad głowę i mocno nim potrząsnęła.

Następnie, wymachując obszernymi fałdami sukni podtrzymywanymi wolną ręką, otworzyła usta i wydobyła cudownie surowy głos, nieszkolony, lecz potężny. Część mężczyzn przy barze zaczęła wznosić okrzyki. Dla Rheinhardta było oczywiste, że muzycy postanowili rozpocząć od patriotycznego ukłonu w stronę mas.

Zahradnik szarpnął głową, jakby miał nerwowy tik, i kontynuował relację:

- No więc ten Niemiec, on zaczął straszyć Evzena. Kazał mu wracać do domu i powiedział, że jeśli tego nie zrobi, to gorzko pożałuje.

- Dlaczego Evzen nie zawiadomił policji?

- Policji! A niby dlaczego Niemcy mieliby mu pomagać?

- Ponieważ to jest Wiedeń, a Niemcy, którzy tutaj mieszkają, mają zupełnie inne nastawienie niż ci, z którymi mógł pan się stykać w Czechach.

Zahradnik uśmiechnął się i pokazał na zabite deskami, roztrzaskane okno.

- Nie takie znowu inne, inspektorze.

Kiedy Rheinhardt wrócił do biura bezpieczeństwa, Hausmann wciąż ślęczał za biurkiem. Na szczęście nie było już śladu po rozgorączkowanym dozorczy zoo.

- A, Haussmann - powiedział Rheinhardt, ożywiając się na widok podwładnego zajmującego się papierkową robotą, której on sam tak uparcie unikał. - Przepraszam za moje pospieszne wyjście.

Haussmann obrócił w rękę pióro, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na skruchę przełożonego (inspektorzy w biurze bezpieczeństwa znani byli z traktowania swoich asystentów ze znikomą dozą szacunku).

- Mam nadzieję, że spotkanie z Zahradnikiem poszło dobrze, sir? Rheinhardt zdjął

płaszcz.- Wygląda na to, że Herr Vankowi groził jakiś dżentelmen, który uważał, że Wiedeń nie powinien witać Czechów z otwartymi ramionami. Ponadto dżentelmen, o którym mowa, nosił porządne ubranie. I to w gruncie rzeczy wszystko, czego się dowiedziałem.

- Zatem niezbyt owocnie, sir? Rheinhardt powiesił płaszcz i kapelusz.

- Nie, choć piwo było wyśmienite. A co u ciebie? Jak poradziłeś sobie z Herr Arnoldtem? - Asystent przedstawił Rheinhardtowi pełne zeznanie. Inspektor pokręcił głową. -

Streść mi, Haussmann, najważniejsze punkty, tyle wystarczy.

Haussmann starannie odłożył zeznanie na teczkę opatrzoną napisem *Hildegarda*.

- Dobrze, sir - zgodził się Haussmann. - Po pierwsze: wydaje się, że Herr Arnoldt odzyskał pamięć. Po drugie: przypomina sobie obecnie, że napastnik, który zadał mu cios w tył głowy, zbliżał się szybkim krokiem i gwizdał jakąś melodię.

Rheinhardt odchylił się do tyłu, oparłszy się tylną częścią ciała o brzeg biurka. - No i?

Haussmann ponownie zerknął na zeznanie w nadziei, że być może coś umknęło jego uwagi.

- I nic. Obawiam się, że to wszystko, sir. Nie ma żadnego po trzecie, ani żadnego innego istotnego tropu, którym można by podążyć, sir.

Rheinhardt podkręcił wąsy.

- Dlaczego, do diabła, uważał, że to takie istotne?

- Nie wiem, sir.

- Rozpoznał tę melodię?

- Nie, sir, ale ją zapamiętał. Prawdę mówiąc, uparł się, że mi ją z nuci. Rzeczywiście, brzmiała znajomo.

- Jak to szło?

- Co? Chce pan, żebym ja ją zaśpiewał, sir? - Tak.

- Obawiam się, że nie mam głosu, sir.

- Nieistotne, Hausmann. To nie przesłuchanie na głównego solis do Opery Cesarskiej!

Asystent detektywa zakasłał i zaśpiewał - najcieńszym tenorem, jaki można sobie wyobrazić - melodię, która skakała i rwała się między przynajmniej trzema tonacjami.

- Nie, nie, nie. Nie tak się to robi! - Rheinhardt podszedł do Hausmanna, kładąc dłonie na ramionach młodego mężczyzny. Delikatnie nim potrząsnął. - Rozluźnij się. A teraz głęboko oddychaj. - Inspektor zademonstrował oddech. - I niech rezonuje całe ciało. O tak. -

Zaśpiewał rosnącą gamę w ramach jednej oktawy. - A teraz spróbuj ty.

Hausmann, śmiertelnie zażenowany, lecz z natury niezdolny do okazania szefowi nieposłuszeństwa, stworzył słabą i dźwiękowo niepewną imitację. W tym właśnie momencie otworzyły się drzwi, ukazując przysadzistą sylwetkę komisarza Brugła. Przez kilka sekund żółć wzbierała w nim w milczeniu, cera pociemniała o kilka odcieni purpury, aż wreszcie nastąpił

wybuch. Jego potężenie spadło na nieszczęsnego inspektora niczym pałący wulkaniczny popiół.

- Rheinhardt! W ostatnim miesiącu nasze miasto zostało dotknięte najpotworniejszą masakrą w historii. Sądziłem, że będzie pan niezmordowanie oddawał się zajęciu doprowadzenia maniaka odpowiedzialnego za morderstwa w Spittelbergu i Ruprechtskirche przed sąd. Tymczasem, jeśli się nie mylę, pan zdaje się udzielać swemu asystentowi lekcji śpiewu. Może byłby pan łaskaw się wytłumaczyć?

W drodze powrotnej do domu Haussmann miał szczęście albo nieszczęście, zależnie od stanu ducha, mijając liczne piwiarnie. Cieszył się na kufel budweisera i poczuł się oszukany, gdy zjawienie się Herr Arnoldta zupełnie nie w porę pozbawiło go tej sposobności. Wobec takiego rozczarowania perspektywa krzepiącego haustu wydawała się szczególnie pociągająca. Zanim Haussmann dotarł do Mariahilf, przekonał sam siebie, że wstąpienie do małego lokaliku, który znał przy Stumpergasse, na pewno nie zaszkodzi - a w zasadzie może wręcz przynieść pożytek. Tak więc wkrótce po godzinie ósmej siedział już w pobliżu dużego otwartego kominka, ściskając kufel piwa zwickel. Tego właśnie było mu trzeba: gładkiego, treściwego i lekko mętnego trunku.

Odpężywszy się, zaczął rozmyślać nad wydarzeniami dnia. Historia z komisarzem Briiglem była szalenie krępująca; na szczęście Rheinhardt wyjaśnił cel ich ćwiczeń wokalnych z niezwykłą cierpliwością i wyrozumiałością. Gdy Briigel wreszcie wyszedł, ten stary zrzęda wydawał się udobruchany - lecz sprawowanie się Rheinhardta wciąż go nie zadowalało. Komisarz był trudnym, wybuchowym człowiekiem i Haussmann cieszył się, że nie musi składać mu bezpośrednio raportów. Aczkolwiek we właściwym czasie, gdyby awansował, on także musiałby ścierać się z Briiglem. Sama myśl o takiej ewentualności sprowokowała asystenta do opróżnienia kufła. Dał znak właścicielowi piwiarni (przechylając w powietrzu niewidzialne naczynie), że kolejny zwickel byłby jak najbardziej pożądany.

Haussmann przestał roztrząsać sprawy służbowe i zaczął rozglądać się po otoczeniu.

Stosunkowo ciasna przestrzeń piwiarni wibrowała od rozmów. Większość stolików była zajęta, a powietrze gęste od papierosowego dymu. Gośćmi okazali się głównie mężczyźni z klasy robotniczej: jedyny wyjątek stanowili trzej studenci z uniwersytetu, którzy siedzieli w ciemnej wnęce pod ceglany lukiem. Ubrani byli w błękit pojedynkującego się bractwa Alemania.

Widok młodych mężczyzn w ich typie owiniętych bandażami wcale nie należał do rzadkości. W istocie wśród członków bractw opatrunki lekarskie były obnoszone z dumą, niczym honorowa odznaka. Pasek gazy często widniał na lewym policzku - w który praworęcznemu przeciwnikowi łatwiej było zadać cios. Ale jeden z członków bractwa miał

całą głowę szczelnie opasaną bandażami - z wyjątkiem wąskiego okienka pozostawionego dla okularów. Najwyraźniej brał udział w szczególnie gwałtownej wymianie ciosów. Szczęki miał mocno ściągnięte zarówno nad, jak i pod ustami. Haussmann rozumiał, że miało to na celu zapobieżenie nieumyślnemu rozerwaniu ran ciętych w trakcie jedzenia. Mimo to nieszczęśliwe położenie tego Alemańczyka nie uniemożliwiała mu wszystkich sposobów konsumpcji. W bandażach zrobiono niewielki otworek, przez który mógł sączyć płyny, używając słomki. Wiedeński student potrafił przetrwać bez jedzenia - ale nie bez piwa.

Gospodarz piwiarni zjawił się z drugim zwickelem dla Haussmanna. Trzasnął kuflem w blat stołu, rozlewając na boki sporą ilość trunku.

- Masz, chłopie! - ryknął surową, wiejską niemczyzną. - Pij do dna. - Nachylił wielką, czerwoną

twarz. - Nigdzie nie znajdziesz pan lepszego zwickela, żeby nie wiem co.

Hausmann zauważył porzuconą w pobliżu kufla broszurę. Gdy rzeka piwa zaczęła płynąć szerokim wgłębieniem w blacie stołu, odsunął broszurę na bok, by nie zamoczył się papier. W tym samym momencie coś, co wydrukowano na stronie tytułowej, przykuło jego uwagę.

Nim gospodarz zdążył odejść od stołu, Hausmann chwycił go za ramię.

- Co jest? - Gospodarz był wyraźnie zaskoczony siłą uścisku tak niepozornego młodzieńca.

- Ta broszura. Kto ją tutaj zostawił?

- Nie wiem.

- Kto siedział przy tym stoliku przede mną? Gospodarz zastanawiał się przez chwilę.

- Skoro pan pytasz... Nie... nie przypominam sobie.

- Czy to ktoś, kto bywa tu regularnie?

- Może i tak. Coś ci powiem, przyjacielu: puściłbyś moje ramię? - Hausmann nie zdawał sobie sprawy, że wciąż przytrzymuje właściciela piwiarni. Kiwnął głową i cofnął rękę.

- Teraz lepiej - rzekł właściciel, uśmiechając się szeroko. - A nie? - Miał wyraźną wprawę w uspokajaniu pijaków.

- Jak wyglądali ci, co tu siedzieli? - dopytywał się Hausmann. Oberżysta wzruszył ramionami.

- Już powiedziałem, nie pamiętam. A swoją drogą, coś pan taki ciekaw? Ludzie bez przerwy zostawiają tu takie śmieci - tacy, co to politykują. Wszystko to kupa bredni. Na pana miejscu nie zwracałbym sobie głowy.

Hausmann wziął do ręki broszurę i utkwiał wzrok w stronie tytułowej. Przechylony krzyż był identyczny jak tamten namalowany na ścianie burdelu Madam Borek.

Tramwaj nadjeżdżał w przesyconych mgłą ciemnościach.

Podobnie jak we wszystkich nowych tramwajach krążących po Ringstrasse, nie widać było źródła jego napędu. Cesarz sprzeciwiał się instalacji napowietrznych kabli nad Ringstrasse, uważał bowiem, że oszpecą piękną ulicę. Ale Liebermann, jak i większość mu współczesnych, był w pełni świadom prawdziwej przyczyny cesarskiego edyktu. Starego Franciszka Józefa - zawsze podejrzliwego wobec nowinek technicznych - prześladowała myśl, że przewód elektryczny mógłby spaść na jego powóz, powodując poważne (jeśli nie śmiertelne) obrażenia.

Neurotyk, pomyślał Liebermann. Absolutny neurotyk.

Gdy tramwaj dotoczył się na przystanek, Liebermann zajrzał do środka przez zaparowane okna i zobaczył, że wszystkie siedzenia są zajęte; za to na tylnej platformie były miejsca stojące. Gdy wsiadł, tramwaj zadzwonił i szarpnął w przód: ten nagły i gwałtowny ruch sprawił, że stojąca przed nim kobieta straciła równowagę. Zachwiała się, lecz uchroniła przed upadkiem, pozwoliwszy otwartym dłoniom wylądować bezpośrednio na piersi Liebermanna. Lekarz ujrzał przed sobą ładną, otwartą twarz - oraz parę wyjątkowo frapujących zielonych oczu.

- Najmocniej przepraszam - powiedziała kobieta chropawym kontr-altem. - Nie miałam się czego przytrzymać.

Choć jej akcent zdradzał skromne pochodzenie, Liebermann zauważył, że nosi kosztowne rękawiczki: czerwony zamsz wykończony przy nadgarstkach sobolowym futrem.

Reszta ubrania była prosta, acz gustowna: długi ciemny płaszcz, botki do kostek w stylu francuskim i kapelusz z szerokim rondem całkowicie pozbawiony ozdób - nawet wstążki.

Kłopotliwe położenie, w jakim się znalazła, wcale jej nie krępowało, a w dodatku wydawała się nie spieszyć z uwolnieniem z tej sytuacji. Przypuszczając, że kobieta czeka na jakiś szarmancki gest, Liebermann delikatnie oderwał jej dłonie od swego ciała.

- Dziękuję - rzekła, prostując się i uśmiechając. - Bardzo pan uprzejmy.

- To drobiazg - odparł Liebermann. Po czym, zerknąwszy przez ramię, podniósł głos i dodał: - Fraulein, może któryś z dzentelmenów w wagonie zechce ustąpić pani miejsca.

- Nie! - zaprotestowała. - Nie, z przyjemnością tu postoję.

- Jak pani sobie życzy - skwitował Liebermann.

Konduktor przedarł się na tylną platformę, pobrał kilka opłat - między innymi od Liebermanna - i wrócił na swój posterunek. Gdy Liebermann chował do kieszeni bilet, rozpoznał znajomy miły kontralt.

- Jest pan lekarzem, prawda?

Młoda kobieta znowu się do niego uśmiechnęła.

- Tak - przyznał Liebermann. - Jak się pani domyśliła?

- Na podstawie pańskiego stroju. Wyciągnęła ramię i dotknęła jego rękawa.

Liebermann spojrział na swój karakułowy płaszcz i nie potrafił znaleźć w swym ubraniu niczego, co zdradzałoby jego profesję. Może się z nim przekomarzała? Nim zdążył

obmyślić zartobliwą ripostę, kobieta się przedstawiła.

- Nazywam się Ida Kainz.

- O - rzekł Liebermann. - Kainz. Jak ten aktor?

- Jaki aktor?

- Josef Kainz.

Pokręciła głową i ściągnęła usta.

- Rzadko bywam w teatrze. - Zrobiła żalostną minkę, która przywodziła na myśl ściskający serce smutek na buzi rozczarowanego dziecka.

- Nie ma mnie kto zabrać.

Tramwaj zatrzymał się, wsiedli kolejni pasażerowie, co zmusiło Idę Kainz do odnowienia zażyłości z piersią Liebermanna. Nie wydawała się cierpieć z tego powodu, a Liebermann po raz wtóry miał tuż przed sobą jej oczy, które lekko przymrużyła. Pachniała słodkimi perfumami

- przypominały woń kwiatu jabłoni.

- Mój ojciec pracuje na poczcie - poinformowała lekko nonszalanckim tonem, jakby podejmując wątek przerwanej wcześniej rozmowy. - Mieszkamy w dziesiątej dzielnicy: we troje. Ojciec, mama i ja: mam siostrę, ale ona jest mężatką. - Po czym odważnie ujęła dłoń Liebermanna i ścisnęła mu palce. - Potrzebuje pan nowych rękawiczek, doktorze...?

Zadzwonił dzwonek i tramwaj potoczył się dalej.- Liebermann.

- Ładne nazwisko. Liebermann. Tak, zdecydowanie potrzeba panu nowych rękawiczek, doktorze Liebermann. I sądzę... - uśmiechnęła się szerzej, odsłaniając zęby - że mogę panu w tym pomóc.

Wyjęła małą wizytówkę i wręczyła ją Liebermannowi. Widniał na niej adres sklepu rękawicznika przy Wahringerstrasse. - Sklep Kleinmanna. Wahringerstrasse 24. Tam pracuję.

Powinien pan złożyć mi wizytę. Proszę po prostu spytać o Idę.

Mijali Teatr Dworski. Wszystkie okna rozświetlało zapraszające żółte światło.

- Przypuszczam, że często pan tu bywa - mówiła dalej ekspedientka.

- Kiedy mogę, choć preferuję muzykę.

Kiwnęła głową i przybrała niejednoznaczny wyraz twarzy.

- Lekarz powinien mieć lepsze rękawiczki.

Tramwaj podjeżdżał do przystanku Liebermanna. Doktor zasygnalizował ukłonem swoje rychłe opuszczenie pojazdu, a młoda kobieta odpowiedziała wyciągnięciem ręki.

Przycisnął do ust czerwony zamsz.

- Dobranoc, Fraulein Kainz.

Choć miał zamiar wykonać ten drobny gest grzeczności w sposób zdawkowy, pocałunek, który wycisnął na jej dłoni, przedłużył się.

Liebermann wysiadł z tramwaju, ale nie ruszył od razu przed siebie. Ida Kainz patrzyła za nim z obojętnym wyrazem twarzy. Tramwaj zadzwonił i jej postać zaczęła niknąć w oddali. Gdy zacierała się w mroku, zobaczył, jak unosi się jej obleczona w rękawiczkę dłoń

- przykuwająca wzrok plama karminu w tym wyzutym z barw świecie.

Liebermann spojrzał na wizytówkę.

Sklep Kleinmanna.

Wahringerstrasse 24.

Powąchał wizytówkę. Ona także pachniała kwiatem jabłoni. „Lekarz powinien mieć lepsze rękawiczki”...

Liebermann ciężko westchnął. Życie zaczynało się nadmiernie komplikować.

Wizytówka wysunęła mu się z palców.

Lieder eines fahrenden gesellen - Pieśń wędrowca dyrektora Mahlera była lepiej znana jako dzieło koncertowe na pełną orkiestrę. Ale aranżacja fortepianowa odarta z rozpraszających ozdobników i efektów nabierała niespotykanej mocy i intensywności.

Oto wielkość „niemieckiej” muzyki, pomyślał Liebermann. Jest tak przejmująca, tak poruszająca, w tak naturalny sposób wybitna!

Rheinhardt prezentował znakomitą formę wokalną. Kulminacja każdej frazy wydawała się słabnąć, ustępować, tonąć w nadmiarze uczuć.

O Augen blau, warum habt ihr mich angeblickt? Och, oczy błękitne, czemuście na mnie spojrzali? Nun hab. Ich ewig Leid und Grdmen. Teraz smutek i ból będą ze mną na wieki.

Odrzucony wędrowiec zegna się ze swą będącą daleko ukochaną i pośród mroków nocy wyrusza na opustoszałe wrzosowisko, a jego myśli wypełniają dręczące wspomnienia opadającego kwiecica lipy...

Liebermann zauważył, że słowa pieśni przywołały pewien obraz, nie Clary (miała oczy brązowe), nie Idy Kainz (jej oczy były zielone), lecz panny Lydgate. Ten efemeryczny portret, nakreślony w przelocie i zamglony, wyzwolił w nim złożone emocje: pożądanie, wstyd oraz ukłucie czegoś, co było bliskie fizycznego bólu. Liebermann schylił głowę i nie spoglądając na zapis nutowy, pozwolił swym długim palcom odnaleźć ostatnie, nieutulone w smutku takty. Takie uczucia zazwyczaj były mu obce; jednak ich obecność stawała się coraz bardziej powszechna.

Po zakończonym muzykowaniu młody lekarz i jego gość przenieśli się do palarni.

Zasiedli na swoich zwyczajowych miejscach i z przyjemnością zapalili pierwsze cygaro, racząc się przy okazji lekkim koniakiem henessy. Liebermann zamieszał trunek w kieliszku i delektował się subtelnym, wnikałym głęboko w nozdrza aromatem. Następnie przechyliwszy się na bok, leniwym gestem wskazał torbę Rheinhardta.

- Fotografie?- Tak - odparł inspektor. - Dotyczące morderstwa w Ruprechtskirche.

- Czytałem relację w „Neue Freie Presse”.

- Podającą, obawiam się, dość skąpe informacje - rzekł Rheinhardt, biorąc torbę na kolana. Zwolnił zamki i wyjął plik zdjęć. - Ofiarą jest niejaki Evzen Vanek. Przebywał w Wiedniu dopiero od kilku tygodni, ale udało mu się zdobyć stragan na rynku mięsny, gdzie handlował kurczakami.

Rheinhardt wręczył fotografie przyjacielowi. Pierwsza pokazywała ciało Vanka rozciągnięte na brukowanej ulicy - był to plan ogólny z Ruprechtskirche w tle, z wieżą przykrytą warstwą śniegu.

- Był raczej typem samotnika - ciągnął Rheinhardt - ale znało go kilku jego krajan z piwiarni Budweysera. Spotkałem się z jednym z nich w zeszłym tygodniu - z człkiem o nazwisku Zahradnik.

Nie potrafił zbyt wiele powiedzieć. No... poza jednym.

- To znaczy?

- Vanka prześladował ktoś, kto nie lubi Czechów.

- W jaki sposób go prześladował?

- Szyderstwem, drwiną. Oskarżał go, że wyśrubował ceny na swoje kurczaki. A potem kazał mu zwinąć manatki i wracać do swojego kraju.

- Nic w tym niezwykłego.

- W istocie. Choć muszę przyznać, iż nie miałem pojęcia, że w niektórych rejonach nastroje antyczeskie są aż tak silne.

- Czy Vanek angażował się w politykę? Rheinhardt pokręcił przecząco głową.

- Wątpię. Musiał codziennie wędrować do dostawcy w Ottakring po kurczaki.

Niewiele czasu zostawałoby mu na politykowanie.

Liebermann przyjrzał się kolejnemu zdjęciu: zbliżeniu rany w klatce piersiowej.

Rheinhardt powrócił do wyjaśnień.

- Serce było przebite na wylot. Profesor Mathias orzekł, że śmiertelny cios został

zadany szablą. - Młody lekarz zadarł głowę, w soczewkach jego okularów błysnęło światło. -

Właśnie tak - kontynuował Rheinhardt, czytając w myślach przyjaciela. - Takim samym rodzajem broni, którym zamordowano Madam Borek oraz obie Fraulein, Draczynski i Glomb.

A teraz rzuć okiem na ostatnie zdjęcie.

Liebermann postąpił zgodnie z poleceniem.

- Kłódka?

- Profesor Mathias dostrzegł pewne nieprawidłowości: zasinienie, opuchnięte jabłko Adama. Jego uwagę przykuła szyja Vanka.

- I znalazł to?

- Tak. Kłódka została wepchnięta do przełyku Vanka i trzeba było wyciągać ją kleszczami.

- Nie napomknięto o tym w artykule w „Neue Freie Presse”.

- Nie, cenzor uważa tego rodzaju szczegóły za... niesmaczne. Kłódkę wyprodukowała firma pod nazwą Sicherheit. Mają dużą fabrykę przy Landstrasse. Na nasze nieszczęście zaopatrują połowę cesarstwa, nie mamy zatem pojęcia, gdzie tę konkretną kłódkę kupiono.

Liebermann osunął się w krzesło, broda znalazła oparcie na zaciśniętej pięści.

- Czy coś jeszcze ukryto w zwłokach? Na przykład klucz? - Nie.

- Mathias sprawdzał?

- Tak. - Ramiona Rheinhardta zadrżały, gdy wspomnienie chłodu kostnicy powróciło i połaskotało górne kręgi kręgosłupa.

- Ukrycie w gardle zamkniętej kłódky - rzekł Liebermann - sugeruje, że sprawca chciał

podkreślić fakt, iż ofiara została zmuszona do milczenia. Gdyby Herr Vanek był słynnym mówcą, wówczas taki gest miałby swoją wymowę. Ale wyraźnie nie był nikim w tym rodzaju.

Młody lekarz utkwiał wzrok w płomieniach. Uniesienie prawej brwi wskazywało, że jego myśli biegły dalej, nie zatrzymując się w chwili umilknięcia.

- Mam ci coś jeszcze do pokazania - rzeki Rheinhardt. - Spójrz na to. - Liebermann się obrócił. Zobaczył broszurę, w rodzaju tych, które wydają zwykle małe polityczne oficyny wydawnicze. Papier był szorstki, druk zostawiał ciemne plamy na palcach Liebermanna.

Gotycki nagłówek głosił: *O tajemnicach runów - wiadomości wstępne autorstwa Guida von Lista.*

Pod tą informacją znajdowały się dwa koncentryczne koła. Wewnętrzne zawierało pochylony krzyż, a przestrzeń pomiędzy wewnętrznym a zewnętrznym okręgiem wypełniały prymitywne kanciaste znaki. Wyglądały, jak gdyby wydrapano je widelcem na korze drzewa.

- Swastyka - powiedział Liebermann. - Słucham?

- Tak się to nazywa, ten przekrzywiony krzyż. To indoeuropejski symbol oznaczający dobrobyt i zdrowie. Profesor Freud sprawdził go dla mnie w książce o sanskrycie. -

Liebermann machnął broszurą, i Skąd to masz?

- Leżała na stole w piwiarni. Haussmann ją znalazł.

- Gdzie?

- W Mariahilf, mieszka tam w pobliżu.

Liebermann przerzucił kilka stron i zaczął czytać: *Runy były czymś więcej niż obecnie litery, nawet czymś więcej niż same sylaby i znaki słowne - to znaczy były znakami świętymi lub magicznymi. Były, wedle niektórych zapatrywań, czymś zbliżonym do znaków duchowych czasów późniejszych,*

które odegrały znaczącą rolę w głośnych piekielnych zaklęciach doktora Johanna Fausta...

Liebermann wywinął górną wargę. - To nonsens, Oskarze. Brednie.

- Niezupełnie. Ma to być rzekomo rozprawa na temat pochodzenia języka niemieckiego. Autor, Guido List...

- Von List - wtrącił Liebermann, poprawiając Rheinhardta i stukając w kiepsko odbite na papierze, upačkane tuszem nazwisko autora.

Rheinhardt pokręcił głową.

- Jest pisarzem, który wedle naszej wiedzy był zawsze znany jako Guido List. To musi być błąd typograficzny.

- Albo postanowił się nobilitować!

- Cóż, skoro tak mówisz - wcale bym się nie zdziwił. Sprawia wrażenie dość nadętego jegomościa. Mimo że większa część broszury jest poświęcona mistycznemu znaczeniu runów, autor postanowił zakończyć swoją egzegezę osobliwą i dość zatrwazającą polemiką. Potępia i szkaluje wiele instytucji i grup: Kościół katolicki, wrogich nomadów - którymi, jak sądzę, określa Żydów - internacjonalistów (nie jestem pewien, kogo ma tutaj na myśli) oraz wolnomularzy. Szczególnie pogardliwie wyraża się o masonach.

- Cóż takiego reprezentują te grupy, co budzi w nim sprzeciw?

- Naprawdę nie wiem, Max. Wszystko to nie jest zbyt spójne... Pierwotnie był żurnalistą. Jego artykuły pojawiały się w „Neue Deutsche Alpenzeitung” oraz „Deutsche Zeitung”. Jednak obecnie zasłynął głównie jako autor powieści historycznej zatytułowanej *Carnuntum*. Słyszałeś o niej?

- Nie.

- Cieszyła się wielką popularnością kilka lat temu. Traktuje o plemienu germańskim, które odniosło zwycięstwo nad Rzymianami w 375 r. n.e.

Zegar wybił dziesiątą, dwaj przyjaciele odczekali, aż przebrzmi ostatni kurant, nim na nowo podjęli rozmowę.

- A więc sądzisz, że jest jakiś związek? - spyta! Liebermann. - Pomędzy tym pisarzem a morderstwami w Spittelbergu?

- Gdy Haussmann pokazał mi ten przechylony krzyż - przepraszam, mówiłeś, że jak on się nazywa?

- Swastyka.

- Więc kiedy Haussmann pokazał mi swastykę, uważałem, że jest na pewno. Teraz jednak, skoro, jak powiadasz, ten symbol pochodzi z sanskrytu, nie jestem już tak o tym przekonany. Może powinniśmy szukać jakiegoś hinduskiego dżentelmena?

- Czy List wzmiankuje w tej broszurze o swastyce?

- Tak, owszem. Ale mówi o niej jako o *fyrfos*, zakrzywionym krzyżu albo osiemnastym runie.

Liebermann poczęstował przyjaciela kolejnym cygarem.

- Dziękuję - powiedział Rheinhardt. Przeciągnął cygaro pod nosem i z aprobatą pokiwał głową.

- Gdzie był List w dniu potwornych wydarzeń w Spittelbergu?

- Gdy go przesłuchiwałeś, twierdził, że w domu, z żoną.

- Wierzysz mu?

Rheinhardt odciął końcówkę cygara.

- Nie ma to znaczenia, on tego nie zrobił.

- Dlaczego tak mówisz?

- Jest niewidomy, Max, i ten stan trwa od kilku miesięcy. Miał chirurgicznie usunięte katarakty i wciąż nosi bandaż. Jeżeli rzeczywiście istnieje związek między Listem i tymi morderstwami, to musi on być niebezpośredni.

Rheinhardt zapalił cygaro i wypuścił dwa idealne kółka dymu.

- Zatem dokąd nas to wszystko prowadzi? - spytał Liebermann delikatnie poirytowanym głosem. - Kobiety z burdelu w Spittelbergu, z wyjątkiem jednej dziewczyny, Ludki, i Evzen Vanek zginęli od ciosu szablą. Morderstwa w Spittelbergu i morderstwo przy Ruprechtskirche łączą dodatkowo osobliwe okoliczności: sanskrycki znak będący symbolem dobrobytu i zdrowia oraz kółka, którą posłużono się być może po to, by pokazać, że ofiara już więcej nie przemówi. Ani jedna z tych rzeczy nie wydaje się szczególnie znamienna. -

Liebermann oglądał płomień przez kieliszek koniaku. Szkło wydawało się napełnione magicznie świetlistym eliksirem. - Przyszło mi do głowy, że swastyka jako symbol zdrowia mogła mieć jakieś znaczenie medyczne. Przypomniały mi się twoje spostrzeżenia dotyczące morderstw w Whitechapel.

- Istotnie, londyński Rozpruwacz równie dobrze mógł być lekarzem. Ale gdyby nasz sprawca chciał dać nam do zrozumienia, że para się medycyną, dlaczego miałby bazgrać na ścianie niejasny znak z sanskrytu?

- Żeby podsunąć nam problem do rozwiązania, pokazać, że jest bardziej od nas oświecony.

- Po co?

- Przez arogancję? Rheinhardt westchnął.

- Zgoda - mówił dalej Liebermann. - Nic nie jest tu szczególnie spójne, aczkolwiek nietypowy wybór narzędzia zbrodni jest obiecujący. Szabla to broń duża i trudna do ukrycia...

- Chyba że nosisz ją jako element umundurowania.

- Ale dlaczego jakiś nienawidzący kobiet wojskowy miałby wybierać na swoją kolejną ofiarę zubożalego Czecha, mężczyznę, straganiarza? I jak mamy rozumieć to? - Liebermann wziął do ręki broszurę i pomachał nią w powietrzu. - Czy ten maniak studiuje starogermański alfabet, a jeśli tak, co na miłość Boga mamy z tego wykoncypować?

Liebermann wysączył łyk koniaku i obrócił się, by spojrzeć na Rheinhardta. Policjant wzruszył ramionami, a młody lekarz, zazwyczaj tryskający pomysłami i podsuwający mnogość interpretacji, był niepokojąco milczący.

Porucznik Ruprecht Hefner, jego sekundanci Renz i Trapp oraz pułkowy lekarz wysiedli w komplecie z powozu, feden z koni parsknął gwałtownie, wyrzucając z rozedrganych chrap dwa silne strumienie pary. Po drodze wyprzedził ich inny powóz i stał już zaparkowany na poboczu. Był wykończony czarnym lakierem i z pewnością nie raziłby swoim widokiem pod kopułą pałacu Hofburg.

- Lemberg - skostatował Trapp.

Ta uwaga nie zasługiwała na reakcję towarzyszy.

Ponad wschodnim horyzontem Lasów Wiedeńskich zaczynał jaśnieć pas przejrzystego nieba. Na tej bladej wstędze świetlista różowa aureola otaczała niespotykane mocno jarzący się punkt. Lekarz przystanął, zastanawiając się nad naturą tego obiektu, i doszedł do wniosku, że ów przepiękny wartownik to w rzeczywistości planeta Wenus.

- Chodźmy, Herr Doctor! - zawołał Renz. - Nie czas na podziwianie gwiazd.

Lekarz, cokolwiek zawstydzony, kiwnął głową i spieszenie ruszył naprzód. Dotknął czapki, mijając drugi powóz, a woźnica przycupnięty na wysokim koźle odwzajemnił powitanie, podnosząc bat w milczącym pozdrowieniu.

Hefner szedł na czele grupki i przetrząsał kolczaste chaszczki przy drodze. Pomachał

ręką, ściskając w dłoni coś, co tam znalazł. Była to postrzępiona czerwona chusteczka. Inni podążyli za nim. Schodzili w dół stromą ścieżką, śliską od lodu i osuwających się pod stopami kamieni. Droga wiodła przez las, przez kilka minut nie widzieli nic tylko korytarz czarnych świerków i luk nieba nad głowami. Hefner podeszwą buta zgniótł szyszkę. Pękła z przyjemnym dla ucha chrzęstem.

Wreszcie leśny trakt zaprowadził ich na dno wąskiej doliny. Pobliski strumyk zamienił się w strużkę, ale wydawany przez niego szum był zaskakująco głośny.

W połowie „honorowego pola” stał *unparteiische*. Był ubrany w ciemny surdut i wysoki jedwabny cylinder. Miał wsuniętą pod prawe ramię mahoniową skrzynkę. Za *unparteiische* obok samotnego buka stał przeciwnik Hefnera, Lemberg.

Hefner oraz pułkowy lekarz zatrzymali się, tymczasem Renz i Trapp poszli dalej.

Sekundanci Lemberga, zauważywszy dwóch zbliżających się ułanów, także ruszyli naprzód.

Czterech mężczyzn z trudem szło sobie naprzeciw, brnąc w śniegu. Ich drogi zbiegły się przed mężczyzną w cylindrze; tam stanęli i się sobie ukłonili. Wymieniwszy kilka wstępnych uwag, zwrócili się do *unparteiische*, który otworzył mahoniową skrzynkę i zaprezentował jej zawartość. Renz i jego odpowiednik ze strony przeciwnika (którym, jak przypuszcza! Hefner, był Glóckner)

wyjęli po pistolecie i uważnie obejrżeli broń, sprawdzając cel i mechanizm spustowy. Następnie zamienili się pistoletami i powtórzyli przegląd. Ładowanie obu pistoletów odbyło się jednocześnie. Gdy obydwaj sekundanci byli usatysfakcjonowani, pistolety wróciły do *unparteiische*.

Tymczasem Trapp i Riehl, drugi sekundant Lemberga, udali się na „pole” i z pozycji wyjściowej, która wymagała ustawienia się plecami do siebie, odmierzali uzgodnioną odległość precyzyjnymi, zsynchronizowanymi krokami. Pięć, sześć, siedem... Obydwaj mężczyźni nieśli w ramionach coś dużego i nieporęcznego.

- Jak się czujesz? - spytał pułkowy lekarz.

- Lepiej bym nie mógł - odparł Hefner. - Niewzruszony jak skala. - By tego dowieść, porucznik wyciągnął przed siebie ramiona. Były nieruchome - jakby wyrzeźbione z marmuru, a nie z ciała i kości. - Prawdę mówiąc, Herr Doctor, nie mogę się doczekać, kiedy będę mieć wreszcie z głowy ten poranny interes i zjem śniadanie. W wiosce, którą mijaliśmy po drodze, jest znakomity zajazd. Postschanke. Zna go pan?

- Nie.

- Ich kapuśniak jest niezrównany. A chleb, który tam podają, jest jak... - zamilkł w oczekiwaniu, aż umysł podpowie mu odpowiedni superlatyw. - Jak ambrozja. Właśnie tak, ambrozja. Jest pan głodny, doktorze?

- Nie powiedziałbym.

- Szkoda.

Trapp i Riehl zatrzymali się i teraz można było łatwiej dostrzec, co nieśli: drewniane słupki. Każdy z mężczyzn ustawił swój słupek pionowo na ziemi i nacisnął tępy koniec, by mieć pewność, że ostre zakończenie wbiło się głęboko w śnieg. Oznaczenia te były rozstawione w odległości okoto piętnastu kroków jedno od drugiego. Trapp i Riehl odmierzyli następnie kolejną odległość po obu stronach słupków, którą zaznaczyli chusteczkami w jaskrawych barwach, przytrzymywanymi w miejscu przez kamienie.

Renz ruszył z powrotem do Hefnera, przechodząc w trucht, gdy był już blisko.

- Dobre pistolety - zawotał. - Niemieckie. Może trochę ciężkie, ale doskonale zrobione.

- Znakomicie - orzekł Hefner. Trapp szedł tuż za nim.

- Światło znośne. Żadnych cieni. Żadnych podmuchów wiatru i poza tym jednym bukiem nie ma niczego, co by mogło cię rozpraszać. Jesteś gotów?

- Tak.

- No to do dzieła. I powodzenia.

- Tak, powodzenia, Hefner - dodał Renz.

Lekarz - który miał obowiązek pozostawać bezstronny - wziął głęboki wdech. Wcale nie był pewien, co czuł w odniesieniu do losu Hefnera. Podziwiał go, z pewnością; ale czy go lubił, czy nie, to już inna sprawa.

Renz i Trapp poprowadzili Hefnera i pułkowego lekarza przez dno doliny. Ich ruchy były odzwierciedleniem ruchów Lemberga i dwóch jego sekundantów. Obie grupki przystanąły przed *unparteiische*, który okazał się bardzo dystyngowanym dżentelmenem o dobrze nawoskowanych wąsach.

Hefner ściągnął na siebie wzrok Lemberga. Syn przemysłowca był zagniewany - ale ten gniew nie był na tyle dziki, by zdołać ukryć strach. Hefner uważał, że dobrze zna się na ludziach, i to, co ujrzał, tylko go uspokoiło: zdradzający wiele błysk zwierzęcego przerażenia.

Tak, pomyślał Hefner, Żydzi mają słabe nerwy. Pod presją podejmie kiepską decyzję...

Unparteiische poprosił przeciwników o opróżnienie kieszeni, których zawartość przekazano w opiekę sekundantom. Znane były wypadki, gdy niehonorowi pojedynkujący się ukrywali przy sobie zegarki, portfele, monety i klucze, ażeby uchronić się przed kulą o małej co prawda prędkości, niemniej jednak śmiertelnością. Gdy zakończono przeszukiwanie, *unparteiische* zwrócił się do Lemberga.

- Pan jest stroną obrażoną? - Młody mężczyzna przytaknął ruchem głowy. - A zatem zgodnie z kodeksem honorowym pan zatwierdza przed zebranymi tu świadkami warunki potyczki. Pierwsza krew czy śmierć? - Śmierć - zdecydował Lemberg. W jego głosie wyczuwało się napięcie.

Herr Riehl - starszy z dwóch sekundantów Lemberga - skrzywił się.

- Freddi... - syknął. - Błagam, zastanów się. Jeszcze nie jest za...

- Dosyć! - rzekł ostro Lemberg, próbując odzyskać choć część topniejącej godności.

- To szaleństwo - mruknął Riehl pod nosem, apelując do pułkowego lekarza z wyrazem desperacji w szeroko otwartych oczach. Nie do lekarza należała jednak ingerencja.

Unparteiische otworzył mahoniową skrzynkę i pokazał zawartość obu stron. W

środku na głębokim posianiu z zielonego sukna spoczywały dwa specjalnie zmodyfikowane pistolety pojedynkowe. Ośmio-boczne lufy były wykonane ze stali damasceńskiej i przyciemnione, by zapobiec odbiciom światła. Wszystkie metalowe elementy były pozbawione grawerunków z tego samego powodu. Przyrządy celownicze - z przodu i tyłu -

usunięto. Pistolety zostały ogołoczone z wszelkich dodatkowych elementów, były czysto funkcjonalne i zredukowane do niezbędnych części - miały służyć tylko jednemu fatalnemu w skutkach celowi.

Unparteiische przechylił skrzynkę w stronę Lemberga.

- Sir?

Lemberg wyjął pistolet pierwszy z brzegu.

Następnie skrzynkę podsunął Hefnerowi, który wziął pozostałą w niej broń.

Skontrolował jej ciężar w luźnym uchwycie i nie potrafił stłumić uśmiechu. Była doskonała.

- Panowie? Czy jesteście gotowi? - *Unparteiische* powiódł wzrokiem od Hefnera do Lemberga. - Proszę zająć pozycje.

Lemberg zdjął płaszcz i pozwolił mu opaść na ziemię. Ten manewr miał w założeniu dać mu drobną przewagę. Biel koszuli uczyni go mniej widocznym na tle zaśnieżonego pejzażu. Hefnerowi - który miał obowiązek noszenia ułańskiego munduru we wszelkich okolicznościach - nie wolno było uczynić tego samego. Mimo to mógł uciec się do kilku sposobów w celu zmniejszenia swej bezbronności. Dyskretnie podniósł więc klapy szynela, by zakryć gwiazdki na kołnierzu.

Dwaj oponenti zostali odprowadzeni przez swoich sekundantów na wytyczone pozycje, miejsca oznaczone chusteczkami w jaskrawym kolorze. Następnie sekundanci wycofali się z wielką powagą i powrócili do *unparteiische*.

Pułkowy lekarz westchnął i otworzył torbę. Wyjął z niej skalpel oraz butelkę fenolu.

- Herr Doctor - odezwał się *unparteiische*. - Z szacunkiem proszę o odłożenie instrumentów. Nie chcielibyśmy zniechęcać stron.

Lekarz zaprotestował.

- Niepotrzebna zwłoka może czasem przesądzić o życiu albo śmierci.

- Pozwolę sobie przypomnieć, Herr Doctor - rzekł stanowczo *unparteiische* - że w obecnej potyczce kwestie życia i śmierci są drugorzędne wobec spraw przyzwoitości i honoru. Jestem zmuszony nalegać: proszę odłożyć instrumenty.

Nie po raz pierwszy lekarz zetknął się z taką pedanterią. Z pewną niechęcią włożył skalpel i butelkę z powrotem do torby.

Nad doliną zapadł dziwny bezruch. Dwaj przeciwnicy wpatrywali się w siebie nawzajem przez biały przestwór ziemi niczyjej, całkowicie pustej, z wyjątkiem dwóch pionowych drewnianych słupków. Czterdzieści kroków, które dzieliło mężczyzn, mogłoby być cmentarzyskiem wampira. Ponad ośnieżonymi wzgórzami zaczynał przygasać blask gwiazdy porannej.

Mężczyzna w cylindrze zawołał:

- Naprzód!

Jego baryton odbił się od ścian głębokiej doliny niczym głos Jehowy. Oponenci zaczęli iść ku sobie.

Hefner trzymał pistolet w górze, kierując wylot lufy w chmury i przyciskając zgięte ramię do piersi. Na wypadek gdyby, co było mało prawdopodobne, Lemberg nie chybił celu, przedramię porucznika będzie osłaniać serce, a pistolet odegra rolę tarczy chroniącej nos.

Skręcił tułów odrobinę na lewo - zmniejszając w ten sposób powierzchnię ciała wystawioną na strzał Lemberga.

Zbliżali się długimi, majestatycznymi krokami.

Zasady tak zwanego pojedynku z awansem były proste. Obie strony mogły - w dowolnym momencie - stanąć, wycelować i strzelić. Korzyścią płynącą z oddania pierwszego strzału było wyprzedzające uśmiercenie przeciwnika. Gdyby jednak strzał okazał się niecelny, owo przedwczesne działanie pociągnęłoby za sobą poważne konsekwencje. Strona była zobowiązana do stania bez ruchu i oczekiwania na odpowiedź. Przeciwnik zyskiwał pełną minutę na dotarcie do najbliższej bariery, skąd mógł niespiesznie odpowiedzieć na strzał. Tak oto niekorzyść strzelania w drugiej kolejności rekompensowała zaleta mierzenia do nieruchomego celu z mniejszej odległości. Hefner był zagorzałym zwolennikiem pojedynku z awansem. Uważał jego logikę za głęboko satysfakcjonującą.

Przeciwnicy zbliżyli się.

Trzydzieści pięć kroków, trzydzieści kroków, dwadzieścia pięć kroków...

Lemberg zatrzymał się i podniósł pistolet. Hefner właśnie tego się spodziewał. *Żyd ma słabe nerwy...*

Ułan nie przerwał miarowego kroku. Upewnił się, że ramię znajduje się w prawidłowym położeniu i napiął mięśnie brzucha. We wciągnięty brzuch trudniej będzie trafić.

Spojrzał prosto na Lemberga.

Lufa pistoletu Lemberga była źle wycelowana.

Jeśli teraz strzeli - spudłuje.

Rozległ się głośny huk. Hefner usłyszał, jak z gałęzi sosen za jego plecami spada śnieg. W powietrzu rozszedł się drażniący smród saletry i siarki. Nie czuł żadnego bólu i nadal szedł...

Pudło!

Lemberg opuścił broń i wyczekiwał swego losu.

Hefner nie okazywał najmniejszej radości. Nie przyspieszył kroku. Serce wygrywało w piersi miarowy capstrzyk. Gdy dotarł do najbliższego słupka, przystanął, wycelował broń i przyjrzał się celowi. Lemberg się trząśł. Drżenie było wyraźnie widoczne.

Hefner nacisnął spust.

Głośny trzask. Śnieg sypiący się z drzew. Głuchy odgłos i szelest jakby ziaren ryżu spadających na papier.

Lemberg zachwiał się. Pistolet wypadł mu z ręki, ugięły się kolana. Zanim zwalił się na ziemię, lekarz pułkowy już biegł w jego kierunku.

Hefner miał w głowie tylko jedną myśl: śniadanie w Postschanke. Obowiązki nie zatrzymają lekarza nazbyt długo. Tego Hefner był całkowicie pewien.

Było późne popołudnie i w szpitalu panowała nietypowa cisza. Nawet najbardziej cierpiący pacjenci, których żalosne krzyki zazwyczaj rozbrzmiewały w korytarzach, umilkli.

Może z powodu zimna. Szpitalny system grzewczy nie mógł przeciwdziałać syberyjskim chłodom, które przenikały przez mury i docierały wszędzie. Wielu pacjentów leżało w łóżkach, drząc pod wykrochmaloną pościelą.

Sterczący brzuch Herr Beibera unosił się i opadał pod luźnym szpitalnym szlafrokiem.

Był to niski, krępy mężczyzna, który miał niesforne wąsy oraz brodę w zdumiewającym, pomarańczowożółtawym odcieniu. Ze swojego miejsca Liebermann mógł dostrzec, że biedak zaczyna łyseć. Na ciemieniu uwidaczniała się nieco piegowata tonsura. Wyglądał jak mnich z zakonu żebraczego. W rzeczywistości Herr Beiber pracował dla firmy księgowej, której biura znajdowały się w pobliżu Graben.

- To taka piękna kobieta... - Głos miał aksamitny i głęboki, deklamatorski, jak u aktora. - Jej skóra przypomina porcelanę, a oczy ptoną namiętym ogniem. - Rozprostował

nogi na kozetce i poruszył palcami u nóg, których czubki zrobiły się sine z zimna. - Zna pan *Ucztę* Platona, Herr Doctor?

- Nie bardzo...

- To jedno z najwcześniejszych dzieł o miłości. Wedle greckiej legendy istoty ludzkie były dwugłowymi stworami o czterech nogach i czterech rękach; jednakże my, ludzie, byliśmy wówczas dumną rasą i Zeus postanowił nauczyć nas pokory. W tym celu obmyślił

karę. Przeciął każde ciało na pół, tworząc dwie istoty zamiast jednej. Wkrótce potem każde niekompletne stworzenie pragnęło połączyć się ze swoją drugą połową. To spuścizna, która wywiera na nas wpływ po dziś dzień. Przychodzimy na ten świat w niewłaściwej postaci.

Jesteśmy niedokończeni.

- I wierzy pan w tę platońską doktrynę?

- To nie jest kwestia wiary, Herr Doctor. Po prostu wiem, że jest prawdziwa.

- Ale to zapewne tylko metafora... przypowieść.- Nie, Herr Doctor. To coś, czego doświadczyłem, coś, co sam przeżyłem.

Linia ust Herr Beibera wygięła się lekko w łagodnym, tajemniczym uśmiechu. Palce splotły się na wypukłości brzucha i pacjent westchnął z przyjemnością.

- Ale jak? - spytał Liebermann.

- Kiedy odnajdziemy naszą drugą połowę, siła wzajemnego przyciągania jest nieodparta; to niezaprzeczalna i doniosła prawda. Wątpienie w tę platońską doktrynę byłoby równoznaczne z wątpieniem w istnienie tej kozetki. - Stuknął w drewniany bok leżanki dla zamianifestowania swych racji. - Z tego powodu z przyjemnością poddam się tej... tej procedurze. Wygląda pan na dość miłego człowieka i nie mam powodu wątpić w pańską uczciwość. Leżę tu z zadowoleniem, Herr Doctor, i odpowiem na pańskie pytania w dobrej wierze, ponieważ wiem, że bez względu na to, jakie przeszkody staną nam na drodze, nadejdzie dzień, w którym ona i ja będziemy razem. Byłoby łatwiej powstrzymać wędrówkę słońca po nieboskłonie niż zapobiec naszemu ostatecznemu połączeniu.

Liebermann otworzył teczkę Herr Beibera i wpisał krótką uwagę. *Monomania. Mit platoński - paranoia erotica?*

- Ale skąd pan wie, że ta siła przyciągania jest obopólna? - nie ustępował Liebermann.

- Dama, o której mowa, nigdy z panem nie korespondowała, nie rozmawiała, ani w żaden sposób nie dała do zrozumienia, że w ogóle wie o pańskim istnieniu.

Herr Beiber zaczął chichotać pod nosem, jak gdyby wtajemniczony w jakiś prywatny dowcip.

- To pański pogląd, Herr Doctor! - Herr Beiber popukał się w skrzydełko nosa pulchnym palcem wskazującym

- Jestem w błędzie? - spytał Liebermann.

- Herr Doctor, to nie ja zauważyłem ją pierwszy, tylko ona mnie. Liebermann postanowił ustąpić urzędnikowi.

- Pamięta pan ten pierwszy raz, gdy pana ujrzała?

- Tak, stało się to w niedzielne popołudnie zeszłego lata. Byłem w zoo i szedłem na przystanek tramwajowy tuż za pałacem Schönbrunn. Dzień był przepiękny, nieco zbyt upalny jak na mój gust, zatrzymałem się tuż przed bramą główną, by złapać oddech. Obejrzałem się, chcąc spojrzeć na pałac, który w blasku słońca przybrał barwę jaskrawożółtą. Zmrużyłem oczy przed rażącym światłem i coś... coś ściągnęło moją uwagę na czwarte piętro. Poniżej balustrady balkonu na dachu znajduje się pięć okien. Zobaczyłem jakieś poruszenie za środkowym oknem... i wiedziałem, że to ona.

- Zdołał ją pan dostrzec z takiej odległości?

Herr Beiber uśmiechnął się dobrotliwie, jak gdyby Liebermann zadał niewinne, acz niedorzeczne pytanie.

- To była ona - powtórzył ze spokojną pewnością.

- Czego chciała? - zainteresował się Liebermann.

- Początkowo jedynie zdobyć moje zainteresowanie, ujawnić się.

- I co pan zrobił?

- Pewnym gestem dałem do zrozumienia, że dostrzegłem jej sygnał...

- Jakim gestem? - przerwał Liebermann. Urzędnik pokręcił głową.

- Tego, Herr Doctor, zdradzić nie mogę.

- Dobrze - rzekł Liebermann. - Co stało się później?

- Wsiadłem do tramwaju i pojechałem do domu. Jak zapewne pan sobie wyobraża, byłem dość wzburzony. Bez przerwy powracałem w myślach do tego, co się wydarzyło, i stwierdziłem, że zaśnięcie jest praktycznie niemożliwe. Lecz im więcej nad tym rozmyślałem, tym bardziej stawało się dla mnie jasne, że ten kontakt miał głębsze znaczenie... a im bardziej dumałem nad tym znaczeniem, tym mocniej ogarniało mnie przyprawiające o zawrót głowy podniecenie. Czy to możliwe? Zastanawiałem się. Czy to naprawdę możliwe, by taka wysoko postawiona persona mogła żywić jakieś uczucia do takiego jak ja szarego czelczyzny?

Skromnego księgowego na usługach firmy Hubel & Wiesel. Wydawało się to absurdalne, śmieszne, nie mogłem jednak zaprzeczyć wezbranej fali uczuć w moim sercu. W mojej duszy płonął jasny ogień zrozumienia... ona mnie znalazła, a ja nie miałem siły się oprzeć.

Twarz Herr Beibera zarumieniła się odrobinę, gdy wspominał ową noc przemiany.

- W ciągu następnego tygodnia powracałem pod pałac o różnych porach. Spędzałem długie godziny na wyczekiwaniu, często w ciemnościach. Wiedziałem jednak, że ona wyczuje moją obecność i wreszcie podejdzie do okna. Była, jestem tego pewien, poruszona do głębi i przerażona, tak, przerażona tym doświadczeniem tak samo jak ja... Chciała mnie tam widzieć, za bramą, wiernego i oddanego. Potrzebowała zapewnienia, otuchy i przekonania, że to, co oboje przeżywamy, jest absolutnie prawdziwe. Tak czy owak, nasz los był nieunikniony.

Kontakt stawał się coraz bardziej oczywisty i częsty. Była rozpaczliwie nieszczęśliwa, a ja postanowiłem ją wybawić.

- I wtedy doszło do utarczki z pałacową strażą?

- W istocie. Szkoda, że próba się nie powiodła, ale to w żaden sposób nie odwiodło mnie od obranego kierunku działania. Ona, nieszczęsna, nie może wyrwać się ze szponów cesarskich strażników, ja zaś jestem zobowiązany nie ustawać w wysiłkach.

Mimo że Liebermann uznał opowieść omamionego złudzeniami urzędnika za dość zabawną, nie potrafił zapanować nad ostrym ukłuciem współczucia. To smutne, że ten pod każdym innym względem zwyczajny mężczyzna cierpiał na jakieś psychiczne pomieszanie, zaburzenia, sprawiające, że całym sercem wierzył w romantyczną historię, która ponoć rozpoczęła się na mitycznych polanach starożytnej Grecji.

Zamknawszy oczy, niepozorny mężczyzna dodał:

- Zrobię wszystko, co konieczne. - Po raz pierwszy głos Herr Beibera zabrzmiał nieco złowieszczo.

Liebermann oparł się w krzesło i zdjął ze spodni włos. Był szorstki, w kolorze kasztanowym. Młody doktor nie miał pojęcia, do kogo włos pierwotnie należał.

- Herr Beiber - zaczął. - Powiedział pan, że kontakt stał się bardziej oczywisty i częsty... W jaki jeszcze sposób ta kobieta komunikowała się z panem?

Urzędnik zanurzył dłoń pod szlafrokiem i wydobyl stamtąd pocztówkę. Nie powiedział przy tym nic, po prostu wyciągnął rękę, pozwalając Liebermannowi wziąć kartkę.

Był to portret rodzinny. Łysiejący dżentelmen w okularach siedział z prawej strony z dziewczynką na kolanach. Miał na sobie wojskowy mundur z szamerowanym zapięciem i stójką. Obok niego siedziała uderzająco piękna kobieta o eleganckiej, pociągłej twarzy. Miała upięte wysoko włosy i również huśtała na kolanach dziecko. Pozostałe dzieci, nieco starsze, stały po obu stronach rodziców.

Liebermann rozpoznał piękną kobietę natychmiast. Była to córka cesarza, arcyksiężna Maria Waleria, która stanowiła obiekt fantazji Beibera.

- Nie rozumiem... - rzekł Liebermann.

- Niech pan spojrzy na stół - powiedział Beiber.

Na pierwszym planie stał niewielki drewniany mebel. Nie rzucał się w oczy - był bez wątpienia rekwizytem ustawionym starannie, by zadośćuczynić kompozycyjnym wymogom cesarskiego fotografa. Na blacie umieszczono zamkniętą książkę, zwróconą wytlaczanym grzbietem w stronę patrzącego.

- Widzi pan? - spytał Beiber.

- Widzę stół - i książkę.

- Właśnie - powiedział Beiber. - Ona ją tam położyła.

- I co to oznacza? - spytał Liebermann.

- Chyba nie musi pan zadawać takich pytań, Herr Doctor. Liebermann przechylił

pocztówkę, by padło na nią więcej światła.

- Przepraszam, Herr Beiber, ale doprawdy nie potrafię...

- Książka, Herr Doctor. Nie widzi pan, co to jest? Pocztówce brakowało ostrości, tytuł był nieczytelny.

- Proszę mi wybaczyć, Herr Beiber, ale mam nie najlepszy wzrok - powiedział

uprzejmie Liebermann. - Może pan mógłby mnie oświecić?

- *Uczta Platona!* - wykrzyknął Beiber, klasnąwszy w dłonie. Liebermann westchnął i podkreślił słowa *paranoia erotica*.

Był wczesny poranek. Kilka płatków śniegu spadło z jednolicie szarego nieba, pokrywając plac delikatnym białym puchem.

Andreas Olbricht zatrzymał się przed Akademią Sztuk Pięknych i odchylił do tyłu głowę, by ogarnąć wzrokiem imponującą neorenesansową fasadę. Szerokie schody wiodły ku trzem parom dwuskrzydłowych drzwi, a po obu stronach stopni stały dwa centaury na wielkich blokach szarego kamienia. Ten po lewej miał uniesioną rękę, jak gdyby rozkazywał

obserwatorowi stanąć. Wejściu dodawało majestatu sześć doryckich kolumn, na których stał

rząd męskich i żeńskich postaci klasycznych. Ponad nimi widniało kilka kondygnacji z zaokrąglonymi łukowymi oknami, pomiędzy którymi znajdowały się pojedyncze wnęki mieszczące kolejne bóstwa. Dla Olbrichta nie byli to obojętni bogowie, lecz bogowie, którzy dokonywali osądu. Ten budynek był jak forteca zazdrośnie chroniona przez oddział świętych strażników.

Wiele lat temu Olbricht ubiegał się o studiowanie w akademii. Zdał egzamin wstępny, lecz odrzucono jego portfolio. Profesorowie uznali jego prace za „mało oryginalne”.

„Jeszcze zobaczycie”. Te słowa dźwięczały w uszach Olbrichta jak cerkiewny dzwon.

Wystawę jego obrazów olejnych zorganizowano w galerii w pobliżu opery. Stało się to możliwe dzięki hojnej pomocy jego mecenaski, baronowej, ale von Triebenbach również był uprzejmy wnieść skromny wkład w koszty.

Wkrótce zostaną wydrukowane afisze.

Olbricht - Nasi bohaterowie i legendy.

Czarno-biała litografia - postać Odyna z podniesioną włócznią.

Artysta dumnie wypiął pierś i wspiął się po schodach. Gdy wszedł do westybulu, portier skinął głową na powitanie. Rozpoznał Olbrichta, który był dobrze znany ze swych wczesnoporannych wizyt w zbiorach akademii. Gdyby przybył choć trochę później, musiałby wmieszać się w tłum studentów - których uważał za nieznośnych, wszystkich, bez: wyjątku.

Drażniła go sama ich obecność.

„Mało oryginalne”.

Te słowa zapadły mu w świadomość jak kropla kwasu. Czuł, jak wżerają się w ciało, przemieniając jego jestestwo w dym i powietrze. To zawsze zdarzało się w akademii. Nie mógł jednak oprzeć się tym wizytom, ponieważ w tutejszych zbiorach znajdował się pewien szczególnie obraz, który wydawał mu się w najwyższym stopniu fascynujący. Musiał go widywać - zaglądać w jego głębię - i przypatrywać się miriadom dramatów w najdrobniejszych szczegółach. Było to płótno, które

zasługiwało na nieustanne oglądanie, ponieważ za każdym razem odkrywało przed widzem coś nowego.

Olbricht posuwał się w głąb gmachu korytarzem o sklepieniu beczkowym. Mimo że okna były tam wysokie, wpuszczały do środka jedynie nikle, jakby zmęczone światło. Wszedł

na górę po okazałych schodach, pozwalając dłoni wystukiwać rytm na grubej kamiennej balustradzie. Ta mroczna wędrówka zakończyła się przed salą zbiorów, gdzie wychudzony strażnik o twarzy częściowo ukrytej w obszernych zawojach z szala siedział, drżąc z zimna, przy małym piecyku. Podobnie jak wcześniej portier, mężczyzna skinął głową, a Olbricht, przechodząc obok, wcisnął mu w dłoń monetę.

Zbiory zawierały wiele dzieł: *Grających w kości* Murilla, *Trzy gracje* Rubensa, *Młodą Holenderkę* Rembrandta. Lecz Olbricht był ślepy na nie wszystkie, z wyjątkiem jednego: tryptyku Hieronima Boscha *Sąd Ostateczny*.

Olbricht zbliżył się do trzech tablic nie z ekscytacją, przyjemnością bądź czią, a raczej z wnikliwą ciekawością, oczekiwaniem oraz dziwną kombinacją mroczniejszych uczuć, takich jak lubieżność, groza i odraza.

Tryptyk Boscha przedstawiał trzy fantastyczne obrazy: *Raj*, *Sąd Ostateczny* i *Piekło*.

Tablica środkowa, od której tryptyk wziął swój tytuł, była częścią największą i najbardziej skomplikowaną. Górną ćwiartkę zajmował czysty niebieski firmament, pośrodku którego siedział obleczony w czerwoną szatę władca wszechświata. Wysmukłe anioły o

przezroczystych skrzydłach unosiły się na wyżynach nieboskłonu, dmąc w długie trąbki i obwieszając koniec czasu. Poniżej sklepienia niebieskiego widniał spustoszony pejzaż spalonych zabudowań i apokaliptycznego ognia - straszliwe miejsce cieni, ponad którymi mrówkowate istoty ludzkie pełzły w niemal całkowitych ciemnościach. W pozostałej części *Sądu Ostatecznego* tłoczyły się nagie postaci kobiet i mężczyzn, wszystkie bez wyjątku poddawane różnym męczarniom i torturom. Ich ciała były wyginane, rozciągane, rozrywane i nadziewane na ostre szpikulce, wystawiane na najokropniejsze męki zadawane przez zastępy demonów. W scenie dominowały olbrzymie, diaboliczne maszyny, których jedyną funkcją zdawało się zadawanie niewyobrażalnego bólu. Surowy, pozbawiony jakichkolwiek ozdób budynek mieścił trupy unicestwionej ludzkości, których ledwie dostrzegalne zarysy wisiały na hakach niczym zwierzęta w rzeźni. Była to scena zagłady na skalę przemysłową, jak koszmar na wizję ogromnych fabryk na obrzeżach miasta, których kominy nieustannie wyrzucały obłoki czarnego dymu. Im dłużej Olbricht patrzył, tym więcej widział. Drobnymi szczegółami; kobietę o obnażonej płci, którą za chwilę zniewoli jakiś potwór, inną, dosiadaną przez olbrzymiego chrząszcza; mnóstwo ludzi wciśniętych w beczki po piwie, powieszonych na gałęziach drzew, nadzianych na ruszt przed upieczeniem - każda indywidualna męczarnia przedstawiona z obojętną precyzją.

Herr Bolle był zadowolony ze *Złota Renu* Olbrichta i poprosił artystę, by rozważył

przyjęcie kolejnego zamówienia na drugi obraz do kompletu, *Zmierzch bogów*. W ten sposób miałby

zarówno sam początek, jak i zakończenie epickiego cyklu Wagnera. Herr Bolle uważał tego rodzaju symetrię za głęboko satysfakcjonującą. Olbricht przyjął zamówienie, nie był jednak pewien, jak zobrazuje zmierzch bogów. Teraz, wpatrując się w *Sąd Ostateczny* Boscha, miał już pewne pojęcie, jak osiągnąć zamierzony efekt.

Ogień rozprzestrzeniający się na niebie, płomienie atakujące komnaty Walhalli, maleńcy bogowie - namalowani delikatnymi pociągnięciami pędzla miniaturzysty - których trawi potężny pożar...

- Przepraszam, sir.

W niemieckim mowie wyczuwało się lekki akcent. Olbricht gwałtownie się odwrócił.

Ujrzał młodego studenta, najwyżej dwudziestoletniego, szykującego się do kopiowania obrazu. Szcupłego, przypominającego fauna młodzieńca w krótkiej, czarnej pelerynie i czapce.

- Gdybym mógł... jeśli to panu nie przeszkadzało. - Student ruchem głowy dał

Olbrichtowi do zrozumienia, że zasłania mu widok.

- Co? - spytał rozdrażniony Olbricht. - Nie wolno mi tu stać? Student wykonał przeproszający, łagodzący gest.

- Muszę przygotować szkic na dzisiejsze poranne zajęcia. Profesor Munchmeyer...

Olbricht poczuł, jak fala gniewu błyskawicznie zalewa jego ciało.

- Idź do diabła! - rzucił i jak burza wypadł z galerii.

Liebermann umieścił na pulpicie *Pocieszenie* Ferenc Liszta. Dochodziła jedenasta, miał zatem czas zagrać tylko jedną z miniatur, nim nakazy prawa zobowiążą go do zaprzestania gry. Mimo późnej pory jego uszu dobiegał gdzieś z budynku niski pomruk wiolonczeli - prawdopodobnie z mieszkania poniżej - zatem przynajmniej jednemu z sąsiadów nie narazi się kilkoma dodatkowymi minutami muzyki.

Liebermann wertował kartki partytury, póki nie znalazł trzeciej części, *lento placido* -

najpopularniejszej i najprzyjemniejszej z cyklu. Palce odnalazły znajome nuty, cieszyło go doznanie, jak klawisze fortepianu poddają się jego dotykowi. Ostrożnie przyciskając i zwalniając pedały, by nadać muzyce głębię, nie mącąc przy tym harmonicznym subtelności, Liebermann pozwolił czystej, medytacyjnej melodii wybić się ponad rozedrgany akompaniament. Miał to być utwór sławiący zalety i cnoty samotności, lecz czerpał swą moc bardziej z romantycznych źródeł chopinowskich niż z ascetycznych ambicji kompozytora.

Muzyka płynęła, a Liebermann przyłapał się na rozmyślaniach o swoim pacjencie, Herr Beiberze. Jego miłość do arcyksiężnej Marii Walerii była tak silna, tak głęboka, tak absolutna, a przecież to jedynie urojenie. Przypadki monomaniakalnej miłości opisywano od stuleci.

Co sprawia, że jeden człowiek jest szaleńcem, a inny wielkim romantykiem?

Jaka jest różnica pomiędzy prawdziwą miłością a obłąkaniem?

Gdyby arcyksiężna Maria Waleria odwzajemniła uczucie, Herr Beiber nie uchodziłby dłużej za pomyłkę, lecz bardzo szczęśliwego człowieka.

Muzyka zdawała się oddalać, w miarę jak rozmyślania stawały się coraz bardziej absorbujące.

Profesor Freud jest zdania, że wszystkie formy miłości romantycznej są - przynajmniej do pewnego stopnia - urojone.

Skoro tak, to czy można ufać miłości?

Błąd lewej ręki uświadomi! Liebermannowi, jak bardzo odbiegł myślami od muzyki.

Cmoknął ze zniecierpliwieniem i ponownie skupił się na nutach. Jednak grze brakowało wyrazu, ostatnie takty odegrał zupełnie bez uczucia. Niezadowolony ze swej mechanicznej interpretacji nie pozwolił wybrzmieć do końca ostatnim dźwiękom i raptownie zamknął

pokrywę fortepianu.

Mężczyzna przeniósł się do palarni, gdzie dokonał przeglądu zawartości biblioteczki.

Znalazł *Interpretację marzeń sennych* Freuda i zasiadł w jednym ze skórzanych foteli. Zaczął

czytać rozdział zatytułowany: „Marzenie senne jako spełnienie pragnienia”. Profesor Freud pięknie napisał: *Kiedy po przejściu przez ciasny wąwóz wynurzamy się nagle na wyżej położony teren, gdzie ścieżka rozwidla się i dokoła otwierają się wspaniałe możliwości, możemy zatrzymać się na krótką chwilę i zastanowić, w którą stronę skierujemy najpierw nasze kroki.* Żaden inny profesor uniwersytetu nie stworzyłby tak śmiałej prozy -

przeobrażając lekturę w wyimaginowaną górską wyprawę. Liebermann kontynuował

czytanie, uwiedziony przekonującym, nieustępliwym głosem autora. Czytał dopóty, dopóki powieki zaczęły ciążyć jak ołów i ciągłość freudowskiej rozprawy przerywały krótkotrwanie epizody opadania głowy. Pokój na przemian rozbłyskał światłem i ginał w mroku, jak gdyby świadomość Liebermanna była płomieniem rozświetlającym świat zrywami, nim nieuchronnie zgaśnie. Wkrótce jego umysł utracił wątle panowanie nad świadomością i znużenie pociągnęło go w mroczną otchłań...

Panna Lydgate siedzi w laboratorium komisariatu policji przy Schottenring; lecz jest to jednocześnie Grand Hotel w Baden. Patrzy przez mikroskop. Coś notuje i wysuwa szkiełko mikroskopowe, kiedy jednak mu je podaje, okazuje się, że trzyma w dłoni coś jeszcze. Jest to ogromna figa. Owoc jest okrągły, purpurowy, skórka ma pudrowy rumieniec. Został rozcięty od góry do dołu i w środku lśni czerwony miąższ. On wybiera palcem mięsiste wnętrze i podnosi do ust - w którym to momencie rozlega się potężny grzmot i ogarnia go dojmujący lęk.

Liebermann otworzył oczy.

Tachykardia.

Serce wściekle kołatało w uszach. Ktoś walił we frontowe drzwi.

Rzucił okiem na zegarek. Był kwadrans do pierwszej w nocy. Liebermann wstał i pokuśtykał do drzwi, jego kończyny opierały się brutalnemu przebudzeniu. W holu zawołał:

- Chwileczkę, już idę!

Gdy otworzył drzwi, ujrzał stojącego na zewnątrz Haussmanna. Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie przez chwilę i Liebermann, pojmując w lot znaczenie obecności policjanta, powiedział:

- Kolejne - tak szybko?

- Tak, Herr Doctor. Przepraszam, że zakłócam pański spokój o tak późnej porze, ale inspektor Rheinhardt z szacunkiem prosi o pańską pomoc.

Powóz zaklekotał i stanął w Wiedeń przed dużą willą o półkolistej fasadzie. Dwa inne powozy były już zaparkowane w pobliżu. Liebermann wywnioskował, że jeden z nich przybył bardzo niedawno - końskie boki wciąż parowały. Wysiadając z powozu, Liebermann podniósł kołnierz karakułowego płaszcza dla ochrony przed przenikliwym wiatrem. Czarne chmury przesuwały się prędko, przecinając tarczę jasno świecącego księżyca.

Liebermann podszedł za Haussmannem do frontowych drzwi willi. Asystent detektywa chwycił za

dużą czarną kołatkę, odlaną w nietypowym kształcie skarabeusza, i wystukał rytm, który skojarzył się Liebermannowi z *V symfonią* Beethovena. *Ta-ta-ta-taaa*.

Tupiąc, strząsnęli z butów śnieg i zostali wpuszczeni do środka przez umundurowanego funkcjonariusza policji.

- Tędy, doktorze - rzekł Haussmann.

Liebermann poczuł się dziwnie. Jak gdyby sunął korytarzem, a jego zdolność utrzymywania się nad powierzchnią umożliwiał gruby, orientalny dywan z długim włosiem.

Gdy dotarli do otwartych drzwi, Haussmann obrócił się i spojrzął na swego towarzysza.

Asystent detektywa miał zboliałą minę, jak gdyby pragnął oszczędzić Liebermannowi nadchodzącej próby, lecz nie mógł zapewnić mu jej odroczenia.

Przestąpili próg, wchodząc do obszernego salonu. Skojarzył się Liebermannowi z gabinetem profesora Freuda. Ściany zdobiły fotografie egipskich zabytków - piramid, sfinksów i obelisków - a na gzymsie kominka tłoczyły się rozmaite posązki: znajoma wystawa zwierząt, bóstw z głową sokoła i hierofantów.

Rheinhardt stał za policyjnym fotografem, który regulował wysokość statywu. Gdy operacja została zakończona, fotograf zniknął za ciemną płachtą i dał znak swemu asystentowi. Chłopak podpalił magnezjową taśmę i jaskrawy błysk oświetlił obiekt ich uwagi.

Pośrodku pokoju stał masywny okrągły stół. Na jego blacie leżało z rozrzuconymi ramionami ciało mężczyzny, którego skóra miała kolor kawy *brauner*. Liebermann widział

zdjęcia czarnoskórych w książkach, a nawet spotkał jednego czy dwóch w Praterze. Jednak ten mężczyzna wyglądał inaczej. Miał długie, kręcone włosy i ostrzejsze rysy, wargi i nos nie były tak pełne i szerokie. Odrzucona do tyłu głowa odsłaniała głęboką ranę ciętą, która otworzyła tchawicę i przecięła zarówno arterie, jak i żyły szyjne. W oślepiającym blasku magnezji ziejąca rana wyglądała jaskrawo i wilgotnie jak miąższ arbuza. Rozpostarte ramiona zwisały bezwładnie poza krawędź stołu. Mężczyzna miał na sobie luźną, bawełnianą koszulę bez kołnierza (która mogła kiedyś być biała, lecz teraz była przesiąknięta krwią) oraz małą haftowaną kamizelkę. Spodnie były luźne, jak pantalone, i również uszyte z bawełny.

W miejscu zetknięcia się ud materiał był rozdarty, a tam, gdzie powinna znajdować się męskość, ziała poszarpana, papkowata jama. W ciemnej kałuży czerniejącej na podłodze krwi zbiór mięsistych organów uświadamiał ogrom zła i zwyrodnialstwa sprawcy.

Rheinhardt podszedł przywitać przyjaciela, kiedy jednak uścisnęli sobie dłonie, zdołał

jedynie wykrztusić:

- Przepraszam...

Położył dłoń na ramieniu Liebermanna i wyprowadził go na korytarz, wołając jednocześnie za siebie:

- Haussmann, plan sytuacyjny, gdybyś był tak uprzejmy.

Dwaj mężczyźni wycofali się do sąsiedniego pokoju, mniejszego niż pierwszy, za to wygodniej umeblowanego. Usiedli na dużej, niskiej sofie.

- Ten sam potwór, bez wątpienia - rzekł Rheinhardt. - Brak tak rzucających się w oczy osobliwości jak symbol sanskrycki, ale sprawca mógł i tym razem grzebać przy zwłokach, czego odkrycie leży oczywiście w kompetencjach profesora Mathiasa. Znaleźliśmy jednak coś na zewnątrz... -

Liebermann był wciąż tak wstrząśnięty zbrodnią, że nie zauważył dużej papierowej torby w rękach przyjaciela. Rheinhardt podsunął ją Liebermannowi. W środku znajdował się zwój zielono-żółtego materiału. - To męski szalik. Zwróć uwagę na nieobecność śladów krwi. Albo upuścił go ktoś obcy, albo sprawca przed wyjściem zmienił

ubranie.

- Kim jest ofiara? - spytał Liebermann.

- Nie wiemy, dlatego cię tu potrzebuję.

- Oskarze, jestem psychiatrą. Nie potrafię komunikować się ze zmarłymi!

- Nie będziesz musiał, to znaczy niezupełnie. Morderstwo zgłosił biznesmen z Triestu, niejaki signore Borsari. Przyjechał nocnym pociągiem tuż po jedenastej. Gdy mijał ten budynek, raptem otworzyły się drzwi frontowe i stanął twarzą w twarz ze starszym dżentelmenem w wieczorowym ubraniu, który błagał go o pomoc. Gdy Włoch zobaczył ciało, przeraził się, co jest zupełnie zrozumiałe, i czym prędzej stamtąd czmychnął. Traf chciał, że natknął się na funkcjonariusza z lokalnego posterunku policji i zbrodnię zgłoszono w biurze bezpieczeństwa dwadzieścia minut po jedenastej. Zdołaliśmy ustalić na podstawie dokumentów znalezionych na miejscu, że starszy dżentelmen, który zawołał Borsariego, to profesor Moritz Hayek, dobrze znany archeolog. Nie mamy natomiast pojęcia, kim jest ten nieszczęśnik za ścianą.

- Gdzie jest teraz profesor Hayek?

- W sypialni na górze.

- No, to dlaczego go nie zapytasz?

- Pytałem. - Iw, - Nie odpowiada.

- Jak to? Nie chce powiedzieć?

- Nie, Max. On nie może mówić.

Sypialnia profesora Hayka przypominała mroczną pieczarę, której powietrze było skażone ostrą wonią piżma. Jak wszystkie wrażenia węchowe pobudzała i drażniła pamięć.

Liebermann z pewnością wdychał już w nozdrza ten zapach, jednak musiało upłynąć kilka sekund, nim przypomniał sobie gdzie - w dość obskurnym klubie w Leopoldstaff, w którym bywał często jak student medycyny. Źródłem zapachu był haszysz.

Na nocnym stoliku paliła się żółtym, nieruchomym płomieniem samotna świeca.

Oświetlała postać mężczyzny w kompletnym wieczorowym stroju, siedzącego na materacu.

Profesor Hayek miał wyraziste rysy. Skóra była brązowa i szorstka, głębokie pionowe bruzdy złościły policzki, ale broda i wąsy były przystrzyżone krótko, starannie i miały barwę czystej bieli. Białe były również włosy profesora, lecz zarazem sterczały komicznie na wszystkie strony. Mięśniami twarzy oraz szyi wstrząsały raz po raz konwulsyjne drgawki przypominające nerwowy tik. Otwarte, zielone jak szmaragdy oczy wpatrywały się beznamiętnie w kolana, gdzie palce dłoni owijały się wokół siebie powolnymi, mocnymi ruchami jak węże w gnieździe.

Liebermann przysunął krzesło i usiadł dokładnie na wprost sędziwego archeologa.

- Profesorze Hayek? Nie było odpowiedzi.

- Czy pan mnie słyszy?

Liebermann przesunął dłońmi przed oczami profesora. Hayek nie mrugnął powiekami.

- Co z nim jest, Max?

Rheinhardt stał cierpliwie przy drzwiach.

- Ciężki uraz może czasem wywołać stupor dysocjacyjny, stan hipnoidalny -

ograniczenie świadomości. Ponadto wystąpił tik oddziałujący na prawy mięsień mostkowo-obojęczykowo-sutkowy.

- Co takiego?

- On jest w szoku, Oskarze.

- W istocie... Ale czy możesz jakoś mu pomóc?

Młody lekarz ponownie przesunął dłonie przed oczami pacjenta.

- Nie wiem, ale bardzo chętnie spróbuję.

To powiedziawszy, Liebermann wstał i ostrożnie zsunął z ramion profesora płaszcz i marynarkę. Następnie rozpiął kamizelkę. Bardzo delikatnie poluzował krawat i zdjął sztywny kołnierzyk. Wziąwszy świecę z nocnego stolika, powrócił na swoje miejsce naprzeciw profesora i poruszał świecą z boku na bok nad kolanami wiekowego mężczyzny. Samotne miniaturowe światełko przewodnie rozbłyskało jaśniej przy każdym ruchu.

- Proszę śledzić płomień, profesorze - powiedział Liebermann. - Proszę bacznie śledzić płomień. Skoncentrować się na światełku. Patrzeć, jak tańczy. Patrzeć, jak płonie.

Jakie jest piękne, proszę patrzeć, jak płomień skrywa w sobie desenie. Im bardziej pan uważa, tym lepiej stają się widoczne.

Liebermann przemawiał dalej w ten sposób, łagodnie, acz nieustępliwie, a gdy to czynił, głowa profesora zaczęła opadać i kołysać się wyraźnym ruchem wahadłowym. Młody lekarz podnosił świecę, a wtedy archeolog powoli dźwigał głowę, by móc śledzić płomień wzrokiem. Rheinhardtowi przypomniawszy się hinduski zaklinacz węży wywabiający kobrę z koszyka.

- Proszę obserwować płomień - ciągnął Liebermann. - Światło jest teraz bardzo silne, a pańskie oczy zmęczone. Powieki stają się ciężkie... coraz cięższe i cięższe... i wkrótce zapadnie pan w głęboki, odprężający sen. Sen szczególny, w którym będzie pan nadał słyszał

mój głos i odpowiadał na moje pytania.

Powieki profesora zaczęły drgać.

- Nie sposób utrzymać otwartych oczu. Gdy policzę do trzech, zamknie pan oczy, gdy policzę do trzech, zapadnie pan w sen. Raz... dwa... - Liebermann rzucił Rheinhardtowi przelotne, triumfujące spojrzenie. - Trzy.

Profesorowi opadły powieki.

- Słyszysz mnie pan, profesorze Hayek?

- Tak - padła odpowiedź. Suchy, beznamiętny głos.

- Muszę zadać panu kilka pytań. A pan musi odpowiedzieć na nie z całkowitą szczerością. Rozumie pan?

- Tak.

Liebermann oparł się w krzesło.

- Gdzie pan był dzisiaj wieczoru, profesorze?

- Wybrałem się do opery...

- Samotnie? - Tak.

- Spędził pan przyjemny wieczór?

- Cudowny...

- A co robił pan po przedstawieniu?

- Wypiłem kawę w Imperialu, jak to mam w zwyczaju przed powrotem do domu. Na szyi profesora napiął się mięsień, wywołując grymas na twarzy.

- Teraz nie stanie się panu żadna krzywda... - rzekł pokrzepiająco Liebermann.

- Zapukałem do drzwi - snuł opowieść profesor. - Spodziewałem się, że Ra'ad mi otworzy.

- Ra'ad?

- Mój służący.

- Czarnoskóry mężczyzna?

- Tak. Wyjąłem klucz i wszedłem do domu. Drzwi salonu były otwarte. Zawołałem:

„Ra'ad, gdzie jesteś, mój chłopcze?”. Ale nie było odpowiedzi. W powietrzu wyczuwało się dziwny zapach... Wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Wszedłem do salonu i zobaczyłem... - Ponownie twarz i szyja profesora zeszywniały w gwałtownym skurczu.

- Nie stanie się panu żadna krzywda, profesorze - powiedział z naciskiem Liebermann.

- Ra'ad... Mój piękny chłopiec... nie żyje. Zamordowany... - Ton skrzypiącego głosu profesora zmienił się, stał się bardziej ożywiony. - Jego lśniące włosy, gładka, miękka skóra...

Jak ktoś mógł dokonać aktu takiego okrucieństwa na tak doskonałej, szlachetnej istocie?

Rheinhardt przestąpił z nogi na nogę, zakłopotany nieco hymnem pochwalnym profesora.

- Co pan zrobił? Gdy ujrzał pan ciało Ra'ada?

- Ogarnęło mnie przerażenie... panika... Wybiegłem na ulicę i błagałem jakiegoś dżentelmena o pomoc. Wszedł do domu, zobaczył nieszczęsnego Ra'ada i uciekł na zewnątrz... A potem... A potem...

- Tak, profesorze?

- Nic... Tylko ciemność.

- Skąd pochodzi Ra'ad, profesorze?

- Jest Nubijczykiem. Był moim służącym i towarzyszem przez jakichś pięć lat.

Znalazłem go w mieście Kerma, gdzie nadzorowałem wykopaliska. Wielkie cmentarzysko...

zespół korytarzy i kurhanów pełnych niezwyklej skarbów. Ra'ad był jednym z naszych przewodników...

Nerwowy tik powrócił, napięła się gęsta sieć mięśni twarzy. Starszy mężczyzna wydawał się cierpieć.

Liebermann pochylił się do przodu i przyłożył dłoń do policzka Hayka.

- Mięśnie się rozluźniają... są coraz luźniejsze i luźniejsze. Czuje pan ciepło na policzku, łagodnie wnikające w skórę ciepło, jak promienie słońca. Ono rozgrzewa i koi, napięcie ustępuje. Twarz jest wolna od napięcia, szyja jest wolna od napięcia... - Gdy Liebermann oderwał dłoń od twarzy profesora, grube, wypukłe sznury mięśni znikły. - Czas odpocząć, profesorze.

Młody doktor schylił się i zdjął profesorowi buty. Następnie przełożył jego nogi na łóżko, obracając przy tym ciało profesora. Potem dotknął jego czoła i polecił:

- Położyć się.

Głowa sędziwego naukowca opadała powoli, lądując wygodnie na poduszce.

- Teraz potrzebny panu sen - rzekł Liebermann. - Głęboki, przywracający siły sen.

Będzie spokojny, niezmacony, niczym niezakłócony. Kiedy się pan obudzi, będzie pamiętał pan wszystko, co wydarzyło się dzisiejszego wieczoru, lecz te wspomnienia nie będą pana przytłaczać, przerażać czy plątać myśli. Teraz proszę spać... Spać, profesorze.

Oddech profesora stał się płytki i chrapliwy. Liebermann dał znak Rheinhardtowi, że pora opuścić sypialnię.

Za drzwiami na półpiętrze Rheinhardt poczęstował Liebermanna cygarem.

- Powinien dojsć do siebie - stwierdził Liebermann. - Zastosowałem prostą metodę sugestii Charcota i Janeta, ale może ona być skuteczna jedynie wówczas, gdy proces dysocjacji zostanie wcześniej przerwany. Dopilnuj, żeby był tu któryś z twoich ludzi jutro rano, by towarzyszyć mu podczas przebudzenia

- Oczywiście - zgodził się Rheinhardt, pocierając zapałkę. Gdy rozbłysnął płomień, obydwaj mężczyźni zdali sobie sprawę z obecności wspartego o ścianę ogromnego sarkofagu.

- No tak, Max... - kontynuował inspektor, podsuwając ogień Liebermannowi. - Burdelmama, trzy prostytutki, czeski sprzedawca drobiu i nubijski służący. Co ich łączy?

- Nie wiem - przyznał Liebermann. - To niezrozumiałe. Rheinhardt zapalił swoje cygare i wypuścił obłok dymu w kierunku sarkofagu. - Musi być jakieś powiązanie, jakieś łączące te zbrodnie ogniwo. Czy to możliwe, aby umysł tak gwałtownie buntował się przeciwko rozsądkowi?

- Fakt, że sprawca okaleczył intymne części ciała dwóch prostytutek
- a może ich los podzieliłaby również trzecia, gdyby nadarzyła się sposobność - oraz mężczyzny piętro niżej, musi mieć jakieś znaczenie. Ale dlaczego w taki razie nie zranił w ten sam sposób tego Czecha?
- Może i wtedy coś mu przeszkodziło.
- Miał dość czasu na włożenie kłódki. Gdyby rzeczywiście chciał wykastrować Czecha, zdążyłby to uczynić.
- Jak dotąd żadna z ofiar nie była rdzennym mieszkańcem Wiednia.
- To prawda, Oskarze. Gdyby jednak przewodnią zasadą sprawcy była ksenofobia, mógłby zamordować dowolną liczbę obcokrajowców w znacznie bardziej dogodny sposób - i przy mniejszym ryzyku wpadki
- działając na obrzeżach miasta: Favoriten, Landstrasse, Simmering. No i dlaczego ksenofob miałby seksualnie okaleczać swe ofiary? Poderżnięcie im gardeł wystarczyłoby całkowicie do osiągnięcia celu. Zgodzę się, Oskarze, że musi istnieć jakiś schemat, jakiś plan kierujący jego działaniami, jakaś logika, choćby zupełnie niezrozumiała. Ale nie mam pojęcia, co to może być.

Aschenbrandt przez cały dzień komponował przy fortepianie. Pracował nad *Carnuntum*, a dokładniej - nad orkiestrowym interludium, które nosiło tymczasowy tytuł

Przeddzień wojny. Było programowe - tak jak uwertura - i przywoływało skojarzenia nadciągającej potężnej burzy z dudnieniem kotłów i wściekłymi sekwencjami kontrabas i wiolonczeli. Zastanawiał się, czy partytura wymaga dodatkowej głębi wagnerowskiej tuby -

ale był niezdecydowany.

Interludium było częścią ponurą, złowieszczą, która wymagała poświęcenia bacznej uwagi detalom. Triumfalny temat, który pojawiał się na końcu uwertury i oznaczał

zwycięstwo Ouadi, był powtórzony, wartości nutowe przedłużone i w pokrewnej tonacji molowej. Początkowo była tylko posępna *cantus firmus* na fagoty, potem jednak została przetransponowana o kilka oktaw wyżej i wykonywana z cudowną delikatnością przez rożek angielski solo. Interludium kończył sygnał trąbki, który symbolizował pianie koguta. Wstawał

świt - homerycki „różano-palcy” świt. W następnej scenie przywódca Ouadi zgromadzi wojska i zaśpiewa arię, od której będzie rosło serce każdego porządnego, uczciwego Niemca.

Nadszedł dzień Dzień przeznaczenia. Zwyciężymy

Lub zginiemy jak bohaterowie.

W czasach, które nadejdą

Dzieci wokół domowego paleniska

Będą błagać o opowieść

O dzielnych przodkach, którzy ośmielili się

Rzucić wyzwanie potędze Rzymu.

Krew i grom

Krew i grom

Zwycięstwo i zbawienie.

Krwistoczerwone pola.

Odynie - niech nasz będzie ten święty dzień.

Aschenbrandt był wyczerpany. Odszedł od fortepianu i opadł na fotel, zamykając oczy. A jednak niedane mu było wytchnienie. Tematy z opery powracały bez przerwy - jak reminiscencje. Wstał, wyjął z pokrowca wiolonczelę, potarł smyczek o kostkę kalafonii i położył na pulpicie *Suitę wiolonczelową* Bacha. Aschenbrandt nie był znakomitym wiolonczelistą, lecz na tyle biegłym, by przyzwoicie wykonać kilka suit Bacha. Choć ton bywał momentami podejrzany, mógł z łatwością wydobyć z instrumentu mocny, ekspresyjny dźwięk.

Rozpoczął preludium G-dur.

Natychmiast rozjaśniło mu się w głowie. Jakby stanął w snopie światła. Bach tworzył muzykę bez melodii.

Faktura, struktura i płynący rytm przeprowadzały słuchacza przez cykle wzmagającego się i słabnącego napięcia. Kiedy jednak Aschenbrandt pozwolił wybrzmieć ostatniej nucie, nie zaległa całkowita cisza. Przywódca Quadi śpiewał ostatni wers swojej arii

- donośnym basem:

Krew i grom, krew i grom.

To dobra melodia.

Jeśli nie zapisze jej teraz, może zapomnieć - i przepadnie na zawsze. Aschenbrandt z ociąganiem odłożył na bok wiolonczelę, podszedł do fortepianu i zaczął zapisywać melodię: d, g, b, a. Ćwierćnuta z kropką, ósemka, ćwierćnuta, półnuta.

Jego muza była bezlitosna, ale miał obowiązek być jej posłuszny.

Musi znaleźć w sobie siłę, czegokolwiek by od niego żądano.

- Chciałabym zobaczyć się z inspektorem Rheinhardtem - oświadczyła Amelia Lydgate.

- Czy inspektor pani oczekuje? - zapytał oficer dyżurny. Amelia wręczyła mu list. Był

następującej treści:

Szanowna Panno Lydgate

Z powodu dokuczliwej pogody nasz personel techniczny z laboratorium przy Schottenring zwały z nóg rozmaite postaci zimowej niemocy. Nasz wspólny przyjaciel doktor Liebermann zasugerował w związku z powyższym, że moglibyśmy - kolejny raz - poprosić Panią o pomoc. Rozumiem, że ma Pani poważne zobowiązania akademickie i dlatego respektuję należne Pani prawo odmowy. Gdyby jednak szanowna Pani była skłonna obdarować nas jeszcze jedną godziną Pani cennego czasu, wiedeńskie biuro bezpieczeństwa byłoby niezmiernie wdzięczne.

Pozdrawiam serdecznie.

Z poważaniem

Detektyw Inspektor Rheinhardt.

Oficer uśmiechnął się do Amelii i zaprowadził ją do laboratorium, gdzie czekali na nią Rheinhardt i Liebermann. Obydwaj mężczyźni wstali, gdy weszła.

- Inspektorze Rheinhardt, doktorze Liebermann.

Wymawiając nazwiska, spojrzała po kolei na obu mężczyzn: jej obojętny ton sprawił, że powitanie zabrzmiało raczej jak akt identyfikacji.

- Panno Lydgate - zaczął Rheinhardt - bardzo dziękuję za przybycie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, inspektorze - odparła Angielka. Po czym, nie dopuszczając jakiegokolwiek możliwości towarzyskiej pogawędki, dodała: - Jak mogę pomóc?

- No właśnie! - rzekł Rheinhardt, jak gdyby jakieś nierozsądne osoby trzecie usiłowały im dotychczas przeszkodzić. - W piątkowy wieczór doszło do zabójstwa w czwartej dzielnicy.

Ofiarą jest mężczyzna pochodzenia afrykańskiego służący u znanego archeologa, profesora Hayka. Przed domem znaleźliśmy ten oto szalik. - Inspektor wziął do ręki papierową torbę, zdjął pieczęć i pokazał pannie Lydgate zawartość. - Tego rodzaju towar sprzedaje sklep z męską odzieżą usytuowany tuż za gmachem opery. Ekspedienci nie potrafili pomóc w naszym dochodzeniu. Od początku fali chłódów kupiono wiele szalików i po prostu nie zapamiętali niczego pożytecznego w odniesieniu do konkretnych klientów. Niewykluczone, że tę część garderoby zgubił ktoś, kto nie ma zupełnie nic wspólnego z naszym morderstwem. Jeżeli natomiast należała ona do winowajcy, analiza

mikroskopowa mogłaby dostarczyć jakichś wskazówek co do jego tożsamości.

- Ustalono, że szalik nie należał do profesora.

- Owszem, tak. - Następnie, zmieniawszy ton głosu, Rheinhardt dodał: - Jedynym członkiem naszego personelu technicznego, którego oszczędziły osłabiające organizm chłody, wydaje się pani stary znajomy, tam, w klatce. - Rheinhardt wskazał na brązowego królika wciskającego drgające nozdrza między kratki. Rheinhardt spodziewał się, że Angielka okaże choć odrobinę zadowolenia, ona jednak jedynie rzuciła okiem na zwierzę, skinęła szorstko głową (jakby dając do zrozumienia, że wszystko odbyło się jak należy) i ponownie skierowała uwagę na Rheinhardta.

Inspektor poczuł się dość niezręcznie, zakasłał w dłoń i mówił dalej: - Biuro bezpieczeństwa skorzystało już w przeszłości z pani umiejętności w zakresie medycyny sądowej. Czy byłaby pani gotowa podjąć się mikroskopowego badania naszego dowodu rzeczowego i sporządzenia krótkiego raportu?

Angielka odpowiedziała bez wahania:

- Z przyjemnością, inspektorze.

Odwróciła się, by powiesić kapelusz na wieszaku i zaczęła ściągać płaszcz.

Liebermann pospieszył jej z pomocą.

- Dziękuję, doktorze Liebermann.

Pochyliwszy się bliżej, Liebermann zapytał cokolwiek poufnym tonem:

- Dobrze się pani miewa, panno Lydgate?

- Doskonale, dziękuję.

Ich dłonie zetknęły się, gdy wysunęła ramię z rękawa.

- Proszę wybaczyć - rzekł Liebermann. Tymczasem ona wydawała się niczego nie zauważyć i rzuciła mu krótkie, zdziwione spojrzenie. Nim zdążył zareagować, ona zmierzała już w stronę bardzo dużego mikroskopu, który zajmował jeden ze stołów. Przyjrzała się sprzętowi, który oddano jej do dyspozycji, a następnie zwróciła się do Rheinhardta.

- Inspektorze - rzekła - czy byłby pan uprzejmy szczerze zamknąć torbę? - Wykonał polecenie. - A teraz proszę nią potrząsnąć i uderzać w boki.

Rheinhardt energicznie potrząsnął torebką, aż zakołysały się od wysiłku obwisłe policzki. Potem kilkakrotnie uderzył otwartą dłonią w bok torebki.

- Nie - powiedziała Amelia. - To nie wystarczy. Chciałabym, żeby przyłożył pan większą siłę i

okładał torbę przez pewien czas.

Rheinhardt uniósł brwi.

- A dokładnie jaką siłę?

- Znaczną.

- Wedle życzenia - odparł Rheinhardt. Zamachnął się wielką łapą i wielokrotnie przetrzepał torbę. Hałas był spory i uniemożliwiał rozmowę. Podczas gdy Rheinhardt wykonywał swoje zadanie, Amelia umyła ręce i zaczęła układać kilka rzędów szkiełek mikroskopowych. Znalazła buteleczkę z napisem „guma arabska” i rozprowadziła cienką warstwę kleju na każdym z podłużnych szkiełek.

Po upływie niemałej ilości czasu czoto Rheinhardta zaczął rosić pot. Inspektor przestał

tluc w torbę dla złapania oddechu, a podczas tej przerwy Liebermann zrobił krok w przód.

- Oskarże, z przyjemnością cię odciążę, jeśli...

- Nie ma takiej potrzeby, doktorze Liebermann - przerwała panna Lydgate. - Jestem przekonana, że od włókien oderwała się pokaźna ilość cząsteczek kurzu.

Amelia wzięła torbę z rąk Rheinhardta, odpieczętowała i ostrożnie ujęła w palce szalik, potrząsając nim delikatnie, a potem wyciągnęła go w całości. Następnie przechyliła torebkę nad szkiełkami i leciutko postukała w jej dno. Zdawało się, że ze środka nic nie wypadło. Porzuciwszy torebkę, Amelia wybrała kolejną buteleczkę i pipetę, powąchała zawartość butelki i umieściła maleńką kropelkę na każdym szkiełku. Gdy ta operacja została zakończona, otworzyła pudełko z prostokątnymi szkiełkami pokrywkowymi i ostrożnie kładła po jednym na każdym z preparatów.

Amelia podniosła pierwszy preparat, wsunęła na stolik mikroskopu i pochyliła się nad okularom. Następnie zmieniła soczewki obiektywu. Pracowała prędko, w milczeniu, badając każdą próbkę pod różnymi powiększeniami. Część szkiełek odkładała na prawą, część na lewą stronę. Gdy skończyła, uniosła głowę znad mikroskopu i odwróciła się twarzą do Rheinhardta i Liebermanna.

- Bardzo interesujące - powiedziała. Na jej czole wystąpiła pionowa zmarszczka.

- Panno Lydgate? - zaczął ostrożnie Rheinhardt.

- Na szaliku znajdowały się głównie włókienka papieru - rzekła.

- Z torebki inspektora Rheinhardta? - zapytał Liebermann.

- Owszem, doktorze Liebermann; jednak szkiełka pokazują liczne rodzaje włókien, wskazujące na różne metody produkcji oraz różny wiek papieru.

- A świadczy to o czym? - ponaglił Liebermann.

Amelia przyłożyła palec do dolnej wargi i wydawała się zatopiona w myślach.

- Panno Lydgate - spróbował jeszcze raz Rheinhardt.

- Och, tak... proszę mi wybaczyć. - Angielka wyrwała się z zadumy. - Były tam również ślady tkaniny, maleńkie kryształki substancji, która, jak podejrzewam, jest klejem, oraz drobinki skóry. Niektóre z tych ostatnich są doprawdy bardzo stare.

- Rozumiem - rzekł Rheinhardt. - Szalenie, hm, zagadkowe. Podkręcił koniuszek wąsa.

- Nie tak znowu zagadkowe, inspektorze!

- Nie rozumiem - przyznał Rheinhardt. - Twierdzi pani, panno Lydgate, że te konkretne substancje są znaczące?

- Jeśli szalik należał do mordercy, to i owszem.

- W jakim sensie? - spytał Rheinhardt, udając nonszalancję.

- Zdradzają jego profesję.

- Doprawdy?

- Tak. Jest właścicielem antykwariatu - albo bibliotekarzem.

Było ich siedmioro w powozie.

Liebermann, Jacob Weiss i jego żona Esther siedzieli po jednej stronie, Clara, Konrad, Bettina i Rachel po drugiej.

Wnętrze powozu było urządzone z przepychem: bogato zdobione listwy, mięsisty dywan, zagłówki z plisowanej satyny, dwa rzeźbione lustra, beżowe przybrania (z jedwabną koronką w tym samym kolorze), francuskie klamki oraz - co zupełnie wyjątkowe -

elektryczny dzwonek dla zwrócenia uwagi woźnicy. Od zewnątrz powóz był jeszcze bardziej imponujący: oliwkowozielone płyty, grube gumowe opony, szerokie błotniki oraz dwa ogromne posrebrzane reflektory.

- Jaki piękny powóz - skonstatowała Clara, gładząc lśniąca zieloną skórę. - No i czyż nie był to dobry pomysł, czyż nie miałam racji, ojczy? Nie mogliśmy przyjechać tą naszą starą dwukółką, to po prostu nie do pomyślenia.

Jacob Weiss spojrział na córkę znad okularów.

- Tak, moja droga - powiedział pobłażliwie. - Miałaś rację. I rzeczywiście to wspaniały powóz. Elektryczny dzwonek! Kto by pomyślał? Kusi mnie ogromnie, by nacisnąć go jeszcze raz.

- Nie - sprzeciwiła się Esther. - Już dwukrotnie kłopotaleś stangreta bez żadnego powodu; trzeci raz byłby niewybaczalny.

Jacob Weiss wzruszył ramionami i poklepał żonę po dłoni.

- Czy będzie tam cesarz? - spytała Rachel.

- Nie - odparta Clara.

- Nie wiadomo. Może będzie - powiedział Weiss.

Clara zignorowała ojca i instruowała dalej młodszą siostrę:

- Za to będzie wiele innych ważnych osobistości: politycy, dyplomaci, Rothschildowie, Wittgensteinowie...

- Lembergowie - dorzuciła Bettina.

- Nie sądzę, nie dzisiaj wieczoru - powiedziała Clara.

- Dlaczego? - zainteresowała się Bettina.

- Nie słyszałaś? - spytała Clara. - Podobno młody Lemberg zginął w zeszłym tygodniu w wypadku z bronią palną. Ale wszyscy wiedzą, że tak naprawdę byt to pojedynek.

- To straszne... - powiedziała Bettina.

- Nie wiem, co się dzieje w dzisiejszych czasach z młodymi mężczyznami - rzekł

Jacob. - Co ich opętało? Taka strata, taka niepotrzebna strata.

- Tak czy owak - ciągnęła Clara - w operze będzie wielu ważnych ludzi i dlatego musimy prezentować się jak najlepiej. - Po czym, zwracając się do Liebermanna, dodała: -

Och, nieomal zapomniałam. Spotkałam wczoraj Frau Trener, wciąż cierpi na okropne bóle głowy. Jej lekarz mówi, żeby owijała głowę zimnym, wilgotnym ręcznikiem przez godzinę dziennie, ale to nie bardzo pomaga. Obiecałam, że poproszę ciebie o radę.

- Powiedz jej, żeby zażyła aspirynę - odrzekł Liebermann.

- Aspirynę? - powtórzył Jacob Weiss. - To działa?

- Tak - potwierdził Liebermann.

Powóz zaczął zwalniać i dołączył do krótkiej kolejki tuż przed operą. Wreszcie przetoczył się pod łukiem poniżej okazałego balkonu i stanął w miejscu. Stangret dyskretnie postukał w kozła ręką bicia.

- No, jesteśmy na miejscu! - wykrzyknął Jacob.

Do powozu podszedł pomocnik stangreta, rozłożył składane stopnie i otworzył drzwi.

Rodzina Weissów wysiadła po kolei, ciesząc się zainteresowaniem grupy elegancko ubranych obserwatorów. Liebermann przystanął pod słupem gazowej latarni. Bywał w operze wielokrotnie, lecz nigdy nie zauważył - aż do tej chwili - że podstawa latarni jest odlana w kształcie czterech skrzydlatych sfinksów.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu owo spostrzeżenie go poraziło.

Tajemnice, tajemnice, tajemnice...

- Chodź, Max - przynagliła Clara. - Czemu się tak przypatrujesz?

- Och, niczemu.

Wziął ją pod ramię i weszli do środka.

Po wizycie w szatni i zakupie programu rodzina Weissów zebrała się u stóp okazałych marmurowych schodów. Liebermann spojrzał w górę na bezmiar przestrzeni - otwarty przestwór przyprawiający o

zawrót głowy. Był przeogromny: żyrandole i kinkiety wyglądały jak odrębne światy, słońca, planety jarzące się łagodnym światłem w otchłani. Centralną przestrzeń otaczały masywne łuki, przez które można było dojrzeć kolejne. Na wysokich kwadratowych słupach stało siedem posągów przedstawiających personifikacje architektury, rzeźby, poezji, tańca, sztuki, muzyki i dramatu. Przypominały bóstwa opiekuńcze prowadzące podekscytowanych podopiecznych przez nieskończone przestrzenie. A za tymi stróżami, kolumnami i balustradami było sztuczne niebo na sklepieniu z poprzecznymi łukami, ożywione barwami białych fresków - bielą, błękitem i cynobrem.

Clara pochyliła się ku Rachel i szeptała coś za wachlarzem.

- O co chodzi? - spytał Liebermann.

Jej spojrzenie błyskawicznie poszybowało na lewo, gdzie stał korpulentny mężczyzna w towarzystwie dwóch kobiet w grubych futrzanych etolach.

- Hammerstein - szepnęła. - Kto?

Clara przewróciła oczami.

- Producent cygar. Podobno nie ustępuje bogactwem arcyksięciu. Liebermann nie należał do wielkich miłośników opery. Nie podobał mu się fakt, że większość ludzi - nie wyłączając Clary - przychodziła tu nie dla muzyki, lecz by uczestniczyć w wydarzeniu towarzyskim. Poza tym sama muzyka zwykle nie była w jego guście. Uważał ją za zbyt rozbuchaną, przesadną, nazbyt melodramatyczną.

Zdecydowanie wolał prostotę pieśni, intymność kwartetu smyczkowego czy abstrakcyjną czystość utworu symfonicznego. Mimo to miał ochotę jeszcze raz posłuchać *Czarodziejskiego fletu*. Recenzje były wyjątkowo pozytywne. Nawet krytyk Theodor Heilm - z tradycyjnie antysemitckiego „Deutsche Zeitung”

- chwalił nowe przedstawienie dyrektora Mahlera. Dyrektor zredukował wielkość orkiestry i zachęcił muzyków do grania w stylu zespołu kameralnego. Liebermann był przekonany, że uzna takie potraktowanie dzieła za szczególnie satysfakcjonujące.

Rodzina pięła się po stopniach okazałych schodów.

Clara przyciągnęła do siebie Liebermanna. Po raz pierwszy tego wieczoru ich spojrzenia spotkały się na osobności. Liebermann poczuł się zakłopotany. Była taka urodziwa. Za każdym razem, gdy widział, jak jej twarz zwraca się ku niemu, pragnął obsypać ją pocałunkami. Ale czy tyle wystarczało? Czy słodycz jej oddechu i miękkość białych policzków wystarczyły do utrzymania związku, który miał trwać na wieki?

- Jesteś szczęśliwy, Max?

Było to niewinne pytanie, ale tak mocno trąciło strunę niepokojów i wątpliwości, że ledwo potrafił przyznać się przed samym sobą - a co dopiero pogodzić się z tym faktem - że kołnierz zaczął go uwierać, a słowa, które usiłował z siebie dobyć, wypowiedział na pół

zduszonym głosem.

- Nie widziałem *Czarodziejskiego fletu* od lat... - powiedział niemrawo, starając się uśmiechnąć. - Jestem pewien, że wieczór będzie cudowny.

Pojął teraz, dlaczego kwartet sfinksów tak poraził go swoim widokiem. On także strzegł strasznej tajemnicy. Pierścionek zaręczynowy na palcu Clary mocno ciążył mu na sumieniu - jak gdyby każdy z brylantów był kamieniem młyńskim wiszącym mu u szyi.

Jacob Weiss zaprowadził grupkę do łoży, gdzie czekały na nich w wiaderku z lodem dwie butelki szampana. Kieliszki ustawiono na małym składanym stoliku obok tacy truflి z białej czekolady. Podczas gdy Konrad nalewał szampana, a Rachel częstowała wszystkich czekoladkami, Liebermann rozglądał się po widowni.

Ogromny żyrandol jak wianuszek gwiazd zwieszał się ze środka bajecznie ozdobionego sufitu. Poniżej łoży cesarskiej - zatopionej w tajemniczym mroku - był obszar zarezerwowany dla osób, które stały w kolejce po tanie bilety. Ten „sektor stojący” przedzielał słup z brązu. Jedna połowa była przeznaczona dla cywilów, druga dla wojskowych. Obie części zaczęły wypełniać się mniej więcej równą liczbą widzów.

Orkiestra, głównie smyczki i kilku muzyków grających na instrumentach dętych drewnianych, pojawiała się stopniowo w kanale.

Rachel nadeszła z tacą truflิ i zakreśliła nią kółko tuż pod nosem Liebermanna - jakby chcąc rozsiać w powietrzu kuszący aromat. Dźwięki klarnetu dudniącego w niskich rejestrach tworzyły przyjemny, czysty akompaniament.

Młody lekarz uśmiechnął się.

- Dostrzegłeś kogoś sławnego? - zainteresowała się Rachel.

- Szczerze mówiąc, nie patrzyłem. - Wziął czekoladkę i rozgryzł ją na pół.

- Owszem, patrzyłeś. Próbowaleś zobaczyć, czy ktoś siedzi w łoży cesarskiej.

Esther usłyszała tę prowokację i zawołała:

- Rachel! Nie bądź niegrzeczna! Dziewczynie zapłonęły policzki.

Liebermann rzucił spojrzenie Esther i machnął ręką, jak gdyby chciał powiedzieć:

„Nic się nie stało”. Następnie ponownie zwrócił się do Rachel. - A tak naprawdę patrzyłem na sektor stojący. - Rumieniec ustąpił z twarzy Rachel. - Widzisz? Tam, gdzie zgromadzili się żołnierze?

Rachel wychyliła się za krawędź łoży.

- A gdzie kobiety? - spytała.

- Nie ma, nie są tam wpuszczane.

- Dlaczego? - nie ustępowała.

- Nie wiem - rzeki Liebermann, postanawiając udzielić nieskomplikowanej odpowiedzi. - Może ich suknie zajmują zbyt wiele miejsca.

Wrzucił do ust resztki czekoladki i usiadł. Clara podała mu kieliszek szampana i usadowiła się obok. Wyjęła teatralną lornetkę i zaczęła skrupulatnie lustrować pięć rzędów łóż po przeciwnej stronie widowni. Od czasu do czasu wymawiała szeptem jakieś nazwisko z towarzystwa:

- Baronowa von Ehrenstein... Hofrat Nicolai. - A potem, z większym ożywieniem: -

Hrabina Staray!

Smyczki - brzęczenie dzwonków - głuchy grzmot kotła.

Choć to nieustanne wymienianie nazwisk wydawało się Liebermannowi lekko irytujące, nie mógł zaprzeczyć, że obecność tak wielu luminarzy z pewnością przyczyniała się do wyjątkowości atmosfery. Natężenie rozmów stale się wzmagало, aż w końcu przestał

słyszeć, co mówi Clara.

Muzycy stroili instrumenty. Liebermann wyjął okulary z górnej kieszeni i zawinął za małżowinami druciane zauszuki - chciał dokładniej przyjrzeć się publiczności. Parter był już wypełniony - w sektorze dla stojących zebrał się istny tłum - a nad krawędzią każdego z balkonów unosiły się niczym duchy grupki białych, owalnych twarzy. Światła zaczęły przygasać. W kanale dla orkiestry zrobiło się poruszenie i nagle na podium zjawiała się żylasta postać dyrektora Mahlera. Publiczność przywitała go brawami, kilku oficerów z tyłu brzęknęło szablami. Liebermann poczuł ulgę. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zatopi się w muzyce wieczoru.

Mahler odwrócił się, wznosił obie dłonie powyżej ramion i pchnął batutę w stronę orkiestry. Dźwięk, który dobiegł z kanału, miał cudowne organiczne brzmienie: boska progresja akordów, każdy wzbierający i pęczniejący, jak gdyby muzyka rzeczywiście rozkwitała jak pąk. Po tym wysublimowanym rozwinięciu następowały pasaże niezwyklej delikatności. Instrumentacja była przejrzysta, przesycona wyszukaniem zwiewną lekkością.

Kurtyna poszła w górę, odsłaniając pustynny pejzaż dzikich skał i stojących samotnie drzew. Potężne góry majaczyły po obu stronach okrągłej świątyni.

Clara ścisnęła dłoń Liebermanna. Publiczność wydała stłumiony okrzyk. Z mroków kulis wypełzał gigantyczny wąż. Był ogromny, jak chiński smok. Muzyka stała się niespokojna i burzliwa, gdy stworzenie wzniosło się pionowo nad maleńką ludzką postacią.

Pomóżcie mi, śpiewał książę Tarnino. Inaczej jestem zgubiony.

Nie ma ucieczki przed tym wężem.

Gad okrążył zdesperowanego księcia.

Podchodzi coraz bliżej:

Niech ktoś mi pomoże.

Clara znów ścisnęła rękę Liebermanna.

Wydawało się, że księżę zaraz dokończy żywota. Osunął się i upadł na ziemię.

Masywna głowa węża kołysała się nad nim z boku na bok. Potężne szczęki rozwarły się, obnażając przerażające długie zęby. W momencie gdy wszystko wydawało się stracone, otworzyły się bramy świątyni i ukazały się trzy zawoalowane damy.

Zgiń, potworze, zawołały, z naszej mocy.

Uniosły ramiona i ściągnęły z niebios magiczną nemezis.

Bestia chlasnęła ogonem, wiła się, skręcała, kłapnęła paszczą. Po czym, wyprostowawszy się pionowo po raz ostatni, zdawała się coś krzyknąć, nim zwała się w poskręcana, bezładną stertę.

Zwycięstwo, zaśpiewało tajemnicze kobiece trio. Muzyka zabrzmiała triumfalnie.

Dokonał się bohaterski czyn.

Zbliżyły się do nieprzytomnego księcia i wychwalały jego urodę. Następnie, wyraziwszy swój żal, zebrały się do odejścia, by donieść o wszystkim swojej pani - Królowej Nocy.

Następna scena była komiczna.

Księżę ocknął się i cokolwiek zdezorientowany ukrył się za skałą. Potem zjawił się mężczyzna w kostiumie z piór, niosąc fujarki i puste klatki. Przymierzał się do schwywania ptaków, nucąc przy tym wesołą piosenkę. Pod koniec piosenki księżę pokazał się ptasznikowi, który łotrowsko pozwolił księciu wierzyć, że to właśnie on zgładził potwornego węża gołymi rękami.

Trzy damy powróciły i rozpoznały w ptaszniku Papagena. Najwyraźniej zwyczajem Papagena było ofiarowanie damom ptaków w zamian za wino i ciasto. Jednak tym razem trzy damy nie dotrzymały wierności tradycji. Zamiast wina dały mu zwykłą wodę, a zamiast ciasta kamień. Żeby zaś powstrzymać Papagena przed kolejnymi kłamstwami, zamknęły mu usta złotą kłódką...

Liebermann wyswobodził dłoń z uścisku Clary i wychylił się z łoża.

Akcja rozwijała się, przybywały nowe postaci: Królowa Nocy, która wyjaśniła Tarninowi, że jej córkę Paminę uprowadził zły Sarastro. Trzej chłopcy - albo duchy opiekuńcze - którzy wkroczyli do dramatu w latającym rydwanie i poprowadzili Tarnina.

Niewolnicy, księżniczka Pamina i wreszcie lubieżny Maur Monostatos.

Liebermann ożywiał się coraz bardziej.

Podobieństwa były tak wyraźne.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. To wszystko wydawało się zbyt niezwykle, przedziwne.

Clara cmoknęła, gdy zaczął wiercić się w fotelu. Kiedy pojawił się Maur Monostatos, przejęcie Liebermanna przeszło w podniecenie.

Jakby doznał zawrotu głowy. Łoża przestała nagle wydawać się bezpieczna, jak gdyby mogła przechylić się i wysypać całą rodzinę Weissów na widownię poniżej. Serce nabrzmiało od krwi tłukło się wściekle o żebra, szukając ucieczki z kostnego więzienia.

Pochylił się ku Clarze. Jej miękkie włosy połaskotały go w wargi.

- Muszę wyjść - oznajmił.

Odwróciła się i przysunęła bliżej, jej twarz wyrażała konsternację i niedowierzenie.

- Co takiego?

Zaskoczenie wzmocniło jej głos. Herr Weiss wyciągnął szyję, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

Liebermann przyciągnął ją do siebie i szeptał do ucha.

- To ważne. Muszę wyjść. Wyjaśnię... wyjaśnię jutro. Clara chwyciła go za ramię, nie pozwalając wstać.

- O czym ty mówisz? Nie możesz tak po prostu wyjść. - Jej donośny szept zwracał uwagę otoczenia.

Liebermann zsunął jej dłoń ze swego ramienia i wstał.

- Przepraszam.

Patrzyła na niego cała rodzina Weissów. Wziął głęboki oddech, otworzył drzwi i wyszedł.

Trzej przedstawiciele Pierwotnego Ognia przybyli z podarkami, które złożono u stóp mistrza. Grupka przypominała osobliwych Trzech Króli, tyle że składający pokłon Trzej Mędrcy ze Wschodu oddawali hołd nie świętemu dzieciątku, a pomarszczonemu, pokurczonemu prorokowi. Guido List odpowiedział na wotywnie ofiary przybyszów zaimprovizowanym wywodem na temat aryjskich źródeł cywilizacji klasycznej. Jednak gdy rozprawił o rzymskiej architekturze, żona przerwała wykład. Frau List była kobietą uderzającej urody: młodzieńczą, atrakcyjną - w dodatku znaną aktorką. Jako Anna Wittek czytała partię Wali w *Przebudzeniu Wali* Lista. Von Triebenbach pamiętał głośne przedstawienie sprzed siedmiu lat sponsorowane przez Ligę Germańską. Posągowa Wittek deklamowała poezję Lista w ciepłym mroku wieczoru, a von Triebenbach przypominał sobie jej bujne ramiona, falowanie piersi...

Anna schwyciła koniuszkami palców bandaż opasujący głowę męża i lekko nim szarpnęła, by sprawdzić, czy nie poluzował się opatrunek. Bandaż poddał się jej palcom.

- Będę musiała mocniej ściągnąć - rzekła cichym głosem.

- Dobrze, moja droga - zgodził się List. A następnie przemówił do gości.- Wybaczcie, panowie, to zajmie tylko chwilę.

Aktorka poprawiła niewidoczne szpilki i bandaż się naprężył. Zadowolona ze swego dzieła usiadła na taborecie i poprawiła kraciasty pled otulający nogi męża.

- Mój aniele - szepnął List, chwytając jej palce i przyciskając je do klującej brody.

Przekreślił głowę w taki sposób, że wydawał się patrzeć wprost na swoich gości. Von Triebenbach stał za Aschenbrandtem i Olbrichtem, którzy siedzieli obok siebie zwróceniem twarzy do gospodarza.

- Nie wiem, co bym bez niej począł - dodał z czułością List.

- Wielki z pana szczęściarz - przyznał von Triebenbach, modulując głos, by zamaskować cień zawiści, który groził odarciem jego dobrotliwego barytonu z nut życzliwości.

- W istocie - rzeki List, pozwalając dłoni Anny opaść na swoje kolana. - Wielki szczęściarz.

Nie rozluźnił uścisku.

Pragnąc przerwać tę krępującą pochwalną przemowę, Anna zwróci - i la się do młodego kompozytora z pytaniem:

- Herr Aschenbrandt, rozumiem, że pisze pan operę na podstawie *Carnuntum* mojego męża?

- Tak... - odparł Aschenbrandt, nie bardzo wiedząc, czy oczekuje się od niego rozwinięcia tematu, nim List zakończy swój wywód.

- To będzie znakomity utwór - stwierdził von Triebenbach, klepiąc Aschenbrandta po plecach.

- Oprócz *Przebudzenia Wali* - powiedziała Anna - do którego mam szczególny sentyment, najprawdopodobniej będę uznawała *Carnuntum* za ulubione dzieło mojego męża.

- To jest arcydzieło - przyznał Aschenbrandt. - Najznakomitsza powieść w języku niemieckim, i czuję się naprawdę zaszczycony, że otrzymałem błogosławieństwo autora. - Po czym podnosząc głos, dodał: - Dziękuję, sir. Nie zawiodę pana.

- Na podstawie pańskiej uwertury - rzeki List - wnioskuję, że moje ukochane dziecko znajduje się w kompetentnych rękach. W pełni ufam pańskiemu talentowi.

- Dziękuję, sir - powtórzył Aschenbrandt. - Nazbyt pan uprzejmy.

Olbricht przypomniał baronowi o swej obecności, wierząc się na krześle. Von Triebenbach obiecał Sophie von Rautenberg, że przedstawi artystę Guidowi Listowi na wieczorku Towarzystwa Wagnerowskiego.

- Herr Olbricht - zapowiedział von Triebenbach - będzie miał w grudniu wystawę, na której przedstawi kilka obrazów olejnych inspirowanych pańskim dziełem.

- Doprawdy? - rzeki List.

- Tak - potwierdził Olbricht. - Jestem szczególnie dumny z płótna powstałego na podstawie powieści *Pipara*.

- *Germańska kobieta w cesarskiej purpurze* - dodała Anna, uzupełniając tytuł.

- Jest pokazana na balkonie, gdy przygląda się potężnej rzymskiej armii pod swoim dowództwem - wyjaśnił Olbricht.

- Może kiedy zdejmą mi te nieszczęsne bandażę, odzyskam wzrok i będę miał okazję podziwiać pańską... interpretację.

- Byłaby to dla mnie największa przyjemność.

List nie zadał dalszych pytań o wystawę Olbrichta. Zamiast tego zwrócił się znów do Aschenbrandta.

- Herr Aschenbrandt, może zechciałby pan przybyć na jeden z naszych wieczorów muzycznych. Moja droga Anna z radością wysłuchałaby uwertury do *Carnuntum*, jestem tego pewien.

- Ależ oczywiście... ostatnio ukończyłem także orkiestrowe interludium, *W przeddzień wojny*, które mogę zaaranżować na fortepian. Wykorzystałem tam temat triumfalny, który pojawia się na końcu uwertury, lecz z przedłużonymi wartościami. To mroczny, posepny utwór, bardzo nastrojowy... a po nim następuje aria, znakomity hymn bitewny, *Krew i grom*, śpiewany przez przywódcę Quadi. Za pańskim pozwoleniem mógłbym zaprosić tenora, mojego przyjaciela Herr Hungera. Wówczas mogliby państwo wysłuchać razem interludium i arii.

List oraz jego żona przyznali, że to wyśmienity pomysł. Dalsze podejmowane przez von Triebenbacha próby ponownego poruszenia tematu wystawy Olbrichta zupełnie spaliły na panewce. Baron pocieszał się myślą, że może przynajmniej powiedzieć ponętnej wdowie von Rautenberg, że dotrzymał słowa.

Temat opery Aschenbrandta został w końcu wyczerpany i miody kompozytor taktownie poprosił Listę, by dokończył swój wywód o aryjskich korzeniach cywilizacji klasycznej, który wcześniej rozpoczął, lecz nie miał jak dotąd okazji doprowadzić go do finału.

List zastosował się do prośby, opisując, jak Aryjczycy zostali zmuszeni do opuszczenia swoich miast na północy w epoce lodowcowej oraz jak poprzez mieszanie się z niżej rozwiniętymi ludami południa dali załazek cywilizacjom Grecji i Rzymu. Niejasna argumentacja doprowadziła go do pochwały nacjonalistycznego pangermańskiego programu oraz jadowitego potępienia jego wrogów. Po otwartym ataku na kościół i monarchię skierował swą diatrybę przeciwko trzeciej, aczkolwiek nie mniej nagannej instytucji.

- Nie wolno nam lekceważyć wolnomularzy. Stanowią rosnące zagrożenie. Odegrali niemałą rolę w kształtowaniu światowej historii w przeszłości i będą dążyć do tego ponownie

- z druzgocącymi konsekwencjami. Staliśmy się zadufani w sobie i lekkomyślni. Politycy mają krótką pamięć. Być może zapomnieli o powstaniu masońskim z 1766 roku - natomiast ja pamiętam o tym doskonale!

- Z całym szacunkiem - odezwał się ostrożnie von Triebenbach - przyznaję ze wstydem, że ja również nie mogę odgrzebać w pamięci tego... doniosłego wydarzenia historycznego.

- 1766! - powtórzy! List, waląc wolną ręką w poręcz krzesła. - Powstanie, które wedle planu miało rozpocząć się w Pradze i rozprzestrzenić na całą Europę. Bractwo przejęłoby władzę w każdym liczącym się państwie. Na szczęście tajna policja wiedziała o spisku i aresztowała głównych konspiratorów. Ale powiadam... - List dotknął skroni i pokręcił głową.

Na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia, lęku, jak gdyby jego mroczny świat nawiedziły straszliwe wizje.

- Mój kochany... - Anna wyciągnęła rękę i wygładziła niewidzialną bruzdę na jego strapionym czole.

- Powiadam wam - powrócił do przerwane go zdania List. - To może się powtórzyć.

Słyszałem, że masoni podburzają do buntu w Czechach i na Węgrzech... i nikt nie kiwnie palcem, by ich powstrzymać. Nasi politycy są nieudolni. Słabi. Cymbały! Nieświadomi wiszącego w powietrzu zagrożenia.

W pokoju zaległa cisza.

- Pilnie potrzeba nam bohatera - oświadczył uroczyście von Triebenbach. - Świeżej krwi, nowego Zygryda.

Jego dłoń odszukała ramię Aschenbrandta i spoczęła na nim przez chwilę.

Był to dyskretny gest, lecz nie umknął uwagi Anny. Uśmiechnęła się do barona, a następnie do młodego kompozytora.

Część trzecia

SALIERI

Liebermann wyszedł szybko z opery i pomaszerował żwawym krokiem na tyły gmachu. Po jego lewej stronie znajdował się wschodni kraniec pałacu Hofburg, którego bastion wieńczył konny posąg arcyksięcia Albrechta. Pomimo górującej obecności arcyksięcia plac był zdominowany przez inną postać: białą marmurową podobiznę Mozarta wpatrującego się w otwartą partyturę na ozdobnym pulpicie. Kompozytor był ubrany w długą pelerynę, która artystycznie zsuwała się z jednego ramienia, krótką kurtkę, falbaniaste mankiety i obcisłe bryczesy. Dookoła okazałego cokołu, ozdobionego porzuconymi manuskryptami, wieńcami laurowymi i nieco chaotycznym stosem instrumentów, tańczyły i dokazywały putta. Cel wędrówki Liebermanna znajdował się obok tego intrygującego pomnika, a była nim Cafe Mozart, która od niego właśnie wywodziła swą nazwę.

Po wejściu do środka został natychmiast oślepiiony, ponieważ zaparowały mu szkła okularów. Zdjął je zniecierpliwionym ruchem i podszedł do jednego z kelnerów.

- Dobry wieczór, czy mógłbym skorzystać z telefonu?

Kelner uklonił się i zaprowadził go do osobnej budki. Pochłonięty własnymi myślami Liebermann wręczył kelnerowi zbyt suty napiwek. Mężczyzna uśmiechnął się służalczo i otworzył drzwi teatralnym gestem dworzanina. Znalazłszy się w środku, Liebermann zatelefonował do Rheinhardta.

- Oskarże, mówi Max. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. - Podniecenie i niecierpliwość ożywiały jego słowa. - Wiem, jak on to robi. Wiem, jak wybiera swoje ofiary.

Na linii zatrzeszczało. Liebermann słyszał w tle śmiech dwóch córek Rheinhardta.

- Gdzie jesteś?

- W Cafe Mozart.

- Zaczekaj tam na mnie. Wkrótce się zjawię.

Liebermann odłożył słuchawkę na widełki i wyszedł z budki. W pobliżu dwaj rozpasani mężczyźni w pasiastych marynarkach zabawiali wyzywająco ubraną przyjaciółkę.

Ciemnozielona półtoralitrowa butelka szampana wskazywała, że kobietę uraczono nierozsądną, jeśli nie wręcz groźną dla zdrowia, ilością alkoholu. Wyężając wzrok, Liebermann usiłował zlokalizować pusty stolik za falującą kurtyną cygarowego dymu. Żaden nie wydawał się wolny; jednak wkrótce doktorowi pospieszył na ratunek kelner, który - być może spodziewając się kolejnych dowodów wdzięczności - poprowadził go na wolne miejsce przy oknie.

Liebermann zamówił *schwarzer*.

- A coś do jedzenia, sir? - Kelner podał kartę. Liebermann uczynił gest sygnalizujący, że nie potrzebuje czytać menu.

- Tort Mozarta - zamówił zdecydowanym głosem.

- Doskonały wybór, sir - rzekł kelner, uśmiechając się i wycofując z głową spuszczoną między przygarbione ramiona.

Upojona alkoholem kobieta odrzuciła w tył głowę i wybuchła ostrym, przenikliwym śmiechem. Fryzura zaczęła się jej rozsypywać, luźne ciemne pasma gwałtownie staczały się z ramion. Dwaj rozpustnicy wymienili rozochoczone spojrzenia, ich oczy pałały pożądliwym zainteresowaniem. Grupka korpulentnych mieszczan przy sąsiednim stoliku pokręciła głowami i z dezaprobatą zmarszczyła brwi.

Uwaga Liebermanna przeniosła się na kelnera, który wrócił z kawą i ciastkiem. Tort Mozarta był barwną szachownicą czekolady i pistacjowego biskopta, udekorowaną na szczycie marcepanową monetą z profilem wielkiego kompozytora. Liebermann wziął kęs do ust i uznał, że ciasto jest odrobinę za słodkie, więc postanowił skrócić sobie oczekiwanie cygarem.

Po mniej więcej dwudziestu minutach w progu stanął Rheinhardt. Nie zdjął płaszcza, podszedł od razu do stolika Liebermanna.

- No, Max - powiedział. - To całkowite zaskoczenie. Liebermann wstał i mocno uściśnił sobie dłonie.

- Proszę, siadaj...

Nim zdążyli się usadowić, z kłębow cygarowego dymu wyłonił się kelner.

- Jeszcze jedna *schwarzer* - powiedział Liebermann. - I *turkische* dla mojego przyjaciela.

- Mocna, z dodatkowym cukrem - uściślił Rheinhardt. Kelner wycofał się w żółtawobrunatne duszne opary.

- To niesłychane - zaczął Liebermann. - On musi być kimś wyjątkowym... jego przypadek nie ma sobie podobnych w annałach zaburzeń psychicznych. Mamy do czynienia z całkowicie niezwykłą jednostką. Z umysłem szczególnym i niepospolitym.

- Max - rzeki Rheinhardt, hamując przyjaciela miną, która żądała umiarkowania. -

Proszę cię, powoli. I od samego początku.

Liebermann kiwnął głową

- Jestem rozgorączkowany.

- Ja zaś nie wątpię, że masz ku temu konkretny powód, jednakże...

- Tak, oczywiście. Powoli i od początku. - Liebermann oparł się w krzesło i poluzował

krawat. - Wybrałem się dziś wieczorem do opery.

- Spektakl musiał być wyjątkowo krótki.

- Wyszedłem wcześniej.

- Był aż tak słaby?

- Ależ skąd, *Czarodziejski flet* pod dyрекcją Mahlera.

- Zatem dlaczego...

- Znasz to?

- *Czarodziejski flet*? Nie za dobrze... nie widziałem tej opery od wielu lat.

- Ani ja.

- A więc?

- Postaci, Oskarze, pamiętasz postaci?

- Jest tam książę... Tarnino... i księżniczka, Pamina. Królowa Nocy, śpiewająca tę cudowną arię, bardzo znaną, w której melodia wzbija się na najwyższe nuty.

- Tak, Królowa Nocy! A teraz pomyśl, Oskarze! Czy to określenie, Królowa Nocy, nie brzmi w twoich uszach jak pewien kolokwializm?

Rheinhardt skrzył w palcach czubek wąsa z prawej strony.

- Dama nocy?- Albo, jak powiedzieliby Francuzi, *filie de nuit*. Co oznacza?

- Oczywiście prostytutkę!

- Królowa Nocy ma trzy damy dworu - albo służki...

Inspektor wybałuszył oczy do tego stopnia, że zaczął przypominać pacjenta z wytrzeszczem, którego Liebermann badał wcześniej tego samego dnia.

- Wielkie nieba - wykrztusił Rheinhardt. - Madam Borek i trzy galicyjskie dziewczyny...

- Właśnie! Jest tam jeszcze Papageno, ptasznik. Który zostaje ukarany za kłamstwo.

Pamiętasz tę karę, Oskarze?

- Dobry Boże! Zamykają mu usta na kłódkę!

- A teraz zastanów się nad morderstwem w Wiedeń. Tego ciemnoskórego mężczyzny.

- Ależ on musi odpowiadać Maurowi.

- Monostatosowi...

Raptem zmienił się wyraz twarzy Rheinhardta. Oscylował wokół jakiegoś nieokreślonego wahania, które załamało się i przekształciło w wyraźne przygnębienie.

- O nie, nie, nie, nie, nie. - Inspektor jęknął, jakby dotknięty fizycznym bólem.

Liebermanna zaintrygowała niespodziewana reakcja przyjaciela.

- Oskarże?

Rheinhardt ukrył głowę w dłoniach.

- Ależ byłem głupcem. Jakimż absolutnym głupcem! Liebermann zmarkotniał po takiej odpowiedzi.

- To nie było aż tak oczywiste, Oskarże. Rozpoznanie podobieństw mimo wszystko wymagało pewnej wyobraźni.

- Wybacz mi, Max, nie miałem zamiaru deprecjonować twoich dokonań. Ale to naprawdę powinno wydawać się oczywiste... przynajmniej mnie!

- Dlaczego? Jesteś policjantem. A nie badaczem Mozarta.

Kelner przyniósł kawę. Inspektor podniósł głowę, skosztował swojej *türkische* i wrzucił do filiżanki dwa kawałki skryształizowanego cukru. Jego melancholijne, podkrążone oczy wydawały się bliskie łez.

- Zaczyna się od węża, prawda?

- Słucham? - powiedział nieco skonsternowany Liebermann.

- *Czarodziejski flet*. Zaczyna się zgładzeniem węża. - Tak.

- Cóż, tak samo jak ta seria morderstw.

Liebermann posunął talerzyk z niezjedzonym tortem Mozarta w stronę przygnębianego inspektora. Wielokrotnie był świadkiem, jak po kilku kęsach ciasta Rheinhardt odzyskuje werwę. Inspektor niemal bezwiednie zatopił widelec w kusząco sprężystym biszkopcie.

- Przed masakrą w Spittelbergu zabito w zoo gigantyczną anakondę - wyjaśnił

Rheinhardt.

- Hildegardę.

- Zgadza się. Czytałeś o tym?

- Tak. Przypominam sobie, że to zwierzę było ulubieńcem cesarza.

- W istocie. Osobiście badałem tę sprawę. Zbrodnia była w najwyższym stopniu nietypowa, ale w świetle wydarzeń, które nastąpiły tuż potem, wydawała się dziecinną igraszką. Do morderstw w Spittelbergu doszło następnego dnia... i zwyczajnie zapominałem o cennym dla cesarza wężu. Życie nawet najszlachetniejszego cesarskiego zwierzęcia nie powinno być cenione wyżej niż życie istoty ludzkiej - choćby nie wiem jak nędznej - i mając to na względzie, przeniósłem całą uwagę z jednej sprawy na drugą. Teraz jednak dostrzegam oczywiście błąd mojego postępowania. Jakże głupio zrobiłem!

Rheinhardt odruchowo włożył do ust trójkątny kawałek tortu Mozarta. Pogryzł, połknął i mówił dalej:

- Anakondę przecięto równo na trzy

części jakimś dużym ostrzem,

najprawdopodobniej szablą. Sprawca wszedł do terrarium i wyszedł stamtąd, nie pozostawiając na ziemi choćby pojedynczego śladu. Madam Borek i dwie jej dziewczyny również zamordowano szablą... i mimo że burdel spływał krwią, morderca zbiegł, nie zostawiwszy na deskach podłogowych żadnych odcisków stóp. Był to ewidentnie ten sam człowiek.

Rheinhardt przyjrzał się resztkom biszkopta na talerzyku.

- Tort Mozarta? Tak objawia się twoje poczucie humoru, Max?

- Wydawał się bardzo na miejscu, ale stwierdziłem, że nie jestem szczególnie głodny.

Rheinhardt wziął do ust kolejny kęs i po raz pierwszy zareagował we właściwy sobie sposób, to znaczy wyraził uznanie.- Bardzo smaczny. Na pewno nie chcesz odrobiny? -

Liebermann pokręcił przecząco głową. Inspektor skosztował pistacjowego kwadratu i mówił

dalej: - Max, skoro odkryłeś już jego metodę, jakie możemy wyciągnąć z niej wnioski? Jak sądzisz, czy jest on miłośnikiem Mozarta? Fanatycznym badaczem jego oper?

- Oskarże, nikt, kto ceni Mozarta, nie dopuściłby się takich okropności. - Młody lekarz wyprostował plecy. - Pod wpływem muzyki Mozarta można jedynie nabrać ogłady.

- A jednak sprawca zna jego muzykę doskonale.

- Owszem, ale trudno mi uwierzyć, by osoba, która bardzo lubi *singspiel* Mozarta mogła znaleźć w jej fabule i postaciach inspirację do morderstwa. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że rzecz przedstawia się zgoła inaczej. Sprawca nie należy do wielbicieli Mozarta i najprawdopodobniej gardzi *Czarodziejskim fletem*.

Rheinhardt zeskrobał kilka czekoladowych zawijasów z brzegu talerzyka.

- Jakoś nie przychodzi mi do głowy żadna przyjemniejsza opera...

- Jest to bez wątpienia dzieło o niezrównanym uroku. W umyśle sprawcy na *Czarodziejski flet* rzuciły się jednak cieniem najmroczniejsze z uczuć: nienawiść, strach, zazdrość. - Liebermann złączył dłonie. - Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że we wczesnym dzieciństwie przydarzyło mu się coś bardzo złego - być może w trakcie słuchania muzyki Mozarta.

- Ale czy takie przeżycie - choćby najbardziej przykre - mogłoby z góry skazać nieszczęsne dziecko na przeobrażenie się w swoim czasie w potwora?

- Nie, wcale nie. Profesor Freud twierdzi, że psychopatologia rodzi się wtedy, gdy aparat psychiczny czerpie wpływy z prąródła albo początku. Przypuszczam, że *Czarodziejski flet* nabrał jakiegoś strasznego znaczenia we wczesnym dzieciństwie sprawcy; od tamtej pory stał się jednak motorem oraz zasadą ukierunkowującą terażniejsze gwałtowne impulsy. Ażeby je zrozumieć, musielibyśmy posiadać wiedzę o jego przeszłości - oraz o tym, co kryje jego podświadomość.

Kelner minął stolik i dyskretnie zabrał pusty talerzyk Rheinhardta.

- Istnieje pewna legenda, prawda? - rzekł Rheinhardt. - Związana z włoskim kompozytorem oskarżanym o zamordowanie Mozarta. Jak on się nazywał?

- Salieri - odparł Liebermann. - Choć niektórzy twierdzą, że Mozarta zgładzili jego bracia z loży masońskiej za zdradzenie ich sekretów w *Czarodziejskim flecie*.

- Odpowiedni przydomek dla naszego sprawcy, nie uważasz? Salieri?

- Salieri - Liebermann delectował się egzotyczną kombinacją samogłosek i spółgłosek.

- Tak, bardzo trafny.

- Niech zatem będzie Salieri! - powiedział Rheinhardt.

Jakby w odpowiedzi odurzona alkoholem kobieta klasnęła w dłonie i zapiszczała z radości. Jeden z jej towarzyszy podał jej małe pudełeczko. Otworzyła je i wyjęła ze środka tandetną biżuterię.

- Należy zadać sobie dwa kolejne pytania w odniesieniu do *Czarodziejskiego fletu* -

powiedział Liebermann. - Po pierwsze, czy dowiemy się czegoś więcej o dążeniach Salieriego z analizy opery? I po drugie, do jakiego stopnia opera rzuca nowe światło na dowody, które są już w twoim posiadaniu?

Rheinhardt skubał dolną wargę.

- Nie jestem ekspertem od Mozartowskich oper, ale *Czarodziejski flet* z pewnością uchodzi za najmniej zrozumiałą.

- Dlatego, że w *Czarodziejskim flecie* nic nie jest tym, czym się wydaje. To utwór pełen tajemnych

wolnomularskich symboli. - Liebermann nagle przypomniał sobie, że wciąż ma przy sobie program z Opery Dworskiej. Wyciągnął go z kieszeni i zaczął kartkować, póki nie natknął się na notkę biograficzną kompozytora. - Proszę bardzo... Mozart... inicjowany do stopnia czeladnika do *Loge zur Wohltätigkeit* 14 grudnia 1794 roku... a w 1785 wprowadzony w stopniu ucznia... miesiąc później mistrza... libretto autorstwa Schikanedera - którego przedstawiano jako brata z łoża... - Liebermann przerzucił kartkę. - Baron Ignaz von Bom...

Wielki sekretarz wiedeńskiej *Loge zur wahren Eintracht*... o szkicu opery dyskutowano przy łożu Borna, mistrza wolnomularskiej symboliki oraz autorytetu czczonego przez wszystkich wiedeńskich wolnomularzy.

- Czy jest tam coś napisane o tym, co te symbole mają przedstawiać?

- Nie. W tej kwestii trzeba by prawdopodobnie skonsultować się z jakimś wolnomularzem. - Bardzo wątpię, czy zgodziliby się pomóc.

- Dlaczego tak mówisz?

- Stosunki między biurem bezpieczeństwa a wolnomularzami nie są dobre. -

Liebermann pytająco przekrzywił głowę. - Och, wszystko to jest ogromnie skomplikowane. -

Rheinhardt miętosił serwetkę.

- Opowiadaj...

- Od ponad trzydziestu lat wolnomularzom nie wolno odprawiać rytuałów. Prawo pozwala im spotykać się pod egidą organizacji braterskich - ale nie ponadto.

- Wolnomularstwo jest nielegalne?

- Cóż, nie do końca. Wiele lat temu postanowiono, że trzeba podjąć jakieś działania w związku z mnożeniem się wywrotowych stowarzyszeń. W owych czasach ludzie bardziej obawiali się odszczepieńców, co jest zupełnie zrozumiałe: rewolucja 1848 roku była wciąż żywym wspomnieniem. Dlatego przyjęto Prawo o Stowarzyszeniach. Zaprowadzono w ten sposób państwowy nadzór nad stowarzyszeniami.

- Co to oznacza?

- To bardzo proste, jeśli chcesz założyć jakieś towarzystwo - filozoficzne, artystyczne, polityczne lub jakiegokolwiek inne - musisz złożyć podanie o zezwolenie, które jest przyznawane wedle uznania specjalnie mianowanego komisarza. Rezultat tych zabiegów był -

dla wolnomularzy - nader niezadowolający. Samo bycie wolnomularzem nie jest nielegalne.

Zebrania wolnomularzy również nie są nielegalne. Natomiast nielegalne jest gromadzenie się masonów w celu odprawiania „tajnych” obrzędów. Z tego względu zobligowano biuro

bezpieczeństwa do dość uważnej obserwacji masonów, co stało się przyczyną sporej niechęci.

Jeśli mamy dowiedzieć się czegoś więcej o symbolice *Czarodziejskiego fletu*, podejrzewam, że najlepszym sposobem zdobycia tej wiedzy będzie wielogodzinne ślęczenie nad książkami w bibliotece. Na szczęście mam do dyspozycji Haussmanna.

- Zastanawiam się, czy... - Głos Liebermanna ucichł, a czoło zmarszczyło się w skupieniu.

- Zastanawiasz się nad czym? Liebermann popatrzył na Rheinhardta.

- Zastanawiam się, czy w ich arkanach figuruje swastyka.

- Bardzo możliwe. Zdaje się, że masoni wykorzystują wiele starożytnych znaków.

Symbole alchemiczne, wszystkowiedzące oko, płomień o siedmiu językach... - Rheinhardt przerwał wyliczanie. - Max?

Młody lekarz dostrzegł już wyraz głębokiego zatroskania na twarzy inspektora.

- Tak, Oskarze. Salieri zamordował Królową Nocy, jej trzy damy, Papagena i Monostatos. Lecz obsada *Czarodziejskiego fletu* składa się z wielu więcej postaci: Tarnina, Pamina, Sarastro.

- I dzieci! Czy nie ma tam jakiegoś chóru złożonego z trzech chłopców?

- Jest - potwierdził Liebermann, odwracając stronę programu i wpatrując się markotnie w długą listę śpiewaków. - Jeśli ma zamiar zlikwidować ich wszystkich, jest dopiero na początku drogi.

Było późne popołudnie. Zapalono już gazowe latarnie, a większość sal wystawowych w Muzeum Historii Naturalnej świeciła pustkami.

Wcześniej tego dnia Liebermann napisał list do Clary i jej rodziny, przepaszając za swoje niegrzeczne i przedwczesne wyjście poprzedniego wieczoru. Prosił o wybaczenie i obiecywał wyczerpujące wyjaśnienia, lecz w istocie rzeczy wciąż nie wiedział, co ma zamiar powiedzieć.

Clara odesłała do szpitala szybką odpowiedź, chłodno informując narzeczonego, że rodzina Weissów oczekuje go na kolacji o wpół do ósmej. Wiadomości nie kończyła zwyczajowa lista egzaltowanych czułości. Liebermann złożył list na cztery części, wsunął do górnej kieszeni i przez resztę popołudnia koncentrował się na swoich pacjentach: Fraulein Allers, która cierpiała na wywołane histerią bóle brzucha; Herr Foglu, który zalewał się gorzkimi łzami bez żadnego oczywistego powodu; Frau Uhle, która nieustannie myła ręce; i wreszcie na chorującym na monomanię Herr Beiberze zakochanym w arcyksiężnej Marii Walerii. Gdy tylko Liebermann zakończył uzupełnianie dokumentacji medycznej pacjentów, przypomniał sobie o liście Clary i poczuł ciężar w okolicy serca. Temu fizycznemu doznaniu towarzyszyło ogólne poczucie zniechęcenia. Po wyjściu ze szpitala Liebermann doszedł do wniosku, że krótka wizyta w Muzeum Historii Naturalnej dobrze mu zrobi. Nawet jeśli nie zdoła poprawić mu nastroju, przynajmniej pomoże zebrać myśli.

Liebermann wspiął się po okazałych schodach i wędrował niespiesznie przez główne galerie. Zaglądał do szklanych gablot i przypatrywał się eksponatom: barwnie upierzonym ptakom, smukłemu wilkowi, stadu lwów, tarantulom większym od męskiej dłoni, majestatycznym tygrysom, motyłom o turkusowo-żółtych skrzydłach jak z krepiny, wielkim krabom ofiarowanym Franciszkowi Józefowi przez cesarza Japonii, skamieniałym pozostałościom wielkich jaszczurów, wolno stojącemu szkieletowi wieloryba i wreszcie prehistorycznym mężczyźnie i kobiecie przytulonym do siebie na zakurzonej łóżu komory grobowej.

Oto trwałe małżeństwo...

Liebermann usiłował wyobrazić sobie kości swoje i Clary przemieszane ze sobą pod ziemią po wsze czasy. Ale nie potrafił. Proscenium jego wyobraźni pozostało uparcie ciemne.

Strażnik zamykał duże drewniane drzwi na końcu sali. Za nimi pograżał się w cieniu lakierowany model stegozaura z papier-mache.

Liebermann odwrócił się i ruszył z powrotem.

Lampy gazowe w sali geologicznej zostały przygaszone, ale kamienie jubilerskie i wnętrza geod wciąż igrały z nikłym światłem. Efekt był wręcz magiczny. Gdy Liebermann wędrował głównym korytarzem, towarzyszyły mu fale skrzeczenia. Minerale połyskiwały i błyskały, jak gdyby niewidzialny kamerdyner rozsypywał mu pod stopami gwiazdny pył.

Na ławce pod oknem w odległym krańcu galerii zaszyła się kobieta. Ogniste włosy i proste plecy od

razu zdradzały jej tożsamość: była to panna Lydgate. Nos Angielki chował się między okładkami książki. Przewróciła stronę szybkim, zwinnym ruchem. Wydawała się pożerać tekst z zastraszającą prędkością.

Liebermann zbliżył się, pozwalając stopom na głośniejsze stąpanie. Jego nadejście wytrąciło ją ze skupienia, podniosła wzrok znad tomu.

- Doktor Liebermann, cóż za miła niespodzianka. - Słowa zabrzmiały cicho, marzycielsko, jakby budziła się z głębokiego snu. Miała zamiar wstać, lecz Liebermann gestem ręki dał znać, by pozostała na miejscu.

- Panno Lydgate. - Liebermann przywitał ją ukłonem.

Lampy gazowe zasyczały, niecodzienny spokój zakłócało jedynie odległe skrzypienie zawiasów i ciche pobrząkiwanie kluczy. Sale zamykano jedną po drugiej.

- Przyszłam obejrzeć meteoryty - oznajmiła panna Lydgate.

- Rzeczywiście - powiedział Liebermann, zupełnie nie mając pojęcia, jak kontynuować rozmowę po tak niezwykłym oświadczeniu. Na szczęście Amelia wybawiła ich oboje z potencjalnie krępującego milczenia uprzejmym pytaniem.

- Jak się miewa inspektor Rheinhardt?

- Bardzo dobrze.

- A śledztwo?

- Postępuje. - Liebermann nie miał ochoty udzielać bardziej wyczerpującej odpowiedzi. Nie chciał psuć tego nieoczekiwanego spotkania we dwoje opowieściami o Salierim, krwi i okaleczonych zwłokach. - Co pani czyta? - spytał, kierując rozmowę na przyjemniejsze tematy.

Na czoło wystąpiła znajoma pionowa zmarszczka, która po chwili się pogłębiła.

- Folguję drobnej przyjemności. Bardziej przydałby się podręcznik anatomii, tylko że dostałam dzisiaj paczki z Londynu, a jedna z nich zawierała tę powieść. - Podniosła cienką książkę. - Podarunek od ojca.

Liebermann przetłumaczył tytuł i poczuł lekkie zdziwienie. To ma być folgowanie drobnej przyjemności? Nie uważał, by opowieść o czasomierzu można by określić mianem takowej.

- *Wehikuł czasu* - odczytał na głos po angielsku. - H.G. Wells.

- Tak, ojciec jest wielbicielem tego autora, który w przeciwieństwie do siebie współczesnych jest wyjątkowo dobrze zorientowany w myśli naukowej.

- To opowieść o zegarze?

- Nie, termin „wehikuł czasu” odnosi się do czegoś dalece bardziej interesującego. To urządzenie, które może rzeczywiście podróżować w czasie, przedstawionym tu pomysłowo jako czwarty wymiar, uzupełniający powszechniej znane euklidesowe miary długości, szerokości i grubości.

Panna Lydgate podała książkę Liebermannowi, który uważnie przyjrzał się grzbietowi. Powieść opublikowało wydawnictwo Heinemann. Liebermann zastanawiał się, dlaczego Wellsa wydaje niemiecka oficyna.- Narrator przenosi się w odległą przyszłość -

ciągnęła Amelia - gdzie odkrywa, że ludzkość zdegenerowała się i podzieliła na dwa odrębne gatunki. Morloków, owadokształtną rasę żyjącą pod powierzchnią ziemi, oraz Elojów, bezbronnych i słabych, o umysłowości dziecka. Mimo że *Wehikuł czasu* jest jedynie... -

pionowa zmarszczka na czole Amelii pogłębiła się, gdy kobieta szukała w myślach precyzyjnego określenia - romansiem naukowym, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zamiarem pana Wellsa było coś więcej niż wywołanie ekscytacji w czytelnikach. W istocie rzeczy wyznaję opinię, że ta opowieść ma również służyć jako rodzaj proroctwa - albo ostrzeżenia...

Po raz kolejny Liebermann poczuł się urzeczony tą niezwykłą kobietą: jej precyzyjnym sposobem wyrażania się, spokojnym spojrzeniem, potęgą jej intelektu.

- Ostrzeżenia? - powtórzył jej ostatnie słowo w nadziei, że ta skromna zachęta spowoduje obszerne rozwinięcie tematu.

- W naszym współczesnym świecie - zaczęła Amelia - powstaje coraz większy rozdźwięk pomiędzy bogatymi a biednymi. Co więcej, zaznacza się tendencja, by ci, którzy rodzą się w klasie robotniczej, żyli i pracowali pod ziemią. Na przykład w Londynie służba domowa, czyli pokojówki, kucharze, praczki, zwyczajowo spędza większą część swej egzystencji w suterrenach i piwnicach. W istocie rzeczy służący nierzadko używają określeń

„góra” i „doły” jako terminów odróżniających „wysoko urodzonych” od nich samych. Takie dramatyczne przykłady można mnożyć. Proszę pomyśleć o górnikach wydobywających węgiel, których straszną dolą jest opuszczanie się do samych wnętrzości ziemi. Proszę pomyśleć o maszynistach pociągów, z których wielu musi dziś pracować pod ziemią -

niektórzy nigdy nie oglądają światła dziennego. W gruncie rzeczy proszę pomyśleć o jakimkolwiek wielkim współczesnym mieście: Londynie, Wiedniu, Nowym Jorku. Wszystkie są wzniesione na podziemnej sieci kotłowni, tuneli i maszynowni. Oczy Angielki rozbłysły.

- Pan Wells wydaje się sugerować, że jeśli ta tendencja się utrzyma, dojdzie w końcu do podziału rodzaju ludzkiego, przebiegającego wzdłuż błędnych linii stratyfikacji społecznej.

Będzie coraz mniej okazji do małżeństw mieszanych, co spowoduje powstanie podgatunków.

Naszym przeznaczeniem jest podział na Morloków i Elojów.

Liebermann oddał książkę.

- Wyjątkowo interesująca hipoteza, panno Lydgate. Jednak... - Uśmiechnął się uprzejmie, nie chcąc gasić jej entuzjazmu ostrą krytyką. - Wydaje mi się cokolwiek nieprzekonująca. Ludzkość osiedlała się na śnieżnych pustkowiach Arktyki, spalonych słońcem pustyniach Arabii i w dżunglach w samym sercu Afryki. A mimo to podstawowa ludzka forma pozostała niezmienna.

- Z całym szacunkiem - rzekła Amelia, przyciskając książkę do piersi. - Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie. Forma ludzka jest bardzo elastyczna. Czy Eskimos wygląda jak Beduin? Czy człowiek Bantu wygląda tak samo jak jego nordycki kuzyn?

- Nie, ale wedle mojej wiedzy nie doprowadziło to do żadnych biologicznych zahamowań w mieszaniu się ras. Pomimo naszej skłonności do eksplorowania i zamieszkiwania rozmaitych środowisk, co nieuchronnie pociągnęło za sobą pewne powierzchowne zróżnicowanie wywołane koniecznością adaptacji, jesteśmy wciąż jednym rodzajem ludzkim.

- W końcu jednak, doktorze Liebermann, gdyby takie różnice były uwypuklane przez tysiąclecia, powiedzmy przez okres potrzebny do przekształcenia lasu karbońskiego w węgiel, wtedy z pewnością...

Na końcu sali zamajaczył strażnik. Stuknął obcasami i obwieścił oficjalnym, wyniosłym tonem:

- Zamykamy muzeum.

Amelia wstała, a przez jej twarz przemknął blady uśmiech.

- Z przyjemnością kontynuowałabym tę rozmowę, doktorze Liebermann, ale obawiam się, że muszę pójść odebrać z szatni płaszcz i kapelusz.

Liebermann zerknął na zegarek. Wiedział, że to, co zamierza powiedzieć, jest niestosowne - i że gdyby panna Lydgate dała mu odpowiedź twierdzącą, niemal na pewno spóźniłby się na kolację do Weissów. A mimo to usłyszał własne słowa wypowiedane jakimś bezcielesnym, ulotnym głosem:

- Ależ możemy kontynuować tę rozmowę, jeśli ma pani takie życzenie. Przy Museumstrasse jest kawiarnia... - Zaproszenie rozproszyło się w powietrzu.

Panna Lydgate spojrzała na niego swymi magnetyzującymi szaro-niebieskimi oczami.

Syk lamp gazowych wydawał się donośniejszy w milczeniu, które zapadło, wypełniając powstałą lukę krępująco gwałtowną lawiną dźwięków. Zniecierpliwiony strażnik zakasłał.

- To znakomity pomysł - odparła Amelia. - Niech mi pan powie - jakie jest pańskie stanowisko wobec pism Jean-Baptiste'a Antoine'a de Moneta?

- Inspektor Rheinhardt?

- Herr Arnoldt.

- Chciałby pan wejść?

Rheinhardt wyrzął ponad ramię dozorczy zoo, lecz niewiele dostrzegł w ciemnym wnętrzu za jego plecami. Były tam kępy gęstego listowia: wielkie, rozłożyste, zroszone kroplami wody liście i włochate, zwieszające się pnącza. Powietrze, które wymknęło się przez na wpół otwarte drzwi, było ciepłe i cuchnące.

- Właściwie nie - powiedział Rheinhardt, przeciągając każdą sylabę w próbie wykręcenia się od wejścia.

- Dlaczego? To całkowicie bezpieczne. Giselle ma absolutnie uroczy temperament, zapewniam.

Rheinhardt nie był przekonany, czy rzeczywiście można wierzyć zapewnieniom dozorczy. Mimo to przestąpił próg i pozwolił butom zapaść się w sprężysty kobierzec mchu.

Herr Arnoldt odwrócił się raptownie i stąpając ciężko, zszedł po łagodnym zboczu.

- Proszę, inspektorze! - zawołał. - Byłbym wdzięczny, gdyby zamknął pan za sobą drzwi. Mocno.

Rheinhardt tak uczynił, ale nie mógł powstrzymać się przed zadaniem sobie pytania -

jakkolwiek w duchu - dlaczego?

Pospieszył za Herr Arnoldtem, który zniknął za splątaną zasłoną pnączy. Rheinhardt poszedł jego śladem i zastał dozorcę stojącego na rozstawionych nogach, z rękoma na biodrach, spoglądającego na drugą stronę przestworu ciemnozielonej wody. Gładką taflę otaczała bujna bagienna roślinność. Na przeciwległym brzegu leżał olbrzymi gad z płaskim, szerokim pyskiem. Jego pokryta łuskami skóra miała barwę brązu i czerni, chociaż obszar wokół szczęk oraz widoczne części szyi i brzucha były kremowobiałe.

- Giselle - przedstawił Herr Arnoldt.

- Krokodyl?

- Nie - sprostował Herr Arnoldt. - To amerykański aligator. *Missis-sippiensis*.

- Aha - rzeki Rheinhardt. - I jest pan pewien, że nie jest... niebezpieczny?

- Całkowicie.

Nagle tuż ponad taflą wody wyłoniła się para oliwkowozielonych oczu.

- Mój Boże, co to? - wykrzyknął Rheinhardt.

- Och, to tylko Richard - wyjaśnił Herr Arnoldt.

- Richard... - Tak.

- Nic pan nie wspominał o Richardzie. - Herr Arnoldt złowieszczo milczał. - Czy ten jest groźny?

- Nie, jeśli zachowamy dystans.

- Herr Arnoldt, nie mam najmniejszego zamiaru podchodzić ani odrobinę bliżej.

Dozorca odwrócił się w stronę Rheinhardta, luźno zwiesiwszy ręce po bokach.

- Pomyślałem sobie... pomyślałem, że może oglądanie ich z tak bliska sprawi panu przyjemność. Niewielu dostępuje takiego zaszczytu. To takie wspaniałe stworzenia.

Było coś w tonie głosu dozorca, co sprawiło, że Rheinhardt poczuł się jak niewdzięcznik. Zaproszenie Herr Arnoldta wypływało z dobrych intencji - był to ekscentryczny, lecz przyjazny w swej istocie gest.

- Tak - przyznał Rheinhardt. - Ma pan rację. To rzeczywiście wspaniałe stworzenia.

Dziękuję... Bardzo pan uprzejmy.

Dozorca kiwnął głową, uświadamiając sobie, że drobne nieporozumienie zostało właśnie zażegnane.

- A więc - powiedział, klasnąwszy w dłonie i energicznie je zatarłszy. - Złapaliście go?

- Nie - odrzekł Rheinhardt. - Niestety nie. - Dozorca wydał dolną wargę. - Jednak posuwamy się do przodu. Nie w stopniu, w jakim bym sobie na tym etapie śledztwa życzył, niemniej jednak są postępy. Zastanawiałem się, czy nie zechciałby pan jeszcze raz nam pomóc? Mam pytanie dotyczące zeznania, które złożył pan w komisariacie policji przy Schottenring.

Herr Arnoldt skinął głową.

- Gdy wróciła panu pamięć - mówił dalej Rheinhardt - zdołał pan sobie przypomnieć nadejście napastnika, który maszerował korytarzem, pogwizdując jakąś... wesołą melodię?

- Tak, zgadza się - rzekł Herr Arnoldt. - O wszystkim opowiedziałem pańskiemu asystentowi. Obawiam się, że nie mam nic więcej do dodania.

- W istocie. Rozumiem jednakowoż, że potrafił pan odtworzyć tę melodię w obecności mojego asystenta, Haussmanna. Czy mógłby pan uczynić to samo dla mnie?

Rozległ się delikatny plusk. Dotychczas zanurzony w wodzie aligator wypłynął na powierzchnię basenu, ukazując się w pełnej krasie.

- Wielkie nieba, jest ogromny!

- Nieco ponad cztery metry - wyjaśnił spokojnie Herr Arnoldt. - Jak na samca gatunku *Mississippiensis* Richard nie jest szczególnie duży.

Zwierzę rozwarło szczęki. Wydawało się ziewać.

- Tyle zębów... - powiedział Rheinhardt, siląc się na lekki ton, gdy tymczasem tłumił w sobie przemożne pragnienie wzięcia nóg za pas.

- Tak, około siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu. A każdy ostry jak brzytwa.

- Został pan kiedykolwiek ugryziony? Dozorca roześmiał się.

- Nie, inspektorze. Tylko nieliczni przeżyli spotkanie z zębami *Mississippiensis*, by móc o tym opowiedzieć...

- A więc tak mają się sprawy - powiedział Rheinhardt. - Zaraz, na czym to ja skończyłem?

- Na melodii. Mówił pan, że chce, żebyśmy jeszcze raz ją zanucili.

- Jeżeli wciąż ją pan pamięta, to i owszem. Dozorca odchrząknął i zaczął śpiewać:

- Pa, pa, pam, pam, ta-ta-ta-ta, pam, pam, pam... - Pierwsze frazy były wyraźne, a tonacja właściwa. Potem melodia stała się dość swobodną i improwizowana, aż wreszcie przerodziła się w utwór kompletnie zmyślony. - Szło to mniej więcej tak - dodał Herr Arnoldt.

- Nie jestem pewien ostatniego fragmentu, ale początek jest prawidłowy.

Rheinhardt otworzył dużą, oprawną w płótno książkę, którą trzymał pod pachą. Herr Arnoldt zauważył, że stronicę pokrywa zapis nutowy. Gdy Rheinhardt odnalazł właściwą stronę, wziął głęboki oddech i zaczął śpiewać z nut:

Jestem wesołym ptasznikiem, Znanym młodym i starym.

Wybieg rozbrzmiał cudownie mocnym barytonem Rheinhardta. Głos potoczył się po wodzie i odbił od wysokiego sklepienia. Rheinhardt nigdy nie śpiewał na tak osobliwej scenie i przed tak osobliwą publicznością. Doprawdy, sytuacja była na tyle specyficzna, iż przez krótką chwilę rozważał możliwość, że tak naprawdę wciąż jeszcze leży we własnym łóżku, a wydarzenia poranka rozgrywają się we śnie.

Giselle i Richard nie reagowały, za to wyraz twarzy dozorca zmienił się całkowicie.

- Tak, to właśnie to! - wykrzyknął. - To jest to! Rheinhardt śpiewał dalej: *Wiem, jak zastawić sidła I gwizdać jak ptak...*

Melodia była figlarna, czarująca, skomponowana w stylu popularnej piosenki.

- Co to jest? - zapytał Herr Arnoldt. Rheinhardt delikatnie zamknął nuty.

- Aria z *Czarodziejskiego fletu*.

Zaniepokoił ich odgłos wypieranej wody. Richard zaczął sunąć naprzód. Wydawał się przemieszczać dość szybko. Jego pysk pozostawiał na wodzie falę dziobową.

- Myślę... - odezwał się Herr Arnoldt z lekko stroskaną miną. - Myślę, że czas stąd wyjść.

Olbricht spojrział w stojące lustro ponad pochłapanymi farbą deskami podłogowymi i ujrzał swe odbicie. Rozluźnił nogi i obrócił nadgarstki do wewnątrz, przybierając pozę przypominającą Dawida Michała Anioła. Następnie podniósł prawą rękę i wyobraził sobie palce obejmujące wieniec laurowy. Poczuł dziwny dreszcz, jak gdyby ten wymyślony obraz przełożył się na autentyczne duchowe połączenie z *weltseele* z duszą świata. Zamknął oczy w nadziei przedłużenia tej chwili, lecz owo,,; osobliwe uczucie rozwiało się, pozostawiając po sobie jedynie tępy ból głowy.

Artysta odwrócił się i zlustrował obrazy, które przygotowywał na zbliżającą się wystawę.

Alberyk i trzy córki Renu; niewidomy skald w drewnianym dworze; Zygryd zabijający smoka...

Obszedł dokoła atelier, podziwiając swoje dokonania, ale zatrzymał się przed płótnem przedstawiającym *Piparę*, tytułową bohaterkę powieści Lista. Szerokie ramiona, żółte, splecione włosy, wyrazista, niemal męska twarz. Stała na wysokim, kamiennym balkonie, spoglądając na morze mocno uzbrojonych rzymskich legionistów.

Olbricht podszedł krok bliżej.

Pamiętał swoje głębokie zadowolenie z dzieła, gdy obraz został ukończony, jednak po odstawieniu go na pewien czas na bok nie był w pełni usatysfakcjonowany wyglądem Pipary.

Olbricht wziął do ręki paletę oraz pędzel z delikatnego włosia i zaczął poprawiać rysy cesarzowej.

Było coś niewłaściwego w grzbiecie nosa. W umiejscowieniu kości policzkowych, zbyt niskim, w kształcie podbródka, zbyt szerokiego. Ruchy Olbrichta stały się bardziej płynne. Pozostało w nim coś z tamtej komunii z duszą świata. Czuł w sobie inspirację, prowadziła go uduchowiona ręka, by mógł uchwycić na płótnie ulotny ideał.

W końcu cofnął się o krok.

Cesarzowa nabrała niepokojącego podobieństwa do Frau Anny, żony Guida Lista.

Jakaż Frau Anna jest piękna! Kwintesencja aryjskiej kobiecości.

Szkoda, że nie widział jej w *Wali...*

Szkoda, że go tam nie było - że nie uczestniczył w tamtym głośnym wydarzeniu sponsorowanym przez Ligę Germańską. Szkoda...

Coś w nim pękło jak rozgnieciona stopą skorupka jajka.

Olbricht wyciągnął ramię i drżącym palcem powiódł po krągłości piersi cesarzowej.

List nie należał do atrakcyjnych mężczyzn, w dodatku był znacznie starszy od pięknej Anny. Mimo to

go poślubiła. Zdobył jej miłość potęgą intelektu - szlachetnością ducha -

przenikliwością swego geniuszu...

- Ja również jestem wielkim artystą. - Olbricht nieświadomie wypowiedział te słowa na głos.

Powrócił myślami do wystawy.

Będzie pod wrażeniem. Tego byt pewien. Ona i kobiety jej podobne. To nie do pomyślenia, że jako jedyna - jedyna potrafi rozpoznać bohatera. Jako jedyna pragnie czystego, nieskalanego zjednoczenia - zjednoczenia dusz.

Olbricht cofnął drżącą dłoń.

- Mogę namalować to lepiej... Jeszcze lepiej - wymamrotał. - Znacznie, znacznie lepiej.

Podniósł paletę i przyjrzał się żywszym kolorom. Musi to być dzieło odważniejsze, bardziej prowokacyjne, dzieło odzwierciedlające nie tylko wewnętrzną siłę Pipary - lecz i jego własną.

Siedzieli obok jednego z belwederskich sfinksów. Wielki klin śniegu zaległ między kamiennymi skrzydłami posągu, którego twarz nosiła wyraz urażonej dumy. Dalej, za położonymi niżej żywopłotami ogrodów i zamarzniętymi fontannami, dolny pałac spowijała perlowa, zimowa mgła.

Nastrój Clary przystawał do pejzażu: była zimna i bezlitosna. Od wyjścia z domu Weissów niemal nie zamienili słowa.- Twój ojciec był bardzo wyrozumiały - powiedział

cicho Liebermann.

- Musiał zachować grzeczność - rzekła Clara. - Przyjął twoje przeprosiny, ponieważ nie chce wywoływać żadnych kłótni. Zwłaszcza teraz.

- A więc jest na mnie zły?

- Max, ja jestem na ciebie zła...

Liebermann westchnął i wbił wzrok w czubki butów.

- To było ważne, Claro. Wyjątkowo ważne.

- Bez wątpienia... Równie ważne było wyjście do opery z moją rodziną. Zepsułeś cały wieczór. Nam wszystkim.

Liebermann wznosił ręce, jak gdyby błagając sfinksa o wsparcie.

- *Czarodziejski flet* jest kluczem. Musiałem natychmiast powiadomić inspektora Rheinhardta.

- Czyżby? Nie mogłeś z tym zaczekać przez godzinę?

- Nie. Widziałem, do czego zdolny jest ten szaleniec. Ludzkie życie jest w niebezpieczeństwie.

- Czy zaatakował kolejny raz? Ten twój szaleniec?

- Nie, nie zaatakował. Ale... Clara wpadła mu w słowo.

- W takim razie można było zaczekać! - Udało się jej pohamować gniew, lecz już po chwili wezbrał w niej ponownie.

- A dlaczego spóźniłeś się wczoraj na kolację?

- Miałem lekcję szermierki. Kłamstwo przyszło aż nazbyt łatwo.

- Wydawało mi się, że lekcje odbywają się rano?

- Signore Barbasetti był niedysponowany w zeszłym tygodniu. Liebermann mówił

spokojnym głosem, nie spuszczać wzroku z twarzy sfinksa, na której wyraz urażonej dumy zdawał się przemieniać w dezaprobatę. - Przełożyliśmy lekcję na wczorajszy wieczór.

Niestety, zaangażowałem się zbyt mocno... i zapomniałem o czasie.

Clara pokręciła głową.

- I cóż mówi to o twoim... nastawieniu? To dziwne pytanie cokolwiek zaskoczyło Liebermanna.

- Słucham?

Zwrócił się twarzą do Clary, której ciemne oczy świdrowały go teraz niezwykle przenikliwie.

- Pamiętam - zaczęta powoli, jakby odgrzebywanie wspomnień przychodziło jej z trudem. - Pamiętam, jak kiedyś powiedziałeś, że wszystko coś oznacza - wszystko, co robimy, choćby najdrobniejsze rzeczy: przejęzyczenia, drobne wypadki, niemożność znalezienia jakiegoś przedmiotu... Więc co oznacza zapomnienie o umówionej kolacji?

Liebermann miał wrażenie, że poruszyła się ziemia. Nie doceniał jej. Była kimś więcej niż ładną, zabawną Clarą - młodą kobietą z odpowiedniej rodziny, z odpowiednim pochodzeniem, jego narzeczoną, przyszlą żoną. Miała głębię, której ani on - ani być może nikt inny - nigdy do końca nie pozna, oraz podstawowe, niezbywalne prawo do szczęścia na własnych warunkach. Nie była wolna od wad, ale przynajmniej szczerą, a to więcej niż mógł

w tym momencie powiedzieć o sobie.

- No? - nie dawała za wygraną Clara.

Liebermann zrozumiał, co musi zrobić - i już sama myśl o tym zawiodła go na skraj wewnętrznej przepaści. Ciemność i rozpacz ze wszech sił pragnęły go pochłonąć.

Herr Beiber nie okazywał żadnych oznak niepokoju czy skrępowania. Wydawał się z całkowitym zadowoleniem leżeć na szpitalnej kozetce i stosować do polecenia młodego lekarza, który nalegał, by pacjent mówił

- bez cenzury - o wszystkim, co tylko przyjdzie mu do głowy. Liebermannowi zdawało się nawet, że księgowy czerpie z tego przyjemność.

- Przypominam sobie, jak pewnego dnia rano - jakiś miesiąc temu

- tuż przed pierwszym śniegiem - stałem przed pałacem Schönbrunn...

- Beiber uniósł rękę i pozwolił jej opaść na brzuch z głośnym plaśnięciem. - Było bardzo wcześnie. Mgła dopiero się podniosła i wiedziałem

- po prostu wiedziałem - że ona jeszcze śpi. Wyobrażałem ją sobie pogrążoną we śnie w złoconym łożu z baldachimem, jej uroczy nosek wtulony w miękkie puchowe poduszki. I wówczas ujrzałem tego mężczyznę zmierzającego w moją stronę - muzyka dźwigającego na plecach wiolonczelę. I z miejsca przyszło mi do głowy, że zaaranżowanie małego koncertu byłoby doprawdy wspaniałym gestem - mogłaby obudzić się przy dźwiękach pięknej pieśni miłosnej. Jest taki słynny, często cytowany wers angielskiego autora: *Skoro muzyka jest strawą miłości, graj...*

- Szekspir - powiedział Liebermann. - Tak?

- Tak. *Wieczór trzech króli*.

- Chyba widziałem to w Teatrze Dworskim. Szczerze mówiąc, nie pamiętam. W

każdym razie uznałem, że byłoby to niesłychanie przyjemne uczucie, podniosłem rękę, a wiolonczelista się zatrzymał. Zapytałem, czy byłby uprzejmy zagrać jakąś pieśń miłosną dla arcyksiężnej Marii Walerii. Był jakiś dziwny... miał w sobie coś takiego... Och, mniejsza o to.

Zaczął się oddalać, ja zaś błagałem, żeby chwilę zaczekał. *Me będzie pan żałował*, rzekłem.

Ręczę. Nie odpowiedział. „No to ile?”, spytałem. „Dwie korony?” Uważałem, że to hojna propozycja - ale ten człowiek ani drgnął. „No dobrze, powiedzmy, trzy korony.” Wciąż bez reakcji. „Cztery, pięć, dziesięć?”. Nadal nic. Więc kierując się bardziej ciekawością niż czymkolwiek innym, zaproponowałem mu dwadzieścia, potem pięćdziesiąt, a wreszcie sto koron. I wie pan co? Nie przyjął. Zamiast tego powiedział: „Arcyksiężna nie usłyszy”.

Miałem odmienne zdanie. „Mój panie”, powiedziałem, „jest bardzo cichy, spokojny poranek.

Wiolonczela ma pełne, głębokie brzmienie, ona z pewnością je usłyszy”. Pokręcił głową.

„Zapewniam pana”, rzekł, „nie usłyszy. To pałac letni - nikogo tam nie ma”. I odszedł. Pałac

oczywiście nie był pusty. Ten głupiec całkowicie się mylił. Ona tam była, wiedziałem!

Do ostatniego okrzyku wkradła się nuta rozdrażnienia. Pacjent westchnął, pogładził swą jaskrawą, pomarańczowożółtą brodę i kontynuował już spokojniejszym tonem.

- Taka szkoda... Gdyby był człowiekiem z ikłą, spotkałoby ją tak cudowne przebudzenie. Te urocze powieki, wciąż ocieężałe od snu; otwierające się z trzepotem. Głowa obracająca się, by lepiej słyszeć słodką melodię... wiedziałyby oczywiście, że to ja.

Zamknął oczy i z błogością kontemlował wyimaginowaną cesarską komnatę.

- Herr Beiber - odezwał się Liebermann. - Gdyby był pan... zjednoczony z arcyksiężną Marią Walerią, jak pan sądzi, jak spędzilibyście razem czas? Co byście robili?

- To interesujące pytanie, Herr Doctor - rzekł księgowy - w dodatku takie, któremu poświęciłem już sporo namysłu. Jednak proszę mi wybaczyć, że odrobinę pana poprawię.

Pańskie sformułowanie jest nieco mylące. Należy zapytać nie: „gdyby” - lecz „kiedy”. Kiedy arcyksiężna Maria Waleria i ja będziemy ze sobą połączeni, jak będziemy spędzać wspólnie czas?

- Dobrze - odparł Liebermann.

- Będziemy spacerować. Chodzić na koncerty. Czytać poezję. Trzymać się za ręce.

Będę całymi dniami wpatrywać się w jej łagodne, pełne współczucia oczy. Będę czesać jej włosy. Będziemy rozmawiać bez końca o naszej cudownej miłości i będziemy wciąż na nowo opowiadać sobie historię naszego zjednoczenia.

Herr Beiber obliznął wargi i wyliczał dalej.

- Będę napełniał jej pióro atramentem, gdy poczuje chęć napisania listu. Będę otwierał

dla niej drzwi, gdy zechce przejść z jednego pokoju do drugiego. Będę obdarowywał ją różami...

Herr Beiber kontynuował w tym tonie przez dłuższy czas. Życie, które wyobrażał

sobie u boku arcyksiężnej, było dziwnie jałowe. Sprowadzało się do serii nieruchomych obrazów: drobnych wyrazów czułości i wyświechtanych romantycznych gestów.

Liebermann zakasłał, aby przerwać tę monotonną litanie.

- Herr Beiber. - Zrobił pauzę i spojrzął na usianą piegami łysinę. - Przepraszam, ale...

Co z doznaniem erotycznym?

- A co ma być?

- Nie wspomniał pan o nich.

- Dlaczego miałbym wspominać? Jestem zakochany w arcyksiężnej. Czyż nie określiłem tego jasno?

Liebermann postukał się palcem wskazującym w skroń.

- Herr Beiber, czy kiedykolwiek doświadczył pan seksualnych związków z kobietą?

Wielki romantyk wyglądał na lekko wytrąconego z równowagi.

- Ja... mmm... Nigdy nie poznałem nikogo... dla mnie wyjątkowego. Nie.

- Czy idea seksualnego zespolenia pana przeraża? Beiber się zaśmiał.

- Dobry Boże, nie. Doktorze, cóż za nedorzeczny pomysł! Liebermannowi znane były prace francuskiego neurologa Guillaume'a Duchenne'a, zwłaszcza *Mechanizmy mimiki twarzy ludzkiej*. Mimo że usta Beibera były wygięte do góry, mięśnie okrężne oka nie skurczyły się. Uśmiech był bez wątpienia sztuczny.

Duża mapa Wiednia wisiała na ścianie za biurkiem Rheinhardta. Serce miasta wytyczała wyraźnie Ringstrasse - w kształcie końskiej podkowy, której końce łączyły się z kanałem Dunaju. Dalej na północ było szerokie zakole imponującej rzeki. Na wschód rozpościerały się otwarte trawiaste przestrzenie Prateru, na zachodzie pagórki słynnego Lasu Wiedeńskiego. W lewym dolnym rogu mapy widniała skomplikowana siatka przedstawiająca ścieżki i ogrody pałacu Schönbrunn. Pinezka o szerokiej srebrnej główce była wciśnięta w obszar cesarskiego zoo. Prócz niej były i jeszcze trzy: jedna tuż poza wschodnim łukiem Ringstrasse, druga w centrum miasta i trzecia w Wiedeń - w pobliżu delty utworzonej przez czarne linie kolejowe, które urywały się przy słowie *Siidbahnhof*.

Rheinhardt połączył pinezki czterema pociągnięciami niewidzialnego pióra.

Ćwiczenie to stworzyło w wyobraźni obraz czegoś, co niejasno przypominało latawiec.

Inspektor zastanawiał się, czy - w niefortunnym wypadku wpięcia większej liczby pinezek -

wyłoni się ewentualnie bardziej znaczący kształt. Salieri przejawiał wyraźną słabość do działania programowego i symboli. Mógłby naznaczyć całe miasto, atakując w starannie wybranych lokalizacjach.

Myśli inspektora zakłócił odgłos stron przewracanych w notatniku Haussmanna.

- Już od trzech tygodni bacznie obserwujemy rezydencję Lista - powiedział asystent detektywa.

Rheinhardt stanął na palcach, a następnie opadł na pięty, zupełnie nieświadom swoich ruchów.

- Rzeczywiście.

- Pomimo swej niemocy - ciągnął Haussmann - a może właśnie z jej powodu, przyjmuje licznych gości. Swego okulistę, co oczywiste, tego Anglika, Chamberlaina, radnego Schmidta, studenta o nazwisku Hertz, aktora Bernharda - nigdy o nim nie słyszałem, ale ponoć jest dość sławny.

- Tak, tak, Haussmann - rzeki Rheinhardt, starając się ukryć rosnące zniecierpliwienie.

- Ale jeśli się nie mylę, mówiłeś mi to samo w zeszłym tygodniu.

Haussmann przewrócił kolejną stronę.

- Zgadza się, sir. Proszę przyjąć moje przeprosiny. Oprócz wspomnianych dżentelmenów Herr Listowi złożyli również wizytę... Viktor Grasz, wydawca, August Haddorf - kolejny aktor - oraz znany mecenas sztuk o nazwisku Gustav von Triebenbach.

Rheinhardt posiał asystentowi melancholijne spojrzenie podkrążonych oczu. Ze wszech sił usiłując stłumić w głosie zniecierpliwienie, powiedział:

- Haussmann, czy tak naprawdę masz jakiegokolwiek interesujące doniesienia?

Asystent lekko poczerwieniał.

- Tak jest, choć mogą okazać się interesujące jedynie w mojej ocenie.

- Na tej podstawie chętnie przejdę do kolejnego punktu.

Młodszy z mężczyzn zamrugał powiekami, nie wiedząc, jak zinterpretować wyniosłe sformułowanie inspektora. - Wszyscy ci ludzie - ostrożnie podjął temat - są zrzeszeni w rozmaitych stowarzyszeniach i towarzystwach. Na przykład w Towarzystwie Wagnerowskim, Lidze Germańskiej, Bractwie Alemania i Aryjskim Stowarzyszeniu Aktorów.

- Cóż, wzięwszy pod uwagę naturę pism Herr Lista, nie dziwi mnie, że zadaje się z jednostkami, które dzielają jego pangermańskie sympatie.

- Tak, sir. Ale baron von Triebenbach...

- Co takiego?

- Jest przewodniczącym niewielkiej formacji, która ochrzciła się mianem Eddyjskiego Towarzystwa Literackiego.

- *Edda*, Haussmann - rzekł Rheinhardt, przybierając nagle dydaktyczną pozę - to dwa zbiory wczesnej literatury islandzkiej, które wspólnie stanowią główne źródło wszystkich nordyjskich legend.

- Tak jest, sir. Lecz uderzyła mnie nie nazwa towarzystwa, a raczej miejsce ich spotkań.

- Które odbywają się gdzie?- W mieszkaniu barona von Triebenbacha przy Mozartgasse. Rheinhardt przełknął ślinę.

- Co powiedziałaś?

- Mozartgasse, sir. Pomyślałem, że... - Młodszy z mężczyzn wzruszył ramionami. -

Przy tych ciągłych nawiązaniach do *Czarodziejskiego fletu*... może istnieć jakiś... związek? -

Haussmann dotknął mapy i przesunął palec w dół wzdłuż Naschmarkt. Zatrzymał się przy małej uliczce sąsiadującej z placem - Mozartgasse. W Mariahilf. Znam tę okolicę dość dobrze.

Rheinhardt delikatnie oparł dłoń na ramieniu Haussmanna.

- To interesujące, Haussmann, bardzo interesujące.

- Czy mam zdobyć listę członków?

- Haussmann - rzekł Rheinhardt, przysuwając się bliżej asystenta - muszę ci zdradzić, że już od

pewnego czasu żywię podejrzenie, że naprawdę masz zdolności parapsychologiczne. Przysięgam, gdybyś nie pracował w biurze bezpieczeństwa, wodewil przyjąłby cię z otwartymi ramionami.

Asystent detektywa zaryzykował słaby uśmiech.

- Świetnie się spisałeś, Hausmann! - ryknął Rheinhardt. - Dedukcja godna pochwały!

Półki biblioteczne były już wypełnione. Skrzynie uprzątnięto, a sumienny jak zawsze bibliotekarz pracował nad doskonalszym systemem katalogowania. Słychać było jedynie skrobanie stalówki na arkusikach kartonu, kojarzące się z harcami myszy za listwą podłogową.

Czcigodny przekroczył próg, bibliotekarz podniósł głowę.

- Proszę bardzo - odezwał się czcigodny. - Kontynuuj, nie miałem zamiaru ci przeszkodzić.

Bibliotekarz kiwnął głową i powrócił do swego zajęcia.

W rogu zainstalowano nowy i bardzo elegancki porcelanowy piecyk. Pod gazowymi lampami ustawiono skórzane krzesła do czytania. Wziąwszy pod uwagę wszystko razem, nastrój zachęcał do lektury.

Czcigodny przeciął prostokątną przestrzeń i przyjrzał się kolorowym wytłaczanym grzbietom.

Humanitas: Societas Rosicruciana, Zakon Mentora Tajnego.

Poniżej znajdowała się półka ze znacznie większymi woluminami. Były niesłychanie stare i traktowały o wszelkiego rodzaju rytuałach.

Kabalistyczny rytuał wtajemniczenia w stopniu mistrza, Ryt egipski, Namaszczenie i oczyszczenie.

Dalej stały dzieła filozoficzne i alchemiczne...

- Zgodził się?

Pytanie zadał bibliotekarz. Czcigodny odwrócił się i uśmiechnął.

- Tak, bracie.

- Wtajemniczenie odbędzie się tutaj?

- Tak. Przez kilka wieczorów pozostanie z naszymi przyjaciółmi w Pressburgu, a potem przyjedzie do Wiednia.

Bibliotekarz cenobita odłożył pióro na blat biurka. Czcigodny zauważył, że mężczyzna ciężko oddycha.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, oczywiście - odparł bibliotekarz, delikatnie się czerwieniąc. - Bardzo dobrze.

Jestem po prostu podekscytowany tą perspektywą...

Czcigodny podszedł do biurka i położył dłoń na ramieniu bibliotekarza.

- To wspaniale wieści. Ale teraz czeka nas znacznie więcej pracy. Tak pomyślnie wydarzenie trzeba uczcić wyjątkowym obrzędem. Mam pomysły na kilka drobnych zmian...

Powiedz mi, bracie, gdzie znajdę rytuały Wielkiej Loży „Pod Słońcem”?

Maximilianplatz był dla nich dogodnym miejscem na spotkanie, znajdował się bowiem w jednakowej odległości od komisariatu policji przy Schottenring i Szpitala Ogólnego. Liebermann siedział na ławce, obserwując Rheinhardta - który właśnie kupował od ulicznego sprzedawcy dużą torebkę prażonych pestek dyni. Węgle w piecyku sprzedawcy żarzyły się jasnym blaskiem, a powietrze przesycała słodka woń - przypominająca karmelizowany cukier. Za straganem z dyniowymi pestkami stał szary kamienny Votivkirche, którego bliźniacze gotyckie iglice strzelały energicznie w czyste błękitne niebo.

Mały park, w którym siedział Liebermann, otaczała szeroka ulica. Po niej krążyły jak na karuzeli czerwone i białe tramwaje, pozornie w nieustannym ruchu. Temu udanemu spektaklowi towarzyszyły odgłosy dzwonek.

Rheinhardt powrócił, niosąc papierową torbę poplamioną tłuszczem. Liebermann wyciągnął złęczone dłonie, a inspektor uprzejmie wsypał do nich gorę gorących, zielonych pestek. Wydzielały dymny aromat, który łączył w sobie zapach palonego drewna, miodu i przypraw. Żołądek Liebermanna skurczył się i zaburczał.

- Widziałem się z Herr Arnoldtem - poinformował Rheinhardt.

- Z kim?

- Z opiekunem Hildegardy, w zoo. - Liebermann kiwnął głową i wsypał sobie do ust część pestek. - To był Salieri - dodał wprost Rheinhardt.

- Jesteś pewien?

- Herr Arnoldt złożył nam wizytę około trzech tygodni temu, twierdząc, że odzyskał

pamięć - przypominasz sobie, że ten nieszczęśnik stracił przytomność wskutek ciosu zadanego w głowę. Wygląda na to, że mężczyzna, który go uderzył, gwizdał melodię.

Niestety, miody Hausmann, który spisywał zeznania Herr Arnoldta...

- Odniosłem wrażenie, że masz dość pochlebną opinię o Hausmannie?

- Och tak. Jest szalenie kompetentny. Tylko tak się niefortunnie złożyło, że Hausmann, o czym nie wiedziałem, nie ma słuchu muzycznego. W rezultacie nie potrafił

odtworzyć melodii zanuconej przez Herr Arnoldta. - Rheinhardt skosztował kilku pestek z dyni i z aprobatą pokiwał głową. - W obliczu morderstw w Spittelbergu, Ruprechtskirche i Wiedeń określanie gustów muzycznych napastnika Herr Arnoldta nie było moim priorytetem, postanowiłem więc odłożyć tę kwestię na później. Jakkolwiek po naszym spotkaniu w Cafe Mozart uświadomiłem sobie, że - być może nie po raz pierwszy - przeoczyłem istotny szczegół. Następnego popołudnia wybrałem się do Schönbrunn. Herr Arnoldt bardzo mi pomógł i zaśpiewał tyle, ile zapamiętał z

piosenki napastnika. Herr Arnoldt nie ma zbyt mocnego głosu, ale melodia, którą zanucił, brzmiała mniej więcej tak. - Rheinhardt zaczął bez namysłu cicho śpiewać: *Der Vogelfanger bin ich ja...*

- Pieśń Ptasznika! - wykrzyknął Liebermann.

- W istocie. Dlatego możemy teraz niemal być pewni, że to Salieri ukatrupił!

Hildegardę!

Obok przemaszerował mały chłopiec ubrany w huzarski mundur z przypasaną szablą i pistoletem przy pasie. Zasalutował Rheinhardtowi, który przybrał śmiertelnie poważny wyraz twarzy i odwzajemnił pozdrowienie. Za małym huzarem szła ładna piastunka, niosąca na ręku znacznie mniejsze dziecko - uśmiechnęła się do dwóch dżentelmenów, gdy ich mijala.

Liebermann poczuł nieproszony pociąg cielesny.

- Wiemy, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Salieri znów zamorduje - ciągnął

Rheinhardt. - Wiemy również, że jego kolejna ofiara będzie także odpowiadać jakiejś postaci z Mozartowskiej *sing-spiel*. Tylko której, Max? Gdybyśmy to wiedzieli, zyskalibyśmy szansę

- aczkolwiek skromną - zapobieżenia jeszcze jednej okropności.

Liebermann pokręcił głową.

- Salieri może uknuć swój morderczy spisek wedle dowolnej liczby organizujących zasad - stwierdził Liebermann. - Ale z pewnością nie posługuje się tymi oczywistymi, na przykład pozbywaniem się postaci zgodnie z kolejnością pojawiania się w operze czy eliminacji mniejszych ról przed głównymi. Co sugeruje dwie możliwości. Pierwsza: Salieri prowadzi swoją kampanię według schematu, który jest po prostu zbyt ekscentryczny, byśmy mogli ogarnąć go rozumem. Schemat istnieje, lecz my nie potrafimy go dostrzec. Druga: nie ma żadnego innego schematu poza tym, którego jesteśmy już świadomi. Innymi słowy, w doborze ofiar Salieri kieruje się *dramatis personae* z *Czarodziejskiego fletu*, ale na tym wszelka logika się kończy. Jeśli tak, nie mamy absolutnie żadnego sposobu, by przewidzieć, gdzie uderzy następny raz. Salieri będzie działał oportunistycznie. Kiedy napotka osobę, która w jego mniemaniu będzie reprezentować Tarnina, Sarastra, Przemawiającego, bądź

którąkolwiek z pozostałych w obsadzie postaci, obudzą się w nim mordercze instynkty i zaczną knuć, jak tę postać zgładzić. - Na to ponure spostrzeżenie Liebermann podniósł rękę i wsypał do otwartych ust resztkę pestek. Po chwili energicznego przeżuwania dodał: - No, Oskarze, musisz koniecznie mi opowiedzieć.

- Opowiedzieć o czym?

- O istotnym przełomie w śledztwie. Bo taki jest cel naszego dzisiejszego spotkania.

Czyż nie? Za godzinę powinienem być z powrotem w szpitalu, dlatego przynaglam, byś zdradził mi tę

istotną informację bez dalszej zwłoki.

- Ha! - odezwał się Rheinhardt. - Znowu to zrobiłeś! Skąd, u licha, wiedziałeś?

- Spotykamy się w niedzielę, by przeciwiczyć *Pieśni cygańskie* Dworzaka. Mamy zwyczaj omawiać sprawę dopiero wtedy, gdy nasze muzyczne zajęcia zostaną doprowadzone do zadowalającego końca. Wyraźnie nie mogłeś się doczekać. Czyli chcesz powiedzieć mi coś ważnego.

Rheinhardt zachichotał i potrząsnął papierową torebką.

- Jeszcze pestek dyni, Herr Doctor?

- Nie, dziękuję.

- Masz całkowitą rację. Dokonaliśmy znaczącego odkrycia. - Rheinhardt pochylił się bardziej ku przyjacielowi. - Od momentu znalezienia broszury Guida Lista młody Hausmann uważnie obserwował mieszkanie tego sławnego człowieka. List oraz jego żona, aktorka o nazwisku Anna Wittek, przyjmowali licznych gości. Wszyscy z nich podzielają obsesję Lista na punkcie germańskich tradycji ludowych i kttfl tury. Jeden spośród nich, baron Gustav von Triebenbach, znany mecenas sztuki, jest przewodniczącym organizacji o nazwie Eddyjskie Towarzystwo Literackie. - Rheinhardt wyjął broszurę z kieszeni płaszcza i podał ją przyjacielowi. - Oto przykład ich działalności. Zawartość tej broszury jest bardzo podobna do *wiadomości wstępnych* Lista. Znajdujemy odniesienia do tradycji skaldów, nordyjskich legend, wierzeń ludów aryjsko-germańskich... i tak samo jak u Lista - konkluzję potępiającą rozmaite grupy i instytucje.

- Wrogich nomadów?

- Obawiam się, że tak, podobnie jak jezuitów, wolnomularzy, Słowian, zwolenników prawa wyborczego dla kobiet, secesjonistów i anarchistów.

- Co to jest?

Liebermann wskazał symbol na stronie tytułowej. Wyglądał jak trzy patyczki ułożone w kształt przekrzywionego łuku.

- Ur, litera runicznego alfabetu. Jest o niej wzmianka w broszurze Usta.

- Ma jakieś szczególne znaczenie?

- Symbolizuje ponoć prapoczątek - pierwotne światło lub pierwotny ogień. List sugeruje, że ma moc uzdrawiania i lekarze powinni wykorzystywać ją w charakterze amuletu.

- Niezdolny do pohamowania swej odrazy Liebermann prychnął. Strzepnął z płaszcza zabłąkaną pestkę dyni. - Ale co w tym wszystkim najbardziej interesujące - mówił dalej Rheinhardt - to miejsce, gdzie spotyka się Eddyjskie Towarzystwo Literackie...

Zrobił pauzę, teatralnie przeciągając moment wyjawienia rewelacji.

- Mozartgasse - rzeki Liebermann i była to beznamiętna, psująca szyki ingerencja.

Rheinhardtowi opadła szczęka jak w mechanicznej zabawce.

- Czasami, Max, potrafisz być okropnie irytujący.

- Zgadłem? - Tak.

- Wziąwszy pod uwagę naszą poprzednią rozmowę, w zasadzie nie mogło być mowy o żadnym innym miejscu.

Rheinhardt pokręcił głową, lekko rozzłoszczony zrujnowaniem swojej dramatycznej chwili triumfu, i wytrwale ciągnął dalej:

- Eddyjskie Towarzystwo Literackie zostało zatwierdzone przez komisarza do spraw stowarzyszeń jakichś osiem lat temu. Zgodnie z prawem wszelkie stowarzyszenia są zobowiązane do dostarczenia do biura komisarza listy swoich członków. Eddyjskie Towarzystwo Literackie liczy sobie czterdziestu trzech pełnoprawnych członków oraz dziesięciu nadzwyczajnych.

Inspektor wyjął kartkę papieru, na której wypisano starannie dwie kolumny nazwisk -

jedną krótszą i jedną dłuższą. Dwa nazwiska w dłuższej kolumnie podkreślono: *Hefner* i *Aschenbrandt*. Uwagę Liebermanna przyciągnęło inne nazwisko znajdujące się pod *Aschenbrandtem*, które było mu dobrze znane.

- Profesor Erich Foch.

- Znasz go? - Ze słyszenia, wyklada na uniwersytecie. Profesor Foch jest chirurgiem i bardzo niesympatycznym indywiduum. Ostatnio usiłował wyrzucić pannę Lydgate ze swoich zajęć. Uważa, że kobiety są płcią podrzędną w stosunku do mężczyzn i dlatego nie powinny być dopuszczane do studiowania medycyny.

- Od początku podejrzewaliśmy, że Salieri może być lekarzem. A wszystkie te runy i symbole... - Rheinhardt wskazał na broszurę. - Rzeczywiście wydają się mieć związek ze sztuką uzdrawiania.

- Choć to w zasadzie niewyobrażalne, by człowiek o pozycji profesora Focha był

zdolny do tak odrażającego bestialstwa. Zdecydowane poglądy na temat edukacji kobiet to jedno, ale morderstwo? Brutalne, bezmyślne morderstwo?

- Pozwól, że jeszcze raz przypomnę Kubę Rozpruwacza. Jego także podejrzewano o bycie chirurgiem.

- Ale to nigdy nie zostało udowodnione, Oskarze. Prawda? Inspektor wzruszył ramionami.

Liebermann przeniósł uwagę na listę członków towarzystwa.

- Porucznik Ruprecht Hefner?

- Ulan z osiemnastego pułku. Już go przesłuchiwałem, kilka dni po morderstwach w Spittelbergu. Jego nazwisko znaleziono na wekslu w przybytku Madam Borek. Miał alibi -

którego dostarczył jego ordynans - co oczywiście nic nie znaczy. To niezwykle interesujące, że znów napotykamy jego nazwisko...

- Jaki to człowiek?

- Młody, przystojny i nieznośnie arogancki. Choć wyznał, że nabrał pewnej sympatii do tej galicyjskiej dziewczyny, Ludki, był kompletnie nieporuszony jej okrutnym losem.

Zrobił na mnie wrażenie człowieka cierpiącego na niedostatek ludzkich uczuć.

To skromne odniesienie do psychologicznych nieprawidłowości wystarczyło, by wzbudzić zainteresowanie młodego lekarza. Liebermann usiadł i odwrócił się do przyjaciela.

- Co jeszcze o nim wiesz?

- Przeprowadziliśmy dalsze dochodzenie i dowiedzieliśmy się, że porucznik Hefner ma reputację bawidamka i że jego romantyczne związki zwykle kończą się skandalem. Krążą również pogłoski, że notorycznie się pojedykuje.

- A więc mamy zarozumiałego, narcystycznego mężczyznę, którego motywuje pogoń za zmysłowymi przyjemnościami. Nie buduje szczerych więzi, wykorzystuje kobiety i jest gotów nieustannie ryzykować życiem dla honoru. Wyznaje doktrynę wyższości, która określa pewne instytucje i organizacje mianem „wrogów”. Ponadto jest żołnierzem i może cały czas nosić przy sobie szablę, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń. Sądzisz, że powinienem przeprowadzić rozmowę z porucznikiem Hefnerem?

- Nie.

Liebermann uniósł brew. - Nie?

- Niestety - rzeki Rheinhardt - wojsko współpracuje niechętnie. Najwyraźniej uważają każde śledztwo przeprowadzane przez osobę z zewnątrz za akt zniewagi, osobisty afront wobec cesarza. Było wystarczająco trudno mnie, detektywowi, inspektorowi policji, uzyskać audiencję u szlachetnych ułanów Jego Cesarskiej Mości, zatem szanse, że tobie, skromnemu szpitalnemu lekarzowi, zostanie przyznany taki sam przywilej, są znikome. Poza tym jest inna osoba, z którą chciałbym, żebyś porozmawiał.

Liebermann zerknął na listę.

- Hermann Aschenbrandt?

- Właśnie. Herr Aschenbrandt jest muzykiem, w zasadzie kompozytorem. Ma na swym koncie wykonanie wielu utworów kameralnych, w większości bardzo dobrze przyjętych.

- Czy to on skomponował *Niezwykłego*?

- Tak, to jeden z jego utworów.

- Widziałem jego wykonanie w Tonkiinstlerverein.

- No i?

Liebermann zakreślił dłonią kółko w powietrzu.

- Ciągle to samo. Chromatyka snująca się w koło bez większego sensu. Partia smyczków popisowa, technicznie doskonała. Ale całość bez wyrazu i mało oryginalna - taki mdławy Wagner.

- Cóż, teraz pisze operę, *Carnuntum*.

- Opartą na książce Lista?

- Owszem.

- Przypuszczam, że uwzględniłeś Aschenbrandta na liście podejrzanych ze względu na fakt, że jest muzykiem. Dlatego mamy podstawy, by założyć, że znane mu są opery Mozarta.

Rheinhardt się uśmiechnął.

- Herr Aschenbrandt bardzo dobrze zna opery Mozarta, zwłaszcza *Czarodziejski flet*, o którym wyraża się bardzo zdecydowanie. Do tego stopnia, że napisał list do „*Zeitung*”, ostro krytykując dyrektora Mahlera za faworyzowanie tak nedorzecznego, absurdalnego dzieła.

- Nie lubi Mozarta?! - wykrzyknął Liebermann, jak gdyby wyznawanie takiej opinii zasługiwało na publiczną egzekucję.

- Nie tylko nie lubi Mozarta - wyjaśnił Rheinhardt. - On go nienawidzi!

- Nazywam się doktor Max Liebermann. Otrzymałem specjalne poruczenie z biura bezpieczeństwa, by przeprowadzić rozmowę z Her Aschenbrandtem.

Słysząc było dźwięki fortepianu: patetyczne dudnienia w niższych oktavach, po których następowały obniżające się chromatyczne tercje.

- Jest pan umówiony? - spytała pokojówka.

- Nie.

- Herr Aschenbrandt nie lubi, gdy się mu przeszkadza.

- Rzeczywiście - powiedział Liebermann. - Lecz to sprawa policyjna... Pokojówka zapukała nieśmiało w cienkie drzwi na końcu korytarza, lecz pomruki fortepianu niosły się dalej. Po sekundzie rozległo się głośniejsze pukanie, muzyka ucichła i dało się słyszeć stłumione „wejść”. Pokojówka przekręciła gałkę i weszła. Gdy otworzyły się drzwi, pianista wykrzyknął:

- O co chodzi tym razem, Elgo?! Kilka minut później pokojówka wróciła.

- Przepraszam, Herr Doctor. - W zakłopotaniu spuściła wzrok. - Ale Herr Aschenbrandt chciałby zobaczyć pańskie dokumenty.

- Naturalnie - odparł Liebermann, wyjmując dokumenty z kieszeni na piersi i podając je służącej.

Elga powróciła po chwili, a Liebermann został wprowadzony do pracowni kompozytora.

Herr Aschenbrandt obrócił się jakby od niechcienia. Nie wstał ze swego taboretu i gestem ręki dał do zrozumienia, że Liebermann może usiąść, jeśli sobie życzy. Liebermann wybrał wyświechtany fotel.

Pokój nie był duży i sprawiał wrażenie mocno zagraconego, najwięcej miejsca zajmował ogromny koncertowy fortepian Bluthnera. Na podłodze poniewierały się zapisy nutowe dokumentujące poniechane szkice rozmaitych pomysłów muzycznych. Na długiej półce uginającej się pod ciężarem licznych dzieł literackich i filozoficznych stało gipsowe popiersie Ryszarda Wagnera. Wystrój był dość niechlujny, a do połowy zaciągnięte zasłony ograniczały dopływ światła dziennego, stwarzając wrażenie zatechłości i mroku. Oparty o ścianę w głębi stał futerał na wiolonczelę, a jego długa, osłaniająca gryf część sięgała rysunku piórkiem, który przedstawiał gotycki zamek i był wykonany w manierze Caspara Davida Friedricha.

- Proszę wybaczyć mi impertynencję, doktorze - odezwał się Aschenbrandt. - Ale pracuję obecnie nad dość trudnym fragmentem rozwinięcia. Dlatego pokornie proszę, by to przesłuchanie zostało doprowadzone do szczęśliwego końca najszybciej, jak to możliwe.

Liebermann się uśmiechnął.

- To żadne przesłuchanie, Herr Aschenbrandt. Chciałbym jedynie zadać panu kilka pytań w imieniu biura bezpieczeństwa. Jeżeli może pan pomóc, będę bardzo zobowiązany.

- Wobec tego przystąpmy do pytań, Herr Doctor.

Jak na młodego mężczyznę wydawał się zaskakująco pewny siebie.

- Co pan komponuje? - spytał Liebermann. - Z korytarza muzyka brzmiała dramatycznie.

- Tak, to opera.

- Pańska pierwsza?

- Poza kilkoma młodzieńczymi utworami dramatycznymi, tak. Liebermann dostrzegł powieść Lista obok pulpitu.

- Oparta na *Carnuntum*?

- W samej rzeczy.

- Często zastanawiałem się, co takiego skłania kompozytora do wyboru określonego tekstu. Ponieważ muzyka jest tak wzniosłą formą sztuki, sądziłbym, że -

przynajmniej w jakimś niewielkim stopniu - musi być pan niezadowolony z ograniczania swej inwencji brzemieniem słów. Jasnoniebieskie oczy Aschenbrandta wydawały się emitować dziwny fosforyzujący blask.

- Naturalnie - odparł. - Moim zdaniem muzyka jest najwyższą formą sztuki. Jeżeli jednak tekst wyraża jakieś szlachetne odczucia, zadanie połączenia melodii z odpowiednim wersem może dawać głęboką satysfakcję. Jak znakomicie dowiódł Wagner - zerknął

przelotnie na popiersie na półce - całość może być wspanialsza niż suma poszczególnych części.

- Czy List dostarczył panu takiego właśnie tekstu?

- Tak mniemam.

Liebermann poprawił się w krześle i podparł policzek dłonią luźno zwiniętą w pięść.

Palec wskazujący rozprostował się i dotknął opuszką skroni.

- Muszę wyznać, że nie są mi znane pisma Lista.

- *Carnuntum* to arcydzieło - rzekł Aschenbrandt. - Źródło inspiracji: opowieść o obłączonych, walecznych ludziach pokonujących potężnego wroga. To dzieło o wielkiej klarowności oraz przenikliwości, chociaż... - Wyciągnął szyję i zdawał się uważnie przyglądać gościowi. - Nie

odpowiada wszystkim gustom. Niechybnie są i tacy, którzy nie potrafią docenić jego głębi.

Aschenbrandtowi drgnęły nozdrza: było to nieznaczne, niemniej jednak dostrzegalne rozszerzenie i obkurczenie skrzydełek nosa. Pozostawiło ono w Liebermannie mało komfortowe wrażenie, że został „wywieszony”. Palec delikatnie postukał w skroń.

- Wysłuchałem niedawno pańskiego kwintetu w Tonkünstlerverein.

- Doprawdy? - Kompozytor lekko się wzdrygnął.

- Tak, *Niezwycięzonego*. Dlaczego nadał pan taki tytuł? Wyraz twarzy Aschenbrandta oscyłował między zaskoczeniem a pogardą.

- Z powodu proroctwa, Herr Doctor.

- Proroctwa?

- Skoro nie jest panu znane *Carnuntum*, nie można zapewne oczekiwać od pana -

Aschenbrandt wywinął górną wargę - znajomości bardziej naukowych dzieł Lista.

- *Niezwyciężony* to tytuł książki?

- *Niezwyciężony: podstawy niemieckiego Weltanschauung*. Wydań ją kilka lat temu.

- A ta przepowiednia, Herr Aschenbrandt?

- *Der Unbesiegbare* - „Niezwyciężony” - potęga z góry. Liebermann uniósł brwi, milcząco prosząc o dalsze wyjaśnienia. Aschenbrandt westchnął.

- Herr Doctor, chciałbym kontynuować pracę. Jaki jest cel pańskiej wizyty?

Liebermann postanowił zignorować pytanie kompozytora i pytać dalej.

- Przepowiednia, Herr Aschenbrandt? Nie zdawałem sobie sprawy, że pański kwintet stanowi muzykę programową. - Liebermann pochylił się do przodu, udając zdziwienie i ogromne zainteresowanie. Aschenbrandt - być może zmiękczonego pochlebstwem - nie potrafił

oprzeć się odpowiedzi.

- Nie jest programowa w sensie śledzenia toku narracji. Dąży jedynie do wyrażenia ducha tej przepowiedni.

- Która mówi?

- Ze lud germański zostanie poddany próbie, a wreszcie odkupiony przez wielkiego przywódcę - Niezwycięzonego. Proroctwo sięga czasów Eddy.

- Powiedział pan „potęga z góry”: czy wierzy pan, że Guido List jest kimś w rodzaju...

Mesjasza?

- Nie, oczywiście, że nie! - Aschenbrandt wyrzucił z siebie te słowa, potem jednak zapadł w dziwny stan roztargnienia. - Jakkolwiek - dodał zamyślonym głosem - być może List przygotowuje grunt...

Prawa ręka kompozytora powędrowała do klawiatury i zagrała trzy eteryczne akordy.

Wyglądało to tak, jakby myśleniu towarzyszył wyobrażony układ dźwięków, a twórcą owładnęła potrzeba usłyszenia ich.

Liebermann zakasłał, by odzyskać jego uwagę.

- Herr Aschenbrandt... dość zjadliwie zaatakował pan na piśmie dyrektora Mahlera za obronę Mozarta.

Muzyk podniósł wzrok, niebieskie oczy rzucały błyski.

- Żyjemy w poważnych czasach, Herr Doctor. Opera powinna wystawiać bardziej doniosłe dzieła.

- Czyż *Don Giovanni* nie jest dziełem doniosłym?

- Nie, Herr Doctor, to burleska.

- Doprawdy? - *Così fan tutte* to płytka komedia. A co do *Czarodziejskiego fletu*... -

Aschenbrandt pokręcił głową, pozwalając opaść na oczy zasłonie platynowych włosów. - Jest tak uduwniony, tak chaotyczny, tak całkowicie brak mu zalet - aż trudno uwierzyć, że dyrektor Mahler wciąż piastuje swoje stanowisko.

- Herr Aschenbrandt, kiedy po raz pierwszy usłyszał pan *Czarodziejski flet*?

- Słucham?

- Czy był pan wtedy dzieckiem?

Aschenbrandt zdjął z oczu zasłonę włosów, odrzucając głowę. Było w tej manierze coś końskiego i pretensjonalnego.

- Tak, chyba tak.

- A dokładnie?

- Musiałem mieć jakichś jedenaście, dwanaście lat. Zabrał mnie o ciec, widzieliśmy tę operę w Salzburgu.

- Czy miał pan dobre relacje z ojcem?

- Słucham?

- Czy się rozumieście?

- Wystarczająco dobrze...

- A czy podobała się panu ta konkretna inscenizacja *Czarodziejskiego fletu*?

- Cóż, tak się składa, że owszem. I w tym właśnie rzecz... to rozrywka dla dzieci.

Wykorzystywanie najwspanialszego gmachu opery na świecie - oczywiście z wyjątkiem Bayreuth - w charakterze teatru muzycznego dla dzieci jest niedopuszczalne. Publiczność wiedeńska zasługuje na coś lepszego niż wiązanek popularnych piosenek i przedszkolne rymy.

- Nie jestem oczywiście znawcą, ale odnoszę wrażenie, że niezaprzeczalna lekkość muzyki Mozarta - niezrównana przejrzystość instrumentacji - może być zwodnicza. Mozart porusza wzniosłe tematy, lecz czyni to z niesłychaną zręcznością. U Mozarta występują subtelności, które mogą umknąć uwagi tych, których zmysły zostały stępione słuchaniem bardziej pompatycznej muzyki.

Aschenbrandt pochylił się do przodu.

- Herr Doctor... - nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. - Herr Doctor, czy mam rozumieć... czy sugeruje pan, że muzyczne dramaty Ryszarda Wagnera są...

- Być może jestem w błędzie - przerwał Liebermann. - Ale zawsze uważałem muzykę Wagnera za dość mało wyrafinowaną. Napuszoną. I jako taka nigdy nie przemawiała do mnie osobiście.

Błada skóra Aschenbrandta nabrała lekkich kolorów.

- Cóż, z szacunkiem, Herr Doctor, nie ma w tym nic dziwnego.

- O!

- Jest pan Żydem. - Aschenbrandt odwrócił się do klawiatury. - Wagner nie pisał

swojej muzyki dla pańskich pobratymców. I jak pan może sugerować, że muzyce Wagnera brak subtelności, skoro napisał coś takiego... Jego palce odnalazły na klawiaturze tęskny początek preludium do pierwszego aktu *Tristana i Izoldy*. Samotna melodia, dręczona niepewnością oraz poczuciem niespokojnego wyczekiwania, wznosiła się i opadała w akordach, które nie chciały się rozwiązać. - Muszę być szczery, Herr Doctor - ciągnął

Aschenbrandt. - Nie sądzę, by pańska rasa potrafiła docenić niemiecką muzykę. Macie własną kulturę...

- Tak, Żydzi mają odrębną tradycję muzyczną - rzekł Liebermann, prostując się w fotelu. - Ale znakomicie potrafimy docenić niemiecką muzykę. Początkowe takty *Tristana* są cudowne, tu się zgodzę. Do tego stopnia, że uznałem pańskie wykonanie za cokolwiek rozczarowujące. Nie zagrał

pan dis w przerwanej kadencji... - Aschenbrandt wydawał się zdumiony i spojrzął na swoje palce. - Dis jest absolutnie niezbędne do osiągnięcia zamierzonego przez Wagnera efektu. - To powiedziawszy, młody lekarz uśmiechnął się i wstał z miejsca. - Dziękuję za poświęcony mi czas, Herr Aschenbrandt, i do widzenia.

Kompozytor wyglądał na zdeorientowanego.

- Przecież mówił pan, że przyszedł w imieniu biura bezpieczeństwa. W jakiejś sprawie policyjnej?

- Tak.

- A zatem co z przesłuchaniem?

- Jest zakończone, Herr Aschenbrandt - i ogromnie mi pan pomógł.

Liebermann przełknął śliwowicę i wpatrywał się w przyjaciela zza opróżnionej szklanki.

- Na czym to ja skończyłem? - spytał Kanner.

- Opowiadałeś o Sabinie.

- A, tak... o Sabinie. Kanner podniósł stojącą na stole butelkę, ale chwycił ją zbyt słabo i wysunęła się spomiędzy palców. Drobną ilość śliwkowej brandy wytrysnęła z szyjki, zostawiając na białym obrusie krąg żółtych plam.

Siedzieli w jednej z kilku prywatnych sal usytuowanych na tyłach restauracji w Leopoldstadt. Nie miała okien, a na całe umeblowanie składały się mały stolik, dwa krzesła i zielona sofa. Ta ostatnia należała do standardowego wyposażenia (jako że prywatne sale jadalne były coraz powszechniej rezerwowane przez żonatych mężczyzn na potajemne schadзки z barmankami, ekspedientkami i krawcowymi).

Jedzenie, choć brakowało mu wykwintności, było pożywne i zdrowe: zupa z krojonymi naleśnikami, gotowana wołowina z warzywami, a na deser *germknódel* -

drożdżowe kluski serwowane z roztopionym masłem, cukrem i mielonym makiem.

Liebermann obracał w palcach pustą szklankę, a jego odurzony alkoholem przyjaciel odbijał się w niej jak w kalejdoskopie. Jaskrawoczerwony krawat Kanner'a i haftowana kamizelka rozprysły się na kawałeczki kolorowych szkiełek. Szybki ruch wstecz - i Kanner zostawał zrekonstruowany. Gdy Liebermann powtarzał ten manewr, dręczyły go wątpliwości dotyczące raportu psychologicznego, który sporządził dla Rheinhardta. Czy wspomniał w nim, że Aschenbrandt po raz pierwszy oglądał *Czarodziejski flet* w Salzburgu? To pytanie błąkało się w myślach przez kilka chwil, lecz wkrótce przestało być palącą kwestią, aż wreszcie zapadło w jakąś niedostępną otchłań.

- Napij się jeszcze! - zawołał Kanner, nalewając ekstrawagancką ilość śliwkowej brandy do szklaneczki Liebermanna. Poluzował krawat i podrapał kilkudniowy zarost na policzku. W migocącym świetle Kanner wydawał się nieprzyzwoicie przystojny. - Zawsze tak jest - jęknął. - Zakochujesz się, cieszysz bliskością... przez krótką chwilę jesteś w raju... a potem wszystko zaczyna się psuć. Myślałem, że naprawdę kocham Sabinę i byłem pewien, że ona czuje do mnie to samo.

- Pokłóciliście się? - Nie.

- Więc co się stało?

- Nie wiem.

Obydwaj palili zdecydowanie za dużo; jednak dusząca atmosfera pozbawionego okien pomieszczenia nie zniechęciła Kanner'a do zapalenia ostatniego egipskiego papierosa.

- W zeszłym tygodniu odprowadzałem ją wieczorem do domu - mówił dalej Kanner - i zatrzymaliśmy się, by podziwiać urokliwy, maty placyk. Nigdy dotąd go nie widziałem: niewielki kościółek, fontanna i rząd lamp łukowych... Cisza i spokój. Stała tam ławka i postanowiliśmy przysiąść na chwilę. Sabina czuła się dość zmęczona. Byliśmy w teatrze.

Odwrociłem się do niej, chcąc ją pocałować... a ona odsunęła się.

- Czy zdarzyło się to już wcześniej?

- Nie - chociaż... - Zrobił pauzę, by się zastanowić. - Chociaż, jeśli mam być szczery, bywały chwile, kiedy odnosiłem wrażenie, że - powiedzmy - w intymnych sytuacjach nie czuje się tak swobodnie jak dawniej... Oczywiście zapytałem: „Co się stało?”. A ona spojrzała na mnie tymi pięknymi ciemnymi oczami i powiedziała: „Coś się zmieniło, prawda?”. W

pierwszym odruchu chciałem zaprzeczyć: „Nie, nie, nic się nie zmieniło, moja kochana”.

Wiedziałem jednak, że ona ma rację. Coś rzeczywiście się zmieniło. Czulem to od pewnego czasu. Trudno powiedzieć, kiedy się zaczęło. Może miesiąc temu, może wcześniej: powolne ochładzanie uczuć, rosnące zakłopotanie w chwilach wspólnego milczenia... Tak, wiedziałem o tym, oczywiście, ale nie miałem odwagi czegokolwiek powiedzieć. Nie chciałem jej ranić.

Na szczęście, z nas dwojga to ona okazała się silniejsza.

Liebermannowi wydawało się, że salka kołysze się jak łódź na falach. Kanner zaciągnął się papierosem i mówił dalej.

- Nie można żyć w zakłamaniu, Max. Nie można udawać, że jest się zakochanym.

Liebermann poczuł intensywny ucisk w piersi - jak gdyby płuca rozdęły się, a ich rozszerzenie spowodowało silny napór na klatkę piersiową.- Stefanie, nie dam rady. Nie mogę tego dalej ciągnąć.

Słowa wyrwały się mimowolnie chaotycznym strumieniem, ale kiedy już zostały wypowiedziane, Liebermann doznał niesłychanej ulgi. Ucisk w piersi ustąpił, lekko brakowało mu tchu, poczuł zawrót głowy.

- Słucham? Co powiedziałaś? - dopytywał się Kanner.

- Nie mogę tego zrobić, Stefanie, mam na myśli małżeństwo z Clara. Masz całkowitą rację. Nie można żyć w zakłamaniu. Byłoby to nie w porządku. Clara będzie zrozpaczona, ale lepiej dla niej, jeśli poślubi mężczyznę, który szczerze ją kocha.

Kanner siedział nieruchomo, mrugając jedynie powiekami.

- Co? Ty... myślałem... myślałem! - Połączenie słów w zdania okazało się zwyczajnie zbyt trudne.

- Jest dokładnie tak, jak opisałeś - mówił Liebermann. - „Coś” się zmieniło. Nie chciałem przestać kochać - to stało się samo.

Kanner poprawił się na krześle i wezwał dzwonkiem obsługę. Niemal natychmiast otworzyły się drzwi i w progu stanął kelner.

- Jeszcze śliwowicy - zawołał Kanner. Lekko plątał mu się język. Kelner pomachał ręką, by rozpędzić dym.

- Jest pan pewien, sir? - zapytał powolną, twardą niemczyzną. Liebermann pomyślał, że mówi z akcentem transylwańskim.

- Tak, całkowicie - odparł Kanner. Kelner uklonił się i wycofał w stronę drzwi, uśmiechając się wzgardliwie do dwóch młodych mężczyzn. - No, Max... - rzekł Kanner, wlewając do swojej szklanki ostatnie krople alkoholu. - Nie wiem, co powiedzieć...

Zapadło długie milczenie.

- Od trzech tygodni - powiedział cicho Liebermann - zajmuję się leczeniem Herr Beibera...

Kanner zmarszczył czoło, zmuszając umysł do sensownej reakcji.

- Tego, który cierpi na monomanię i ma obsesję na punkcie arcyksiężnej Marii Walerii?

- Właśnie - odparł Liebermann. - Wiem, że jest chory, ale podczas naszych sesji stało się dla mnie jasne, że on w swoim szaleństwie jest znacznie bliższy ogólnemu pojęciu prawdziwej miłości, niż kiedykolwiek bytem ja. Zazdroszczę mu w pewien osobliwy sposób.

Pragnąłem Clary, lubiłem jej towarzystwo i byłem podekscytowany perspektywą skonsumowania naszego związku, ale nigdy... - słowa urwały się.

- Co?

- Nigdy nie miałem odczucia, że... że nie mógłbym bez niej żyć, że jesteśmy bratnimi duszami, że było nam przeznaczone spotkać się i że połączyła nas ze sobą jakaś wyższa moc.

- Maksimie, co ty wygadujesz? Przecież nie wierzysz w żadną z tych rzeczy: duszę, przeznaczenie, wyższą moc.

Liebermann pokręcił głową.

- Trudno to wyjaśnić... ale rozmowy z Herr Beiberem uwypukliły niedoskonałości naszego związku. Nigdy nie kochałem Clary bez pamięci, szaleńczo - a tak właśnie powinno być. - Przerwał, a po chwili powtórzył ostatnie słowa, bardziej do samego siebie niż do towarzysza. - Tak właśnie powinno być.

Otworzyły się drzwi i wszedł kelner. Postawił butelkę na stole i nadzwyczaj dyskretnie się ulotnił.

Kanner ponownie napełnił szklanki.

- Max, wybacz mi tę szczerłość, ale jako twój przyjaciel... - Liebermann gestem ręki dał znać, by mówił dalej. - Czy jest ktoś inny?

- Nie! - Zaprzeczenie Liebermanna zabrzmiało zbyt mocno i wzbudziło podejrzenia Kanner, pomimo stanu upojenia, w jakim się znajdował. Jakaś część zawodowego wyczulenia i czujności przetrwała nocne ekscesy i Kanner uważniej przyjrzał się kompanowi.

- Takie rzeczy się zdarzają, Max. - Kanner mówił rozgrzeszającym tonem. - Jeżeli jest ktoś inny...

Panna Lydgate siedząca przy oknie Muzeum Historii Naturalnej. Włosy płonące w mroku. Otaczające ją kamienie szlachetne i minerały - skrzące się jak gwiazdy na firmamencie.

- Nie - powtórzył Liebermann. - Nie ma nikogo innego. Chwycił szklanę i wypił duszkiem śliwkową brandy. Była ostra i drażniąca - niemal żrąca.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał Kanner.

- Cóż mogę zrobić? Nie mam wyboru. Będę musiał zerwać nasze zaręczyny.

- Max, powinieneś dobrze się zastanowić.

- Zastanowiłem się, Stefanie. Rozmyślałem nad tym dniami i nocami. Prawdę mówiąc, od wiosny nie myślałem niemal o niczym innym. - Więc dlaczego nic wcześniej nie mówiłeś?

- Nigdy nie nadarzyła się okazja. Nieomal ci powiedziałem, kiedy ostatni raz jedliśmy kolację w Bristolu...

- Ale to było wiele miesięcy temu.

- Tak, wiem.

Kanner przygryzł dolną wargę.

- A myślałem, że to ja mam problemy...

Rozmawiali do późnych godzin nocnych, aż konwersacja stała się zdawkowa i chaotyczna. W którymś momencie Liebermann musiał zapaść w krótką, niespokojną drzemkę, bo nagle zerwał się ze snu - i zauważył, że krzesło naprzeciwko jest puste. Odwrócił

głowę i ujrzał Kanner leżącego na sofie. Najwyraźniej nie spał, śpiewał sobie bowiem po cichutku.

O heiliges Band der Freundschaft trener Briider... O święte więzy przyjaźni prawdziwych braci...

Kanner śpiewał nieszkolonym tenorem, a mimo to niewątpliwie melodyjnie i czysto.

- Stefanie?

Kanner otworzył jedno oko.

- A, Max! - Jakby nie spodziewał się zastać przyjaciela za stołem.

- Czy to Mozart?

Kanner uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Co?

- Ta piosenka. Czy to Mozart?

- Eeee... ja... nie mam pojęcia.

- Brzmiało jak Mozart.

- Cóż, może i tak.

- Gdzie ją słyszałeś?

Kanner wydawał się zaambarasowany z niewyjaśnionych powodów.

- Nie wiem... musiałem gdzieś podłapać. Naprawdę nie wiem. - Podniósł się z sofy i skrzywił. - Ojoj, moja głowa. Która godzina?

- Trzecia.

- Za pięć godzin mam klinikę.

- Nie, nie masz, dziś jest niedziela.

- Wiesz, Max, miałem przedziwny sen. Śniło mi się, że powiedziałeś... powiedziałeś, że zamierzasz zerwać zaręczyny z Clarą.

Liebermann rzucił na stół kilka monet.

- No, Stefanie. Wstawaj. Nadużyliśmy gościnności.

Rheinhardt patrzył w lustro. Odbijało postać niskiego mężczyzny w miękkiej czapce i pochłapanym farbą fartuchu, stojącego w oddali.

- A jak, Herr Olbricht, można stać się członkiem Eddyjskiego Towarzystwa Literackiego?

- Trzeba być zaproszonym.

- Przez kogo?

- Przez przewodniczącego, barona von Triebenbacha. Każdy członek może nominować strony zainteresowane, jednak ostatnie słowo należy do przewodniczącego. To on wystosowuje zaproszenie.

Rheinhardt obrócił się.

- A kto nominował pana, Herr Olbricht?

- Przyznaję z dumą, że nikt inny tylko przewodniczący we własnej osobie.

Artysta nie potrafił powstrzymać uśmiechu samozadowolenia. Na krótką chwilę odsłoniły się dwa rzędy koślawych, skarłowaciałych zębów. Rheinhardt podszedł do dużego niedokończonego płótna, które stało oparte o ścianę. Przedstawiało mężczyznę o długich, żółtych włosach zatapiającego miecz w szyi smoka. Spomiędzy przeciętych metalicznych łusek tryskała ciemnoczerwona krew.

- Zygfyrd? - spytał Rheinhardt.

- Oczywiście.

Inspektor podkreślił koniuszki wąsów i sprawdził ich ostrość miękką opuszką palca wskazującego.

- Jak nawiązała się pańska znajomość z baronem? - zainteresował się Rheinhardt.-

Przez uprzejme wstawiennictwo mojej mecenaszki, baronowej Sophie von Rautenberg.

Uważała, że poezja i opowieści *Eddy* będą dla mnie inspiracją.

- A byty?

- Ależ oczywiście. Zanurzenie w tradycję *Eddy* całkowicie odmieniło i ożywiło moją sztukę.

- Studiował pan w Akademii, Herr Olbricht? Twarz Olbrichta stężała. Rheinhardt zauważył, że szczególnie mocno zaznaczyły się bruzdy wokół ust.

- Nie, nie studiowałem. Oni... - Przez chwilę wydawał się wytrącony z równowagi, a jego oczy

nerwowo błędziły po pokoju. - Jestem samoukiem. - A potem dodał nieco obronnym tonem: - Zawsze było zapotrzebowanie na moje prace.

- Ma pan marszanda?

- Tak. Ulricha Lóba; jednak jego galeria jest dość mała i interesuj go jedynie rysunki architektoniczne - katedra Św. Stefana, Pałac Hofburg, Ratusz, tego rodzaju rzeczy. Niemal wszystkie moje istotne dzieła namalowałem na zamówienie kręgu przyjaciół mojej mecenaszki.

- Jest pan w czepku urodzony, Herr Olbricht. Zapewne tylko nieliczni wiedeńscy artyści cieszą się poparciem tak oddanej protektorki.

- To wielce prawdopodobne. Niemniej jednak... - Olbricht zrobił pauzę. - Z drugiej strony jest w Wiedniu niewielu artystów, wobec których ich mecenaszki mają tak wielki dług wdzięczności. - Rheinhard baczniej przyjrzał się twarzy malarza. Była wyraźnie ropuchowata.

No wydawał się niedokończony, oczy osadzone zbyt daleko od siebie.

- Tak?

Z autentyczną, wydawało się, niechęcią Olbricht wymamrotał:

- Kiedy byłem młodym mężczyzną... uratowałem von Rautenbergowi życie.

- Naprawdę? - rzekł Rheinhardt, kiwając głową, by zachęcić go do dalszych zwierzeń.

Ale artysta nie odpowiadał. Zamiast tego wytar w fartuch kilka pędzli i wsadził je do butelki z terpentyną.

- Jest pan nazbyt skromny, Herr Olbricht. Inni ludzie skwapliwi skorzystaliby z takiej okazji do przysporzenia sobie chwały.

- To stało się wiele lat temu.

- Jak wiele?

- Około dwudziestu.

- A jakie były okoliczności? Artysta w zamyśleniu żuł dolną wargę.

- Bośnia i Hercegowina, kampania 1878 roku. W tamtych czasach byłem piechurzem.

- Co takiego?

- Żołnierzem piechoty. Von Rautenberg był naszym dowódcą.

- A jak to się stało, że uratował mu pan życie?

- Dochodziło do starć z grupkami powstańców. Kiepsko zorganizowanych. Mimo wszystko trzeba było przeprowadzać codzienne patrole. Był wczesny wieczór, schodziliśmy przez las do rzeki. - Olbricht zademonstrował łagodne nachylenie terenu. - Baron nalegał, że to on poprowadzi patrol. Mógł to zrobić niższy rangą oficer - ale taki właśnie był von Rautenberg: nigdy nie wymigiwał się od odpowiedzialności - wojskowy starej daty.

Gdybyśmy dziś mieli więcej takich ludzi jak von Rautenberg, nasze cesarstwo byłoby liczącą się potęgą. - Olbricht skrzyżował ramiona z niespotykaną gwałtownością. - Zauważyłem jakieś poruszenie między drzewami i zareagowałem - bardziej kierowały mną chyba nerwy albo instynkt niż intencje. Nie mogę uczciwie powiedzieć, że zachowałem się odważnie. No, ale bytem bardzo miody, miałem około osiemnastu lat. Pamiętam, że pchnąłem barona na ziemię, potem odgłos wystrzału, a następnie straciłem przytomność. Gdy się ocknąłem, oglądał mnie lekarz. Kula zadrasnęła głowę. - Olbricht podniósł rękę i pogłodził prawą skroń, by pokazać trajektorię pocisku. - Trafiła prosto w srebrną brzozę - dokładnie tam, gdzie stał

wcześniej baron. Sądziłem, że pozostanę w szpitalu wojskowym przez kilka dni, a potem wrócę do pułku. Ale nie było mi to pisane... Cierpiałem na zawroty i bóle głowy, nudności -

okropne, nieznośne migreny. - Skrzywił się na tamto wspomnienie. - Czasami zamazywał mi się obraz. Kontynuowanie służby było niemożliwe. Z czasem zostałem zwolniony ze względu na stan zdrowia.

- Wrócił pan do Wiednia?

- Tak. Podczas rekonwalescencji nabrałem zwyczaju szkicowania - rysowałem piórkiem szpitalnych pacjentów. Lekarze orzekli, że mam talent.

Rheinhardt ponownie przeniósł spojrzenie na niedokończony płótno przedstawiający Zygfrida zabijającego smoka. Subtelna zmiana wyrazu twarzy oznaczała, że obraz wydał mu się dość ładny. - Oczywiście wymaga jeszcze sporo pracy - powiedział artysta.

- Tak... - przyznał Rheinhardt, kiwając głową i gładząc brodę. - Lecz i tak robi wrażenie.

- Jest coś niewłaściwego w postawie Zygfrida - rzekł Olbricht. - Nie sugeruje wystarczającej siły i mocy... to ugięcie lewego kolana. Sądziłem, że ten szczegół doda postaci dynamiki, obawiam się jednak, że uzyskałem jedynie wrażenie słabości.

- Nie, wcale nie - zaprzeczył Rheinhardt. - Fafnir to straszliwy przeciwnik. Nawet największy bohater zawahałby się podczas takiego spotkania.

Olbrichtowi schlebiło wyraźne usatysfakcjonowanie inspektora.

- Włączę ten obraz do mojej kolejnej wystawy, inspektorze. Jeśli zechciałby pan przybyć, byłby pan bardzo mile widziany. Otwarcie w przyszłym tygodniu. - Olbricht podszedł do zdezelowanej skrzyni, jego kroki głucho stuknęły na gołych deskach podłogi.

Podniósł wieko i wyjął mały plakat, który wręczył Rheinhardtowi.

Obraz był prosty: starożytny germański bóg, najprawdopodobniej Odyn, z wysoko uniesioną włócznią. Grube gotyckie czcionki obwieszczały tytuł wystawy: *Olbricht - Nasi bohaterowie i legendy*. - Odbędzie się w Galerii Hildebrandta przy Karntnerstrasse - dodał

artysta.

- Dziękuję - powiedział Rheinhardt. - Mogę przyprowadzić przyjaciela?

- Oczywiście.

Rheinhardt złożył plakat i delikatnie schował do kieszeni na piersi.

- Nie sposób nie zauważyć, Herr Olbricht, że bardzo lubi pan tematykę operową.

- Baronowa ma wielu przyjaciół w Towarzystwie Wagnerowskim.

- Czy kiedykolwiek proszą pana o namalowanie scen z oper innych niż Wagnera?

- Z niektórych: *Der Freischütz* i *Euryanthe*. A wcześniej pewien koncertujący skrzypek zamówił scenę z *Fidelia* na prezent dla żony.

- Czy kiedykolwiek proszono pana o przedstawienie jakichś scen z Mozarta? -

zainteresował się Rheinhardt.

- Nie - odrzekł Olbricht. Sylaba wpadła w otchłań milczenia. Ich spojrzenia zwały się, lecz obojętny wyraz twarzy Olbrichta nie zdradzał żadnych oznak, że rozumie, dlaczego Rheinhardt zadał mu to szczególne pytanie. Stopniowo jego rysy łagodniały. - Nie -

powtórzył, niemal niedostrzegalnie potrząsając głową. - Nikt nigdy nie prosił. Choć wątpię, czy cieszyłbym się z takiego zamówienia. Jestem przekonany, że niemiecka opera odnosi największe sukcesy, gdy porusza tematy romantyczne lub epickie.

Rheinhardt bez trudu zaobserwował pewne subtelne oznaki: wzdrygnięcie się, mrugnięcie, pauzę, ruchliwe, niespokojne palce. Ten rodzaj sygnałów, które jego przyjaciel, doktor Liebermann, miał w zwyczaju uznawać za znaczące. Lecz w malarzu nie było niczego osobliwego poza płazim wyglądem.

Powracając do bardziej tradycyjnych metod przesłuchiwania, które przychodziły mu z dużo większą swobodą, Rheinhardt poklepał kieszeń płaszcza i wyjął niepokaźny notes oraz ogryzek ołówka.

- Ciekaw jestem, Herr Olbricht - zaczął - czy pamięta pan, co robił w poniedziałkowy poranek szóstego października?

Profesor Foch zamienił surduta na pikowaną czarną bonzurkę.

Zjadł skromną kolację - nic więcej poza niewielką porcją gulaszu. Postanowił

odmówić sobie przyjemności wspaniałych, lecz bardzo słodkich *salzburger nockerln* z sosem porzeczkowym, ponieważ cierpiał ostatnio na burczenia w brzuchu i doszedł do wniosku, że pewnie je zbyt dużo.

Frau Haushofer była ząną kobietą, kiedy więc *nockerln* wróciły do kuchni, natychmiast opuściła swoje stanowisko przy kuchence i udała się do jadalni, by zapytać, czy profesor jest ze wszystkiego zadowolony. Foch nie miał ochoty na udzielanie wyjaśnień.

Ostatecznie należała jedynie do domowej służby. Wstając od stołu, oznajmił lodowatym tonem, że nie dała mu żadnych powodów do narzekań. Foch poinstruował swego kamerdynera, że nie życzy sobie, by mu przeszkadzano przez resztę wieczoru - chyba że w nagłych wypadkach medycznych - po czym, opuściwszy jadalnię, wycofał się w pośpiechu do swego gabinetu. Foch zamknął drzwi gabinetu, splótł dłonie za plecami i zaczął chodzić tam i z powrotem. Od czasu do czasu mamrotał coś pod nosem. Pomimo wstrzemięźliwości podczas kolacji pomrukowi towarzyszył burczący komentarz dobywający się z jelit.

Po dłuższym kursowaniu tam i z powrotem wzburzony profesor stanął przed małym szkicem. Przedstawiał Rannego Człowieka - rodzaj instruktażowej ilustracji dla chirurgów, która stała się bardzo popularna już w czasach średniowiecznych.

Foch kołysał się na poduszkach stóp w przód i w tył. Podczas tej czynności deski podłogowe skrzypiały żałośnie.

Postać na rysunku wyglądała jak uciekinier z piekła: potępiona dusza skazana na najpotworniejsze tortury ciała. Nagi, z wyjątkiem osłony na genitalia, stał z jednym kolanem ugiętym i jedną ręką zwróconą w stronę patrzącego. Jego ciało było niczym więcej jak poduszką na szpilki: każda część jego anatomii została rozdarta, przekłuta, rozszarpana bądź

w inny sposób poraniona bronią wyciągniętą z nieprzebranego i niezwykle wszechstronnego arsenału. Z czoła wystawał krótki miecz, z policzka nóż, ogromny młotek zwisał z głębokiego rozcięcia na ramieniu. Mięsień czworoboczny był pocięty szablą na kawałki...

Foch przypatrywał się ranom i dumał nad straszliwym bólem, jaki tego rodzaju obrażenia mogłyby spowodować.

Bok Rannego Człowieka został przeбитo włócznią, na wzór Chrystusa, w gruzłowatych udach tkwiły liczne groty strzał. Foch przysunął się o krok. Ręka odwrócona w stronę patrzącego w rzeczywistości zwisała luźno z przedramienia, połączona jedynie cienkim, nitkowatym ścięgnem. Rozcięcie nadgarstka obnażało krąg, który stanowił

przekrojoną tętnicę główną. Co dziwne, Ranny Człowiek miał dwuznaczny wyraz twarzy.

Coś w uniesionej brwi i wykrzywionych ustach sugerowało rozbawienie - nawet przyjemność...

Ściany gabinetu profesora Focha były zastawione książkami, nie tylko zwyczajnymi pozycjami, które można by napotkać w prywatnej bibliotece profesora uniwersytetu. Wśród tradycyjnej literatury fachowej, tomów historycznych i biografii - oraz dzieł z kanonu klasyki, takich jak *Iliada*, *Edda*, *Pierścień Nibelunga*, utwory Goethego i Szekspira - znajdowało się kilka starych ksiąg o znacznej wartości. Foch był zapalonym kolekcjonerem już od czasów studenckich i dzięki połączeniu sprytu, wnikliwości oraz szczęścia zdobył wiele antykwarycznych tomów, głównie dzieł naukowych i medycznych.

W szklanej gablotce pod ryciną Rannego Człowieka znajdował się najcenniejszy nabytek Focha: gruba księga, otwarta na frontyspisie zdobionym miedziorytem. Było to oryginalne szesnastowieczne wydanie *De curtorum chirurgia per insitionem* (Chirurgia leczenia okaleczeń przeszczepami) Włocha Gaspare'a Tagliacozziego. Na suchych, rozpadających się kartach Tagliacozzi opisał innowacyjną technikę rekonstrukcji ludzkiego nosa: ta konkretna operacja nabrała szczególnego znaczenia w ówczesnym Wiedniu, gdzie szerzył się syfilis, a w co szóstym domu mieszkał lekarz, którego mosiężna tabliczka głosiła:

„specjalista chorób skórnych i wenerycznych”. Syfilis często uszkadzał nos, a ponieważ jedną ze specjalności Focha była chirurgia nosa, zdobycie biblijnego rękopisu nie mogłoby mu sprawić większej satysfakcji niż fakt posiadania *De curtorum chirurgia*.

Kontemplacja tego skarbu przyniosła natychmiastowy efekt w postaci ukojenia wzburzenia profesora. Foch podniósł wieczko gablotki, wciągnął w nozdrza woń stęchlizny i uśmiechnął się. Pachniała cudownie, jak kwiat. Następnie zamknął pokrywę, odwrócił się i podszedł do biurka. W świetle elektrycznej lampy prostokąt czerwonej skóry płonął krwawą intensywnością.

To konieczność... Carpe diem, carpe diem.

Usiadłszy, ścisnął razem palce i uderzał nimi w ściągnięte usta.

Co za dużo, to niezdrowo...

Foch od pewnego czasu zastanawiał się, co zrobić. Od chwili otrzymania od dziekana listu z naganą w jego żołądku gromadziły się zapasy żółci. Najprawdopodobniej właśnie to tłumaczyło kłopoty trawienne profesora. Nie należał on jednak do zbyt wnikliwych ludzi.

Rzadko zaglądał w głąb siebie, być może lękając się tego, co mógłby tam odkryć...

Tego roku uczestniczył w jednym z sobotnich wykładów profesora Freuda na temat psychoanalizy. Uznał jednak jego treść za nieznośną: te opowieści o stłumionych popędach seksualnych i symbolach fallicznych - czyste obscena. Wyraził swój sprzeciw, wypadając z sali jak burza i robiąc przy tym możliwie najwięcej hałasu. Pomysł leżenia na kozetce i zwierzenia się ze swych najgłębszych tajemnic jakiemuś zadufanemu w sobie Żydowi, którego absorbują sprośności, napawał go

przerażeniem. Mimo to zapewnienia Freuda, że wczesne doświadczenia wywierają przemożny wpływ na późniejszy rozwój, nieprzyjemnie zapadły mu w pamięć. Foch pamiętał jak przez mgłę odległe wydarzenia, które go ukształtowały: obojętną matkę, przedwcześnie rozwiniętą dziewczynę, która mieszkała obok, lodowate palce czeskiej niani wsuwające się pod kołdrę.

To konieczność... Carpe diem, carpe diem.

Co za dużo, to niezdrowo...

Napisze otwarty list do „Zeitung”, w którym wyjaśni swoje kłopotliwe położenie. We właściwym czasie zdrowy rozsądek weźmie górę, opinia publiczna stanie murem w jego obronie, a dziekan - ten służący wazelinarz, ten hipokryta - zostanie zmuszony do rezygnacji. Ten plan działania powoli krzepł, warząc się w łagodnym, lecz niegasnącym ogniu jego własnej rozpamiętywanej wrogości.

Przygotowując się do ataku, Foch rozłożył papier, złote pióro wieczne oraz kilka ksiąg i periodyków. Rozpocznie polemikę od apelu do rozsądnych wiedeńskich dżentelmenów, odwoła się do najwyższego naukowego autorytetu w poszukiwaniu poparcia. Sięgnął po swoje pierwsze wydanie *O pochodzeniu człowieka i doborze płciowym* Darwina. Usunąwszy jedwabną zakładkę, otworzył książkę i zaczął tłumaczyć dostojną angielską prozę: *Główną różnicę w zdolnościach intelektualnych pomiędzy dwiema płciami obrazuje fakt, że mężczyzna dąży do osiągnięcia celów wyższych we wszystkim, cokolwiek przedsięwzięcie, niż kobiety - czy wymaga to głębokiego namysłu, intelektu lub wyobraźni, czy jedynie wykorzystania zdrowego rozsądku oraz rąk... Ostatecznie mężczyzna stoi wyżej od kobiety.*

Foch chrząknął i otworzył stary egzemplarz angielskiego pisma męł dycznego noszącego tytuł „The Lancet”. Pochodziło sprzed ponad dekady, zachował je jednak, wiedząc, że jeden szczególnie fragment okaże się pewnego dnia bardzo przydatny.

Kobieta jest z rozwojowego punktu widzenia bez wątpienia zwierzęciem, u którego proces ewolucji został zahamowany, a mówiąc ściślej, zepchnięty z kierunku ogólnego na boczny, dla celów rozrodczych, nim zdążył osiągnąć punkt kulminacyjny...

Profesor wziął do ręki pióro i zaczął pisać.

Żyjemy w burzliwych czasach. Wartości zdroworozsądkowe, które przeważały od stuleci, znalazły się obecnie pod ostrzałem, a to szaleństwo nigdzie nie jest tak jaskrawo widoczne jak w sprawach dotyczących kwestii kobiecej. W moim odczuciu dopuszczenie kobiet do studiów na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Wiedeńskiego jest błędem oraz sprawą wymagającą pilnej rewizji...

Uzasadniwszy swoje stanowisko nawiązaniem do Darwina oraz rozmaitych teoretyków ewolucyjnych, Foch przystąpił do zrelacjonowania kilku eksperymentów badawczych przeprowadzonych przez doktora Heydemanna, które wykazały, że kobiety mają gorsze zmysły zapachu, smaku, wzroku i słuchu. Następnie zacytował prace wielu słynnych neurologów, którzy odkryli związek pomiędzy wielkością mózgu a inteligencją. To zupełnie absurdalne oczekiwać, by znacznie mniejszy umysł kobiecy funkcjonował równie sprawnie jak jego większy męski odpowiednik. Kobiety są po prostu fizycznie niezdolne do zostania dobrymi lekarzami.

Są tacy, którzy utrzymują, że różnice intelektualne, jakie istnieją między mężczyznami a kobietami, można wytłumaczyć nierównością społeczną. Innymi słowy, że kobiety, ogólnie rzecz biorąc - zarówno w minionych wiekach, jak i w dobie obecnej - otrzymywały skromne wykształcenie, jednak ta argumentacja zawiera mniej prawdy, niż się powszechnie uważa. W

erze peryklejskiej w starożytnej Grecji kobiety takie jak Aspazja posiadały gruntowne wykształcenie i uważały się za uczennice wielkich filozofów. Saffo, Hypatia oraz wiele innych kobiecych postaci dowodziły istnienia klasy kobiet, którym religie starożytności zapewniały zdecydowanie zaszczytną pozycję. A jednak zarówno w tamtych czasach, jak i w następnych edukacja kobiet nie wywarła wpływu na ich osiągnięcia w wielkim planie ludzkich poczynań. Ich płeć nie wydała ani jednej wielkiej artystki, pisarki, muzyka, wynalazcy czy naukowca. Jak od dawien dawna głosi tradycyjne niemieckie porzekadło: dług spódnica, krótki rozum...

Foch poprawił się na krześle, zadowolony ze swej inwektywy.

Córka gospodarza wyszła zza kontuaru i stanęła dumnie, niema wyzywająco, na środku sali. Dla stałych bywalców Cafe Haynau był to uświęcony tradycją rytuał.

Publiczność, głównie wojskowi z koszarów, zaczęła klaskać w dłonie i tupać. Gęsta mgła papierosowego i cygarowego dymu zareagowała na nagłe poruszenie, owijając się wokół

widmowych, marmurowych filarów. Mathilde wypchnęła do przodu bujną pierś, nieoczekiwanie nabierając w ten sposób posągowego dostojenstwa. Niestety, jej postawa sprowokowała niewybredny komentarz z ust młodego chorążego, a jej kruchy majestat legł w gruzach, gdy naskoczyła na żołnierza i trzepnęła go w ucho. Kompani chorążego ryczeli ze śmiechu i zachęcali Mathilde, by grzmotnęła go jeszcze raz. Nie skorzystała z zaproszenia i zamiast tego przybrała poprzednią pozę, prosząc o ciszę powtarzającym kilkakrotnie gestem kierowania wyprostowanych dłoni ku podłodze. Pełne temperamentu przekomarzania ucichły.

- Ta piosenka - ogłosiła - jest zatytułowana *Białe miasto Rijeka*. Nauczyłam się jej od pewnego chorwackiego żołnierza...

- A czego on nauczył się od ciebie? - krzyknął chorąży.

Znów rozległy się śmiechy, Mathilde pogroziła palcem. Dała znak staremu akordeoniście, który ścisnął miechy instrumentu. Wymknęło się kilka rżących akordów w nieustabilizowanej tonacji. Mathilde wybrała przypadkową nutę i zaintonowała piosenkę.

Rika je bili grad mej dvima gorama Rijeka to białe miasto między dwoma górami *Onaj ograjena hladnima vodama* Otoczone zimnymi wodotryskami *Tan ta-na-na-na-na, ni-na ne-na*

Nie miała dobrego głosu, jednak niedostatki techniki rekompensowała obfitością dramatycznych gestów i min. Zaszleściwszy spódnicą, zastukała drewniakami o deski podłogi i pokazywała na migi, jak spogląda z oddali na spowite mgiełką Białe Miasto przycupnięte na przełęczy pomiędzy dwoma wymagowanymi szczytami. Prawdę mówiąc, patrzyła również, czy przypadkiem nie udało się jej zwrócić na siebie uwagi porucznika Hefnera. Nie udało. Przystojny ułan siedział z posępną miną i z determinacją wpatrywał się w opróżnioną do połowy butelkę wódki. Rozczarowana Mathilde rzuciła kokietyjne spojrzenie pułkowemu lekarzowi, który - wypiwszy więcej niż dwie zwyczajowe szklaneczki śliwowicy

- poklepał się po kolanach. To zaskakujące zaproszenie wywołało lekkie poruszenie wśród żołnierzy osiemnastego pułku, którzy przywykli do traktowania pocziwego doktora jako wzoru dobrego wychowania i powściągliwości.

Hefner nie zważał na to *coup de foudre*, całkowicie pochłonięty własnymi myślami.

To był niezwykły dzień...

Wczesnie rano musiał znieść jeszcze jedną rozmowę z groteskowym inspektorem Rheinhardtem. Była

nawet bardziej irytująca niż poprzednia. Stary dureń głądził bez końca o ostatniej serii morderstw, zaczynając od zabójstwa Madam Borek i trzech dziewczyn.

Pojawiły się kolejne ofiary: czeski straganiarz, jakiś Murzyn...

Wszyscy zginęli od ciosu szablą.

W regularnych odstępach policjant przerywał potok słów i pozwalał gęstnieć ciszy.

Bawił się swoimi wąsami i bacznie przyglądał Hefnerowi. Wkrótce stało się jasne, że inspektor nie prosi już Hefnera o pomoc w dochodzeniu. Komunikował mu coś znacznie poważniejszego. Hefner znalazł się w gronie podejrzanych.

Czego ten błazen od niego oczekiwał? Ze złamie się i przyzna?

Żadna z taktyk inspektora nie była szczególnie udana. Zwyczaj zawieszania sugestii w powietrzu był w przeważającej mierze nieskuteczny. Pełne wyczekiwania milczenie nie mąciło spokoju porucznika. Co rzeczywiście niepokoiło Hefnera, to wiedza inspektora na temat jego spraw prywatnych: powiązań z von Triebenbachem, Towarzystwem Wagnerowskim oraz Eddyjskim Towarzystwem Literackim (choć na szczęście inspektor wydawał się nie mieć pojęcia, że to ostatnie było jedynie przykrywką dla Pierwotnego Ognia). Inspektor orientował się nawet, jakie Hefner oglądał opery. Miał czelność zapytać go, czy podobała mu się inscenizacja *Czarodziejskiego fletu* dyrektora Mahlera.

Tan ta-na-na-na, ni-na ne-na Tan ta-na-na-na, ni-na ne-na Ludka: pamiętał uległe ciało, sposób, w jaki posłusznie klękała, by wziąć w usta jego męskość, jak podnosiła jego dłoń do swego policzka i spoglądała znacząco, rozumiejąc męską rozkosz. Pamiętał przyjemny huk, gdy jego dłoń brutalnie stykała się z jej młodą twarzą, któremu towarzyszyła eksplozja żaru w lędźwiach.

Mała głupia dziwka...kiedyś musiało się tak skończyć.

Hefner zmusił się do spojrzenia na szansonistkę, która kołysała teraz biodrami przed upojonym alkoholem lekarzem i wyciągała rękę, bawiąc się jego czarnymi, kręconymi włosami. Puściła oko, wesołe sylaby spływały z jej ust kaskadą dwuznacznych nonsensów.

Tan ta-na-na-na, ni-na ne-na

Rozmowa z Rheinhardtem nie trwała przesadnie długo, a Hefner potraktował

policjanta z całą pogardą, na jaką zasługiwał. Ale i tak porucznik nie zdołał wymknąć się na czas, nie zdążył na poranną musztrę i Kabok udzielił mu surowej nagany. Hefner usiłował

wyjaśnić całą sytuację, ale stary służbista odegrał się na nim, łajanie przerodziło się w końcu w serię mamrotanych półgłosem przekleństw, przy których przełożony czynił

nieumiarkowany i mało dyskretny użytek ze słów w rodzaju „dziwkarz”, „syfilis” i „zasrany dureń”. Hefner doskonale wiedział, że lepiej nie reagować. Upokorzenie było nie do zniesienia.

Tego samego wieczoru wybrał się do opery, lecz nie potrafił czerpać przyjemności ze spektaklu. Prześladowała go obsesja, że jest śledzony i że pewien młody człowiek o ostrych rysach jest jednym ze szpiegów Rheinhardta. Był już bliski wyzwania go na pojedynek, gdy przyszło opamiętanie. Jaki miałoby to sens? Poza tym wiedział, że uda mu się zgubić tego drania w tłumie wysypującym się na Ringstrasse.

Gdy Hefner wyszedł z opery, był pewien, że osiągnął cel. Młody człowiek zniknął, nie było go w szatni, nie czyhał w foyer. Ale ułan zdołał dotrzeć zaledwie do Schillerplatz, gdy ku swemu zdumieniu zaczął boleśnie zdawać sobie sprawę z czyichś kroków tuż za swoimi plecami. Odwrócił się gwałtownie, spodziewając się ujrzeć młodzieńca o ostrych rysach twarzy, tymczasem zaskoczył go widok osobliwie prezentującego się dżentelmena w futrze i ubraniu z cienkiej jedwabnej surówki. Trzymał w ręku laskę, której rękojeść była ukształtowana na podobieństwo jaguara, z kamizelki zwiisał na czarnej tasiemce monokl.

Mężczyzna miał szeroką twarz i nosił opadające wąsy na orientalną modłę oraz małą kozią bródkę. Oczy ledwo było widać pod szerokim rondem kapelusza.

- Czy my się znamy, sir? - spytał Hefner.

Nieznajomy bez pośpiechu zrobił kilka kroków naprzód i uśmiechnął się lodowato.

Uśmiech ten bardziej przypominał grymas.

- Nie. - Jego oddech przeobraził się w mroźnym powietrzu w kłęb pary. - Tuszę jednak, że pan zna - i to doskonale, doskonale - moją siostrę.

Mówił z węgierskim akcentem.

- Pańską siostrę?

- Hrabinę? Pamięta pan hrabinę? Hefner pokręcił głową.

Wtedy nieznajomy wyrzucił z siebie potok barwnych i dość szokujących obelg, a każdą z nich wypowiadał z wręcz radosną lubością. Od czasu do czasu przechodził na język ojczysty - przypuszczalnie dlatego, że nie mógł znaleźć wystarczająco wybuchowego niemieckiego słowa, by wyrazić pożądany stopień potępienia, jakiego wymagała doznana zniewaga. Wypluwał twarde spółgłoski i spłaszczone samogłoski. Z kaskady przekleństw i złorzeczeń stopniowo zaczął wyłaniać się charakter jego oskarżeń. Hefner sprowadził na manowce jego życzliwą, dobroduszną siostrę, wykorzystał ją i tym samym zniszczył jej dobrą reputację.

Osiemnasty pułk stacjonował minionego lata na Węgrzech, w zapomnianej przez Boga i ludzi placówce nad brzegami Tiszy. Nie było tam kompletnie nic do roboty, więc Hefner był zmuszony rozproszyć nudę kilkoma nieistotnymi spotkaniami: z dojarką, żoną lekarza... i rzeczywiście, była jakaś hrabina, dla której wraz z rodziną nastąpiły ciężkie czasy.

Jak ona się nazywała?

A, tak - Zaborszky.

Hrabina Borbala Zaborszky. Hefner nie miał ochoty na tego rodzaju konfrontację. To tak odległe czasy - ledwo przypominał sobie tamtą kobietę.

- Posłuchaj, przyjacielu - rzekł Hefner z nutą lekceważenia. - Zdaje się, że z kimś mnie pomyliłeś.

Nieznajomy pokręcił głową.

- Nie. Wcale nie pomyliłem. Niespiesznie - niemal leniwie - zaczął zdejmować rękawiczkę, po ciągnąc po kolei za materiał okrywający każdy z palców. Wreszcie cienka, elastyczna tkanina ustąpiła z trzaskiem i skurczyła się do poprzedniego kształtu. Następnie nieznajomy podniósł w górę rękawic z żalną kupką sflaczałych, obwisłych niby-wymion i powiedział:

- Niech się pan uważa za spoliczkowanego. W pobliżu zebrała się niewielka grupka elegancko ubranych mężczyzn. Oni także byli prawdopodobnie w operze. Wysoko podniesiona rękawica nieznajomego wystarczyła, by zasygnalizować, co się dzieje.

W sprawach honoru istniały trzy kategorie zniewagi. Zwyczajny afront, bezpośrednia obraza oraz cios lub policzek. Dwie pierwsze można było rozstrzygnąć bez rozlewu krwi - ale nie trzecią.

Hefner lekko się skłonił, a zaraz potem wymienili z Zaborskim nazwiska swoich sekundantów. Ulan wrócił do Cafe Haynau, gdzie zastał Renza i Trappa przy tym samym co zwykle stoliku. Zostali natychmiast odprawieni do Cafe Museum i poinstruowani, że mają porozumieć się z sekundantami nieznajomego: doktorem Jóską Dekanym i Herr Otto Braunem.

Tan ta-na-na-na, ni-na ne-na

Mathilde prowokacyjnie kręciła biodrami przed nosem doktora. Mężczyźni siedzący przy sąsiednich stolikach zaczęli klaskać i pokrzykiwać.

Lipje su Bakarke po drva hodeći Nego Rikinjice v kamarah sideći Dziewczyny z Bakaru drwa na ogień zbierające Piękniejsze niż rijeczanki w strojnych szatach siedzące...

Drzwi kawiarni otworzyły się i w progu zjawili się Renz i Trapp. Dym zawirował wokół ich stóp, do środka wpadło kilka zabłąkanych płatków śniegu.

- No i? - spytał Hefner.

Dwaj mężczyźni osunęli się na krzesła i zdjęli czapki. Śnieg osiadł im na ramionach.

- No, wszystko uzgodnione - odparł Trapp.

- Gdzie ma się odbyć?

- W prywatnej salce nad burdelem Kryschinskiej.

- Co? - Hefner przenosił wzrok z Trappa na Renza, co najmniej jak gdyby Trapp oznajmił, że jest obłąkany i nie można mu dłużej ufać.

- Upierali się przy amerykańskim pojedynku” - rzekł Renz.

- Amerykański pojedynek! - wrzasnął Hefner. - I wy się zgodziliście?

- Kiedy wychodziliśmy, powiedziałaś, że może być jakikolwiek, że tobie jest wszystko jedno.

- Mój Boże, nie do wiary! - rzekł Hefner, potrząsając głową. - Amerykański pojedynek...

Trapp i Renz wymienili strapione spojrzenia.

- Renz ma rację - powiedział Trapp. - Rzeczywiście powiedziałaś, że jakikolwiek.

Zawsze tak mówisz.

- Ale pojedynek amerykański...

Podniósł się głośny okrzyk radości, a trzech mężczyzn obrócili się i ujrzeli piersiastą szansonistkę siedzącą okrakiem na kolanach pułkowego doktora.

Tan ta-na-na-na, ni-na ne-na

- Cóż - rzekł Hefner - przynajmniej tym razem nie będziemy potrzebowali jego usług.

- SZYBCIEJ!

Stangret trzasnął z bicia i rzucił kolejne przekleństwo pod adresem koni. Korpulentny inspektor czuł się w powozie jak żeglarz pośród szalejącego okrutnego sztormu, którego maleńka łódź jest miotana z fali na falę. Rheinhardt usiłował wyrzeć przez okno, lecz zobaczył niewiele. Zasłonięte witryny sklepów i żółte gazowe latarnie przesuwają się błyskawicznie. Poddał się i zamknął oczy. Jakies strzępy przerwane snu wciąż przepływały mu przed oczami.

Wielka sala balowa widziana z góry.

Pary obracające się w rytmie trójdzielny pod przepięknym żyrandolem, każda para przypomina kręcące się nieustannie kola zębate wielkiej maszyny. A potem zdanie wypowiedziane przyjemnym, zadumanym, znużonym życiem głosem: „Nikt nie umknie przed Walcem Wieczności, przyjacielu. Jak sam się przekonasz, on nigdy się nie kończy”.

Walc Wieczności? Co powiedziałby na to Max?

Wybój na drodze sprawił, że pośladki Rheinhardta oderwały się od siedzenia.

Wylądował z głuchym łomotem, co sprowadziło go, jakkolwiek brutalnie, na ziemię.

Powozem zatrzęsło i czoło Rheinhardta zderzyło się z szybą. Głośno zaklął.

Zaledwie dwadzieścia minut wcześniej smacznie spał w ciepłym, wygodnym łóżku.

Pamięć dotykowa drażniła go: wciąż czuł miękkie, przytulne ciało żony, kojący dotyk jej piersi pod bawełnianą materią nocnej koszuli. W nozdrzach wciąż jeszcze utrzymywał się jej zapach, tak swojski jak aromat świeżo upieczonego chleba, tak słodki jak woń kapryfolium.

Dzwonek telefonu rozbrzmiał z niespotykaną natarczywością. Tań czące pary ze snu zawirowały w zapomnienie, Rheinhardt usiadł sztywno, jakby połknął kij, próbując przeniknąć wzrokiem ciemności, serce łomotało mu głośno i uporczywie niczym kocioł w symfonii Brahmsa Ogarnęło go przerażenie, na długo zanim krytyczny umysł zaangażował

się wystarczająco, by nadać niecierpliwemu dzwonekowi jakieś znaczenie. Wreszcie jednak paniczny strach połączył się z nazwiskiem: Salieri.

Powóz zwolnił i stanął. Rheinhardt natychmiast otworzył drzwi i wysiadł. Konie parskają nerwowo, niespokojnie stukając kopytami o bruk. Na parujących zadach pojawiły się kropelki piany. Woźnica zeskoczył z kozła i wcisnął kostkę cukru między wargi najbliższego zwierzęcia.

- Dostatecznie szybko?

- Tak - otwarcie przyznał inspektor.

- Jeszcze jedno morderstwo, co?

- Obawiam się, że tak.

- I to w takim miejscu...

Rheinhardt spojrział na opustoszały Neuer Markt, zdominowany przez fontannę Donnera. Nagie postaci, z których każda symbolizowała dopływ Dunaju, wylegiwały się i przeciągały na jej obrzeżach. Kamień był pokryty solnym szronem, który mienił się jak mika.

Niebo było bezchmurne, gwiazdy wyglądały tak, jakby rozsypał je na firmamencie jakiś nieuważny anioł jako efekt nonszalanckiej perfekcji.

Jeden z koni potrząsnął łbem na boki, uzda zadźwięczała srebrzyście jak karylion.

- Nie ma już świętości, co? - dodał stangret.

Rheinhardt odwrócił się i spojrział w górę. Kapuzinerkirche nie był atrakcyjną budowlą - przypominał dziecięcy rysunek domu ze stromym, trójkątnym dachem i niewidoma charakterystycznymi elementami. Zwieńczona luką nisza w szczytowej ścianie mieściła postać niosącą krucyfik, poniżej znajdowały się trzy proste okna i przedsionek. Brak ozdób sugerował ponurą surowość - umartwienie i wyrzeczenia. Do kościoła przylegała kwadratowa dobudówka, do której wchodziło się przez spore, na wpół otwarte drzwi. Prowadziły one do krypty Habsburgów. Samotny policjant stał na zewnątrz, przytupując i rozcierając zimne dłonie.

Rheinhardt zbliżył się do młodego człowieka i przedstawił.

Młody funkcjonariusz ledwo mógł poruszać ustami. Szczekał zębami, z czubka spiczastego, mysiego nosa chwiejnie zwisała kropelka wody.

- Lepiej stać wewnątrz - powiedział z troską Rheinhardt.

- Otrzymałem rozkaz, sir.

- O tej porze nikt nie będzie się kręcił po ulicy. Chodźmy. W razie jakichkolwiek pytań proszę powiedzieć przełożonym, że nalegałem.

- Dziękuję, sir - odparł funkcjonariusz. - Bardzo pan uprzejmy. Młody mężczyzna wszedł do środka i poprowadził Rheinhardta ku stromym schodom. Z dołu dochodziło nagle światło.

Rheinhardt zaczął schodzić, podpierając się opuszkami palców o dodającą otuchy niewzruszoność ściany. Wzrok nie przywykł jeszcze do ciemności, toteż stąpał ostrożnie. W

powietrzu czuć było charakterystyczną woń wosku, słychać było niewyraźny, upiorny szept.

Światło przybrało na sile, a gdy dotarł na sam dół, zastał kolejnego funkcjonariusza pełniącego wartę obok wysokiego kandelabru.

- Inspektor Rheinhardt?

- Tak.

- Szeregowy Stroop, sir.

- Dobrze się spisałeś.

- Jest... on... ciało, sir. - Wskazał tonącą w mroku głębiej. - Tam dalej... - Oczy policjanta błyszczały, podkreślając młody wiek, lecz również zdradzając strach.

Rheinhardt skinął głową i ostrożnie wyjął świecę z kleszczy kinkietu. Posuwał się dalej w zimnej, rozbrzmiewającej szeptami ciemności. Odgłos jego kroków odbijał się echem od kamiennych płyt. Szedł między dwoma rzędami sześciobocznych trumien z brązu, na próżno starając się zwiniętą dłonią osłaniać knot świecy. Nerwowy płomień migotał, to przygasając, to rozbłyskując jaśniej, oświetlał z przerwami zdobienia na trumnach: szczyrzące zęby czaszki, wieńce kwiatów i wijący się upiornie bluszcz. Uwagę Rheinhardta przykuł

wstrząsający odlew ludzkiej czaszki, dziwacznie ozdobiony woalem i koroną. Inspektor spojrzał na inskrypcję i odczytał imię dawno zmarłego habsburskiego władcy. Przypomniało mu się coś, co zasłyszał kiedyś na temat obrzędów królewskiego pochówku. Tradycyjnie twarze habsburskich cesarzy zgniatano, żeby nie wydawali się pyszałkowaci przed obliczem Wszechmogącego. Wyposażano ich również w dzwonek i przycisk do dzwonka, dzięki któremu mogliby wszczać alarm, gdyby okazało się, że pochowano ich żywcem. Rheinhardt wyobraził sobie wnętrze trumny: fragmenty roztrzaskanych kości pod zakurzoną peruką -

szkielet ręki szukający przycisku dzwonka. Zdumiał go mimowolny dreszcz. Podniósłszy świecę, by rozproszyć ciemność, kontynuował wędrówkę.

Rheinhardta wyprzedzał jego własny oddech, przesłaniający mgłą zimne powietrze.

Przez kłęby pary dostrzegł dwa mrugające światełka, które w miarę przybliżania rozjaśniały się coraz bardziej. Niejasne syczenie przybierało na sile, przeistaczając się w regularne dźwięki języka - języka, który był Rheinhardtowi znajomy. *Requiem aeternam dona eis, Domine...*

Zaczęły wyłaniać się kształty - pogrążone w półcieniu zarysy, które mogły być ludzkimi postaciami - i słychać było nie jeden głos, a kilka, a każdy monotonnie odmawiał

inną modlitwę.

Da, quaesumus Dominus, ut in hora mortis nostrae...

Z początku Rheinhardtowi wydawało się, że jest świadkiem sceny, która nie może być prawdziwa. Trzy zakapturzone postaci klęczały pomiędzy siedzącymi kobietami w powłóczystych sukniach. Ponad nimi dostrzegł wyraźnie unoszącą się w powietrzu parę -

zwróconą do siebie twarzami i oddzieloną przez widmowego cherubina.

Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum...

Podszedł nieco bliżej i tajemnica się wyjaśniła. Trzej kapucyni klęczeli przed monumentalną trumną. Pozostałe postaci okazały się naturalnej wielkości rzeźbami z brązu -

dwierema kobietami wychylającymi się zza bogato zdobionego frontu trumny, z parą i cherubinem przycupniętymi na wieku. Słaby blask świec oświetlał niewiele więcej poza trumną, ale Rheinhardt podejrzewał, że baldachim mroku skrywał kopułę. Przed trzema kapucynami leżało na wznak ciało.

Rheinhardt przyspieszył kroku.

Jeden z zakonników podniósł wzrok, przeżegnał się i wstał, by przywitać inspektora.

Zbliżywszy się, zsunął kaptur. Miał mocno przerzedzone włosy, lecz jakby dla zrekompensowania sobie łysiny zapuścił bujną, siwą brodę i wąsy.

Rheinhardt uklonił się.

- Nazywam się inspektor Rheinhardt - z biura bezpieczeństwa.

- Niech cię Bóg błogosławi, synu. Dziękuję za tak rychłe przybycie. Jestem brat Ignaz.

Nawet w słabym świetle Rheinhardt zdołał dostrzec, że oczy kapucyna wyglądają na podrażnione i nabiegłe krwią. Widać było, że płakał.

- Bardzo mi przykro... - Zdanie Rheinhardta rozplynęło się w ciszy. Jego pierwszym odruchem była chęć pocieszenia zakonnika, zastanowił się jednak, czy naprawdę może zaoferować świątobliwemu człowiekowi coś, czego nie dały mu jego duchowe przekonania. -

Czy przybyli już moi współpracownicy?

- Nie, synu, jedynie dwaj funkcjonariusze.

- Ojczy, mam obowiązek obejrzeć ciało. A wkrótce zjawią się tu inni... mój asystent, fotograf.

Brat Ignaz pokiwał głową.

- Oczywiście.

Poszurał w stronę dwóch pozostałych zakonników, którzy nie przerwali swoich skupionych, monottonnych modłów i szeptali coś, czego Rheinhardt nie słyszał. Przeżegnali się, wstali i wzięwszy jedną ze świec, w milczeniu wycofali się w ciemności. Brat Ignaz dał znak Rheinhardtowi.

- Dotykaliście ciała?

- Tak, a czy ma to jakieś znaczenie? Rheinhardt westchnął.

- Nie, nie ma.

Zakonnik leżał ze złączonymi stopami i skrzyżowanymi na piersi ramionami.

Rheinhardt kucnął i przysunął świecę do twarzy zmarłego. Miał brodę, zamknięte oczy, pełno zmarszczek. Kamienne płyty z lewej? strony ciała plamiła krew.

Rheinhardt pociągnął za luźne rękawy habitu zakonnika i rozłożył jego ramiona.

Następnie zakreslił płomieniem świecy niewielkie kółko i zauważył, że tak, jak myślał, szorstka, brązowa tkanina została rozcięta ostrym narzędziem. Pomiędzy równiutkimi, prostymi brzegami materiału zebrała się zakrzepła krew.

- Kto to?

- Brat Francis...

- Co się stało?

- Przyszliśmy modlić się do kościoła. On przeprosił i powiedział, że schodzi do krypty. Został poproszony o odmówienie specjalnej modlitwy przy grobie cesarzowej Marii Teresy przez... - brat Ignaz zawahał się, nim dodał *sotto voce* - przez członka monarszej rodziny. Zaczynało się robić późno, postanowiłem więc sam zejść do krypty. Francis, ostatnimi czasy niedomagał, martwiłem się o jego zdrowie. Gdy szedłem nawą, ujrzałem coś na podłodze. Z początku pomyślałem, że po prostu upadł. Podbiegłem i... - zakonnik pokręcił

głową.

- Co takiego?

- Wydaje mi się... nie jestem pewien... - Co?

- Wydawało mi się, że kogoś słyszę, kogoś wbiegającego po schodach. Francis leżał

twarzą w dół... wokół pełno było krwi. Odwróciłem go na plecy i usiłowałem przywrócić do życia - ale oczywiście nic nie mogłem wskórać. Wróciłem do kościoła, gdzie zastałem dwóch młodych braci, Casimira oraz Ivona. Młodszego, Ivona, wysłałem na komisariat policji przy Schottenring. Casimir i ja wróciliśmy do Francisca, żeby się modlić. - Stary kapucyn potrząsnął głową, - Nawiedziło nas niewysłowione zło. Któż mógł dokonać czegoś takiego?

Na świętym gruncie, w tym najświętszym z miejsc. Ohyda!

Rheinhardt opuścił niżej świecę i wpatrywał się w pobrużdżoną twarz brata Francisca.

Powieki zmarłego drgnęły, potem zaś - całkowicie zniecka - otwały się. Z ust wypłynął skrzep czarnej krwi, a piersią wstrząsnęły konwulsje.

Rheinhardt wydał stłumiony okrzyk, cofnął się i upuścił świecę na podłogę.

- Jezu Przenajświętszy... - wykrzyknął brat Ignaz. - On jeszcze żyje. To cud.

Tłumiąc w sobie odruchowy przypływ grozy i przerażenia, Rheinhardt położył rękę na przesiąkniętej krwią piersi starego zakonnika. Wyczuł nieznaczny, ledwo dostrzegalny ruch.

- On naprawdę żyje.

- To cud, inspektorze. *Benedictus Dominus Deus*. Istny cud.

Brat Francis zarzęził, zadrżały mu wargi. Wydawało się, że próbuje coś powiedzieć.

- Bracie Francisie, nazywam się inspektor Oskar Rheinhardt. Jestem z wiedeńskiego biura bezpieczeństwa. Czy brat mnie słyszy?

Chwycił zimną, papierową dłoń zakonnika.

- Słyszysz mnie, bracie Francisie?

Nie było odpowiedzi. Ale usta zakonnika nie przestawały drżeć, a świszczący oddech nabrał wyraźnego rytmu.

- Kto to zrobił? Kto brata zaatakował?

Rheinhardt przycisnął ucho do cienkich, sinych ust kapucyna. Wilgotny charkot przybrał na sile, a po nim wydobył się szept - modulowany wydech powietrza, z którego wyodrębniło się kilka sylab mających formę i znaczenie.

- Bracie Francisie? Ostatnie szeleszczące tchnienie... Rheinhardt odsunął się akurat w momencie, gdy stary kapucyn zamykał oczy.

Wiedział, że tym razem brat Francis umarł naprawdę - był tak samo martwy jak habsburscy cesarze i cesarzowe w swoich trumnach z brązu. Mimo to sumiennie wyjął z wewnętrznej kieszeni ręczne lusterko i przyłożył je pod nos zakonnika. Nie osiadła na nim para. Rheinhardt podniósł wzrok na brata Ignaza i pokręcił głową.

- Powiedział coś?

- Tak, powiedział.

- Co, synu? Co takiego powiedział? Twarz Rheinhardta zasnęła niepewność.

- Spytałem, kto to zrobił... - Rheinhardt mówił bardziej do siebie niż do swego towarzysza. - On zaś odpowiedział... cóż... przynajmniej wydaje mi się, że usłyszałem, jak mówi... „wielonczelista”.

- Słucham?

- Wiolonczelista - powtórzył Rheinhardt.

Od strony wejścia dobiegł odgłos kroków i rozmów. Przybyli pozostali.

Jacob Weiss wstał i zaprosił Liebermanna do swego biura.

- Max, cóż za niespodzianka, proszę, wejdź. To jest Herr Pfeffer, mój księgowy. -

Wskazał na pulchnego mężczyznę w szarym garniturze, który zerwał się z miejsca z dziwną zwinnością. - Emanuelu, to jest Max. Max Clary.

- Doktorze Liebermann - zaszcebiotał księgowy. - Wiele o panu słyszałem. Bardzo miło mi pana poznać. - Złożył niski, niemal komiczny ukłon.

- Może moglibyśmy dokończyć te sprawy kiedy indziej? - spytał Jacob.

- Oczywiście, oczywiście - odparł Herr Pfeffer, zgarniając oburącz stertę gęsto zapisanych dokumentów. Liebermann przytrzymał drzwi, by ułatwić mu wyjście.

Zatrzymawszy się na moment w progu, Herr Pfeffer pochwycił spojrzenie Liebermanna i szepnął: - No i gratuluję.

Te niewinne powinszowania nie mogły być bardziej nie w porę. Liebermann poczuł

się tak, jakby zatopiono mu w piersi nóż. Odwzajemnił wymuszony uśmiech i zamknął drzwi, uciszając głośny, metaliczny stukot maszyny do pisania.

- Proszę, usiądź - rzekł Jacob, podsuwając drewniane krzesło. - Co u ciebie?

Przypuszczam, że jak zwykle jesteś zaganiany. - Zajął miejsce za biurkiem, splótł palce i pochylił się do przodu. Jego oczy błyszczały za owalnymi szklarni okularów. Liebermann wił

się pod tą baczną, życzliwą obserwacją.

- Herr Weiss...- Liebermann od wielu dni powtarzał sobie mowę, którą zamierzał

wygłosić. Chwilę wcześniej, kiedy wchodził po schodach wiodących do biura Herr Weissa, wybrane słowa brzmiały wiarygodnie, rozsądnie, pewnie. Teraz jednak stały się płynne, ulotne, nie do okiełznania.

- Max, o co chodzi? - W bezpośredniości i serdeczności Jacoba po raz pierwszy dało się wyczuć wahanie.

- Herr Weiss... przyszedłem tu dzisiaj w delikatnej sprawie... Twarz starszego mężczyzny nagle pojaśniała.

- Ach, tak, rozumiem. Chodzi o pożyczkę? Potrzebujesz drobnej sumy wcześniej niż się spodziewaliśmy? - Herr Weiss nie dał dojść do słowa. - Proszę, nie jesteś mi winien żadnych

wyjaśnień. Bardzo się cieszę, że postanowiłeś przyjąć moją propozycję.

Spotkanie stawało się nie do zniesienia.

- Herr Weiss. - Nazwisko zabrzmiało jak błaganie.

- Nie chcemy, byś zrezygnował z medycyny - ciągnął Jacob.- To twoje powołanie. I z pewnością nie upłynie aż tak wiele czasu, nim zostaniesz... jak to się nazywa? *Prwatdozentl* -

Jacob czekał, aż Liebermann go poprawi, lecz ten nie przerwał milczenia. - A wtedy twoja sytuacja materialna będzie zupełnie inna. Wiedeńczycy uwielbiają specjalistów.

- Herr Weiss, nie potrzebuję finansowego wsparcia. Jacob cofnął się nieco, zaintrygowany.

- Aha...

Liebermann patrzył prosto w oczy Jacoba. Nie przychodził mu do głowy żaden sposób złagodzenia ciosu. W gruncie rzeczy poprzedzanie nowiny obwarowaniami i przeprosinami wydawało się nieroztropne. Jedynie przedłużyłoby mękę. Myślał nie tylko o sobie, lecz również o Jacobie. Liebermann wziął głęboki oddech i oznajmił niesłyszanie zrównoważonym głosem:

- Herr Weiss, nie mogę poślubić Clary.

Pomimo doniosłości tego oświadczenia zdawało się ono wywrzeć niewielkie wrażenie na Jacobie, na którego twarzy utrzymywał się wyraz zwykłej konsternacji.

- Słucham?

- Nie mogę ożenić się z pańską córką.

- Jak to? - Jacob przechylił na bok głowę. - Nie rozumiem. Liebermann odwrócił

wzrok i zarejestrował kilka przedmiotów w pokoju: pióro w stojaku, gumową pieczęć, kalendarz wiszący na ścianie.

- Zmieniły się moje uczucia wobec Clary.

Jacob miał mętlik w głowie, usiłował pojąć sens osobliwego wyznania młodego człowieka.

- Zmieniły? Co to znaczy, że „się zmieniły”?

- Lubię ją, bardzo ją lubię. Ale nie jestem pewien, czy ją Kocham.

- Max...

- Nie oczekuję wybaczenia. Jestem winien straszliwej pomyłki, straszliwego błędu, który przysporzy panu, pańskiej rodzinie, a przede wszystkim, niestety, Clarze wiele bólu.

Moje zachowanie jest niewybaczalne. - Fragmenty przygotowanej wcześniej mowy zaczynały wkradać się do wygłaszanych teraz zdań. - Gdy się zaręczaliśmy, byłem przekonany, że moje uczucia do Clary są szczerze. Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy zacząłem wątpić w prawdziwość mojego afektu. Jestem świadom, że nigdy nie zdołam wynagrodzić tego karygodnego szaleństwa i że żadne przeprosiny - choćby płynące z głębi serca - nie zrekompensują rozczarowania oraz smutku, jakich stanę się przyczyną.

Cisza, jaka zapadła po tym wyznaniu, zionęła niczym przepaść - skalna rozpadlina, która coraz bardziej oddalała od siebie obu mężczyzn. Jacob przycisnął do ust zaciśniętą pięść i zaczął przestawiać na biurku przedmioty serią chaotycznych i zupełnie bezcelowych ruchów. Kiedy wygasło to nagłe, przelotne ożywienie, przerwał ciszę surowym oskarżeniem.

- Związałeś się z inną kobietą? O to chodzi?

Pełna podejrzliwości pauza odsunęła w czasie zaprzeczenie Liebermanna.

- Nie, Herr Weiss, nie ma nikogo innego. Zawsze byłem wierny Clarze.

Weiss potrząsnął głową, próbując przybrać - cokolwiek bez powodzenia - pojednawczy ton.

- Max... wszystkich mężczyzn ogarniają wątpliwości. Pamiętam, jak... Liebermann przerwał:

- Herr Weiss, zapewniam, że rozważyłem tę sprawę głęboko i gruntownie. - Wiedział, że takie wtrącenie może zabrzmieć kategorycznie, pragnął jednak oszczędzić Jacobowi kolejnego rozczarowania. Każda podejmowana przez Herr Weissa próba przekonania go, by ponownie poddał rozwadze swą decyzję, nieuchronnie budziłaby złudne nadzieje i kończyła się frustracją.

- Powiadomiłeś ojca o swoim postanowieniu? - Nie.

- A matkę? - Nie.

- Będą mocno zdenerwowani.

- Wiem.

Jacob przerwał i postukał palcem wskazującym o palec.

- Max, skoro myliłeś się co do swoich uczuć poprzednio, skąd wiesz, że nie jesteś w błędzie teraz? - Jacob westchnął - był to długi, przeciągły wydech. - Może zbyt dużo pracujesz? Może jesteś przemęczony? Wyjedź gdzieś na krótko, zrób sobie piesze wakacje.

Na południu Włoch. Co o tym sądzisz? Pokryję koszty...

- Przykro mi, Herr Weiss. - Liebermann pokręcił głową.

Dla Liebermanna nie liczyły się w życiu żadne cele duchowe. Wyznawane przez niego wartości były pragmatyczne, poglądy filozoficzne określone przez proste cnoty medyczne: pomaganie innym, niekwestionowaną korzyść płynącą z łagodzenia bólu. Teraz, gdy sam stał

się przyczyną cierpienia, coś zadrżało w samym jądrze jego jestestwa. Cos podstawowego zaczęło pękać i się rozpadać. Nagle owładnęła nrmj przemożna potrzeba oczyszczenia się.

- Herr Weiss... okazałem się całkowicie niegodny pańskiego szacunku i życzliwości.

Ale proszę pozwolić mi wyrazić tylko jedną nadzieję dotyczącą naszych przyszłych stosunków. Gdy pański gniew - który jest zarówno nieunikniony, jak i uzasadniony - ustąpi, gorąco pragnę, aby uwzględnił pan fakt, że ze wszech sił starałem się działać w dobrej wierze.

Poślubienie Clary bez kochania jej całym sercem byłoby równoznaczne ze zdradą. Nawet ja -

w pańskich oczach zasługujący na pogardę nędznik - nie potrafiłbym oszukać tak dobrej, łagodnej istoty.

Jacob ukrył głowę w dłoniach.

- Dobry Boże... biedna Clara.

- Umówię się z nią na spotkanie dziś popołudniu. Ciało Jacoba gwałtownie się wyprostowało. - Co?

- Umówię się z nią dziś po południu na spotkanie. Muszę wyjaśnić...

- Oszalałeś? - przerwał mu Jacob. - Nie zobaczysz się z Clarą dzisiejszego popołudnia, Max. Zabraniam ci!

- Ależ muszę. To mój obowiązek, obowiązek, przed którym nie zamierzam się uchylać. Nie będę powiększał swej hańby o tchórzostwo.

Usta Herr Weissa wykrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiechu. Cierpki ton nie był niczym niespodziewanym.

- Już dowiodłeś, że jesteś tchórzem, Max. Za moich czasów mężczyzna dotrzymywał swoich zobowiązań - bez względu na cenę!

- Gdzie jest doktor Liebermann? Rheinhardt spojrział na Angielkę i wzruszył ramionami.

- Usiłowałem skontaktować się z naszym zacnym doktorem od samego rana - bez powodzenia. Mogę jedynie przypuszczać, że jest niedysponowany.

Panna Lydgate krótko skinęła głową.

- Czy mam rozumieć, że życzy pan sobie, bym dokonała kolejnej analizy mikroskopowej?

- W istocie. Doszło do kolejnego morderstwa - kapucyńskiego zakonnika, proszę sobie wyobrazić, którego ciało znaleziono wczorajszej nocy w krypcie Kapuzinerkirche.

Zebraliśmy rozmaite próbki kurzu z podłogi i zastanawiam się, czy mogłaby pani porównać je z preparatami, które sporządziła pani wcześniej.

Rheinhardt wskazał drewniane pudełko. Do wieka była przyklejona etykiетка opatrzona napisem:

Ra'ad, 7 listopada 1902. Próbki z szalika.

Sporządzone przez pannę Lydgate 10 listopada 1902 - Laboratorium Schottenring.

- Skoro znane są już pani te materiały - mówił dalej Rheinhardt - uznałem, że ma pani najlepsze kwalifikacje, by podjąć się tego zadania... - Intonacja zdania rosła pytająco.

- Z pewnością pański personel techniczny potrafi przeprowadzić analizę porównawczą. Ale skoro już tu jestem, a pańska prośba mi schlebia, przystąpmy do pracy.

Gdzie są nowe próbki?

Rheinhardt wyjął stos kopert z rybim klejem.

- Każda z nich zawiera próbki kurzu pobrane z różnych miejsc krypty.

Amelia wzięła pierwszą z kopert i zauważyła atramentowy napis w prawym górnym rogu.

- *Cesarz Franciszek Stefan i cesarzowa Maria Teresa?*

- A, tak... to odnosi się do osób spoczywających w trumnie najbliższej miejscu, z którego pobrano próbkę.

- Rozumiem.

- Tak się składa, że jest to zarazem najważniejsza próbka. Ciało kapucyna znaleziono obok tej

właśnie trumny - wiemy zatem, że morderca stał blisko. Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby poświęciła pani tejże próbce drobiazgową uwagę.

- Panie inspektorze, wszystkim poświęcę drobiazgową uwagę, bez wyjątku.

W tonie Angielki było coś niemal wyzywającego: chłodny sposób mówienia i nadzwyczaj intensywna ekspresja.- Dziękuję - rzeki Rheinhardt, nieco zmartwiony, że mógł

ją urazić.

- Inspektorze, może wróci pan do swego biura? To zadanie zajmie nieco czasu, a pańska obecność tutaj niczemu nie służy. Podejrzewam, że ma pan wiele innych ważnych spraw, których trzeba dopilnować.

- Och, przecież nie mogę zostawić tu pani samej.

- Dlaczegoż to?

- Byłoby to nietaktowne.

- Inspektorze, wolałabym zostać sama.

- Jest pani pewna?

- Całkowicie, inspektorze. Amelia obróciła się w stronę mikroskopu. Rheinhardt podziękował jej ponownie, ale ona już go nie słyszała. Jej umysł był w pełni zaabsorbowany wykonywaną czynnością. Inspektor podszedł na palcach do drzwi i wymknął się niczym cień.

Zaglądając przez okno korytarza, widział, jak panna Lydgate porządkuje sprzęt laboratoryjny z bezlitosną sprawnością. To bardzo szczególna kobieta, pomyślał Rheinhardt. Był jednakże zachwycony, że ją poznał.

Bibliotekarz wszedł do niewielkiego pomieszczenia, które zostało przeznaczone na komnatę kontemplacyjną. Jej ściany pokrywał chropowaty tynk, nadając jej wygląd jaskini pustelnika. Żelazny stół i drewniany taboret służyły za całe wyposażenie. Zapalił na stole samotną świecę, która rzuciła nagle światło na nieudolne malowidło ściennie wykonane białą farbą na czarnym tle. Przedstawiało koguta oraz słowo *vitriol* - akronim starożytnego rozkazu zdobywania samowiedzy: *visita interiora termę, rectificando invenies occultam lapidem* („dotrzyj do środka ziemi, a poprzez oczyszczenie znajdziesz ukryty kamień”). O stół stała oparta duża, pordzewiała kosa.

Otworzył worek, bibliotekarz ostrożnie wyjął ze środka kilka przedmiotów. Pierwsze były ludzka czaszka oraz kilka długich kości. Ułożył je starannie na stole, a obok położył

kawałek suchego chleba, klepsydrę oraz dwa metalowe talerze. Z kieszeni dobył dwie fiołki, których zawartość wysypał na talerze, tworząc dwa sypkie kopczyki żółci i bieli. Pierwszą substancją była siarka, drugą sól. Odnotował w pamięci, że musi wrócić ze szklanką wody.

Przed wyjściem zatrzymał się i odwrócił klepsydrę. Obserwował, jak ziarenka piasku przesypują się do dolnego zbiornika. Już za niewiele ponad dwa tygodnie będzie tu On -

zasiądzie przy tym samym stole, spisując swój filozoficzny testament. Bibliotekarz wyciągnął rękę i chwycił za kosę. Ktokolwiek zbliżający się do niego od tyłu mógłby wziąć go za kostuchę.

Herr Beiber leżał na kozetce, opisując sen, którego doświadczył w dzieciństwie.

- To dziwne, ale pamiętam go zupełnie wyraźnie.

- Ile miał pan wtedy lat? - dociękał Liebermann.

- Byłem bardzo mały.

- Jak bardzo?

- Och... miałem cztery, może pięć lat. Sypiałem jeszcze w dziecięcym łóżeczku w sypialni rodziców.

Po traumatycznej rozmowie z Herr Weissem Liebermann poświęcił się pracy w szpitalu. Było to terapeutyczne ćwiczenie, które przynosiło większą korzyść lekarzowi niż jego pacjentom. Cztery ściany, leżący na wznak człowiek, rozmowa oraz chwile znaczącego milczenia: oto świat Liebermanna. Kameralna, chroniona przestrzeń - ośrodek spokoju. Było coś niesłychanie kojącego w tej terapeutycznej sytuacji, jej uspokajającej swojskości: w uważnym słuchaniu, które jeśli podtrzymywane przez dłuższy czas, doprowadzało do całkowitej utraty samoświadomości. Lampa gazowa zamigotała, dzień miał się ku końcowi.

- Cztery czy pięć? To dość sporo - to znaczy, jak na spędzanie nocy w sypialni rodziców.

- Tak. Mogę się mylić - rzekł Herr Beiber. - Może byłem młodszy. Z drugiej strony należałem do bardzo chorowitych dzieci. Męczyły mnie straszliwe gorączki. Matka mówiła mi, iż raz czy dwa bali się z ojcem, że umrę. Podejrzewam, że martwili się moim zdrowiem -

nie pozwalali mi sypiać oddzielnie do dość późnego wieku. Herr Beiber popukał się palcem w żołądek.

- A ten sen?

- A tak, sen. Śniło mi się, że jest głęboka noc. Nie zaciągnięto zasłon, a była pełnia -

więc pokój był rozświetlony. Widziałem łóżko rodziców, toaletkę matki i stolik toaletowy z dzbanem i miską. Wszystko miało barwę srebrzystej bieli. Jednak najdokładniej pamiętam szafę. Nigdy nie lubiłem tej szafy. Wyglądała jak wielkie, pozbawione ozdób pudło.

Przypominała mi trumnę. Widywałem trumny na karawanach i jestem pewien, że w moim dziecięcym umyśle wytworzyłem sobie jakieś skojarzenie. Tak, jak sądzę, zadziałała moja wyobraźnia, ubzdurałem sobie, że ta szafa kryje w sobie coś makabrycznego. - Herr Beiber uśmiechnął się i odchylił w tył głowę. - Ach, zdaje się, że w sposób niezamierzony przyjąłem pańskie psychoanalityczne koncepcje, Herr Doctor - czyż nie była to „interpretacja”?

Liebermann pokręcił głową.

- Proszę kontynuować. Pański sen jest dla mnie szalenie interesujący.

- Naprawdę? Cóż, przypuszczam, że sny to rzeczywiście fascynujące zjawisko... Nim tutaj trafiłem, nie przywiązywałem do nich większej wagi. - Głos Beibera ożywił się. - Mam nadzieję, że kiedy połączymy się wreszcie z arcyksiężną, będziemy spędzać długie godziny na opowiadaniu sobie nawzajem snów. Często zastanawiałem się, jakież to fantastyczne dramaty muszą rozgrywać się za tymi pięknymi powiekami, kiedy zamyka je sen.

- Herr Beiber - odezwał się Liebermann. - Pański sen?

- No tak - na czym skończyłem?

- Na szafie. Kojarzyła się panu z trumną.

- W istocie. No więc wpatrywałem się w tę prostą, wysoką skrzynię, która w mojej dziecięcej wyobraźni była składem okropieństw wszelkiego autoramentu, gdy nagle: co się wydarzyło? Spełniły się moje najgorsze obawy. Drzwi zaczęły otwierać się ze skrzypieniem, a ja zdałem sobie sprawę z odgłosu ciężkiego dyszenia - czegoś w rodzaju sapania wygłodniałej bestii. Powoli, powolutku drzwi rozwarły się na oścież - na pozór same z siebie

- ukazując nieprzenikloną ciemność, nieprzepuszczalną dla księżycowego blasku. W środku nie widziałem nic. Żadnych płaszczy, żakietów czy pudel na kapelusze - żadnych przedmiotów - ani jednej oczekiwanej rzeczy, która stanowiła element codziennej obecności matki i ojca. Byłem sparaliżowany i, rzecz jasna, owładnęło mną przerażenie. Zastanawiałem się, cóż to za stworzenie może tak straszliwie dyszeć i czy będzie próbowało wyskoczyć ze swojej kryjówki. Zapaliło się dwoje czerwonych oczu. Połyskiwały w świetle księżyca.

Potem nad nimi pojawiła się kolejna para... Chciałem krzyczeć, ale odebrało mi mowę. Z

moich ust nie wyrwał się nawet pisk. Potem stało się coś niesamowitego. Z szafy wyskoczył

ogromny, czarny kosmaty stwór. Było to coś śliniącego się i wielkiego - tak mógłby być przedstawiany wilk w dziecięcej książeczce z obrazkami. Potem wyskoczył jego towarzysz -

bestia z tej samej wilczej rodziny i niemal takich samych rozmiarów. Wpatrywały się we mnie z wywieszonymi jęzorami. I przez cały czas to nieustające, okropne, straszliwe dyszenie... Zaczęły się przybliżać. Szły w moją stronę. - W głosie Herr Beibera pobrzmięwało teraz napięcie. Kpiący, wyniosły ton zniknął całkowicie. - Wielkie łapy na podłogowych deskach, drapanie pazurów, długie machające ogony, bezlitosny, dziki wzrok... - Pierś Herr Beibera unosiła się i opadała w coraz szybszym tempie, oddech stał się nierówny. - Chciały mnie pożreć. Wyobrażałem sobie te ostre kły zatapiające się w moje ciało, rozrywające je, szarpiące, potrząsające... Krzyczałem i krzyczałem. I nagle zorientowałem się, że krzyczę naprawdę! Siedziałem w łóżeczku - całkowicie obudzony - kurczowo ściskając kołdrę obiema rękami...

Herr Beiber schwycił szpitalną koszulę, gdy ten obraz przechowywany w pamięci dotykowej wywołał skurcz palców. Przez dłuższą chwilę milczał.

- I co stało się potem?

- Matka przyszła mi z pomocą. Pogłaskała mnie i pocałowała - powiedziała, że był to tylko zły sen i nie mam się czego bać. Lecz ja nie uwierzyłem. I... i...

- Tak, proszę mówić.

- Miałem rację, że nie dałem temu wiary. Bez wątpienia wyda się to panu dziwne, Herr Doctor - ale prosił mnie pan o szczerłość. Przez kolejne noce nasłuchiwałem bardzo uważnie i przysięgam, że słyshałem to straszne ziajanie dobywające się z szafy.- Może znów pan spal - i by} to kolejny sen.

- Nie, Herr Doctor, nie spałem. Byłem tak przytomny jak pan lub ja w tej chwili.

- Jak pan sądzi, co to było?

- Przyzna pan - mam nadzieję - że istnieje na tym świecie wiele rzeczy, na które nie mamy gotowej odpowiedzi.

Miody lekarz milczał.

Liebermann wrócił do domu późno i zastał swego służącego kręcącego się niecierpliwie w holu.

- Ernst, o co chodzi?
- Jest tu pańska matka.
- Moja matka? - Tak.
- Gdzie?
- W pokoju muzycznym.

Ernst odebrał od Liebermanna karakułowy płaszcz.

- Kiedy przyszła?
- O ósmej trzydzieści, sir.

Liebermann rzucił okiem na zegarek. Był kwadrans po dziewiątej.

- Siedzi tu cały wieczór! Bardzo dziękuję, że zaczekałeś.
- Nie ma za co, sir. Liebermann wziął głęboki oddech i wszedł do pokoju muzycznego, gdzie matka siedziała na sofie. Przez chwilę nie reagowała. Wydawała się drobna, przygarbiona i zatroskana. Następnie z niezwykłą skwapliwością wstała i przybrała z lekka bojową postawę.
- Maksimie!
- Mamo...

Liebermann podszedł do niej i zawahał się chwilę, nim ją pocałował. Zrobiła dziwną minę (w jakiś niezrozumiały sposób łączącą w sobie protekcyjność ze współczuciem i rezygnacją) i podsunęła mu upudrowany policzek.

- Przypuszczam, że słyszałaś - odezwał się Liebermann.
- Tak, słyszałam. A właściwie kiedy miałeś zamiar powiedzieć o tym nam?
- Jutro. Przepraszam. Musiałem wracać do szpitala.
- Szpital, szpital, wiecznie ten szpital. Wiesz, czasem wydaje mi się, że twój ojciec ma rację. Lepiej byś wyszedł na zarządzaniu jedną z fabryk. Usiądź, Max.

Zrobił, jak kazała, a matka usadowiła się na sofie obok niego.

- Przepraszam, mam, naprawdę mi przykro. - Rebecca Liebermann w odpowiedzi wzruszyła ramionami, uczyniła dwuznaczny gest ręką i zdjęła małe klaczkę ze spodni syna. - Jak się dowiedziałaś?

- Jacob rozmawiał z twoim ojcem. - Aha...

- Jest wściekły. Gdy wychodziłam z Concordiaplatz groził, że cię wydziedziczy.

Liebermann przełknął ślinę.

- Czy Herr Weiss wspominał o Clarze? - Tak.

- Jak się miewa?

- Wysyłają ją z ciotką Trudi na pewien czas.

- Dokąd?

- Nie wiem, po prostu wyjeżdżają.

- Chciałem się z nią zobaczyć, ale Herr Weiss mi zabronił.

- Czy można mieć mu to za złe? Liebermann pokręcił głową.

- Chciałem jedynie postąpić honorowo - to wszystko. - Liebermann obracał w palcach luźny guzik marynarki. - Wiele miesięcy temu zapytałaś mnie, czy ona jest naprawdę tą jedyną - czy rzeczywiście ją kocham. Myślałem, że tak, ale myliłem się. Nie kocham Clary - a przynajmniej nie tak, jak powinienem. Wówczas tego nie wiedziałem, teraz już wiem. I gdybyśmy mimo wszystko się pobrali, byłoby to złe małżeństwo. Małżeństwo oparte na kłamstwie. Cóż dobrego mogłoby z tego wyniknąć? Nie myślałem tylko o sobie - myślałem również o Clarze...

Rebecca przeszkodziła synowi w szarpaniu guzika marynarki.

- Zostaw - urwiesz. - Ujęła jego dłoń i ścisnęła długie, eleganckie palce.

- Miałam pewne wątpliwości. - Naprawdę?

- Matczyna intuicja. Wiem, że uważasz mnie za głupiutką staruszkę, gdy mówię takie rzeczy, ale coś takiego istnieje, czy ci się to podoba, czy nie.

Liebermann popatrzył matce w oczy. Błyszczały, ale nie było w nich łez.

- Co mam zrobić z ojcem?

- Trzymaj się od niego z daleka - przez pewien czas. Píše do ciebie list. Zignoruj go -

jest wytrącony z równowagi, i tyle. Wiesz, jak to z nim bywa. A jeśli miałbyś odpowiedzieć,

pamiętaj, że to mimo wszystko twój ojciec. Zrobię, co będę mogła...

Rebecca założyła synowi za ucho zabłąkane pasmo włosów - był to jeden z jej nawyków, który Liebermann uważał za niesłychanie irytujący (ale który teraz gotów był jej wybaczyć) - i raptownie wstała.

- Muszę iść - oznajmiła. - Już późno. Ojciec był początkowo przeciwny mojemu przyjsciu.

- Przecież prawie nie porozmawialiśmy - a czekałaś tu cały wieczór.

- Nieważne... zobaczyłam się z tobą. To wystarczy.

- Wystarczy do czego?

- Tyle nauki, a czasem wciąż niczego nie rozumiesz. - Idąc w stronę drzwi, zatrzymała się przy Bósendorferze. - Ostatnimi czasy niej zdarza mi się słyszeć, jak grasz. Uwielbiałam słuchać twojej gry.

Stefan Kanner i profesor Pallenberg stali w pokoju na poddaszu Szpitala Ogólnego.

Sznur, którego jeden koniec znikał w wymyślnym urządzeniu wciągającym, był przerzucony przez centralną belkę nośną. Odkryty mechanizm wciągarki składał się z kilku dużych drewnianych kół zębatach, centralnego bębna oraz korby. Drugi koniec sznura tworzył pętlę, która ciasno okręcała stopy mężczyzny w średnim wieku, zawieszono go do góry nogami mniej więcej półtora metra nad podłogą. Był ubrany w kaftan bezpieczeństwa z brązowego płótna. Siła ciężenia przemieściła skórę na jego twarzy, nadając jej wyjątkowy wyraz, który był mariażem nieprzeniknioności Buddy z komicznymi rysami klauna; włosy zwisały pionowo w dół. Scenę oświetlało blade światło sączące się jakby współczująco przez wąskie okno.

- I co pan na to? - rzekł profesor Pallenberg.

- Muszę wyznać, że nie jest mi znana ta konkretna forma... - Kanner zawahał się, przygryzł dolną wargę i wreszcie wydusił słowo - leczenia.

- Nie - powiedział Pallenberg. - Jest w dużej mierze nieznana studentom pańskiego pokolenia.

Pacjent obracał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, stopniowo zwalniając aż do osiągnięcia idealnego bezruchu. Po chwili lina zaczęła się rozwijać i wiszący mężczyzna zaczął kręcić się w przeciwnym kierunku. Kaftan bezpieczeństwa nadawał mu wygląd gigantycznej poczwarki.

- Jak panu wiadomo - ciągnął Pallenberg - Herr Auger nie zareagował na klasyczne formy leczenia - zwłaszcza morfinę i weronal - uznałem zatem, że czas wypróbować inne podejście... coś, co zapamiętałem z czasów studiów w Paryżu.

- Podwieszanie jest francuską terapią?

- W samej rzeczy. Jestem jednym z wybrańców wśród wiedeńskich lekarzy, którzy mieli przyjemność studiować pod kierunkiem Charcota w Salpetriere. Zna pan profesora Freuda?

- Nie osobiście.

- On jest tym drugim. Wybitny umysł, ten Charcot. Napoleon nerwic.

- Czytałem kilka tłumaczeń profesora Freuda. Ale nigdy nie zetknąłem się z tą specyficzną - ponownie się zawahał - terapią.

- Cóż, nie ma w tym nic zaskakującego. Pionierska praca Charcota wykorzystująca hipnozę w leczeniu *la grande hystérie* nieco przyćmiła jego inne dokonania. W mojej opinii przyjmowanie opiłków żelaza oraz podwieszanie w pasach to dwie oryginalne interwencje medyczne, których, niestety, nie doceniono.

- Czy mogę zapytać - zaczął ostrożnie Kanner - jak działa podwieszanie?

- Cóż - odparł Pallenberg - Charcot wysunął pewne teorie, które - żeby być szczerym -

nie są, według mnie, przekonujące. Ale zawsze podejrzewałem, że jego prace w tej dziedzinie zasługują na dalszą uwagę. Pamiętam przypadek inżyniera, który cierpiał na urojenia, że jest prześladowany i któremu ogromnie pomogły podwieszania. Był także żeglarz przekonany, że amputowano mu jedną nogę, kiedy przysnął gdzieś u wybrzeży Portugalii... Od dawna zastanawiałem się, czy pewne formy urojeń - do których musimy zaliczyć zespół Cotarda -

nie są wywoływane zaburzeniami krążenia. Może Charcot osiągał sukcesy, ponieważ podwieszenie wywierało pewien subtelny wpływ na przepływ krwi tętniczej w mózgu? Mam szczerą nadzieję, że Herr Auger odniesie korzyść z tego procesu.

- Czy nie można osiągnąć podobnego efektu przez zachęcanie Herr Augera do leżenia w łóżku z nogami uniesionymi na poduszkach?

Profesor Pallenberg pokręcił przecząco głową.

- Nie, bardzo w to wątpię. Kanner, akceptując rolę strony mniej doświadczonej w tej wymianie poglądów, uznał swój błąd.

Profesor Pallenberg podszedł do odwróconego do góry nogami pacjenta. Monotonne skrzywienie towarzyszyło okresowym, naprzemiennym obrotom zgodnym z ruchem wskazówek zegara oraz do niego przeciwnym.

- Herr Auger - rzekł Pallenberg, zwracając się do głowy o „odwrotnie” najeżonych włosach. - Jak się pan czuje?

- Ja nie istnieję - padła łagodna, zrezygnowana odpowiedź.

- To oczywista nieprawda, Herr Auger - odparł z niejakim zniecierpliwieniem Pallenberg. - Czy byłby pan łaskaw powiedzieć mi, jak się czuje?

- Mnie tu nie ma.

Kanner z ulgą przyjął typową odpowiedź Herr Augera. Skoro nieszczęśnik nie wierzył we własne istnienie, wydawało się mało prawdopodobne, że bardzo cierpiał.

Pallenberg wzruszył ramionami i pochwycił spojrzenie Kanner.

- Na tak wczesnym etapie trudno oczekiwać większego postępu. Byłbym wdzięczny, doktorze Kanner, gdyby dopilnował pan, by Herr Augera podwieszano codziennie na piętnaście do dwudziestu minut. Wciągarka jest prosta w obsłudze, lecz bezwzględnie będzie pan potrzebował pomocy sanitariuszy.

- Oczywiście, sir. Pallenberg złożył krótki ukłon.

- Do widzenia, Herr Doctor.

Zorientowawszy się, że został odprawiony, Kanner uklonił się i wyszedł z pokoju.

Schodził po schodach w stanie dziwnego otępienia, cokolwiek przytłoczony spotkaniem z profesorem Pallenbergiem i nieszczęsnym Herr Augerem.

Nim Kanner zdążył dotrzeć do swego gabinetu, jego myśli zwróciły się już ku innym sprawom. Przed wejściem do pokoju rozejrzał się po korytarzu w obie strony, po czym prędko wśliznął się do środka. Od razu podszedł do biurka, przekręcił klucz w dolnej szufladzie i wyjął bogato haftowane szarfę i fartuch. Fartuch nosił wizerunek świątyni pomiędzy dwiema kolumnami, które oznaczono odpowiednio literami J i B. Kanner pospiesznie wepchnął te rzeczy do lekarskiej torby i zatrzasnął kłamry. Następnie odetchnąwszy z ulgą, spojrzął na zegarek.

Liebermann i Rheinhardt ćwiczyli arię Guglielma z pierwszego aktu *Così fan tutte*.

Włoskiemu Rheinhardta daleko było do doskonałości.

Guardate... taccate... Patrz... dotknij...

Zmagał się z płynnymi głoskami.

// *tutto ossewate...* Wszystko obserwuj...

Nie naradzali się intensywnie nad doborem pieśni, a mimo to na ich wieczór muzyczny złożyło się wyjątkowo dużo zaaranżowanych na głos i fortepian arii z oper Mozarta. Ten fakt sprawił, że Liebermann poczuł się wyraźnie nieswojo. Podświadomie szukali wskazówek.

// *tutto osservate...* Wszystko obserwuj... Ich wspólne muzykowanie zawsze było święte: zawsze powstrzymywali się przed omawianiem innych spraw, bez względu na to, jak pilnych, póki nie wybrzmiały do końca finalne akordy ostatniej pieśni. Jednak tym razem Salieri wydawał się pogwałcić ich tradycję. Zakradł się do pokoju muzycznego - pomiędzy nuty boskich melodii Mozarta. Stał w cieniu Bóscendorfera: upiorny, nieproszony.

Wykonawszy utwory Mozarta, powrócili na bardziej swojskie terytorium - do pieśni Brahmsa. Zmysłowe, romantyczne brzmienia zdawały się odstraszać widmowego gościa (przynajmniej tymczasowo), wypychać go w jakieś odległe rejony. Ale kiedy recital został

zakończony - wykonaniem *Wir wandelten* - Liebermanha wciąż coś gryzło. Nie tylko myśl o Salicrim nie dawała mu bowiem wytchnienia. Była jeszcze kwestia czekającego go wyznania.

Powziął postanowienie, że poinformuje Rheinhardta o swojej decyzji zerwania zaręczyn z Clarą i nie wiedział, jak przyjaciel zareaguje na tę nowinę.

Obaj mężczyźni przenieśli się do palarni i zajęli swoje zwyczajowe miejsca przed kominkiem. Zapalili cygara, sączyli brandy i pozwolili sobie na kilka chwil wytchnienia w ciszy. Gdy pokój zasnuł się dymem, miody lekarz powiedział:

- Wybacz, Oskarze. Jestem ci winien przeprosiny. Inspektor obrócił się.

- Słucham?

- To zaniedbanie z mojej strony, że nie odpowiedziałem na twój list w zeszłym tygodniu.

- Uznałem, że jesteś chory.

- Nie, nie byłem chory. I należy ci się coś więcej niż skreślona naprędce odpowiedź, którą przesłałem w poniedziałek.

Rheinhardt wyczuł w przyjacielu niespotykane napięcie. Niespokojne palce zdradzały stan wewnętrznego wzburzenia.

- O co chodzi, Max?

Liebermann zawahał się. Następnie, zebrawszy siły, odrzucił w tył głowę i przełknął

lecniczą ilość brandy. - W zeszłym tygodniu - powiedział wyraźnie i powoli - musiałem podjąć w osobistej kwestii decyzję, po której czułem się całkowicie zdruzgotany. W istocie miałem tak podły nar strój, że z trudem znajdowałem w sobie energię na dogłądanie pacjentów. - Liebermann badał wzrokiem załamane tęcze w misternie rżniętym szkle. -

Postanowienie, które powziąłem, nie spotka się, jak mniemam, z twoją aprobatą. - Spojrzał z niepokojem na przyjaciela. Rheinhardt zlekceważył tę uwagę gestem ręki i dał Liebermannowi znak, by mówił dalej. - Przypominasz sobie, że niegdyś wyraziłem pewne wątpliwości co do tego, czy powinienem kontynuować narzeczeństwo z Clarą Weiss.

- Istotnie. Omawialiśmy ten temat dość obszernie.

- Cóż, Oskarze. Wbrew twoim mądrym radom uznałem, że nie potrafię rozwiać obaw, jakie narosły wokół przyszłości naszego związku. Umówiłem się na rozmowę z ojcem Clary i wyjaśniłem, że nie mogę - w dobrej wierze - poślubić jego córki. Nie muszę mówić, że był

przerażony i zabronił mi zobaczyć się z Clarą. O ile mi wiadomo, wywieziono ją z Wiednia i przypuszczam, że zabrano do jakiegoś sanatorium. - Liebermann zaciągnął się cygarem i wydmuchał gęsty obłok dymu. - Widzisz więc, Oskarze, że od naszego ostatniego spotkania osiągnąłem niemało. Wprawiłem własnych rodziców w głębokie zakłopotanie, stałem się przyczyną nieobliczalnego cierpienia kobiety, wobec której deklarowałem wcześniej miłość oraz zrzekłem się członkostwa w rodzinie, która do tej pory okazywała mi jedynie życzliwość i najgłębszą sympatię. Nie zdziwiłbym się, gdybyś myślał o mnie źle.

Z polana w kominku nagle buchnął płomień i gwałtowny snop iskier wystrzelił nad paleniskiem. Inspektor ścisnął dolną wargę i wydawał się zapaść w stan kontemplacji. Po upływie dłuższej chwili Rheinhardt poruszył się. Odchrząknął, zamruczał i wreszcie przemówił.

- Przede wszystkim, Max, mam nadzieję, że przyjmiesz najszczerze wyrazy współczucia. Nie miałem pojęcia, że aż tak mocno dręczą cię wątpliwości, bo gdybym wiedział, być może udzieliłbym ci innej rady. Po drugie, mam do ciebie pełne zaufanie. Nie twierdzę, że posiadam jakąś szczególną wiedzę o ludzkim umyśle - nie jestem psychiatrą - ale potrafię właściwie oceniać ludzi i rozumiem cię wystarczająco dobrze, by docenić, że miałeś honorowe intencje. Nie chciałeś żenić się w zakłamaniu - tyle jest jasne. Byłoby to niekorzystne dla ciebie, a jeszcze gorsze dla Clary. Wreszcie: zawsze uważałem cię za człowieka niezwyklej odwagi. W moim skromnym mniemaniu - cokolwiek to znaczy - ten czyn jest być może najodważniejszy, na jaki zgodnie z moją wiedzą kiedykolwiek się zdobyłeś. Właściwy sposób postępowania rzadko bywa najłatwiejszy, a zawarcie nieszczerego małżeństwa dla zachowania pozorów byłoby moralnie naganne. Ponieważ jesteś mężczyzną, którego powołaniem... nie, dla którego zasadniczym sensem istnienia jest łagodzenie ludzkiego cierpienia,

wydarzenia ostatniego tygodnia musiały cię drogo kosztować. Bardzo mi przykro. Tak czy owak, podejrzewam, że ta ciężka próba nie powinna wiecznie drążyć twojego sumienia. Z czasem oni wszyscy uświadomią sobie słusność twojej decyzji - twoja rodzina, Weissowie i, co najważniejsze, twoja droga Clara.

Liebermann odwrócił się powoli i spojrzał na znużoną twarz przyjaciela: obwisłe worki pod oczami, ciężące w dół policzki i dziwnie zawadiacko wyostrzone na koniuszkach wąsy. Gdy tak się mu przyglądał, zalała go fala uczuć, która niemal wzruszyła go do łez.

Jakąż ten człowiek ma wielką i szlachetną duszę, pomyślał.

- Oskarże, nie wiem, co powiedzieć. Jesteś nazbyt łaskawy. Nie zasługuję na takie...

- Nonsens, nonsens! - zawołał inspektor.

- Nie - naprawdę nie zasługuję...

- Dosyć! - Rheinhardt podniósł rękę. - Przymioty twojego charakteru są bezdyskusyjne. Nie masz mi za co dziękować. - To powiedziawszy, nieoczekiwanie zaczął

zbierać się do wyjścia. - Jak wiesz, dzisiejszego wieczoru chciałem przedyskutować z tobą wiele kwestii dotyczących Salieriego... ale odłóżmy je na inną okazję. Nie chciałbym obarczać cię kłopotami biura bezpieczeństwa w tak trudnych dla ciebie chwilach. Spotkamy się ponownie we właściwym czasie - kiedy odzyskasz energię.

- Ale Oskarże - zaprotestował Liebermann - ja już odzyskałem energię. Twoje życzliwe słowa podziałały jak środek wzmacniający. Ponadto nie znam lepszego lekarstwa niż przysłużenie się biuru bezpieczeństwa. Proszę cię, usiądź!

Rheinhardt zmrużył oczy.

- Jesteś pewien? - Tak.

Inspektor się uśmiechnął.

- Znakomicie.

Rheinhardt otworzył torbę i wyjął plik fotografii. Następnie, powróciwszy na miejsce, podał je Liebermannowi.

Młody lekarz obejrzał pierwszą z nich: ciemny, ziarnisty obraz zakapturzonej postaci leżącej na kamiennej podłodze.

- Kolejne morderstwo Salieriego?

- Obawiam się, że tak.

- Kiedy zaatakował?

- W czwartek.

- Czy prasa doniosła o tym zabójstwie?

- Pisano o nim w „Zeitung, Freie Presse” i tym okropnym nowym szmatławcu,

„Illustrierte Kronem-Zeitung”.

Liebermann zaczął przeglądać stos odbitek. Każda pokazywała ciało z innej perspektywy. Zbliżenia, widok ogólny, widok z góry...

- Nazywał się brat Francis - mówił dalej Rheinhardt. - Kapucyński zakonnik. Ciało znalazł jeden z jego współpracowników, brat Ignaz, w krypcie Kapuzinerkirche. W planie Salieriego jego odpowiednikiem z *Czarodziejskiego fletu* musi być jeden z kapłanów.

- Albo Przemawiający, który jest kimś w rodzaju wysokiego kapłana.

- Istotnie. Profesor Mathias upatrywał przyczyny śmierci w utracie krwi będącej wynikiem ciosu zadanego szablą.

- Tą samą szablą?

- Tego stwierdzić nie potrafił. - Rheinhardt poruszył się na krześle i pochylił bliżej ku Liebermannowi. - Kiedy zszedłem do krypty, kilku zakonników klęczało wokół ciała i odmawiało modlitwy za zmarłego. Naturalnie uznałem, że brata Francisca nie ma już wśród żywych. Ale srodcie się myliłem.

- Jeszcze żył!

- Tak. Nieszczęśnik z pewnością przybył już do wrót śmierci, lecz jeszcze nie przestąpił ich progu. Zdołał zrobić kilka rozpaczliwych wdechów i wydawało się, że odzyskuje przytomność. Natychmiast zapytałem, kto dopuścił się tego podłego czynu.

Odpowiedź była... intrygująca. Powiedział: „Wiolonczelista”. A potem umarł.

Liebermann przyjrzał się zbliżeniu twarzy zmarłego zakonnika. Haczykowaty nos wystawał spomiędzy dwojga zapadniętych oczu.

- Niesamowite - skonstatował Liebermann, docierając do ostatniej z fotografii.

Przedstawiała cesarski grobowiec wyłaniający się z ciemności jak galeon z upiorną załogą. -

Krypty nie sprofanowano symbolami?

- Nie.

- Profesor Mathias nie natknął się na żadne przedmioty ukryte w zwłokach kapucyna?

- Nie.- I nie było okaleczeń? - Liebermann postukał w plik fotografii.

- Salieriemu przeszkodziło nadejście brata Ignaza. Sądzę, że nie miał czasu.

- Co wyjaśnialoby, dlaczego nie zadał skutecznego ciosu.

- Właśnie, musiał zdekoncentrować się w najważniejszym momencie.

- „Wiolonczelista”... - Liebermann obrócił w rękę szklanę. Tęcze znikły i uformowały się na nowo.

- Jakie mamy wyciągnąć wnioski? Salieri nie mógł siedzieć w krypcie i grać sonaty Bacha. A zatem, czy brat Francis go rozpoznał? Czy to uznany artysta?

Wirtuoz? A może jakiś szeregowy muzyk orkiestrowy, który brał niedawno udział w koncercie muzyki sakralnej?

- Wszystko jest możliwe. - Rheinhardt uśmiechnął się ponuro. - A czy mamy przypuszczać, że nadając mordercy przydomek Salieri, dokonaliśmy wyboru trafniejszego niż można się było spodziewać?

- Wydaje mi się, że prawdziwy Salieri studiował grę na klawesynie i skrzypcach, a nie na wiolonczeli. A zresztą, zebrane jak dotąd dowody z pewnością sugerują, że nasz poszukiwany jest muzykiem.

- Aschenbrandt?

- To jedyny muzyk, który zalicza się do grona twoich podejrzanych - a w dodatku jest również wiolonczelistą. Widziałem ten instrument oparty o ścianę, gdy złożyłem mu wizytę w jego mieszkaniu.

- Tak. Aschenbrandt... czy mógłby być mordercą? Przeczytałem twój raport z wielkim zainteresowaniem. Ale wprowadził mnie w pewne... zakłopotanie.

- Tak? Dlaczego?

- Wyciągnąłeś kilka wniosków, Max - lecz czy rzeczywiście na podstawie tej rozmowy? Rozumiem, że jej zapis jest wierny i nie zostało powiedziane nic więcej?

- Zgadza się.

- Być może moja pamięć szwankuje, ale czy nie było tak, że poruszyłeś z nim tylko jeden temat? To znaczy muzykę?

- A czego oczekiwałeś? Miałem omówić kwestię morderstwa?

- Cóż... w takich okolicznościach...

- Oskarże, jaki byłby cel takich pytań? Ludzie kłamią, wprowadzają w błąd i wymyślają alibi, które następnie potwierdzają ich współnicy. Mnie interesuje wyłącznie to, co ujawniają o sobie w sposób bezwiedny: uniesienie brwi, wahanie, przejęzyczenie - drobne reakcje. One są znacznie cenniejsze. To autentyczne komunikaty wysyłane przez podświadomość. Gdybym napomknął o morderstwie, Aschenbrandt z miejsca miałby się na baczności.

Liebermann zapalił kolejne cygaro.

- Aschenbrandt - ciągnął - jest zdecydowanie nie zrównoważonym młodym człowiekiem. Antysemitą, żyjącym na wpół urojone przekonania o istnieniu teutońskiego mesjasza, którego przeznaczeniem jest zbawienie ludów mówiących językami germańskimi.

Możliwe, że uległ temu jakże sugestywnemu mitowi, który teraz zawładnął jego umysłem jak demon. Może nawet postrzega siebie jako tytułowego „Niezwyciężonego” ze swojego kwartetu smyczkowego - którego misją jest oczyszczenie Wiednia z wrogich koczowników, Słowian, Murzynów i może również przedstawicieli starego porządku - zdemoralizowanego Kościoła katolickiego. Lecz co do tego, czy to właśnie on jest Salierim... cóż, mam wątpliwości. Kiedy rozmawialiśmy o *Czarodziejskim flecie*, Aschenbrandt wydawał się niewzruszony. *Czarodziejski flet* jest porządkującą zasadą Salieriego - kanałem wyrazu jego całej nienawiści i okrucieństwa. Gdyby Aschenbrandt rzeczywiście był Salierim, powinno wskazywać na to coś więcej. Był zły, oczywiście - zły, ponieważ mu przeszkodziłem, zły, bo określiłem muzykę Wagnera mianem pompatycznej - i uważał moje zachwyty nad Mozartem za wyjątkowo irytujące. Ale ani razu rozmowa o *Czarodziejskim flecie* nie wywołała zauważalnej zmiany w jego zachowaniu. Wydawał się całkiem swobodnie dyskutować temat, który powinien wzbudzać najsilniejsze emocje. Emocje, które powinien starać się za wszelką cenę ukryć.

- Wszystko pięknie, Max - rzeki Rheinhardt. - Ale i tak mam zamiar przeprowadzić pełne śledztwo muzycznej aktywności Aschenbrandta. Jeśli okaże się, że brał udział w jakichkolwiek koncertach kameralnych w Kapuzinerkirche bądź jakimkolwiek innym kościele...

- Oczywiście - powiedział Liebermann - przedstawiam ci jedynie swoją opinię - a Salieri może być istotą na tyle wyjątkową, że jego procesy myślowe nie podlegają zasadom psychoanalizy. - Strząsnął popiół z cygara. - A co z innymi podejrzanymi?

- Widziałem się z tym artystą, Olbrichtem. Cóż za dziwny człowiek.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ma coś takiego w twarzy...- Mam nadzieję, że nie zamierzasz znów odwoływać się do teorii Lombrosa. Oskarże, powtarzam raz na zawsze, nie istnieje żaden związek pomiędzy wyglądem człowieka a jego naturą.

- Tak, masz absolutną słuszność - co dziwne, Olbricht jest kimś w rodzaju bohatera wojennego. Uratował życie swojemu dowódcy podczas kampanii w Bośni i Hercegowinie w 1878 roku. I - jak na wojskowego - dość niechętnie o tym wspominał. Zaprosił mnie na otwarcie swojej następnej wystawy. Odbędzie się w Galerii Hildebrandta przy Karntnerstrasse. Inni członkowie Eddyjskiego

Towarzystwa Literackiego na pewno tam będą.

Byłbyś zainteresowany wybraniem się tam ze mną?

- Bardzo.

- Znakomicie.

- A co z porucznikiem Hefnerem?

Twarz Rheinhardta skurczyła się w mały owal odrazy.

- Haussmann spędził nieco czasu w Cafe Haynau, obskurnej speluncie często odwiedzanej przez wojskowych. To zarazem siedlisko plotek. Krążą pogłoski, że Hefner zabił

kilka osób w pojedynkach - co jest prawdopodobnie przesadą, ale nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się prawdą. Jego nazwisko łączono ostatnio z nazwiskiem Lemberga, syna tego przemysłowca. Młody mężczyzna ponoć zmarł wskutek śmiertelnej rany otrzymanej „w wypadku z bronią palną”.

Liebermann osunął się głębiej w fotelu.

- Wygląda na to, że zabijanie jest rozrywką Hefnera.

- Mówią też, że strach jest mu obcy. Nigdy nie traci zimnej krwi - w pojedynku z awansem zawsze strzela jako drugi.

- Chłodny, wyrachowany... i arogancki?

- Nie do zniesienia.

- Pewien profesor z Berlina opisał „typ” patologiczny, który cechują stopień uczuć, obsesja na punkcie własnej osoby oraz brak sumienia. Przypisuje ten syndrom procesowi chorobowemu atakującemu płaty czołowe mózgu...

Obaj mężczyźni wpatrywali się w płomień. Lampy gazowe szumiały melodyjnie w tonacji durowej.

- Rzecz w tym... - powiedział Rheinhardt, nie chcąc dać się wciągnąć w techniczną dyskusję z niezgłębionej dziedziny medycyny - że ani Hefner, ani Aschenbrandt, ani Olbricht, ani żaden inny członek Eddyjskiego Towarzystwa Literackiego nie jest - wedle mojej wiedzy

- bibliotekarzem ani sprzedawcą książek antykwarycznych.

- Słucham? - powiedział Liebermann. Rheinhardt przypuszczał, że jego przyjaciel wciąż rozmyśla o płatach czołowych.

- Podczas twojej - Rheinhardt uśmiechnął się - nieobecności pozwoliłem sobie ponownie wezwać

pannę Lydgate do zanalizowania próbek kurzu zebranego przy ciele kapucyna.

- Tak? - Liebermann wyprostował się w fotelu.

- Zajmowała laboratorium przy Schottenring niemal przez pełne dwa dni.

- I co wywnioskowała?

- Ze kurz z krypty zawierał cząsteczki skóry, kleju i tkaniny identyczne z tymi, które znalazła w poprzednim badaniu - choć występowały w znacznie mniejszych ilościach.

Posunęła się nawet do stwierdzenia, że pewien rodzaj skóry - o czerwonym odcieniu -

pojawił się w obu próbkach i najprawdopodobniej pochodził z tej samej książki. - Rheinhardt nalał sobie następną szklaneczkę brandy.

- Przesłuchaliśmy większość miejskich bibliotekarzy i antykwariuszy. Żaden z nich nie mógłby być Salierim. Co więcej, jej dowody są niezgodne z resztą śledztwa: żaden z naszych podejrzanych nie jest bibliotekarzem. Mówię to z wahaniem, ponieważ bardzo lubię tę niezwykłą damę, ale czy istnieje możliwość, że panna Lydgate po prostu się myli?

- Nie, Oskarze - oznajmił z powagą Liebermann. - Myślę, że to bardzo mało prawdopodobne.

- W takim razie - rzekł inspektor, upijając łyżeczek brandy - nadal jesteśmy całkowicie zagubieni.

Wystawa cieszyła się dużą frekwencją, co gwarantowało Liebermannowi i Rheinhardtowi pewną anonimowość. Gdzieś za kłębiącym się tłumem kwartet smyczkowy grał powolnego landlera. Od czasu do czasu Rheinhardt pochylał się bliżej przyjaciela i wskazywał na konkretną osobę.

- Tamten mężczyzna - dystyngowanie wyglądający dżentelmen - to właśnie von Triebenbach. A kobieta, z którą rozmawia, to baronowa von Rautenberg, protektorka Olbrichta.

Stali przed portretem wagnerowskiej Brunhildy. Rheinhardt skinął głową w stronę wejścia.

- Pulchny jegomość o rumianej cerze - to radny Hannisch. Rozmawia z...

- Profesorem Fochem - wpadł mu w słowo Liebermann.

- Oczywiście, przecież go znasz.

Radny i profesor stanowili osobliwą parę. Foch miał na sobie swój zwyczajowy strój pogrzebowy, a Hannisch włożył zielone ubranie z jaskrawoniebieskim krawatem.

- Znam go z widzenia - poprawił Rheinhardta Liebermann. Liebermann powrócił do bacznej obserwacji Walkirii. Była ubrana w grube futro, rogate nakrycie głowy wikingów, końcówka jej włóczni była umazaną czerwoną farbą. Rheinhardt obracał głowę na wszystkie strony.

- Ani śladu Aschenbrandta.

Ogólny gwar nasilał się, wzbierając od odgłosów jowialnych pozdrowień i okrzyków zadowolenia. W pobliżu Liebermanna i Rheinhardta tłum się rozstał, pozwalając im rzucić okiem na niskiego mężczyznę, któremu ścisnął dłoń porucznik piechoty.

- Oto i artysta - szepnął Rheinhardt.

Olbrichta zatrzymano na dłuższą chwilę, a potem podjął na nowo obchód sali. Na widok Rheinhardta uśmiechnął się, odsłaniając karłowate zęby.

- A, inspektorze, bardzo się cieszę, że pan przybył. Rheinhardt przedstawił swego towarzysza.

- Mój przyjaciel, doktor Max Liebermann.

Olbricht odnotował obecność lekarza, ale się nie uklonił.

W tej samej chwili bardzo atrakcyjna młoda kobieta z włosami ułożonymi w zwisające, złociste loki przebiła się przez szarą ścianę postaci w garniturach.

- Panowie wybaczą... - rzekł Olbricht.

- Oczywiście - powiedział Rheinhardt.

- Herr Olbricht! - wykrzyknęła młoda dama. - Tu pan się ukrył! Obiecałam ojcu, że pana odzyskam - pragnie przedstawić pana Hofratowi Eggebrechtowi.

- Oczywiście, Fraulcin Bolle - jestem do pani dyspozycji.

Wzięła go pod rękę i znikli za dwiema trajkoczącymi matronami, których kościste palce połyskiwały brylantami.

Młody lekarz wydawał się lekko skonsternowany.

- O co chodzi, Max? Liebermann ściszył głos.

- Ta jego twarz... - Co?

- Jest w niej coś takiego...

- Ha! A nie mówiłem?! I czy to przypadkiem nie ty mnie zbeształeś? Co to mówiłeś?

Znowu te teorie Lombrosa!

Liebermann wykrzywił twarz.

- Proszę, przyjmij moje przeprosiny

- Przyjmuję... wspaniałomyślnie.

Posuwali się wzdłuż ściany, stając przed każdym obrazem.

Karzeł Alberyk i trzy córki Renu; czarnoksiężnik stojący w pentagramie zdobionym znakami runicznymi; niewidomy skald snujący magiczną opowieść przy palenisku w drewnianym dworze...

- Podobają ci się? - spytał Rheinhardt, zaskoczony, że przyjaciel tak dokładnie przygląda się obrazom. Wiedział, że Liebermann ma współczesne upodobania artystyczne, i nie potrafił pojąć, dlaczego spędza tyle czasu przed każdym z płócien.

- Zdecydowanie nie.

- Czy zatem możemy przejść dalej? W tym tempie nigdy nie obejrzymy wystawy do końca!

Liebermann westchnął i ruszył za przyjacielem.

Następny obraz był ogromną sceną bitewną, szczelnie wypełnioną maleńkimi postaciami. Przypominał Liebermannowi malarstwo Hieronima Boscha - zwłaszcza *Sąd Ostateczny*, który należał do stałych zbiorów Akademii Sztuk Pięknych. Kiedy jednak przybliżył się do płótna, stało się jasne, że Olbricht nie posiadał ani techniki Boscha, ani jego poczucia humoru. Liebermann wydobył

okulary z górnej kieszeni marynarki i niemal wsadził

nos w malowidło.

- Max, co ty u licha wyczyniasz?

- Oglądam detale.

Stateczny obywatel dość słusznej postury odezwał się szorstkim głosem

„Przepraszam, sir”, dając do zrozumienia, że Liebermann zasłania mu widok. Miał wpięty w klapę sztuczny biały goździk, manifestując w ten sposób swą przynależność do Chrześcijańskiej Partii Socjalistycznej. Młody doktor przeprosił i cofnął się o krok.

Mieszczuch spojrział na Liebermanna spod przymrużonych powiek i powiedział coś do żony.

Ani doktor ani jego towarzysz nie musieli usłyszeć słów, by zrozumieć charakter wymamrotanej pod nosem uwagi. Rheinhardt miał już rzucić mężczyźnie wyzwanie, lecz Liebermann podniósł rękę. Odsunęli się w milczeniu.

- Hańba... - rzekł Rheinhardt. - Powinieneś być mi pozwolić...

- Oskarże - przerwał mu Liebermann. - To zdarza się notorycznie. Chodźmy zwiedzać dalej wystawę.

Kolejne płótno przedstawiało kobietę o lnianych włosach, spoglądającą na wycofujące się po horyzont rzymskie legiony. Nosiło tytuł *Pipara: germańska kobieta w purpurze cesarów*. Liebermann odczytał adnotację: *Swobodna adaptacja wątku z dwutomowej powieści Guida von Lista, opisującego legendarne wyniesienie germańskiej niewolnicy na cesarski tron pod koniec trzeciego stulecia*.

- Jaka piękna kobieta - rzucił niewinnie Rheinhardt.

Młody doktor nie odpowiedział. Studiował obraz przez dłuższą chwilę i wreszcie dał

znak, że jest gotów przejść dalej. Aż nagle - o dziwo - nie mógł ruszyć się z miejsca. Stopy jakby przykleiły się do podłogi. Jak gdyby malowidło wywierało jakiś dziwny wpływ, wywołując paraliż.

W myśli Liebermanna wdarł się zniechęcający niedający spokoju obraz: ekspedientki, którą spotkał w tramwaju i jej karminowej rękawiczki zacierającej się w mroku.

Rheinhardt, który odszedł już kilka kroków, zatrzymał się i obejrzał na przyjaciela. -

Max?

- Ten obraz... - szepnął Liebermann.

Kwartet smyczkowy zaczął grać pierwsze takty walca Straussa. Liebermann rozpoznał

go natychmiast: *Wiedeńska krew*. Nagle czar przysł, a lekarz pospieszył ku przyjacielowi z enigmatycznym uśmiechem, wyginając w górę kąciki ust.

W pokoju nie było żadnych mebli z wyjątkiem małego karcianego stolika, który ustawiono pośrodku. Z dołu przez gole podłogowe deski przenikały stłumione odgłosy hulanki. Upojony alkoholem chór męskich głosów wydawał się badać granice muzycznej harmonii przy akompaniamencie rozstrojonego pianina. Instrument wygrywał dysonanse, a dający się słyszeć od czasu do czasu pisk rozkoszy zdradzał obecność kilku nieobyczajnie zachowujących się kobiet.

Pojedynczy gazowy płomień strzelił, zanieczyszczając powietrze gryzącym dymem.

Nad podstawą lampy i popękany szklanym kloszem czarna plama sadzy przerywała ciągłość kwiatowego motywu na poźółkłej tapecie.

Wokół stołu zebrało się siedmiu mężczyzn: porucznik Ruprecht Hefner, jego sekundanci Renz i Trapp, hrabia Zoltan Zaborszky, sekundanci hrabiego w osobach Brauna i Dekanyego oraz *unparteiische* - bladolicy, wychudły mężczyzna o sinych ustach i przezroczyście palcach.

Na zielonym suknie stołu rozłożono trzynaście cienkich patyczków wachlarzowato ułożonych w półkole. Dwanaście było identycznych. Natomiast trzynasty wyróżniał się pacnięciem czerwonej farby. *Unparteiische* wsunął go na miejsce, usiłując stworzyć idealnie symetryczny układ.

- Można sprawdzić losy - rzekł *unparteiische* głosem zaskakująco stentorowym jak na tak wymizerowanego osobnika.

Renz wziął jeden z patyczków i obrócił go w rękę. Przywykły raczej - w swojej roli sekundanta - do kontrolowania ciężaru i jakości pistoletów, nie bardzo wiedział, co jeszcze mógłby zrobić. Wzruszył ramionami, cokolwiek skonsternowany, i odrzucił patyczek na sukno.

- Jestem usatysfakcjonowany - oznajmił.

- Herr Braun? - rzekł *unparteiische*.

Młodszy z sekundantów hrabiego zrobił krok naprzód. Był to człek wynędzniały, któremu wydatna zuchwa oraz ciemne oczy nadawały pewien surowy urok. Jednak przyrodzoną szlachetność rysów wyraźnie unicestwił rozpustny tryb życia. Gęste włosy były przetłuszczone, broda szorstka, wielodniowy zarost na policzkach poprzetykany siwą szczeciną. Braun dotykał każdego z patyczków, posuwając się systematycznie po łuku wachlarza. Hefner zauważył, że ma wystrzępione rękawy marynarki, a jego rękę szpeci cienka biała szrama - wyglądała jak blizna po stoczonym pojedynku. Nędznik bawił się chwilę czerwonym drewnkiem, po czym rzekł: „Jestem usatysfakcjonowany”. Wypowiedzi tej towarzyszył wydech, który mocno załatywał alkoholem.

Unparteiische podał Braunowi ściągana na tasiemkę aksamitną sakiewkę. Młody mężczyzna rozluźnił tasiemkę i podsunął Renzowi wewnątrz otwartej torebki.

- Poruczniku? - przynaglił *unparteiische*.

- Tak, oczywiście - odparł Renz, pojmując nagle swoją rolę. Oficer zebrał razem patyczki i wrzucił je do otworu sakiewki. Braun zaciągnął tasiemkę i zaczął potrząsać torebką. Wewnątrz drewno stuknęło o drewno. Z pokoju na dole wzniósł się nagły wybuch rechotliwego śmiechu.

Braun nie przestał potrząsać torebką. *Stuk, stuk, stuk...*

Wydawało się, że zbyt poważnie potraktował swe stosunkowo mało znaczące zadanie.

Unparteiische, nie mogąc opanować się ani chwili dłużej, spiorunował wzrokiem nadgorliwego sekundanta. Groźne spój rzenie błyszczących oczu wywarło pożądaną skuteczną reakcję i młody człowiek oddał sakiewkę, mamrocząc przeprosiny.

Unparteiische zwrócił się do Hefnera i hrabiego.

- Panowie, jesteście gotowi? - Obydwaj kiwnęli głowami. - Dobrze Zaczynamy.

Pojedynkujący się stanęli po obu stronach *unparteiische*, który rozluźnił tasiemkę sakiewki. Następnie, wyciągnąwszy ją przed siebie, przechylił w stronę Zaborskiego.

Hrabia włożył laskę pod lewe ramię i pogładził zwisające, orientalne wąsy. Trudno było przeniknąć wyraz jego szerokiej, niemal mongolskiej twarzy. Malowało się na niej jakieś osobliwe, nieomal nieziemskie przejęcie. Przeżegnał się powoli, dotykając wiotkim palcem czoła, piersi i ramion - jego ręka poruszała się zamaszystymi, kolistymi ruchami.

Szmaragdowy sygnet błysnął, a następnie zniknął w czarnej aksamitnej torebce. Przed wycofaniem ręki hrabia utkwiał wzrok w każdym z trzech ułanów. Wyciągnął los. Podniósłszy patyczek do góry, obrócił go, demonstrując, że jest nieoznakowany.

Zniesmaczony ekscesami hrabiego Hefner zanurzył rękę w torbie i wyjął kolejny nieoznakowany patyczek. Trzymał go chwilę w górze, po czym rzucił ze złością na stół.

Przykład Hefnera nie przekonał hrabiego do zmiany postępowania. I tym razem nakreślił niemrawy znak krzyża, a następnie pociągnął za czarną wstążkę przyczepioną do kamizelki. Wcisnął wiszący na niej monokl w lewy oczodół.

- Nie do zniesienia... - szepnął Trapp.

Kiedy hrabia gotów był kontynuować losowanie - zdecydowanie się z tym nie spiesząc - zaczął badać zawartość czarnej torebki, co trwało, wydawało się, całe wieki, nim wyjął wreszcie kolejny czysty patyczek.

Unparteiische - którego bezstronność została wystawiona na ciężką próbę - podsunął

torbę Hefnerowi. Zanim jednak żołnierz zdołał zareagować, Braun zawołał:

- Stop!

Zrobił krok naprzód i badawczo przyjrzał się torbie. Trzej ułani poruszyli się niecierpliwie, wskutek tego zbiorowego drgnięcia zabrzączały ostrogi.

- Zechce szanowny pan wyjaśnić - rzekł tyczkowaty arbiter - dlaczego uznał za stosowne nam przeszkodzić?

Braun wskazał na torbę.

- Wydawało mi się, że widzę dziurę.

- Gdzie?

Braun wziął sakiewkę z rąk *unparteiische*, podniósł ponad głowę i obrócił.

- Nie, przepraszam. Pomyliłem się. Oddał torbę *unparteiische*.

Renz i Trapp jęknęli.

Braun odwrócił się do nich z oburzeniem.

- Panowie - nie będę sekundował nieuczciwej walce. Sumienie nakazuje mi, by po zakończeniu obecnej sprawy opuścić to miejsce w przekonaniu, że o wszystkim rozstrzygnął

tylko i wyłącznie los. Jak panowie doskonale wiedzą, naszym solennym obowiązkiem - moim oraz waszym - jest interweniować w razie choćby najmniejszego prawdopodobieństwa naruszenia kodeksu honorowego!

Nim ułani zdążyli odpowiedzieć, *unparteiische* podniósł rękę.- Dziękuję, Herr Braun.

Okazał pan największą czujność. Rozumiem, że jest pan teraz usatysfakcjonowany i możemy kontynuować pojedynek?

- Tak jest - odparł Braun, wciąż piorunując wzrokiem zniecierpliwionych ułanów.

Unparteiische po raz drugi podsunął Hefnerowi sakiewkę.

Hefner bez wahania zanurzył dłoń w torebce i wyciągnął los. Popa trzymał na drewnianym osłonięciu koszyczkiem złączonych palców. Twar ulana nie zdradzała żadnych uczuć.

Obróciwszy patyczek, odsłonił fałszywe maźnięcie czerwonej farby.

Renz i Trapp wstrzymali oddech.

Unparteiische spojrział wprost na Hefnera.

- Pojedynek zakończony. Hrabia Zaborszky wygrał. Wie pan, co to oznacza... Ufam, że postąpi pan zgodnie z kodeksem honorowym i wypełni swoje zobowiązanie w ciągu najbliższego tygodnia.

Długa, opadająca ulica była niemal opustoszała, a gdy Lieberman zbliżył się do kanału Dunaju, gęsta, zmrożona mgła wydawała się gest nieć jeszcze bardziej. Owijała się wokół

jego nóg z kocią zręczności Dziewiąta dzielnica, bastion szacownych wartości klasy średniej, dziwnie odmieniony, jak gdyby stara matrona zamieniła się garderób z gruzińską tancerką. W

nowym stroju złożonym z przezroczystych skręconych welonów nagle wydawała się gotowa dawać zakazane rozkosze. I być może - tego szczególnego wieczoru - ich dostarczy...

Profesor Freud zapraszał Liebermanna do udziału w spotkaniach Towarzystwa Psychologicznego w środowe wieczory na długo przed in auguracyjnym zebraniem. Jednak jak dotąd zbieg różnych okoliczność - Clara, praca w szpitalu, Salieri - powstrzymywał

Liebermanna przez uczestnictwem. W rezultacie towarzystwo spotykało się pod jego nieobecność od prawie miesiąca. Gdy wreszcie nadarzyła się pierwsza oka zja, Liebermann wysłał list do profesora, wyrażając w nim szczerą nadzieję, że zaproszenie jest wciąż aktualne. Odpowiedź Freuda był przyjazna i zawierała prośbę, by - jeśli to możliwe -

Liebermann przyniósł ze sobą dokumentację jakiegoś przypadku do dyskusji. I tak Liebermann ścisnął w rękę rękopis, tymczasowo zatytułowany *Herr B: zapiski na temat przypadku paranoia erotica*.

Liebermannowi nasunęło się spostrzeżenie, że Towarzystwo Psychologiczne Zygmunta Freuda jest pod wieloma względami podobne do licznych tajnych stowarzyszeń, które zbierały się w Wiedniu. Po raz kolejny charyzmatyczny przywódca zgromadził wokół

siebie niewielką grupkę zwolenników - koterię, która rozpowszechni założenia jego doktryny i podaw w wątpliwość ustalony porządek rzeczy. Było coś w tym mieście - jego mieście - co przyciągało konspirację, intrygi i bunt. Wizjonerzy i prorocy nie mogli oprzeć się jego urokowi.

Liebermannowi przypomniały się nagle latarnie przed gmachem opery, których podstawy odlano na kształt czterech skrzydlatych sfinksów. Następnie pomyślał o sfinksach w Kunsthistorisches Museum, o sfinksach w ogrodach belwederskich, sfinksach na biurku profesora Freuda. Miasto pełne było sfinksów...

Tajemnice, tajemnice, tajemnice.

Świadom rosnącego, niemal dziecięcego podniecenia, Liebermann przyspieszył kroku.

Duże drzwi przy Berggasse 19 były otwarte. Przeszedł próg i szedł długim, brukowanym przejściem, a jego kroki odbijały się echem w zamkniętej przestrzeni. Na drugim końcu bramy znajdowały się tafle czarnego szkła, które zwykle pozwalały podziwiać urokliwy, mały dziedziniec z rosnącym tam kasztanowcem. Tego jednak wieczoru odbijały jedynie półprzezroczysty obraz młodego lekarza w długim, karakułowym płaszczu.

Liebermann skręcił w prawo, wspiął się po spiralnych schodach i minął samotną, kulistą lampę gazową umocowaną na bogato zdobionej, żelaznej poręczy. Otaczała ją mglista aureola, przytłumione światło ledwo wyłaniało z mroku czarne, lakierowane drzwi, pośrodku których znajdowała się prosta tabliczka z nazwiskiem: PROF. Dr FREUD.

Liebermann zadzwonił i został wpuszczony do środka przez pokojówkę, która odebrała od niego płaszcz. Wprowadzono go do poczekalni Freuda, której wystrój sprawiał

wrażenie mrocznego przepychu: czerwone draperie i ciemne drewno, witryna prezentująca małą kolekcję statuetek oraz duża gipsowa kopia *Umierającego niewolnika* Michała Anioła na postumencie. Ściany były zawieszane obrazami, które odzwierciedlały zainteresowanie Freuda starożytnością: rzymskie ruiny, osiemnastowieczne ryciny przedstawiające sceny klasyczne oraz, jak można było się spodziewać, sfinks pogrążony w zadumie na tle piramidy.

Wokół podłużnego stołu siedzieli Freud oraz trzech inni mężczyźni.

- A, jest pan! - wykrzyknął profesor, energicznie wstając z miejsca. - Niezmiernie się cieszę, że mógł pan przyjść! I, o ile wzrok mnie nie myli, widzę, że przyniósł pan dokumentację jakiegoś przypadku. Powiada pan, *paranoia erotica*? Cóż, będzie to rzadka przyjemność.

Freud przedstawił swoich trzech towarzyszy, posługując się przy tym wyłącznie nazwiskami: Stekel, Reitler i Kahane. Liebermann rozpoznał dwóch pierwszych z sobotnich wykładów Freuda na uniwersytecie. Trzeci nie był mu znany, ale okazało się, że jest dyrektorem Instytutu Fizycznych Metod Leczniczych. W trakcie kurtuazyjnej rozmowy Liebermann dowiedział się ze zdziwieniem, że pomimo deklarowanego zainteresowania psychoanalizą Kahane wciąż leczy (a dokładniej: torturuje) pacjentów elektroterapią.

Kilka minut później przybył ostatni gość Freuda. Był to mężczyzna niewiele po trzydziestce: przysadzisty osobnik, którego twarz marszczyła się w wyrazie pogardy wokół

wydatnego nosa. Nosił okrągłe okulary, miał niewielki wąsik, a mocno zarysowany podbródek rozdzielał głęboki pionowy dołek. Liebermann wiedział, że jest to Alfred Adler, lekarz, któremu został przedstawiony przez wspólnego znajomego w minionym roku.

Liebermanna poproszono kiedyś o towarzyszenie Adlerowi na przyjęciu i był szczerze zdumiony potęgą i melodyjnością głosu, który płynął z tych wykrzywionych ust. Wydawało się, że - za sprawą boskiej interwencji - niedostatki aparycji rekompensował niezwykle talent muzyczny.

Wreszcie całe towarzystwo usiadło, a Freud puścił w obieg duże pudełko cygar. Jakby dla zachęty, by się nimi raczono, każde miejsce przy stole było wyposażone w ładną popielniczkę z jadeitu. Nikt nie odmówił, a wraz z zapaleniem się i zgaśnięciem zapalek pokój wypełnił się kłębam dymu.

Profesor dał znak, że jest gotów zaczynać. Oznajmił, że będą dwie prezentacje: pierwszej dokona doktor Stekel, a drugiej doktor Liebermann, którego wita w towarzystwie.

Debata zostanie następnie zawieszona na piętnaście minut, a potem podejmą dyskusję grupową.

Stekel, dobroduszny internista, przedstawił żywy opis dwudziestodwuletniej pacjentki cierpiącej na histeryczną hiperalgezę - zaburzenie charakteryzujące się zwiększoną wrażliwością fizyczną. Nie było to jednak jakieś nadzwyczajne studium przypadku i Liebermann zdał sobie sprawę, że jego uwaga się rozprasza. Czuł lekką tremę i zaczął -

niemal nieświadomie - powtarzać sobie swoje wystąpienie.

Herr B.

Trzydziestoosmioletni księgowy.

Zatrudniony przez cieszącą się dobrą reputacją firmę, której biura mieszczą się w centrum miasta.

Żadnych wcześniejszych schorzeń psychicznych...

Kiedy Stekel zakończył swoją prezentację, rozległy się powściągliwe oklaski i pomruki podziękowań. Następnie Freud przeniósł spojrzenie na Liebermanna. Oczy profesora miały barwę głębokiego brązu i dziwnie lśniły.

- Herr Doctor?

- Dziękuję, Herr Profesor.

Liebermann założył okulary i rozprostował notatki.

- Panowie - zaczął - dzisiejszego wieczoru opiszę przypadek Herr B. -

trzydziestoosmioletniego księgowego, którego przyjęto na oddział psychiatryczny Szpitala Ogólnego na początku listopada. Okoliczności jego przyjęcia były nieco dramatyczne.

Wszystko wskazuje na to, że Herr B. usiłował wdrzeć się do pałacu Schönbrunn, ażeby ratować arcyksiężną Marię Walerię, którą, jak utrzymywał, przetrzymywano tam wbrew jej woli. Po niefortunnym incydencie z udziałem straży pałacowej wezwano policję...

W miarę nabierania pewności siebie Liebermann mówił coraz swobodniej i coraz rzadziej zerkał do notatek. Publiczność wydawała się głęboko zainteresowana, zwłaszcza profesor, którego słuchającą z uwagą postać coraz mocniej przesłaniała mgła gęstniejącego, ciemnego dymu z cygara.

Kiedy Liebermann zaczął opisywać sen Herr Beibera, Freud wytrzeszczył oczy i przyjął melodramatyczną pozę. Niczym aktor z Teatru Dworskiego przycisnął prawą dłoń do skroni. Liebermann przerwał, spodziewając się jakiejś uwagi. Jednak starszy profesor milczał.

Adler również podniósł rękę, lecz tylko po to, by ukryć przed wzrokiem Freuda usta wykrzywione w drwiącym uśmiechu.

Liebermann doznał ulgi, gdy dotarł do końca swojej prezentacji. Zadanie to okazało się bardziej wymagające, niż przewidywał, a baczna obserwacja wtajemniczonego grona Freuda wytrącała z

równowagi. Bolesnie zdawał sobie sprawę, że każde najmniejsze przejęzyczenie będzie poddane psychoanalitycznej interpretacji. W takim towarzystwie wszelkie pomyłki - choćby najdrobniejsze - wiele by demaskowały. Na szczęście jego wykład przebiegał bez zakłóceń, nie zdekoncentrowała go nawet lekceważąca postawa Adlera.

Gdy ucichły brawa, profesor podziękował Liebermannowi za fascynującą prezentację i zadzwonił na służącą. Zjawiła się z dużą tacą ciastek i kawą. Po rozłożeniu talerzy, serwetek i widelczyków atmosfera w pokoju natychmiast się zmieniła. Towarzystwo odprężyło się, a nawet wdało w żartobliwą, beztroską pogawędkę. Stekel opowiedział zabawną historię, która zasadzała się na pomyleniu tożsamości, a profesor od razu odpowiedział własnym dowcipem.

- Praga. Krawiec Moscovitz modli się w Synagodze Staronowej. Nagle błysk, drżą ściany i zjawia się straszliwa postać z ogonem i rogami. W powietrzu czuć zapach siarki... -

Profesor zaciągnął się cygarem i zrobił pauzę dla wzmocnienia efektu. - Moscovitz podnosi wzrok, ale nie przerywa modlitwy. Straszliwa postać wymachuje pięścią, arka zwala się na ziemię. Ale Moscovitz pozostaje obojętny i modli się dalej. „Hej, ty!”, krzyczy przerażająca postać. „Nie lękasz się?”. Moscovitz wzrusza ramionami i przecząco kręci głową. Rozjuszona groźna postać wali ogonem - spadają cegły. „Mały Żydku”, mówi postać, „wiesz, kim jestem?”. „Tak”, odpowiada Moscovitz, „wiem dokładnie - od trzydziestu lat jestem mężem twojej siostry!”.

Gdy ucichła fala stonowanego śmiechu, goście wstali, aby rozprostować nogi. Kręcili się wokół stołu i w pewnej chwili Liebermann znalazł się tuż obok Freuda, który raczył się drugą porcją *gugelhupf*. Biskopt był gruby i wilgotny, roztaczał ostry cytrynowy aromat.

Nim Freud zdążył zabawić gościa jeszcze jednym ze swoich dowcipów - których wydawał się mieć niewyczerpane zasoby - Liebermann wykorzystał moment, by zadać pytanie, które nurtowało go od kilku dni.

- Profesorze - powiedział ostrożnie - zastanawiałem się, czy mógłbym poprosić pana o opinię... w kwestii teoretycznej.

Freud utkwiał w nim przenikliwe spojrzenie.

- Próbował pan tego ciastka?

- Tak, próbowałem.

- Smaczne, prawda?

- Wyjątkowo.

- Mam szczególną słabość do *gugelhupf*. - Freud nabił na zęby widelca jaskrawożółty kawałek biskopta. - Mówił pan... w kwestii teoretycznej?

- Tak - potwierdził Liebermann. - Czy sądzi pan, że można zastosować zasady interpretacji snów do dzieł sztuki?

Fragment biszkopta nie dotarł do ust Freuda. Jego wędrówka została gwałtownie przerwana gdzieś w okolicy obojczyka.

- To szalenie interesujące pytanie. - Profesor zrobił pauzę, przełknął i odłożył talerzyk na skraj stołu. Nagle utracił zainteresowanie swoim *gugelhupf*.

- W snach - mówił dalej młody lekarz - zawartość podświadomości, traumatyczne wspomnienia, pragnienia i tak dalej, ulega transformacji. Pojawiają się w zawoalowanej postaci. I oczywiście dzięki wykorzystaniu pańskich technik można określić ich prawdziwe znaczenie. Czy nie moglibyśmy potraktować obrazu lub rzeźby jako rodzaju... twórczego marzenia sennego?

- Słyszał pan o Lermolieffie, rosyjskim koneserze sztuki? - spytał profesor.

- Nie.

- Lermolieff to jego pseudonim literacki - w rzeczywistości był włoskim lekarzem o nazwisku Morelli. Wywołał wielkie poruszenie w europejskich galeriach sztuki, kwestionując autorstwo wielu słynnych obrazów po opracowaniu metody ustalania autentyczności... -

Profesor pociągnął starannie przystrzyżoną brodę. - Lermolieff twierdził kategorycznie, że należy odwrócić uwagę od ogólnego wrażenia, jakie stwarza obraz, i położyć raczej nacisk na znaczenie drobnych detali: na przykład rysunku paznokci, płatka ucha, aureoli i tego rodzaju pomijanych zwykle drobiazgów, które niestaranny kopista na pewno przeoczy, a które każdy prawdziwy artysta kreśli w swoim indywidualnym, niepowtarzalnym stylu. Mam wrażenie, że metoda badawcza Lermolieffa jest blisko spokrewniona z technikami psychoanalizy.

Psychoanalityk jest przyzwyczajony do odgadywania sekretów z niezauważalnych elementów

- niejako ze śmietniska naszych obserwacji. - Profesor sięgnął po cygaro, zapalił i odchrząknął. - Nie widzę żadnego powodu, dla którego zasady stosowane w naszej dziedzinie nie mogłyby być stosowane w interpretacji dzieł sztuki. Można by poszukiwać śladów nieświadomości, która - że tak powiem - przedarła się na powierzchnię w postaci...

powiedzmy, anomalii? Zniekształceń i przedstawień symbolicznych... W istocie obraz można by przyrównać do okna, przez które analityk może wejrzeć przelotnie w nieświadomy umysł

artysty.

Na taką odpowiedź liczył Liebermann.

Zegar stołowy wybił kuranty.

- Mój Boże - zdziwił się Freud. - Jak ten czas leci.

Ponownie wezwano służącą, a gdy skończyła sprzątać ze stołu, towarzystwo powróciło na swoje miejsca w celu omówienia przedstawionych przypadków. Ostatnia część wieczoru była w dużej mierze poświęcona zbiorowej analizie snu Herr Beibera. Freud upierał

się, by Liebermann powtórzył główne punkty, od czasu do czasu przerywał mu, zadając z pozoru niejasne pytania. „Jest pan pewien, że Herr B. miał pięć lat?”. „A dokładnie jak duże były wilki?”. „Czy jeden z wilków miał ogon?”. I tak dalej.

Kiedy Liebermann zakończył ponowne opisywanie snu, Freud zaprosił obecnych do jego skomentowania.

- Kojarzy mi się z bajką... - zaczął Stekel. - Z jakąś opowieścią braci Grimmów: na przykład z *Czerwonym kapturkiem*. Myślę, że pojawienie się wilków w dziecięcych baśniach jest nierozdzielnie związane z lękiem przed zostaniem pożartym.

- Może być i tak, że wilki wyłaniające się z mrocznej otchłani symbolizują bardziej fundamentalny lęk - przed *vagina dentata* - dodał Reitler.

- Dlatego - wtrącił Adler - Herr B. obawiając się utraty swej męskości, całkowicie wyrzekł się doświadczeń seksualnych.

- I - rzekł Stekel, podnosząc palec - w konsekwencji nabawił się obsesji na punkcie arcyksiężnej Marii Walerii, z którą nigdy nie mógłby stworzyć związku.

- Oddalając od siebie małżeński obowiązek skonsumowania związku - zakończył

Freud.

Liebermann był zdumiony tempem dyskusji. Tym, jak wokół stołu iskrzyły koncepcje.

Gdy przygasło początkowe ożywienie, Freud ciągnął swe rozważania.

- Panowie, nie ma wątpliwości co do tego, że *paranoia erotica* Herr B. stanowi mechanizm obronny - smutny kompromis pomiędzy potrzebą znalezienia miłości a lękiem przed seksualnym spełnieniem. Jakkolwiek uważam, że sen o wilkach nie symbolizuje pierwotnego, mitycznego lęku, lecz wczesne wspomnienie bardzo rzeczywistego traumatycznego wydarzenia. Herr B. był chorowitym dzieckiem, które zabierano do sypialni rodziców. Miał nieszczęście obudzić się którejś nocy i stać się świadkiem aktu płciowego rodziców *a tergo* - stąd przemiana matki i ojca w bestie. Dyszenie przetrwało jednak sen, przebijając się do świadomości bez zniekształceń. Herr B. naruszył najważniejsze tabu wszystkich ludzkich społeczności. Które dziecko - a w zasadzie który dorosły - potrafi rozważyć okoliczności własnego poczęcia bez poczucia winy i lęku? Herr B. spodziewał się kary za swoje wykroczenie. Kary zaczerpniętej z tradycyjnego podania ludowego - czyli zostania pożartym żywcem!

Freud sięgnął po kolejne cygaro. W ciszy, która zaległa, zniknął w końcu za kłębiącym się obłokiem i jedynie ochryply kaszel przypominał zebranym o jego obecności.

Andreas Olbricht spędził wieczór w kilku kawiarniach, przeglądając recenzje. Nie wrócił do mieszkania. Powędrował natomiast przez miasto do pracowni, gdzie zapalił

samotną świeczkę i nalał sobie dużą szklanekę wódki.

Różne słowa i zdania wyłaniały się z niego w jego myślach - przedzierając się przez płaszczyznę świadomości, rozbryzgując jad. Jak gdyby wewnątrz jego głowy bulgotało, jakby wżerały się w nie niszczące kropelki mściwości.

Artysta pozbawiony talentu. Słaby technicznie.

Malarstwo prymitywne, bez polotu, bezwartościowe.

Brakuje mu oryginalności...

Olbricht opróżnił szklanekę.

Jak mogą mówić takie rzeczy?

Przez mgiełkę wydychanej z ust pary ledwo dostrzegł niedokończony płótno. Miał

nadzieję włączyć je do wystawy, lecz zabrakło mu czasu. Obraz przedstawiał Loga, boga ognia i przebiegłości: szelmowska sylwetka na tle pożogi skaczących płomieni. Powietrze pachniało terpentyną i olejem lnianym.

Niewprawną techniką nakładania farby.

Słaby kolorysta.

Wyświechtane tematy.

Olbricht dopił wódkę.

Była jedna dobra recenzja. Ukazała się w małej pangermańskiej publikacji. Autor chwalił szlachetne aspiracje Olbrichta: jego wizję, wrażliwość, *weltanschauung*. Ale jaki z tego pożytek? Potrzebował poparcia „Zeitung”, „Die Zeit”, „Die Fackel”, „Neues Wiener Tagblatt”, „Neue Freie Presse”. Potrzebował o tyle więcej.

Nagle miejsce przygnębienia zajął gniew. Wściekłość zelektryzowała ciało i przez chwilę nie widział nic prócz płaszczyzny jaskrawego białego światła. Cisnął szklanekę i obserwował, jak roztrzaskuje się na przeciwległej ścianie. W jakiś tajemniczy sposób został

nagle przetransportowany na drugi koniec pomieszczenia. Stał obok wizerunku Loga ze scyzorykiem w dłoni. Ostrze błysnęło, ześlizgnęło się w dół - rwąc, rozszarpując, drąc. Nie zatrzymał się. Ciął na

oślepię, bez wytchnienia, póki z jego dzieła nie zostało nic prócz poszarpanych strzępów.

Olbricht osunął się po ścianie. Wyczerpany zamknął oczy i wyszeptał w mrok:

- „Sąd Ostateczny”.

Początkowo Liebermann podawał w wątpliwość wiarygodność interpretacji profesora.

Nasilająca się skłonność Freuda do zakładania istnienia seksualnego źródła wszelkich form psychopatologii nie pozostała niezauważona. W istocie Liebermann usłyszał kiedyś przypadkiem, jak wizytujący profesor określił Freuda mianem człowieka cierpiącego na początkowe stadium seksualnej monomanii. Mimo to, im dłużej Liebermann rozpatrywał

interpretację Freuda, tym łatwiejsza wydawała mu się do przyjęcia. Czy trzeba było aż tak dużej wyobraźni, by połączyć zaburzenia w sferze miłości ze stłumionym urazem seksualnym?

- Czy sądzi pan, Herr Beiber, że sny mają jakieś znaczenie?

- Jestem pewien, że mają. Zwłaszcza kiedy wiążą się z silnymi uczuciami...

- Jak pana sen o wilku.

- Tak przypuszczam.

- W takim razie, co pańskim zdaniem oznacza ten sen o wilku?

- Nie wiem. Ale, jak już zasugerowałem, może powstał pod wpływem obecności czegoś nadprzyrodzonego.

- Mówi pan tak, ponieważ słyszał ten ciężki oddech, to dyszenie wielokrotnie?

- Tak.

Liebermann pochylił się i przyjrzał leżącemu na wznak pacjentowi. - A jeśli ten sen był wspomnieniem? Herr Beiber zmarszczył czoło.

- W umyśle ludzkim działają mechanizmy - rozwijał myśl Liebermann - których funkcją jest niedopuszczanie do świadomości niepokojących wspomnień. Wspomnienia te są wypychane bądź tłumione. Ale nie zostają w ten sposób zniweczone - a jedynie uspięne.

Podczas snu mechanizm represyjny słabnie i owe wspomnienia mogą się obudzić.

Przypuszcza się, że w umyśle ludzkim działa coś w rodzaju cenzora, który stara się je zdeformować i uczynić mniej bolesnymi, a tym samym umożliwić kontynuację snu. Czasami cenzor funkcjonuje bez zarzutu, czasem z częściowym powodzeniem, a czasem zawodzi.

Fakt, że ów sen pana obudził, świadczy o tym, że reprezentuje on wyjątkowo traumatyczne wspomnienie. Z rodzaju tych, które wywarłyby głęboki wpływ na umysł małego dziecka.

Liebermann przerwał, pozwalając Herr Beiberowi zastanowić się nad tym wywodem.

Widział, że pacjent myśli. Krzaczaste, ryże brwi księgowego były nadal ściągnięte.

- Proszę mówić dalej... - rzekł Herr Beiber.

- Był pan chorowitym dzieckiem. W konsekwencji spał pan w sypialni rodziców nie tylko w okresie niemowlęstwa. Niewykluczone, że widział pan rzeczy...

Z wielką ostrożnością i delikatnością Liebermann przedstawił pacjentowi interpretację snu o wilku zaproponowaną przez Freuda. Gdy skończył, zapanowało długie milczenie. Palec wskazujący Herr Beibera pukał w galaretowate zwały brzucha, wywołując niekończące się falowanie ciała pod bawełnianym szlafrokiem.

- Mówi pan wspomnienie... traumatyczne wspomnienie. - Herr Beiber wypowiedział

te słowa cichym głosem.

- W oczach dziecka większość zachowań dorosłych z pewnością wydaje się dziwna i budzi konsternację... ale to, czego pan stał się świadkiem, musiało być przerażające. Tak czy owak, teraz sam przeniósł się pan w dorosłość - i nie ma się pan czego dłużej lękać.

Palec Beibera przestał stukać w brzuch.

- Gdyby miał pan stworzyć związek - ciągnął Liebermann - z kobietą - ze zwyczajną kobietą: maszynistką z pańskiego biura, ekspedientką ze sklepu, szwaczką, kto wie? W

każdym razie kobietą, którą mógłby pan pewnego dnia w rzeczywistości poślubić, podejrzewam, że wówczas pańskie uczucia dla arcyksiężnej Marii Walerii wkrótce by osłabły.

Herr Beiber przygryzł wargę.

- Proces psychoanalizy to proces odzyskiwania - ciągnął Liebermann. - Kiedy coś dogłębnie zrozumiemy, możemy odzyskać to, co utraciliśmy. To, czego wcześniej strzegła zazdrośnie nieświadomość, staje się uświadomione - irracjonalne zostaje zastąpione racjonalnym. Gdyby pewnego dnia zdecydował się pan wejść do małżeńskiej sypialni, proszę pamiętać, że uczyni to pan jako mężczyzna, a nie zdezorientowane, wystraszone dziecko.

Po raz pierwszy od kiedy Herr Beiber zaczął być poddawany psychoanalizie, sprawiał

wrażenie przygaszonego. Nie dawał beztraskich ripost ani nie fantazjował. Nie było kwiecistych deklaracji dozgonnej, transcendentnej miłości. Wydawało się, że Liebermann zasiał ziarno, które zaczęło już kiełkować. Przypominał mu się pospolity widok małego drzewka wyzierającego ze splekanej płyty chodnikowej. To niesamowite, jak coś tak kruche, tak delikatnego, może w końcu rozsądzić ciężki kamień. Jednak właśnie tak działa psychoanaliza: małe ziarenko zrozumienia rośnie, rozwija się, nabiera mocy i we właściwym czasie rozbija w drobny mak sztywny pancierz psychopatologii. Na zewnątrz kościelny zegar wybił godzinę.

- Herr Beiber... - Czas wspólnej sesji minął, lecz Liebermann nie mógł pozwolić pacjentowi wyjść,

nie zadawszy mu jeszcze jednego pytania.

- Podczas naszego poprzedniego spotkania wspomniał pan o pewnym wydarzeniu z udziałem wiolonczelisty. Usiłował pan nakłonić go do zagrania aubady przed pałacem Schönbrunn. Pamięta pan?

- Tak. Co w związku z tym? - w odpowiedzi Beibera słychać było rozdrażnienie, jak gdyby miał doktorowi za złe, że przeszkadza mu w myśleniu.

- Mówił pan - ciągnął Liebermann - że był to dziwny człowiek. Powiedział pan, że było w nim... coś szczególnego.

- Tak?

- Tak. Co miał pan na myśli?

Herr Beiber był wciąż jakby nieobecny.

- Traumatyczne wspomnienie... - wyszeptał.

- Herr Beiber? - Liebermann podniósł głos. - Wiolonczelista. Mówił pan, że był dziwny, że było w nim coś szczególnego. Co miał pan na myśli?

Księgowy uwolnił się od swych myśli, wygładziły się bruzdy na czole.

- Chyba jego twarz.

- Co było w niej dziwnego?

- Cóż... Może wydać się to uszczypliwe, bo przecież wiem, że mnie samemu daleko do doskonałości, ale ten nieszcześny człek - ależ on wyglądał jak żaba!

W tym samym momencie ktoś zastukał do drzwi.

- Proszę! - zawołał Liebermann.

Za drewnianej framugi wyłoniła się głowa Kannerera.

- Max?

Liebermann wstał i podszedł do przyjaciela.

- O co chodzi? Kannerer zniżył głos.

- Właśnie przybył młody człowiek z biura bezpieczeństwa - niejaki Haussmann?

Twierdzi, że ma dość pilną sprawę. Coś w związku z odnalezieniem jakiegoś Salieriego?

Może to któryś z twoich włoskich pacjentów?

Pośrodku pokoju stał mały, okrągły stolik, wokół którego ustawiono trzy krzesła.

Jedno z nich zajmował porucznik Ruprecht Hefner. Siedział w rozkroku, głowę miał

odrzuconą do tyłu. Prawa ręka wyglądała tak, jakby wepchnięto ją w usta. Przy bliższych oględzinach można było dostrzec matową lufę małego pistoletu oraz ślady oparzeń i pęcherze.

Z tyłu krzesła zebrała się spora kałuża krwi, której nieruchomą powierzchnię mąciły szare grudki tkanki mózgowej. Co niesamowite, mundur Hefnera znajdował się w nieskazitelnym stanie: niebieska tkanina nie nosiła żadnych śladów plam, mosiężne guziki lśniły jaskrawo jak nagietki.

Liebermann podszedł bliżej i kucnął. Z tyłu czaszki Hefnera ziała poszarpana wyrwa, z której wciąż wyciekały w nieregularnych odstępach kropelki płynu.

- Znalazł go rano ordynans - wyjaśnił Rheinhardt. - Przegrał amerykański pojedynek.

- Skąd wiesz?

Rheinhardt pokazał Liebermannowi kartkę papieru.

- Jego list pożegnalny.

Liebermann wziął papier i zaczął czytać:

Ja, porucznik Ruprecht Georg Hefner, będąc przy zdrowych zmysłach odchodzę z tego świata jako człowiek honoru...

Liebermann przejrzał pobieżnie wstępne akapity.

Moją szablę zostawiam porucznikowi Trappowi, a pistolety porucznikowi Renzowi...

Mojego konia Geronima przekazuję lekarzowi pułkowemu, który wielokrotnie służył istotną pomocą...

Dalej były wzmianki o jakichś nieuregulowanych długach hazardowych i wyrazy żalu, że Hefner nie zdoła już ich spłacić.

Rheinhardt wskazał fragment na dole strony:

- Spójrz na to. Liebermann czytał dalej:

Wszystko skończone. Zmierzch zapada nad naszym ludem, brakuje godnych mężów gotowych mówić bez ogródek. Samotny głos tu, samotny głos tam: lecz to nie wystarczy.

Tchórze w parlamencie i Ratuszu siedzą z założonymi rękami. Nasze wspaniałe miasto nawiedziła plaga. Czyniłem, co mogłem. Ale dla Wiednia nie ma ratunku...

Po tym następowała zjadliwa diatryba, denuncjująca wrogów germańskiej nacji: Żydów, Słowian, Kościół katolicki, ludy południowe.

- Proszę bardzo! - wykrzyknął Rheinhardt. - To na pewno on. To właściwie przyznanie się do winy!

Liebermann odwrócił kartkę. Druga strona była czysta.

- Wiemy, że bywał w burdelu Madam Borek - kontynuował Rheinhardt, z podniecenia wybałuszając oczy. - Był członkiem Eddyjskiego Towarzystwa Literackiego oraz członkiem Towarzystwa Wagnerowskiego. Nosił szablę i pragnął wybawić Wiedeń od wszystkich ludzi oraz instytucji pogardzanych przez Guida Lista. To musi być on. To na pewno Salieri!

- Nie, Oskarze - rzekł Liebermann. - Obawiam się, że jesteś w błędzie.

Rheinhardt wyrwał Liebermannowi z ręki list Hefnera i przeczytał na głos: *Nasze wspaniałe miasto nawiedziła plaga. Czyniłem, co mogłem...* To zdanie zawisło między nimi w powietrzu.

- Ma na myśli pojedynekowanie się, Oskarze, to wszystko. Najwyraźniej wielką przyjemność sprawiało mu prowokowanie tych, których zaliczał do wrogów: Żydów, Czechów, Węgrów... Ludzi takich jak Freddi Lemberg.

Rheinhardt westchnął, jakby nagle zeszło z niego całe powietrze. - Ale dowody, Max... Madam Borek, szabla...

- Salieri nie zdołałby oprzeć się wzmiance o *Czarodziejskim flecie*.

- Był członkiem Towarzystwa Wagnerowskiego...

- No i mamy jeszcze wyniki analiz panny Lydgate.

- Musiała popełnić błąd.

- Jak już wcześniej mówiłem - bardzo w to wątpię.

Nagle Rheinhardt napadł na przyjaciela. Nie potrafił ukryć irytacji.

- Max, jak możesz być taki pewien!

Liebermann uśmiechnął się i oburącz poklepał Rheinhardta po ramionach.

- Mogę być pewien, Oskarze... ponieważ dziś wieczorem wspólnie złożymy Salieriemu wizytę domową.

Hrabia Zaborszky spojrział na Ottona Brauna siedzącego po drugiej stronie niskiego tureckiego stolika. Pociągnął dym z ustnika fajki wodnej i wypuścił gryzący obłok. Świeca zamigotała w przeciągu utworzonym przez opiumowy wydech.

- A więc... - zaczął. - Dureń nie żyje?

- Tak - odparł Braun. - Doniosła o tym wieczorna prasa.

Usta hrabiego rozchyliły się, obnażając ostre zęby. Braun wziął ten grymas za uśmiech.

- Eh, wy, Niemcy... Braun cmoknął.

- On był Austriakiem. Urodzonym w Wiedniu.

Hrabia zbył uwagę Brauna szyderczym uśmieszkiem i ospałym gestem.

-...Z waszym absurdalnym kodeksem honorowym. Z góry dochodził odgłos skrzypiącego materaca. W powtarzającym się, jęklwym rytmie. Wzrok hrabiego pomknął ku sufitowi.

- Wypróbowałeś już tę nową dziewczynę? Tę Galicjanę? - Nie.

- Powinieneś.

- Jestem bez grosza. - Braun wypowiedział te słowa z premedytacją. Hrabia wsunął

rękę do kieszeni, wyjął mały skórzany portfel i rzucił go na stół. Młodszy mężczyzna podniósł go, zważył w dłoni i schował.

Skrzypienie ustało.

- Jak to zrobiłeś? - spytał hrabia.

- To banalne... robiłem podobne sztuczki podczas iluzjonistycznych występów w Teatrze Błękitny Dunaj. Mały numerek wymyślony dla zakładu, który zawsze wygrywałem.

Błyskawiczna zamiana - nic wielkiego...

- No dobrze. Ale jak?

- Odkryłbym karty. - Po czym, przybierając niby-dostojną pozę, dodał: - Żaden szanujący się sztukmistrz nie złamałby zasad.

Hrabia delikatnie zaciągnął się fajką wodną i pozwolił sobie na szorstki, suchy śmiech.

- Bardzo dobrze, Braun. Bardzo dobrze.

Na górze otworzyły się i zamknęły drzwi. Odgłos kroków na półpiętrze i buty chwiejnie schodzące ze schodów. Z mroku wyłonił się kawalerzysta.

- Dobry wieczór - powitał go hrabia. - Zastanawiam się, czy miałby pan ochotę przyłączyć się do nas i rozegrać partyjkę.

Czapka ułana siedziała na głowie pod ostrym kątem.

- Obowiązek nakazuje mi was ostrzec - mam onieśmielającą reputację.

- Nie wątpię - rzekł hrabia. - Proszę... - Zapraszającym gestem wskazał miejsce obok Brauna. Sztukmistrz wyjął talię kart, które rzucił na stół obok świeczki.

- W co zagramy? - spytał, posyłając hrabiemu szelmowskie spojrzenie.

Część czwarta

MRO CZNY ŚWIAT PODZIEMI

Brukowana ulica pięła się w górę, prowadząc do krótkiego, położonego wyżej ślepego zaułka. Miejsce było ciemne, oświetlone tylko jedną gazową latarnią i nieco opustoszałe.

Wszystkie przysadziste, dwukondygnacyjne budynki zaadaptowano na cele usługowe i handlowe, a ich rezydenci już dawno zakończyli swoje całodzienne interesy. Duże drewniane szyldy wskazywały siedziby kołodzieja, kowala i cieśli. Nad zaułkiem górowała wielookienna wyniosłość dużej kamienicy mieszkalnej. W nielicznych oknach na wyższych piętrach paliły się światła, świadczące o tym, że nie wszyscy lokatorzy udali się na nocny spoczynek.

Wczesnym wieczorem ciepły, suchy fen opadł z gór, topiąc cały śnieg i lód w przeciągu kilku godzin. Powietrze przenikały odgłosy kapania i ciurkania, gdy strumyczki płynącej wody wpadały do ulicznych studzienek. To dziwaczne zjawisko meteorologiczne potrafiło podnieść temperaturę o ponad dwadzieścia stopni w skali Reaumura.

Liebermann rozpiął płaszcz i poluźnił krawat.

- Wiesz, przypisuje się mu nasilenie niepoczytalnych zachowań.

- Wiejącemu fenowi? - zainteresował się Rheinhardt.

- Tak. Zapytaj dowolnego szpitalnego psychiatrę. Pacjenci stają się niespokojni i zawsze jest wtedy więcej przyjęć.

- W jaki sposób wiatr wywiera taki wpływ?

- Nie mamy bladego pojęcia. - Młody lekarz westchnął. - To nie jest dobry znak.-

Sądziłem, że nie wierzysz w omeny.

- Salieri jest dostatecznie nie zrównoważony - bez pogarszającego stan psychiczny fenu. Wziął rewolwer?

- Oczywiście - padła odpowiedź.

- Wciąż nic... Nie ma go. - Rheinhardt wydał policzki. - Zdajesz sobie sprawę, Max, że jeśli się mylisz i nas przyłapią, dostanę surową reprimendę od komisarza Brugła. - Młody doktor spoglądał na drugą stronę wilgotnych kocich łbów. - I jeśli mam być szczery - ciągnął

Rheinhardt - byłeś raczej powściągliwy w odniesieniu do swojej metody dedukcji.

- Udzielę ci wyczerpujących wyjaśnień w odpowiednim czasie. Rheinhardt podkreślił

koniuszki wąsów.

- On nie jest bibliotekarzem.

- Wiem.

- Nie możecie jednocześnie mieć racji oboje: ty i panna Lydgate. Liebermann wzruszył ramionami.

Inspektor cmoknął, ale nie naciskał. Był gotów uwierzyć przyjacielowi na słowo, znając jego zwyczaje, młody doktor bowiem najbardziej zagadkowy wydawał się wtedy, gdy jego konkluzje były prawidłowe. Tak czy owak, pomyślał Rheinhardt, te jego dziwactwa bywają szalenie irytujące...

- Może uda nam się wejść i wyjść z mieszkania bez niszczenia czegokolwiek - rzekł

Rheinhardt. - W którym to wypadku nikt nie musi się dowiedzieć, że w ogóle tutaj byliśmy. Z

drugiej strony, jeśli natkniemy się na jakieś obciążające poszlaki, będę musiał tu zaczekać i dokonać aresztowania. Ty nie powinieneś czuć się w obowiązku pozostania ze mną. A w zasadzie byłoby chyba lepiej, gdybyś sprowadził pomoc.

- I zostawił cię sam na sam z tym potworem? To nie wchodzi w rachubę.

Rheinhardt uśmiechnął się.

- Zaczekaj tu. Zawołaj, jeśli zobaczysz, że nadchodzi. - Następnie przeciął ulicę i zaczął przyglądać się surowym, drewnianym drzwiom, Liebermann widział, że przyjaciel majstruje przy zamku, co dosyć go zdziwiło. Wedle jego wiedzy inspektor nie miał specjalnej orientacji w funkcjonowaniu mechanizmów zamkowych. Jednak po kilku minutach Rheinhardt przywołał Liebermanna, zagarniając powietrze obszernymi, półkolistymi ruchami ramienia. Liebermann wychynął z ukrycia i pospieszył na drugą stronę. Gdy znalazł się obok, Rheinhardt przekręcił gałkę i pchnął drzwi.

- Jak to zrobiłeś? - Liebermann był pod silnym wrażeniem. Rheinhardt pokazał pęk dziwnie wyglądających prętów z wrzecionowatymi wypustkami.

- Klucze uniwersalne - rzekł Rheinhardt. - Nie zawsze działają, ale tym razem się udało.

Wyjął przedmiot, którego Liebermann nigdy dotąd nie widział: krótki walec, dość podobny do teleskopu, otoczony kilkoma srebrnymi pierścieniami.

- Co to, u licha, jest?

- Latarka. - Co?

- Amerykańska. Patrz. Przesuwam włącznik... - Rheinhardt pchnął kciukiem wystający metalowy drążek i korytarz oświetliło drgające światło. Po kilku chwilach przygasło.

- Niesamowite - wykrzyknął Liebermann. - Przenośna żarówka elektryczna!

- Owszem - przyznał Rheinhardt. - Zrewolucjonizuje pracę policji: ryzyko zaproszenia ognia

związane z prowadzeniem śledztwa nocą należy już do przeszłości!

Zamknęli za sobą drzwi i wspięli się po stromych schodach, które prowadziły na ciasne półpiętro. Po jednej stronie znajdował się niewielki, oszczędnie umeblowany pokój z łóżkiem połowym, piecykiem, szafą i biblioteczką.

- Tutaj - wskazał Rheinhardt.

Weszli do pokoju i rozpoczęli systematyczne przeszukiwanie, biorąc na pierwszy ogień szafę. Nie zawierała niczego wyjątkowego i bił z niej silny zapach naftaliny. Pod łóżkiem znaleźli napełniony do połowy nocnik. W biblioteczkę stały przewidywalne tytuły: *Carnuntum*, *Deutschmy-thologische Landschaftsbilder*, *Der Unbesiegbare*, *Pipara* oraz inne pozycje autorstwa Guida Lista. Były tam również dzieła Anglika, Houstona Stewarta Chamberlaina: biografia Ryszarda Wagnera i słynna historia, *Die Grundlagen des neunzehnten Jahrhunderts*.

Przeszukiwanie przebiegało powoli, jego tempo wyznaczały krótkie okresy świecenia latarki. Po pewnym czasie obydwaj mężczyźni wpadli w rytm dyktowany przez techniczne ograniczenia urządzenia. Stai się niemal hipnotyczny.

Błysk - przygasanie - ciemność. Błysk - przygasanie - ciemność.

Ruch - przestój, ruch - przestój...

Liebermann wyjrzał niespokojnie przez otwarte drzwi.

- Chodź - powiedział. - Nic tu nie ma. Musimy się pospieszyć.

- Cóż, tam też niewiele jest - odparł Rheinhardt, kierując świetlisty strumień na drugą stronę półpiętra.

- Och, będzie, mogę cię zapewnić.

Rheinhardt rozpoznał w głosie Liebermanna nową nutę pewności siebie.

- Dostrzegłeś coś, prawda?

- Później, Oskarze - syknął Liebermann.

Rheinhardt w milczeniu ścierpiał kolejny przyływy irytacji.

Dwaj mężczyźni ostrożnie weszli do pracowni.

Wyglądała prawie tak samo, jak zapamiętał ją Rheinhardt: wysłużona skrzynia, mały stolik, drewniane ramy i duże lustro oparte o ścianę. Jediną istotną różnicą była nieobecność obrazów.

Liebermann szedł przed siebie, jego buty stukały głucho o podłogowe deski. Nagle dźwięk się zmienił, gdy coś zaczęło chrzęścić pod stopami.

- Oskarże...

Rheinhardt opuścił latarkę, która wydobyła z mroku masę skrzących się odłamków.

Liebermann przykucnął. Wyciągnąwszy rękę, dotknął jednego z jasnych punkcików.

- Szkło...

Wstając, Liebermann niechcący kopnął coś twardego. Potoczyło się po podłodze z dziwnie głośnym dudnieniem, które przez krótką chwilę jeszcze się wzmogło.

Błysk - przygasanie - ciemność. Błysk - przygasanie - ciemność.

Odgłos wydała pusta butelka, która zatrzymała się przy nodze sztalugi. Liebermann podniósł ją i odczytał napis na etykiecie:

- Wódka - mruknął pod nosem. Następnie jego uwagę zwróciły szczątki obrazu.

Czerwone paski płótna zwisające w strzępach z blejtramu.

- Pociął go na kawałki - szepnął.

- Dlaczego?

- Z powodu recenzji. Czytałeś jakieś?

- Tak, kilka. Były okropne. Uznałem, że dość niesprawiedliwe - nie jest aż tak zły.

- Upił się, by uśmierzyć ból, w furii rzucił szklanką o ścianę, ogarnięty rozpaczą zniszczył swoje najnowsze dzieło. Ciekaw jestem, co przedstawiało...

Rheinhardt otworzył zdezelowaną skrzynię i skierował do wewnątrz snop światła.

Błysk - przygasanie - ciemność. Błysk - przygasanie - ciemność. Kilka brudnych fartuchów, gipsowy odlew torsu oraz kilka plakatów z wystawy.

- Cóż, na podstawie tego, co się tu znajduje, nie zyskamy pewności. Rheinhardt opuścił wieko skrzyni i przestał poruszać włącznikiem latarki. Pokój rozpląnął się w mrocznej nicości. Na zewnątrz wciąż było słychać łagodną muzykę cieknącej strużkami wody - a w oddali stukanie kopyt i brzęczenie uprzęży zaprzęgniętego do powozu konia. Inspektor westchnął.

- Byłeś pewien, że znajdziemy dowody... - Młody lekarz milczał. - No więc - mówił

dalej Rheinhardt, nie potrafiąc w końcu ukryć swojej irytacji - gdzie one są?

- Zwróciłeś uwagę na odgłos, jaki wydawała tocząca się po podłodze butelka? Na zmianę natężenia dźwięku?

- Nie.

- My analitycy zawsze słuchamy bardzo uważnie... To, czego szukasz, znajdziesz gdzieś tam.

Rheinhardt przesunął w przód włącznik latarki, oświetlając swego towarzysza. Młody lekarz stał z wyciągniętym ramieniem, wskazując fragment podłogi pomiędzy stołem a skrzynią.

- Pod deskami? - spytał Rheinhardt.

- Tak - padła zdecydowana odpowiedź.

Inspektor opadł na czworaka i zaczął czołgać się wzdłuż jednej deski. Latarkę trzymał bardzo blisko podłogi.

- Co ty u licha wyprawiasz, Oskarze?

Rheinhardtowi przyszło do głowy, że może wykorzystać tę okazję i odpłacić młodemu lekarzowi pięknym za nadobne, dlatego milczał.

- Oskarze? - nie ustępował Liebermann. - Co ty robisz? Kiedy Rheinhardt nabrał

przekonania, że dał coś do zrozumienia i młody doktor pojął cel jego niecodziennej małomówności, raczył tym razem odpowiedzieć.

- Podważanie wszystkich desek zajęłoby zbyt wiele czasu - zaczął - szukam więc śladów niedawnego ich wyjmowania. Gdy podłoga kładziona jest po raz pierwszy, gwoździe mocujące deski do trawersów wbijane są najgłębiej, jak się da - wyjęcie ich bez zniszczenia drewna wokół łebków jest niemożliwe. Jeśli nie ma takich śladów, dalsze szukanie jest bezcelowe.

Rheinhardt czołgał się po podłodze tam i z powrotem, kolana protestowały perkusyjnymi trzaskami i strzyknięciami. Wreszcie wykrzyknął:

- Aha! Jest - uszkodzenie! Podejdź tu, Max, rzuć okiem... - Liebermann zbliżył się do przyjaciela i zauważył odłupane i poobijane drewno wokół główek kilku gwoździ. - A ta deska - ciągnął Rheinhardt, kołysząc nią na boki - jest całkiem obluzowana.

- Przypuszczam, że oznacza to, że będziesz musiał wrócić tutaj rano i przeprowadzić oficjalną rewizję?

- Wcale nie.

- Przecież nie mamy narzędzi do podważenia desek.

- Owszem, mamy.

Rheinhardt przykucnął i wyjął z kieszeni obszernego płaszcza parę cęgów.

- Mój Boże, Oskarże, cóż ty tam jeszcze nosisz!

- Oprócz rewolweru i kluczy uniwersalnych mam tam notes, ołówek, scyzoryk, jeszcze jedne mniejsze cęgi, pęsetę, szkło powiększające, kajdanki i kilka wzmocnionych kopert. Trzeba być zawsze przygotowanym, Max. Proszę - potrzyмай latarkę.

Następnie Rheinhardt przystąpił do wyciągania gwoździ. Czynił to systematycznie, z ponurą determinacją wprawnego dentysty.

Ścisnąć, wykręcić, pociągnąć. Ścisnąć, wykręcić, pociągnąć.

Kiedy skończył wyjmowanie gwoździ z pierwszej deski, podważył ją scyzorykiem i podniósł. Liebermann skierował do otworu snop światła.

- Zdaje się, że coś tam jest - wykrztusił.

Rheinhardt leżał płasko na brzuchu i wcisnął ramię do szczeliny. Gdy penetrował jej zawartość, jego twarz zmieniła wyraz z pełnego determinacji skupienia w dziwną mieszaninę zdumienia i triumfu.

- Mój Boże! - wykrzyknął. - To chyba... nie do wiary... futerał na wiolonczelę! -

Poszukiwania po omacku stały się bardziej gorączkowe. - Tak, tak - futerał na wiolonczelę!

Rheinhardt cofnął rękę i chwycił za cęgi.

- Wyciągamy dalej.

Inspektor powrócił do swego zajęcia ze świeżym zapalem, uwalniając każdy z gwoździ jednym silnym szarpnięciem. Na czoło zaczęły występować mu krople potu.

Wkrótce została usunięta druga deska, a światło latarki wyłoniło z ciemności charakterystyczną krzywiznę poobdzieranej skóry. Falisty kontur wyraźnie powielał kształt

„talii” i „brzucha” ukrytego w środku instrumentu.

Gdy Rheinhardt zabrał się za trzecią deskę, stwierdził, że pulsujący strumień światła odsunął się od główki gwoźdźca.

- Max! - powiedział Rheinhardt. - Bardziej w prawo!

Ale młody lekarz nie wykonał polecenia. Zamiast tego podniósł wyżej latarkę i wycelował ją w drzwi. Czas wydawał się dłużyć. Przesunął włącznik, lecz ten zareagował z dziwnym opóźnieniem. Światło sączyło się jak lepka ciecz. Omiatało pokój z niemrawą prędkością lejącego się miodu.

Błysk - przygasanie - ciemność.

Postać artysty trwała w jego pamięci jak wzory, które pojawiają się po spojrzeniu w słońce. To, co

ujrzał, miało charakter teatralnej iluzji. Krępy mężczyzna o szeroko rozstawionych oczach, ubrany w swobodny strój. Olbricht nie wyglądał na przestraszonego.

W zasadzie wydawał się zupełnie opanowany.

Kiedy Liebermann posłał kolejny świetlny impuls w kierunku drzwi, w progu nie było nikogo, a powietrze wibrowało odgłosem kroków biegnącego Olbrichta.

Liebermann zerwał się na równe nogi i pobiegł ku drzwiom. Z półpiętra skierował strumień światła na schody i zobaczył Olbrichta gwałtownie skręcającego w prawo. Nic zastanawiając się ani przez chwilę nad roztropnością swego postępowania, Liebermann rzucił się w mrok, mając ścianę za przewodnika. Schodził niepewnym krokiem, a na ostatnim stopniu się potknął. Zdołał odzyskać równowagę i wypadł na zewnątrz przez otwarte drzwi.

Mężczyzna zatrzymał się i spojrzał w ciemną otchłań ślepego zaułku. Trzaskała samotna latarnia gazowa. Czyżby dostrzegał jakiś ruch? Ledwo drgnięcie - subtelny ślad zachwiania w materii nocy?

Kontynuował pościg, biegnąc po wilgotnych kocich łbach. Przedzierając się przez kompletne ciemności, zaczął zdawać sobie sprawę, że zbliża się do wysokiego muru, przytłaczającej budowli, która łączyła ostatnie domy w zaułku i skutecznie zamykała ulicę.

Nigdzie ani śladu Olbrichta, choć było oczywiste, że artysta, choćby najbardziej zwinny, nie mógł wspiąć się po pionowej ścianie. Liebermann pochylił się do przodu, wsparł dłonie na udach i usiłował złapać oddech. W tej samej chwili zorientował się, że nadchodzi Rheinhardt.

Inspektor podbiegł do ściany, stanął i rozejrzał się we wszystkich kierunkach.

- Gdzie on jest? - Rheinhardt oparł dłonie o ceglany mur i naparł, jakby spodziewając się znaleźć sekretne wyjście. - Jak, u diabła, uciekł?

- Nie wiem...

- Jesteś pewien, że biegł tędy?

- Nie widziałem zbyt dokładnie, ale tak. Rheinhardt cofnął się o krok.

- Może wszedł do któregoś domu?

- Nie, zmierzał w tym kierunku.

- Przecież nie mógł się rozpląnąć!

Rheinhardt obrócił się na pięcie. Wydawał się zrozpaczony, zdesperowany. Ciężko oddychał. W nietypowym dla siebie stanie frustracji wyrzucił z siebie grad przekleństw i uderzył dłonią w okrągły słup ogłoszeniowy. Rezonował niczym gong - głębokim dudnieniem, na które nakładał się wewnętrzny rytm. Ale gdy odgłosy zamarły, słup zaczął

wydawać inny dźwięk, metaliczny zgrzyt. Dwaj mężczyźni stali oszołomieni, gdy stalowe drzwi otworzyły się powoli na zardzewiałych zawiasach.

Reakcja inspektora była zaskakująco błyskawiczna. W mgnieniu oka w jego dłoni pojawił się rewolwer. Ostrożnie zbliżył się do drzwi i dał Liebermannowi znak, że potrzebuje światła. Młody lekarz poszedł za nim. Ich spojrzenia spotkały się w przelocie, nim Liebermann wcisnął włącznik.

Błysk - przygasanie - ciemność.

Światło ukazało nędzne, skorodowane wnętrze - lecz ani śladu Olbrichta.

Liebermann wszedł do metalowej kolumny i stwierdził, że stoi na szczycie spiralnych schodów, które toną głęboko pod ziemią.

- Musiał zejść tędy - szepnął Liebermann. - Jak sądzisz, dokąd prowadzą?

- Do kanałów...

- Panuje taka ciemność... jakim cudem znalazł drogę?

- Bardzo wątpię, że odkrył ją przez przypadek. Musiał ją znać. Liebermann zaczął

schodzić. Rheinhardt trzymał się tuż za nim, rękę dzierżącą pistolet wyciągnął ponad ramieniem młodego lekarza. Gdy zataczali kręgi na schodach, latarka oświetlała gruby baldachim pajęczyn: nie zwykłej siateczki cienkich nitek babiego lata, lecz ogromnych zwojów gęsto splątanej pajęczej nici. Można było odnieść wrażenie, że jest się w namiocie; jednak w fałdach i zagięciach tej żółtawobiałej materii kryły się setki brązowych istot o wielu odnóżach - pękatych odwłoków pajęczaków, rozdętych od jaj, drżących w unoszących się z głębi miazmatach. Liebermann wzdrygnął się, gdy coś spadło z góry, uderzając w żelazną poręcz z wyjątkowym impetem. W miarę posuwania się w głąb rojący się od stworzeń baldachim stopniowo opadał coraz niżej, aż obydwaj mężczyźni byli zmuszeni schylić głowy i przygarbić ramiona.

Kiedy dotarli na sam dół spiralnych schodów, pajęczyny nagle znikły. Ale Liebermann cierpiący na złudzenie, że na jego skórze kłębią się pająki, poczuł w sobie wewnętrzny przymus otrzeptania ubrania ze znaczną siłą.

Rheinhardt przyłożył palec do ust.

- Ciii...

Znajdowali się w wąskim, sklepionym łukowo korytarzu. Inspektor przekrzywił głowę na jedną stronę. Jego ucho wychwyciło słaby dźwięk, niemal na granicy słyszalności, bardziej drgnienie powietrza niż coś, co rzeczywiście da się usłyszeć. Tak, jego miarowość sugerowała zdecydowany krok ginący w oddali. - Chodź - rzeki Rheinhardt. - Jeszcze możemy go złapać.

Nie sposób było określić długości korytarza. Światło latarki odpychało ciemność zaledwie o kilka metrów. Szli już od pewnego czasu. Pozbawieni wszelkich charakterystycznych elementów pozwalających oszacować odległość odnosili wrażenie, że wcale nie posuwają się do przodu, a jedynie stąpają wciąż po tym samym pasie zwirowatego podłoża. W miarę marszu Liebermann stwierdził, że ściany zdają się do siebie przybliżać.

Wyczuł nad głową przytłaczający ciężar nasiąkniętej wodą gliny. Powietrze było zimne, wilgotne, atmosfera klaustrofobiczna. Poczul nagły przypływ niepokoju wzbierającego w samym środku jego jestestwa. Zmiotł on potęgę zdrowego rozsądku, a myśli opanował lęk przed uwięzieniem pod ziemią i pogrzebaniem żywcem.

Zapomnienie, smak ziemi w ustach, uduszenie...

Liebermann zmusił się do dalszego marszu, siłą woli nakazując najpierw jednej ciężkiej jak ołów nodze, by zrobiła krok naprzód, potem drugiej, póki korytarz nie wypuł go litościwie do szerokiego tunelu. Liebermann oparł się o ścianę i odetchnął z ulgą.

- Nic ci nie jest? - spytał Rheinhardt.

- Nic - odrzekł Liebermann. - Nic - lekkie nudności i tyle. Światło latarki odbijało się w leniwie płynącym czarnym kanale. Jego ślimaczy, oleisty ruch nasunął Liebermannowi skojarzenie z rzekami podziemnego świata: Acheronem, rzeką niedoli, Kokytosem, rzeką lamentu, Styksem, rzeką nienawiści. Miał nadzieję, że nie nawiedziła go prorocza wizja własnej śmierci, że nie ujrzy wkrótce zbliżającej się lampy przewoźnika i nie usłyszy łagodnego plusku fali dziobowej jego łodzi...

- Którędy idziemy? - zapytał Liebermann, wypierając z myśli ten potworny obraz.

Rheinhardt wzruszył ramionami.

- Czy on jest praworęczny? - zainteresował się nagle Liebermann.

- Tak - wedle raportu profesora Mathiasa z sekcji zwłok.

- W takim razie, jeśli wszystko odbywa się bez zakłóceń, osoby praworęczne wykazują tendencję do preferowania skrętu w prawo. Przynajmniej przeczytałem to kiedyś w podręczniku neurofizjologii.

- No to miejmy nadzieję, że jego autor się nie mylił. Liebermann wyprostował się i skręcił w prawo, w korytarz biegnący równoległe do podziemnego kanału. Odór ekskrementów stał się bardziej intensywny - cuchnący smród, który zamieniał każde zaczerpnięcie powietrza w udrukę, każdy płytki wdech w triumf refleksu nad odrazą.

Ich wędrówka zyskała nieproszony akompaniament: skrobanie pazurkami i nerwowy komentarz pisków i cykań. Coś dużego i lśniącego uciekło przed gasnącym snopem światła i z pluskiem wpadło do wody.

- To szczur?

- Obawiam się, że tak. - Ależ to coś było olbrzymie...

Koncentryczne zmarszczki na wodzie zdradzały miejsce, w którym stworzenie dało nurka do kanału.

Rheinhardt dotknął ramienia Liebermanna i delikatnie go pchnął.

W niewielkiej odległości przed nimi światło latarki wyłuskało z mroku duże, żelazne drzwi. Rheinhardt podniósł palec do ust. Liebermann ustawił się w takim miejscu, żeby po otwarciu drzwi mógł skierować strumień światła na to, co czekało ich po drugiej stronie.

Rheinhardt stał tuż obok z gotowym do strzału rewolwerem. Na znak inspektora Liebermann silnym szarpnięciem otworzył drzwi. Wydały przejmujący metaliczny pisk.

Błysk - przygasanie - ciemność.

Blask latarki padł na charakterystyczną, odbijającą światło powierzchnię ludzkiego oka. Tyle że nie była to pojedyncza para oczu należących do Olbrichta, a wiele par, wszystkie szeroko otwarte, o białkach świecących się ze strachu.

- Mój Boże - wyszeptał Rheinhardt.

Okazało się, że patrzą na kwadratową komorę o kamiennych ścianach. Na ziemi leżała pstrokata zbieranina dorosłych i małych dzieci. Ich ubrania były w łachmanach, w powietrzu drażnił silny odór amoniaku. Niektóre z dzieci nie miały butów, a ich żalosne, drobne twarzyczki były pobrudzone smugami sadzy. Jedno zaczęło płakać.

Rheinhardt opuścił rewolwer.

Kobieta o długich, zmierzwionych włosach podczołgała się do Rheinhardta, schwyciła go za wolną rękę i pocałowała. Mamrotała coś w języku, którego nie potrafił zrozumieć. Ton ulgi w jej słowach sugerował, że dziękowała jemu albo Bogu za litość. Zażenowany Rheinhardt cofnął się o kilka kroków.- Czy ktokolwiek z was słyszał, jak ktoś przechodził

obok... kilka minut temu?

Na żadnej z wymizerowanych twarzy nie było oznak zrozumienia. Wszyscy patrzyli tępych wzrokiem: stary mężczyzna z długą siwą brodą; czarnowłose dziecko, młodzieniec w kaszkiecie... Było ich razem około tuzina, stłoczonych jedno przy drugim, by nie tracić ciepła.

Stary zakasłał w rękaw.

- Czy ktokolwiek z was mówi po niemiecku? - nie dawał za wygraną Rheinhardt.

Cisza.

- Magyar... əcstina?

Kobieta na tyłach komory coś wykrzyknęła - ciąg twardych, szorstkich sylab.

- Skąd oni, do licha, są? - zastanawiał się na głos Liebermann.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Rheinhardt. - Chodź, nie możemy zwlekać. - Inspektor odwrócił się i już miał odejść, lecz nagle się zatrzymał. Był to ruch raptowny, jak gdyby zahaczył płaszczem o coś, co

szarpnęło go w tył. Przeszukał kieszenie i wyciągnął garść drobnych. Podał je kobiecie u swych stóp, która zamiast okazać wdzięczność, zerknęła w popłochu na swych towarzyszy.

- Weź - rzekł Rheinhardt. - Proszę. Nie chcę niczego w zamian. Wypuścił z rąk srebrne monety, które potoczyły się w fałdy obszarpanej sukni, i czym prędzej odszedł.

- Kim oni są? - spytał Liebermann.

- Nielegalni imigranci - odparł Rheinhardt. - Kryją się tu w ziemie, żeby nie zamarznąć i uniknąć deportacji. Podobno są ich tysiące.

- Tysiące?

- Tak, dziesiątki tysięcy. Sieć kanałów jest rozległa, ma tyle samo dróg głównych, bocznych i rzek, co miasto na powierzchni. To miasto pod miastem. Drugi Wiedeń, na szczęście znany tylko nielicznym.

- To jest piekło - rzekł Liebermann, kręcąc głową. - Istne piekło...

- Rzeczywiście - przyznał Rheinhardt.

- Nigdy nie zdawałem sobie sprawy... nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że pod naszymi wspaniałymi salami koncertowymi, pałacami i salami balowymi...

- Wiem - to prawdziwy skandal.

Dwaj mężczyźni wznowili pościg, krocząc ramię przy ramieniu w pełnym zadumy milczeniu. Liebermann przypominał sobie przypadkowe spotkanie z panną Lydgate w Muzeum Historii Naturalnej i jej opis romansu naukowego, który wówczas czytała. Autor H.G. Wells snuł spekulacje na temat przyszłego podziału rodzaju ludzkiego, ubogich sprowadzonych pod ziemię - oraz ostatecznego rozłamu ludzkości i wyodrębnienia dwóch różnych gatunków. Liebermann uważał tę ideę za absurd, teraz jednak, kiedy stał się świadkiem tak straszliwych warunków życia istot ludzkich, był zmuszony zweryfikować swe stanowisko.

- Co to? - pytanie Rheinhardta przerwało prorocze rozważania Liebermanna. -

Słuchaj! Brzmi jak wodospad.

W miarę ich wędrówki odgłosy pluskającej i spadającej wody stawały się donośniejsze.

Dotarli do niskiego sklepionego przejścia sąsiadującego z ich traktem, a dalej ujrzeli kamienne schody prowadzące na niższy poziom.

Liebermann pstryknął włącznikiem latarki. *Błysk - przygasanie - ciemność...*

Schody były strome, ściany wilgotne w dotyku. Kiedy schodzili w dół, łoskot i szum wzburzonej wody nasilały się, a Liebermann zaobserwował dziwne zjawisko. Ściany lśniły.

Tak bardzo przywykł do nieustępliwej nocy podziemnego świata, że nie zorientował się, co było tego przyczyną: słabe światło sączące się gdzieś z dołu.

Weszli do dużego pomieszczenia oświetlonego elektrycznymi żarówkami zawieszonymi na kablach. Z jednej ze ścian wystawała duża rura, na tyle duża, że mógłby przejść przez nią człowiek. Był to kanał, którym płynął nieprzerwanie strumień brązowej, lepkiej cieczy, spływający kaskadą do wartkiej rzeki. Sama rzeka wpadała przez łukowaty otwór po jednej stronie pomieszczenia i wypadała przez identyczny otwór po stronie przeciwnej.

Liebermann przyjrzał się rwącemu potokowi i zauważył oleiste plamy ścieków, grudki ekskrementów oraz żółtą pianę. Krztusił się ohydnymi rozbryzgami, które zraszały powietrze.

W połowie wysokości ściany po drugiej stronie odrażającej rzeki znajdował się żelazny pomost. A tam patrzył na nich z góry Olbricht. Rheinhardt natychmiast podniósł

rewolwer i krzyknął ponad wzburzoną wodą.

- Nie ruszać się, Herr Olbricht, bo będę strzelać! Niech pan zostanie na miejscu.

Artysta miał spokojny wyraz twarzy i swobodną pozę. Z wyniosłości swego punktu obserwacyjnego wydawał się przyglądać im z obojętną dociekliwością, niczym cesarz lustrujący poddanych z monarszą pogardą.

- On może być uzbrojony, Oskarze - przestrzegł Liebermann.

- Herr Olbricht! - krzyknął znów Rheinhardt. - Proszę powoli podnieść ręce do góry i położyć je na głowie.

Artysta zrobił, co mu kazano. Lecz gdy tylko skończył wykonywać polecenie, pomieszczenie wypełniło się rechotem. Dwaj pracujący przy ściekach robotnicy z lampami w rękach pojawili się za plecami Liebermanna i Rheinhardta.

- A co się tu wyprawia?

Rheinhardt zdekoncentrował się tylko na chwilę. Lecz tyle wystarczyło Olbrichtowi.

Skorzystał z okazji i rzucił się do ucieczki. Rheinhardt pociągnął za spust rewolweru, było jednak za późno. Olbricht umknął przez wylot na końcu pomostu.

Rheinhardt odwrócił się do robotników, którzy cofnęli się w strachu przed uzbrojonym człowiekiem.

- Inspektor Oskar Rheinhardt z wiedeńskiego biura bezpieczeństwa. Dokąd prowadzi ten pomost? - Wycelował w górę dymiący rewolwer.

- Do górnych tuneli - odparł bardziej postawny z mężczyzn.

- Wychodzą na powierzchnię?

- Tak, wychodzą.

- W którym miejscu?

- Postgasse, Fleischmarkt, Parking... w wielu różnych. - Mówił twardym dialektem, który Rheinhardt z trudem rozumiał.

- Ile zajmie nam czasu wyjście tamtędy? - Rheinhardt machnął pistoletem w stronę podwyższonego pomostu.

- Tamtędy? - Robotnik zadarł brodę i wywinął dolną wargę. - Jakies pół godziny? -

Zerknął na mniejszego kolegę, który skinął głową, ale się nie odezwał.

- Na pewno?

Robotnik znowu poszukał potwierdzenia u kompana, który i tym razem energicznie pokiwał głową.

Rheinhardt zwrócił zmęczone oczy na przyjaciela.

- Cóż, Max - powiedział z westchnieniem. - Myślę, że tymczasem musimy przyznać się do porażki.

Zaczynało świtać, gdy Liebermann i Rheinhardt wrócili do pracowni artysty. Przez szyby sączyło się mizerne światło, oświetlając panujący tu nieporządek: rozbite szkło, podarte na strzępy płótno i najbardziej rzucającą się w oczy dziurę w podłodze. Na zewnątrz odgłosy rozmów i stukania młotkiem świadczyły o tym, że niektóre z warsztatów i sklepików w ślepym zaułku już się otwierały.

Rheinhardt znów złapał za cęgi i oderwał dwie kolejne deski, co pozwoliło na wyjęcie futerału. Był stary i sfatygowany, brązowa skóra poobdzierana, klamerki zaśnieżone. Nosił

ślady takiego zniszczenia i zużycia, że Liebermann nabrał podejrzeń, iż musiał niegdyś należeć do zawodowego muzyka koncertowego.

Podnieśli futerał i położyli na stole Olbrichta. Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia, odczuwając napięcie chwili. Następnie Rheinhardt sprawdził zapięcia.

- Niezamknięte - szepnął.

Otworzyły się z trzaskiem, a inspektor podniósł pokrywę.

Wnętrze wyłożone zjedzonym przez mole, gniecionym aksamitem było wypchane po brzegi starymi ubraniami. Rheinhardt zaczął wyciągać niektóre elementy garderoby: upačkany farbą fartuch, brudną koszulę, lekką i mocno zmiętą letnią marynarkę.

Obaj mężczyźni wydali stłumiony okrzyk.

Wyjęcie marynarki odsłoniło pod spodem rękojeść szabli.

Liebermann wyciągnął rękę i chwyciwszy za rękojeść, wyjął wspaniałą wojskową szablę. Wygięta krawędź błysnęła, gdy obrócił ją w świetle poranka.

- Broń Salieriego, jak mniemam - powiedział młody lekarz.

Rheinhardt kontynuował wyjmowanie z futerału kolejnych ubrań. Gdy był niemal pusty, dokonał kolejnego odkrycia - notesu oprawionego w czerwone płótno.

- No tak - rzekł ze znawstwem Liebermann.

Rheinhardt przerzucił kartki. Były gęsto pokryte ilustracjami piórkiem. Rysunki przypominały charakterem inne dzieła Olbrichta - przedstawiały wojowników, panny i mityczne stwory. Dodatkowo był tam cytaty wypisane zamaszystym gotykiem. Rheinhardt przesunął palcem w dół strony. *Co jest dobre? Wszystko, co potęguje w człowieku po czucie mocy, wolę posiadania mocy i samą moc. Co jest złe? Wszystko co rodzi się ze słabości. Czym jest szczęście? Uczuciem, że moc wzrast że opór zostaje pokonany...* Margines zajmowały liczne niestarannie na szkicowane tajemne znaki.

- Cóż za straszliwa sentencja - skonstatował Liebermann.

- Zastanawiam się, skąd pochodzi. - Rheinhardt przewrócił kolejną stronę i wytrzeszczył oczy.

Liebermann przesunął się, by lepiej widzieć.

Na stronie tłoczyły się detale: wijąca się winna latorośl, leśne zwierzęta, kolumny świątyni. Na górze był wąż, którego ciało podzielono na trzy odcinki. Poniżej wymienione wszystkie postaci z *Czarodziejskiego fletu*: Tarnino, Papageno, Królowa Nocy... Wszędzie rozbryzgane kleksy atramentu, jakby artysta pracował w pośpiechu, wciskając stalówkę w papier.

- Patrz - rzekł Liebermann - zanotował coś obok niektórych imion - Doktor wyjął

okulary i pochylił się nad drobnym pismem.

- Królowa Nocy... numer siedem... jakiś symbol runiczny...

- Zdaje się, że Thorr - Rheinhardt wskazał znak, który wyglądał jak kanciasta litera P.

-... i cyfry jeden, pięć, dwa i osiem. Palec inspektora wylądował na kolejnym znaku.

- Papageno, ptasznik... numer dwadzieścia dziewięć, Thorr, i znowu jeden pięć dwa i osiem.

- Końcowy porządek cyfr jest stały, zmienia się tylko pierwszy numer.

- Ale używa innego znaku runicznego po Monostatosie i Przemawiającym... i jeszcze innego po Księżu Tarninie i Sarastrze. Nie pamiętam, jak nazywa się ten pierwszy, ale drugi występuje w broszurze Lista: Ur - pierwotny ogień.

- Oskarże, myślę, że to są daty. Kiedy doszło do morderstw w Spittelbergu?

- Siódmego października.

- A zabójstwo Czecha?

- Dwudziestego siódmego.

- Więc proszę: siódmy i dwudziesty siódmy - a październik zastąpił po prostu znakiem Thorr.

- Ależ tak! Służący profesora został zamordowany siódmego listopada - runy zmieniają się dla oznaczenia innego miesiąca! Ale po co zamieniać 1902 na 1528?

- Pamiętam, jak ojciec opowiadał mi kiedyś, że minister Schönerer wymyślił własny kalendarz. Jego pangermańscy naśladowcy liczyli lata nie od narodzin Chrystusa, a od bitwy w mieście Noria - uważanej za pierwsze teutońskie zwycięstwo nad Rzymem.

- Kiedy to było?

- Nie wiem - w każdym razie przed narodzinami Chrystusa.

- Zatem Olbricht nie może posługiwać się kalendarzem schóneriańskim - lata musiałyby być dodawane do roku 1902, a nie odejmowane.

- Wobec tego Olbricht posłużył się znacznie późniejszą datą. Jeśli odjąć 1528 od 1902, wychodzi - Liebermann zamilkł, by dokonać obliczenia - 374 lata różnicy.

- Carnuntum! - zakrzyknął Rheinhardt. - Oblicza daty, biorąc za punkt wyjścia bitwę pod Carnuntum! Rok 374 n.e.! Czegóż innego można by się spodziewać po wielbicielu Guida Lista!

Liebermann nie podzielał radości Rheinhardta z powodu złamania szyfru. Pozostał milczący, miał zasępiony wyraz twarzy.

- O co chodzi? - spytał z troską Rheinhardt.

- Jeśli masz rację, wygląda na to, że Olbricht zabił Papagenę dwa tygodnie temu - o tym morderstwie nic nam nie wiadomo - i planuje popełnić podwójne morderstwo za kilka dni: zgładzić Księcia Tarnina i Sarastra. - Liebermann wrzucił szablę do futerału i zatrzasnął

wieko. - Oskarże, to była wyjątkowa noc i jeśli nie uda mi się znaleźć kawiarni w ciągu najbliższej pół godziny, wyzionę ducha, przysięgam.

Rheinhardt zamówił dwa kawałki makowego *strudla*, kawę *tiirkische* i *schwarzer* dla przyjaciela. Kelner o przeredzających się włosach, sumiastych wąsach i gburowatym obejściu członka tajnej rady cesarskiej przyniósł zamówienie szybko, lecz nie ceregielił się przy obsłudze.

Podczas gdy Liebermann wyglądał przez okno, Rheinhardt błyskawicznie pałaszował

śniadanie. Kiedy doktor wreszcie odwrócił głowę, ujrzał inspektora bezwstydnie pochłaniającego wzrokiem jego nietknięty kawałek ciasta, w dodatku z ogromnym zainteresowaniem. Wyraz twarzy starszego z mężczyzn był trudny do opisanego, odzwierciedlał bowiem w równym stopniu pragnienie, kaprys, żal i chciwość.

Liebermann pchnął swój strudel na drugą stronę stołu.

- Zjedz.

- Jesteś pewien?

- Tak, zamówię później rogalik.

Rheinhardt uśmiechnął się i z jego postawy znikło pewne napięcie. Rzucił się na drugie śniadanie ze zdumiewającą energią, wzbijając w powietrze tuman cukru pudru oraz cienkich jak papier płatków karmelu, gdy widelec zatopił się w miękkim, poddającym się naciskowi sześcianie ciastka.

Podnosząc widelec i niby to groźnie nim wymachując, wykrzyknął:

- A teraz chcę wiedzieć dokładnie, jak wpadłeś na trop Olbrichta! Żadnych enigmatycznych wypowiedzi, tajemniczych spojrzeń czy uników! Weźmiesz, mam nadzieję, pod uwagę, że reszta poranka upłynie mi na pisaniu raportu dla komisarza Briigla. -

Rheinhardt przełknął kawałek *strudla*. - Więc, jeśli pan łaskaw, Herr Doctor, chciałbym zostać oświecony.

Był to konwersacyjny punkt wyjścia, do którego obydwaj mężczyźni docierali wspólnie już nieraz, zatem Rheinhardt nie był zaskoczony, widząc, jak jego młody przyjaciel przybiera pozę nonszalanckiej, leniwej obojętności. Usunął jakieś kłaczek ze spodni, podniósł

filiżankę kawy, zaciągnął się jej aromatem i w odpowiednim czasie z wyraźnym ociąganiem wyznał:

- Dzięki obrazom. Obrazom, które widzieliśmy na jego wystawie.

- A konkretnie?

- Pewnie sobie przypominasz, że profesor Freud wyznaje pogląd, że sny można interpretować. Po prostu zastosowałem technikę interpretacji snów profesora Freuda do odczytania obrazów Olbrichta.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś wyrażał się jaśniej, Max.

- Olbrichta fascynuje krew w podwójnym sensie tego słowa. Po pierwsze, krew, którą widzi, gdy włada swoją szablą. Przypomina mi się przypadek, o którym donosił Krafft-Ebing w *Psychopahitia sexualis*: blacharza, który zmusił prostytutkę do siedzenia nago na skraju łóżka, podczas gdy on zadawał jej ciosy długim nożem, raniąc ją trzykrotnie w klatkę piersiową i brzuch. Krafft-Ebing relacjonuje, że blacharz przez cały czas utrzymywał erekcję.

Podejrzewam, że Olbricht może czerpać jakąś erotyczną przyjemność z widoku krwi.

Uważam również, że moje wcześniejsze domysły były trafne. Olbricht jest impotentem. Jego posługiwanie się szablą ma falliczne konotacje. Kiedy używa szabli, jest silny, w pełni sprawny... nie można mu się oprzeć. Broń rekompensuje mu niedostatki męskości.

Rheinhardt zakasłał z zażenowaniem.

- Nie jestem pewien, czy mogę coś takiego umieścić w raporcie. Ale mówiłeś, że krew fascynuje go w dwojaki sposób...

- Tak, interesuje go także krew w sensie pochodzenia, rasy, dziedziczności - to obsesja, która, jak przypuszczam, powstała pod wpływem lektury pism Lista oraz jemu podobnych.

- I jaki ma to związek z jego obrazami?

- Płótna Olbrichta ociekają krwią. Nie potrafi powstrzymać się przed okraszaniem swoich scen heroicznymi plamami i maźnięciami czerwonej farby. Co więcej, preferuje osobliwie krwistą paletę barw: rudobrunatny, rdzawy, jasnoczerwony, szkarłat, karmin, karmazyn... to jak wewnętrzny przymus. A najbardziej zdumiewającym przykładem tej... tej obsesji był obraz zatytułowany *Pipara: germańska kobieta w purpurze cesarów*. Pamiętasz go?

- Tak, pamiętam.

- Zauważyłeś w nim coś szczególnego? Rheinhardt zastanawiał się przez chwilę.

- Nie, tego bym nie powiedział.

- Miała pelerynę w kolorze czerwonym, Oskarze... czerwonym! Powinna być ubrana w purpurę cesarów! Profesor Freud wielokrotnie podkreślał, że ustne błędy językowe -

przejęzyczenia - mogą być bardzo znaczące. *Pipara* Olbrichta jest artystycznym odpowiednikiem takiego błędu. Wzrokowym lapsusem!

- Hm... bardzo interesujące. - Rheinhardt odłożył widelczyk na talerz i wyjął notes. -

Mów dalej.

- Sny ukrywają pragnienia - często pragnienia zakazane. Stłumionym, zakazanym pragnieniem

Olbrichta było malowanie krwią - a przynajmniej krwią tych, których uważał za niebezpiecznych czy groźnych. Częste stosowanie czerwonej farby zaspokajało w pewnym stopniu to koszmarnie pragnienie... to znaczy do czasu wydarzeń w Spiltełbergu. Tam stłumione pragnienie ujawniło się, a energia psychiczna została uwolniona, kiedy sprofanował

ścianę w burdelu Madam Borek. Obrazy Olbrichta dramatyzują także inną formę spełniania marzeń. Przedstawiają rozmaite wizje teutońskiego raj: skaldów, piękne panny i zwycięskich rycerzy. W linię horyzontu wdzierają się wieżyczki i iglice wspaniałych gotyckich zamków.

To świat, który rozpozna każdy zwiedzający Bayreuth. Świat bez Słowian, Żydów i Murzynów. Świat wyzwolony od Kościoła katolickiego. Świat, w którym dawnym bogom przywrócono minioną chwałę.

- Niesamowite...

Rheinhardt błyskawicznie przewrócił stronę w notesie.

- Pamiętasz, jak Olbricht przedstawił nieprzebraną horde barbarzyńców?

- Tak - jako bezkresne morze maleńkich twarzy.

- Gdybyś przyjrzał się im dokładniej, zauważyłbyś, że każda z nich jest miniaturowym szkicem ksenofobicznych uprzedzeń. Horda składa się z prymitywnych karykatur Żydów, Słowian oraz ras południowych: wrogów, których trzeba pokonać, aby chronić i zachować czystość pradawnych germańskich linii rodowych.

Ponury kelner wrócił i położył rachunek pod cukiernicą.

- Z całym szacunkiem - rzekł Rheinhardt - ale chcielibyśmy zamówić jeszcze kawę.

Proszę to samo, co poprzednio.

Kelner burknął coś pod nosem, sprzątnął brudne filiżanki i odszedł, szurając nogami.

Liebermann mówił dalej:

- Kolejnym dziełem Olbrichta, które przykuło moją uwagę, był *Das Rheingold* -

ukazujący karła Nibelungów Alberyka oraz trzy reńskie dziewice. Alberyk jest niemal zawsze przedstawiany jako szpetna, zdeformowana postać, lecz w interpretacji Olbrichta przypomina bardziej romantycznego bohatera. Jakkolwiek by patrzeć, Herr Olbricht nie należy do atrakcyjnych mężczyzn, zważywszy na te osobliwe oczy oraz bruzdy na twarzy, i może identyfikować się z karlem. Skłaniam się ku opinii, że Herr Olbricht, podobnie jak Alberyk, doświadczył drwin ze strony kobiet. Kobiet, które w konsekwencji postrzegał jako istoty piękne, bezduszne, okrutne i - co najistotniejsze - niedostępne... Tę identyfikację mogło wzmocnić posiadanie podobnie brzmiącego imienia: Olbricht, Alberich - Alberyk. -

Liebermann przerwał, pozwalając Rheinhardtowi uświadomić sobie zbieżność brzmień. -

Kiedy więc patrzymy na przedstawionego przez Olbrichta Alberyka, w gruncie rzeczy oglądamy autoportret, widzimy, jak postrzega siebie naprawdę: jest przystojny, odważny, silny. Niedaleko mu do *Unbesiegbare* Lista - niezwycięzonego, potężnego zesłańca niebios.

- Ach, rozumiem. Właśnie to zobaczyłeś na półce Olbrichta, gdy przeszukiwaliśmy jego sypialnię: książkę Lista...

- Istotnie: *Niewyciężony: podstawy germańskiego Weltanschauung*. Rheinhardt przerwał sporządzanie notatek, żeby pochłonąć kolejny kęs *strudla*.

- Jestem pod silnym wrażeniem - przyznał Rheinhardt. - Ale twoje rozumowanie jest dość złożone i mam poważne wątpliwości, czy komisarz Briigel będzie usatysfakcjonowany takim wyjaśnieniem.

- Wobec tego - rzekł Liebermann - ucieszysz się na wieść, że psychoanalityczna interpretacja malowideł Olbrichta nie była jedynym czynnikiem, który przesądził o moim toku myślenia.

- Nie?

- Przez ostatni miesiąc leczyłem pacjenta o nazwisku Beiber. Cierpi na *paranoia erotica*.

- Czyli na co?

- Miłosne urojenia. Wierzy, że on i arcyksiężna Maria Waleria są - na mocy jakiegoś duchowego dekretu - złączeni węzłem miłości. Ponadto uważa, że ona odwzajemnia jego uczucia i okazuje mu swoją sympatię przez pewne znaki. Mogą one przybierać dowolną postać, raz było to na przykład poruszenie zasłon za oknami pałacu Schönbrunn. Pewnego wczesnego poranka Herr Beiber stał na swym posterunku przed siedzibą królewską, gdy dostrzegł zbliżającego się mężczyznę, który niósł wiolonczelę. Herr Beiber zaproponował

mężczyźnie pokazać sumę pieniędzy za zagranie dla arcyksiężnej pieśni porannej. Człowiek ów odmówił, a uczynił tak nie dlatego, że propozycja Herr Beibera była nieatrakcyjna, lecz dlatego, że w futerale nie było wiolonczeli, tylko szabla, której użył właśnie do zgładzenia ulubionego węża cesarza w Tiergarten.

- Skąd pewność, że to był Olbricht?

- Herr Beiber zrobił uwagę na temat osobliwego wyglądu twarzy wiolonczelisty.

Opisał, że był podobny do żaby!

- Niesłychane! - Rheinhardt zaczął skrobać ołówkiem w notesie.

- W Wiedniu jest mnóstwo muzyków. Widok człowieka taszczącego wiolonczelę nie zwraca niczyjej uwagi o żadnej porze dnia. To idealny fortel, by nosić ze sobą ukrytą szablę.

Ponadto Olbricht mógł trzymać w futerale czyste ubrania, a po dokonaniu masakry upchnąć zamiast nich zakrwawioną garderobę. Sądzę, że tak właśnie postąpił po jatkach, które urządził

w Spittelbergu i Wiedeń.

Chmurny kelner wrócił, postawił kawy na stoliku, zmarszczył gniewnie brwi i się ulotnił. Obojętny wobec nagannych manier kelnera Rheinhardt skończył gryzmolić w notesie i podkreślił ostatnie zdanie grubą kreską.

- Znakomicie! Komisarz nie powinien mieć trudności z zaakceptowaniem takiego wyjaśnienia. Obawiam się jednak, że muszę zrezygnować z twoich błyskotliwych psychologicznych wywodów dotyczących sztuki Olbrichta - no i z tych wszystkich historii fallicznych, oczywiście. Rozumiesz, mam nadzieję, że kiedy ma się do czynienia z człowiekiem pokroju Briigla, hasłem przewodnim musi być pragmatyzm.

- Jak sobie życzysz - rzekł Liebermann. - Chociaż, jeśli byłoby to dozwolone...

pewnego dnia zechcę, być może, zawrzeć moje obserwacje w dziele akademickim -

powiedzmy studium przypadku z zakresu medycyny sądowej.

- Jeżeli aresztujemy Olbrichta, możesz robić, co ci się żywnie podoba, Max. Tym samym powracamy do sprawy jego notesu. Wydawałoby się, że Olbricht zabił Papagenę pierwszego grudnia. O ile się nie mylę, pojawia się ona w *Czarodziejskim flecie* najpierw pod postacią starej kobiety, a potem ulega przeobrażeniu i staje się młoda oraz ładna. Zabójstwo jakiegokolwiek kobiety - młodej czy starej - nie przeszłoby bez echa. Może nie należy całkowicie polegać na tych zapiskach?

- Nie mogę się z tym zgodzić.

- W takim razie gdzie są zwłoki? Rheinhardt wrzucił cukier do swojej *tiirkische*.

- W kanałach. Olbricht ewidentnie znał ten straszliwy podziemny świat. Znalezienie odpowiedniej ofiary tam na dole byłoby łatwe - a kto przejmowałby się jej zgonem?

- To prawda - przyznał Rheinhardt, z powagą kiwając głową. - Ciała wydobyte z kanałów są po prostu wywożone na cmentarz dla bezimiennych. Powiadomię właściwe władze. - Rheinhardt zamieszał *tiirkische* i w zadumie żuł dolną wargę. - Bez względu na ostateczny los Papageny - biednej, nieszczęsnej duszy - musimy teraz skierować uwagę na Tarnina i Sarastra. - Rheinhardt wypił łyk kawy. - Olbricht wie, że go zdemaskowaliśmy.

Oczywiście, zdrowy na umyśle człowiek zaniechałby swoich planów i usiłował zbiec...

- Ale on nie jest człowiekiem o zdrowych zmysłach.

- Sądziś, że będzie dalej realizował swoje zamiary?

- Jestem tego pewien. Zniszczony obraz, pusta butelka po wódce i rozbite szkło -

wpadł w rozpacz po przeczytaniu recenzji. Zmusiły go do przyjęcia do wiadomości, że nigdy nie zdobędzie uznania jako wielki artysta. Lecz narcyzm, który napędza twórczy impuls, tak łatwo nie wygasa. Może zostać inaczej ukierunkowany. Olbricht zawsze zacierał granicę między sztuką a rzeźbą. Pomyśl o uwadze, jaką poświęca kompozycji scen śmierci: Hildegarda, burdel Madam Borek, służący w Wiedeń... Ciągle jeszcze może osiągnąć nieśmiertelność, wynosząc morderstwo ideologiczne do poziomu sztuk pięknych.

Liebermann wyrzwał przez okno. Drugą stroną ulicy przechodzili dwaj bośniaccy żołnierze ubrani w charakterystyczne mundury pułku: bluzy ze stójką, pumpy, buty do kostki, plecaki i fezy z frędzlami. Bośniacy nie byli w mieście widokiem powszechnym, choć często stali na warcie przed pałacem Hofburg. Ich obecność w tak eksponowanym miejscu była wyraźnie zamierzona - stary Franciszek Józef słał swym poddanym przesłanie: „Nawet muzułmańscy górale są cenionymi członkami naszej wielkiej austrowęgierskiej rodziny”...-

Skoro Tarnino jest księciem - odezwał się cicho Liebermann - to istnieje prawdopodobieństwo, że...
- zamilkł, potrząsając głową. - Nie. To zbyt straszne, by podążać tym tropem.

- Rodzina cesarska? - wykrzyknął Rheinhardt.

- Gdyby Olbricht zrobił zamach na kogoś z Habsburgów, z pewnością zagwarantowałby sobie nieśmiertelność. Któż z nas kiedykolwiek zapomni nazwisko Luigiego Luccheniego?

- Musimy bezzwłocznie poinformować pałac.

Liebermann podniósł rękę, delikatnie zalecając powściągliwość.

- To tylko jedna z kilku możliwości, Oskarze... Olbricht mógł specyficznie zinterpretować tytuł *Księżę*. Evzen Vanck nie był ptasznikiem, a Ra'ad nie był Maurem.

Ofiary były jedynie podobieństwem postaci Schikanedera.

Na twarzy Rheinhardta rozmyły się nieco ślady niepokoju - lecz nie znikły z niej całkowicie.

- A co z Sarastrem?

- Mędrzec, filozof-król... - Palce Liebermanna zagrały na krawędzi stołu, gdy przypomniał sobie arię: *In diesel heil'gen Hallen* - W tych świętych salach. - Mistrz tajnego zakonu.

- Cóż - rzekł Rheinhardt - wzięwszy pod uwagę, że *Czarodziejski flet* jest operą masońską, czy to możliwe, by Sarastro był mistrzem loży masońskiej?

- Z pewnością istnieje takie prawdopodobieństwo - tylko której?

- Mówiąc ściśle, w Wiedniu nie ma żadnych łóż masońskich. Jak wiesz, nie wolno im odprawiać swoich obrzędów. Ale spotykają się w gronie przyjaciół - pod sztandarem organizacji charytatywnej o nazwie *Humanitas*.

Rheinhardt zanotował jeszcze kilka zdań w notesie. Następnie podniósł wzrok, a jego czoło pofałdowało się wskutek głębokiego namysłu.

- Olbricht zamierza zamordować Tarnina i Sarastra w ten sam dzień. Dlaczego?

- Może Tarnino i Sarastro będą znajdować się w tym samym miejscu. Tak jak Królowa Nocy i jej trzy damy.

- Wydaje się mało prawdopodobne, by członek rodziny królewskiej uczestniczył w zebraniu *Humanitas*.

Liebermann wciągnął nosem powietrze, uzmysłowiwszy sobie nagle obecność jakiegoś nieprzyjemnego zapachu. Podniósł rękaw płaszcza i podsunął pod drgające nozdrza.

Cuchnął podziemnymi wyziewami. Teraz pojął, dlaczego kelner zgotował im tak nieeleganckie przyjęcie.

Herr Beiber przebudził się z wyjątkowo sugestywnego snu...

Wyścigi: wilgotny dzień wczesnego lata, od strony niewidocznego Dunaju wieje przez łąki mokrym powietrzem. Przeszkody i rowy otoczone jaskrawobiałym ogrodzeniem, w oddali lasy o gęstym, bujnym listowiu. Dżokeje na wierzchowcach - siwych, jabłkowitych, gniadych, kasztanowatych, srokatych - mocno lśniące jedwabne koszule wydymają się na wietrze - czerwone, niebieskie i złote szarfy. Ciemny tłum widzów mrowi się przy torach: to hrabiowie, bankierzy, oficerowie kawalerii, studenci, sklepowi ekspedienci, urzędnicy - oraz eleganckie damy z parasolkami, lekki wiatr marszczy długie, muślinowe spódnice.

Wizja toru Freudenau była tak barwna i żywa, że jakiś powiew letniego powietrza -

woń siana, wiązówki błotnej, końskiego nawozu i wszelkiego rodzaju egzotycznych perfum -

wciąż utrzymywał się w jego nozdrzach, neutralizując uporczywą i wszechobecną monotonię szpitalnego fenolu.

Herr Beiber miewał już podobne sny, a we wszystkich jego towarzyszką była arcyksiężna Maria Waleria. Zwykle siedzieli razem w cesarskiej loży, gdzie sączyli szampana i śmiali się z końskich imion: *Szybko Całuj*, *Lord Byron*, *Frdulein Minnie*. Jednak ten sen był

inny.

Herr Beiber nie miał na sobie ponurego stroju do pracy. Zamiast tego ubrany był w słomkowy kapelusz z szerokim rondem, spodnie z jasnej flaneli oraz marynarkę w czerwone paski. Z szyi zwisała mu lornetka, w rękę trzymał stylową laseczkę z hebanu. Ledwo siebie rozpoznawał. A co jeszcze dziwniejsze, towarzyszyła mu nie arcyksiężna Maria Waleria, lecz Frau Friedman - maszynistka, która zajmowała jedno z trzech biurków w niewielkim pomieszczeniu biurowym. Zamknął oczy i starał się przywołać świat sennego marzenia. Konie zgromadziły się przy bramce - chrapy rozdymały się, boki lśniły i połyskiwały w słońcu.

„Który jest twój?”. „Brazowoczarny ogier”.

Trzymali się pod rękę, ciało Frau Friedman przylgnęło do jego ciała. Gdy przypomniał

sobie tamto doznanie, poczuł nieznane dotąd poruszenie w lędźwiach.

Czerwona flaga poszła w dół, ogier wyrwał do przodu, natychmiast obejmując prowadzenie. Gnał naprzód - dziesięć, piętnaście, dwadzieścia długości...

„Jeśli wygra Apollo, zabiorę cię na kolację do Leidingera. A potem kupimy pierwsze miejsca na parterze w Teatrze Weidner. Pierwszy rząd”.

Herr Beiber otworzył oczy i wbił wzrok w sufit. Frau Friedman...

W pracy prawie jej nie zauważał. Była po prostu częścią wyposażenia biura. Teraz jednak, kiedy o niej pomyślał, przyszło mu do głowy, że to całkiem przyjemna kobieta.

Pulchna wdowa o rumianych policzkach i uroczym, życzliwym uśmiechu. I - tak -

przypomina sobie, obdarzyła go kiedyś komplementem o znakomitym doborze krawatów.

Z powodu obfitych kształtów suknie Frau Friedman były zawsze dość obcisłe. Kiedy siadała, naprężony materiał ujawniał drobne fałdki ciała.

I znowu to nieznane poruszenie...

Dziś rano będzie widział się z doktorem Liebermannem. Opowie mu cały sen. Coś takiego zainteresuje młodego doktora. Herr Beiber wstał.

Czuł się dziwnie odmieniony. W gruncie rzeczy czuł się dość dobrze. Może te rozmowy z doktorem Liebermannem ostatecznie wychodziły mu na dobre.

Frau Friedman...

- Dlaczego nie zauważyłem jej wcześniej? - szepnął w szeleszczącą pościel.

Na biurku Herr Lóscha stała mała ozdoba ze srebra i złota: otwarty cyrkiel ponad łukiem okręgu, na którym wyryto dziwne litery. Był to jedyny przedmiot w pokoju sugerujący znaczenie miejsca, w którym się znajdowali. Co do samego Herr Lóscha, nie przypominał

Rheinhardtowi człowieka bardziej wywrotowego niż stateczny dyrektor banku czy nauczyciel. Trudno było uwierzyć, że był on najwyższym rangą wolno-mularzem w Wiedniu: Czcigodny Lósch, Wielki Mistrz *Humanitas*.

- Jestem ogromnie wdzięczny za pańską troskę, inspektorze - rzekł Lósch - i zapewniam, że zachowam największą ostrożność.

Intonacja sugerowała, że audiencja dobiegła końca.

Rheinhardt zastanawiał się, czy jego wyjaśnienia były wystarczające.

- To wyjątkowo niebezpieczny człowiek - podkreślił Rheinhardt. - I całkowicie nieobliczalny.

- W istocie - przyznał Herr Lósch, gładząc białą brodę na modłę Van Dyke'a. Jego wzrok pomknął w bok, by odczytać godzinę na tarczy stołowego zegara.

- Dwunastego chętnie zapewnię panu policyjną ochronę - nie dawał za wygraną Rheinhardt.

Herr Lósch uśmiechnął się i odparł:

- Dziękuję. Ale nie będzie to konieczne.

Uśmiech zgasł, a pulsująca skroń sugerowała, że zaczyna irytować go przedłużająca się obecność inspektora. Rheinhardt westchnął.

- Herr Lósch, pałac traktuje tę sprawę niezwykle poważnie. Dziś rano wysoki komisarz cesarskiego dworu przyjął mojego przełożonego.

- I tak powinno być... A teraz, jeśli zechce mi pan wybaczyć, inspektorze, muszę zająć się kilkoma sprawami.

Herr Lósch zadzwonił na służącego i otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi.

Rheinhardt wstał z krzesła.

- O, Hugo - powiedział Herr Lósch. - Zechciej łaskawie odprowadzić inspektora Rheinhardta do drzwi. - Służący skłonił się. - Do widzenia, inspektorze. - Do widzenia, Herr Lósch. Gdyby zmienił pan zdanie odnośnie do mojej propozycji, można się ze mną skontaktować w komisariacie policji przy Schottenring.

- Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję.

Po opuszczeniu przez Rheinhardta pokoju Herr Lósch wyjął z biurka pióro i papier listowy. Zaczął pisać w pośpiechu: „Biuro bezpieczeństwa może być na naszym tropie.

Podejrzewam, że usłyszeli coś o dwunastym. Myślę, że będą próbowali mnie śledzić. Muszę się ukryć. Eli - zjum to teraz jedyne bezpieczne miejsce. Powiadom innych”. Skreślił symbol zamiast podpisu, złożył kartkę i wsunął ją do zwykłej koperty.

Pierwsze danie złożone z kapuśniaku z rodzynkami było sycące, lecz nie na tyle, by powstrzymać Stefana Kanner przez domaganiem się od kelnera przyniesienia dużych porcji *wiener schnitzel*, brukselki, pieczonych pomidorów w panierce oraz *inmñertel speckknódel*, gotowanych w osolonej wodzie pierożków z farszem z pokrojonego w kostkę boczku i siekanej pietruszki. Zamówił również dwie butelki cierpkiego lokalnego wina, które od jego czasów studenckich młodzi medycy zwali żartobliwie atropiną.

- To poczucie winy jest nie do zniesienia - stwierdził Liebermann. - Ledwo mogę o tym myśleć...

- Tak musiało się stać - skwitował Kanner, nadziewając na widelec pierożek z boczkiem. - Zrobiłeś rzecz właściwą. Clara przeboleje, a koniec końców wyjdzie jej to na dobre. Przestań się zadręczać i łyknij sobie jeszcze atropiny. - Liebermann odruchowo zrobił, co mu kazano, pijąc wielkimi haustami wykręcający usta trunek. - Oczywiście, w tej chwili -

ciągnął Kanner - potrzebne ci przede wszystkim towarzystwo jakiejś uroczej dziewczyny, która potrafiłaby cię zrozumieć. Mój melancholijny nastrój poprawił się zdecydowanie za sprawą takiego porozumienia.

Kanner wrzucił pierożek do ust.

- Co takiego? - spytał Liebermann.

- Nazywa się Theresa - wyjaśnił Kanner. - Jest kasjerką w małej kawiarence w Mariahilf. Chodzę tam czasem popołudniami zagrać w bilard - a wieczorami w karty.

Podejrzewam, że ma romans z kelnerem - liberynym, który wygląda bardziej elegancko niż większość jego klientów. Pewnego popołudnia zdarzyło mi się spotkać Theresę, kiedy wychodziła z pracy. Zakomunikowaliśmy jedno drugiemu, co chodzi nam po głowie, osiągnęliśmy idealne porozumienie i odjechaliśmy zakrytym fiakrem w ustronne miejsce w Praterze, gdzie spędziliśmy szalenie wesoły wieczór. Ona jest niesamowicie ładna - oczy jak spodki - chociaż ma zwyczaj nucić starą, operetkową piosenkę, częściej niż uważałbym za konieczne: *Miłość wymaga ciągłej nauki, kto kocha raz, ten wapniak i głupi...* - Kanner przerwał i wzruszył ramionami. - I - jak to w takich sytuacjach bywa - myśli o mojej drogiej Sabinie wkrótce mnie opuściły.

- Hm... - mruknął Liebermann.

- Nie pochwalasz?

- To nie kwestia aprobaty, Stefanie. Leczenie powinno być dostosowane do specyficznych potrzeb pacjenta. I obawiam się, Herr Doctor, że przynajmniej w moim konkretnym przypadku tego rodzaju lekarstwo przyniosłoby efekt w postaci nasilenia choroby. Mojego poczucia winy nie uśmierzyłaby przejażdżka dookoła Prateru z kasjerką u boku.

- Wobec tego jakie widzisz rozwiązanie? - spytał Kanner, sprawiając wrażenie lekko urażonego

łagodną reprimendą Liebermanna.

- Praca. - Liebermann zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to pompatycznie w tej samej chwili, gdy słowo wymknęło mu się z ust.

- Maksimie, mówisz jak mój ojciec!

Liebermann wykonał pojednawczy gest i się uśmiechnął.

- Przepraszam, Stefanie. Chciałem przez to powiedzieć, że ostatnimi czasy moja współpraca z inspektorem Rheinhardtem bardzo... - Przerwał, szukając właściwych słów. -

Bardzo odwraca moją uwagę. Naprawdę muszę ci o tym opowiedzieć... nastąpił dość nadzwyczajny rozwój wypadków.

Liebermann przystąpił do zdawania Kannerowi relacji ze swych ostatnich przygód: odkrycia futerału na wiolonczelę oraz pościgu za Olbrichtem przez sieć kanałów, znalezienia szabli i zawartości notesu artysty. Kanner słuchał z uwagą. - I zanosi się na kolejne morderstwo - podwójne? - rzeki Kanner. - Dwunastego? Ależ to wypada jutro.

- Niemal na pewno - potwierdził Liebermann. Atmosfera w sali stała się powściągliwa. Kanner wydawał się wyjątkowo jak na siebie zamyślony i przygaszony.

- I jesteś zdania, że... - Kanner wyjął z kieszeni marynarki pudełko egipskich papierosów. - Że ten Olbricht będzie usiłował zamordować jakiegoś arystokratę i głównego wolnomularza Wiednia - w tym samym dniu?

- Nie mam pewności. Ale hipoteza nie jest bezpodstawna. Kanner wziął papierosa i ubił tytoń, postukując w bok pudełka.

- Inspektor Rheinhardt rozmawiał wczoraj po południu z przywódcą wolnomularzy -

dodał Liebermann. - Ale wnioskuje, że nie potraktował groźby zbyt poważnie. Rheinhardt podejrzewa, że ów dżentelmen uznał jego ostrzeżenie za rodzaj podstępu biura bezpieczeństwa: stosunki między policją a wolnomularzami nie są najlepsze. Inspektor Rheinhardt uznał za roztropne śledzenie tego dżentelmena, ale ku swojej wielkiej konsternacji stwierdził, że przed nastaniem wczorajszego wieczoru mężczyzna ulotnił się jak kamfora.

Kanner zapalił papierosa i wypuścił idealne kółko dymu, które poszybowało w górę i zawisło nad jego głową, stwarzając złudzenie rozplywającej się aureoli.

- A ty masz całkowitą pewność, że to nie jest policyjna sztuczka? Mina Liebermanna wyrażała niedowierzanie.

- Oczywiście, że to nie sztuczka!

Kanner pociągnął się za brodę i wykrzywił twarz w grymasie.

- W takim razie muszę się do czegoś przyznać.

Liebermann uważnie przyjrzał się przyjacielowi. Niebieskie oczy Kannerera były zdumiewająco błyszczące. - Tak?

- Tak. Jestem wolnomularzem: a jutro, dwunastego grudnia, w tajnej świątyni zwanej Elizjum księżę Ambrus Nadasdy z Węgier przejdzie inicjację i zostanie przyjęty na ucznia.

Ceremonii będzie przewodniczyć głowa naszego bractwa, Czcigodny Wielki Mistrz Lósch - dżentelmen, który z takim powodzeniem wymknął się twojemu przyjacielowi Rheinhardtowi.

Oniemiały Liebermann wybałuszył oczy na Kannerera.

- W takim razie wiemy, gdzie uderzy Olbricht!

- Max. - Kanner miał poważną minę. - To, co przed chwilą ci powiedziałem, nie może zostać wyjawione nikomu.

- Ale policja... muszę.

- Byłoby to całkowicie bezcelowe. Żaden członek loży w Wiedniu nigdy nie ujawni lokalizacji Elizjum. Działamy nielegalnie.

- Ależ Stefanie, księżę Nadasdy i Herr Lósch mogą zginąć!

- Być może z twoją pomocą zdołamy zapobiec takiej katastrofie. A teraz przysięgnij!

Przysięgnij, że nie piśniesz o tym słowa policji.

Liebermann przełknął ślinę.

- Nie zdradzę twojego zaufania, Stefanie. Przysięgam.

- Dobrze. No, gdzie ten kelner? Musimy uregulować rachunek i natychmiast wyjść.

- Wyjść? Dokąd się wybieramy?

- Do Elizjum!

Profesor Foch wziął z półki książkę i dokładnie przyjrzał się jej grzbietowi: *Związek pomiędzy nosem a żeńskimi organami płciowymi* Wilhelma Fliessa. Były to wierutne brednie -

czegoż innego można się spodziewać po współpracowniku Freuda. Jediną sensowną rzeczą w całej pracy było odkrycie, że bóle porodowe można złagodzić zaaplikowaniem kokainy przez nos. Lecz co do reszty... Niezrozumiałe bzdury i bełkot! Rzeczywiście istniały pewne podobieństwa pomiędzy błoną śluzową nosa oraz genitaliów, lecz teoria, którą Fliess zbudował na tak lichych fundamentach, była zdecydowanie zbyt ambitna - zbyt ekspansywna, zbyt pompatyczna. Wkrótce zostanie wyrzucona na kupę gnoju otorynolaryngologii - i słusznie.

Profesor Foch nagle spochmurniał.

Fliess pracował w Berlinie...

Dobrze to nie wróżyło. Czy akceptowano tam jego teorie?

Fliess wystąpił z tezą, że błony śluzowe oraz kości nosa mają znaczenie etiologiczne w odniesieniu do wielu różnych schorzeń: migrenowych bólów głowy, bólów brzucha, rąk i nóg, dusznicy bolesnej, astmy, niestrawności oraz zaburzeń seksualnych. Te ostatnie były oczywiście przedmiotem szczególnego zainteresowania tego starego bezwstydnika Freuda.

Bronił nawet dzieła Fliessa, gdy było krytykowane przez członków wydziału. No, ale znowu, czego innego można się spodziewać? Tak ci Żydzi działają. Wspierają się nawzajem...

zanieczyszczając naukę seksualnością, plugastwem i nonsensami.

Profesor Foch wrzucił książkę do kufra podróżnego, gdzie wylądowała na trzech ogromnych, żółtych atlasach Kaposiego poświęconych syfilisowi i chorobom skóry.

Berlin...

Że też doszło do czegoś takiego. Niech ich wszystkich piekło pochłonie.

W czwartkowe popołudnie wezwano go do gabinetu dziekana - na nieoficjalną przyjacielską rozmowę w sprawie natury zawodowej.

„Pański artykuł w «Zeitung»... Ten sługus, wazeliniarz i hipokryta wiercił się na krześle, jak gdyby siedział na rozgrzanej płycie. „Postawił nas pan w bardzo niezręcznej sytuacji. Naprawdę bardzo niezręcznej”... Wykręcał dłonie, wzdychał, robił uniki. Ale w końcu dotarł do sedna. „Pańskim zamiarem było dotarcie do szerokiej publiczności i, mój drogi kolego, z pewnością się to panu udało. Artykuł przeczytał jeden z doradców Jego Cesarskiej Mości”... Słowo „niezadowolenie” powtarzało się potem ze sporą częstotliwością.

Nie zwolniono go - jako tako. Raczej pozwolono na możliwość dyskretnej odejścia.

„Mój przyjaciel Lehmann - może pan o nim słyszał? Napisał kilka lat wstecz znakomitą rozprawę o układzie przedsionkowym”... Dziekan uśmiechnął się obłudnie. „No więc tak się szczęśliwie składa, że poszukuje on osoby, która objęłaby posadę w Szpitalu Ogólnym - i to specjaliści w zakresie chirurgii nosa... Oczywiście z ogromną radością dałbym panu entuzjastyczne referencje”...

Protesty nie miały większego sensu. Jeśli była to prawda - i sygnał dezaprobaty pochodził z samego pałacu - jego kariera w Wiedniu była skończona. Nawet najbardziej zaufani uczelniani koledzy zaczęliby go unikać. Umykaliby przed nim wzrokiem. Przestaliby przyjmować zaproszenia. Na korytarzach ścigałyby go szept. Był świadkiem, jak takie rzeczy przytrafiały się innym...

Niech ich wszystkich piekło pochłonie.

Podniósł wzrok na rycinę Rannego Człowieka. Ten widok dziwnie podnosił go na duchu. Ponury nastrój nieco się poprawił. Berlin...

Może nie będzie tak źle. Sprawy w Wiedniu zaszły za daleko, a podły sposób, w jaki potraktował go wydział medycyny, był jeszcze jednym symptomem upadku i pogrążania się w bagnie dekadencji i deprawacji. Trzeba by nie jednego, lecz stu - nie, tysiąca - pierwotnych ogni, by oczyścić to skazane na zagładę miasto. Może w Berlinie docenią takiego człowieka jak on - człowieka reprezentującego dobre, uczciwe, germańskie wartości.

Liebermann zajął miejsce w dorożce, skąd słyszał stłumiony głos przyjaciela rozmawiającego ze stangretem. Pojazd był rozklekotany, miał wytarte siedzenia i lichtarzyki z ogarkami świec. Liebermann zapalił zapalkę i przyłożył do najbliższego knota.

Kiedy Kanner wszedł do środka, zaciągnął zasłonki, upewniając się, że każdy fragment okna jest starannie zakryty.

- Dokąd jedziemy? - spytał Liebermann.

- Niestety, nie mogę tego zdradzić. Lokalizacja Elizjum jest ściśle strzeżoną tajemnicą.

Dorożka ruszyła.

- Ale dlaczego jedziemy tam teraz? Inicjacja ma być jutro.

- Tam ukrył się nasz czcigodny mistrz.

Po pewnym czasie wspólnej przejażdżki Kanner uchylił zasłonkę i wyjrzał na zewnątrz.

- Przykro mi, Max, ale muszę zawiązać ci oczy.

- Co?!

- Wkrótce przybędziemy na miejsce - a poznanie lokalizacji Elizjum jest ściśle zabronione osobom spoza kręgów masońskich. Jeśli się nie podporządkujesz, nie możemy kontynuować. Jestem zobowiązany to zrobić.

Liebermann przewrócił oczami.

- No dobrze.

Kanner wyjął z kieszeni płaszcza ciemną chusteczkę i obwiązał nią głowę przyjaciela.

- Przykro mi... - bąknął Kanner.

- Oczywiście - rzekł Liebermann, nie potrafiąc ukryć irytacji.

Dorożka zatrzymała się. Kanner wyskoczył i powiedział coś do woźnicy, który zareagował okrzykiem satysfakcji i wylewnymi podziękowaniami. Kanner zachęcił go do zachowania dyskrecji niezwykle hojnym napiwkami.

- Chodź... pomogę ci wysiąść.

Kanner wyprowadził Liebermanna z dorożki.

Woźnica trzasnął z bicza i dorożka oddaliła się z terkotem.

Liebermann uważnie nasłuchiwał. Lekkie echo sugerowało szeroką ulicę, lecz cisza, jaka zapadła potem, świadczyła o dużej odległości od centrum miasta. Domyślał się, że prawdopodobnie znajdują się na przedmieściach - a chłodne, świeże powietrze sygnalizowało, że teren położony jest na wzgórzu. Może pojechali na zachód?

- Chodźmy - rzekł Kanner.

Liebermann słyszał odgłos otwierającej się żelaznej bramy i chrzęst żwiru pod stopami.

- Ostrożnie, Maksimic. Jest tu kilka schodów - dokładnie trzy: dość głębokie i wysokie.

Liebermann wyobraził sobie fasadę eleganckiej willi. Może przybyli do Penzing albo Hietzing? Kanner zapukał do drzwi. *Rat-a-tat-tat. Rat-a-tat-tat. Rat-a-tat-tat.* Dokładnie powtarzany rytm świadczył, że jest to jakiś szyfr. Gdy otworzyły się drzwi, Liebermann usłyszał stłumiony okrzyk.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z czcigodnym - oznajmił Kanner. - To sprawa nadrzędnej wagi.

Wpuszczono ich do środka i prowadzono, jak sądził Liebermann, długim korytarzem pachnącym polerowanym drewnem i lawendą. Kończył się przy wysłanych chodnikiem schodach, które wedle przypuszczeń Liebermanna miały przenieść ich do piwnicy. Kiedy jednak dotarli na dół, rozległ się odgłos toczenia - jakby kółek pod uniwersytecką biblioteczką. Następnie pokonali bardziej strome, spiralne i ciasne stopnie. Kiedy Liebermann wyciągnął rękę, by dotknąć ściany, poczuł zimny, lekko wilgotny kamień. Powietrze pachniało ziemią. I znów, już po raz drugi w ciągu zaledwie kilku dni, Liebermann trafił do podziemnego świata. „Elizjum”...

Tak, nazwa ta zaczynała nabierać sensu.

Za czcigodnym znajdowało się duże malowidło na drewnie. Przedstawiało pelikana z rozpiętymi skrzydłami, karmiącego trzy młode własnymi wnętrznościami. Stało poniżej krucyfiksu udekorowanego czerwoną różą.

Liebermann dotarł właśnie do końca swojej opowieści i zaległa ciężka cisza.

Ponownie skierował uwagę na malowidło, które zafascynowało go od momentu, gdy Kanner zdjął mu z oczu prowizoryczną przepaskę.

Czcigodny złączył palce wskazujące, formując z nich iglicę.

- Bardzo interesujące. - Następnie spojrzał na Kannera i z aprobatą pokiwał głową. -

Dziękuję ci, bracie, postąpiłeś mądrze. - Kanner skłonił głowę, z wdzięcznością przyjmując pochwałę. - Herr Doctor Liebermann - ciągnął czcigodny - przedstawił pan rzecz znacznie bardziej przejrzyste niż inspektor Rheinhardt. Lecz oceniając zagrożenie - dla nas samych i dla naszego gościa - musimy pamiętać na fakty. Jeśli ten niebezpieczny maniak jest wyznawcą poglądów Guida Lista, z pewnością nie może być zwolennikiem wolnomularstwa, a jego profanacja cudownych

utworów brata Mozarta stanowi kolejny dowód. - Czciogodny znów umilkł, postukał palcem o palec i dodał: - Możliwe, jak należy przypuszczać, że to ja mam być Sarastrem, a księżę Nadasdy Taminem. Lecz nie mamy pewności, Herr Doctor.

- Nie - przyznał Liebermann. - Ale uważam to za bardzo prawdopodobne.

Czciogodny pogładził białą jak śnieg brodę w stylu Van Dyke'a.

- Jak, u diabła, mógł dowiedzieć się o naszych zamiarach?

- Może ktoś z waszego grona nie zachował dyskrecji? Czciogodny pokręcił głową.

- Bardzo w to wątpię. Jutrzejsza ceremonia inicjacji jest najważniejszą datą w naszym kalendarzu od z górą stu lat. Co więcej, nie ma w naszej loży ani jednego członka, który nie zdawałby sobie sprawy z drażliwości politycznej tej sytuacji. Księżę Nadasdy wciąż uważa się za prawowitego władcę Transylwanii. Posiadłości jego ojca zostały skonfiskowane po rewolucji... Nasze jutrzejsze zgromadzenie jest przeciwstawieniem się nie tylko policji, ale i pałacowi. Niedyskrecja drogo by nas kosztowała. Nikt z nas nie pali się do spędzenia reszty życia za kratami Landesgericht.

- Może w takim razie Olbricht przechwycił jakiś dokument?

- Niemożliwe - uciął spekulacje czciogodny. - Poufne informacje są zawsze szyfrowane.

- Może złamał wasz szyfr?

- Nasze masońskie kryptogramy są nie do rozszyfrowania. Musiałby być geniuszem. -

Czciogodny oparł się w krześle. - A to wszystko razem wzięte budzi - moim zdaniem -

poważne wątpliwości... - Ścisnął wystającą dolną wargę i zmarszczył czoło. - Względem trafności pańskiej... teorii.

- Herr Lösch - odezwał się Liebermann - żywię szczerą nadzieję, że nie zamierza pan przeprowadzić jutrzejszej ceremonii.

Czciogodny westchnął i przekręcił pierścień na palcu.

- Herr Doctor Liebermann, jestem panu zobowiązany. Lecz w istocie rzeczy nie wierzę, byśmy byli aż w takim niebezpieczeństwie, jak pan sobie wyobraża. Jak ów Olbricht miałby wejść do świątyni? Znajduje się cztery kondygnacje pod ziemią! I choć będzie wielu obecnych, wszyscy znamy się nawzajem. Jesteśmy braćmi. Intruz mocno rzucałby się w oczy.

- Olbricht znakomicie orientuje się w sieci kanałów. Może jest gdzieś jakieś wejście, o którym wie.

Czciogodny pokręcił przecząco głową.

- Brałem udział w projektowaniu Elizjum. Nie ma niczego takiego. A nawet gdyby było,

strzeglibyśmy tego wejścia bądź szczelnie byśmy je zamknęli! Herr Doctor, ten Olbricht jest zwykłym śmiertelnikiem. Tymczasem pan mówi o nim jak o jakiejś istocie nadprzyrodzonej. Może zdolny jest do popełniania potwornych czynów, ale nie potrafi przenikać przez ściany ani stawać się niewidzialnym. - Rysy czcigodnego nagle stężały, odzwierciedlając nagłą determinację. - Zebranie inauguracyjne odbędzie się zgodnie z planem. A księżę Nadasdy zostanie wtajemniczony na ucznia zakonu.

Liebermann utkwiał wzrok w twarzy mistrza. Pancierz zeszywniałych mięśni okalających usta zmiękł, wyraz nieugiętości zastąpił lekki uśmiech samozadowolenia.

Z jakiegoś powodu, którego Liebermann nie potrafił określić, Herr Lösch wydawał się dziwnie niechętny wzięciu sobie jego ostrzeżenia do serca. Liebermann czuł frustrację -

niemal gniew. Stłumił w sobie chęć sięgnięcia przez stół i potrząśnięcia tym starym głupcem.

Co było z nim nie w porządku? Czy nie trapiła go możliwość rychłego końca własnego żywota - albo, skoro o tym mowa, śmierci węgierskiego gościa?

Liebermann wpatrywał się w milczącym niezrozumieniu w enigmatyczny uśmiech starszego mężczyzny i nagle oczyma wyobraźni ujrzał wizerunek sfinksa. Po raz kolejny przypomniał sobie o nieprzebranej liczbie tych mitycznych stworów, które zamieszkiwały Wiedeń: czały się wśród sarkofagów w muzeum, zdobiły podstawy latarni, stały szpalerem wzdłuż ścieżek w Ogrodach Belwederskich, kucaly na biurku profesora Freuda... Naraz uświadomił sobie charakter swego błędu. Swój apel oparł na całkowicie niewłaściwej argumentacji. MASONI byli tajnym stowarzyszeniem. Powinien był położyć nacisk nie na fizyczną groźbę śmierci, lecz na psychologiczne niebezpieczeństwo zdemaskowania!

- Herr Lösch - rzekł spokojnie Liebermann - szalenie imponują mi pańska odwaga i determinacja. Błagam jednak o rozważenie: co będzie, jeśli się nie mylę? Proszę przez moment odłożyć na bok swoje niedowiarstwo i zastanowić się, co mogłoby się stać, gdyby księcia Nadasdyego rzeczywiście spotkała jakaś okropna krzywda? Przeprowadzono by pełne dochodzenie. W końcu policja znalazłaby Elizjum i cała wasza działalność wyszłaby na jaw.

W ciągu kilku dni zaroiliby się tu od reporterów z „Kronen-Zeitung”, „Tagblatt” oraz „Freie Presse”.

Cień zaniepokojenia poruszył spokojną twarz czcigodnego. Zeszywniały mu ramiona.

- Tak... tak. - Zamruczał cicho w namyśle. - Byłoby to wielce niefortunne. - Wszystko, co panu drogie, stałoby się sensacją - zostałyby poddane nieprzychylnej publicznej obserwacji. Taki skandal prawdopodobnie zwiastowałby koniec wolnomularstwa w Wiedniu.

Herr Lösch, zapewne nie chce pan, by coś takiego wydarzyło się podczas trwania pańskiego protektoratu?

Czcigodny wznosił ręce. Ton jego głosu zdradzał stan bliski desperacji.

- Ale co pan proponuje? Cóż mogę uczynić?

- Zaniechać rytuału.

Twarz czcigodnego natychmiast zastygła w masce upartego nieprzejednania.

- Nigdy.

- Zatem niech pozwoli mi pan uczestniczyć.

- Co takiego? - powiedział czcigodny, przekrzywiając głowę i pochylając się nieco do przodu, jak gdyby źle słyszał.

- Niech pozwoli mi pan uczestniczyć w ceremonii - powiedział ci cho Liebermann. -

Gdyby Olbricht mimo wszystko się pojawił, mógł bym okazać się pomocny: przynajmniej będę umiał go rozpoznać. A je żeli racja leży po pańskiej stronie i on się nie zjawi, dam panu słowo, że pańskie tajemnice będą u mnie bezpieczne.

Czcigodny zrobił minę, która skojarzyła się Liebermannowi z połykaniem wyjątkowo gorzkiej pigułki.

- Ależ to niemożliwe, Herr Doctor. Pan nie jest masonem!

Kanner, który podczas całej tej rozmowy siedział w milczeniu, zakasłał, by zwrócić na siebie uwagę czcigodnego.

- Mistrzu?

Czcigodny obrócił głowę.

- Fundamentalne założenie Sztuki Królewskiej - rzekł Kanner - mówi, że wszyscy ludzie są braćmi i powinni być oceniani wedle swoich dobrych uczynków. Z dumą nazywam doktora Liebermanna swoim przyjacielem i jestem zaszczycony, że mogę zaliczać go do grona moich najbardziej szanowanych kolegów w pracy. Ufam mu bezgranicznie. Jutrzejsza ceremonia będzie wyjątkowa pod tak wieloma względami... usilnie proszę o jak najpoważniejsze rozważenie prośby Herr Doctora Liebermanna.

Czcigodny westchnął i jeszcze raz złączył palce.

- Wpuszczenie do Elizjum człowieka, który ma powiązania z biurem bezpieczeństwa, to jedno. Ale dopuszczenie go do uczestnictwa w rytuale to coś całkowicie innego. Herr Doctor Liebermann jest najwyraźniej człowiekiem prawego charakteru, a my mamy wiele do stracenia, gdyby jego spekulacje okazały się prawdziwe. Co więcej, spoczywa na mnie obowiązek przedsięwzięcia wszelkich niezbędnych środków, które zapewnią przetrwanie łoży... Bracie Kanner, obiecuję, że rozpatrzę prośbę doktora Liebermanna z całą uwagą, na jaką zasługuje.

Poranek był cudowny. Clara siedziała na tarasie obok kamiennej balustrady, skąd mogła podziwiać przepiękne alpejskie widoki. Świeciło oślepiające słońce. Raziło tak mocno, że musiała opuścić rondo kapelusza, by przyglądać się ośnieżonym górskim zboczom. Wzięła głęboki oddech - i zakręciło się jej w głowie: tutejsze powietrze miało orzeźwiającą energię szampana.

Clara wzięła już kąpiel w gorących źródłach i czuła w sobie zadowolenie. Postanowiła jednak zaniechać diety salatowo-maślankowej przepisanej przez doktora Blaukopfa, która wydawała się nie pomagać ani trochę. Poza tym doktor Blaukopf nie wywarł na niej dobrego wrażenia. Jak mogła szanować człowieka, który nie zauważał plam na krawacie i się garbił?

Podobnie jak w wypadku wszystkich medyków, pomyślała, doktor Blaukopf całkowicie niewłaściwie ustawia swoje priorytety.

Gdy przybył kelner, uświadomiła sobie, że świeże powietrze zaostrzyło jej apetyt, zamówiła więc kawę cynamonową, świeżo pieczone bułeczki *kaisersemmel*, powidła śliwkowe, miód, jajka i trochę owoców.

Czekając na podanie śniadania, Clara obserwowała markizę wychodzącą na zewnątrz przez otwarte drzwi werandy. Miała na sobie długą, czarną suknię zapiętą wysoko pod szyję oraz futrzaną etolę otulającą ramiona. Clara widziała już tę etolę poprzedniego wieczoru.

Jeden koniec zdobił malutki dziki pyszczek z ostrymi jak igiełki, pożółkłymi zębami i czarnymi szklanymi oczami. Clara zachwycała się młodym wyglądem markizy - zjawiskiem dość wyjątkowym, zważywszy, że ciotka Trudi oszacowała, iż ta kobieta musi mieć przynajmniej trzydzieści dwa lata.

Markiza minęła ją posuwistym krokiem.

- *Buon giorno* - odezwała się cicho, dokonując niełatwej sztuki łączenia uprzejmości z obojętnością.

Clara ukłoniła się, po czym zaczęła zachodzić w głowę, czy nie popełniła przypadkiem towarzyskiego uchybienia. Czy skłoniła się prawidłowo? Czy ukłon nie był zbyt niski? Czy w ogóle powinna była się kłaniać? Może wystarczyłoby odpowiedzieć na powitanie. Poradzi się później ciotki Trudi...

Kelner przybył z tacą, na której piętrzyło się śniadanie. Clara przełamała kajzerkę na pół. Ciepłe pieczywo parowało w chłodnym powietrzu i pachniało jak ambrozja.

Posmarowała jedną z połówek kremowym żółtym masłem i nałożyła na nią obfity kopczyk powideł, które zdawały się lśnić wewnętrznym blaskiem niczym ametyst. Gdy zatopiła zęby w chrupiącej skórce, po całym jej ciele rozeszła się słodka rozkosz. Takiej przyjemności nie była gotowa sobie odmawiać bez względu na opinię lekarzy.

Gdy podziwiała najbliższy szczyt, do jej myśli przebiły się wspomnienia minionego wieczoru. Grała z ciotką Trudi w karty w pokoju do gier, dołączył do nich młody oficer kawalerii, niejaki pułkownik

Schreker. Uznała rozmowę z nim za szalenie zabawną i zajmującą. Był błyskotliwy, dowcipny. Chadzał na niezliczone bale i wydawał się znać tłumy liczących się osób z socjety. I jakie to romantyczne, że przechodził rekonwalescencję po otrzymaniu niemal śmiertelnego ciosu szablą w Transylwanii. Jego pułk tłumił rewoltę zorganizowaną przez jakichś zbuntowanych węgierskich arystokratów. Wszystko to brzmiało szalenie ekscytująco.

Jakże różnił się od innych mężczyzn, których poznała. Jak bardzo różnił się od Maksa, który wiecznie opowiadał o szpitalu, pacjentach i chorobach. Psychoanaliza!

Gdy rozgrywali partyjkę taroka, jej stopa przypadkowo dotknęła butów pułkownika Schreker. Clara zarumieniła się i spuściła wzrok na karty, jednak nim to uczyniła, dostrzegła w przelocie minę Schreker. Uśmiechał się. Był to szelmowski uśmiech, lecz, musiała przyznać, wyglądał z nim piekielnie przystojnie. Clara przywołała w myślach obraz dziarskiego ułana. Jak sztywnie prezentował się w mundurze - ta gwiazda na kołnierzu, wypolerowane ostrogi i te niebieskie bryczesy, które opinały ciasno długie nogi jeźdźca...

Mimo że była sama, znów się zarumieniła.

Na taras wyszło więcej rannych ptaszków. Frau Gast z córką Constance; ten koszmarne małżonk bankier, który wykazywał niemile widziane zainteresowanie ciotką Trudi; Herr Bos, cierpiący na rzadką chorobę dróg oddechowych i nieustannie pokaszający w chusteczkę; oraz ekscentryczny angielski profesor, który z wielkim entuzjazmem starał się mówić po niemiecku, lecz nigdy nie był rozumiany.

Clara przyłapała się na wpatrywaniu się w otwarte drzwi werandy i pragnieniu, by następną osobą, która przestąpi jej próg, był pułkownik Schreker. I marzenie się ziściło. Serce zabiło szybciej i z niewiadomego powodu nagle zaczęło brakować jej tchu.

Przystojny oficer stał wysoki, wyprostowany, podziwiając spektakularny widok. Gdy odwrócił się w poszukiwaniu wolnego miejsca, natychmiast dostrzegł Clare, posłał uśmiech i pomaszerował w jej stronę.

- Dzień dobry, gnadige Fraulein.
- Dzień dobry, pułkowniku Schreker. Mam nadzieję, że spał pan dobrze?
- Doskonale, i jakież piękny mamy ranek.
- Tak, bardzo piękny.

Słońce zaśniło na jasnych włosach oficera.

- Czy mogę przysiąść się na śniadanie? - Clara zerknęła na otwarte drzwi. Oficer odczytał jej myśli i, bacząc na niestosowność sytuacji, dodał: - Spodziewam się, że pani dostojna ciotka wkrótce tu przybędzie...

Clara uniosła brwi, rozchyliła wargi i - przybierając najbardziej kokieterijny wyraz twarzy - odparła:

- Mam nadzieję, że nie.

Rheinhardt siedział w swoim biurze w komisariacie przy Schottenring. Nie było nic więcej do zrobienia. Pałac został poinformowany, a ubrani po cywilnemu policjanci prowadzili obserwację masońskiej organizacji charytatywnej *Humanitas*. Wkrótce sam do nich dołączy.

Inspektor w roztargnieniu otworzył biurko i znalazł w środku butelkę śliwowicy oraz torebkę marcepanowych myszy. Kupił je jakiś czas temu, by sprawić przyjemność córkom, lecz zapomniał zabrać do domu. Nie potrafił się oprzeć i wyjął jedną mysz z torebki. Już miał

włożyć ją do ust, gdy zauważył wyraz pyszczka stworzonka. Był to majstersztyk sztuki cukierniczej, oddający dokładnie mysią rezygnację. Rheinhardt uznał, że jest to zamierzony efekt. W ten sposób dzieci mogły spokojnie odgryzać główki, wiedząc, że każda myszka pogodziła się już ze swoim losem.

Rheinhardt żałował, że nie może uczynić tego samego.

Mc więcej nie można zrobić...

Nagle ogarnęło go przesądne wrażenie, że jego los i los tej myszy są ze sobą splecione: gdyby zjadł mysz, wszedłby w znowę z siłami przeznaczenia. Nie podobała mu się idea, że wszystko jest z góry zaplanowane, oraz uczucie bezsilności, które jej towarzyszyło.

Wrzucił mysz z powrotem do torebki w nadziei, że ułaskawienie zwierzątka przełoży się odpowiednio na jego dobry los.

Świadom irracjonalności swego postępowania Rheinhardt wyobraził sobie ganiące spojrzenie swego przyjaciela Liebermanna. Młody doktor nie znosił przesądów i inspektor poczuł się mocno zawstydzony swym aktem desperacji.

Wcześniej próbował skontaktować się z Liebermannem telefonicznie. Rozmawiał z Ernstem, służącym doktora, który nie został poinformowany o miejscu pobytu swego pana.

Rheinhardt zadzwonił następnie do szpitala, gdzie dowiedział się, że doktor Liebermann jest spodziewany dopiero następnego dnia. Wreszcie poprosił Hausmanna o zajrzenie do paru ulubionych kawiarni Liebermanna.

Rozmowa z Liebermannem nie była koniecznością. Jednak Rheinhardt miał nadzieję, że przyjaciel być może podrzuci mu jakieś ostateczne, rozstrzygające spostrzeżenie.

Oczywiście, była to, podobnie jak darowanie myszce życia, kolejna oznaka desperacji. Gdyby Liebermann miał cokolwiek do dopowiedzenia, z pewnością by się skontaktował. Mało prawdopodobne, by zapomniał o tak ważnej dacie. Mimo to Rheinhardta prześladowała dziwnie uporczywa potrzeba porozmawiania z Liebermannem - przedyskutowania jeszcze raz wpisu w notesie Olbrichta.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę.

Był to Hausmann.

- Przykro mi, sir. Bez powodzenia.

- No dobrze - rzekł Rheinhardt. - Lepiej się zbierajmy.

Liebermann siedział obok Stefana Kanner, usiłując - z marnym powodzeniem -

udawać obeznanie z odbywającą się właśnie ceremonią. Po głębokim zastanowieniu czcigodny udzielił mu specjalnego zezwolenia na uczestnictwo. Zastrzegł jednakże, że jako osoba postronna może być obecny jedynie podczas inicjacji i nie wolno mu będzie rozmawiać z żadnym z braci przed otwarciem oficjalnej uroczystości. Ponadto zażądał od Liebermanna złożenia uroczystej przysięgi dochowania tajemnicy. Nie wolno mu zdradzić nikomu -

zwłaszcza znajomym z biura bezpieczeństwa - tego, co zobaczy. W rezultacie Liebermanna umieszczono w małej poczekalni. Podczas oczekiwania Kanner uprzedził, czego ma się spodziewać i zapewnił mu strój stosowny do okazji. Dopiero kiedy świątynia była niemal pełna, Kanner zaprowadził Liebermanna na przeznaczone dla nich miejsca pomiędzy najmłodszymi członkami bractwa.

Rytuał wstępny był w toku, Herr Lósch oraz jego oficerowie wydawali się recytować z pamięci coś w rodzaju masońskiego katechizmu. Poza tym panowało ogólne poruszenie: wielkie wrota z brązu otwierały się i zamykały, gdy wysocy rangą oficjele wychodzili i powracali.

Urząd Herr Lóscha mocno dodawał mu powagi. Mistrz zajmował duży drewniany tron, na szyi miał kołnierz z czerwonego jedwabiu w kształcie litery V. Do jego końca była przytwierdzona duża litera G nałożona na okrąg rozchodzących się promieniście złotych szprych. Po prawej stronie tronu ustawiono mały stolik przykryty purpurową draperią, który umożliwiał czcigodnemu używanie młotka. Gdy czcigodny przemawiał, bogata akustyka podziemnej świątyni przesycala jego głos nieobecna w innych warunkach *gravitas*. Do Liebermanna nie docierały słowa introdukcji. Wciąż był nieco przytłoczony skalą i wystrojem Elizjum. Przypominała mu Stadttempel - synagogę, w której Clara pragnęła wziąć ślub. Od nagłego poczucia winy zakołatało mu serce. Stadttempel była tajnym miejscem spotkań wybudowanym w mniej liberalnych czasach, gdy prawo uchwalone za panowania Józefa II stanowiło, że wszystkie synagogi mają być ukryte przed widokiem publicznym. Jednak najbardziej uderzające podobieństwo tkwiło w sklepieniu, które tak samo jak w Stadttempel było niebieskie i usiane złotymi gwiazdami. Symbolika masońska wydawała się czerpać pełnymi garściami z tradycji rabinicznej: epicki fresk przedstawiał Arkę Przymierza oraz drabinę Jakuba wznoszącą się ku literze z alfabetu hebrajskiego. Może dlatego pangermańscy nacjonaści tak bardzo upodobili sobie oszczerce powiedzenie „Żyd mason”.

Choć świątynia była wyposażona w lampy gazowe, żadnej nie zapalono. Ciemności rozpraszało jedynie światło licznych, rozmieszczonych dość przypadkowo trzyramiennych świeczników. Niestety, Elizjum było zbyt przepaściste, by mogło zostać w pełni oświetlone tak skromnymi środkami, a Liebermanna martwiła obfitość mrocznych wnęk. Każda z nich mogła posłużyć Olbrichtowi za kryjówkę.

Głos czcigodnego brzmiał mocno i zdecydowanie.

- Ukochani bracia! Głównym celem naszych dzisiejszych działań jest przyjęcie poszukującego,

księcia Nadasdyego. Jest on obecny w sali przygotowań. Odpowiedział na przedłożone mu pytania i prosię brata sekretarza o odczytanie tych odpowiedzi...

Podłogę wyłożono tworzącymi szachownicę płytami czarnego i białego marmuru, a pośrodku nawy stała osobliwa grupa trzech kolumn - jońskiej, doryckiej i korynckiej. Na kapitelu każdej z nich ustawiono dużą świecę ołtarzową. Między kolumnami znajdował się kobierzec haftowany w szereg tajemniczych obrazów: owoce granatu, chropowata skała, słońce i księżyc, kwadrat i cyrkiel...

Zza kolumn po drugiej stronie nawy Liebermann przyglądał się zgromadzonym masonom. Wszyscy byli ubrani we fraki, cylindry, białe rękawiczki i suto haftowane fartuchy.

Niektórzy mieli szarfy, inni kołnierze w kształcie litery V, tak jak czcigodny. Każdy z obecnych miał szablę. Liebermann zapytał Kanner, dlaczego bracia zabierają broń do świątyni, i dowiedział się, że to tradycja, która stanowi wyraz ich egalitarystycznych zasad.

- W osiemnastym stuleciu, Max, używano szabli dla zaznaczenia swojej szlachetności.

Wolnomularze nosili je, by pokazać, że są równi, oraz dać do zrozumienia, że wielkość to sprawa charakteru i dokonanych czynów - a nie urodzenia.

Liebermann dostał prosty fartuch z jagnięcej skóry o podniesionym karczku: ta drobna modyfikacja garderoby sygnalizowała, że jest nowicjuszem. Kanner w taki sam sposób przysposobił własny strój.

Czcigodny zwracał się do dwóch oficerów, którzy wystąpili naprzód. Jeden z nich niósł lampę, a drugi dużą, oprawną w skórę księgę.

- Bracie mistrzu ceremonii, udasz się teraz wraz z bratem oratorem do postulanta, ażeby tenże brat pełniej zaznajomił go z zasadami wolnomularstwa i poprosił o ponowne wejście w siebie. Jeżeli podtrzyma swoją decyzję o wstąpieniu do naszego zakonu, to poprowadź go pozbawionego biżuterii i wierzchniego odzienia, zgodnie z pradawnym zwyczajem wolnomularstwa, do wrót świątyni.

Dwaj oficerowie skłonili się, odwrócili i ruszyli ku odrzwiom z brązu, które otwarły się, by ułatwić im przejście. Nad wejściem Wszystkowiedzące Oko lustrowało tłum z najwyższą obojętnością. Gdy dwaj mężczyźni rozplynęli się w mroku, powietrze wypełnił

dźwięk organów. Kombinacja rejestrów, jaką zastosował organista, stworzyła dźwięk podobny do tego, który może wydobyć mały zespół flecistów. Akordy płynęły jak hymn, a czyste, klarowne brzmienia przesycone łagodnym, pełnym współczucia ciepłem, świadczyły, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że jest to dzieło Wolfganga Amadeusza Mozarta.

Zebrani zaczęli śpiewać:

Last uns mit geschlungnen Hdnden, Bruder, diese Arbeit enden... Ze splecionymi dłońmi, bracia, kończmy nasze dzieło...

Melodia była Liebermannowi obca, zastanawiał się, czy nie pochodzi z jakiegoś mało znanego zbioru utworów zazdrośnie strzeżonego przez masonów.

Niech te więzy opasają ciasno cały glob, Jak opasują to święte miejsce... Muzyka grała, a Liebermann lustrował twarze stojących naprzeciwko. Było ich tak wielu, a z powodu cylindrów i nikłego oświetlenia zadanie zidentyfikowania Olbrichta pośród tak dużego zgromadzenia zaczynało wydawać się wyzwaniem, któremu nie sposób sprostać. Na domiar złego Liebermann miał ograniczone pole widzenia. Nie widział masonów stojących za jego plecami ani twarzy tych, którzy stanowili sekretariat i zajmowali miejsca przy stołach poniżej tronu czcigodnego.

A wtedy światło rozbłyśnie nie tylko na wschodzie

Nie tylko na zachodzie

Lecz również na południu i północy.

Organy przeszły do końcowej kadencji, a następnie zaległa cisza.

Przerwały ją trzy głośnie uderzenia w drzwi. Każde zagrzmiało jak huk wielkiego bębna.

W siwoszarej mglistej oddali Liebermann zauważył, jak wysoki, chudy mężczyzna podnosi rękę.

- Czcigodny mistrzu! - zawołał. - Ktoś puka jako nieznajomy.

- Zobacz, kto puka - odparł czcigodny. Brązowe drzwi ponownie się otwały.

- To Brat mistrz ceremonii i brat Hansel, z postulantem.

- Zapytaj, czy postulant jest wolnym człowiekiem, który cieszy się dobrą reputacją u swych współobywateli...

Nastąpiły kolejne pytania i odpowiedzi oraz prośba do protektora, by się pokazał.

Między dwiema kolumnami wejścia pojawił się mężczyzna i oznajmił:

- Zgodnie z moją wiedzą uważam, że postulant godzien jest mojej protekcji i mam nadzieję, że takim pozostanie.

Mówił z węgierskim akcentem. Czcigodny odpowiedział:

- A zatem pozwól postulantowi wejść. - Uderzył raz młotkiem i zwrócił się do zgromadzonych: - Cisza, moi bracia.

Znów świątynię wypełniła muzyka organowa, a tenor zaczął śpiewać znajomy refren.

O heiliges Band der Freundschaft treuer Bruder...

O święte więzy przyjaźni między prawdziwymi braćmi...

Liebermann rozpoznał ten fragment natychmiast. Była to piosenka, którą Kanner nucił

w prywatnej salce restauracyjnej.

Na próg świątyni przyprowadzono młodego mężczyznę o długich, czarnych włosach.

Miał przepaskę na oczach, a jego koszula - której krój kojarzył się raczej z osiemnastym, a nie dwudziestym stuleciem - była rozchełstana przy szyi i zwisała luźno z ramion. A więc to był

postulant: książe Ambrus Nadasdy. Teraz, kiedy zarówno czcigodny, jak i książe znaleźli się w tym samym pomieszczeniu, Liebermann poczuł napięcie.

Gdzie on jest?

To pytanie kazało mu wpatrywać się z trwogą w zaciemnione kąty świątyni.

Gdy muzyka umilkła, przewodnik księcia obwieścił:

- Do tego miejsca doprowadziłem cię bezpiecznie. Teraz muszę przekazać cię innemu prowadzącemu. Zaufaj jego wskazówkom.

Przewodnik przedstawił młodego księcia chudemu masonowi.

- Panie mój! - zakrzyknął czcigodny. - Żadne śmiertelne oko nie potrafi wejrzeć w serce. Jeśli przywiodły cię tu samolubne pobudki albo jeśli miałeś nadzieję osiąść za naszym pośrednictwem nadprzyrodzoną i tajemną wiedzę, która była nieosiągalna poza naszymi szeregami, dostrzeżesz nieuczciwość swych oczekiwań. Nasz zakon oddany jest ludzkości.

Naszym szczególnym zadaniem jest pielęgnowanie w sobie wspólnym wysiłkiem czystej natury człowieka. Jeśli jesteś zdecydowany zjednoczyć się z nami w tym szlachetnym dziele człowieczeństwa, potwierdź to zgodnie z własnym sumieniem i solennym przyrzeczeniem wyraźnym „tak”.

Książe odpowiedział wedle instrukcji:

- Tak.

- Czy podporządkujesz się naszym naukom? - spytał czcigodny. - Czy nam ufasz?

I znów padło zdecydowane, twierdzące:

- Tak!

- Tylko i wyłącznie człowiek - ciągnął czcigodny - spośród wszystkich ziemskich stworzeń jest zdolny i powołany do pracy nad samodoskonaleniem. Człowiekowi przeznaczona jest wyższa forma doskonałości. Lecz droga do niej jest trudna do odnalezienia i najeżona niebezpieczeństwami. Bracie młodszy strażniku, pozwól postulantowi wypróbować siły w podróży, którą właśnie podejmuje.

Kanner pociągnął Liebermanna za rękaw. Wszyscy masoni natychmiast usiedli.

Chudy, wiotki mason zwrócił się do księcia - lecz głosem, który docierał do uszu wszystkich zgromadzonych.

- W Starożytnych Tajemnicach tym, którzy mieli dostąpić przyjęcia w nasze szeregi, organizowano alegoryczne podróże i próby. Zatem i my zachowaliśmy te formy tradycji.

Podróże, które podejmiesz, reprezentują życie. Masoneria edukuje swą młodzież, wyciskając na jej życiu piętno przez symboliczne uczynki.

Liebermanna ogarnął niepokój. Choć nie nastąpiła żadna materialna zmiana, po karku przebiegły mu ciarki - jakby czuł proroczy dyskomfort, jak wtedy, kiedy odwracamy głowę i dostrzegamy utkwione w nas spojrzenie cudzych oczu.

- Baczenie uważaj - ciągnął monotonnym głosem młodszy strażnik - i zachowaj w pamięci ostrzeżenia, które zostaną ci udzielone w trakcie tych podróży. Ten, kto w pomroce wędruje ku nieznanym miejscom, jako ty wędrujesz, potrzebuje przewodnika. Szczęśliwy ten, kto znajdzie w ciemnościach szczerego przyjaciela za zręcznego przewodnika. Pójdź za mną, poprowadzę cię bezpiecznie.

Kościsty mason ujął lewą rękę księcia i zawiódł go do głównej nawy świątyni. Gdy dotarli do trzech kolumn, zaczęli powolnym, dostojnym krokiem okrążyć kobierzec.

- Życie człowieka zatacza koło. Lecz odwiecznym centrum tej okrężnej drogi jest jedyny Bóg, którego wolnomularze czczą pod imieniem Wielkiego Architekta Świata.

Wolnomularze są czcicielami Boga, jakkolwiek odmienne może być twoje pojęcie boskiej osoby.

Ponieważ bracia siedzieli, Liebermann zyskał lepszy widok na ławy, które otaczały tron czcigodnego. Przyjrzał się uważnie siedzącym postaciom. Po chwili Kanner dał mu szturchańca w żebra, by z powrotem skierować jego uwagę na główne wydarzenia.

Najwyraźniej miało nastąpić coś znaczącego.

Młodszy strażnik nagle odciągnął księcia krok do tyłu.

- Pozbawiony wzroku - sztychł - wpadłbyś w przepaść pod twoimi stopami, gdyby nie powstrzymała cię dłoń przyjaciela. Przepaska na oczach jest symbolem twojej niewiedzy, która nie pozwala rozpoznać niebezpieczeństw czyhających na ścieżkach życia.

Liebermann powrócił do lustracji ławek.

Jeden z sekretarzy siedział ze spuszczonego wzrokiem.

Miał pochyloną głowę i w jego pozie było coś dziwnego. Wydawał się usztywniony, spięty, niezdarly. Liebermann zrozumiał dlaczego. Prawe ramię sekretarza było odciągnięte w tył, a ręka ścisnęła rękojeść szabli.

Czy to możliwe, że...

Pierwszym impulsem Liebermanna było działać, lecz odświętność i oficjalność ceremonii inicjacji wymagała ostrożności, respektu. Olbricht? Masonem?

Liebermann poczuł się jakby skrupowany niewidzialnymi więzami, zahamowany - niezdolny do wszczęcia alarmu. A jeżeli się myli? Jednak mimo wszystko...

Kościsty mason prowadził nawą swego królewskiego podopiecznego w stronę tronu czcigodnego. Dystans między nimi malał. Jeśli to jest Olbricht, czcigodny i księżę już wkrótce znajdą się w zasięgu jego ręki.

Sarastro i Tarnino...

To musi być on...

Podejrzany mason nieznacznie uniósł głowę, ale rondo cylindra było szerokie, ocieniało niemal całą twarz. Rozbłysła jaśniej świeca - i na ułamek chwili usta i broda masona wyraźnie wyłoniły się z mroku. Liebermann spostrzegł szerokie wargi oraz głębokie, charakterystyczne bruzdy...

- Pochyl się! - rozkazał tyczkowany mason. - Oto miejsce tego, który został przez nas wybrany, by pilnować praw zakonu.

Księżę schylił głowę.

Liebermann nie mógł dłużej zwlekać. Zerwał się z miejsca i rzucił do przodu, rozdzielając swym ciałem księcia od członków sekretariatu.

- Olbricht!

Jego ingerencja natychmiast wywołała wielkie poruszenie. Rozległy się zduszone oraz głośnie okrzyki konsternacji. Kościsty mason ruszył naprzód, zerknąwszy uprzednio na czcigodnego, który zareagował uniesieniem ręki, zalecając umiarkowanie. Tymczasem Olbricht puścił się biegiem przez nawę i skierował ku wrotom z brązu - cylinder zakreślił w ślad za nim szeroki łuk dokoła trzech kolumn.

Liebermann pędził wzdłuż szpaleru zszokowanych twarzy. - Zatrzymać go! - zawołał czcigodny, przekrzykując powstałą wrzawę. - Bracie Diethelm! Zatrzymajcie go!

Liebermann zarejestrował w pamięci imię. Brat Diethelm?

Wydawało się, że czcigodny zwraca się raczej bezpośrednio do Olbrichta, a nie nakazuje interweniować osobie o imieniu Diethelm.

Dwaj masoni, którzy wydawali się pełnić funkcję strażników ceremonii przy wejściu do świątyni, skoczyli naprzód z rozpostartymi ramionami. Olbricht schylił głowę i przedarł

się przez ich nieudolną blokadę, powalając obu mężczyzn, którzy runęli na podłogę jak dłudzy. Uciekał między majestatyczne korynckie kolumny i w panujące za nimi ciemności.

Liebermann przyspieszył, podeszwy jego butów dudniły na czarno-białych kamiennych płytach, gdy gwałtownie zaczął się ścigać. Nie udało mu się zatrzymać się w westybulu, poślizgnął się i boleśnie zderzył ze środkową, kamienną kolumną klatki schodowej. Siła uderzenia pozbawiła go tchu i spowodowała irytujący przestój. Z dołu dobiegało słabnące diminuendo ginących w oddali kroków. Liebermannowi przemknęło przez myśl pytanie:

„Dlaczego nie pobiegł w górę?”. Towarzyszył mu dreszcz niepokoju. Odsunął od siebie dziwne przeczucie i potykając się, rzucił się w dół, gubiąc po drodze kapelusz. Z hukiem zbiegał po stopniach, od ciasnych zakrętów spiralnych schodów kręciło mu się w głowie. W

dół, w dół - coraz dalej i dalej w głąb ziemi, aż wreszcie kamienne kliny stopni znikły, a siła rozpędu poniosła go naprzód, przez otwarte drzwi.

Ni z tego, ni z owego znalazł się w środku biblioteki.

Nie było żadnego innego wyjścia, którym mógłby umknąć Olbricht. Wzdłuż wszystkich ścian stały regały z książkami. Na wprost znajdowała się malowana tarcza herbowa przedstawiająca słońce i księżyc, upersonifikowane za sprawą nałożenia masek złowrogich ludzkich twarzy. Liebermann obrócił się gwałtownym ruchem i zdążył jedynie dostrzec, jak Olbricht zatrzaskuje drzwi i przekręca w zamku klucz.

Obydwaj mężczyźni zastygli w bezruchu, jak gdyby padło na nich spojrzenie zamieniającej w kamień Gorgony.

Liebermann przełknął ślinę. Przed oczami przesunęła mu się seria obrazów, a każdy z nich wdierał się w świadomość w blasku bezlitosnego magnezjowego światła. Okaleczone ciała, kałuże krwi, odkryte wnętrza - zwłoki Ra'ada rozłożone na stole niczym ofiara złożona jakiemuś okrutnemu i perwersyjnemu bogu.

Liebermann przełknął ponownie. Jednak tym razem w ustach zabrakło śliny.

Wysuszyło ją przerażenie, mrozące krew w żyłach, odbierające siły, przyprawiające o mdłości przerażenie, które wysssało szpik z jego kości i sprawiło, że nogi nie dawały wiarygodnego podparcia.

Ktoś walił zaciśniętą pięścią w drzwi.

Trzy uderzenia.

Pauza.

Cztery uderzenia. Następnie stłumiony głos:

- Otwierać! Otwierać!

Olbricht był nienaturalnie spokojny - tak jak wtedy, w kanałach, kiedy ze swego położonego wyżej punktu obserwacyjnego z całkowitym opanowaniem przyglądał się ścigającym. Wydawał się nie zważać na hałas na zewnątrz.

Zupełnie znieacka podniósł prawą rękę, tworząc kąt między wyprostowanym palcem wskazującym i kciukiem. Na krótką chwilę przymknął jedno oko i przyjął tradycyjną postawę portrecisty kadrującego w pamięci malowany podmiot.

- Herr Olbricht... - To nazwisko wymknęło się z ust Liebermanna jak mimowolne westchnienie. Ale nie towarzyszyło mu nic więcej. Cóż mógł powiedzieć takiej kreaturze? Jak do niego zaapelować? Błaganie Olbrichta o rozsądek, roztropność lub litość byłoby równie bezcelowe jak wyrecytowanie wiersza Goethego.

Walenie w drzwi przerodziło się w nieustanne bębnienie przypominające ulewny deszcz.- Otwierać!
- Do zduszonego głosu dołączyły inne.

Prawa ręka Olbrichta opadła na rękojeść broni. Rozległ się ostry i dźwięczny metaliczny zgrzyt, a chwilę później szabla pojawiła się nad głową Olbrichta.

Szust, szust, szust...

Olbricht ciął powietrze, dając ostentacyjny popis fechtunku. Po gwałtownym wybuchu aktywności cisnął szablę w powietrze, gdzie wydawała się zawisnąć wbrew prawu ciężenia.

Obracające się ostrze rozsiewało wokół pomieszczenia plamki odbitego od lampy światła, póki Olbricht nie odzyskał broni błyskawicznym chwytem. Mimo że taka brawura mogła być jedynie pokazem karykaturalnego łotrostwa, pustą fanfaronadą, Liebermann instynktownie rozumiał, że w tym wypadku jest inaczej. Miał przed sobą pewnego siebie, wprawnego fechtmistrza.

Artysta zrobił zamaszty krok naprzód.

Z wielką niechęcią Liebermann wyciągnął własną szablę, plując sobie w brodę, że nie przykładał się bardziej na lekcjach szermierki z signorem Barbasettim. Dlaczego spędzał tyle cennego czasu na rozmyślaniach o ciastkach zamiast o technice?

Liebermann przygotował się na dziki atak. Tymczasem zaskoczyła go postawa Olbrichta, który zbliżał się powoli, ostrożnie, miarowym krokiem. Ich szable zbliżyły się, lecz nie zetknęły. Ostrza wykonały minimalne ruchy - drobne prowokacje i cofnięcia. Wydawało się, że do kontaktu nie dopuszcza niewidzialne pole odpychającej siły. Wreszcie tajemny zakaz został złamany i po raz pierwszy skrzyżowali ostrza z delikatnym stuknięciem, które wywołało ciche dzwonięcie.

Olbricht testował przeciwnika wykonaniem finty, na którą Liebermann odpowiedział ze spokojem, utrzymując znaczny dystans. Młody lekarz był świadom postawy Olbrichta.

Było coś w sprężystości jego ciała - oraz pewnym ogólnym napięciu - co sugerowało gotowość do skoku.

Łomotanie w drzwi ustało i jakiś głos zawołał:

- Otwierać albo wyważymy drzwi!

Ta groźba nie wywarła na Olbrichcie żadnego wrażenia. Przesunął się do przodu - woląc, jak większość znakomitych szermierzy, obserwować oczy przeciwnika zamiast położenie jego szabli.

Liebermann wykonał półwypad - pozorując atak - po czym dokończył *passatasotto*.

Olbricht pozostał niewzruszony. Następnie Liebermann zobaczył, jak ostrze tego potwora zakreśla łuk tuż przy jego żołądku. Poczul jakieś draśnięcie. Czubek szabli Olbrichta rozciął

tkaninę kamizelki. Nazbyt zdumiony, by zdobyć się na błyskawiczną reakcję, Liebermann został odrzucony do tyłu potężnym, niskim pchnięciem.

Framuga drzwi mocno zatrzeszczała. Niestety, tak jak wszystko w Elizjum, wydawała się mieć solidną, mocną konstrukcję.

Liebermann podjął próbę zadania kolejnego pchnięcia, ale Olbricht idealnie odparował cios, okalając ostrze młodego doktora i swobodnie odsuwając je na bok. Obrona została przeprowadzona czysto i precyzyjnie.

- Herr Olbricht - powiedział Liebermann, ciężko dysząc z wysiłku - drzwi już długo nie wytrzymają.

Odpowiedź Olbrichta była równie konkretna jak odparowanie ciosu.

- Wiem.

Liebermann usiłował coś wymyślić - coś, czym mógłby zająć Olbrichta jeszcze przez kilka cennych sekund. Nie pozostawało mu nic innego, jak grać na zwłokę. Ale żadne słowa nie przychodziły. Umysł Liebermanna przypominał białą kartę strachu: pustą, czystą, nieokiełznaną.

Olbricht w skupieniu zmarszczył czoło. Zrobił wypad, tym razem z wyjątkową prędkością i gwałtownością, tak że Liebermann zdołał jedynie zasłonić się własną szablą. Po raz kolejny siła ataku odepchnęła go do tyłu.

Miarowe łomotanie wskazywało, że masoni przyjęli systematyczną strategię wyważania drzwi. Liebermann wyobrażał sobie, jak nieudolnie napierają ramionami na płyciny.

- Kopcie! Rozwalcie je kopniakami, na litość boską! - wrzeszczał w desperacji. -

Kopcie w zamek.

Nim zdążył dokończyć zdanie, Olbricht zaatakował i zwarli się w walce. Ograniczona przestrzeń rozbrzmiewała ostrym szczękiem stali. Parowanie, parowanie, parowanie...

Atak zmusił Liebermanna do nieprzerwanego odwrotu. Stracił grunt, Olbricht natarł.

Znów stracił grunt - atak Olbrichta przybrał na gwałtowności.

Parowanie, parowanie, parowanie...

Liebermann wyczuł jakiś przedmiot za plecami - może biurko? Wkrótce znajdzie się w potrzasku. Nagle ogarnęła go niepokonana panika. Bez zastanowienia uciekł w bok, odsłaniając plecy. Była to bezdenna głupota. Samobójstwo. W każdej chwili spodziewał się poczuć siłę śmiertelnego pchnięcia Olbrichta, szablę przeszywającą ciało i przebijającą na wylot wątrobę - lecz nic takiego nie nastąpiło. Właśnie wtedy Liebermann zdał sobie sprawę z prawdziwego charakteru ich konfliktu. Olbricht po prostu z nim igrał, sięgał do coraz to głębszych pokładów jego strachu dla własnej obłąkańczej przyjemności.

Ucieczka młodego lekarza zakończyła się, gdy przez nieuwagę się potknął. Stał

twarzą w twarz z Olbrichtem i próbował zapanować nad strachem.

On jest tylko człowiekiem, tylko człowiekiem...

Liebermann powtarzał sobie te słowa jak litanię.

Tylko człowiekiem, tylko człowiekiem...

Paniczne przerażenie zaczynało ustępować.

Liebermann pomyślał o signorze Barbasettim. Przypomniał sobie, jak jego nauczyciel fechtunku często wyrażał swoje niezadowolenie, stukając się w skroń dla podkreślenia ulubionego napomnienia: „Trzeba myśleć, Herr Doctor. Jeśli pan nie myśli, wszystko stracone”.

Znowu zwarli broń.

Parowanie, pchnięcie, parowanie, *coupe*, parowanie, pchnięcie...

Liebermann odkrył ze zdziwieniem, że potrafi teraz lepiej powstrzymać ataki Olbrichta niż przedtem. Ruchy artysty nie były już tak szybkie jak przedtem. Może zaczynał

być zbyt pewny swego. Albo, jeszcze lepiej, odczuwać zmęczenie.

Ośmielony Liebermann zrobił wypad z pchnięciem. Olbricht odparł atak, lecz nie zdołał ustawić się na nowo w zasłonie. Klatka piersiowa artysty była odsłonięta. Ma okazję -

zrobi to! Liebermann podniósł szablę, stwierdził jednak, że nie jest zdolny do zadania śmiertelnego ciosu.

Gdyby tak bardziej uważał na lekcjach Barbasettiego!

Ile razy Włoch demonstrował dokładnie ten sam manewr? Celowe pozostawienie wolnego dostępu, by sprowokować atak z impetem.

Liebermann wstrzymał oddech. Całkowicie sparaliżowało go mrowienie nad sercem.

Z doskonałą zręcznością Olbricht zatrzymał ostrze - jeden ruch i szabla przebiłaby ciało.

Liebermann nie śmiał się poruszyć. Gdyby jego własna szabla choćby drgnęła, Olbricht by uderzył. Liebermann zamknął oczy - i czekał. Framuga drzwi jęknęła.

Nawet gdy Liebermann już pogodził się ze swoim unicestwieniem, nie potrafił

powstrzymać się przed dokonaniem ostatecznej obserwacji klinicznej.

Napawa się moim strachem, myślał, delektuje moją rozpaczą. Nie zatopi ostrza między moimi żebrami, póki nie zaspokoi w pełni swych sadystycznych żądz.

Liebermann otworzył oczy. Nie chciał zginąć jak tchórz. Pragnął dokonać żywota, stawiając opór.

Olbricht wyciągał szyję, przekrzywiwszy głowę na bok, przyglądał się uważnie twarzy Liebermanna. Młody lekarz patrzył w szeroko rozstawione oczy i zauważył po raz pierwszy, że tylko z pozoru mają tak duży rozstaw, ponieważ grzbiet nosa był zapadnięty.

Głębokie bruzdy wokół ust Olbrichta ściągnęły się, a wargi rozchyliły. Uśmiechał się, pokazując przy tym dwa rzędy dziwnie skarłowaciałych zębów o nierównych i poszarpanych brzegach. Liebermann nigdy dotąd nie znajdował się tak blisko Olbrichta, nigdy nie miał

okazji przyjrzeć się dokładnie osobliwościom jego fizjonomii.

„Trzeba myśleć, Herr Doctor! Jeśli pan nie myśli, wszystko stracone”.

Napomnienie signora Barbasettiego powróciło z dręczącą nieustępliwością.

Tak, oczywiście!

Nieregularne rysy Olbrichta nie były jedynie rezultatem rodzicielskiego dziedzictwa - zarodkowej plazmy matki i ojca, lecz także pewnego innego procesu: procesu patologicznego.

Miody doktor postawił diagnozę, z której wynikała cała seria śmiałych wniosków.

- Pańska matka - zaczął Liebermann. - Kochał ją pan, prawda? Ale ona nigdy nie odwzajemniała tej miłości. Nigdy nie miała czasu. Ciągłe zajęta, zabawiająca mężczyzn.

Obcokrajowców. Węgrów, Czechów, Chorwatów... Żydów?

Olbricht wydawał się zaskoczony. Wytrzeszczył oczy.

- I miewał pan sny - ciągnął Liebermann, nabierając pewności siebie. - Straszliwe sny.

Koszmary. O zwierzętach: wilkach, psach... Wciąż je pan miewa, prawda? - Słowa płynęły strumieniem, gorączkowe, pospieszne. - I była jeszcze muzyka! Mieszkał pan na tyłach teatru

- małego ludowego teatru. Kiedy pańska matka podejmowała swoich męskich przyjaciół, pan słyszał muzykę. Operetki, popularne piosenki.

Lecz najbardziej niezapomniane melodie, te, które utkwily w głowie i nie chciały się odczepić, pochodziły z opery Mozarta: z *Czarodziejskiego fletu*.

Wyraz twarzy Olbrichta zmienił się. Wyglądał na zdeprymowanego, niemal wystraszonego. Jak dziecko.

- Kim pan jest? - Miał ochryply głos. Jakby nagle stanął twarzą w twarz z jakąś nadprzyrodzoną inteligencją.

- Jestem lekarzem - mogę pomóc.

Ale Liebermann się przeliczył. Olbricht nie chciał pomocy. Wyraz strachu na twarzy artysty zanikał. Liebermann delikatnie przesunął się w tył. Zyskał w ten sposób wystarczającą przestrzeń pomiędzy ostrzem Olbrichta a własną piersią, by zaryzykować pojedynczy uwalniający ruch. Odtrącił na bok szablę Olbrichta otwartą dłonią wolnej ręki obleczonej w rękawicę i odbiegł...

Kiedy Liebermann się odwrócił, był przyparty do ściany, poddawany atakowi o demonicznej sile i zaciekłości. Cios następował po ciosie. Sypały się na niego raz po raz: ciężkie, uporczywe i zabójcze. Mimo że atak Olbrichta wymknął się spod kontroli, Liebermann wiedział, że może odpierać tak brutalną napaść zaledwie przez kilka kolejnych sekund. Ramię bolało, nadwerężane bezlitosnymi uderzeniami.

Liebermann upadł na kolano. Broń ciążyła mu w dłoni i zaczęła się z niej wysuwać.

Sięgnąwszy do jakiejś ukrytej rezerwy energii, podniósł szablę i przytrzymał ją poziomo w górze, zasłaniając się nią jak tarczą. Niesłabnące razy spadały nadal, zasilane niewyczerpaną furią. Liebermann niejasno zdał sobie sprawę z głośnego trzasku - i nagle w jakiś cudowny sposób nie był już sam. Za plecami Olbrichta pojawiło się morze twarzy, a chwilę później u jego boku znalazł się Kanner i odpierał potężne ciosy Olbrichta.

Wyczerpany i bliski zwalenia się z nóg Liebermann obserwował, jak artysta wycofuje się, otoczony zastępami nowych, rześkich adwersarzy. Olbricht wykonywał gwałtowne obroty, wirując niczym śmiertcionośny derwisz, połyskujące ostrze jego szabli wytwarzało wokół mieniającą się, ochronną aurę.

Kanner ukląkł przy Liebermannie, obejmując go troskliwie ramieniem.

- Nic ci nie jest?

Liebermann pokręcił głową.

Tłum ciasno okrążył Olbrichta, przesłaniając Liebermannowi widok, ale młody lekarz wciąż słyszał mrozący krew w żyłach, przenikliwy dźwięk tnącej powietrze szabli artysty. W

końcu świst metalu ustał, a powrócił rytm bardziej konwencjonalnej potyczki, która wreszcie osłabła do szczyku sporadycznych, nieregularnych zwarć ostrzy.

Ponad bitewną wrzawę wzniósł się mocny głos:

- Bracie Diethelmie, rozkazuję ci rzucić szablę. Brzęk broni ucichł i zaległa upiorna cisza.

- Mamy druzgocącą przewagę liczebną. Powtarzam: rzuć szablę. Zegar z wahadłem wybijał głuchy rytm. Każde perkusyjne wahnięcie zdawało się stopniowo wzmacniać napięcie.

- Bracie Diethelmie?

Tępemu odgłosowi, po którym nastąpił metaliczny brzęk, towarzyszył zbiorowy jęk ulgi.

Przez lukę w tłumie Liebermannowi mignął widok pokonanego artysty. Stał z rozpostartymi ramionami, niczym ukrzyżowany Chrystus, głowę odrzucił w tył. Szloch wstrząsnął jego piersią.

- Skończone - zawołał Olbricht. - Więcej zrobić nie mogę. Liebermann dostrzegł w jego oczach ogień płonącej Walhalli.

Rheinhardt przycisnął do oczu knykcie, a po odjęciu ich od powiek intensywnie wpatrywał się w zegar ścienny. Początkowo nie widział nic prócz kalejdoskopowego wzoru świecących plamek. Potem powoli wzrok zaczął się wyostrzać i wskazówki nabrały wyraźnych konturów: kwadrans po pierwszej. To był długi, męczący dzień.

Po powrocie do domu nie mógł zasnąć. Usiadł na krześle obok telefonu, obawiając się jego brzemiennego w skutki dzwonka, po którym usłyszałby trzask połączenia i głos sierżanta z komisariatu przy Schottenring, informującego z żalem o znalezieniu dwóch ciał. Rheinhardt zapadł w przerywany półsen i kiedy - zgodnie z oczekiwaniami - zadzwonił telefon, podniósł

słuchawkę, czując lęk i mętlik w głowie. Wysłuchał raportu sierżanta, ale nie mógł do końca uwierzyć własnym uszom. Poprosił policjanta o powtórzenie. Funkcjonariusz uprzejmie zastosował się do polecenia, prowokując Rheinhardta do uszczypnięcia się w udo w celu sprawdzenia, czy przypadkiem nie śni.

Duża wskazówka zegara skoczyła do przodu, Rheinhardt opuścił wzrok. Liebermann zmagął się z jakimś paproszkiem na spodniach, cmokając ze zniecierpliwieniem na jego nieustępliwość.

- No więc - odezwał się Rheinhardt - zjawiasz się w komisariacie przy Schottenring przyodziały w cylinder, białe rękawiczki oraz frak - który, o ile się nie mylę, został przecięty w dwóch miejscach ostrzem szabli. Pod twoją kuratelą znajduje się - skrępowany i zakneblowany - potwór Andreas Olbricht! Oficer dyżurny domaga się od ciebie, całkowicie słusznie, wyjaśnień. Jednak ty postanawiasz odpowiadać tak mgliście, jak to tylko możliwe, sugerując, że zdołałeś odnaleźć go i pojmać z pomocą kilku wolnomularzy... Mój drogi przyjacielu, choć przywykłem do twojego upodobania do wymijających odpowiedzi i częstokroć dość męczącego upierania się przy dramatycznych podstępach, odnoszę wrażenie, że dzisiejszego wieczoru przeszedłeś samego siebie!

W trakcie tej przemowy podniósł się ton głosu inspektora, a w jego oczach pojawiły się groźne błyski.

Młody doktor poniechał prób usunięcia ze spodni nieustępliwego kłaczka i skarcony wyprostował plecy.

- Może nie mam wyjątkowo przenikliwego umysłu - ciągnął inspektor, usiłując powściągnąć nerwy przez rozłożenie płasko dłoni na blacie biurka. - Niemniej jednak nie trzeba być szczególnie błyskotliwym, by domyślić się, jak udało ci się doprowadzić tu Olbrichta dzisiejszego - a ściślej, wczorajszego wieczoru. - Oderwał od biurka palec i wskazał

na ścianę z zegarem. - Dostałeś się na tajne zebranie masonów, tam przyłapałeś Olbrichta szykującego się do zamordowania osób odpowiadających postaciom Sarastra i księcia Tarnina. Rzuciłeś Olbrichtowi wyzwanie, stoczyłeś z nim walkę, a wreszcie z pomocą obecnych go obezwładniłeś.

Liebermann pokiwał głową.

- Tak, mówiąc najogólniej, tak właśnie miały się sprawy.

- A teraz jestem zobowiązany zadać ci bardzo oczywiste pytanie: czy nie przyszło ci przypadkiem do głowy powiadomić biura bezpieczeństwa?

- Oczywiście, że przyszło - tyle tylko, że nie było to możliwe. Rheinhardt wziął do ręki pióro i napisał datę na urzędowym papierze listowym, który rozłożył na biurku.

- Oskarze - rzekł Liebermann - zanim przejdziemy dalej, musisz mi coś obiecać.

- Co?

- Ze biuro bezpieczeństwa nie będzie sprawdzać i prześladować masonów.

- Ja z przyjemnością pozostawię masonów w spokoju. Ale komisarz Briigel może inaczej zapatrywać się na tę sprawę.

- Wobec tego musisz go przekonać.

- Komisarz Briigel należy do osób wyjątkowo nieznoszących sprzeciwu. Obawiam się, że będzie obstawał przy własnym zdaniu, bez względu na to, co powiem.

- Daj spokój, Oskarze, człowiek obdarzony tak wielką elokwencją i urokiem osobistym jak ty powinien... - Rheinhardt ostrzegawczo podniósł palec. Liebermann uznał z cierpkim uśmiechem, że przeholował z pochlebstwem i postanowił podejść Rheinhardta od innej strony. - Na samym początku tego śledztwa przyrównałeś Olbrichta do niesławnego Kuby Rozpruwacza. Cóż, w przeciwieństwie do Scotland Yardu, my schwytaliśmy naszego

„Rozpruwacza”. Fakt ten bez wątpienia podniesie międzynarodową renomę wiedeńskiego biura bezpieczeństwa. Nie można także wykluczyć, że twój przełożony - ze względu na nadzorowanie tak wielkiego wyczynu - może spodziewać się ze strony Pałacu jakiegoś dowodu uznania. - Liebermann przybrał wyraz anielskiej niewinności. - Nie chciałbym ingerować w twoje stosunki z zacnym komisarzem, jestem wszak przekonany, że poruszenie kwestii zaszczytów byłoby... wskazane. Gdy już pochłonie go wizja cesarza przypinającego mu order do piersi, Briigel będzie znacznie mniej skłonny do roztrząsania twojego raportu w najdrobniejszych szczegółach.

Rheinhardt westchnął.

- Zobaczmy...

- Dziękuję, Oskarze.

- Tak czy owak, muszę wycisnąć z ciebie więcej informacji. - Rheinhardt podkreślił

datę i podniósł wzrok na przyjaciela. - Komisarz Briigel będzie oczekiwał czegoś więcej niż kilku

mętnych zdań - i nie trzeba chyba dodawać, że i ja mam kilka osobistych pytań. -

Liebermann poprawił się na krześle i gestem ręki dał Rheinhardtowi znak, by kontynuował. -

Po pierwsze, jak, u licha, udało ci się wkraść na tajne masońskie zebranie?

- W sobotę jadłem kolację z zaufanym przyjacielem, z którym omawiam czasami moje zaangażowanie w sprawy biura bezpieczeństwa. Opowiedziałem mu o znalezieniu dziennika Olbrichta i naszych obawach, że Olbricht może następnego dnia podjąć próbę zamordowania członka rodziny cesarskiej oraz wysokiego rangą masona. Ku memu wielkiemu zdziwieniu, przyjaciel zdradził mi, że sam jest wolnomularzem. Co więcej, poinformował mnie, że niedziela dwunastego grudnia to dla niego oraz jego braci masonów data o wielkim znaczeniu. Tego właśnie dnia w tajnej wiedeńskiej siedzibie masonów ma dokonać się inicjacja pewnego zagranicznego księcia. Otrzymałem pozwolenie uczestniczenia w tym rytuale pod warunkiem, że dam uroczyste słowo, iż tego, co zobaczę, nie wyjawię nikomu, a zwłaszcza - Liebermann dwukrotnie zastukał w biurko Rheinhardta - pewnemu detektywowi, z którym ostatnio łączone jest moje nazwisko.

Rheinhardt lekceważąco chrząknął i zaczął notować.

- Kim był ten zagraniczny książę?

- Obawiam się, że nie mogę powiedzieć - dałem słowo.

- Dobrze - jak nazywa się twój przyjaciel?

- Niestety, nie mogę powiedzieć.

- W porządku. Natknąłeś się na mężczyznę z brodą na modłę Van Dyke'a?

- Widziałem wielu mężczyzn z takimi brodami...

- Człowieka o nazwisku Lösch? Liebermann wzruszył ramionami.

Inspektor powoli podniósł głowę, ukazując zbolące oblicze.

- Oskarże, w tym roku złamałem już jedną obietnicę - rzekł poważnie Liebermann. -

Nie zamierzam łamać kolejnej.

Inspektor wydał potężne westchnienie i ostentacyjnie odłożył pióro. Następnie otworzył szufladę biurka i wyjął z niej małą butelkę śliwownicy oraz dwa kieliszki. Napełnił je po brzegi, a następnie poczęstował Liebermanna marcepanową myszką, której młody lekarz przyglądał się przez chwilę, po czym uprzejmie odmówił. Rheinhardt oparł się w krześle i powiedział z rezygnacją:

- No dobrze. Proszę, mów dalej.

Liebermann z wyraźną ulgą kontynuował opowieść:

- Zawieszono mnie wczoraj w tajne miejsce.
- Przypuszczam, że nie ma sensu pytać...
- Nie - przerwał Liebermann. - Nie ma. Tym razem nie dlatego, że to ja nie chcę zdradzić ci jego lokalizacji, a dlatego, że sam jej nie znam. Nie mam pojęcia, gdzie ono się znajduje. Miałem opaskę na oczach. A w trakcie powrotu stamtąd z Olbrichtem, znów zawiązano mi oczy.
- Jak długo trwała podróż? Liebermann wzruszył ramionami.
- Rheinhardt uśmiechnął się, wypił łyk śliwowicy i ponaglił przyjaciela, by mówił dalej.
- Byłem obecny przy obrzędzie inicjacji...
- O którym nic nie możesz powiedzieć - wtrącił Rheinhardt.
- I we właściwym czasie dostrzegłem mężczyznę, którym, jak przypuszczałem, był Olbricht.
- Przypuszczałeś?
- Było ciemno. Świątynia masonów jest duża i niewystarczająco oświetlona świecami.
- Rozumiem.
- Kiedy Olbricht znalazł się na wyciągnięcie ręki od głównego masona i księcia razem wziętych...
- Sarastra i Tarnina.
- Zauważyłem, że jego palce zaciskają się wokół rękojeści szabli.
- Miał przy sobie szablę? - ponownie przerwał Rheinhardt.
- Mam nadzieję, że nie zdradzę pokładanego we mnie przez masonów zaufania...
- Broń Boże!
- Jeżeli ujawnię, że wszyscy mieli szable.
- Coś takiego - rzeki Rheinhardt, z zainteresowaniem kiwając głową.
- W którym to momencie... Inspektor podniósł rękę.
- Jedną chwileczkę! Co Olbricht robił na tym tajnym zebraniu? Jak on się tam dostał?
- Czy to nie oczywiste? Rheinhardt ściągnął brwi.- Przecież nie...

Liebermann zacisnął usta i gwałtownym ruchem wysunął głowę do przodu.

- Jest masonem. A w dodatku bibliotekarzem! Od wielu miesięcy oddawał się mozolnemu zadaniu katalogowania obszernych zbiorów literatury wolnomularskiej. Kilka woluminów, które przeszły przez jego ręce, pochodzi z zamierzchłych czasów - są to przewodniki po tajemnych obrzędach i rytuałach.

- Zatem panna Lydgate miała jednak rację.

- Oczywiście, to niezwykła kobieta. - Liebermann zrobił pauzę.

- Max?

Liebermann zakasłał, lekko zawstydzony chwilą nieuwagi.

- Jestem zdania, że Olbricht wkroczył do zakonu w charakterze szpiega. Można sobie wyobrazić, że taki szczeniacki akt odwagi, taki manewr, zaskarbił mu szacunek przyjaciół z Eddyjskiego Towarzystwa Literackiego. Jak wiesz, nacjoniści gardzą masonami. W mojej ignorancji zastanawiałem się często dlaczego. Przypisywałem ich wrogość jakiemuś rodzajowi paranoi; tymczasem odpowiedź jest bardzo prosta. Istotą masonerii jest wiara w uniwersalne braterstwo i równość - wiara, która stanowi skrajne przeciwieństwo opartej na poczuciu wyłączności, supremacyjnej filozofii Guida Lista. Wśród masonów Olbricht był

znany jako brat Diethelm. Gunther Diethelm. Interesujące, nic sądzisz, że wybrał akurat takie *nom de guerrel*

Rheinhardt sprawiał wrażenie skonsternowanego.

- Gunther - ciągnął Liebermann - oznacza wojownika, a Diethelm to obrońca ludu bądź ludzi. To zaś świadczy o silnym utożsamianiu się z legendarnym *Unbesiegbare* -

niezwyciężonym, czy też potęgą z góry, z teutońskim zbawicielem.

Rheinhardt wypił łyk śliwownicy.

- Grał w niebezpieczną grę. A gdyby mason, z którym łączyła go znajomość, przyszedł na jedną z jego wystaw? Jego maskarada zostałaby natychmiast zdemaskowana.

- Nie istniało takie ryzyko. Po pierwsze, Olbricht rzadko wystawiał swe prace w galeriach. Brakowało mu talentu i bez mecenatu von Rautenberg nie wystawiałby wcale. Po drugie, germańscy nacjoniści i wolnomularze żyją w całkowicie odmiennych światach i te światy rzadko się ze sobą stykają. To osobliwość naszego miasta, że rozmaici ludzie mogą współistnieć i mieszkać w pobliżu siebie, a nigdy się nie spotkać.

Rheinhardt niechętnie przyznał rację. Obraz ludzi z kanałów wciąż był żywy w jego pamięci.

- Nie podejrzewam - ciągnął opowieść Liebermann - by Olbricht wstąpił do masonów z zamiarem

zamordowania kogokolwiek z ich szeregów. Raczej nadarzyła się taka okazja, w miarę jak jego osobliwy plan morderstw - oraz proces chorobowy - posuwał się naprzód.

- Proces chorobowy?

- Wybacz - wybiegam myślami. - Liebermann skosztował śliwowicy i wydawał się lekko zdziwiony mocą trunku. - Skąd to, u diabła, wytrzasnąłeś?

- Od chorwackiego ostrzyciela noży.

- To mnie nie dziwi. Zaraz, na czym skończyłem?

- Zobaczyłeś rękę Olbrichta na rękojeści.

- A, tak... - Liebermann z pogardą odstawił kieliszek na biurko Rheinhardta i poprawił

się w krześle. - Wezwałem go do opamiętania, a on błyskawicznie rzucił się do drzwi, uciekł

ze świątyni i zbiegł do biblioteki, która była usytuowana na niższej kondygnacji. Pamiętam, że poczułem niepokój. To oczywiste, że ktoś, kto ma zamiar umknąć, pobiegłby na górę, a nie w dół; jednak nazbyt podekscytowany pościgiem pogałem za Olbrichtem bez namysłu i tak wpadłem w jego zasadzkę.

- Zasadzkę?

- Ukrył się za drzwiami biblioteki, a po zamknięciu nas obu w środku wyciągnął

szablę. Od chwili, gdy ostrza naszych szabli się zetknęły, stało się dla mnie jasne, że jest wytrawnym szermierzem. Moją jedyną szansą na przetrwanie było powstrzymać go, póki masoni nie wyważą drzwi i nie przybędą mi na ratunek.

Rheinhardt przyglądał się rozciętej tkaninie nad sercem Liebermanna.

- Wygląda na to, że o mało cię nie zabił.

- Niewiele brakowało. Przyparł mnie do ściany. Wystarczyło, że wykonałby pchnięcie.

- Co go powstrzymało?

- Zaskoczyłem go - wręcz nim wstrząsnąłem - poczyniwszy pewne spostrzeżenia, co do których, zważywszy na jego reakcję, mam wszelkie powody sądzić, że były słuszne, i wykorzystując chwilę jego nieuwagi, dałem drapak.

Rheinhardt pochylił się do przodu.

- Spostrzeżenia? Jakie spostrzeżenia?

- Ze jego matka była prostytutką, która podejmowała mężczyzn wielu różnych narodowości, że mieszkali w pokoju obok teatru ludowego, w którym często wystawiano *Czarodziejski flet*, i że Olbrichta zawsze dręczyły sny o zwierzętach - i dręczą po dziś dzień.

Rheinhardt pokręcił głową.

- Ale skąd coś takiego...

- Wiedziałem? Nie wiedziałem. Po prostu postawiłem kilka hipotez.

- Na jakiej podstawie?

- Jego wyglądu.

- Przecież zawsze powtarzałeś, że nie wolno osądzać człowieka po pozorach.

- To prawda. I w większości wypadków nie można niczego wydedukować z kształtu czyjegoś nosa, nachylenia czoła czy grubości warg!

- Zatem cóż takiego w fizjonomii Olbrichta pozwoliło ci sformułować tak śmiało i najwyraźniej trafne stwierdzenia?

Liebermann złączył długie palce.

- Jego twarz, charakterystyczne rysy. Stanowią one rodzaj stygmatu... ale stygmatu, który nie ma absolutnie nic wspólnego ze spekulacjami Lombrosa na temat związków między fizjonomią a przestępczością.

Rheinhardt znów zaczął tracić cierpliwość.

- Max, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Proszę, wyrażaj się jasno.

- Zapadnięty grzbiet nosa, bruzdy wokół ust, dziwne zęby. Dopiero kiedy znalazłem się blisko, uzmysłowiłem sobie ich znaczenie. To wszystko symptomy. Herr Olbricht cierpi na wrodzony syfilis.

Liebermann zrobił pauzę, pozwalając Rheinhardtowi wchłonąć te rewelacje.

- Co? - Urodził się... jako syfilityk?

- Otóż to, i w chwili ustalenia tego faktu natychmiast pojąłem istotę jego przeszłości.

Jakaż matka mogła mieć syfilis? prostytutka! Dlaczego Olbricht tak bardzo pogardzał innymi narodowościami? Ponieważ to oni stanowili jej klientelę: zabiedzeni Węgrzy, Polacy, Czesi i Żydzi, świeżo przybyli do Wiednia. Ci mężczyźni odbierali mu matkę. Dlaczego *Czarodziejski flet* nabrał dla Olbrichta tak szczególnego znaczenia? Jako dziecko nieustannie słyszał arie z tej opery - któż mógłby zapomnieć te cudowne melodie? A jakim cudem syn prostytutki mógł słyszeć arie operowe? Jego matka musiała wynajmować pokój obok teatru ludowego. Doktryna nienawiści rasowej

wyznawana przez germańskich nacjonalistów podsunęła dorosłemu Olbrichtowi powody do wielu z jego ataków, lecz prawdziwa motywacja sięgała dużo głębiej. W najmroczniejszych zakamarkach jego psychiki wciąż wpadało w szal wściekłe, zazdrosne dziecko. Rheinhardt podkręcił wąsy.

- Wszystko to sugeruje, że kochał matkę. A mimo to zdecydował się zaatakować kobiety, które cierpiały taką samą dolę, te nieszczęsne galicyjskie dziewczęta...

- Ambiwalencja, Oskarze! Profesor Freud uczy nas, że korzenie motywacji sięgają daleko w głąb i są beznadziejnie ze sobą splątane. W podświadomości miłość i nienawiść ze sobą współistnieją, z taką samą łatwością jak ludzie z kanałów i arcyksiężęta w naszym ukochanym mieście! Olbricht kochał matkę, lecz jednocześnie nienawidził. Nienawidził jej za to, że była prostytutką, za to, że go zaniedbywała... a przede wszystkim, jak podejrzewam, nienawidził jej dlatego, że nie była Aryjką. Nie zdziwiłbym się ani trochę, gdybyśmy w odpowiednim czasie odkryli, że matka Olbrichta sama pochodziła z Galicji! Może nawet była galicyjską Żydówką.

Rheinhardt wydał policzki i powoli wypuścił powietrze.

- Wrodzony syfilis - wyjaśniał dalej Liebermann - tłumaczy również upiorne upodobanie Olbrichta do okaleczania genitaliów. W pewnym sensie atakował samo źródło swego dziecięcego cierpienia.

- A sny? Skąd wiedziałeś, że dręczą go sny o zwierzętach?

- Mały Olbricht z pewnością budził się od czasu do czasu i widział matkę uprawiającą... - Liebermann zawahał się, nim wybrał eufemizm -... ćwiczenia będące wymogiem jej profesji. Musiało być to bezsprzecznie wielce zatrważające doświadczenie.

Mam powód sądzić, że takie traumatyczne wspomnienia zostają przekształcone w sny.

Zaczynają działać mechanizmy obronne, które zamieniają ludzi w zwierzęta. Zwłaszcza wilki i psy.

Rheinhardt uniósł brwi.

- Wielokrotnie śniły mi się psy, a jestem pewien, że...Liebermann potrząsnął głową.

- Nie sugerowałem, że wszystkie sny, w których występują zwierzęta, skrywają traumatyczne wspomnienie tego rodzaju! Czasem pies jest po prostu psem!

- Słucham tego z wielką ulgą - rzekł Rheinhardt, wierząc się nerwowo. - Proszę, mów dalej.

- Wrodzony syfilis może nie ujawniać się przez całe dekady, jednak zwykle w którymś momencie zaczyna atakować centralny układ nerwowy. Tkanka mózgowa rozmiękcza się, powodując albo postępujący paraliż, albo niepoczytalność, albo jedno i drugie. Mania wielkości i irracjonalny gniew są bardzo typowymi objawami syfilitycznego obłąkania. W miarę jak Olbricht stopniowo tracił kontakt z rzeczywistością - i coraz bardziej zaczytywał się w dziełach Lista - złudne przeświadczenie, że jest teutońskim mesjaszem mogło się ugruntowywać. - Liebermann wziął do ręki kieliszek śliwownicy i obracał go w palcach. - Ponadto, skoro w jego wewnętrzny świat wkradał się coraz większy chaos, *Czarodziejski flet* nabierał rosnącego znaczenia jako zasada organizująca

sposób wyrazu gwałtownych emocji, które zostały skierowane - znów pod wpływem Lista - przeciw wszystkiemu, co niegermańskie. Jestem również zdania, że po tym, gdy jego ohydna wystawa ściągnęła krytyczną pogardę, na jaką zresztą zasługiwała...

- Wiesz - przerwał Rheinhardt. - Naprawdę uważam, że niektóre z obrazów wcale nie były aż tak złe.

Liebermann zignorował komentarz przyjaciela i kontynuował:

- Jego potrzeba tworzenia została - niejako - skierowana na inne tory. Okazja zamordowania Sarastra i Tarnina dopełniłaby tego ponurego arcydzieła. Wśród nacjonalistów jego imię przeszłoby do legendy.

Liebermann wypił łyk śliwownicy, a jego twarz zasnuł wyraz niezadowolenia.

- Co mnie jednak trapi, to fakt, że nie potrafię wyjaśnić, dlaczego postanowił

rozpocząć swą misję właśnie w tamtym momencie. Coś musiało zadziałać jako bodziec, ale nie umiem stwierdzić, co. Mocno podejrzewam, że odpowiedź może mieć związek z lokalizacją Eddyjskiego Towarzystwa Literackiego: Mozartgasse. Pewnego dnia, mam nadzieję, odpowiedź nasunie się sama i będziemy mogli dodać krótki wyjaśniający przypis do tej nadzwyczaj interesującej sprawy.

Obaj mężczyźni umilkli, a po chwili wspólnego milczenia Rheinhardt rzekł:

- Musisz jeszcze dokończyć opowieść.

- Niewiele zostało do powiedzenia. Zdołałem powstrzymać ostateczny atak Olbrichta, dopóki nie wyważono drzwi i nie zostałem ocalony przez przyjaciela i jego braci masonów. Gdyby ratunek opóźnił się choćby o chwilę... - Twarz Liebermanna rozjaśnił

uśmiech. - Cóż, chyba lepiej nie rozmyślać o takich rzeczach.

Rheinhardt pokręcił głową, zmarszczki pod oczami wydały się głębsze, skóra bardziej obwisła, cienie ciemniejsze. Ten prosty gest wyrażał wiele: reprimendę, dezaprobatę, podziw i strapienie. W obliczu Rheinhardta było coś wyraźnie ojcowskiego. Smutna rezygnacja ojca, który, powodowany miłością, musi napomnieć nieroztropnego, krnąbrnego, rozbrykanego syna i który jednocześnie zdaje sobie sprawę, wszak sam był kiedyś młody, że wszelkie słowa pójdą na marne.

- Sądzę, że tyle wystarczy do raportu - powiedział Liebermann. Rheinhardt spojrzął

żałośnie na pustą kartkę papieru.

- Przypuszczam, że będę umiał coś sklecić, nim przybędzie komisarz Briigel.

- A ja mam szczerą nadzieję, że uszanujesz moje życzenia dotyczące obietnicy danej masonom.

Rheinhardt pokiwał głową.

Spojrzawszy na zegar, Liebermann dodał:

- O ósmej oczekują mnie w szpitalu, a teraz marzę o pójściu do domu. Muszę zdjąć ten absurdalny strój i przespać się kilka godzin.

- Możesz odejść, Herr Doctor.

Liebermann odstawił na biurko Rheinhardta niedokończony kieliszek śliwowicy, wstał i ruszył ku drzwiom.

- Och, byłbym zapomniał - powiedział, zdejmując cylinder z wieszaka. - Jakiś czas temu zamówiłem kilka śpiewników z rosyjskimi pieśniami u moskiewskiego wydawcy.

Nigdy ich nie otrzymałem i prawdę mówiąc, całkiem o nich zapomniałem. To znaczy, aż do zeszłego tygodnia, kiedy wreszcie przyszły...

- Mój rosyjski jest nie najlepszy.

- Nonsens. Kiedy wykonywaliśmy romanse Czajkowskiego, myślałem, że do pokoju zakradł się sam Fiodor Szalapin! Może twoja drogamałżonka zechce odmówić sobie twego towarzystwa jutrzejszego wieczoru?

- Pod względem tolerowania moich nieobecności jest ni mniej, ni więcej tylko świętą.

- Znakomicie. A zatem do wtorku.

Nim Liebermann zdążył zamknąć drzwi, Rheinhardt zawołał:

- Och, Max! - Liebermann stanął, spodziewając się nieuniknionych wyrazów wdzięczności. - Jeśli kiedykolwiek jeszcze będziesz działał na własną rękę, to ja, jak mi Bóg miły... - Inspektor pokazał na migi brutalne duszenie młodego doktora, aż zatrzęsły się obwisłe policzki, gdy zaciskał dłonie na słupie powietrza w świetle biurkowej lampy, wzbijając wir roziskrzonych drobinek.

Liebermann udał oburzenie i wkładając na głowę cylinder zdecydowanie zuchwałym gestem, czym prędzej wyszedł.

Liebermann przyłapał się na tym, że głowę zaprzętały mu myśli o pannie Lydgate. Jej obraz siedzącej i czytającej książkę w Muzeum Historii Naturalnej powracał i przerywał

skupienie przez cały dzień: ulotna impresja jej ognistych włosów, płonących jak światło przewodnie. Przystępując do swych lekarskich obowiązków, milcząco uznał potrzebę zobaczenia się z nią i postanowił odwiedzić uniwersytet. Przypuszczał, że prędzej zastanie ją tam niż w domu. Decyzja złożenia jej wizyty nie obyła się bez konwencjonalnego usprawiedliwienia.

Muszę jej powiedzieć, że wyniki analiz mikroskopowych były prawidłowe, myślał.

Tak, ma absolutne prawo o tym wiedzieć.

Lecz nawet kiedy nasunęła mu się ta wymówka, Liebermann uznał ją za nieprzekonującą. Słowa były puste, a odczucia nieszczerze. Ukryty strumień pożądania był

zbyt silny, by go zignorować. Płynął przez całą jego istotę niczym ładunek elektryczny, drażniąc nerwy i wyostrając zmysły.

Wspomnienie szabli Olbrichta wciąż wywierało upiorny ucisk w sercu, przypominając, że w życiu niczego nie należy uważać za pewnik i że nie powinno się zaprzepaszczać żadnej okazji. Niewybaczalne byłoby, dumał, umierać z żalem w sercu...

Liebermann błyskawicznie włożył do szuflady kartoteki pacjentów, przekręcił klucz i opuścił szpital.

Fen wciąż wywierał osobliwy wpływ na pogodę. Nic nie przypominało zimowego wieczoru. Wydawało się raczej, że to wczesna wiosna. Przed kawiarnie, które w większości były już przystrojone świątecznymi lampkami i dekoracjami, wystawiono stoliki i krzesła.

Ulice wibrowały od śmiechu i rozmów. Na Alserstrasse kolędowała grupa śpiewaków przy akompaniamencie cymbałów i wiejskich skrzypek. Powietrze przesyciła mocna, odurzająca mieszanina aromatów pieczonych kasztanów, miodu i cygarowego dymu. Całe miasto było w świątecznym nastroju: stateczni mężczyźni z krótkimi siwymi brodami, kobiety w długich sukniach i kapeluszach z piórami, żołnierze, uliczni handlarze, artyści - noszący zgodnie z panującą modą płaszcze luźno narzucone na ramiona - studenci, biznesmeni, bohema - o gęstych włosach i intensywnym spojrzeniu płonących oczu - zwinni nauczyciele z akademii tańca, duchowni, prawnicy i chórzystki. Liebermann wdychał powietrze i poczuł dreszcz podniecenia. Cudownie być żywym...

Przed uniwersytetem zatrzymał się pod latarnią i czekał. Gdy studenci zaczęli wysypywać się spod masywnego, trójłukowego wejścia i schodzić po szerokich kamiennych stopniach, pragnął, by znalazła się wśród nich panna Lydgate. Nietrudno będzie ją rozpoznać

- kobieta pośród tłumu mężczyzn.

Tramwaj do Kahlenbergu właśnie ruszał, naziemne kable iskrzyły jak błyskawica.

Gdy przejechał, Liebermann dostrzegł pannę Lydgate stojącą pod środkowym łukiem, badającą zawartość swojej torebki. Odniósł wrażenie, że choć otaczają ją ludzie, jest w jakiś sposób samotna. Wokół jej postaci zdawało się gromadzić zamglone światło, wyróżniając ją z tłumu.

- Panno Lydgate!

Angielka podniosła głowę i spojrzała badawczo w stronę schodów. Część iskier z elektrycznych przewodów wydawała się w jakiś niewytłumaczalny sposób tlić w jej oczach.

Wyglądającą ich sprawą dziko, żywiołowo - niemal mitycznie. Przez chwilę nic nie wskazywało na to, że go rozpoznaje, potem jednak, zupełnie z nienacka, rysy jej twarzy złagodniały i pojawił się uśmiech.

Podziękowania i źródła

Pragnę podziękować Hannah Black i Oliverowi Johnsonowi oraz mojej agentce Clare Alexander za uwagi redakcyjne, zainteresowanie i entuzjazm; Nickowi Austinowi za wnikliwą adiustację tekstu; Steve'owi Mathewsowi za użyczenie mi swych nieocenionych umiejętności krytycznych oraz Raymondowi Cofferowi za wskazanie właściwego kierunku w licznych niejasnych kwestiach istotnych dla moich poszukiwań. Martinowi Cherry'emu z Biblioteki i Muzeum Wolnomularstwa w Londynie za ogromną pomoc w odpowiedzi na wiele pytań dotyczących historii wolnomularstwa i symboli masońskich, oraz doktorowi Ottonowi Fritschowi z Wielkiej Loży Austrii za jego uczony list na temat praktyk wolnomularskich w Cesarstwie Austro-Węgierskim. Helmutowi Portelemu z Muzeum Tramwajów za uwagi na temat elektryfikacji wiedeńskiej sieci tramwajowej, Frankę Kreutzler z Muzeum Wiedeńskiego za zdobycie informacji, gdzie stał pomnik Mozarta w 1902 roku, oraz Mirkowi Herzogowi z Muzeum Techniki za uświadomienie mi istnienia „Illustrierte Kronen-Zeitung”. Nathalie Ferrier i Luitgardzie Hammerem za nieocenioną pomoc w przekładach (i Bernardowi za cierpliwość podczas pracy nad rzeczonymi przekładami).

Clive'owi Baldwinowi za rozległą wiedzę na wszelkie tematy austro-węgierskie, doktor Julie Fox za informacje o teście precypitacyjnym oraz objawach i przebiegu wrodzonego syfilisu.

Wreszcie Nicoli Fox za przyjęcie Maksa do naszego życia, począwszy od 2003 roku - i za wiele więcej.

Cytuję bezpośrednio z *O pochodzeniu człowieka i doborze płciowym* Karola Darwina (1871) oraz artykułu z „The Lancet” napisanego w 1886 roku. Otwarty list Focha do

„Zeitung” jest okrojona wersją *Science Proves Women Inferior* („Nauka dowodzi niższości kobiet”) dr. Charlesa H. Heydemanna z *Ivy Scrapbook*. Wszystkie teksty można znaleźć w znakomitej antologii *1900* (pod redakcją Mike'a Jaya i Michaela Nevego), wydanej przez Penguin w 1999 r. Cytuję również bezpośrednio z *Rituals of the Masonie Grand Lodge of the Sun, Bayreuth*

(„Rytuły Wielkiej Loży Masońskiej Pod Słońcem w Bayreuth”) w przekładzie z niemieckiego dokonany przez Arta deHoyosa. Wszystkie dzieła Guida (von) Lista są autentyczne, z wyjątkiem broszury *O tajemnicach runów - wiadomości wstępne*, która jest swobodnie oparta na jego książce

Tajemnice runów (1907-1908).

Frank Tallis Londyn, grudzień 2005

„KB”